

Hilary Norman

Zamek Ella

Przełożyła Zofia Kierszys

Pine Orchard
w stanie Nowy Jork.
11 czerwca 1986 r.

Całą resztką sił Ella Bogarde na pół pociągnęła, na pół pchnęła ciężkie skrzydło bramy z kutego żelaza, żeby ją zamknąć. Ta imponująca, wysoka na dwanaście stóp brama zawsze dotąd stała powitalnie otworem przed wszystkimi przybyszami w dzień i w nocy, wiosną, latem, jesienią i zimą, teraz więc, zapierając się w żwir alei wjazdowej z okropnym uporem rzeczy martwych, pomimo wysiłków Elli, nie dawała się domknąć całkowicie. Ella zdyszana, bliska płaczu, odeszła o krok i wzięła się pod boki. Gwałtownie, tak że tusz na rzęsach się rozmasał, przetarła oczy, zapatrzona w pięknie pozłacany napis.

– Zamku Bogarde – powiedziała – jesteś zamknięty i niech cię lichy! – Zgrzytnęła zębami. – Czy ci się to podoba, czy nie. – Odwróciła się, popatrzyła na cztery psy, które siedziały nierównym rzędem przy prowadzącej stromo do hotelu szosie. Ośmioro oczu wpatrywało się w nią z uwielbieniem, cztery wywieszone języki poruszały się miarowo. – Nie gapcie się tak na mnie – powiedziała psom ponuro. – Wszystko, co dobre, ma swój koniec... jak powszechnie wiadomo.

Te psy, wilczarze irlandzkie – dwa dorosłe, dwa szczeniaki sześciomiesięczne, ale już wielkości dorosłego owczarka alzackiego – nie przestawały na nią patrzeć. Mniejsza z dorosłych, moregowata suka, o krzaczastych brwiach i ujmujących oczach koloru cynamonu, wstała, podbiegła do niej i szturchnęła ją nosem w prawy łokieć, skomląc cicho.

– *Je comprends bien, Aphrodite* – powiedziała Ella już łagodniej. – Możesz mi wierzyć, kochanie, wiem, jak się czujesz.

Jeszcze trzy dni temu psów było pięć, dopóki straszny, krwawy zamęt nie stał się końcem wszystkiego, nie zburzył tyle, nie wyrócił wszelkiej normalności.

Wstrząsnęły nią dreszcze, chociaż słońce przygrzewało. Wyprostowała się. Poczowała, jak Afrodyta mocno się do niej przytula, aż szare się robią od liniejącej sierści zniszczone, sześć lat sobie liczące dzinsy Calvin Klein. Wkładała te dzinsy, ilekroć potrzebowała wygody i pociechy.

– Dobrze – powiedziała, usiłując być stanowcza. – Co zawsze robimy w krytycznych chwilach? – Afrodyta pomerdała ogonem. Tamte trzy psy zadki poderwały się z ziemi – Właśnie, moje mądrale. Chodźmy na spacer! – Wargi jej drżały. – Tylko że tym razem, *mes petites*, musielibyśmy iść przez cały stan Nowy Jork, żeby bodaj się zbliżyć do rozwiązania naszych problemów.

Otoczona ruchliwymi, węszącymi psami, szła apatycznie stromą górską szosą w dół. Zwykle, spacerując, nie wychodziła z terenu posiadłości Bogarde, ale w ten poranek, właśnie w ten poranek, coś ją gnało możliwie jak najdalej.

Doznawała sprzecznych uczuć. Połową swego ja pragnęła być z ludźmi, których kochała i którzy ją kochali, ale drugą połową – silniejszą – uświadamiała sobie z okropnym smutkiem, że nikt na świecie nie może jej dziś podtrzymać na duchu, jeżeli nie weźmie się w garść sama.

Człapiąc żałośnie w dół, obejrzała się na mury i żywopłoty ogradzające teren, żeby chronić gości, którzy tak chętnie, tak skwapliwie płacili za doby luksusowego wytchnienia na tych dwustu akrach. Pomimo ogrodzeń wolność zawsze była jedną z atrakcji tego hotelu, możliwość włóczenia się do woli wszędzie po ogrodzie i w gąszczach lasu, po wielkich falach trawników i zagonach warzywnych – po całym tym królestwie z taką czułością stworzonym przez nią, Ellę, i przez

Harry'ego, i Krisztinę przy skraju posępnej góry, na wysokości ponad tysiąca metrów nad rzeką Hudson.

Jakże błogo czuliśmy się bezpieczni – dumiała rozgoryczona – w tej dwudziestowiecznej warowni z ochroniarzami i elektronicznymi systemami alarmowymi na szczycie takiej opoki, jaką jest ta góra. I jak strasznie się myliliśmy.

Usłyszała odgłos – poza boleśnie dla niej radosnym śpiewem ptaków, coraz wyraźniejszy odgłos dobrze znany, nie przykry, ale teraz sprawiający, że włosy na karku jej się zjeżyły.

Samochód.

– *Merde!* – zakląła i przywołała psy do nogi. – Czy nie mogą nas zostawić w spokoju? – Znów policja albo, co gorsza, jeszcze jedna ekipa TV przyjeżdża, żeby wtargnąć w niewielką, a wielce pokupną żałobę. Zgrzytnęła zębami, zacisnęła pięści.

Samochód ukazał się na szosie, połyskliwy z szybami zaciemnionymi. Rollsroyce, kabriolet-limuzyna.

Uśmiechnęła się kwaśno. Ani policja stanowa, ani stacja telewizyjna, ani nawet „New York Times” nie mają takich samochodów dla tych, których zatrudniają.

Samochód zwolnił, mijając ją i psy, po czym znów nabrał szybkości w drodze pod górę do hotelu.

Zastanowiła się. Czyżby ktoś zignorował stanowczą odmowę Louisa Dettlingena?

– Cholera! – zakląła znów, zgoła nie w swoim stylu, i szła dalej.

Niecałe dziesięć minut później samochód, wracając, zatrzymał się przy jej prawym ramieniu.

Szyba od strony kierowcy zsunęła się bezszelestnie, wyjrzał szofer w szarej liberii.

– Przepraszam panią – powiedział. – Nie wiemy, którądy wjechać do hotelu.

– Och?!

– Do zamku Bogarde – uzupełnił. – Brama tam jest na tyłach, ale zamknięta.

– Nie próbował pan otworzyć?

– Ani drgnęła... widocznie zamknięta od lat.

– Och – Ella powstrzymała blady uśmiech.

Zsunęła się szyba w tylnym oknie. Wyjrzała dama o porcelanowej cerze, mniej więcej siedemdziesięcioletnia.

– Może pani, moja droga, zna ten hotel pod inną nazwą – powiedziała z miłym uśmiechem. – Nazywają go Zamek Ella.

– Owszem – przytaknęła Ella.

– To dobrze, pani go zna. – I po chwili dama zapytała: – Więc może pani wie, gdzie jest główna brama?

– Nie ma głównej – odpowiedziała Ella.

– Jest pani tego pewna?

– Absolutnie.

Dama przyjrzała się Elli zaciekawiona. Cóż to za dziewczyna z psiarni w górach? Z psiarni, a taka piękna, o niezwykłych, płomiennie złotych włosach, nadzwyczajnie fiołkowych oczach i twarzy godnej pozazdroszczenia, bez odrobiny makijażu. I chodzi w modelowych dzinsach za sto dolarów i oryginalnej bluzce od Diora? Co prawda dzinsy są wyraźnie stare, a cały ten strój zszarzały od psich kłaków. Popatrzyła na olbrzymie wilczarze, zajęte teraz obwąchiwaniem

siedemnastu warstw farby na rollsroysie.

– Jechaliśmy według znaków drogowych – powiedziała żałośnie. – Byliśmy spokojni, że to ta droga.

– Bo ta.

– Rzeczywiście? – zdumiała się. – Ale dlaczego wszystko tam pozamykane? Może jest jakiś dzwonek?

– Nie – odpowiedziała Ella. – Nie ma żadnego dzwonka. Hotel nieczynny.

– Nieczynny? – Zza damy wychylił się drugi pasażer, siwy, rumiany mężczyzna w ciemnym ubraniu. – Niemożliwe!

– Niestety, tak jest – powiedziała Ella łagodnie. Gdzież ci ludzie, na Boga, byli przez ostatnie pięć dni?

– Przecież my mamy rezerwację!

– Złotko – zmytygowała go dama. – Co to może tę panienkę obchodzić?

Ella odsunęła się od samochodu, wołając psy. W głowie zaczęło jej tętnić, chciała tylko, żeby ci ludzie dali jej spokój i zniknęli. Właśnie dlatego powzięła niesłychaną, straszną decyzję o zamknięciu swego ukochanego hotelu – po prostu nie zdołałaby się z tym uporać, nawet myśleć nie mogła, że kiedykolwiek zdoła prowadzić go znowu.

– Jeżeli ona wie, że jest nieczynny, to na pewno też wie, z jakiego powodu. No, do pioruna, zapytaj ją.

– Przykro mi – dama przeprosiła Ellę – ale oboje jesteśmy bardzo rozczarowani. Nasza pierwsza możliwość wakacji od prawie dwóch lat. Mąż ma wciąż mnóstwo pracy, wie pani...

– Tak, oczywiście – bąknęła Ella, odsuwając się jeszcze dalej, już w poczuciu winy.

– Normalnie – ciągnęła dama – pojechalibyśmy do Europy. Tyle jednak naszych znajomych polecało nam ten hotel, wszyscy mówią, że jest najlepszy w Ameryce i...

– Na litość boską – przerwał jej mąż gniewnie – jeżeli ona nie wie, to nie wie... Zjedźmy już z tej choleralnej góry gdzieś do cywilizacji, gdzie będzie szkocka i telefon!

– Dobrze, złotko – zgodziła się dama, nadal patrząc na Ellę. – Może pani zna jakieś odpowiednie miejsce w tej okolicy?

Ella odczekała chwilę.

– Ja bym pojechała do gospody Beekmana w Bhinebeck – powiedziała i zarumieniła się.

Minęło co najmniej dwadzieścia sekund po ucichnięciu silnika oddalającego się rollsroyce'a, gdy Ella pojęła pełne znaczenie tego incydentu. Ręce jej się zatrzęsły, kolana się pod nią ugięły i z ćmieniem w żołądku opadła na trawę pobocza mokrą od porannej rosy, nawet nie czując, jak ta wilgoć przesiąka przez dzinsy i ziębi.

Całe dziesięć lat Ella prowadziła Zamek Bogarde, i kochała go namiętnie. Stała się z biegiem czasu wytrawną hotelarką, a jej hotel zasłynął jako jeden z najlepszych. Był wspaniale amerykański, chociaż podkład dały mu żyzne gleby Europy, a w grubą mocną tkaninę całej jego powierzchni wsnuły się barwne wątki: węgierski, francuski i angielski. Właśnie chuchnięcie Ameryki tchnęło w niego życie, przenikając europejską budowlę amerykańskim duchem odwagi, ciepła i gościnności. Tak powstał w sercu stanu Nowy Jork nie tylko luksusowy hotel, ale jakiś wzniosły, czarowny, jedyny w swoim rodzaju azyl zadowolenia – zaczynający zdobywać sobie bardzo wysoką pozycję w legendzie amerykańskiego hotelarstwa, znany jako Zamek Ella.

Ale to już się skończyło. Ella czuła się tak, jakby na jej oczach jakiś rozszalały potwór, ziejący ogniem, rozdarł miękkie, delikatne podbrzusze uroczego, baśniowego stworzenia. Nie mogła znieść widoku swojego dzieła, wyobrazić sobie, że otwarte, straszne rany kiedykolwiek się zagoją. I jak gdyby ten tragizm wymagał ironicznego podkreślenia, ona sama przed chwilą, postawiona wobec ludzi dla każdego hotelarza najbardziej upragnionych, zadała swemu hotelowi ostateczny cios, uczyniła rzecz nie do pomyślenia – z kwitkiem odprawiła gości!

Ukryła twarz w dłoniach. Prawie zaraz poczuła na policzku dotknięcie zimnego nosa, w lewym uchu dmuchanie. To Afrodyta. Taki dowód psiej miłości przepelnił miarę.

Najpierw usłyszała jęk, potem zdała sobie sprawę, że to ona jęczy. Rzadko pozwalała sobie na płacz – trzeba panować nad sobą, kiedy się jest matką, kiedy się jest szefową i gospodynią, kiedy się jest osobą znaną. Nawet w czasie tego horroru była zbyt odrętwiała, zbyt gniewna, zbyt przerażona, żeby płakać, ale teraz, gdy w porannym blasku czerwcowego słońca siedziała zgarbiona, z dużą suką przytuloną pocieszająco do jej biodra, poddała się ogromnej zgryzocie i słabości. Łzy powoli wezbrały jej w oczach, usta zadrżały i szarpnęło nią ciężkie westchnienie.

Wreszcie Ella się rozplakała.

Matka zataczała się na pustej szosie z małym, ciepłym, śpiącym zawiniątkiem w objęciach i z wielkim białym psem u boku. Wyczerpana po biegu, zmęczona ukrywaniem się, usiłowała zdławić rozpacz, a przecież w chłodne nocne powietrze ulatywały z jej krtani ciche jęki. Tamto było bólem najstraszliwszym, najszkaradniejszym ze wszystkich, pozbawiło ją sił, wydrążyło duszę, przewaliło się przez nią jak potworne fale przyływu, niszczące i pustoszące. Nawet sama śmierć, tak rychła i pewna, jak następny szabas, miała być łatwiejsza do zniesienia.

Pastelowy świt wstawał nad miasteczkiem, gdy doszła do schodków kościoła. Wiedziała, że już wkrótce ludzie wyjdą na ulice, zaczną się krzątanina, żeby zapracować na chleb, żeby przetrwać, ale teraz, Bóg miłosierny, nie było nikogo, kto by ją zobaczył, kto by pytał.

Bóg miłosierny.

Pieczołowicie owinęła swym zakrwawionym szalem już i tak opatulone niemowlę i położyła je na szerokim, najwyższym stopniu schodków.

– Janka, siad – powiedziała suce.

Oczy jej pałały, cała się trzęsła, ale umysł miała drętwy. Zdjęła z szyi łańcuszek ze złotą Gwiazdą Dawida i delikatnie okręciła go na szyjce córeczki. Potem uklękła na nieubłaganie zimnym kamiennym stopniu, przytuliła głowę do pulchnych rączek niemowlęcia i pomodliła się po raz ostatni.

– Boże, błogosław ją i zachowaj. Boże, okaż jej Twoje promienne oblicze i zsyłaj łaskę.

Janka z cichym skomleniem lizała klęczącą po gołej nodze.

– Amen.

Dwukrotnie matka ucałowała dziecko – jednym ciepłym muśnięciem blade czółko, drugim nieme usteczka jak pąk róży. Potem wstała z klęczek i dobitnie, chociaż cicho rozkazała suce:

– Janka, pilnuj jej.

Suka podniosła wzrok, znów zaskomlała, ale przysunęła się do niemowlęcia.

Słońce wychyliło się znad dachów – na chwilę matka zamknęła oczy, przypominając sobie dobre rzeczy: uśmiech męża i ciepło jego silnych objęć, noce w łóżku, które on własnoręcznie wyrzeźbił dla nich; ich domek z jaskrawym geranium w skrzynkach przy oknach i duży kasztanowiec przed domkiem; złocistą pszenicę i jaskrawe maki na polu, i wielką pusztę.

Otworzyła oczy mokre od łez. Serce już w niej uszło. Matka odwróciła się od córki, zesłała z kościelnych schodków i ruszyła w stronę rżenia koni, głosów ludzi, w stronę śmierci.

Suka Janka, silna, grubokoścista pod białym futrem, teraz zbryzganym krwią ludzkiej rzezi, była wielkim owczarkiem pirenejskim. Pięć lat temu została sprowadzona do domu z łąk, gdzie odsłużyła swoje, pilnując stad owiec.

„Pilnuj jej” – rozkazała pani. Janka ten rozkaz zrozumiała.

W miasteczku zaczął się ruch.

Obcy ludzie.

Z wysiłkiem Janka chwyciła końce szala w swe mocne szczęki i z zawiniątkiem zbiegła ze schodków, żeby uciec w bezpieczne leśne ostępy.

Przez dwa dni i dwie noce, gdy puszcza szeptała, wyła i przyczajała się, drzewa stękały, gałęzie trzeszczały, trawa i liście szeleściły, Janka ogrzewała niemowlę własnym ciałem, myła miękką różową twarzyczkę językiem i warczała ostrzegawczo na wszystko, cokolwiek poruszyło się w pobliżu. Niemowlę prychało i kwiliło, płakało i zaczynało słabnąć. Janka, na próżno próbując je nakarmić, zagryzła i rozdarła na kawałki dwa tłuściutki króliki i gronostaja, ale dziecko leżało nieruchomo i nie jadło.

W trzeci wieczór rozpacz przygnała Jankę z niemowlęciem z powrotem na schodki kościoła. Pani może wróci, trzeba czekać.

– *Jezus, Maria*, patrz!

Piskliwy kobiecy głos obudził Jankę z drzemki. Przed kościołem stały dwie kobiety z torbami pełnymi zakupów.

– Przy tym psie jest dziecko!

Janka siedziała sztywno. Aromat salami z toreb omal nie doprowadził jej, głodnej, do szału, ale nawet nie drgnęła, dopóki te dwie nie podeszły bliżej.

– Boże święty, krew!

Postawiły torby i wyższa z nich weszła na pierwszy stopień schodów. Janka szczerknęła. Kobieta cofnęła się, poprawiła na głowie kapelusz.

– Idź po *pandura*.

– Oni tam teraz jedzą kolację.

– Ten pies może wściekły... idź po *pandura*.

Niższa z kobiet poszła, a ta trójka czekała w napięciu jak upozowana w dziwnym żywym obrazie: niemowlę blade i nieruchome, pies spięty, rozedrgany każdym mięśniem i ścięgnem; kobieta przestępująca niepewnie z nogi na nogę, wpatrzona w zawiniątko.

Przyszedł *pandur*, chudy, skwaszony, z pistoletem w kaburze.

– Niech pan patrzy – powiedziały mu. – Widzi pan tę krew?

– Widzę. – Policjant sięgnął po pistolet.

Drzwi kościoła się otworzyły i wyszedł młody, śniady ksiądz.

– Księżo Jozsefie, ostrożnie! – wykrzyknęła wyższa z kobiet. – Ten pies jest niebezpieczny.

Ksiądz Jozsef Szabo spojrział. Janka patrzyła na niego. Niemowlę lekko się przekręciło.

– Serwus – powiedział do Janki. – Opiekujesz się tym maleństwem?

Janka podniosła uszy.

– Myślę, że nie jest niebezpieczna – spokojnie zawołał ksiądz do policjanta. – Tylko musi coś zjeść i odpocząć.

– Już ja jej dam odpoczynek – powiedział kwaśno *pandur*, myśląc o kolacji. – Policja ma ważniejsze sprawy na głowie. Zastrzelę to bydłę i możemy się rozejść.

– Chyba, przyjacielu – powiedział ksiądz nadal spokojnie, ale twarz mu poczerwieniała – dosyć już było strzelania w tym mieście. – Podeszedł do drzwi. – Tylko przyniosę trochę mleka i...

– Jezu! – *Pandur* się zniecierpliwiał i raptownie wszedł na schodki. Janka, zaniepokojona, schyliła łeb, chwyciła zawiniątko w zęby i stanęła nieruchomo. Policjant wyjął pistolet.

– Nie, proszę! – krzyknął ksiądz.

Wzrastające napięcie i podniesione głosy podnieciły Jankę. Zaciskając zęby na szalu, zeskoczyła paroma susami ze schodków i zwinnie wyminęła tłumek gapiów, który już się zebrał.

Pandur podniósł pistolet, żeby strzelić, ale ludzie zasłaniali mu cel. Spuścił rękę z pistoletem i splunął.

– *Rajta!* – wrzasnął. – Prędeż, proszę księdza! Z tym ciężarem nie ucieknie daleko!

Zaczął się pościg – na przedzie policjant, za nim zdyszany ksiądz w sutannie rozwianej, za nimi dwie kobiety biegnące tak szybko, jak mogły, obciążone torbami. Przechodnie gapili się jak urzeczeni, gdy pościg się przesunął po ulicy Rakoczego, po placu Matyasa i dalej nad rzeką, i na drewniany most. W połowie mostu Janka, zmęczona dźwiganiem zawiniątka, przystanąła. Położyła je i odwróciła się do ścigających, osłaniając sobą niemowlę.

– Mamy ich! – Policjant znów machnął pistoletem.

– Zaczekaj, na litość boską! – wykrzyknął ksiądz Jozsef. Bez tchu zatrzymał się przy nim. – Spróbuję jeszcze raz... tylko raz!

Pandur znowu splunął.

– Już nie, proszę księdza. Widzi ksiądz to bydlę, groźba dla całego miasta. – Przymrużył oczy w uchodzącym świetle dnia i starannie wycelował.

– *Vigyaz!* – wrzasnęła któraś z kobiet, podbiegając do nich. – Uważaj pan na dziecko!

Łagodna Janka, zziębnięta, przygarbiona, szczerząca zęby i warcząca, wyglądała bardzo groźnie. Niemowlę nagle głośno pisnęło, a ona patrzyła, jak człowiek w ciemnej szacie podnosi ręce i jak te dwie wrzaskliwe kobiety chwytają się jedna drugiej, słyszała pluskanie rzeki pod mostem, czuła zapach świeżej trawy i kwiatów z pobliskiej łąki. Skuliła się jeszcze bardziej nad ciepłym ciałkiem...

Pilnuj jej.

Huknęło ogłuszająco. Janka, trafiona celnie między piękne, ciemne oczy, opadła bezwładnie na deski mostu. Jej zakrwawiony wielki łeb prawie zakrył maleńką istotę ludzką, której w końcu dopilnowała kosztem własnego życia.

Niemowlę krzyczało.

Część pierwsza

Krisztina:

Węgry
Lata 1919 – 1938

Mam zmartwienie – napisał ksiądz Jozsef w brązowym skórzanym dzienniku, często będącym dla niego pociechą w trudnych chwilach. – *Od paru dni po raz pierwszy w życiu moja wiara i moja odwaga stoją pod znakiem zapytania i to mnie niepokoi.*

Rozparł się i przeciągnął na krześle, czując ból w plecach, myśląc o łóżku, chociaż była dopiero dziewiąta wieczorem. Och, z przyjemnością napiłby się herbaty! Ale wbrew jego zasadom – już nie mówiąc o naruszeniu prawa – było zapłacenie ceny czarnorynkowej, musiał więc się zgodzić na jeszcze jedną filiżankę paskudnej namiastki kawy.

Ksiądz Jozsef, jak większość jego rodaków, nie przestawał pragnąć, żeby spokój i normalność, już nawet byle jaka normalność, powróciły na Węgry. Odkąd wojna się skończyła, niemożliwością dla zwykłego człowieka stało się rozeznanie w politycznym zamęciu.

Rozejrzał się po gabinecie, swoim ulubionym pokoju na małej plebanii za kościołem. Tutaj nie wpuszczał nikogo prócz gospodyni i przesiadywał, kiedy tylko mógł, pracując albo czytając raz po raz wiersze Móra Jokai i węgierskie przekłady Twaina i Dickensa. Mebli tu miał niewiele, na pobielanych ścianach wisiały tylko dwa obrazy: olejny, przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem, namalowany przez jego ojca, oraz reprodukcja w ramce – jedno ze studiów *pleinair* jeziora Balaton, pędzla Meszolyego. Ale tutaj czuł się u siebie, mógł zdjąć, czarną sutannę, odłożyć krucyfiks i być sobą, zwyczajnym Jozsefem Szabo, przysłanym jedenaście lat temu do tego małego miasteczka nad rzeką Tiszą, żeby pracować na niwie bożej, jak potrafi najlepiej.

Co dalej? – napisał w dzienniku i zgnębiony swoją bezradnością rzucił pióro na biurko. Czyż nie ma końca niedoli Węgier? Najpierw „czerwony” terror, teraz „biały” – bandy byłych oficerów austriacko-węgierskich mszczą się na komunistach, wykonują wyroki śmierci na każdym podejrzanym bodaj o luźne komunistyczne powiązania, na radykałach, liberałach, Żydach. – Zawsze Żydzi – pomyślał z ubolewaniem – kozły ofiarne. I już ten obłęd dotarł do naszego miasteczka...

Jedno tylko popołudnie i wieczór. Kilka potwornych godzin i już wszystko zmieniło się raz na zawsze. Twarz mu spochmurniała. Nie na zawsze, oczywiście że nie, naiwnością jest tak myśleć. Za parę miesięcy, kiedy osmalone szkielety wypalonych domów będą zrównane z ziemią, to odejdzie w niepamięć.

Nie dla niego.

Cztery dni temu on, ksiądz, sługa boży, stał z boku, czując się całkowicie bezradny, gdy powstający Madziarowie rozdierali miasteczko w imię czystej moralności chrześcijańskiej, zgniatali niewinnych jak bezbronne owady, rabowali, gwałcili i mordowali. A on nie zrobił nic, żeby ich powstrzymać, on tylko mówił sobie, że nic nie da się zrobić. A tak nie było. Tyle że odwaga go opuściła – to jego niewybaczalny grzech. Przecież zawsze coś jest do zrobienia w obliczu zła.

Ten ksiądz wcale nie wyglądał na katolika, ciemnowłosego czarnookiego, o szczerzej, okrągłej twarzy, z zakrzywionym nosem i pulchnymi, zmysłowymi ustami. Zdawał sobie sprawę, że naprawdę wygląda na Żyda i kto wie, czy cztery dni temu, gdyby nie jego sutanna, też nie zostałby zamordowany tylko z racji swojej powierzchowności.

Porzucone niemowlę to zupełnie inna sprawa – białe-złociste włoski i nadzwyczajne fiołkowo-

niebieskie oczy. Ledwie je podniósł z desek mostu, zobaczył błyszczącą na jego szyjce Gwiazdę Dawida i pojął. To dziecko na pewno jest ofiarą pogromu. Instynktownie ukrył gwiazdę przed *pandurem* i innymi, zabrał ją i szybko wsunął do kieszeni. Rzecz jasna, że w takim klimacie hysterii, kiedy niewinnych obarcza się winą niewielu działaczy bolszewickich, porzucone dziecko żydowskie spisano by na straty bez sekundy współczucia.

Co z tą maleńką zrobić teraz? Zastanawiał się bezustannie, od tamtego pierwszego wieczora, gdy z policjantem zanieśli niemowlę do doktora Rego.

– Niech ksiądz znajdzie dla niej jakiś dom, proszę księdza – powiedział *pandur*. – Jeżeli zaczniemy to załatwiać urzędowo, ksiądz wie, ona wyląduje w jakimś nieszczęsnym przytułku.

– Ale jej rodzice?

Policjant potrząsnął głową.

– Nie żyją albo są daleko stąd. I nie wrócą, może mi ksiądz wierzyć.

– Uważam, że powinniśmy czekać, co doktor orzeknie – powiedział ksiądz Jozsef.

– Może ona umrze?

– Modlę się, żeby nie, biedne niewiniątko.

Pandur wzruszył ramionami, myśląc ponuro o stosach biurokratycznych papierów, jakich wymagałby pogrzeb tego niemowlęcia.

– Porozmawiamy o tym później, proszę księdza – powiedział, podchodząc do drzwi – jeżeli przeżyje.

Ksiądz Jozsef przytaknął.

– Jeżeli przeżyje.

Przeżyła.

Orzeczenie doktora było jasne. Gdyby nie opieka psa, ta kruszyna na pewno by umarła, ale dzięki psiemu ciepłu przetrwała, naturalnie odwodniona i głodna, na co świetnym lekarstwem jest mleko. W parę dni później niemowlę leżało u księdza Jozsefa, otulone ciepłotką, w prowizorycznym łóżeczku – szufladzie wyłożonej kocem i prześcieradłem.

Zadowolona, grzeczna dziewczynka. Płakała tylko wtedy, gdy miała mokro albo czuła głód, i wyraźnie lubiła patrzeć w czarne oczy księdza, bawić się różańcem, który jej dał zamiast grzechotki.

Żydowskie dziecko niańczone przez proboszcza i bawiące się różańcem... Co za ironia – dumiał ksiądz Jozsef, po raz setny zadając sobie pytanie, czy to, co teraz rozważa, będzie grzeszne czy będzie w tych okolicznościach moralnie usprawiedliwione.

Poprzedniego dnia przyszło mu coś na myśl, ale skąd pewność, czy jest w tym błogosławieństwo boże, czy nieczny zamiar szatana? Rzeczywiście, mógł znaleźć dom dla tej maleńkiej. Rzeczywiście, znał młodą kobietę, która dałaby sobie odciać prawą rękę, gdyby taką cenę miała zapłacić za radość macierzyństwa, i dla której to piękne niemowlę byłoby darem prosto z nieba. Jego zamężna, mieszkająca w Budapeszcie kuzynka, Ilona Florian, od lat daremnie marzyła o dziecku. Ale oni oboje to katolicy, rozmyślał, a Ilona szczególnie pobożna. Czyż mógłbym zgodnie z sumieniem zaproponować im dziecko żydowskie?

Całymi godzinami w fotelu na biegunach, kołysząc się w tył i w przód, rozpatrywał wszystkie za i przeciw, a potem klęczał przed ołtarzem w kościele i modlił się, żeby Bóg to rozstrzygnął.

Nie potrafiłby powiedzieć, co ostatecznie wpłynęło na jego decyzję: boska wskazówka, prosta

logika czy samo dziecko, czy może połączenie tych trzech czynników. Ósmego dnia rano, niemowlę, gdy trzymał je na kolanach i podrzucał, gaworzyło wesoło, ale wyraźnie posmutniało, gdy zaczął z powagą mówić o swoim kłopotcie.

– Więc, *baba*, co to ma być? Jakiś zakład dobroczynny?

W aureoli blond kędziorków wpatrywało się w niego, usteczka jak pęk róży były zaciśnięte.

– Czy może to ma być Budapeszt, ciepły, kochający dom?

Uśmiechnęło się promiennie, ujmująco, tak jak uśmiechają się niemowlęta. Dołeczki miało w policzkach i isierki w tych niezwykłych oczach. Serce księdzu Jozsefowi stopniało, decyzja, na dobre Czy na złe, podjęta.

– Panno Przenajświętsza – wyszeptła Ilona Florian. Z rumieńcem na bladej zwykle twarzy przeżegnała się szybko. – Wiedziałam... jeszcze w nocy chyba wiedziałam! Miałam takie dziwne, przemożne przeczucie! – Oczy jej napełniły się łzami. – Czy rzeczywiście ofiarowujesz nam tę dziewczynkę, Jozsefie? – zapytała niepewnie. – Czy nikt inny jej nie chce?

Jozsef lekko dotknął jej ramienia.

– Możliwe, Ilono, że matka wróci po nią i naturalnie muszę się modlić, żeby wróciła. – Pokręcił głową. – Ale to mało prawdopodobne.

– Panno Przenajświętsza – powtórzyła w zadziwieniu.

Ksiądz się wzruszył, nigdy dotąd nie widział tak bezmiernej radości na niczyjej twarzy, nawet na twarzach młodych matek, które odwiedzał w swojej parafii. Ilona Florian, rozpromieniona, wyglądała teraz jak ładna młoda dziewczyna. A piękna przecież wcale nie była. Szatynka średniego wzrostu, miała połyskliwe, proste włosy, sarnie oczy świadczące o delikatności i inteligencji i szlachetnie zarysowane brwi. Ubierała się w rzeczy stare i niemodne, ale jej postawa, szczególna schludność i wdzięk sprawiały, że to, co mogłoby być przeciętnością, zmieniało się w styl. Dziesięć lat małżeństwa z Gaborem Florianem, przebijającym się na rynku i ostatnio coraz częściej wpadającym w złość fabrykantem wyrobów skórzanych, tak samo jak trzy poronienia i lata daremnych marzeń o dzieciach, wyźłobiło na twarzy Dony sporo cienkich zmarszczek, ale chociaż Gabor był człowiekiem trudnym i nietolerancyjnym, pozostawała dobrą żoną i ze swoją niezłomną wiarą w Boga i dzieła Jego wychodziła jak dotąd cała ze wszystkich burz, wielkich czy małych.

– Ilono – zapytał łagodnie Jozsef – czy bierzesz Gabora pod uwagę?

Ilona zarumieniła się jeszcze bardziej i bezwiednie zaciśnęła pięści.

– Gabor odniesie się do tego tak jak ja, Jozsefie, zapewniam cię. – Prawie nie rozpoznawała własnego głosu, wydawał się pełen nowej pewności siebie. – Kiedy mu to wytłumaczę, kiedy on zrozumie, że to dar Boga, będzie wiedział, że nie mamy wyboru, musimy przyjąć ją i kochać.

– Jednakże – powiedział Jozsef – nie możesz ostatecznie zdecydować, dopóki Gabor się nie zgodzi.

Ilona przytaknęła prawie machinalnie. Od dawna wiedziała, że nigdy nie donosi dziecka w łonie, a tu nagle stał się cud i teraz chciała tylko wbiec do sypialni, uklęknąć przed obrazem świętym i podziękować.

Po odjeździe Jozsefa przez całe długie popołudnie Ilona w dręczącym zawieszeniu czekała na powrót Gabora z pracy, modląc się, żeby interesy tego dnia poszły mu trochę lepiej niż zwykle. Gabor nie był złym mężem i jego przygnębienie przejawiało się raczej w grubiaństwie niż w

wybuchach wściekłości, nieraz jednak, drażliwy bez powodu, czepiał się wszystkiego, cokolwiek Ilona robiła czy mówiła: *Za dużo pytań, jak minął mu dzień! Za mało pytań! Za dużo papryki w gulyas! Za mało czosnku w tokany!* Bóg wysłuchał jej modlitwy. Gabor wrócił do domu w wylewnym nastroju, bo dostał pierwsze od wielu miesięcy okazałe zamówienie od Kaufmanna, właściciela największego sklepu z galanterią skórzaną przy Vaci Utca – zamówienie na dwieście szytych ręcznie portfeli ze świńskiej skóry.

– I ten klient powiedział, że wkrótce będą potrzebowali teczek – dodał Gabor, zacierając ręce.

Ilona uśmiechnęła się. Serdecznie pocałowała go w policzek.

– Jeżeli dalej tak pójdzie – mówił z ożywieniem – może nawet będę musiał znowu powiększyć personel. – Usiadł w fotelu w niedużym, skromnym, ale pedantycznie zadbanym salonie, gdzie przy zniszczonych krzesłach, stoliku i kanapie połyskiwały dostojnie fortepian Bliithnera i mahoniowy kredensik, wniesione w posagu przez Ilonę. – I jeszcze jedna dobra nowina – ciągnął, obcinając czubek cygara i zapalając je. – Krążą pogłoski, że tworzy się nowy rząd w Szeged.

– Jeszcze jeden – mruknęła.

– Ten podobno sankcjonują Francuzi i Anglicy. Można wierzyć, że wkrótce chaos się skończy.

– Tak, sporo jest pogłosek.

Gabor palił cygaro.

– Zapewniam cię, *edese*m, że coś się ruszyło. Jestem człowiekiem interesu, mam wycucie tych spraw. Budapeszt się budzi.

Ilona pogłaskała go po rękę.

– Cieszę się ze względu na ciebie, Gabor.

– Ciesz się ze względu na siebie także – powiedział wielkodusznie. – Lada dzień życie powinno stać się trochę łatwiejsze.

Gabor Florian, teraz trzydziestodwuletni, chociaż tylko o trzy lata starszy od żony, wyglądał na starszego od niej o dziesięć lat. Gdy się poznali w pierwszej dekadzie nowego stulecia, był dziarskim, przystojnym młodym oficerem huzarów, o łagodnych szarych oczach. Z przyznaną blond czupryną i jedwabistym wąsem. Czas okazał się niełaskawy. W jedenaście lat później Gabor garbił się, ładne włosy fatalnie mu się przerzedziły, odsłaniając połyskliwe ciemię, a oczy za okularami utraciły blask i łagodny wyraz.

Ale bardziej swym usposobieniem niż powierzchownością Florian sprawiał wrażenie człowieka w średnim wieku. Dorastał w kręgach mieszczaństwa i odkąd zaczął myśleć, czuł w żołądku ćmienie robaka zawiści. Zawsze zazdrościł ziemiaństwu – i nie była to przecież dająca się usprawiedliwić niechęć chłopów, tylko bezsilna złość człowieka patrzącego na niedostępną górę. Ponad wszystko w życiu Gabor chciał pieniędzy, które by mu dały pozycję i władzę. Zgodnie ze swoim planem życiowym zaczął dosyć dobrze: odpowiednio się ożenił. Ilona wniosła spory posag, co mu pozwoliło założyć przedsiębiorstwo. Ale kiedyś zatrudnił w swej budapeszteńskiej pracowni siedemnaście kobiet, a teraz musiał się ograniczyć do ośmiu, ledwie wiążąc koniec z końcem na pokrycie ich tygodniówek, swoich długów i utrzymanie domu przy ulicy Kalvaria w Budzie.

Gdy Ilona powiedziała o dziecku, dobry humor jej męża rozwiął się ze skrzętem dymu z cygara.

– Czyś ty zwariowała?! – warknął Gabor. – Po co nam, na litość boską, jakiś wyrzucony

bękart? Myślisz, że już do tego doszło... żebyśmy przygarniali znajdy?

Ale w dwie godziny później, po smakowitej kolacji z *porkolt*, jego ulubionym daniem, które spożył prawie w milczeniu, przyjrzał się żonie uważniej niż zwykle i zauważył w niej zmianę.

Pod jej zwykłą zgnębiałą, prawie służalczą ugodowością kipiało dziwne rozradowanie. W oczach miała błyski jak nigdy przedtem. Zapalił znów cygareto, napełnił sobie kieliszek *barackpalink* i nagle ujrzał trzy aspekty tej sprawy.

Po pierwsze: chociaż od dawna nie rozmawiali o tym, wiedział, jak bardzo Ilona wciąż jeszcze pragnie mieć dziecko, i brakowało mu tej zadowolonej, zmysłowej młodej żony, jaką była przed serią poronień.

Po drugie: musiał przyznać, że chociaż wprawdzie wolałby syna, ale córka, zwłaszcza gdyby okazała się ładna, to perspektywa zupełnie dla niego przyjemna.

I po trzecie: jeżeli on weźmie sierotę pod swój dach, w oczach wszystkich znajomych będzie to dowodzić jego zacności i na pewno przysporzy mu szacunku ze strony Kościoła. Ostatecznie, wiele z tych największych sklepów, do których chciałby dostarczać swoje wyroby, prowadzą katolicy... Może dodatkowa gęba do wykarmienia nie jest wygórowaną ceną za taki pomyślny obrót losu.

W dwa dni potem w parafii księdza Jozsefa Szabo ludzie wyłowili z rzeki zwłoki okrutnie pobitej i zgwałconej młodej kobiety, jasnowłosej, fiołkowo-niebieskookiej.

Ksiądz Jozsef poszedł do zburzonej małej dzielnicy żydowskiej, ale dowiedział się tylko najbardziej gołych, ponurych faktów. Rzeczywiście, wszystkich mężczyzn i chłopców zastrzelono, zatłuczono albo zakłuto nożami w czasie pogromu, większość kobiet i wiele dziewcząt pognano na skraj puszczy i tam gwałcono, a gdy stawiały opór zbyt zawzięcie, mordowano. Te, które ocalały, mizerne, osowiałe, milcząc, odbudowywały swoje życie i rozbite domy, nie chciały z nikim rozmawiać, a cóż dopiero z obcym w sutannie. Ksiądz Jozsef mógł tylko snuć domysły, co mogło się stać z rodzicami podrzuconego niemowlęcia i każdy dający się wyobrazić scenariusz przerażał go jeszcze bardziej niż poprzedni. Jedno było pewne: ta kobieta zostawiła swoje dziecko w jedynym miejscu, jakie wydawało jej się bezpieczne – przed kościołem. Jozsef Szabo poczuł się obdarzony uświęconym zaufaniem. I już wiedział, że tego zaufania nie zawiódł.

Gdy Jozsef zawiadomił, że wkrótce przyjedzie z dzieckiem, Ilona rzuciła się w wir przygotowań – pokój dziecienny musiał być gotowy na czas. Miała w domu pokój już do tego przeznaczony, smutny i zaniedbany od pięciu lat po trzeciej i ostatniej ciąży, która skończyła się w szóstym miesiącu. Zbyteczne, puste, białe drewniane łóżeczko i wszystkie powierzchnie w tym pokoju teraz nagle zaświeciły czystością po radosnym szorowaniu, kretonowe zasłony w ładny deseń tańczyły z jesiennym wiatrem niosącym przez okno otwarte na oścież nadzieję nowego życia.

Pościel do łóżeczka, butelki, mleko – tego Ilona potrzebowała natychmiast – i mnóstwo gazy, i ręczniki, pieluszki, kaftaniki. Wprost fruwała po sklepach w Budzie, zarumieniona, podniecona szaleniem, wydając pieniądze, które dodatkowo dał jej na to Gabor.

Zobaczyła to dziecko i pomyślała, że chyba nie dożyje chwili przytulenia go do piersi, bo serce jej eksploduje ze szczęścia i miłości.

Gdyby było brzydkie czy ułomne, na pewno pokochałaby je tak samo, bezgranicznie wdzięczna Bogu za ten dar, ale ono było wprost niewiarygodne – uroczy duszek o perłowej buzi i włoskach

złocistych jak babie lato.

Duszek, pod nerwowym, pełnym wahania dotknięciem, a potem wzięty na rękę, okazał się prawdziwą z krwi i kości ciepłą, krzepką, żywą istotką, niezaprzeczalnie ludzką.

Przed odjazdem Jozsef, siedząc z Iloną przy sosnowym stole w kuchni, bez słowa wyjął z kieszeni skórzany woreczek i położył pomiędzy nimi.

Ilona spojrzała: l

– Co to jest?

Rozciągnął woreczek i przechylił. Na stół wypadła Gwiazda Dawida. Ilona podniosła wzrok:

– Jozsefie?

– Ona miała to na szyjce, kiedy ją znaleźliśmy.

Zmarszczyła brwi.

– Przecież to żydowska gwiazda.

– Tak.

– Co to znaczy?

– A co może znaczyć, Ilono?

Omam się nie zachłysnęła.

– Ale niemożliwe, żeby ona... – zaczęła cicho – te włosy, te oczy...

– Nie wszyscy Żydzi mają włosy i oczy ciemne. – Jozsef uśmiechnął się. – I popatrz na mnie.

Wyglądam raczej na rabina niż na księdza.

Milczeli przez chwilę.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej, Jozsefie?

Patrząc jej w oczy, wyjaśnił:

– Dlatego, że w tych czasach porzucone żydowskie dziecko ma słabe szanse. Dlatego, że wiedziałem, jak ją pokochasz, kiedy ją zobaczysz. – Jego śniadą twarz przyciemnił rumieniec. – Dlatego, że jestem tchórzem.

Ilona wpatrywała się w gwiazdę. Serce jej biło bardzo wolno.

– Czy... rozważyłeś wszystko?

– Chyba tak.

– Więc zadałeś sobie pytanie, czy to w porządku wobec Boga narzucić żydowskiemu dziecku wyznanie rzymskokatolickie?

Jozsef bezradnie rozłożył ręce.

– Raz po raz je sobie zadawałem i odpowiedź była jedna: lepszego wyjścia nie ma. – Potrząsnął głową. – Chciałem wrzucić ten medalik do rzeki, odciąć ostatnie ogniwo jej prawdziwej tożsamości, ale to na pewno nie byłoby w porządku. Uznałem, że ty, skoro masz się stać jej matką, powinnaś wiedzieć, tylko obawiałem się, że to będzie tak, jakbym sam uwolnił się od ciężaru i obarczył nim ciebie.

– Miałaś rację – powiedziała Ilona machinalnie, poprzez natłok swoich myśli.

– Może kiedyś – ciągnął niezręcznie – kiedy Węgry już oprzytomnieją, wyczujesz, że nadszedł czas, by ona wiedziała. Głównie tym się kierowałem.

Ilona pogłaskała gwiazdę nerwowo.

– Ale Gabor nie powinien wiedzieć.

– Moim zdaniem, Ilono, powinien.

– Nie. Nie jest złym człowiekiem, Jozsefie, ale często mówi źle o Żydach... uważa, że wiele z naszych kłopotów mamy przez nich.

– Przepraszam cię. – Jozsef patrzył na kuzynkę zmartwiony.

– Za co? – uśmiechnęła się. – Za to, że przywiozłeś mi najwspanialszy dar w moim życiu?

– Należało powiedzieć ci całą prawdę.

– Powiedziałeś.

– Dopiero teraz. To było zatajenie.

– Bałeś się o nią.

– Nie dałem ci możliwości odrzucenia jej, zanim ją zobaczyłaś.

– Przecież bym nie odrzuciła!

– Mogłabyś.

– Nigdy – zapewniła już spokojnie. – Nigdy nie odrzuciłabym żadnego dziecka.

Dość długo siedzieli, milcząc, i wydawało się, że stopniowo wzburzenie ulatuje przez otwarte okno do małego ogródka za domem.

Jozsef schował gwiazdę do woreczka, wręczył woreczek Donie.

– Na lepsze albo gorsze – powiedział.

– Dziękuję. – Wzięła woreczek.

Odsunął się z krzesłem od stołu i wstał.

– Zdecydowałaś się ukryć to przed Gaborem?

– Tak.

– Ale jak będziesz się z tym czuła, Ilono?

Cień przemknął po jej twarzy.

– Musi być cena takiego daru. Dla mnie ceną będzie świadomość, że oszukuję męża.

– Wysoka cena – powiedział cicho, wiedząc, że ten grzech będzie ją bolał.

Znów się uśmiechnęła.

– Ale opłaci się, Jozsefie. Opłaci się nieskończenie.

Wrócili na górę do pokoju, który, już nie pusty, nie smutny, był teraz prawdziwym pokojem dziecka. Stanęli nad łóżeczkiem i patrzyli na niemowlę.

– Śpi – szepnęła Ilona.

– Jest słodką, grzeczną dziewczynką. – Oczy Jozsefa zwilgotniały. – Trzeba jej dać imię.

– Porozmawiam o tym z Gaborem.

– Oczywiście. – Jozsef pochylił się i delikatnie swoją dużą ręką pogłaskał kędziorki niemowlęcia.

– Będzie musiała mieć też urodziny. – Doktor ci mówił, Jozsefie, że ma mniej więcej pięć miesięcy, ale trzeba dla niej ustalić jakiś dzień do zapamiętania i świętowania.

– Właściwie dzisiaj jest dzień jej ponownych narodzin.

– Więc dzisiaj – zdecydowała Ilona z rzewnym uśmiechem. – Dwudziesty ósmy października rok tysiąc dziewięćset dziewiętnasty. – Niecierpliwie pięściami uderzyła się w boki. – Och, niechże Gabor wróci szybko... chcę, żeby to się zaczęło!

– Co, Ilono?

– Nasze rodzicielstwo.

Jozsef uśmiechnął się łagodnie.

– Już się zaczyna.

Dali jej na imię Krisztina.

Była jak błędny ogień, jak urojenie, a przecież dom swoich nowych rodziców, dom osób dorosłych, zmieniła w żywiołową plastyczną, nieustanną kotłownicę pieluszek, butelek z mlekiem, poplamionych śliniaków, rozrzuconych zabawek, łez i dołeczków w policzkach. Dla Dony i Gabora ta mała Krisztina, przejawiając coraz to nowe cechy, idiosynkrazje, nastroje – i reakcje, była zagadką, tajemniczą paczką w wielowarstwowym opakowaniu, wciąż innym. Florianowie w przeciwieństwie do rodziców mających punkty odniesienia – drzewo genealogiczne na przykład – nie mogli, gdy Krisztina gaworzyła czy marszczyła brewki, czy eksperymentowała z nowymi słowami, wykrzykiwać: „Ona ma uśmiech twojej matki!” albo: „Teraz wygląda zupełnie jak twoja ciocia Maria!”. Nie mogli też nic, jeśli chodzi o nią, przewidywać z całą pewnością, ale było mnóstwo nadziei i wielkich marzeń, które z biegiem miesięcy, a potem lat jej życia w tym sześciorodzinnym domu przy ulicy Kalvaria na ogół się spełniły.

Jeśli kiedykolwiek brakowało jej towarzystwa rodzeństwa, wynagradzała to przyjaźń z Miksą, miłym kundlem, przygarniętym przez Ilonę parę lat wcześniej. Od swego pierwszego dnia w Budapeszcie nadzwyczajnie się zaprzyjaźniła z tym szorstkowłosym, brunatnookim zwierzęciem. Odkąd zaczęła raczkować, Florianowie często zastawali ją wczesnym rankiem zwiniętą w kłębek obok Miksy na jego legowisku w komórce przy kuchni. Gdy zamykali drzwi pokoju dzieciennego, żeby nie dopuścić do tych niehigienicznych nocnych wizyt, Miksa po prostu zajmował pozycję pod drzwiami i nie chciał odejść.

– Ona widocznie pamięta tamtego psa, który ją chronił, kiedy była niemowlęciem – kiedyś wieczorem powiedziała Ilona.

– Bzdura – zbył to Gabor, którego znów Miksa zirytował. – Niemowlęta nie mają pamięci.

Ilona tylko się uśmiechnęła.

Serdeczne przyjaźnie z psami i innymi zwierzętami trwały przez całe dzieciństwo Krisztiny. Ona zawsze ratowała biedne stworzenia przed nieszczęściem, czy to był kociak, który się zapędził na drzewo, czy pisklę, które wypadło z gniazda, czy nawet zwykła mucha wplątana w pajęczynę. W czasie pobytu na wsi, gdy miała siedem lat, Gabor i Ilona popełnili błąd, zabierając ją do *tanya*, gdzie tuczono gęsi. Mała Krisztina przypadkowo zobaczyła, jak karmi się gęsi przemocą. Oburzona i zrozpaczona, szlochała potem niepokieszenie przez całą powrotną drogę do miasta i cały wieczór, a nazajutrz rozpoczęła głodówkę. Strajkowała tak, dopóki Ilona nie skusiła jej najpierw do jedzenia jarzyn i w końcu mięsa. Jeszcze przez długie miesiące trzeba było przed każdym posiłkiem jej tłumaczyć.

– Mamo, co to za mięso?

– Wieprzowina, *kis szivem*.

– To znaczy świnia, prawda?

– Tak, *kis szivem*.

– Kto zabił tę świnie?

– Jakiś rolnik.

– Dlaczego?

– Żeby ludzie mieli co jeść – odpowiadała Ilona cierpliwie. Krisztina przyglądała się aromatycznej *szekelygulyas* na talerzu.

– Bez tego ludzie by umierali, mamó?

– Owszem, kochanie, gdyby wszyscy rolnicy przestali zabijać zwierzęta, wkrótce ludzie niewiele by mieli do jedzenia.

– I wtedy by umierali.

– Chyba.

Krisztina wzięła w rękę widelec.

– Ale on uważał, żeby tej świni nie bolało, prawda? – Fiołkowymi oczami wprost przygważdżała matkę. – Nie tak, jak te gęsi.

– Nie tak, *szivem*, nie tak jak te gęsi.

Dwa dni po swoich jedenastych urodzinach Krisztina obudziła się jak zwykle o wpół do siódmej i czekała, żeby Miksa jak co dzień rano oparł się o łóżko przednimi łapami i polizał ją po twarzy.

– Miksa? – Usiadła nagle, tknięta złym przeczuciem. Zobaczyła psa leżącego na zwykłym miejscu u nóg łóżka.

Przypomniała sobie słowa mamy, że Miksa jest stary, któregoś dnia jego godzina wybije!

– Miksa? – powtórzyła zdławionym głosem.

Miksa się nie poruszył.

– Jest bardzo przybita – powiedziała Ilona mężowi w trzy dni później – ale nieugięta, nie chce mieć innego psa.

– Głupstwo. – Gabor pokręcił głową. – Nowy szczeniak szybko by ją pocieszył.

– Myślę, mój drogi, że na razie musimy uszanować jej życzenie – powiedziała Ilona. – Gdyby to było inne dziecko, może miałbyś rację, ale dla Kriszti ten pies był raczej bratem. Myślę, że powinniśmy poczekać, aż jej żaloba minie.

– Ale ja nie mogę patrzeć, jak ona cierpi – powiedział Gabor. Widok czerwonych oczu i smutnej buzi ukochanej córeczki rozdzierał mu serce.

Przez cały czas niemowlęstwa i wczesnego dzieciństwa Krisztiny Gabor odnosił się obojętnie do tej niecórki. Sprawiała, to fakt, niewiele kłopotu i uszczęśliwiała jego żonę, co z kolei jemu ułatwiało życie, ale nic poza tym. Dopiero gdy ukończyła dziewięć lat, zaczął się nią interesować, coraz bardziej urzeczony. Wydawała mu się małą kobietką, przyjazną istotą ludzką, materiałem na towarzyszkę, z którą można inteligentnie rozmawiać. Bardzo z niej dumny, nazywał ją księżniczką, właściwie stał się jej niewolnikiem. Prawie zapominając, że jest oszczędny, na Kriszti, swój nowy skarb, nie szczędził grosza i raz po raz przynosił jej prezenty, bardzo hojnie. To uwielbienie fortunnie zbiegło się z dobrą passą w interesach. Ostatnio przeniósł personel do większej pracowni na przedmieściu Pesztu i on, który dawniej utyskiwał, ilekroć Ilona prosiła go o pieniądze na pantofle czy sukienkę dla szybko rosnącej córki, teraz nawet sam prowadził je obie do sklepów i pomagał wybierać najładniejsze rzeczy. Smucił się, gdy z jakiegoś powodu Krisztina była smutna. Cieszył się, gdy była, zresztą przeważnie, zadowolona i wesoła.

Ilona codziennie dziękowała Bogu za ciepło swego małego domowego ogniska. Dotychczas nie przypuszczała, że Gabor potrafi tak kochać i chociaż jego namiętne przywiązanie do dziecka mogło

za sobą pociągnąć ignorowanie żony, gotowa była to tolerować, z taką radością patrzyła na zażyłość Gabora z Krisztiną.

W siedem miesięcy po śmierci Miksy, gdy Ilona i Krisztina chodziły po sklepach z konfekcją na ulicy Kigyo w Peszcie, jak gdyby znikąd przybiegł do nich przez jezdnię duży czarny pies, cały mokry i zabłocony, z czymś, może strzępami sitowia, w kudłach. Rzucił się na Krisztinę tak, że spadł jej beret z głowy i na blezerku zostały brudne ślady jego łap.

– Odejdź! – krzyknęła Ilona, wymachując torebką, żeby obronić córkę. – Waruj!

– Nie, mamó, nie! – zaprotestowała Krisztina. – Po prostu jest przyjazny. Popatrz.

Ilona opuściła rękę z torebką. To zwierzę z pewnością nie okazywało agresji. Oparto łapy na ramionach dziewczynki i zamaszycie, powitalnie, radośnie lizało ją po policzkach.

– Kriszti, powiedz „siad”. Natychmiast – poleciała Ilona, ale już łagodniej. – Brudne to... nie wiadomo, gdzie było.

– Nie „to”, mamó, on. I na pewno nie ma żadnych bakterii, jest tylko cały mokry. – Delikatnie uwolniła się od łap psa i wyciągnęła parę strzępów sitowia z jego przemoczonej czarnej sierści.

– Chyba był w rzece. – Poglaskała go. – Prawda, jaki piękny?

– Bardzo miły – przyznała Ilona. – Tylko czyj?

Spróbowały wypatrzeć właściciela wśród przechodniów, licznych, bo była pora obiadowa.

– Nie ma obroży – zauważyła Krisztina, oglądając psa uważniej. – Może się zgubił? – Spojrzała psu w piwne oczy. – Zgubiłeś się, kochanie?

Merdnął skwapliwie ogonem i polizał nogę Ilony.

– Co z nim zrobimy, mamusiu?

– Co zrobimy? Nic.

– Nie możemy go tak zostawić samego.

– Doskonale da sobie radę bez nas. – Ilona spojrzała na zegarek. – Kriszti, już jest po pierwszej i musimy coś zjeść, zanim otworzą sklepy po przerwie.

– Ale, mamó...

– Krisztino, nie możesz zbierać zabłąkanych psów. On się lepi od błota i może jest chory, a w każdym razie na pewno nie bezpieczny. – Wzięła córkę za rękę. – Chodź.

Stanowczo pociągnęła Krisztinę i poszły do Cafe Molnar, gdzie zajęły stolik przy oknie. W pięć minut potem Krisztina pisnęła.

– Mamó, patrz!

Pies siedział na chodniku za oknem.

– Czeka na nas!

– Odpoczywa.

– Wiesz, mamó, że czeka.

Ilona westchnęła.

– Niedługo mu się znudzi.

Godzinę potem, gdy wyszły z kawiarni, pies nadal tam był i powitał je zawrotnym merdaniem. Ilona stanowczo ciągnęła Krisztinę ze sklepu do sklepu, ale przed każdym pies czekał, utyłany błotem posąg cierpliwości.

– Wrócimy taksówką – powiedziała Ilona ze znużeniem. – No, już nóg nie czuję.

Krisztina patrzyła na psa.

– Co z nim zrobimy, mamó?

Ilona nerwowo przebierała palcami po rondzie kapelusza.

– Chyba to sprawa dla policjanta.

– Nie! Tylko go zamkną.

– On najwyraźniej komuś zginął, Kriszti. Ktoś gdzieś prawdopodobnie go szuka.

– Ktoś, kto nie bardzo się nadaje, żeby mieć psa, jeżeli go puszcza nawet bez obroży – powiedziała Krisztina potępiająco.

– To prawda – zgodziła się Ilona.

– Więc możemy?

– Co?

– Zabrać go do domu.

– Nie, nie możemy.

– Ale ty i tatuś ciągle mówicie, że powinnam znowu mieć psa.

– A ty mówisz, że żaden pies nie zastąpi Miksy.

– Już nie mówię, odkąd spotkałam Mojżesza.

– Kogo?

Krisztina przykucnęła, uściskała psa i wyciągnęła mu zielone źdźbło z sierści.

– Widzisz? Sitowie.

– Jak ona chce go nazwać?

– Mojżesz – powiedziała Ilona potulnie.

– Przecież to żydowskie imię.

– Ten pies nie jest żydowski, Gabor, to tylko nazwa.

– Błuznierstwo!

– Nie sądzę – perswadowała łagodnie. – Ostatecznie Kriszti to dziecko, a on miał w kudłach sitowie.

– Wpadł do Dunaju, nie do Nilu.

– Wiesz, jaką ona ma wyobraźnię.

Gabor złagodniał.

– Naprawdę chce tego psa?

– Widziałeś jej buzię... jest zadurzona.

Jak zawsze wobec pragnień córki, Gabor ustąpił.

– Dobrze – burknął. – Jeżeli weterynarz powie, że ten pies jest zdrowy, niech ona go ma, tylko niech trzyma go z daleka ode mnie.

Gabor lubił ponad wszystko pieścić Krisztinę, mocno ją przytulać i głaskać po cudownie miękkich włosach. Nie znał dotychczas żadnej takiej piękności, jaką Krisztina szybko się stawała. Twarzyczkę miała prawie skandynawską, nos prosty, usta zmysłowe, pulchne, oczy zdumiewająco fiołkowe, nogi jak cielak, na brąz opalone w lecie, maleńkie dziewczęce piersi. Urzeczony absolutną czystością tej dziewczynki, Gabor patrzył na nią z dumą i miłością, i jeszcze czymś, co było uczuciem bardziej nieokreślonym, a mniej godziwym. Nieraz gdy przytulał Krisztinę, chcąc nie chcąc fantazjował, marzyły mu się młode dziewczyny, które widywał w ciągu dnia pracy – ich

zuchwałę, promienne twarze, ponętne biusty i uwodzicielsko cienkie talie – a potem w poczuciu winy myślał o Ilonie, od tyłu lat nie mającej uroku świeżości.

Krisztina uwielbiała ojca, lubiła huścić się na jego kolanach i wdychać jego męski zapach, tak zupełnie inny niż perfumy matki.

Ale zjawiał się na stałe przy niej i Gaborze ten trzeci. Wystarczało, by ojciec jedną tylko ręką objął córkę, Mojżesz już się zbliżał. Ojciec ją przytulał, Mojżesz szczekał. Ojciec brał ją na kolana i podrzucał, Mojżesz warczał. Krisztina śmiała się, czule karciała psa i obejmowała Gabora jeszcze serdeczniej, psu na przekór.

Kiedyś po południu, gdy trzynastoletnia Krisztina wróciła ze szkoły, ojciec już był w domu, wyjątkowo wcześniej. Wbiegła do jego gabinetu i radośnie go uściskała. Gabor, zachwycony jak zawsze, wziął ją w objęcia i nagle jej ciepła jędrność i czysta urocza woń niezwykle go podnieciły. Te fantazje, na które często sobie pozwalał, te miłe, niewinne obrazy dziewczyn połączyły się gorsząco w jeden nieprzywołany, zakazany obraz Krisztiny nagiej i chętnej. I pomyślał to, co od dwunastu z górą lat spychał stanowczo w podświadomość. Wyraźnie teraz to sformułował.

Ona nie jest moim dzieckiem.

Nie widział, jak Mojżesz wchodzi do pokoju, prawie nie usłyszał cichego groźnego warknięcia.

Znienacka pies doskoczył i ugryzł Gabora w nogę. Ostre zęby zatopił w skarpetkę na kostce, aż chrupnęło i popłynęła krew. Gabor wrzasnął. Krisztina, nagle wypuszczona z objęć, wykrzyknęła:

– Tatusiu, co się stało?

Z twarzą purpurowo-brązową z bólu i wściekłości Gabor chwycił się za nogę oburącz i upadł.

– Ten bydlak mnie ugryzł – wyjąkał bez tchu. Ostrożnie podciągnął nogawkę spodni i obejrzał rozdartą, już ciemniejącą skórę. Rozwścieczony jeszcze bardziej, podniósł się chwiejnie i wziął z miedzianego kubelka przy piecu pogrzebacz.

– Tatusiu! Nie! – krzyknęła piskliwie Krisztina. – Nie rób mu krzywdy!

Machnął wściekle pogrzebaczem, a Mojżesz, zjeżony, zaczął szczekać.

– Mojżesz, przestań! – błagała psa Krisztina głosem drżącym ze strachu. – Tatusiu, proszę!

– Co tu się dzieje, na Boga? – w drzwiach stanęła Ilona, ocierając ręce o fartuch. – Gabor, co robisz, na litość boską? Odłóż to!

– Ten bydlak omal mi nie wygryzł kostki! – ryknął Gabor uzbrojony w pogrzebacz. – Dlaczego mam go nie zatłuc?

Córka stanęła mocno pomiędzy nim i Mojżeszem. Łzy wezbrane w oczach zaczęły już spływać jej po twarzy, ale wysuwała buntowniczo drżącą dolną wargę.

– Dlatego, że ja go kocham! – powiedziała z pasją.

– Przecież się wściekł! – ryczał Gabor. – Trzeba go zabić. Popatrz na moją nogę!

– *Jeszus Marya!* – jęknęła Ilona wstrząśnięta. – Gabor, musimy wezwać doktora.

– Pewnie, że musimy – burknął sarkastycznie. – I weterynarza też, żeby uspił tego bydlaka.

– Nie! – krzyknęła Krisztina. – On tego już nie zrobi! I nigdy nie był taki! – Przypadła do psa, który natychmiast zaczął merdać ogonem. – Och, mamu, błagam, nie daj skrzywdzić Mojżesza! Błagam! – Zaszlochła rozpaczliwie, ukrywając twarz w czarnych kudłach swego ulubieńca.

– Mogę umrzeć – poskarżył się Gabor. – Mogę umrzeć na tęzec!

– Na pewno na nic nie umrzesz, kochanie. – Ilona wzięła go pod rękę. – Chodź na górę. Położysz się, a ja zatelefonuję do doktora.

Krisztina przestała szlochać.

– Mamo, nie pozwolisz, żeby tatuś zabił Mojżesza? Prawda, mamo?

– Ja na twoim miejscu – powiedziała Ilona cicho – trzymałabym go na razie daleko od taty.

Gabor, już nie ciemnoczerwony z gniewu, tylko blady, popatrzył na Krisztinę spode łba.

– Jeżeli on kiedykolwiek mi się nawinie pod nogi, kopnę go – oświadczył. – I jeżeli kiedykolwiek znów bodaj wyszczerzy na mnie zęby, wyjdę, kupię pistolet i sam go zastrzelę.

Doktor zdezynfekował i opatrzył kostkę Gabora, zrobił mu zastrzyk i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Ilona usługiwała skwaszonemu mężowi, dyplomatycznie znosząc jego humory, przyniosła na tacy jego ulubione potrawy i tak mu dogadzała, że wkrótce się uspokoił i opamiętał. Krisztina zapewniała, że Mojżesza zostawia na dworze, kiedy idzie do szkoły, a kiedy wraca, pies nie odchodzi od jej boku. Zrywała w ogródku pęki kwiatów dla tatusia, aż zmiękł i ostatecznie jej wybaczył.

Mojżesz jednak bezspornie był na próbie po zawieszeniu wyroku. Krisztinę, dziecko z natury swobodne, krępował nawyk pilnowania, żeby pies nie wchodził ojcu w drogę, i serce jej zamierało, ilekroć Gabor spojrzał na jej najdroższego przyjaciela.

Chociaż starali się, jak mogli, uporać z tą sytuacją, pierwszy klin został wbity pomiędzy ojca i córkę.

Gdy Krisztina miała pięć lat, Gabor i Ilona zapisali ją do szkoły baletowej i zanim ukończyła dziesięć, już z takim zapalem, jaki wkładała w większość swych poczynań w życiu, godzinami w soboty i niedziele przed dużym lustrem w sypialni rodziców ćwiczyła *pas de chat*, arabski i piruety, czemu cierpliwie się przyglądał siedzący w pobliżu na dywanie najpierw Miksa, a potem Mojżesz.

Ale gdy miała dwanaście lat, nagle urosła, stając się smukłym, gibkim podlotkiem, wprost wystrzeliła w górę. Prawie każda dziewczynka cieszyłaby się niezmiernie, że ma takie cudownie długie nogi, dla niej to jednak było wielkim rozczarowaniem, bo w myśl bezlitosnej zasady zbyt wysoki wzrost przekreśla karierę przyszłej baletnicy.

Mogłaby doskonale uczyć się dalej tańca klasycznego, ale już bez tej przyszłości, którą sobie wymarzyła, zaczęła szukać nowej drogi do życiowej przygody i w swoje trzynaste urodziny znalazła ją. Taniec salonowy! – mniej wymaga wysiłku niż balet, swobody w nim o wiele więcej, a radości sprawia akurat tyle samo. I jeszcze coś ważnego ją pociągało – tańczy się z mężczyzną.

Do niedawna tak jak jej koleżanki uważała, że chłopcy są nieciekawi, głupsi niż dziewczynki i w ogóle z nimi raczej utrapienie. Ni stąd, ni zowąd jednak ci sami chłopcy jakoś zrobili się wyżsi, mieli ramiona szersze, mocno zarysowane podbródki, potrzebujące codziennego golenia, i ręce, o dziwo, sprawne. Suzanna Kerpel, najserdeczniejsza przyjaciółka Krisztiny, była już na dwóch randkach z Georgiem Molnarem, swoim dalekim kuzynem. Opowiadała, że za pierwszym i za drugim razem siedzieli przez półtorej godziny w Gesbeaud, pili *espresso*, jedli przepyszne *Rigo Jancsi* i on wcale jej nie nudził. Krisztina jeszcze nie spotkała chłopca, który by ją wprowadził w takie podniecenie, jak Georg Suzannę, ale spodziewała się, że to niedługo nastąpi.

Szkoła tańca towarzyskiego dawała takie możliwości. Chociaż na lekcjach tańczyły tylko dziewczęta, prowadząc na zmianę, pod koniec każdego miesiąca odbywał się wieczorek tańczący w hotelu Hungaria i zapraszano tam starannie wybranych przez dyrektorkę szkoły chłopców.

Szybko Krisztina opanowała podstawowe kroki walca, quicksteпа, fokstrota, polki i oczywiście czardasza – wspaniałego, romantycznego tańca narodowego. W miarę jak nabierała pewności siebie, jej silne stopy, wolne od okowów baletek, sunęły coraz lżej po wyfroterowanej posadzce, gdy ona cała – nogi, tułów, ręce, głowa, nawet włosy – kręcąc się i kołysząc ucieleśniała taneczność muzyki.

Na wieczorkach była ulubioną partnerką. W domu pod nieobecność rodziców nastawiała gramofon w salonie i przy Mojżeszu na straży tańczyła to, co lubiła tańczyć najbardziej: charlestona, blackbottoma. Wiedziała z magazynów pożyczanych od Suzanny, że te tańce, które w roku 1923 zaćmił nowy taniec zwany shimmy, są w Wiedniu, Berlinie i Paryżu niemodne. W Budapeszcie jednak w roku 1932 wydawały się jej i jej rówieśnicom cudownie bezczelne i wywoływały grymas dezaprobaty na twarzach nauczycielek.

Dwudziestego ósmego października 1933 roku, w jej czternaste urodziny Gabor i Ilona zabrali ją do hotelu Gellerta na uroczystą urodzinową kolację. Jedli faszerowaną kapustę z kwaśną śmietaną, balatoński *fogds*, nadziewane czekoladą *palacsintas* i pili szampana. Krisztina radośnie tańczyła z ojcem, a potem z dwoma chłopcami, którzy podeszli do ich stolika i zapytali, czy mogą mieć tę przyjemność.

Była prawie dziesiąta, gdy do stolika podszedł jeszcze ktoś i przedstawił się Gaborowi.

– *Vegtelenul orvendek, uram.* – Miłym głosem mówił po węgiersku książkowo – David Kaufmann z Berlina. O ile wiem, zna pan mojego ojca, Nathana Kaufmanna.

Gabor wstał i kordialnie podał mu rękę.

– Ależ oczywiście. Bardzo mi przyjemnie, *Herr Kaufmann*. Pozwoli pan, że go przedstawię mojej żonie i córce.

Krisztina rozpaczliwie usiłowała się nie gapić. Bo to gminne takie przypatrywanie się – gminne i świadczy o braku ogłady – ale kiedy raptem zjawia się najnajprzystojniejszy chłopiec, jakiego się w życiu widziało...

– To dla mnie zaszczyt – David Kaufmann uśmiechnął się do niej.

Był wysoki, smukły, miał połyskliwe, ciemnobrązowe włosy, modnie ostrzyżone na karku, i oczy błyszczące, elektrycznie niebieskie.

– Napije się pan z nami szampana, *Herr Kaufmann*? – Gabor wciąż jeszcze stał. Krisztina się zastanowiła, kim jest ten młody człowiek, że trzeba mu okazywać taką uprzejmość.

– Dziękuję, chętnie.

Kelner krążący w pobliżu przysunął dodatkowe krzesło i obaj usiedli.

Teraz łatwiej było Krisztynie przyjrzeć się ukradkiem Davidowi Kaufmannowi.

Ciemne, łukowate brwi, nos trochę zakrzywiony, stanowcza, prosta linia ust. Prawie bezwiednie wyprostowała ramiona, przyglądała włosy, które matka na tę uroczystość zaondulowała jej karbówkami.

– Ojciec *Herr Kaufmanna*, Krisztino – wyjaśnił Gabor po niemiecku przez szacunek dla gościa – jest jednym z moich najcenniejszych klientów.

– Znasz ten sklep – dodała Ilona – na Vaci Utca.

– No pewnie, mam. – Och, jak Suzanna będzie mi zazdrościć, wszystko jutro jej opowiem, pomyślała Krisztina.

– Kiedyś – mówił Gabor wylewnie – pojedziesz ze mną do Berlina, *dragam*. Tam na Kurfirstendamm swój sklep mają o wiele większy.

– Jak się miewa pana ojciec? – zapytała Ilona. – Ostatnio był tu latem.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

Gabor skinął na kelnera, żeby przyniósł jeszcze szampana.

– Pan teraz pracuje u ojca, *Herr Kaufmann*? – zapytał.

Młody człowiek przytaknął.

– W naszej dyrekcji od listopada. Ale proszę *uram*, mówić mi po imieniu; David.

– Więc przyjechałeś tu służbowo, Davidzie?

– Poniekąd. – Kaufmann szybko spojrzał na Krisztinę. Doznała wrażenia, że coś się kryje pod jego uśmiechem. Och, jest intrygujący, nie tylko przystojny! Nade wszystko zapragnęła zatańczyć z nim walca. To wprost niemożliwe tak siedzieć grzeczniutko z rękami na kolanach.

David Kaufmann czytał w jej myślach. Wstał.

– Państwo pozwolą, że zatańczę z ich córką? *Uram*?

– Oczywiście – odpowiedział Gabor i czule klepnął Krisztinę w ramię.

Orkiestra grała *S'Wonderful* Gershwin w rytmie quickstepa. Krisztina wyszła z Davidem Kaufmannem na parkiet. Zabrakło jej tchu, gdy on ją objął i przyciągnął do siebie. Tak znakomite

było uczucie, że jest w rękach świetnego partnera.

Po raz pierwszy rzeczywiście mogła dać się prowadzić w tańcu. Większość chłopców, z którymi tańczyła, i nawet ojciec – zwłaszcza ojciec – zbyt zajęci wykonywaniem kroków i staraniem, by jej nie deptać po nogach, tylko nadawali kierunek i to nie w takt. Kaufmann był urodzonym tancerzem – aż się wydawało, że kształt ciała nadaje mu melodia, nogami rządzi tempo. We dwoje, utrzymując symetrię prawie doskonałą, wznosili się lekko i opadali, nieomal szybowali nad parkietem, więc gdy quickstep się skończył, do oklaskiwania orkiestry dołączyły się brawa dla nich.

Przez tę krótką chwilę, zanim znów zabrzmiała muzyka, stali nieruchomo. On z uśmiechem patrzył w jej oczy.

– Nieźle – pochwalił.

Z wrażenia trudno jej było mówić.

– Pan... – urwała. – Pan tańczy bardzo dobrze – bąknęła.

– Dziękuję.

Zaczął się tango i wyraźnie zaznaczyła się między tańczącymi parami różnica. Jedni tańczyli powściągliwie, jak gdyby skrępowani, inni tak zamasyście, że chwilami niezgrabnie. A Krisztinę znów ogarnęło uniesienie, bo jej partner okazał talent isticie południowoamerykański, stonowany finezją. Tango skończyło się, prawie zanim się zaczęło.

– Musimy ćwiczyć. – David Kaufmann najwyraźniej nie miał zamiaru zejść z parkietu.

– Tak, doprawdy – wyszeptła Krisztina. Nie wiedziała, co chciał przez to powiedzieć, ale stanowczo już zgadzała się na wszystko, cokolwiek on mówi.

– Będę w Budapeszcie jeszcze tydzień. Możemy przez ten czas mieć co najmniej trzy wprawki. I przyjadę znów po dwóch tygodniach.

– Wprawki?

– Ćwiczenia. Próby.

Podniosła na niego wzrok. Nie rozumiała.

– Jak to próby?

Orkiestra zagrała romantycznego walca i znów cudownie było w jego ramionach. Sunęli po parkiecie i Krisztina czuła jego rękę na plecach, jej nogi, a zaraz całe ciało pod jego przewodem reagują na muzykę.

– Międzynarodowy konkurs tańca jest w Wiedniu za miesiąc – powiedział David Kaufmann. – Jeżeli popracujemy, moglibyśmy być gotowi.

Omal się nie potknęła. Po chwili parsknęła śmiechem.

– Nie połapałam się, że to żart.

Przestał tańczyć. Musiała spojrzeć w jego rozbłyśnięte oczy.

– Ja nie żartuję. Bynajmniej. – Nagle wziął ją za rękę i pociągnął z parkietu, ale nie z powrotem do stolika Florianów, tylko w przeciwną stronę.

– Dokąd idziemy?

– Na taras.

Było chłodno na tarasie, ale on oczywiście nie należał do zmarzluchów.

– Dobrze – powiedział. – O co pani chce mnie zapytać?

Zakręciło się jej w głowie.

– Nie wiem – wyszeptała. – O wszystko.

– Tańczy pani na medal, panno Krisztino. – Doskonale, miękko wymówił jej imię po węgiersku.

– Dziękuję.

– Ale trzeba ćwiczyć.

Stała bez ruchu, oszołomiona, oniemiała.

– Chce pani porządnie popracować, panno Krisztino?

Zamrugła.

– No, chce pani?

– Tak – powiedziała.

– To świetnie.

– Czy... czy pan już tańczył w konkursach? – odważyła się zapytać.

– W niejednym.

– I wygrał pan któryś?

Uśmiechnął się.

– Miałem niedobre partnerki.

– I teraz... – urwała onieśmielona.

– Teraz proszę, żeby pani została moją partnerką.

Zarumieniła się gwałtownie i zadrżała.

– No? – zapytał.

Nie mogła mówić, w głowie nadal jej się kręciło.

– Bo ja myślę, Krisztino – powiedział łagodniej – że dużo ćwicząc, mogliśmy coś osiągnąć na konkursach, może nawet mistrzostwo.

Mistrzostwo! Myśli jej pogalopowały. On zwariował! Ale co za wspaniałe marzenie! Jacy dumni ze mnie byliby rodzice, tatuś! Szczególnie tatuś! I wciąż bym tańczyła!... No, prawie wciąż, bo chyba musiałabym dalej chodzić do szkoły... I te podróże! I to z Davidem Kaufmannem!

Jeszcze jakaś para wyszła na taras, zostawiając drzwi otwarte. Orkiestra w sali grała *Oh, Lady Be Good*, rytm fokstrota przeniknął nocne powietrze.

Już bez słowa David Kaufmann znów wziął Krisztinę w objęcia i poprowadził w tańcu pod gwiazdzistym niebem. Serce jej biło szybko, tętna wtórowały muzyce. Władza jego mocnych dłoni i ciepło szczupłego ciała tak blisko...

Gabor się denerwował.

Gdy Krisztina z Davidem Kaufmannem wprost przyfrunęła z powrotem do stolika i rozpromieniona obwieściła swoją wspaniałą nowinę, szybko zakończył uroczystość, nie dając się wciągnąć w rozmowę na ten temat. Kaufmannowi powiedział dobranoc uprzejmie, ale chłodno.

Teraz, o północy w sypialni, stanął przed żoną i wykrzyknął z twarzą purpurową z oburzenia:

– Co on sobie myśli, do diabła!? Prosi, żeby nasza córka brykała po całej Europie jak jakaś fordanserka!

– Jestem pewna, że on uważa tę prośbę za komplement – powiedziała pobłaźliwie Ilona.

– Komplement, akurat! Cholerny Żydziak! Jak on śmiał tak nas obrazić!

Ilona się zaniepokoiła.

– To nie było zamierzone jako obraza, Gabor. – Próbowała – się uśmiechnąć. – Jest bardzo sympatyczny i musisz przyznać, że pięknie tańczyli. Nawet mieli publiczność.

– Publiczność! – wybuchnął Gabor. – Jeszcze zaproponuj, żeby została aktorką.

– To zupełnie co innego – łagodziła. – Tańce salonowe to wytworna, pełna wdzięku rozrywka.

– Ten facet chce z nią tańczyć na konkursach, Ilono, a nie na wieczorkach!

– Dlatego, że widzi, jaka jest zdolna. Kriszti kocha taniec, wiesz przecież. – Po chwili dodała: – W tych konkursach, Gabor, bierze udział europejska śmietanka towarzyska.

Nasrożył się.

– Skąd aż tyle ci o tym wiadomo?

– Kriszti pokazała mi niemiecki magazyn...

– Ona czyta takie brukowce?

– Oczywiście że nie. To szanujący się magazyn „Der Tanz”. Uczestnicy pochodzą z różnych sfer... lekarze, adwokaci, nawet arystokracja – dokończyła spokojnie.

Gabor podszedł sztywno do okna. Jeszcze w smokingu, gniewnym szarpnięciem zdjął czarny krawat. Rzeczywiście, był rozstrojony – musiał odmówić swojej córce, nie cierpiał jej odmawiać, ale tym razem musiał.

– On chce, żeby ona z nim jeździła! To nieprzyzwoite!

Ilona, siedząc na łóżku, wygładzała fałdy szyfonowej spódnicy.

– Przecież by mieli przyzwoitkę.

– Kogo?

– Powiedzmy, że ja bym im towarzyszyła. – Odczekała chwilę. – Uważam, że to chłopiec bardzo na miejscu i jest synem twojego najważniejszego klienta.

– *Jeszus Maria!* Nie przypominaj mi! – Gabor rzucił marynarkę na krzesło. – Mało, że muszę ze względu na interesy bić czołem przed tymi Żydami, czy w dodatku mam dać któremuś z nich moją córkę?

– Przecież byś jej nie dał – uspokajała go Ilona. – Gdybyś się zgodził, tylko byś jej umożliwił to, co ona lubi najbardziej – powiedziała mi, że nigdy nie tańczyła z lepszym partnerem.

Powietrze w sypialni aż zgęstniało od tłamszonej frustracji Gabora.

– Adolf Hitler mądrzej to widzi – burknął Gabor, zawiązując na sobie pasek szlafroka. – Żydzi są przyczyną wszystkich zaburzeń na świecie.

Ilona starannie powiesiła suknię w szafie. Miała gęsią skórę, jak zawsze, gdy mąż wyrażał swoje antysemickie poglądy. I też jak zawsze pomyślała o małej Gwieździe Dawida w skórzanym woreczku, ukrytej wśród jej osobistych rzeczy na dnie szuflady bieliźniarki. Wstrząsnął ją dreszcz.

W łóżku Gabor leżał milczący, rozgniewany, ugodzony w dwa najbardziej czułe punkty: chęć przychylenia nieba Krisztynie i ambicję. Od lat szukał sposobów, żeby dotrzeć do Nathana Kaufmanna na płaszczyźnie towarzyskiej i tym samym ułatwić sobie porozumiewanie się z tym klientem, ale Nathan Kaufmann był irytująco pełen rezerwy. Teraz bezsprzecznie nadarza się sposobność – można by wystosować ze wszech miar uzasadnione zaproszenie do Kaufmannów, może nawet zaproponować spotkanie w Wiedniu, żeby razem oglądać wyczyny swoich dzieci na tym idiotycznym konkursie...

Dreńczyła go nadkwasota. Czy na tym świecie nie ma sprawiedliwości? Kanclerz Hitler poczynił znamienne postępy w rozprawianiu się z niemieckimi Żydami, rzeczywiście dał swoim oddziałom

szturmowym zęby do Chapmania tych Żydów. A jednak pomimo to, pomimo nowych ustaw o Aryjczykach, niejaki Gabor Florian nadal musi zginać kolano przed Kaufmannem.

Chrząknął i odwrócił się w łóżku na bok.

– Gabor? – cichy głos Ilony wdarł się w jego nieprzyjemne myśli.

– No?

– Co powiemy Krisztynie?

Potał dłoń o pierś.

– Może coś wymijającego?

– Chyba nie. Jej tak bardzo na tym zależy. Widziałam w jej oczach.

Beknął.

– Cholerny Kaufmann!

Dotknęła jego ramienia.

– Gabor, musimy zdecydować.

Nasrożony zgasił lampkę na swojej szafce nocnej.

– Powiedz jej, że się zgadzam.

Dla Krisztiny koniec roku 1933 i pierwsze miesiące roku 1934 były promiennym kalejdoskopem czarownych kolorów i radości. Ona, podlotek, gdy życie jej koleżanek z konieczności ograniczało się do nudnej pracy szkolnej i tradycyjnych węgierskich zebrań towarzyskich, prawie co tydzień z młodym człowiekiem, którego coraz bardziej idealizowała, tańczyła walca to tu, to tam w Europie, jak jej się wydawało, rozmigotanej szalonym podnieceniem.

Gdy David powiedział jej, że nowe ustawy w Niemczech nie pozwalają mu, wyłącznie z powodu jego rasy, uczestniczyć w żadnym z konkursów, jakie odbywają się w jego kraju, była przerażona, ale David, niczym się nieprzejmujący, serdeczny David, usiłował ją uspokoić, że to tylko chwilowy kłopot.

– Oczywiście, tak uważa mój ojciec – dodał z lekkim grymasem.

– Ty nie?

David potrząsnął głową.

– Właściwie nie. Ojciec mówi, że my jesteśmy zasymilowani. I że Niemcy to naród zbyt kulturalny, żeby tolerować przedłużający się atak na rasę, która wniosła tak duży wkład w niemiecką naukę, sztukę i przemysł.

– Na pewno ma rację.

David wzruszył ramionami.

– Możliwe. Tymczasem naszym aktorom i muzykom nie wolno występować, naszym nauczycielom nie wolno uczyć i ja już nie jestem mile widziany na parkiecie, chociaż żadne ustawy nie zabraniają mi reprezentować Niemiec za granicą.

Krisztina się zastanowiła.

– Może gdybyś nie zgodził się reprezentować, oni by zmienili zdanie?

David uśmiechnął się krzywo.

– Niewiele by ich to obchodziło, Kriszti, a poza tym ja chcę tańczyć.

Nadal była oburzona.

– Gdyby mój kraj próbował mnie potraktować w taki sposób – wybuchnęła dziecinnie – ja bym się na to nie zgodziła!

– Niemcy to nadal moja ojczyzna, pomimo Hitlera – powiedział David. – Jeżeli się jej wyrzeknę, to w jakiś sposób hitlerowcy wygrają. – Delikatnie dał jej prztyczka w podbródek. – A co do zgody na to, *Liebling*, możesz mi wierzyć, nie ma wyboru.

David zmienił jej życie i zmienił również ją. W upojeniu zwierzała się Suzannie, że czuje się jak zaczarowany motyl, bujający z jednej wspaniałej łąki na drugą. Naturalnie, to nie były tylko promienne blaski, była też bardzo ciężka praca. Gdy ćwiczyli razem, David wymagał od niej tyle, że pot ją oblewał i każdy jej miesiąc błagał o chwilę odpoczynku. Ale jeśli czasem rzeczywiście się sprzeciwiała takiej fizycznej męce, wszystko jej wynagradzały same konkursy – wspaniałe, pełne blasku, żywe popołudnia i wieczory, gdy otaczały ich dziesiątki pokrewnych dusz, wirujących, sunących po wy – froterowanych parkietach w coraz to innym miejscu w takt melodii, jakie ją rozświetlały, gdy setki oczu śledziły każdy jej ruch.

Co piątek przed sobotnim konkursem Ilona pomagała Krisztynie się pakować, przedtem sprawdzała każdy szew jej trzech sukienek do tańca z tiulu i szyfonu i pedantycznie je prasowała,

choć wiedziała, że będzie musiała prasować jeszcze raz od początku, gdy już przyjadą na miejsce.

A te miejsca! Od listopada 1933 roku do marca roku 1934 Krisztina i David, w towarzystwie Dony, która nigdy dotąd nie bawiła się tak dobrze, wirowali w Europie – z Wiednia, Pragi, Grazu i Marienbadu do St. – Moritz i Davos, i dalej do Karlsbadu i do EvianlesBains na francuski konkurs międzynarodowy i znów do Szwajcarii, do Adelboden, aż nastąpił moment kulminacyjny na mistrzostwach świata w Paryżu w pierwszych dniach marca.

Zostali zaliczeni do kategorii B – klasy średniej, nie mogli więc zdobyć żadnych oficjalnych tytułów, ale tańczyli z werwą i ambicją. Potem siedzieli razem z Iloną i oglądali popisy *Sonderklasse*, pilnie studiując każdy krok, każdy skręt i obrót w tej klasie mistrzów, którzy teraz wszyscy bez wyjątku tańczyli w stylu tak zwanym angielskim.

– Na przyszedł sezon – David przyrzekł w Paryżu, gdy dostali pierwszą nagrodę w swojej kategorii – przejdziemy do klasy A.

Oczy Krisztiny roziskrzyły się.

– A rok potem do *Sonderklasse*!

Jednak na konkursie szwajcarskim w hotelu Baur au Lac w Zurychu w kwietniu tamtego roku ich marzenia i aspiracje się rozwiały.

Odtanńczyli pierwszą rundę – walca angielskiego, fokstrota i quickstepa – i właśnie zziązani wrócili do swojego stolika, gdy stanął przy nich przewodniczący Niemieckiego Stowarzyszenia Tańca Salonowego, Otto Kranzler.

– Na jedno słówko poproszę, *Herr Kaufmann* – powiedział Kranzler, grzecznie kłaniając się Ilonie i Krisztynie.

David wstał i podsunął mu wolne krzesło.

– Nie zechce pan się przysiąść, *Herr Kranzler*? Może kieliszek Selt? – Wskazał ich szklanki. – My w czasie konkursów wolimy wodę mineralną.

Kranzler potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję. – Usiadł. – Ja tylko na chwileczkę.

– Słucham. – David, siadając z powrotem, otarł spocone czoło.

Kranzler, białowłosy, drobny człowieczek, kiedyś tancerz, był wyraźnie zakłopotany.

– To nieprzyjemna sprawa dla mnie, *Herr Kaufmann*. – Umilkł.

– Proszę, o co chodzi?

Kranzler odchrząknął.

– Zwrócono Stowarzyszeniu uwagę, że pan nie jest Aryjczykiem.

David, Krisztina i Ilona zdętwieli.

– Zgadza się – powiedział David.

– Niestety – ciągnął Kranzler – jak się okazuje, nie możemy – pozwalać, żeby nieAryjczyk występował w reprezentacji Niemiec.

Nastąpiła pełna osłupienia cisza.

– Pan mówi, *Herr Kranzler* – zapytał David powoli – że ja nie mogę tańczyć w reprezentacji mojego kraju, bo jestem Żydem?

Kranzler patrzył wyblakłymi oczami gdzieś daleko.

– To godne wielkiego ubolewania, *Herr Kaufmann*, ale niestety tak jest.

– Przecież myśmy już zaczęli! – wtrącała się Krisztina rozżalona. – Dlaczego pan nam nie powiedział?

– Przeoczenie, *gnadiges Fraulein*, jak najbardziej niefortunne, przyznaję.

– A jeżeli dalej będę występować? – zapytał David niezupełnie pewnie. – Co wtedy?

– Stanowczo bym odradzał. – Kranzler zniżył głos. – Władze nie miałyby wyboru, czekałoby pana już na granicy niemieckiej aresztowanie. – Uspokajająco lekko podniósł dłonie. – Powtarzam, według mnie to godne wielkiego ubolewania, ale takie są fakty. – Spojrzał na Krisztinę i twarz mu złagodniała. – Czy mogę coś zasugerować, *Herr Kaufmann*?

– Proszę – odpowiedział David krótko.

– *Herr Doktorowi Goebbelsowi*, jak panu oczywiście wiadomo, bardzo zależy na rozkwicie sztuk pięknych w Reichu. – Dla efektu umilkł na chwilę. – Zostałem upoważniony, żeby panu powiedzieć, że jeśli pan może wykazać się jakimś krewnym pochodzenia nieżydowskiego... aryjskim dziadkiem czy babką na przykład, chyba moglibyśmy na razie przymknąć oczy.

David był blady, ale odpowiedział dobitnie:

– Moi dziadkowie i pradiadkowie z obu stron byli, *Herr Kranzler*, Żydami czystej krwi.

Atmosfera między nimi dwoma zlodowaciała jeszcze bardziej.

– Szkoda – Kranzler zerknął na Krisztinę. – W takim razie, pozostaje panu tylko możliwość występowania w barwach kraju pana uroczej partnerki.

Krisztina chwyciła się poręczy fotelika, oczy wlepiała w Davida. Straszliwie zapragnęła rzucić mu się na szyję i trzymać go, dopóki ten zastygły wyraz wstrząsu na jego twarzy nie stopnieje, i właśnie w tym momencie zdała sobie sprawę, że David Kaufmann jest dla niej kimś nieskończenie ważnym, ważniejszym niż przyjaciel czy nawet bohater pensjonarskich marzeń. To było zupełnie nowe, nieznanne uczucie, intuicyjne, prorocze uczucie, raczej kobiety niż dziecka.

Policzki ją paliły. Oderwała od niego wzrok i spojrzała na matkę, ale Ilona nie patrzyła na nią. Z twarzą spopielalą siedziała nieruchomo i oczy miała szkliste. Wyrazu takiej zgrozy Krisztina nigdy dotąd nie widziała. Drżąc, spojrzała znów na Davida.

– A więc, *Herr Kaufmann* – ponaglił Kranzler – jaka jest pana decyzja?

– Potrzebuję kilku minut, żeby naradzić się z moją partnerką – odpowiedział David sucho.

– Ma pan dziesięć minut. Zaraz zaczyna się druga runda, muszę mieć odpowiedź przedtem.

Kranzler wstał, lekko uklonił się Ilonie i Krisztynie i odszedł, kłaniając się po drodze uczestnikom konkursu.

David się nie poruszył.

– A więc... – powiedział ochryple.

– Czy rzeczywiście mogą nam to zrobić? – zapytała Krisztina.

Sięgnął po jej rękę.

– Mnie mogą, *Liebling*, najwyraźniej mogą.

– Mamo? Co ty na to? Czy oni mają prawo potraktować nas tak haniebnie?

Ilona siedziała napięta jak cięciwa.

– Uważają, że mogą traktować Davida, jak chcą.

– Ale to ciebie nie szokuje?

– Owszem, *dragam* – odpowiedziała Ilona spokojnie – szokuje.

David wycofał rękę.

– Twoja mama tak jak ja aż za dobrze zdaje sobie sprawę z sytuacji.

Krisztina się zdumiała.

– Nie powiesz mi, że się tego spodziewałeś?

– Oczywiście że nie. – David wciąż jeszcze był blady. – To ostatnia rzecz, jaką mógłbym sobie wyobrazić, przynajmniej w takiej chwili... – Urwał, zapatrzył się w dal.

– David! – zaniepokoiła się.

– Zostaw go, kochanie – szepnęła Ilona.

– Ale mamy tylko pięć minut, mamo. Co odpowiemy?

David siedział milczący i daleki. Orkiestra zaczęła grać popularnego quickstepa, parkiet zapełniła publiczność.

Ilona przypomniała sobie tamten dzień, prawie przed piętnastoma laty, gdy z kuzynem Jozsefem w kuchni rozmawiała o dziecku. Świat wtedy był obłądny, pomyślała, a teraz chyba znów zaczyna się staczać w coś strasznego. Zadrzała, czekając, żeby David się wypowiedział.

– Co ty na to, Kriszti? – zapytał wreszcie.

– Ja? – przeraziła się Krisztina.

– Przecież musisz wiedzieć, co myślę o propozycjach Kranzlera.

– O tym, żebyśmy tańczyli dla Węgier?

– Między innymi.

Wpatrywała się w niego zdezorientowana. Nigdy dotąd nie była w takiej rozterce – chciała być lojalna i chciała tańczyć w konkursie. Widziała jego wściekłość, czuła jego ból, wiedziała, że jeżeli się przerejestrują do reprezentacji Węgier, on to uzna za zwycięstwo hitlerowców. A jednak tak bardzo, tak bardzo, aż chora z poczucia winy, pragnęła tańczyć.

– Nie jestem pewna – powiedziała żałośnie. Po chwili nabrała tchu: – Zrobię wszystko, co ty zdecydujesz.

David wysunął podbródek.

– Jeżeli nie dadzą mi tańczyć dla Niemiec, nie będę tańczył wcale.

Spuściła wzrok na swoje ręce.

– Dobrze – wyszeptała.

Świadom, że zadał jej cios, pochylił się ku niej.

– Rozumiesz, Kriszti? – zapytał. – Naprawdę?

– Oczywiście. – Usiłowała się nie rozpląkać. – Gdybyś tańczył dla Węgier, to by się wydawało, że wyrzucili cię z twojego kraju.

– Nie mogę tak im się poddać, *Liebling*.

– Wiem.

Wstał.

– Pójdę poszukać Kranzlera. – Zniknął w tłumie.

Ilona milczała, Krisztina przygryzała dolną wargę, wstydząc się swego wielkiego, gorzkiego rozczarowania. Już nie mogę tańczyć. To tak, jakby mi odcięto prawą rękę! To nie do zniesienia! I co gorsze – jeszcze gorsze – przypuszczała, że jeżeli jej i Davidowi nie będzie wolno tańczyć ze sobą, ona już nigdy go nie zobaczy!

Wrócił jeszcze bledszy. Ilona wstała i podsunęła mu krzesło.

– Davidzie, mój drogi – powiedziała dobitnie – za twoim pozwoleniem chciałabym zamówić

butelkę szampana.

– Dobry pomysł. – David usiadł.

Krisztina wybałuszyła oczy. Chyba oni oboje zwariowali.

– Nie wiem, co mamy oblewać – powiedziała zgorszona.

Ilona poklepała ją po ręce.

– Coś bardzo ważnego, Kriszti. – Serdecznie spojrzała na Davida. – Szacunek dla samego siebie.

Z ustami rozedrganymi Krisztina wzięła swoją małą balową torebkę i wstała chwiejnie na uginających się nogach.

– Kriszti? Źle się czujesz? – zapytał David.

Zdobyła się na słaby uśmiech.

– Tak.

Unikając wzroku matki, uciekła od stolika, od tego tłumu i muzyki. W holu oparła się o ścianę, bo w głowie jej zaszumiało ze zdenerwowania. Toalety były po drugiej stronie głównego holu za oazą migotliwych gablot, w których eksponowano zegarki i zegary-antyki, i kuszące fatałaszkę, *haute couture*. Odetchnęła głęboko i ruszyła do toalety dla pań, ale nagle zmieniła kierunek. Świeże powietrze chyba lepsze niż prawdopodobne lustro. Szybko zбочzyła do frontowych drzwi. Z szelestem falbaniastej spódnicy minęła odźwiernego.

Dzień był niezwykle ciepły jak na kwiecień, teraz jednak pod wieczór zrobiło się chłodniej, tak że nawet jej zboląlemu sercu sprawiał trochę przyjemności widok ogrodu hotelowego z ładnym trawnikiem, kwitnącymi drzewami i rabatami tulipanów w powodzi karminu, żółci i bieli. Ostrożnie ruszyła przez podjazd, pamiętając o swoich jasnych, jedwabnych pantofelkach balowych. Może dźwięczne ptasie trele i daleki kołysankowy szum samochodów i tramwajów pomogłyby jej się uspokoić, ale rozżalenie nieustępliwie dławilo w gardle.

Popatrzyła, jak samotny kos dziobie robaka, wyciągnęła rękę, żeby dotknąć płatków przepysznego tulipana, poczuła płynącą po prawym policzku łzę.

– *Florian kisasszonyt?*

Odwróciła się zaskoczona.

– *Igen?*

O kilka kroków od niej stał uśmiechnięty młody człowiek w białej muszce, we fraku, z białym goździkiem w butonierce.

– I, niestety – powiedział po niemiecku z obcym akcentem – to już mniej więcej cała moja znajomość pani języka. – Znow uśmiechnął się szeroko. – Ale wszyscy Węgrzy mówią po niemiecku, prawda?

Pomimo zmartwienia coś w niej stanęło na baczność. Wiedząc, że są w ogrodzie sami, cofnęła się o dwa kroki, otarta łzę.

– Czy my się znamy? – zapytała. Wydawał się znajomy.

– Nie – odpowiedział rozbrajająco.

– Więc pan więcej wie o mnie niż ja o panu.

Przyglądała mu się zaciekawiona. Dziwnie nasuwał porównanie z wężem, skręconym, gotowym uderzyć, a przecież stał niedbale, trochę nonszalancko, głowę przechylał prawie zalotnie.

Wyrażnie się z nią przekomarzając, obrócił się nagle na pięcie tak, że zobaczyła przypięty do

jego fraka numer trzydzieści dwa.

– Pan tańczy w konkursie – powiedziała głupio.

– Tak.

Spróbowała jeszcze usilniej przypomnieć go sobie. Znany na pewno i szalenie przystojny. Miał wąskie, złocisto-piwnie oczy, spojrzenie dosyć sardoniczne, twarz, poza tym, że długa cienka blizna przekreślała mu prawy policzek, właściwie doskonałą; kości policzkowe osadzone wysoko, nos długi i prosty z rozdętymi nozdrzami. Włosy miał blond, gęste, falujące. Zniecierpliwiła się.

– Kim pan jest?

Stuknął obcasami.

– Laurent de Trouvere *a votre service, mademoiselle*.

Zamrugła. Wiedziała już. Oczywiście! *Sonderklasse!* De Trouvere – jeden z czołowych tancerzy w klasie mistrzów, jeden z tych, których taniec obserwowała z daleka z podziwem i skupieniem, zawsze z daleka. Zawsze od ramion w dół. Nic dziwnego, że teraz z bliska go nie rozpoznała! Szybko zestawiała szczegóły. De Trouvere, francuski arystokrata, dwa razy wicemistrzostwo Europy, partner Alice Gebhard.

– Powinnam była wiedzieć – powiedziała, patrząc na niego już z szacunkiem.

– Nie było powodu – pośpieszył skromnie ją zapewnić.

– Ależ tak, często, *monsieur*, patrzyłam na pana.

– A ja na panią – powiedział. – Dobrze pani tańczy.

– Widział pan nas?

– Wiele razy.

Zaczerwieniła się. Żałowała, że nie ma przy niej Davida.

De Trouvere nie spuszczał z niej wzroku.

– Wiem – rzekł powoli – o waszych kłopotach.

– O kłopotach? – powtórzyła przerażona.

– Tych dzisiejszych, o wykluczeniu pani partnera.

Szeroko otworzyła oczy.

– Skąd pan wie?

Z drgnieniem maleńkiego mięśnia pod lewym okiem odpowiedział rzeczowo.

– *Herr Kaufmann* nie jest pierwszym niemieckim zawodnikiem, którego to dotyczy, ani, przypuszczam, nie będzie ostatnim.

Krisztina znów się rozgniewała.

– To potworne, nie uważa pan?

– Bardzo niefortunne, zgadzam się.

– Raczej za słabe określenie – powiedziała cierpko.

– O ile wiem, zaproponowano wam wyjście.

Krisztina uniosła podbródek.

– Nie takie, które uznalibyśmy za możliwe do przyjęcia.

– Przykre – powiedział de Trouvere niefrasobliwie. – Ale chyba nie tak straszna katastrofa dla pani, *mademoiselle* Florian.

– Co pan? – wykrzyknęła zaskoczona. – Ja uważam, że to klęska jednakowa dla nas obojga.

– Dla pani partnera *bien sur* – odparował Francuz – ale pani ma teraz przynajmniej swobodę

dobrania sobie kogoś innego.

– Nie chcę nikogo innego!

– Może pani nie chce?

– Oczywiście.

Wykrzywił usta.

– Powiedziałbym, że nie, jeżeli chce pani dalej tańczyć na konkursach.

Rozżalenie Krisztiny wezbrało na nowo. Jak śmie ten człowiek – ten obcy – przypominać jej o tym okropnym, druzgoczącym nieszczęściu! Skubnęła gniewnie swoją tiulową spódnicę, gotowa odwrócić się i odejść.

– Proszę, *mademoiselle*, niech się pani nie wścieka. – De Trouvere złagodniał. – Ja tylko wykazuję to, z czego pani niewątpliwie już zdaje sobie sprawę. Para Kaufmann i Florian *B Klasse* niestety przestaje istnieć. – Uśmiechnął się. – Ale partnerstwo de Trouvere i Florian *Sonderklasse* bardzo łatwo mogłoby się zacząć.

– Przepraszam, nie dosłyszałam. – Nie wierzyła własnym uszom.

– Myślę, że pani dosłyszała.

– Ale... – zaplątała się, po czym się wyplątała. – Niezależnie od wszystkiego innego, *monsieur*, pan już ma partnerkę.

– Mam.

– Nie może pan mieć dwóch partnerek.

– Nie mogę.

– Więc o czym pan mówi? – zapytała niecierpliwie.

– Tylko o tym, że mnie też wolno zmienić partnerkę.

– Plecie pan bzdury. – Oburzona, zastanowiła się, gdzie jest w tej chwili Alice Gebhard i co by miała do powiedzenia, gdyby słyszała tę śmieszna rozmowę.

Niespodziewanie Laurent de Trouvere chwycił ją za rękę, aż zachłysnęła się ze zdumienia.

– Gdyby pani została moją partnerką, *mademoiselle* Krisztina Florian – powiedział z przejęciem – daję słowo, zrobiłbym z pani mistrzynię.

Omam nie roześmiała się głośno. Co za straszna ironia! Przypomniała sobie słowa Davida na tarasie hotelu Gellerta, tak jakby słyszała je wczoraj. Tamto było czarem – czarem Davida, który stał się jej najdroższym przyjacielem i czymś o wiele, wiele więcej. Natomiast to, co ten człowiek proponuje prawie takimi samymi słowami, trąci kuszeniem i niebezpieczeństwem.

Szorstko uwolniła rękę z jego uścisku.

– No? – zapytał.

– No co? – zapytała wyzywająco.

– Co pani mi odpowie?

Wyprostowała się jak struna.

– Odpowiadam, że po pierwsze, może by pan jednak wziął pod uwagę *mademoiselle* Gebhard.

Nie przejął się.

– A po drugie?

– Nie wierzę, że pan mówi serio.

– Zaręczam pani, że tak.

Krisztina trochę się zawahała. To już było nie do pojęcia. Przed kilkoma minutami w

rozmigotanej sali balowej wszystkie jej nadzieje runęły w gruzy, a teraz w tym wonnym od kwiecia ogrodzie arogancki, przystojny arystokrata ofiarowuje jej prawie pewny sukces tak po prostu, jakby dawał bukiet kwiatów.

– Niech pani mówi dalej, *mademoiselle* – nalegał de Trouvere.

– Pana pomysł – dokończyła słabo – nie wchodzi w rachubę.

– To więcej niż pomysł. To propozycja i myślę, że jest pani winna sobie przynajmniej chwilę namysłu, zanim pani ją odrzuci.

– Powiedziała panu... już mam partnera.

Uśmiechnął się.

– A ja mam partnerkę.

Nigdy dotąd nie spotkała nikogo tak wstrętne gruboskórnego.

– Naprawdę trudno mi uwierzyć, że pan mówi serio – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Mogę panią zapewnić jeszcze raz, że mówię serio. – Patrzył na nią, unosząc brew. – Czy pani to ani trochę nie pochlebia? Ostatecznie tańczy pani tylko w *B Klasse* i jest niezupełnie dorosła. – Zobaczył jej gniewną minę i nie dopuścił jej do głosu. Spojrzył na zegarek. – Muszę już panią zostawić, bardzo żałuję. Alice będzie się denerwować, gdzie jestem, i możliwe, że pani *maman* i *Herr Kaufmann* zaczną się o panią niepokoić.

Krisztina zmarszczyła brwi.

– Zdaje się, *monsieur*, że pan wie o mnie sporo.

– Wiem.

– Skąd, jeśli mogę zapytać?

– Jak chyba już mówiłem, zainteresowałem się panią. – Odszedł o krok i lekko się uklonił. – Naprawdę muszę już iść, ale przedtem jeszcze odrobinka węgierskiego, wyuczona na ten moment. – Szybko znów chwycił jej prawą rękę i tym razem podniósł do ust. – *Kezeit Csokolom* – powiedział, całując delikatnie jej dłoń.

Znów się zarumieniła. Od czubków palców, które de Trouvere trzymał, aż po korzonki włosów ogarnął ją żar tego rumieńca. Do licha, nie powinna okazywać słabości.

Nie odrywał od niej wzroku, chociaż puścił jej rękę.

– Za pozwoleniem pani ojca – powiedział przymilnie – złożę państwu wizytę.

– Proszę sobie tym nie zawracać głowy. – Zmieszała się jeszcze bardziej. Chyba on nie przyjedzie do Budapesztu?

– *Au contraire, mademoiselle* – stuknął obcasami znowu. – To będzie dla mnie wielka przyjemność.

Laurent de Trouvere, syn Armanda, dwudziestego piątego barona de Trouvere, mieszkał z rodzicami, jak pięć poprzednich pokoleń, w pięknym zamku średniej wielkości na podgórzu Wogezów w alzackim rejonie Francji.

Ród de Trouvere był bardzo stary, dumny ze swojej tradycji i historii, która zaczęła się na początku trzynastego wieku nad Loarą, gdy pierwszy baron, dworzanin i ulubiony poeta Filipa Augusta, otrzymał od tego króla tytuł i włości. Pierwotny Chateau de Trouvere spalił się doszczętnie w czasie rewolucji i wtedy dwudziesty baron, człowiek niepokornego ducha, zdecydował się przenieść rodzinę i otoczenie – wszystko razem oraz beczki wina – do Alzacji, tej części jego ukochanej Francji, gdzie często bywając, podziwiał piękno krajobrazu, doskonale polowania i słynne miejscowe wina. Wprowadził się z rodziną do pałacyku myśliwskiego, stojącego pomiędzy Ribeauville i Riquewihr w *departement* HautRhin. Pod koniec osiemnastego wieku tę siedemnastowieczną rezydencję całkowicie przebudował pewien uczeń Guepiere’a. W roku 1817, gdy ukończono luksusowe odnawianie, ówczesny baron zmienił nazwę pałacu na Chateau de Trouvere, tym samym czyniąc go jednym z prawdziwie francuskich *chateaux*, bardzo tam nielicznych, ponieważ Alzacja została wcielona do Francji stosunkowo niedawno, pod koniec siedemnastego wieku. Ale po roku 1871 ten rejon należał do Drugiej Rzeszy Hohenzollernów i znów stał się francuski dopiero po pierwszej wojnie światowej. Pradziadek Laurenta, dwudziesty trzeci baron, był tak przerażony wydarzeniami w roku 1870, że załamał się i zrozpaczony umari, pozostawiając swemu spadkobiercy posiadłość na obszarze Niemiec.

Laurent był jedynym dzieckiem i spadkobiercą barona Armanda. Dorastał w niezachwianym przekonaniu, że czeka go życie wytyczone w ciągu siedmiu stuleci przez jego przodków. Ziemia, tytuł i ród to świętość i trzeba je zachować dla potomnych za wszelką cenę – ale Laurent nie spieszył się do objęcia tej spuścizny. Kochał ojca, kochał matkę, Genevieve, nigdy nie wątpił, że z czasem odziedziczy de Trouvere i wiedział, że skoro nie ma braci, z którymi by dzielił wszelkie tego korzyści i ciężary, będzie wtedy przywalony obowiązkami.

Tymczasem miał kilka lat swobody, żeby się wyszumieć. Wielu młodych ludzi takich jak on kręciło się po świecie, bywało we właściwych miejscach we właściwym czasie – w St. – Moritz czy w Gstaad w lutym, na Côte d’Azur w kwietniu, w Londynie w czerwcu, w Deauville w sierpniu... Ci wysoko urodzeni playboye w dzień jeździli konno. Obstawiali albo tylko mieli konie wyścigowe czy kuce do polo, grali w tenisa, prowadzili szybkie samochody, a nocą siedzieli przy bakaracie czy ruletce i uwodzili tyle dziewczyn, ile mężczyzna tylko zdoła. Laurent dosyć lubił jeździć na koniach de Trouvere po włościach de Trouvere; prowadzić swego mercedesa i swego rolls – royce’a Phantom i nawet pragnął mieć duesenberga; ale gry hazardowe uważał za nudziarstwo, a sprawy seksu, chociaż odkąd ukończył czternaście lat, znajdował w nich najprzyjemniejsze odprężenie, nie rządziły jego życiem.

Tańczyć nauczyła go na jego dziesiąte urodziny *maman*, której wrodzoną wytworność i *joie de vivre* zawsze bardzo podziwiał. Ona właśnie pokazała swemu zwinnemu, ładnemu synkowi nie tylko podstawowe kroki i figury, ale i to, że taniec może być czymś znacznie więcej niż walorem towarzyskim i miłą rozrywką – może być sztuką samą w sobie. Przed jego trzynastymi urodzinami panie bywające na balach i zabawach w zamku nie poświęcały się, tańcząc walca ze złotowłosym

przyszłym baronem, wysokim i opanowanym jak na swój wiek.

Nie miał żyłki do współzawodnictwa, ale cenił doskonałość i chciał ją osiągnąć, toteż gdy Alice Gebhard, ładna młoda Al – zotka z Colmar, poprosiła go, żeby był jej partnerem na galowym konkursie tańca za granicą w BadenBaden, uznał, że to zabawne wyzwanie. Zdobyli pierwszą nagrodę, więc tańczyli dalej, a przecież nawet odnosząc jeden sukces po drugim, traktował to tylko jako *divertissement*, coś, co go mogło zajmować i pobudzać do dnia, w którym zawładnie nim posiadłość de Trouvere, jego prawdziwa miłość.

Tak myślał, zanim pewnego popołudnia w Marienbadzie w roku 1933 po raz pierwszy zobaczył Krisztinę Florian. Było to na *dansant* w Esplanadzie i tańczyła charlestona – te stopy, nogi, ręce, dłonie i włosy fruwały, śliczna głowa trzęsła się żywiołowo, aż lękał się, że jej odleci. A po tym tańcu usłyszał jej zdyszany perlisty śmiech i patrzył, jak ona z partnerem pod rękę wraca do swego stolika. Stał nieruchomo, przez chwilę bezradny, dziwnie zazdrosny i rozradowany. I wtedy właśnie pojął, że to jedno, dotychczas nieobecne w jego wytyczonej przyszłości, nagle spadło mu z nieba. *Coup de foudre* – po prostu, nedorzecznie, po same uszy zakochał się od pierwszego wejrzenia.

Zasadniczą cechą każdego de Trouvere była bezwzględność w zdobywaniu wszystkiego, cokolwiek zapragnęło jego serce. Cechę tę miał też dwudziestoletni Laurent. Krisztina, jeszcze „niezupełnie dorosła”, jak jej powiedział, gdy w końcu poznali się w Zurychu, zapowiadała się ze swą znakomitą karnacją, bladozłotymi włosami i tymi niezwykle fioletkowiebieskimi oczami, rzeczywiście na *grandę beaute*. Laurent się zastanawiał, po kim odziedziczyła taką urodę – przecież nie po matce, dosyć sympatycznej, ale szarej paniusi, i z pewnością nie po swoim nieciekawym tacie handlowcu, którego widział dwa razy na konkursach w Wiedniu i Budapeszcie. Przy tych obu okazjach oczarowany, a przecież bystry, obserwował bardzo poważnie swoją upragnioną, każdy jej ruch, każdą reakcję i wszelkie uchybienia, chociaż uchybień dopatrzył się niewiele i mógł je położyć na karb drobnomieszczańskiego wychowania. Obserwował też Kaufmanna, jej partnera, w którym wyraźnie była zadurzona.

Oto znalazł kobietę swojej przyszłości. Ona jest trochę uparta, o tym przekonał się w Zurychu, ale jeszcze na tyle naiwna i bez poloru, że można jej nadać ten prawdziwy polor światowej damy. W żyłach nie ma błękitnej krwi, ale takie istoty jak ona mogą błękitną krew wchłonąć nie inaczej, niż roślina wchłania światło. Jedyny problem od czasu Zurychu stanowił Kaufmann – jak odciągnąć Kaufmanna od jej boku? Teraz jednak pomocni okazali się hitlerowcy. Krisztina może nie zdaje sobie z tego sprawy, ale on, Laurent, stał się jej potrzebny. Taniec jest jej żywiołem, bez tańca ona by zwiędła, uschła. I jeżeli będzie jego partnerką, tchnie nowe życie w jego taniec. Alice wydaje się przy niej taka bezbarwna i z pewnością sprawiła, że on nie rozwija swoich zdolności. Z Krisztiną w objęciach prawie na pewno uzyska mistrzostwo, a to przede wszystkim może być drogą do jej serca.

– Ale czy nie wystarczy, żebyś z nią tańczył? – zapytała jego matka, gdy zwierzył się ze swoich uczuć. – Nigdy nie miałam powodu kwestionować twojego dobrego gustu, *cheri*, więc nie wątpię, że ta dziewczyna jest utalentowana i śliczna, ale ty jej nie znasz, a już ją sobie upatrzyłeś jako odpowiednią kandydatkę na żonę. Istne szaleństwo!

– Tylko poczekaj, *maman*, aż ją zobaczysz. Wtedy zrozumiesz.

– Ale sam powiedziałeś, że to jeszcze dziecko i nie z naszej sfery. – Genevieve de Trouvere nie była urodzoną snobką, ale kochała swego męża i swego syna i chciała strzec ich tradycyjnych

wartości.

– Ona jest idealna, *maman* – powiedział Laurent bezradnie. – Mówisz, że mam dobry gust... i jak wiesz, de Trouvere stawiam na pierwszym miejscu, w żadnym razie nie zrobiłbym nic, co mogłoby zaszkodzić naszemu nazwisku czy naszej posiadłości. Tylko przyrzeknij, że kiedy czas na to przyjdzie, namówisz papę, żeby ją zobaczył.

– Nigdy nie przyrzekam. Nie potrafię dotrzymywać słowa, Laurent.

Syn chwycił ją gorączkowo za rękę.

– Czy często proszę cię o cokolwiek, *maman*? Kiedy ostatnio tak cię o coś błagałem, jak błagam teraz?

Genevieve uśmiechnęła się cierpko.

– Może to dlatego, *mon fils*, że zawsze miałeś wszystko.

Laurent nie liczył się z tym, że Krisztina szybko dojrzewa i że, niezależna z natury, jest niezależna jeszcze bardziej wskutek podróży po Europie i nagłych, coraz dotkliwiej odczuwanych przeciwności losu. Ani też nie wziął pod uwagę głębi jej uczucia do Davida, uczucia mocniejszego z każdym dniem, gdy prześladowanie Żydów w Niemczech przybierało na sile.

Zdecydował się oprzeć swoją kampanię – bo tak teraz na to patrzył – na niezawodnym w jego przekonaniu procesie zalotów. A zalecał się wspaniale – prawie tydzień nie mijał, żeby na ulicy Kalvaria nie zjawiał się posłaniec z okazałym bukietem różowych róż, storczyków czy lilii i prawie za każdym razem do kwiatów był dołączony prezent. Prezenty – już to olbrzymi flakon Chanel nr 5, już to para delikatnych kolczyków z pereł i brylantów – nigdy się nie powtarzały.

Gaborowi i Donie imponowały te namacalne dowody podziwu dla ich córki akurat tak, jak miały imponować, ale sama obdarowana pozostawała wobec jego długodystansowej uwagi prawie zupełnie obojętna. Bo ona, czego Laurent po prostu nie pojmował, koncentrowała się na swojej pierwszej miłości tak samo, jak on na miłości do niej. Nieskończenie więcej niż dziesiątki prezentów, jakimi mógłby ją obsypać, znaczył dla niej jeden goździk od ukochanego Davida.

– Musisz natychmiast napisać z podziękowaniem.

Gabor promieniał, gdy Krisztina odpakowała jeszcze jeden podarunek, maleńkiego królika Faberge z lazurytu i złota, eksponat ukradziony z kolekcji rodu de Trouvere. Obracając w palcach ten piękny drobiazg, Krisztina się zastanawiała.

– Chyba powinnam to zwrócić.

– Dlaczego?

Zarumieniła się.

– Zbyt kosztowny prezent jak na przelotną znajomość.

Ilona, zajęta szyciem w kącie pokoju, powiedziała:

– Staje się dosyć jasne, Kriszti, że *monsieur* de Trouvere nie uważa tej znajomości za przelotną.

– Ale ja go niczym nie zachęcam.

– Więc najwyższy czas, żebyś go zachęciła. – Gabor z wigorem zapalił cygaro.

– W każdym razie dzisiaj muszę napisać do Davida. – I Krisztina dodała stanowczo: – Do Laurenta napiszę jutro.

Gabor westchnął. Drogocenna córka przyprawiała go o coraz większą frustrację. Już miał

nadzieję, że przyjaźń Krisztiny z Kaufmannem, odkąd nie mogą tańczyć w konkursach, stopniowo się skończy, a tymczasem jego uparte dziecko żyje głównie korespondencją pomiędzy nimi. Był w strasznej rozterce, za nic by nie chciał, żeby Kriszti była nieszczęśliwa, ale aż cierpł na myśl, że nie tylko zadurzyła się w Żydzie, ale w dodatku może zniechęcić do siebie kogoś tak znakomitego jak młody dziedzic baronii.

– Po prostu nie rozumiem – powiedział w miarę swoich możliwości spokojnie – dlaczego nie chcesz z nim tańczyć. Przecież to oczywiste, że jest o wiele zdolniejszy niż Kaufmann.

– Skoro nie mogę tańczyć z Davidem – odpowiedziała Krisztina jak zawsze – nie chcę tańczyć z nikim.

– Ale ty rzeczywiście na tym tracisz, *dragam*. – Ilona stanęła po stronie męża. – Na pewno David, gdyby wiedział, namawiałby cię, żebyś sobie wzięła innego partnera.

– On wie.

– I co mówi?

Łzy stanęły Krisztynie w oczach.

– Zgadza się z tobą.

– No więc! – wykrzyknął Gabor.

– Ale on tak nie myśli – dodała Krisztina żałośnie. – Tylko tak mówi dla mojego dobra. Wiem, że byłoby mu bardzo przykro, gdybym tańczyła z Laurentem. – Zmusiła się do uśmiechu. – W każdym razie to tylko kwestia czasu, David znów będzie mógł brać udział w konkursach.

– Wątpię – powiedział Gabor.

Coraz usilniej Gabor w swych nocnych pacierzach prosił Boga, by wzmocnił władzę Hitlera. Odkąd hitlerowski zakaz dotknął Kaufmanna, jego podziw dla Reichu błyskawicznie wzrastał. Teraz Gabor śledził wydarzenia w Niemczech z jeszcze większym zainteresowaniem niż przedtem.

Ilona też klękała co wieczór do rozmowy z Bogiem, ale jej modlitwy były inne. Serdecznie współczuła Davidowi, którego polubiła i zaczęła szanować, gdy jeździli po Europie, ale ze względu na córkę miała nadzieję, że ta przyjaźń się skończy, zanim Krisztinę głębiej wciągną problemy nękające ostatnio nieszczęsny naród żydowski. A co do Laurenta de Trouvere, musiała przyznać Gaborowi rację, gdy mówił Krisztynie, że taka szansa zdarza się tylko raz w życiu.

Dwukrotnie po mistrzostwach w Szwajcarii Laurent odbył długą podróż z Trouvere do Budapesztu i odwiedził Krisztitę. Na początku myślał, że nietrudno będzie omotać tę nastolatkę na tyle, by go akceptowała przynajmniej jako partnera w konkursach, ale teraz już wiedział, że jej nie można ponaglać. Z fasonem podjeżdżając na ulicę Kalvaria swoim mercedesem Kompresor, szybko pozyskał sobie sympatię Gabora i Ilony. Widocznie siła jego uczucia dla ich córki, jego pozycja i galijski wdzięk sprawiły, że prawie nie mogli mu się oprzeć. Ale gdy Ilona nalewała herbatę do filiżanek ze swego najlepszego porcelanowego serwisu Herend, Krisztina siedziała przy gościu na otomanie. Poza tym, że z powagą i grzecznie odpowiadała na jego pytania, była rozwścieczająco małomówna.

W połowie września 1935 roku wprowadzono ustawy norymberskie w Niemczech, pozbawiające Żydów wszystkich praw obywatelskich, możliwości zawierania związków małżeńskich z Aryjczykami i pod każdym względem prawnie ich dyskryminując. W miesiąc

później sklep Nathana Kaufmanna na Kurfurstendamm przeszedł w ręce aryjskie i niepewnie się przedstawiała przyszłość jego filii budapeszteńskiej. W innych okolicznościach Kaufmann, zgodnie z logiką, szybko zebrałby swoją rodzinę i swoje mienie i przeniósłby się na Węgry, żeby żyć znowu bodaj w przybliżeniu normalnie, ale na Węgrzech też szerzył się antysemityzm, więc byłoby to przejście z deszczu pod rynną, a zresztą Węgry nigdy nie stałyby się dla niego ojczyzną. Na ojczystej ziemi można łatwiej – rozumował. – nadrobić w miarę możliwości, jakie się ma – straty. Oceniał swoją sytuację materialną i wysłał Davida do Budapesztu na rekonesans – czy dałoby się korzystnie sprzedać sklep na Vaci Utca?

David skorzystał ze sposobności, żeby odwiedzić Krisztinę, i został przez Gabora Floriana przyjęty gościnniej niż zwykle. Oczywiście nie wiedział, że wcześniej w tym miesiącu do Gabora zatelefonował z Francji Laurent de Trouvere.

– Daruje mi pan śmiałość, *monsieur* – zaczął wtedy Laurent z szacunkiem – ale wkrótce ma być sprzedana filia Kaufmanna w Peszcie. Przyszło mi na myśl, że może by to pana zainteresowało.

– Mnie?

– Bo chyba warto, *monsieur*, żeby pan dodał do swoich przedsięwzięć ten sklep. – Laurent umilkł na chwilę. – Kauf – mannowi, jak się dowiedziałem, przede wszystkim zależy na czasie. Słyszał pan, że jego sklep w Berlinie jest już aryjski?

– Słyszałem. – Gabor przyjął tę wiadomość z mieszanymi uczuciami. Nie wiadomo, czy nowi właściciele będą zaopatrywać się u dawnych dostawców. Mało to ludzi, myślał pogardliwie, ma zasady na bakier ze zdrową buchalterią? Teraz, słuchając Laurenta, zaczerwienił się z podniecenia. Gdyby na to było go stać, jakżeby się rozkoszował tą możliwością zyskania przewagi nad Nathanem Kaufmannem.

– Oczywiście – powiedział ostrożnie – ciekawe, jakiej ceny Kaufmann zamierza zażądać.

– Mój ojciec korzysta z usług pewnej kancelarii adwokackiej w Wiedniu – natychmiast okazał dobre chęci Laurent. – Poproszę ich, żeby dowiedzieli się dla nas.

Po tej rozmowie telefonicznej Gabor puszył się bardzo zadowolony. „Dla nas”. To przecież niezbity dowód, że de Trouvere zdecydowanie stara się o rękę jego córki. Z zadowolenia zacierał rękę. Fortuna kołem się toczy! Z pomocą Laurenta i kredytu z banku nabycie jednego z najelegantszych sklepów w Budapeszcie może otworzyć rzeczywiście wspaniałą perspektywę. I już nigdy nie musiałby płaszczyć się ani przed Nathanem Kaufmannem, ani przed jego synem. I kto wie, gdyby tylko – gdyby tylko Krisztina zmadrzała, Florianowie byłiby siłą rzeczy spowinowaceni z francuską arystokracją!

Zanim David przyjechał do Budapesztu, Gabor już sformułował odpowiednią ofertę. Bank z początku nie był pomocny: od czasu paniki finansowej w 1931 roku życie stało się trudne dla drobnych przedsiębiorców, usiłujących nabrać rozmachu, ale usłużność Laurenta, w połączeniu z faktem, że żydowskie przedsiębiorstwa taniały, niosła w sobie obietnicę funduszy, których Gabor potrzebował.

David zjawił się na ulicy Kalvaria w niedzielny wieczór, żeby zabrać Krisztinę do restauracji, okazało się jednak, że z kolacją dla nich już czeka Ilona.

– Kriszti, *Liebling* – szepnął David do Krisztiny w przedpokoju po szybkim, ukradkowym pocałunku. – Musimy być bodaj przez chwilę sami.

Uśmiechnęła się do niego z tęsknotą w oczach.

– Później, mam nadzieję. Tatuś się uparł, więc musimy zjeść tutaj.

Uściskał ją szybko.

– Brakowało mi ciebie.

W sercu jej wezbrała radość.

– Naprawdę?

– Oczywiście. – Potargał jej włosy. – Nie tylko do tańca – powiedział. – Nie czytasz moich listów.

– Raz po raz czytam – szepnęła radośnie. To było cudowne, jak ich miłość rozkwitła w korespondencji. Nie widzieli się od kilku miesięcy, ale chociaż miała dopiero szesnaście lat, czuła się w czasie tej rozłąki coraz doroślejsza i nawet David, który przedtem chyba myślał, że ona jest jeszcze za młoda na miłość, wyraźnie zaczął uznawać siłę swego uczucia do niej.

– Twój ojciec wydaje się niezwykle rad z mojej wizyty – zauważył.

– Właśnie – przytaknęła Krisztina ochoczo. – Wprost się ucieszył, kiedy mu powiedziałam, że przyjeżdżasz. Myślę, że on chce z tobą porozmawiać.

– O czym?

– Tego nie wiem. – Zarumieniła się. – Może o nas.

David milczał, doskonale wiedząc, że Gabor Florian tylko z uwagi na swoje interesy tolerował go jako partnera Krisztiny.

– Coś niedobrze? – zapytała.

– Nic, *Liebling*. – Pocałował ją w czubek głowy.

– Jesteś jakiś zmartwiony.

– Zwyczajnie głodny.

Transakcja została zawarta w ciągu trzech tygodni. Dwaj inni reflektanci wycofali się. Gabor nigdy dotąd nie był tak zdecydowany i pełen wigoru. Ilona ze zdumieniem patrzyła na zmianę, jaka w nim zaszła, gdy toczyły się negocjacje.

Jedenastego lutego 1936 roku sklep na Vaci Utca już należał do nowego właściciela. Logo Kaufmanna na wszystkich szyldach, rachunkach, torbach i skrzynkach jednak pozostało, bo Gabor zdawał sobie sprawę, że wraz ze sklepem kupił sporą życzliwość dla tej firmy. Ale personel nie miał wątpliwości, kto teraz jest szefem. Gaborowi władza uderzała do głowy.

Tamtego wieczora po zawarciu transakcji wydał przyjęcie w hotelu Gellerta i bawił się z entuzjazmem, tak towarzyski, jak mógł być. O pierwszej po północy, uśmiechając się z ubolewaniem, wyprowadził Krisztinę i Davida do holu:

– Od dzisiaj – oznajmił spokojnie – już nie będziecie się widywali.

Przez długą chwilę Krisztina, wpatrzona w ojca, nie rozumiała. Potem, gdy te słowa do niej dotarły, zachłysnęła się skonsternowana. Nie uwierzyła.

– Tatusiu, chyba żartujesz.

Gabor cierpiał – naprawdę cierpiał, że robi jej taką przykrość, ale nie wątpił, że ona mu za to podziękuje kiedyś, gdy już będzie szczęśliwą żoną barona.

– *Absolute* – powiedział. – Mówię poważnie.

– Ale my się kochamy!

– Za młoda jesteś, Krisztino, żeby wiedzieć, co to jest prawdziwa miłość, i musisz mnie słuchać. – Nie był wysoki, teraz jednak się wydawało, że góruje nad córką.

Krisztina chwyciła Davida za łokieć.

– Powiedz tatusiowi, powiedz, że to niemożliwe!

David, chociaż wstrząśnięty, twarz miał obojętną.

– Masz dopiero szesnaście lat, Kriszti – rzekł powoli, nie patrząc na nią – więc przypuszczam, że nie ma sensu, bym cokolwiek powiedział, skoro twój ojciec podjął taką decyzję.

Gabor uklonił się lekko.

– Bardzo wnikliwe spostrzeżenie.

Łzy popłynęły po policzkach Krisztiny. Chciała wrzasnąć, kopnąć, rzucić się na ojca i na Davida także, żeby im przypomnieć, że ona jest istotą ludzką z własnym umysłem, z własną duszą – że ma prawo do szczęścia i że oni nie mogą jej tego. prawa ukraść! Ale stała bez ruchu, oniemiała, i tylko nienawidziła ojca, jak nigdy dotąd nikogo w życiu.

– Gdzie mama? – zdołała zapytać w końcu.

– Matka nie może odwołać mojego zakazu. – Gabor zwrócił się do Davida: – Późno już, Kaufmann. Przyjęcie się skończyło.

Usta Davidowi drgnęły, wykrzywione bólem i antypatią.

– Ponieważ nocuję w tym hotelu, chyba pan pierwszy będzie musiał wyjść. – Odwrócił wzrok od Floriana i trochę drżącą ręką dotknął lekko policzka Krisztiny.

– Kochana Kriszti, głowa do góry. Będę pisał do ciebie.

– Zakazuję! – Gabor wybuchnął gniewem.

David znów spojrzał mu w oczy.

– Nie pytam pana o pozwolenie. – Szybko pocałował Krisztinę w czoło. – Nie rezygnuj – powiedział zuchwale. – Ja nigdy nie zrezygnuję.

– Nie odchódź! – poprosiła gorączkowo, bojąc się aż do mdłości, że już nigdy go nie zobaczy. – Nie opuszczaj mnie, Davidzie!

Gabor mocno wziął ją za rękę.

– To ani czas, ani miejsce, żeby robić sceny, Krisztino.

– Jak możesz być taki okrutny?! – Rozpłakała się.

– Mam nadzieję, że nie będziesz długo zarzucać mi okrucieństwa – powiedział Gabor, mocno ją trzymając. Spojrzał na Davida. – Dobranoc, Kaufmann. – I dodał: – Żegnam.

David miał twarz białą jak kreda.

– Bardzo żałuję, że doradziłem ojcu sprzedać firmę właśnie panu, panie Florian. – Teraz głos mu zadrżał. – Najgorsza moja pomyłka w życiu.

Przez chwilę stali nieruchomo i patrzyli sobie w oczy jak śmiertelni wrogowie przed ostateczną rozgrywką. Potem Gabor się poruszył, zacisnął palce prawie boleśnie na nadgarstku Krisztiny, odciągnął ją od boku Davida i odszedł z nią.

– Dokąd mnie prowadzisz? – szlochała, odwracając głowę, żeby jeszcze Davida widzieć.

Ciągnął ją.

– Do toalety, gdzie, mam nadzieję, umyjesz twarz i doprowadzisz się do porządku. Potem – mówił bezlitośnie – wypijesz kieliszek szampana z Laurentem de Trouvere. On czeka na nas w

barze.

– Nie chcę!

– Nie szkodzi – powiedział nieubłaganie. – I będziesz dla niego miła i grzeczna.

Podchodzili już do rogu holu, Krisztina rozpaczliwie wykręcała szyję, żeby jeszcze widzieć Davida. Gdy zniknął jej z oczu, bezwolnie oparła się o ścianę.

– Ojczy, nigdy ci nie wybaczę – powiedziała nagle głuchym głosem. – Nigdy.

Pociągnął ją, już delikatniej, ostatnie kilka kroków do damskiej toalety, otworzył drzwi i wepchnął ją tam.

– Wybaczysz, dziecko, z czasem.

– Nawet za tysiąc lat nie!

W ciągu następnych trzech tygodni trzy listy przyszły do Krisztiny z Berlina – wszystkie Gabor skonfiskował, przeczytał i spalił na palenisku kominka. Krisztina błagała matkę o pomoc, ale daremnie. Ilona, jak wiele kobiet z jej pokolenia, poczuwała się do obowiązku popierania męża, a ponadto w głębi ducha czuła ulgę, że Krisztiny już nie będzie dotykać tak czy inaczej sytuacja Żydów, chociaż matczyne serce ją bolało, gdy patrzyła na cierpienie córki.

Po przyjęciu w hotelu Gellerta Laurent de Trouvere był w Budapeszcie jeszcze dwa tygodnie. Dowiedział się, że Krisztina lubi wypadki za miasto, więc zabierał ją na długie wycieczki. Mercedesem jeździli po szosach nad Balaton i dalej na Hor – tobagy, pragnąc zobaczyć fatamorganę, legendarny miraż Wielkiej Niziny, gdzie podobno pokazywać się dalekie postacie, unoszące się w powietrzu do góry nogami. Potem jedli kolację w Nagy Csarda, ale pomimo jego wysiłków Krisztina pozostawała obojętna na nadszkiewanie. Zachowywała się nienagannie, nic jednak nie dawała z siebie.

Wieczorem w przeddzień wyjazdu z Budapesztu Laurent przyjechał do domu Florianów, żeby porozmawiać z jej ojcem.

– Jest za wcześnie – powiedział nad kieliszkiem *barack* w gabinecie Gabora. – Ona musi mieć czas.

– Głupia dziewczyna – powiedział Gabor niezręcznie.

– Tylko bardzo młoda – pocieszył go Laurent, zdławiając własne rozczarowanie. – A ja mam mnóstwo cierpliwości.

– Obawiam się, że cierpliwość będzie bardzo potrzebna.

Laurent uśmiechnął się.

– Mam również strategię alternatywną w razie, gdyby wszystko inne zawiodło.

Gabor wyprostował się w fotelu.

– Jaką strategię?

Laurent zagadkowo wzruszył ramionami.

– Najpierw dajmy jej czas, a potem, jeżeli to nie wystarczy, porozmawiamy znowu.

W cztery miesiące później, w połowie lipca, obaj siedzieli znów w gabinecie Gabora, tym razem popijając Prunelle, *eau de vie* pędzoną z małych dzikich śliwek, alzacki specjał, który Laurent przywiózł w prezencie oprócz dwóch skrzynek doskonałego Rieslinga de Trouvere.

– Nic się nie zmieniło – powiedział Gabor posepnie, zapalając cygaro.

– Ano tak, *malheureusement* – zawtórował Laurent.

– Gdyby ona tylko dała panu szansę! Marnuje życie, kiedy tak usycha z tęsknoty za tym chłopcem.

– Nie docenia tego, co ja mógłbym jej ofiarować.

Gabor podrapał się w głowę.

– Nawet nie chce tańczyć! Wprost niepojęte, bo tak długo się wydawało, że nie może bez tańca żyć.

– Sądzę, że ja mam do ofiarowania znacznie więcej niż taniec – powiedział Laurent oziębło.

– Oczywiście, ma pan – poprawił się Gabor z pośpiechem. – Niech pan nie myśli, że nie zdaję sobie z tego sprawy. Głupia dziewczyna, wstyd mi za nią.

Coraz żywiej jawiło się w wyobraźni Gabora możliwe scalenie rodziny de Trouvere z Florianami. Gabor Florian już wziął się z zapalem do zakładania imperium i nikt, nawet jego córka, nie śmiał stanąć mu na przeszkodzie.

– Może – powiedział wolno Laurent – pierwszy krok to postarać się, żeby uważała mnie za przyjaciela, a nie za natręta, który wdzierą się w jej sprawy osobiste.

Gabor westchnął i zdusił czubek cygara w popielniczce na biurku.

– Ale jak zmienić jej serce? Ostatnio muszę wyznać, że nawet swojego ojca uważa za wroga.

– Przejdzie jej to, *uram* – powiedział Laurent z kojącą nutą szacunku. – Tak – ciągnął. – Myślę, że czas obrać inną drogę.

Gabor trochę się rozchmurzył.

– Ta strategia, o której pan mówił?

– *Exactement* – odpowiedział Laurent. – Ale będę potrzebował pana współpracy.

– Zrobię wszystko – zapewnił Gabor serdecznie.

Laurent uniósł ostrzegawczo rękę.

– Lepiej niech pan najpierw posłucha, jaki mam plan... Może panu to się nie spodoba.

Nazajutrz o piątej po południu Laurent i Krisztina siedzieli przy stoliku w kawiarni Gerbeaud. Laurent zamówił kawę i ciastka dla nich obojga i koniak dla siebie, po czym powiedział:

– To ładnie, że przyszedłeś.

Krisztina skłoniła głowę.

– Z twojej strony uprzejmie, że mnie zaprosiłeś.

Laurent uśmiechnął się.

– No, to tyle kurtuazji na dzisiaj.

Krisztina posępnie zapatrzyła się w swoją serwetkę. Zmienił ton.

– Wiem doskonale, że wydaję ci się antypatyczny.

Zaskoczona zaprzeczyła.

– Wcale nie.

Znów usta Laurentowi zadrgały.

– Chciałbym w to uwierzyć, *chere* Krisztina, ale na pewno, chociaż jesteś zawsze skrupulatnie grzeczna, wolałabyś nie być tu teraz ze mną.

Krisztina osłoniła się milczeniem. Nie cierpiała kłamać, nawet kłamać z dobroci serca. Nie było prawdą, że Laurent de Trouvere wydaje jej się antypatyczny. Nadal uważała, że jest z gruntu

arogancki i zarozumiały, ale nie budził w niej antypatii. Czyż to jego wina, że ojciec obrócił się przeciwko Davidowi?

– Dlaczego mnie tu dzisiaj zaprosiłeś? – zapytała w końcu.

– Chyba nie muszę ci mówić, jak lubię twoje towarzystwo.

Spuściła wzrok.

– Niewesoła ze mnie towarzysza.

– Bo jesteś nieszczęśliwa.

– Jestem.

– Prosiłem o to spotkanie, bo chciałem z tobą porozmawiać.

– O czym?

– O źródle twojego nieszczęścia.

Za oknem na Orosmary Ter ruch na jezdni szumiał, roilo się od ludzi. Kelnerka podała kawę w srebrnym dzbanku i dwie porcje bitej śmietany. Niezdecydowanie wbili widelczyki w ciastka.

– Co chcesz powiedzieć? – zapytała Krisztina po paru minutach. – o moim nieszczęściu?

Laurent odłożył widelczyk.

– Smucisz się, Krisztino, bo już nie możesz się widywać z przyjacielem.

Obtarta usta serwetką i milczała. Na każdą wzmiankę o Davidzie łzy jej napływały do oczu, a nie chciała płakać w obecności Laurenta.

– Bardzo ci go brakuje?

– Tak – odrzekła cicho.

– Ale twój ojciec mu zabronił odwiedzać ciebie.

Ogarnęła ją fala wielkiej litości nad sobą.

– Jest nieugięty. – Głos jej się załamywał.

– Ciekawe.

Spojrzała na Laurenta zdumiona.

– Co ciekawe?

– Ciekawe, czy twój tatuś dałby się przebłagać bodaj trochę.

– Nie rozumiem, Laurent. Kto, na Boga, mógłby go przebłagać, jeżeli ja nie mogę?

Odczekał chwilę.

– Chętnie bym spróbował i może bym go przekonał.

– Ty? – wykrzyknęła oszołomiona.

– A czemużby nie?

– Przecież stawiasz sprawę jasno: chcesz, żebym została twoją partnerką.

– Zgadza się, chcę.

– I przysyłasz mi prezenty i kwiaty, i... – Urwała zbyt zakłopotana, by mówić dalej.

– I ze wszystkich sił staram się zalecać do ciebie. – Jego złociste oczy były ciepłe, pełne uznania.

– No tak. – Poczwała żar podnoszący się z szyi na policzki.

– To nie wyklucza współczucia i koleżeńskiej solidarności – wyjaśnił mentorskim tonem.

– Wciąż jeszcze nie rozumiem. – Pochyliła się ku niemu, usiłując zgłębić, czym naprawdę on się kieruje. – Mówisz, że wstawiłbyś się za nami u mojego ojca?

– Właśnie.

– Ale dlaczego?

Laurent odpowiedział znów smutnym uśmiechem.

– Dlatego, że chociaż pragnąłbym cię dla siebie, *chère* Krisztina, wolę mieć twoją przyjaźń niż nic.

Zaskoczona tą szczerością, wpatrzona w niego z coraz większym podnieceniem, odchyliła się na krześle.

– Myślisz, że może on by cię posłuchał?

Laurent wzruszył ramionami.

– Pewności nie ma, oczywiście, ale... – Uśmiechnął się rozbrajająco. – Ostatnio on i ja jakoś szanujemy się nawzajem.

Zbudziło się w niej słabe podejrzenie.

– Może masz nadzieję raczej na moją wdzięczność... moje zobowiązanie niż na moją przyjaźń?

– Na twoją przyjaźń, zapewniam cię, droga, podejrzliwa Krisztino. – Wzniósł toast koniakiem.
– Żebyś była szczęśliwa.

– No? – Gabor marszczył brwi w napięciu.

Laurent się uśmiechnął.

– Zgodnie z planem.

– Jej reakcja?

– Zdumienie, naturalnie. Trochę ostrożności. Ale też pewne przebłyski ciepła.

– Czego ona się spodziewa teraz?

– Że będę próbował pana przekonać. Że postaram się, by pan ustąpił.

– To oczywiście niemożliwe.

– Oczywiście, ale niech pan przynajmniej pozwoli na listy.

– Ach, tak, listy. – Bruzda na czole Gabora się pogłębiła. – Muszę przyznać, że jestem daleki od zachwycania się tym pomysłem, Laurent. W ten sposób chyba nic nie osiągniemy. Tylko dalej będzie miała manię na punkcie Kaufmanna.

– Parę listów, *uram*, nic więcej.

– Listy będą tylko początkiem, zapamiętaj pan moje słowa. Zechce im się czegoś więcej niż listów.

– Niech pan nie rozpacza, *monsieur*. To dopiero pierwszy krok zgodnie z moim planem. Potem nastąpi ciąg dalszy.

– Co jeszcze?

– Powinien mi pan zaufać, jeżeli ma się nam udać.

– Przecież ufam ci, chłopcze. – Gabor zdjął okulary i znużony powoli przesunął ręką po oczach.

– Ona jest moim jedynym dzieckiem. Wiążę z nią wielkie nadzieje.

– Czuję się zaszczycony, że mam w tym swoją rolę, *uram*.

Gabor popatrzył na Laurenta z przyjemnością.

– Dość już tych ceremonii, nie sądzisz? Mówmy sobie po imieniu.

Laurent odpowiedział lekkim ukłonem i oczy mu zabłyśły.

– Więc co mogę powiedzieć Krisztynie... w sprawie listów?

– Naprawdę uważasz, że to właściwy sposób? – zapytał Gabor niespokojnie.

Laurent przyłożył prawą rękę do serca.

– Jedyńy sposób. – Zawahał się i dodał: – Gaborze.

Florian się uśmiechnął.

– Powiedz jej, że mogą do siebie pisywać.

Nazajutrz w parny wieczór Laurent zabrał Krisztinę na koncert Strausowskiego w Vigado. Ten szacowny gmach, zbudowany w stylu romantycznym pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, stoi przy promenadzie nad Dunajem i mieści się w nim wiele sal.

Gdy Laurent i Krisztina tam weszli, publiczność już zapelniała główny hol: niektórzy czekali przed wejściem do sali, gdzie miał się odbyć recital pieśni Liszta, inni mieli zobaczyć „Jezioro łabędzie”, a reszta miała się upajać walcami Straussa. Prawie wszyscy byli w strojach wieczorowych: najmodniejszych sukniach i smokingach, nad głowami unosiła się chmura piżmowych woni i dymu z cygar.

Przez cały czas koncertu Krisztina, w udęcie niepewności, prawie nie słuchała muzyki. Zaproszenie na koncert przyjęła tylko z jednego powodu – Laurent powiedział, że ma dla niej wiadomość! Walc po walcu przepyszenie, pogodnie rozbrzmiewał w sali, widziała, jak Laurent kołysze się w takt, ale dla niej to była coraz większa męka tęsknoty do Davida.

Koncert się skończył. Oklaski jeszcze huczały jej w uszach, gdy Laurent zawiózł ją szybko do małej eleganckiej restauracji na jednej z bocznych ulic Budy.

– Jedzenie tu pierwsza klasa – powiedział, siadając z nią przy stoliku. – Doskonale pobudzi apetyt na to, co mam ci do powiedzenia.

– Co?

– Przedtem zamówimy.

Zwiotczała na krześle.

– Nie mogę – powiedziała. – Jestem zanadto podniecona, żeby myśleć o jedzeniu.

Ustąpił.

– Więc przynajmniej napijemy się szampana.

Rozpłomieniła ją nadzieja. To na pewno wspaniała wiadomość, skoro ma być szampan! Nasunęły się fantastyczne domysły... David w drodze do Budapesztu?... Może już tu jest!

Kelner nalał pianistego szampana. Laurent podniósł kieliszek.

– Twoje zdrowie, *ma belle* Krisztina.

Pociągnęła łyżeczek, prawie nie czując smaku.

– Rozmawiałem z twoim ojcem – zaczął.

– Tak – wyszeptała.

– Wcale nie jest taki sztywny, jak by się wydawało, Krisztino.

– Nie? – zapytała raczej cierpko.

Laurent uśmiechnął się. Mówił powoli, rozkoszując się każdym słowem. – Pozwolił, żebyście ty i David pisywali do siebie listy.

Zrobiło jej się cudownie ciepło.

– I? – zapytała.

– Jak to i?

– Chyba jeszcze coś?

Potrząsnął głową.

– To wszystko. – Po chwili zapytał. – Czy nie wystarczy?

– Jak może wystarczyć? – wybuchnęła nieszczęśliwa, już daleka od tej radości przed chwilą. –

Kocham Davida i on kocha mnie! Chcemy być razem, nie tylko korespondować!

– Oczywiście, chcecie – łagodził Laurent – ale, jak na początek, czy nie rozumiesz, że to jest poniekąd zwycięstwo?

Z wysiłkiem przełknęła łyżę, nakazując sobie pamiętać, jak Laurent musiał się natrudzić, żeby osiągnąć choćby tyle.

– Powinnam ci podziękować – wykrztusiła.

– Myślałam, że będziesz szalała z radości.

Przygryzła wargę.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – powiedziała. – Tylko że miałam nadzieję na więcej.

Laurent pochylił się ku niej, podał jej kieliszek.

– Wypij trochę – powiedział dobrotliwie. – I zastanów się... to może tylko wstęp, a jednak triumf.

Wypiła jeszcze łyk szampana i zdołała się słabo uśmiechnąć.

– Masz rację, naturalnie. – Było jej wstyd. – Jesteś dla nas prawdziwym przyjacielem, Laurent. Wprost nie wiem, jak ci dziękować.

– Po prostu tylko przyjmij do wiadomości tę przyjaźń – powiedział cicho. – Obiecuję, że postaram się znaleźć sposób przekonania twojego ojca, żeby ci pozwolił widywać się z Davidem.

– Myślisz, że jest szansa? – wyszeptwała.

– Zawsze jest szansa – rzekł z mocą. – I zapamiętaj, *ma chere*: kiedy któryś de Trouvere decyduje się coś osiągnąć, mowy nie ma o porażce.

Dwa miesiące później Laurent znów przyjechał do Budapesztu i zaprosił Krisztinę na kolację do Gundel w Ligetten. Nad *szekely gulyas* i kurczętami z papryką powiedział, że wprowadzie w przekonywaniu jej ojca nie poczynił postępów, ale skontaktował się z Davidem.

– Wiem. – Zaczerwieniła się. – Pisał do mnie.

– Czy i o tym, żebyś występowała ze mną?

– Tak.

– Więc już wiesz, że on się temu nie sprzeciwia?

– Tak – powiedziała znów cicho.

Laurent odczekał.

– Czuwam nad Davidem, Krisztino.

– Jak to? Co to znaczy?

– To znaczy, że życie w Berlinie jest coraz bardziej niebezpieczne dla takich jak David i zawsze dobrze, kiedy człowiek może mieć przyjaciół.

Ogarnął ją lęk.

– Co się stało?

Kojąco poklepał ją po ręce.

– Nie denerwuj się, droga Krisztino, nic mu się nie stało. Przynajmniej jeszcze nic.

Oczy jej się rozszerzyły.

– Grozi mu niebezpieczeństwo?

Laurent szybko się rozejrzał i zniżył głos.

– Wszystkim Żydom w Niemczech grozi niebezpieczeństwo. Tysiące ich już wyjechało, tysiące

wyjeżdża.

– David nigdy nie wyjedzie bez swoich rodziców, a oni nie będą chcieli wyjechać.

– Więc tylko ostrzeż go, żeby był ostrożny i niczym nie zwrócił na siebie uwagi gestapo. A tymczasem... – Laurent zawahał się.

– Tak? – nastawała niespokojnie.

– Tymczasem ja porozmawiam z moim ojcem. Mój ojciec ma użyteczne znajomości w Niemczech, przede wszystkim mamy kuzyna w ambasadzie francuskiej w Berlinie. Może będziemy mogli puścić w obieg kilka dobrych słów o Kaufmannach.

– Och, Laurent, proszę cię! – Wzięła go za rękę błagalnie. – Jeżeli twój ojciec może pomóc, proszę, poproś go, żeby spróbował.

Lekko ścisnął jej palce.

– Oczywiście, nie obawiaj się.

Oczy miała pełne łez.

– Jak mam ci dziękować za twoją życzliwość, Laurent? Jesteś dla mnie tak bardzo dobry, o wiele lepszy, niż na to zasługuję.

Laurent rozparł się na krześle z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Z pewnością jest coś, co mogłabyś zrobić i co mnie by uszczęśliwiło.

– Powiedz, co! – wykrzyknęła impulsywnie.

– Tańcz ze mną.

Jej entuzjazm osłabł.

– Och, Laurent, jak mogę bodaj myśleć o tańcu w takiej sytuacji?

– Czy jak możesz nie myśleć?

– Nie rozumiem.

Laurent wzruszył ramionami.

– To proste. Pozbawiłaś się *la danse* na czas wiele za długi, Krisztina. Bez tańca jesteś jak marynarz bez słonej wody. – Oczy mu rozbłysły. – Jeżeli będziesz tańczyć... gdy zatańczysz znowu... wszystko w twoim życiu będzie ci się wydawało tysiąc razy jaśniejsze niż teraz. Możesz mi wierzyć.

– Ale David...

– David aprobeuje – przypomniał jej łagodnie. – Sama wiesz.

– On pisze – powiedziała po chwili – że z tobą mogłabym dojść do mistrzostwa.

– Ma rację – powiedział Laurent. – Przy sporym nakładzie pracy.

Nastąpiło długie milczenie. Krisztina wpatrywała się w niego zamyślona.

– Laurent, czy naprawdę postarasz się pomóc Kaufman – nom?

Popatrzył jej w oczy z powagą.

– Przysięgam.

Krisztina myślała, że wskutek rozłąki z Davidem dorosła, że miłość i cierpienie zheblowały każdą zadziorną nierówność dzieciństwa i zmieniły ją w kobietę, ale teraz nagle z ukłuciem w sercu uświadomiła sobie, że chyba jakaś jej część ginie raz na zawsze. Czy to śmierć jej młodości? Nie łączyło się z tym jednak uczucie żałoby, była tylko spokojna akceptacja.

Kąćki ust smutno jej opadły.

– Więc czy mogę odmówić? – powiedziała.

Zaczęli tańczyć.

Krisztina już prawie zapomniała, czym jest radość tańca, czyste uczucie ulatywania, jakie ją ogarniało, ilekroć wchodziła na parkiet. Wzruszenia miłości towarzyszące temu uczuciu, gdy tańczyła z Davidem, zniknęły może na zawsze, ale teraz doznawała innych wrażeń, chyba równie cudownych, bo o ile David był świetnym, z bożej łaski tancerzem, o tyle Laurent de Trouvere czarodziejem tańca. Nawet wśród wytwornych par *Sonderklasse* czarował swoim nieporównywalnym stylem: zawsze występował tak znakomicie, że cała publiczność, zwłaszcza kobiety, i najsurowsi jurorzy patrzyli zafascynowani. Krisztina, chociaż Laurent wymagał od niej o wiele większego nakładu pracy niż nawet sumiennie ćwiczący David, nie mogłaby zaprzeczyć, że po kilku zaledwie tygodniach, odkąd zajęła miejsce Alice Gebhard, czuje się tak dobrze, silna i skoncentrowana, jak nie czuła się przez długie miesiące.

Gdybym, tylko miała pewność, że David jest bezpieczny, wszystko na świecie byłoby w porządku, mówiła sobie. Napisała do niego, żeby się pilnował, jak Laurent radził, a on jej odpisał na wielu stronicach, serdecznie ją uspokajając, podkreślając, że stara się niczym nie narazić siebie i swojej rodziny, nadal jednak wciąż się o niego bała. Choćby już nigdy nie wolno im było tańczyć ze sobą, wyobrażała sobie, że gdyby przeniósł się z Niemiec na Węgry, może dzięki wstawiennictwu wszechmocnego Laurenta tatuś udzieliłby im błogosławieństwa i mogliby się pobrać... Tymczasem każdy list stawał się coraz cenniejszy.

Przez całą zimę 1936 i 1937 roku tańcząca w reprezentacji Francji nowa para de Trouvere i Florian szybko przyciągnęła uwagę zarówno publiczności, jak jurorów. Nadal pod skrzydłami Ilony, dumnej przyzwoitki, Krisztina pojechała z Laurentem do Paryża, do Genewy, do Marienbadu i wygrali te wszystkie trzy konkursy. Potem przez całą wiosnę ćwiczyli zawzięcie przed drugimi mistrzostwami Europy mającymi się odbyć w Berlinie.

Teraz jest zupełnie inaczej, rozmyślała Ilona z zadowoleniem, pomagając Krisztinie się pakować. Nawet sukienki to mówiły – wspaniałe, fałdziste modele Nilisy Priena i Kobe'a, nazywane cekinami, wielowarstwowe kreacje, które przyczyniały się do przeobrażenia jej córki. Wreszcie za sprawą Laurenta Krisztina znalazła się na wyżynie *Sonderklasse* – wreszcie reflektory w salach balowych sunęły z nią – i co najważniejsze, nie mogły jej dotykać szpetne ataki antysemityzmu, a już za to samo Ilona była nieustannie wdzięczna Laurentowi. Jeden tylko cień padał na radosne podniecenie. Gabor niemiłosiernie zarządził, żeby Krisztina, gdy będą w Berlinie, nie spotykała się z Davidem ani nawet nie rozmawiała z nim przez telefon, przy czym obarczył Ilonę odpowiedzialnością za przestrzeganie zarządzenia. Prawie nie mogło tego znieść jej czułe serce.

I absolutnie nie mogła tego znieść Krisztina. Zamierzała zobaczyć się z Davidem. Ojciec jest po prostu śmieszny, jeżeli wierzy, że ona da się wodzić za nos. Matka na pewno zechce udawać, że nie wie, chociaż oczywiście nie można żądać, żeby otwarcie oszukiwała ojca, a co do Laurenta – no, on chyba pomoże tak jak zawsze.

W Berlinie zatrzymali się w hotelu Adlon, mając dwa wolne dni przed początkiem konkursu. We troje spędzili pierwsze popołudnie na Unter den Linden, gdzie oglądali wystawy sklepowe,

dopóki Ilona nie zdecydowała, że powinni, zmęczeni podróżą, zrzemnąć się przed kolacją.

Krisztina czekała wsłuchana w oddech Ilony i gdy osądziła, że ona smacznie śpi, bezszelestnie wstała, włożyła niebieski jedwabny szlafrok, wzięła klucz tak, żeby nie brzęknął, i wymknęła się z pokoju.

Pokój Laurenta był dalej na korytarzu po przeciwnej stronie. Zapukała do drzwi niecierpliwie.

Laurent jeszcze się nie rozebrał, ale już zdjął krawat i rozpiął trzy górne guziki koszuli, odsłaniając kilka cali opalonego nieowłosionego torsu.

– *Bonsoir*. – Nie okazał zdumienia, widząc ją w negliżu przed swoimi drzwiami.

– Laurent – zapytała od razu – czy mogę skorzystać z twojego telefonu?

Nadal nie okazywał żadnego wrażenia.

– Chcesz zadzwonić do Davida – stwierdził.

– Tak. Proszę cię.

– Wejdz. – Usunął się, żeby weszła, zamknął drzwi i wskazał telefon na orzechowym biurku. – Znasz jego numer?

– Oczywiście. – Ten numer miała wyryty w sercu.

– Więc dzwoń, proszę bardzo.

Zawahała się.

Uśmiechnął się lekko.

– Wolałabyś, żebym wyszedł?

– Przepraszam – powiedziała zarumieniona. – To tylko dlatego, że tak dawno z nim nie rozmawiałam.

Sztywno, lekko się uklonił.

– *Bien sur*. – Podeszedł do drzwi. – Czy dziesięć minut to dosyć?

Podbiegła i pocałowała go w policzek.

– Wspaniale, dziękuję.

Usta mu zadrgały.

– A potem, przypuszczalnie, będziesz potrzebowała pomocy, żeby się z nim spotkać?

Zarzuciła mu rękę na szyję.

– Ach, Laurent! – wykrzyknęła. – Naprawdę jesteś najcudowniejszym przyjacielem na świecie!

Wrócił dokładnie po dwunastu minutach i zastał ją rozplómieloną, jeszcze siedzącą przy biurku.

– Dodzwoniłaś się?

Przytaknęła.

– I co tam u niego?

– Okropnie chyba – powiedziała niepewnie. – Myślę, że nie chciał mi powiedzieć, ale wszystko to brzmiało jakoś dziwnie. Niby normalnie, a jednak strasznie nienormalnie. – Potrząsnęła głową. – A nam wydaje się tutaj wszystko zwyczajne... poza tymi napisami i swastykami... i ludzie tacy zadowoleni i uprzejmi, podczas gdy oni... – urwała, zbyt zdenerwowana, żeby mówić dalej.

– Może to źle, że przyjechaliśmy do Berlina.

– Och, nie! – zaprotestowała.

– Czy umówiłaś się z nim?

W oczach stanęły jej piekące łzy.

– Z początku wydawało się nawet, że on nie chce mnie widzieć. Ale potem zrozumiałam, że chce mnie chronić. Jest niewskazane – zacytowała gorzko – żeby osoby wyznania niemiejzszowego zadawały się z Żydami.

– To fakt – potwierdził Laurent.

Błagalnie patrzyła na niego.

– Laurent, czy nam pomożesz? Proszę.

Odwrócił się i długo wyglądał przez okno. W końcu znów odwrócił się do niej.

– Pomogę. Pod jednym warunkiem.

– Wszystko, co chcesz.

– Ta... randka... nie może zakłócić naszego tańca. Przyjechaliśmy na *Europa Meisterschaft*, Kriszti. No... przecież po to pracowaliśmy tak ciężko. Jeżeli poczuję, że wkładasz w taniec mniej serca, niż powinnaś, nigdy już nie pomogę tobie i Kaufmannowi.

Z wielką ulgą Krisztina wstała od biurka i znów zarzuciła mu ręce na szyję.

– Laurent, na pewno cię nie zawiodę, przysięgam!

Odczekał chwilę.

– Więc proponuję: spotkajcie się tu, w tym pokoju – powiedział rzeczowo. – Tu będzie najbezpieczniejsze dla was odosobnienie.

Znów Krisztina się zarumieniała. To było więcej, o wiele więcej, niż pozwalała sobie marzyć – możliwość sam na sam; rzeczywiście sam na sam z Davidem! Marzyła o potajemnym spacerze, ręką w rękę w Grünwald: kilka ukradzionych chwil, pocałunek, być może, za drzewami. Teraz perspektywa prawdziwej schadzki wprost zapierała jej dech.

– I może to być wtedy – ciągnął Laurent – gdy będę mógł spokojnie przez godzinę czy dwie zająć czymś twoją matkę.

Zmartwiła się.

– Czym? Jak? Tatuś na pewno nieraz jej powtarzał, żeby mnie nie spuszczała z oka.

– Mam zamiar kupić jutro po południu jakiś prezent dla ciebie – powiedział Laurent. – Amulet na konkurs. Poproszę ją, żeby poszła ze mną, bo nikt mi lepiej nie doradzi niż ona. Nie odmówi.

Krisztina już w musującym oczekiwaniu radośnie klasnęła w ręce.

– Ty zawsze myślisz o wszystkim.

Laurent był obojętny i daleki.

– Dałem słowo, że pomogę ci, Krisztino – powiedział – więc ci pomagam.

Nazajutrz o trzeciej po południu Krisztina w pokoju Laurenta podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież. David stał na korytarzu, światło z okna padało na jego twarz. Był jeszcze przystojniejszy niż dawniej, trochę opalony, bo ostatnio słońce w Berlinie wciąż świeciło, ale szczuplejszy, niż go pamiętała. Jego niebieskie oczy iskrzyły się, gdy patrzył na nią, zobaczyła w nich jednak napięcie ubiegłych miesięcy.

Wyciągnęła ręce, David wszedł do pokoju, cicho zamykając drzwi za sobą. Taki szczupły i twardy, gdy ją do siebie przytulił, i policzki miał gładkie i chłodne. Pamiętała jego zapach, sosnową wodę kolońską, której zawsze używał, i teraz z tym zapachem nasunęły się wspomnienia, ale uleciały natychmiast wobec wstrząsu teraźniejszości, nowego przeżycia. David odsunął ją, przytrzymał przez krótką chwilę na długość ręki, po czym przyciągnął ją do siebie i pocałował. Poczula jego usta zdumiewająco ciepłe i żywe, jego język jędrny i słodki.

Zamknęła oczy. Rzęsy jej trzepotały, gdy całował ją w lewe ucho, wargami skubał płatek ucha i wodził po szyi, zanim ukrył twarz w jej włosach. Pomyślała z radością i niepokojem, że gdyby teraz ją puścił, chybaby upadła – serce jej biło tak szybko, ledwie mogła oddychać.

– Och, Kriszti – szepnął.

Przywarła do niego gwałtownie i poląły się łzy namiętności, rozradowania, zakłopotania...

– Nie płacz, Kriszti. – Tkliwie ocierał palcami jej mokre policzki. – Strasznie mi przykro, kiedy płaczesz.

– Nie mogę się powstrzymać – wyszlochała. Kurczowo trzymała go za ramiona. – Czekałam tak długo.

– Wiem, *Liebling*, wiem, co czujesz – próbował ją pocieszyć. – Ja czuję to samo.

Odsunęli się od siebie, nagle zdając sobie sprawę, że trzeba czegoś więcej niż pożądanie i wzruszenie, żeby przebyć odległość, jaka nieuniknienie ich dzieli – powinni swoje myśli przetłumaczyć na słowa, zanim będą mogli upajać się dalej słodyczą tego spotkania. Poszarpana rana przymusowej rozłąki nie da się po prostu zeszyć paroma pocałunkami: bez porozumienia i zaangażowania nie zasklepi się dostatecznie i znów się otworzy.

Podeszli do kanapy i usiedli prawie ceremonialnie, oboje nagle onieśmieleni.

– Mamy tylko dwie godziny – powiedziała Krisztina cicho.

– Najwyżej. – David ujął jej rękę.

Spojrzała mu w oczy.

– Jak żyjesz, *edesem*?

– Nieźle. Mówiłem ci przez telefon.

– Nie uwierzyłam. Teraz powiedz prawdę.

Uśmiechnął się.

– To prawda. Mam szczęście. O wiele większe niż niektórzy moi znajomi.

– Co z nimi?

– Utarczki z gestapo. Niektórzy zniknęli. – Wzruszył ramionami. – Ludzie znikają w tych czasach.

– Gdzie? – zapytała z lękiem. – Co się z nimi dzieje?

– Są w więzieniu, być może – powiedział wymijająco. – Nie wiem. Właściwie nikt nie wie.

Zadrżała.

– David, myślałam i myślałam. Jestem pewna, że powinieneś wyjechać z Niemiec. Czy nie możesz przenieść się do Budapesztu? Mógłbyś mieszkać u nas.

– Twój ojciec na pewno byłby zachwycony – mruknął ironicznie.

Zignorowała jego ironię.

– Mama byłaby po naszej stronie.

– Spodziewam się. – Złagodniał. – Ale to niemożliwe.

Przygryzła wargę.

– A Francja?

– Co, Francja?

– Laurent mówi, że jego ojciec ma kuzyna w ambasadzie francuskiej w Berlinie i że ten kuzyn mógłby ci pomóc. Laurent mówi, że wszystkich arystokratów na świecie wszędzie łączy niewidzialny, naturalny łańcuch.

– Laurent sporo wie – powiedział David oziębło.

– Tak, sporo – przytaknęła, nie zauważając ironii. – Gdybyś wyjechał do Francji, mogłabym do ciebie przyjechać... Laurent by nam pomógł.

Uśmiechnął się, rozczulony jej naiwnością.

– Nawet gdyby to było możliwe, Krisztino, a jest mało prawdopodobne, zapominasz o moich rodzicach. Ojcu dosyć ciężko się pogodzić z tą zmianą w życiu, a matka wcale nie jest odporna.

– Więc też powinni wyjechać.

– Nie chcą zostawić domu, kochanie. Nic więcej już nie mają.

Krisztina westchnęła i przytuliła się do niego. Z korytarza doleciał turkot wózka, szcęk porcelany. David zerwał się.

– Zamknę drzwi na klucz. – Przeszedł przez pokój i przekręcił klucz w zamku.

– Wróc – powiedziała Krisztina cicho. – Chcę, żebyś był przy mnie.

Usiadł z powrotem i objął ją ramieniem.

– Opowiedz mi – powiedział z niezgłębionym wyrazem twarzy – o tańcu. Jak ci się tańczy z Laurentem?

Zapatrzyła się na niego.

– Hm... świetnie – bąknęła.

– Czytam recenzje, oczywiście... Wiem, jak wspaniale się spisujecie.

– To nie to samo, co z tobą – powiedziała lojalnie.

– Rezultaty są lepsze.

– My byśmy też takie mieli, gdyby nam dali czas. – W poczuciu winy czuła, jak palą ją policzki.

– Wiem. – Patrzył na nią. – Powiedz mi, jak jest w *Sonderklasse*. Podziel się ze mną tym marzeniem, Kriszti, przynajmniej w słowach.

Przygryzła wargę.

– Jest inaczej – zaczęła nieśmiało. – Bardziej... profesjonalnie, nie tak czarownie. – Napotkała jego wzrok. – Z tobą zawsze to było coś najnaturalniejszego w świecie... jak gdybyśmy tańczyli tylko dla siebie.

– Pierwsze doznanie – rzekł spokojnie – zwykle najlepiej się pamięta. – I dodał po chwili: –

Wszystko pierwsze. – Mocniej objął ją w talii. Ogarnęło ją jakieś nowe podniecenie.

– Pocałuj mnie, proszę – szepnęła.

Podniosła twarz ku jego twarzy, opuszczając powieki, ochocza, gotowa. Najpierw był delikatny pocałunek, potem szereg maleńkich całusów w policzki, w powieki, w czoło i włosy. I znów poczuła jego wargi na ustach, ale teraz namiętne, miazdzące. Ten pocałunek pozbawił ją tchu, rozesał po całym jej ciele rozedrgane sygnały, które zmieniły się w kulkę żaru pomiędzy udami, tętniącą, promieniującą w dół, do palców nóg.

Odchyliła się, nabierając tchu, i spojrzała na Davida, a potem z przeraźliwym zakłopotaniem, rozpaczliwie wyczekująca, przeniosła wzrok – na duże podwójne łóżko. Wydawało się nagle, że to jest punkt centralny całego pokoju. Patrzyła na łóżko przez chwilę, a potem znów spojrzała na Davida.

– David?

Spojrzał w tym samym kierunku, coś zajaśniało w jego oczach i zgasło.

– Chyba nie – powiedział.

– Dlaczego?

– To nie dla nas.

– Moglibyśmy tylko położyć się przy sobie – wyszeptała, zdumiona swoim bezwstydem.

– Niemożliwe. – Uśmiechnął się i powiódł ustami po jej szyi.

– Proszę cię, kochanie – błagała, na pół dławiąc się nowymi łzami. – Ja chcę. – Patrzyła mu w oczy. – Nade wszystko w świecie.

Odsunął się.

– Nie wiemy, kiedy znów się zobaczymy, Kriszti – powiedział trochę szorstko. – Za nic nie chcę przysporzyć ci cierpienia.

– Nie przysporzysz.

– Tego, *Liebling*, nie możesz wiedzieć.

– Przysięgam, że nie przysporzysz. I w każdym razie, skoro nie możemy się widywać, przecież tym bardziej musimy wykorzystać ten krótki czas, jaki mamy. – Z rozmysłem i zarazem w szalonym niepohamowaniu, wprost dla niej niepojętym, zaczęła żarliwie całować go w usta, a potem w szyję. Szarpnięciem rozluźniła mu krawat i drżącymi palcami rozpięła pierwsze dwa guziki koszuli. Pochyliła głowę, całowała ciemne włoski na jego piersi.

– Kriszti, proszę – zaprotestował słabo – jeżeli to robisz, jakże mogę się tobie oprzeć?

– Masz się nie opierać – powiedziała, nabierając coraz więcej siły, całując go w ucho, tak jak przedtem on całował ją. – Nie chcę, żeby to... nigdy...

Z cichym jękiem David wstał z kanapy i chwytając Krisztinę za nadgarstek, pociągnął ją za sobą. Na twarzy miał wyraz czułości i gniewu.

– Kriszti, jesteś pewna? – zapytał.

– Tak, och, tak.

– Bezwzględnie pewna? – Nie spuszczał wzroku. – Ja wiem, że pragnę ciebie jak nikogo i niczego w życiu. – Głos mu drżał. – Ale ty musisz zrozumieć, jakie to jest rzeczywiście ważne.

Zareagowała na jego powagę uśmiechem. Ważne? To przecież najbardziej zapierające dech, wstrząsające, doniosłe wydarzenie w całym jej życiu! Uniosła podbródek i głęboko spojrzała Davidowi w oczy. Tylko lekkie drżenie ust zdradzało jej zdenerwowanie.

– Nigdy niczego nie byłam tak zupełnie pewna. Chcę ci się oddać, Davidzie.

Powoli, już bez słowa, podeszli do łóżka jak lunacy. Nie wiedząc, co zrobić teraz, ale wyczuwając, że jeszcze jeden gest zdecydowania jest potrzebny, żeby przekonać Davida, Krisztina zrzuciła z nóg pantofle. Poczula pod stopami gruby włos hotelowego dywanu.

Stali w niezręcznym milczeniu i pośpiesznie zastanawiali się nad następnym posunięciem. David chciał rozebrać Krisztinę, ściągnąć ramiączka kretonowej sukienki z jej ramion, całować je obnażone, ale bał się, że zbyt dużą skwapliwością wprawi ją w zakłopotanie. Spojrzał na okna – w pokoju było za jasno. Powinien zasunąć zasłony, pomyślał, stał jednak nieruchomo, bojąc się odejściem od Krisztiny zepsuć nastrój.

Ona teraz, gdy ten moment nadszedł, zapragnęła nade wszystko uciec do łazienki, ale jakoś wiedziała, że gdyby okazała bodaj trochę niepokoju, David może by się rozmyślił, więc też stała zdecydowana i czekała na jego inicjatywę.

Po chwili, trwającej trochę więcej niż minutę, ale wydającej się im obojgu godziną, David znalazł kompromis. Szybko pocałował ją znowu, tak gorąco, że oboje omal nie stopnieli, po czym obrócił ją delikatnie i rozpiął suwak jej sukienki na plecach. Zostawił ją, żeby zdjęła sukienkę sama, błyskawicznie się rozebrał i wśliznął do łóżka.

Odwrócona tyłem Krisztina usłyszała szelest prześcieradeł, skrzypnięcie sprężyn i zamknęła oczy, jak gdyby mrok pod powiekami mógł ją uczynić niewidzialną. Zdobywając się na odwagę, pozwoliła sukience opaść jej do stóp i sięgając w tył, rozpięła stanik. Otworzyła oczy, szybko spojrzała na swoje piersi i w majtkach dała nura pod kołdrę.

Często marzyła, że kiedyś będzie tak blisko Davida, ale w jej wyobraźni zbliżenie było otulone w romantyczną mgłę niewinności; odbywało się na łące albo na plaży, albo nawet pod osłoną falujących łąnów żółtej pszenicy i karmazynowych maków... Nie wyobrażała sobie niezwykłego uczucia, bliskości cielesnej przy ciele. Czasami w kąpeli dotykała się, poznając gładkość swojej skóry, ale teraz się zdumiała, tak inne było dotknięcie skóry Davida – trochę szorstkiej, jędrnej i wspaniale elastycznej; wydawało się, że mięśnie i ścięgna dosłownie falują tuż pod naskórkiem, gotowe trzymać ją, zagarnąć, może nawet zgnieść...

David przysunął się bliżej i delikatnie ją objął. Przyłgnęli do siebie od ramion do palców nóg. Z szerokim, chłopięcym uśmiechem powoli, cierpliwie, ściągnął z niej majtki. Zarumieniona pomagała mu przy tym, czując, jak pożądanie i siła raptownie w nim wzbierają. Zauważył, że ona drży, a przecież ku jego radości nie odsuwa się, tylko przytula jeszcze mocniej.

Zaczął ją powoli głaskać po plecach i pięścić miarowo, czule, całą dłonią. Potem czubkami palców dotarł po linii jej kręgosłupa do pośladków i aż się skręciła, tak nieznośnie, niewiarygodnie rozkoszne było to nowe doznanie. Odsunął się. Czujnie, ale ufnie, leżała na wznak, z oczami otwartymi, wyczekując jakiejś jego wskazówki, nadal zbyt niepewna siebie, żeby zdać się na instynkt.

Po raz pierwszy David ujął w dłonie jej piersi. Nakrył je dłońmi, głaskał, muskał twarde, małe brodawki, czując jej drzenie. Zsunął palce na gładki brzuch poniżej pępka i dalej w miękki pagórek, w złociste futerko. Cicho miauknęła i rozchyliła trochę uda, dotychczas ciasno zwarte. Delikatnie dotykał, łaskotał, badał. Zachłysnęła się i zamknęła oczy, zgorszona, ale przejęta rozkoszą, którą dawały jego ręce.

– Trzymaj mnie – pouczył ochryple – obejmij mnie.

Z oczami nadal zamkniętymi usłuchała, odwracając się na bok do niego, bardzo rozczerowana, gdy wysunął rękę pomiędzy jej nóg, żeby ją objąć. Ale po raz pierwszy poczuła jego erekcję. Do podniecenia dołączył się szalony lęk. Pojęła, co się stanie.

– Kriszti – powiedział David gorączkowo, z ustami tuż przy jej uchu – czy jesteś pewna? Rzeczywiście pewna?

Przez krótką chwilę znów pragnęła uciec, ukryć się w łazience, otulić się dzieciństwem. Potem otworzyła oczy. Na twarzy Davida zobaczyła tyle miłości, ciepła i niepokoju, że chciała już tylko mieć go zawsze przy sobie.

– Przysięgam. – Dotknęła palcem jego ust.

– Postaram się, żeby nie bolało – powiedział przerażony, bo jednak miał jej sprawić ból, ale ośmielony wyraźnym w jej oczach uwielbieniem, zmartwiony, bo mógłby jej sprawić zawód, ale roznamiętniony prawie nie do wytrzymania jej widokiem, jej bliskością i jej zapachem.

– Nieważne – wyszeptała. Serce jej wprost pękało z miłości.

Tkliwie odwrócił ją na wznak, pocałował w usta i prawą ręką rozsunął jej uda. Znów sięgnął w blond kędziorki, usłyszał jej powitalny jęk rozkoszy i tak już niecierpliwie, że palce mu się trzęsły, pogłaskał jej srom, ku jego uszczęśliwieniu, otwarty i wilgotny. Szybko uklęknął przy łóżku i ukrył twarz w jej udach, czując, jak ona sztywnieje ze zdumienia i zaraz się odpreża, gdy pieści ją językiem... Wkrótce zaczęła spontanicznie, miarowo poruszać biodrami i szeptać szaleńczo po węgiersku i wtedy wiedział, że już jest ta chwila, i oby miał rację...

Krisztina nie przypuszczała, że to będzie aż takie bolesne. To było jak przeszycie włócznią i mimo woli krzyknęła cicho z bólu. David natychmiast się wycofał. Twarz miał wykrzywioną pożądaniem i niepokojem.

– Nie! – krzyknęła. – Nie przestawaj!

– Boli cię...

– Nie szkodzi. – Objęła go i przyciągnęła z powrotem. – Strasznie ciebie chcę.

Jak mógł najdelikatniej, wsunął się w nią znowu i tym razem na szczęście poszło lepiej. Gdy poruszał się w przód i w tył, to, co było przedtem bólem, zmieniło się w trawiące ją pożądanie i ogromne, czyste wzruszenie, jakiego dotąd nie знаła. Raczej bezwiednie poruszała się z Davidem w zespoleniu prawie doskonałym i wykrzykiwała cicho słowa miłości i słowa namiętności, aż raptem David uszedł z niej, pozostawiając ją, opuszczoną, pustą, nieznośnie udaremioną.

Nigdy dotąd nie doznała wielkiego rozczarowania, więc wykrzyknęła, żeby wrócił. Ale David tylko jęknął głośno i zrobiło jej się mokro na brzuchu. Dopiero po chwili zrozumiała. Rozczarowanie było głupie, pokochała Davida jeszcze bardziej.

– Przykro mi, Kriszti, kochana moja – wykrztusił. – Musiałem cię uchronić.

– Wiem, *edesem* – szepnęła, słysząc w swoim głosie dumę.

Znów leżeli przy sobie twarzą w twarz i wdychała jego nowy piżmowy zapach, najpierw z niezmaconą radością, a potem ze strasznym smutkiem, bo już spadała z obłoków.

David spojrział na zegarek, nienawidząc rzeczywistości, która mu to nakazała.

– Nie mamy dużo czasu – szepnął. Położył głowę na ramieniu Krisztiny dojmująco świadom, że jest młoda, nieopance – rzona, piękna i że wkrótce – tego nagle był niepodważalnie pewny – zostanie mu zabrana. Ta rozpaczliwa pewność omal nie wezbrała w nim łzami.

Krisztina poczuła, jak on, ciepły i twardy, zadrżał, usłyszała jego westchnienie. Szloch wyrwał

jej się z gardła. Z tak ogromnym wysiłkiem panowała nad sobą, że kości ją rozboleły. Leżała, przytulając Davida, zdecydowanie odkładając płacz na później, gdy będzie sama. Wtedy może nigdy płakać nie przestanie.

Laurent wrócił do swego pokoju parę minut przed szóstą i zastał pokój w porządku, łóżko tak ładnie zasłane, jak je zostawił, okna otwarte, ale jakaś nowa woń perfum, wody kolońskiej i seksu unosiła się w powietrzu. Rzucił prezent dla Krisztiny, elegancko zapakowane pudełeczko z klejnotem, na biurko, podniósł słuchawkę telefonu i zamówił kawę i butelkę Johnnie Walkera. Przyniesiono mu to dziewięć minut później. Dał kelnerowi napiwek, zamknął drzwi na klucz, napełnił filiżankę kawą i z ustami zaciśniętymi z obrzydzeniem chlusnął ten czarny płyn na łóżko. Potem wezwał pokojówkę.

– Proszę zmienić pościel.

Gdy pokojówka odeszła, nalał sobie whisky, wypił jednym palącym łykiem, położył się na łóżku i zamknął oczy. Świeże prześcieradła były chłodne, czyste, ale mocna woń pozostała w jego nozdrzach i mdliła, wizja tych dwojga, nagich, splecionych, przesłaniała mu każdą myśl. Otworzył raptownie oczy i zapatrzył się w biały sufit.

– Wszystko – mruknął z zawziętością – wszystko, byleby ją dostać. Za wszelką cenę. – Nadal wpatrywał się w sufit, nie mrugając, aż piekły go w oczach neuronione łzy.

Jutro, pomyślał zdesperowany, będziemy tańczyć i wygramy, i ona zapomni o Kaufmannie. Znow zamknął oczy i starał się wyczarować widok sali balowej, dźwięki muzyki i oklaski, ale wciąż widział tylko Krisztinę z Davidem. Usiadł udręczony i spojrzał tęsknie na butelkę whisky. Głupota, zważywszy na jutrzejszy dzień, ale bez tego jak dzisiaj zasnąć?

– Cholerny Kaufmann! – syknął. Pocieszająca przelotna myśl o tym, co wkrótce nastąpi, rozciągnęła jego zaciśnięte wargi ponurym uśmiechem.

Wstał, znow nalał sobie whisky i podniósł szklankę.

– Niech go diabli porwą do piekła i dalej! – powiedział. Wypił, rzucił szklanką o ścianę. Rozbiła się na sto kawałków, które migotały na dywanie jak brylanty.

Krisztina obudziła się nazajutrz, pewna, że będzie jej ciężko na sercu, ale, o dziwo, czuła dziwne uniesienie, jeszcze rozgrzana wspomnieniem poprzedniego popołudnia. Zdumiewająco pełna życia i stanowcza, gdy czekała na swoją kolej do kąpieli, niezłomnie postanowiła znow zobaczyć się z Davidem. To ich pierwsze upojne spotkanie nie może w żadnym razie być ostatnie, bez względu na wszelkie sprzeciwy, zakazy i przeszkody.

Ilona wyszła z łazienki, owinięta dużym białym ręcznikiem.

– Woda dla ciebie już leci. – Uśmiechnęła się do córki. – Jak się czujesz? Bardzo zdenerwowana?

– Raczej podniecona, mamo – odpowiedziała Krisztina szczerze.

Dzisiaj, przyrzekła sobie, po części odwzięczę się Laurentowi za jego szlachetność, będę tańczyła lepiej niż kiedykolwiek dotąd. Tak samo jak nie wątpiła o swojej miłości do Davida, była przekonana, że mogą wygrać i wygrać.

Koło jedenastej wieczorem Laurent i Krisztina już byli nowymi mistrzami Europy. Potem przez

odurzające dwie i pół godziny oblewali swoje zwycięstwo szampanem Paittingera, tańczyli szalone, pełne ekspresji tanga i charlestony, gawędzili, pewni siebie i swobodni, z reporterami z prasy i radia, pozowali do fotografii dla miejscowych, krajowych i międzynarodowych gazet i dali się sfilmować do kroniki *Wochenschau*.

Krisztina, w końcu kładąc się spać, serce miała lekkie, wprost skrzydlate. Życie nagle jest takie dobre. Bóg jest szczodry, szczęście wreszcie się uśmiecha. Myśli jej musowały jak szampan. Jeszcze trochę i będziemy mistrzami świata. I co ważniejsze, ona i jej ukochany David z pomocą drogiego Laurenta pokonają Gabora i będą razem już zawsze.

Nazajutrz rano, gdy Ilona i Krisztina spodziewały się spać co najmniej do jedenastej, żeby nabrać świeżych sił na bankiet mistrzów i występ galowy, kwadrans po dziewiątej obudził je ostry dzwonek telefonu przy łóżku.

Krisztina sięgnęła po słuchawkę.

Laurent nie marnował słów.

– Weź się w garść, Krisztino. – Umilkł na chwilę. – David aresztowany.

Pokój zakolał, mdłości napełniły jej gardło.

– Krisztino, słyszysz mnie?

Nie mogła mówić. W drugim łóżku Ilona usiadła, zaniepokojona nagłą bledością córki.

– Co?... – Krisztina prawie nie poznawała swojego głosu, tak zgrzytnęło to jedno słowo. – Co się stało? Na litość boską, co się stało?

– Spotkajmy się na dole w *Marmorsaal*.

– Co się stało, Laurent?

– Nie teraz – powiedział kategorycznie. – Przyjdź, jak możesz najprędzej.

Na dole, w cichym kącie dużego marmurowego salonu, Laurent ujął Krisztinę za rękę.

– Mówiłaś matce?

Przytaknęła, bardzo blada.

– Przyszli do mnie dziś nad ranem – powiedział z twarzą bez wyrazu. – Zdaje się, że ciebie i Davida ktoś – przedwczoraj... obserwował. Nie wiem, jakiś partyjny chyba. Kiedy przyszli do mnie, było za późno... już aresztowali Davida.

– Ale dlaczego?

Zacisnął usta.

– Oni to nazywają *Rassenschande*, splugawienie rasy. – Nadal mocno trzymał ją za rękę. – Do mnie przyszli tak dyskretnie, tylko przez kurtuazję, wzgląd na moją rodzinę. Na ogół, kiedy można by logicznie podejrzewać, że ja, gość w Niemczech, spiskowałem z Żydem, żeby...

– Laurent, dość! – Była popielata ze zgrozy.

– Po prostu podaję ci ich punkt widzenia, *ma chere*.

– Mówisz tak, jakbyś się z nimi zgadzał.

– Wiesz, że się nie zgadzam – powiedział – ale, jak mówię, w innych okolicznościach mogliby o wiele mniej być delikatni.

– Delikatni? Przecież aresztowali Davida!

Laurent ostrzegawczo podniósł palec do ust.

– Proszę, mów ciszej, Krisztino. Rzeczywiście, odnieśli się raczej wielkodusznie, przynajmniej

do mnie. Powiedzieli, że ja na pewno o tym nie wiedziałem.

– I co im powiedziałaś? – zapytała niespokojnie. – Musieli wiedzieć, że nam pomogłeś, skoro wiedzą, że byliśmy w twoim pokoju.

– Mogło być inaczej. Ostatecznie mnie nie było w hotelu, więc mój pokój był niejako do dyspozycji. Klucze czasami można dostać za pewne wynagrodzenie.

Krisztina szarpnęła się za włosy.

– Ale to by znaczyło, że David kogoś przekupił...

Laurent wziął ją pod ramię, pchnął lekko, ale stanowczo na fotel i usiadł naprzeciw niej.

– Krisztino, przede wszystkim musisz zapomnieć o swoim oburzeniu i słuchać, co mówię.

– Ale ja...

– Nie! – powiedział ostro.

Przygryzła wargę.

– Dobrze. Mów dalej.

Ciągnął:

– Woląłem ich nie oświecać co do mojego wkładu w tę sprawę. Bo tylko bym się pozbawił jedyne go sprzymierzeńca. – Patrzył na nią bacznie. – Oni naturalnie interesowali się tobą.

– Mną? – Wydawała się bardziej opanowana, niż była.

Pochylił się ku niej dobrotliwie.

– Droga Krisztino, powinnaś zdawać sobie sprawę, że ten skandal, gdyby wypląnął, zniszczyłby ciebie, twoją karierę i reputację twojej rodziny...

– Mało mnie to obchodzi! – wykrzyknęła z pasją. – Obchodzi mnie tylko David... muszę mu pomóc.

– Ty nie możesz.

– Oczywiście że mogę! Jeżeli pójde do nich i powiem, że to był wyłącznie mój pomysł, że ja go do tego namówiłam... a on się nie zgadzał... i naprawdę się nie zgadzał, Laurent, naprawdę, przysięgam. – Oczy miała pełne łez. – Jeżeli im to wszystko powiem, będą musieli go wypuścić.

– Ani by im się śniło – zaprzeczył spokojnie. – Najwidoczniej nie pojmujesz należycie powagi sytuacji Żydów tutaj, w Niemczech. Wystarczy, żeby Żyd wysunął się o cal z szeregu, natychmiast go zamykają. I możesz mi wierzyć, Krisztino, w oczach hitlerowców *Rassenschande* jest najcięższą ze wszystkich zbrodni.

– Ależ to potworne!

Laurent rozejrzał się trochę nieswojo. Byli niezupełnie sami, na drugim końcu salonu dwie pary siedziały, popijając kawę.

– Proszę, staraj się trzymać w ryzach – upomniał. – Nie czas ściągać na siebie uwagę. Jesteś poniekąd osobistością w Berlinie. Pomyśl, jaki tłusty kasek zrobiłyby z tego gazety. Pomyśl, jak skutki tego odbiłyby się na twoich rodzicach.

Krisztina uniosła pięść i zaczęła ogryzać kłykcie.

– Pierwszy krok – ciągnął Laurent – to wyjedziesz stąd możliwie jak najszybciej.

Spojrzała na niego przerażona.

– Chyba pierwszy krok to pomóc Davidowi. Nawet jeżeli przyznaję, że nie mogę tak po prostu popędzić mu na ratunek, przecież z pewnością coś możemy zrobić, jakoś załatwić jego zwolnienie. Choćby wziąć adwokata.

– Daję ci słowo, że zrobię dla niego wszystko, co w mojej mocy. Bardzo się starałem ich w nocy przekonać, żeby go puścili, ale nie było żadnej nadziei. Przede wszystkim chodzi mi o uchronienie ciebie.

– Nie wyjadę z Berlina, dopóki David jest w areszcie – powiedziała uparcie. – Nikt nie może mnie zmusić.

Nuta karcąca znów zabrzmiała w głosie Laurenta.

– Ja mogę. Jesteś jeszcze dzieckiem, przynajmniej według prawa, i kiedy twój ojciec się o tym dowie, bądź pewna, że zawlecze cię z powrotem do Budapesztu.

– Czy tatuś musi wiedzieć?

– Teraz zachowujesz się jak dziecko. W jednej chwili jesteś gotowa bić się z całym hitlerowskim reżimem, a w następnej chcesz uciec przed konsekwencjami swojej dorosłości, zataić prawdę przed ojcem.

Jak gdyby dla złowieszczonego podkreślenia sytuacji przez hol *Marmorsaal* przeszli do kontuaru recepcji czterej oficerowie SS i zaczęli, najwyraźniej groźnie, rozmawiać z portierem. Krisztina pomyślała o Davidzie, zupełnie samym gdzieś, Bóg wie, gdzie...

– Krisztino – zgrzytnął głos Laurenta.

– Tak?

– Ufasz mi czy nie ufasz?

– Och, tak – powiedziała gorączkowo. – Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś? Oczywiście, ufam ci... jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Laurent znów się uśmiechnął.

– *Tres bien*. Więc proszę, zrób to, co ci powiem.

Rozłożyła bezradnie ręce.

– Nie wiedziałabym, co zrobić innego.

– Dobrze. Więc pójdziesz na górę i ty, i twoja *maman* zaraz spakujecie wasze rzeczy, zostawicie tylko suknie na bankiet, twoją suknię na występ galowy i naturalnie kostiumy do podróży.

– Spodziewasz się, że będę jadła? – zapytała z niedowierzaniem – że będę rozmawiała z ludźmi, jakby nic się nie stało? Ze będę tańczyć?!

– No pewnie – powiedział zdecydowanie. – Jesteśmy nowymi mistrzami Europy, nie zapominaj.

– Nie mogę!

– Możesz i musisz. Uważajmy się za szczęściarzy, że oni na to pozwolili. Myślałem, że może zakazą ci wystąpić, ale zapewnili, że twoje nazwisko wyłączą z tej sprawy, jeżeli natychmiast po gali wyjedziesz z Niemiec i porządnie zastanowisz się nad swoim szaleństwem.

Krisztina chciała wrzasnąć, ale zdławionym głosem powiedziała:

– Nadal uważam, że Davidowi jestem potrzebna w Berlinie.

– Nie bądź naiwna, Krisztino! – Laurent się zaperzył. – Powtarzam po raz ostatni, nic... ale to zupełnie nic nie możesz dla niego zrobić. – Prędko mówił dalej. – Kiedy będziecie się pakować, pozałatwiam wszystko, co konieczne.

Znów trochę się powściągnęła.

– A co ty zrobisz dla Davida – zapytała spokojnie – skoro ja najwidoczniej nie mogę nic

zrobić?

– Dla Davida – odpowiedział z powagą. – Zacznę od bezpiecznego wywiezienia cię stąd i dopilnowania, żebyś zachowała swoją dobrą, jak dotąd niepokalaną reputację. – Nagle znów pochylił się ku niej i znów serdecznym, uspokajającym gestem uściskał jej zimną rękę. – Potem wrócę do domu i porozmawiam z ojcem, żeby w sprawie Davida jak najlepiej wykorzystać koneksje naszej rodziny. – Wpatrywał się w nią. – Cokolwiek zrobisz, Krisztino, nie mów swojemu ojcu za dużo i nie wplątuj mnie. Bo jeżeli on ci zabroni widywać się także ze mną, może mi to związać ręce. – Odczekał i dodał: – Zwolnienie Davida niełatwo będzie osiągnąć, *ma chere*.

Oczy miała nadal mokre.

– Wierzę, że potrafisz osiągnąć wszystko, na czym ci zależy, Laurent.

Wzruszył ramionami.

– *Peutetre*.

Wstała, pochyliła się i pocałowała go serdecznie w policzek.

– Postaraj się, jak możesz najbardziej – wykrztusiła – dla mnie.

Laurent zamknął na chwilę oczy.

– Gdybyś tylko wiedziała – powiedział cicho, otwierając oczy – ile ja bym dla ciebie zrobił, Krisztino.

Gdy przyjechali do Budapesztu, Gabor zatrzymał Laurenta na kolacji, a Krisztinę wygnał do jej pokoju z talerzem zupy i kromką chleba. Przy stole ignorował Ilonę, był bardzo małomówny i niczym nie nawiązywał do wydarzenia, które spowodowało tak niestosownie pośpieszny powrót żony i córki z Berlina.

Po kolacji, siedząc sam z Laurentem w gabinecie, miał nos i policzki szkarłatne od nadmiaru Egri Bikaver i wzburzenia. Prawie krępował się mówić, tak bardzo się rozczarował, tak wielką poniósł klęskę. Pragnął zniknięcia Kaufmanna z życia Krisztiny, ale wymarzył sobie dla niej coś więcej, a mianowicie nazwisko de Trouvere i wszystko, co za tym idzie. Teraz, wobec takiego wstydu, takiej ohydnej hańby, to marzenie legło w gruzach, bo przecież baron i jego rodzina z pogardą raz na zawsze odtrąca Florianów.

Gdy usłyszał od Laurenta, że David i Krisztina spotkali się w jego, Laurenta, pokoju, przeraził się i nie dowierzał.

– Na miłość boską, jak mogłeś dopuścić do takiej obrzydliwości?

Laurent wydawał się zmieszany.

– Nie było mnie w hotelu przez kilka godzin, Krisztina wiedziała, że mój pokój będzie wolny. – Zrobił nieokreślony gest. – Jakiś niedoświadczony portier w recepcji, być może...

– Ale jej matka... – Gniew Gabora wzrastał. – Poleciałem kategorycznie, żeby w czasie pobytu ani na chwilę nie zostawiła Krisztiny samej.

– *Madame* Florian jest bardzo sumienną opiekunką! – powiedział Laurent. – Rzadko odchodziła od Krisztiny, ale wtedy... – znów się zmieszał. – Chciałem coś kupić na Kurfiirstendamm i, niestety, poprosiłem *madame*, żeby mi towarzyszyła.

– W Berlinie?! – ryknął Gabor, zrywając się na równe nogi. Pokręcił głową. – Tobie nie mogę mieć za złe... nie jesteś dozorcą mojej córki... ale Ilona wiedziała, że przy najmniejszej okazji Krisztina wymknie się i spotka z Kaufmannem!

Laurent też wstał.

– Nie może pan winić małżonki. Jestem pewny, że gdyby cokolwiek podejrzewała, w żadnym razie nie poszłaby ze mną.

Gabor zdusił cygaro w popielniczce.

– Jesteś zbyt wielkoduszny.

W piętnaście minut później Gabor stanął naprzeciw Ilony po drugiej stronie łóżka. On był siny, ona była blada.

– Jak mogłaś?

– Co?

– Nie udawaj niewiniątka! – warknął. – Jak mogłaś być taka głupia! Przez ciebie ona się spotkała z tym plugawym wieprzem, już nie mówiąc o... – Urwał, omal się nie zadławił.

– Gabor – wyjąkała Ilona. – Nie było mnie wtedy w hotelu.

– O tym dobrze wiem, ty kretynko! Gdybyś była, gdybyś jej pilnowała tak, jak kazałem, to wszystko by się w ogóle nie stało!

Usiłowała być spokojna.

– Owszem, postąpiłam nieostrożnie, Gabor...

– Nieostrożnie? Jesteś głupia jak but i zdradziecka. – Omal nie zaczął wrywać sobie resztek włosów z głowy. – Wiem tylko, że to przez ciebie nasza córka się skompromitowała i utraciła swoją jedyną szansę na to, żeby wspaniale wyjść za mąż.

– Za Laurenta? – Ilona westchnęła. – Gabor, przecież ona kocha Davida i nic...

– Moja córka nie mogłaby kochać Żyda! – ryknął nagle. Szybkim ruchem zerwał kapę z łóżka i cisnął na podłogę. – Mogłaby być już baronową, ty idiotko! – Podszedł do Ilony. Skuliła się przed nim.

– Pomiatanie mną nie pomoże Krisztynie – powiedziała drżąco.

– Ale mnie pomoże! – Chwycił ją za włosy, aż krzyknęła z bólu. – Nie wrzeszcz! – syknął z błyskiem w oczach. – Jeżeli obudzisz dom, pożałujesz, że się w ogóle urodziłaś, tak cię urządzę!

Uderzyła go obiema rękami, żeby się bronić. Z cichym rykiem puścił jej włosy i brutalnie pchnął ją na łóżko. Z twarzą zdającą się puchnąć, coraz bardziej fioletową, rozgniewany i podniecony, rozwiązał pasek spodni pizamy.

– Jesteś taka pobożna, Ilono, ale nie lepsza niż głupia dziwka. I zasługujesz, żeby cię tak traktować.

Ilona, patrząc na tę groźną, siną twarz w górze ponad nią, pojęła, że on ją zgwałci. Myśli przelatowały jej przez głowę, przesywały jak gorące strzały – wspomnienie miłości, którą kiedyś czuła do tego mężczyzny; wspomnienie wątpliwości, które zbyt wiele razy podstępnie zagłuszały miłość, aż musiała na klęczkach kajać się przed Bogiem. I przypomniało jej się, co kuzyn Jozsef powiedział o prawdziwej matce Krisztiny – że tę kobietę, zanim porzuciła dziecko, chyba zgwałcono. Nagle poczuła siostrzaną więź.

Zmusiła się, żeby powrócić w terażniejszość, i spojrzała na męża. Gabor obnażył się nad nią, z pogardą i żądzą w oczach, z erekcją jak rozpasany byk. Zastanowiła się ponuro, czy stawić opór mężowi to grzech śmiertelny, ale wiedziała, że nie zdołałaby go powstrzymać, bo jest słabsza niż on.

Zrodziło się w jej sercu nowe nieznane uczucie: czysta nienawiść, grożąca, że ją zadusi. Wywołany tą nienawiścią odruch niszczenia sprawił, że powiedziała coś, czego miała nigdy, nigdy nie mówić.

– Tylko z jednego powodu mogę to znieść, Gaborze Florian – powiedziała głosem zdławionym, a przecież bardzo dobitnie. – Ze względu na Krisztinę jestem wdzięczna Bogu, że ona nie jest twoim dzieckiem.

Te słowa obłyły się po pokoju. Jak na filmie w zwolnionym tempie widziała coraz większą furję na twarzy męża.

Zamknęła oczy i przeżegnała się.

O czwartej rano Krisztina spała. W poświacie gwiazd piersi jej miarowo wznosiły się i opadały pod białą bawełnianą nocną koszulą.

Gabor popatrzył na nią od drzwi.

Oddychając chrapliwie, ignorując Mojżesza przyglądającego mu się złowrogo, podszedł boso do łóżka i spojrzał z bliska na tę młodą kobietę, którą kochał jak nikogo innego na świecie.

Nie jest twoim dzieckiem. Słowa Ilony syczały mu w uszach. Pot spływał po plecach.

Krisztina poruszyła się z cichym mamrotaniem. Śni jej się coś, pomyślał i zacisnął usta. Śni jej się Kaufmann, odgadł rozgoryczony. Nadal taka anielska, a też niewiele jest lepsza niż zwykła

dziwka. Wpatrywał się w delikatne zaokrąglenia jej ciała, w falę jedwabistych włosów na poduszce, w te usta jak płatki róży, trochę rozchylone, i nagle poczuł taki żar w lędźwiach, że omal nie jęknął głośno. Gdy była małą dziewczynką, niczym się tak nie rozkoszował, jak przytulaniem jej, ślicznej, pachnącej, aksamitnej...

Nie twoje dziecko.

Strząsnął z myśli truciznę tych słów i popatrzył na Krisztinę z ojcowskim uwielbieniem. Pochylił się, pocałował ją bardzo lekko w czoło, gładkie i chłodne pod jego ustami, ostrożnie pogłaskał ją po włosach.

Ale ta ręka, jak gdyby miała własną wolę, zatrzymała się, po czym miękko spoczęła na ciepłej, krągłej prawej piersi.

Mojżesz ze swego posterunku przy drzwiach warknął. Krisztina znów się poruszyła. Gabor od razu się wyprostował. Miał pot na czole, oczy go piekły, nie wiadomo dlaczego zażawione. Szybko, cicho, żeby jej nie obudzić, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Chmurka, którą wiatr przemiałał po nocnym niebie, przelotnie zasłoniła księżyc. Na twarz Krisztiny padł cień.

Jeszcze chwilę Krisztina odczekała dla pewności, zanim otworzyła oczy.

Trzy następne tygodnie w domu Florianów wlokły się smętnie. Wydawało się, że niewidzialne więzy, jakie zwykle łączą rodzinę, matkę, ojca i dzieci, czy są wszyscy razem, czy daleko od siebie, tutaj zostały przecięte. Ilona grzecznie rozmawiała z Gaborem, nadal jako posłuszna żona, ale to już nie było to samo. Gabor więcej czasu niż dawniej spędzał w swoim biurze, a w domu czuł lodowaty chłód żony i nieufność córki, więc to również nie było to samo. Krisztina, gorączkowo wyczekując dobrej wiadomości o Davidzie, z niesmakiem stroniła od ojca i litowała się nad matką. Nigdy już nie miało być tak jak przedtem.

Tygodnie zmieniały się w miesiące. Laurent podróżował pomiędzy de Trouvere, Berlinem i Budapesztem, ale nie sprawiało to radości Krisztinie, tylko podsycalo nadzieję Gabora. Krisztina nadal pisała długie listy do Davida, chociaż wiedziała, że on nigdy ich nie dostanie, ciągnęła Laurenta na potajemne rozmowy *teteatete* i czepiała się każdej odrobiny wiadomości. Gdy rok 1937 przeszedł w rok 1938 i nastał nowy sezon mistrzostw, z całym rozmysłem wróciła na parkiet, bo taniec był jedyną dla niej pociechą i ostatecznie z jakiej racji – mówiło jej poczucie sprawiedliwości – Laurent miałby być poszkodowany, zwłaszcza że dalej usiłował załatwić zwolnienie Davida. W zimie 1938 roku zachowali tytuł mistrzów Europy, ale uzyskali tylko drugie miejsce w mistrzostwach świata. Latem tegoż roku mieli już oba tytuły.

O drugiej w nocy po *Championnat du Monde* w Paryżu Laurent i Krisztina uściskali się, uradowani zwycięstwem, a potem po raz pierwszy on pocałował ją w usta i odwzajemniła pocałunek. W głowie mu się zakręciło z triumfu. Objął ją znowu, ale się odsunęła. Dla niej ten pocałunek był tylko serdecznym dowodem przyjaźni złożonym pod wpływem chwili. Odsunęła się wzburzona, ale życzliwa. Laurent wyglądał tak, jakby skamieniał.

Laurentowi uciekał czas. Jego ojciec podupadł na zdrowiu, w Alzacji panował nastrój ogólnego zaniepokojenia wobec bliskości frontu, w razie gdyby doszło do konfliktu z Niemcami. Rodzice zaczęli ostatnio nalegać, żeby on, zamiast wyjeżdżać tak często z kraju, skoncentrował się na

produkcji win i zarządzaniu posiadłością. Po aresztowaniu Kaufmanna Laurent miał nadzieję, że Krisztina, skoro już nie ma tego człowieka w jej życiu, z czasem zapomni o swej pierwszej miłości, ale już stało się jasne, że tak nie będzie, jej uczucie jest zbyt głębokie, jej wierność zbyt niezłomna. Wprost opętany, myślał prawie wciąż o Krisztinie. Rano, ledwie oczy otwierał, marzył, że ma ją przy sobie w łóżku. W ciągu dnia wspominał wielkie chwile ich zwycięstw na konkursach, widział jej długie nogi w tanecznym rytmie, włosy rozwiane, oczy roziskrzzone; co noc śnił o niej i w tych snach zawsze była posągiem pięknym i dalekim, dręcząc go marmurowym połyskiem nagich piersi...

Faszyzm rozczapierał swoje macki. W marcu 1938 roku armia niemiecka wkroczyła do Wiednia. W Austrii, wchłoniętej przez Reich, natychmiast zaczęły się prześladowania Żydów. W Niemczech narastała groza. Setki ludzi wysyłano do obozów koncentracyjnych w Dachau i Buchenwaldzie, spalono synagogi w Monachium i Norymberdze. Masowo napływali do Francji uchodźcy z Niemiec. Szóstego listopada w Paryżu młody Żyd, niejaki Hirsch Grynszpan, oburzony do utraty zmysłów opowieściami uchodźców, wszedł do ambasady niemieckiej i postrzelił jednego z dyplomatów, Ernsta von Ratha. W trzy dni później von Rath zmarł, hitlerowcy ogłosili, że padł ofiarą szeroko zakrojonego żydowskiego spisku i tamta noc w całych Niemczech zamieniła się gwałtownie w *Kristallnacht*. Miliony kawałków szkła z gorejących synagog, żydowskich sklepów i domów migotały krwawo w blasku płomieni. Setki ludzi bito i kopano do nieprzytomności. Dziesiątki tysięcy aresztowano. Wiele osób, zabranych z ulicy czy z mieszkań, po prostu zniknęło. Wśród nich byli Kaufmannowie.

– Znikają – powiedział Laurent Krisztinie nad kawą z kremem w Gerbraud, ponieważ ostatnio nie mogli rozmawiać o Davidzie u niej w domu.

Wpatrywała się w niego.

– Ale gdzie? Ludzie nie znikają tak po prostu... to niemożliwe.

– Już możliwe – powiedział ponuro. – Przynajmniej w Niemczech.

– Ktoś musi wiedzieć, gdzie są – nastawała.

Laurent zamieszał cukier w swojej kawie.

– Prawdopodobnie w którymś z obozów koncentracyjnych.

– Boże – powiedziała cicho.

– Chyba niewykluczone, że David też.

Zamrugła.

– Ale mówiłeś, że jest w więzieniu.

– Bo w to wierzyłem, ale teraz myślę, że prawdopodobnie przewieźli go do Dachau czy do Buchenwaldu jakiś czas temu.

– Jesteś pewien? – wyszeptała.

– Trudno być pewnym czegokolwiek – odpowiedział, patrząc na nią uważnie. – *Ma chere*, musisz wreszcie zrozumieć, że Niemcy pozbywają się Żydów.

– Ale tak się tylko mówi – zaprotestowała. – Nie można szastprast pozbyć się milionów ludzi.

– Szastprast nie można – powtórzył ironicznie. – Tak się jednak dzieje. Trudno powiedzieć, do czego jeszcze oni się posuną. Najpierw pozbawienie praw obywatelskich, potem konfiskata majątku, teraz zamykanie. Nawet tutaj, na Węgrzech, to się zaczyna.

Resztki rumieńca zbielewały na jej twarzy.

– Żałuję, Krisztino, że nie mogę cię uraczyć inną historią, ale jestem ci winien prawdę.

Przytaknęła i nagle pochyliła się nad stolikiem. Z mocą, chociaż cicho, powiedziała:

– Musimy ich ratować.

Uśmiechnął się melancholijnie.

– Gdyby to było takie łatwe.

– Nie jest łatwe – nie spuściła z tonu. – Ale też nie jest niemożliwe.

– Nie jest – przyznał spokojnie. – Nic nie jest niemożliwe, tylko że niektóre rzeczy trudniej osiągnąć niż inne.

– Laurent, proszę... pomóż mi. – Jej oczy oszałamiały go swoją żarliwością.

– Ty wiesz, że ja ci pomagam zawsze, kiedy to możliwe.

– Nic nie jest niemożliwe – powtórzyła.

Teraz ściszył głos do cichego szeptu.

– Odnalezienie Davida będzie dosyć ciężką sprawą, a cóż dopiero uwolnienie go – zauważył rzeczowo. – Jeżeli nie mogliśmy wydostać go z więzienia, o wiele mniej prawdopodobne, że zdołamy go wyłuskać z zamętu w obozie koncentracyjnym.

– Wszystkiego próbowałeś?

Uniósł rękę.

– *Attends.* – Wypatrzył i przywołał kelnerkę, zapłacił rachunek i wstał. – Chodź, pójdziemy na spacer. Mniejsze ryzyko, że nas podsłuchają.

Zmarszczyła brwi.

– Mówisz tak, jakby hitlerowcy byli za każdym rogiem tu, w Budapeszcie.

– Tylko wolę być ostrożny.

Gdy wyszli, wsunął sobie jej rękę pod ramię, rozejrzał się po Vorosmarty Ter i poprowadził ją, niby to zabawiając towarzyską rozmową.

– Pytałam – powiedziała – czy rzeczywiście próbowałeś wszystkiego, żeby zwolnili Davida.

– O ile wiem – odrzekł powoli – nasi adwokaci podjęli wszelkie kroki prawne.

– Czy mógłby być jakiś inny sposób?

– Omijając prawo? – Uśmiechnął się, rozbawiony jej naiwnością. – Nie sędzę. – Umilkł i spoważniał. – Może byłaby jedna, ostatnia szansa.

– Jaka? – Rozpaczliwie niespokojna, wyciągnęła rękę spod jego ramienia. – Och, Laurent, proszę, powiedz mi!

Gwałtownie znów wsunął sobie jej rękę pod ramię.

– Pieniądze – powiedział, błędząc wzrokiem po wystawie sklepowej.

– To znaczy łapówka? – Oczy jej się rozszerzyły.

– Brzydkie słowo.

– Nazywaj to, jak chcesz, ale proszę cię – błagała – och, proszę, załatw to! – Zwiotczała nagle.

– Znowu jestem naiwna, prawda? Trzeba by mnóstwo pieniędzy, a ja ich nie mam.

– Ale ja mam.

Potrząsnęła głową żałośnie.

– Nigdy bym cię o to nie prosiła.

Przystanął, ujął ją za podbródek i uniósł jej twarz ku swojej twarzy.

– Mówiłem ci już, Krisztino, dla ciebie zrobiłbym prawie wszystko.

– Ale dlaczego, Laurent? Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry?

– Dlatego, że cię kocham – odpowiedział po prostu.

Zarumieniła się.

– Nie powinieneś.

– Nie możesz mi zakazać. – Odjął rękę od jej podbródka i uśmiechnął się do niej szeroko, chłopięco. Pomimo swego zmartwienia odpowiedziała uśmiechem. – No więc? – zapytał.

– Może bym nigdy nie mogła ci zwrócić.

– Zwrócisz – powiedział – możesz mi wierzyć.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

– Mam dla ciebie propozycję – zaczął.

– Tak. – Czekala.

– Bardzo chcę ci pomóc, Krisztino, ale jest jedna spora przeszkoda.

– Jaka?

– Gdybyśmy zdołali wydostać Davida i może nawet zorganizować mu ucieczkę z Niemiec... raczej nie wątpię, że ty byś chciała być z nim.

– Oczywiście.

– No więc – ciągnął – to jest dla mnie wystarczający powód, żeby nie chcieć jego uwolnienia. – Szedł znów spokojnym, równym krokiem, jak gdyby nie powiedział nic.

Krisztinę ogarnął strach.

– Co... – Przytrzymała go za rękę. – Co ty mówisz, Laurent?

– Tylko to, co już wiesz – odpowiedział spokojnie, rozsądnie. – Kocham cię, Kriszti. Pragnę ciebie bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

– Przecież jesteśmy przyjaciółmi. – Szukała słów. – I partnerami. Czy to nie dosyć?

– Nie dla mnie. Wcale nie dosyć. – Umilkł. – Wyjdiesz za mnie, Krisztino?

– Nie! – wykrzyknęła wstrząśnięta.

Przyjął to łagodnie.

– Jestem w pełni świadom, że kochasz Davida, *ma chere*, ale powinnaś już wiedzieć, że jego nigdy nie będziesz mogła mieć.

– Jeżeli się go wydostanie...

– Jego się nie wydostanie.

Nogi jej zadrżały, potem ręce, a potem usta. Mocno zacisnęła wargi, usiłując nie wybuchnąć płaczem na ulicy.

– Jego się nie wydostanie – powtórzył Laurent – jeżeli nie zgodzisz się wyjść za mnie. Od ciebie zależą starania, żeby mu pomóc. Jestem człowiekiem honoru, nie mógłbym gwarantować, że go zwolnią, ale przysięgłbym, że zrobię wszystko, co w mojej mocy – umilkł. – Ty decydujesz.

Słowa nie dobywały się z krtani. Krisztina zwilżyła wargi językiem i znów spróbowała:

– Jeżeli nie zgodzę się wyjść za ciebie – powiedziała ochryple – mówisz, że David zginie.

– *Exactement*.

– To jest szantaż, Laurent.

Zareagował lekkim francuskim wzruszeniem ramion.

– Kocham cię.

– A ja kocham Davida.

– Wiem. Ale też wiem, że przynajmniej do tej chwili kochałaś mnie jako przyjaciela...

– Przecież to nie wystarczy! – wykrzyknęła z oburzeniem. Kilku przechodzących studentów odwróciło się i gapiło.

– Teraz może nie wystarczy – przyznał Laurent. – Tobie.

– Ale na pewno i tobie także, Laurent! Powinieneś mieć żonę, która bardzo będzie cię kochać.

– Chcę ciebie – powiedział po prostu. – I jeżeli nie mogę liczyć na twoją namiętną miłość, zadowolę się twoim szacunkiem i troskliwością...

– Jak możesz sobie wyobrażać, że będę cię szanować po czymś takim?

Szedł dalej. Przez chwilę Krisztina stała nieruchomo, zbyt wstrząśnięta, żeby się ruszyć, potem podbiegła i zrównała z nim krok.

– Kiedy spokojnie się zastanowisz – powiedział – ta propozycja nie wyda ci się taka straszna. Jestem cierpliwy... nadzwyczaj cierpliwy. Ale nie jestem świętym. Jestem tylko mężczyzną.

Myśli jej się kotłowały. Małżeństwo w zamian za wolność Davida, może nawet za jego życie? Ale jeżeli się zgodzę, skąd pewność, że Laurent dotrzyma swojej części umowy? Dlaczego miałby dotrzymać?... Potrząsnęła głową i przyspieszyła kroku. Czy on jest człowiekiem honoru? Czy w ogóle ma możliwości, żeby pomóc Davidowi? Czy nie można by Davida wydostać jakoś bez jego pomocy? Może on we własnym interesie wyolbrzymia grozę sytuacji? Czy ja rzeczywiście nie mam wyboru?... Czy kocham Davida aż tak szalenie, że mogłabym zostać żoną kogoś, kogo nie kocham?...

– Chcesz już wrócić do domu? – przerwał Laurent jej rozmyślenia.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego.

– Tak – wyszeptwała.

– Pojedziemy. – Przywołał wolną taksówkę.

Krisztina podeszła do taksówki i wsiadła.

Trzy dni później Gabor, prawie pijany po wypiciu sporej ilości koniaku, siedział z Laurentem w swoim gabinecie.

– Zdecydowała się?

– Jeszcze nie.

Uderzył pięścią w stół.

– Głupia smarkula! Ani za grosz rozumu!

– Potrzebuje jeszcze trochę czasu – powiedział Laurent pobłaźliwie.

– A ty dalej chcesz czekać?

– Jeszcze cztery dni.

– Laurent, nigdy nie przestanę podziwiać twojej cierpliwości i twojego oddania. – Gabor się rozplomienił. – I kiedy pomyślę, jak paskudnie ona się zachowuje...

– Błędy młodej dziewczyny – wspaniałomyślnie rzekł Laurent – należy wybaczać.

Gabor myślał głośno:

– Może ona nie wierzy, że możesz pomóc Kaufmannowi?

– Chyba wierzy, że mogę.

Gabor prychnął.

– Ależ naiwna!

– Ma dopiero dziewiętnaście lat – przypomniał mu Laurent – i jest bardzo zakochana. – Sposępniał. – Jeżeli jednak da mi kosza, niestety, Gaborze, będę musiał się z tym pogodzić. Ta perspektywa bardzo mnie smuci. – Umilkł na chwilę, po czym dokończył: – W dużym stopniu dlatego, że to będzie koniec naszej przyjaźni.

Gabor wychylił kieliszek do dna. Koniak spłynął mu do gardła i rozpałił gniew już w nim tłący. Oczy mu się zwęziły.

– Mógłbym jej kazać, żeby się zgodziła.

– Nie – powiedział Laurent stanowczo. – Ja muszę mieć chętną żonę.

Ona będzie chętna – pomyślał Gabor ponuro, napełniając i jeszcze szybciej wychylając kieliszek. – Cholernie chętna, choćbym ją musiał zbić na kwaśne jabłko.

– *Persze* – przytaknął Laurentowi. – Oczywiście.

Było po drugiej w nocy, gdy otworzył drzwi pokoju Krisztiny. Mojżesza chwycił za obrozę i wyrzucił na korytarz. Krisztina obudziła się raptownie. Usiadła w łóżku.

– Ojczy, co się stało?

– Wstawaj. – Głos miał bełkotliwy.

– Dlaczego? Co się stało? Czy coś z mamą?

– Wstawaj i już! – huknął.

Wygramoliła się z łóżka i sięgnęła po szlafrok. Gabor podszedł i wyrwał jej szlafrok z ręki. Zachłysnęła się, zdumiona, i widząc wyraz jego twarzy, cofnęła się o krok.

– Co się stało? – zapytała znów niespokojnie. – Dlaczego tak na mnie patrzysz i...

– Za kogo ty się uważasz?! – przerwał jej tak gwałtownie, że się wzdrygnęła. Pogroził jej i tym palcem mocno szturchnął ją w ramię. – Za kogo ty się uważasz? Za jakąś mozną pannę na wydaniu, do której dziesiątki konkurentów stoją w ogonku?

Zaświtało jej, o co chodzi.

– Oczywiście że nie – powiedziała, obronnie przywierając plecami do ściany.

– Wyobrażasz sobie, że córkom handlowców codziennie oświadczają się arystokraci? – Groźnie przysunął się bliżej i znów szturchnął ją palcem w ramię.

– Ojczy, ty nie rozumiesz...

– Diabła tam nie rozumiem! – warknął. – Trafił ci się baron na męża, idiotko!

– Ja nie chcę zostać baronową – powiedziała tak, jakby zwyczajnie rozmawiali.

– Właśnie! Wolisz wyjść za swojego kochasia! – Teraz drgnęła. – Za swojego Żyda kryminalistę!

– Wiesz, że David nie zrobił nic złego! – zaprotestowała.

– Jak śmiesz! – syknął. – Jak śmiesz być taką niewdzięcznicą wobec Laurenta, kiedy on tyle dla ciebie zrobił?

– Jestem mu wdzięczna – wyszeptała – ale to nie znaczy, że chcę wyjść za niego...

– Cud, że jeszcze mu się nie odechciało po tym, jak go urządziłaś... jego i mnie! – Dygotał z wściekłości. – Puściłaś się jak pospolita lafirynda i nawet nie żałujesz.

Krisztina się wyprostowała.

– Nigdy nie będę żałować tego, że David i ja skorzystaliśmy z możliwości, żeby się kochać.

Gabor zamachnął się. Uderzył Krisztinę, zanim skończyła mówić. Grzmotnęła głową o ścianę, aż pociemniało jej w oczach.

– *Kurva!* – ryknął rozwścieczony. – Zdzira!

Instynktownie osłoniła twarz rękami i mocno zacisnęła powieki, czekając na następne uderzenie.

Nie nastąpiło. Otworzyła oczy. Ku jej zdumieniu ojciec stał przed nią roztrzęsiony i twarz miał wykrzywioną z bólu.

– Ojczy?

Gabor, z oczami pełnymi łez, potrząsał głową rozpaczliwie z boku na bok. Patrzyła zdezorientowana. Nigdy dotąd nie widziała go płaczącego.

– Boże – jęczał beznadziejnie. – Boże w niebiesiech, za co mnie tak karzesz?

– Ojczy, nie płacz – zawahała się. Kipiąc gniewem, bojąc się, poczuła niespodziewanie litość. – Już dobrze.

– Nie!

Ni stąd, ni zowąd, objął ją i mocno trzymał. Stała jak kamień w oplocie jego rąk, nie wiedziała, jak zareagować. A on się rozszlochał, cały się trząsał. Więc zmiękła, odruchowo przytuliła się do niego, chcąc, pomimo wszystko, go pocieszyć...

– Tatusiu! Tatusiu, nie płacz...

Stopniowo te straszne, chrapliwe szlochy ucichły, ale jeszcze przytulała się pocieszająco. Aż powoli, najpierw z całkowitą niewiarą, potem z coraz większą zgrozą uświadomiła sobie straszną zmianę. Ojciec jakoś dziwnie napierał na nią, przyciskał biodra do jej bioder. Usiłowała się odsunąć, ale obejmował ją żelaznym uściskiem. Nadal wmawiając sobie rozpaczliwie, że się myli, stała drętwo, prawie nie odważała się oddychać. Jednak się nie myliła. Wzwód Gabora wzrastał, przez spodnie piżamy, przez cienką nocną koszulę wbijał się jej w brzuch. Poczuła mdłości. Jęknęła cicho...

Z ogromnym wysiłkiem oparła obie ręce o pierś Gabora i odepchnęła go, błada ze wstrętu.

– Wyjdź! – syknęła. – Wyjdź z mojego pokoju! – Lęk i obrzydzenie tak ją obezwładniły, że nie mogła się ruszyć z miejsca. Modliła się, żeby on wyszedł.

Gabor stał nieruchomo, tylko trzęsły mu się ręce i ramiona.

Dyszał.

– Wyjdź stąd! – powtórzyła i to zabrzmiało jak dwa strzały z pistoletu. – Bo będę wrzeszczeć.

– Nie będziesz – powiedział niezupełnie pewnie.

– Będę! – zagroziła. – Żebyś dał mi spokój.

Siła jej odrazy przywróciła Gaborowi przynajmniej częściowo rozum. Na krótką chwilę zamknął oczy, odetchnął głęboko i odwrócił się do drzwi. Obejrzał się. Nigdy dotąd Krisztina nie wydawała się tak zdecydowana, tak pełna nienawiści – tak dorosła. Nie ma sensu udawać, że nic się nie stało, aż nazbyt oczywiście ona zrozumiała, czego chciał. Jąkając się, poprosił:

– Nie mów matce, Krisztino. Ze względu na nią, nie na mnie.

Zaciskała szczęki i oczy jej pałały pogardą.

– Zapewniam cię, że jeżeli nie powiem, to tylko ze względu na nią.

Otworzył drzwi. Gdy wychodził, Mojżesz, rozedrgany z hamowanego podniecenia, minął go jednym susem.

Krisztina osunęła się na kolana i klęczała tak przez kilka minut z twarzą w dłoniach. Psisko leżało przy niej ciepłowie, od czasu do czasu trącając ją wilgotnym nosem w policzek. Jeszcze trzęsła się gwałtownie, to zziębnięta, to rozpalona, ale pokonała mdłości podchodzące jej pod gardło, bo bała się przejść do łazienki. Sięgnęła na łóżko po kołdrę, owinęła się i wreszcie zebrała dość siły. Podniosła się z klęczek.

W zamku jej drzwi nie było klucza, więc przystawiła do drzwi krzesło. Wiedziała, że nie jest prawdopodobne, żeby Gabor znów przyszedł tej nocy, ale potrzebowała przynajmniej takiej pewności bezpieczeństwa, jaką to jej dawało.

Podeszła powoli do toaletki i zapaliła lampę. Usiadła na taborecie przed lustrem. Jej odbicie patrzyło na nią, przerażone i upiorne.

– Nie mogę już tu zostać – powiedziała na głos. Mojżesz zaskomlał cicho. Wzięła z toaletki małą, w srebrnej ramce, fotografię rodziców: ojciec trzyma matkę jedną ręką w pól, oboje uśmiechają się sztywno do aparatu fotograficznego. Przyjrzała się kochanej twarzy matki.

Jak mogę ją zostawić? – Żałośnie zadała sobie pytanie. Z palców bez czucia upuściła fotografię na dywan. Potrząsnęła głową. Rzeczywiście, nie mam wyboru.

Pochyliła się i otworzyła dolną szufladę komody, wsunęła rękę pomiędzy złożoną bieliznę i wyciągnęła kopertę.

Z koperty wyjęła fotografię. Położyła ją na politurowanym blacie toaletki i zapatrzyła się w nią. Zdjęcie sprzed pięciu lat bez mała: David i ona w sali balowej hotelu Kulm w St. – Moritz. Najulubieńsze ze wszystkich. Przypomniała sobie, jak lekko się pośliznęli, przerywając taniec, żeby pozować. Twarze na zdjęciu promieniały radością życia. I ona, tak niewiarygodnie młoda – rzeczywiście, była wtedy bardzo młoda, właściwie podłotek – i David, tak cudownie przystojny i dumny...

Powstrzymywane dotychczas łzy zaczęły parząco kapać jej na ręce i na róg fotografii. Z głębokim, wielkim szlochom otarła oczy palcami, ale łzy tylko rozmazały się na połyskliwym papierze.

– Nie mogę tu zostać – powiedziała znów.

Rzeczywistość, brutalna i bezlitosna, walnęła Krisztinę tak, że jej rany rozdarły się jeszcze boleśniej. Rzeczywistość nakazująca opuścić matkę i kraj – czy ona jeszcze kiedyś zobaczy te mosty na Dunaju, gaje figowe i złoto-płynne zachody słońca nad Balatonem i rozległą pusztę? – i okaleczyć się wyrwaniem swoich korzeni, utracić na zawsze podporę, jaką jest życie rodzinne, odrzucić samą siebie, błogosławioną swojskość, i stać się obcą w obcym kraju na tym rozpadającym się, obłądnym świecie. Rzeczywistość utraty Davida.

Biorąc fotografię, Krisztina wstała i zgasiła lampę.

– Och, David – płakała cicho w ciemnościach – David, mój najukochańszy.

Trzymała przy sercu ten mały papier, wszystko, co jej pozostało po Davidzie, po ich jedności.

– Wiem, co muszę zrobić – powiedziała – dla twojego dobra i dla swojego. – Szarpnął ją jeszcze jeden bolesny szloch, czuła się rozdarta, zgnawiona. – Ale czy ty będziesz mógł mi kiedykolwiek przebaczyć? – wyszeptwała. – Bo wątpię, czy ja kiedykolwiek przebaczę sobie.

CZEŚĆ DRUGA

Krisztina:

Alzacja
lata 1938-1944

Srebrzystowłosa, siwy *adjoint au maire* zamknął oprawny w skórę rejestr.

– *Au nom de monsieur le maire* – powiedział z namaszczeniem – *meilleurs felicitations*. – I pełen powagi licującej z urzędową szarfą *tricolore*, która uświetniała jego codzienny garnitur, ukłonił się do pasa.

Laurent odpowiedział mu ukłonem, uściśnął dłonie dwóm świadkom i pochylił głowę, żeby pocałować oblubienicę w usta, ale Krisztina akurat wtedy odwróciła głowę, tak że pocałował ją w policzek.

Le fonctionnaire uśmiechnął się nietaktownie.

– To była dla mnie wielka przyjemność, *monsieur le baron*. Jak już mówiłem, burmistrz bardzo żałował, że nie może udzielić tego *manage civil* osobiście.

– Proszę zapewnić *monsieur le maire*, że mieliśmy ślub doskonały – powiedział łaskawie Laurent. – I rozumiem, że burmistrz Strasburga jest w tych trudnych czasach zajęty ważniejszymi sprawami.

– *Malheureusement, oui*. – Urzędnik stanu cywilnego westchnął. – Tyle tych nieprzewidzianych zarządzeń – z uśmiechem wyjaśnił Krisztynie po niemiecku. – Jednak mamy gorącą nadzieję, że całe to przygotowanie okaże się zupełnie zbyteczne. – I zapytał Laurenta: – Zostaną państwo na jeszcze jedną noc w Strasburgu?

– Nie – odpowiedział Laurent. – Jedziemy zaraz do de Trouvere. Moja matka dostatecznie długo jest tam sama.

Adjoint au maire znów spoważniał.

– *Madame la baronne* będzie rada z pana powrotu. Baron Armand to był naprawdę wielki człowiek.

Nastąpiła chwila żalobnego milczenia, po czym Laurent spojrzął na pozłacany brązowy zegar nad kominkiem.

– Czas w drogę. – Sięgnął po płaszcz ze srebrnych lisów, który dwa dni wcześniej kupił Krisztynie, pomimo jej gwałtownych protestów, na Maximilianstrasse w Monachium. – *Viens, chere*.

Wyszli, mijając portret premiera Daladiera, do głównego holu i gdy Laurent dziękował świadkom, *le fonctionnaire* pocałował Krisztinę w rękę.

– Życzę pani, *madame*, dużo radości w nowym życiu – powiedział. – Wiem, że w Chateau de Trouvere będzie pani szczęśliwa. Byłem w tym zamku tylko raz, ale nigdy nie zapomnę tego uroczego splendoru.

– Nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę. – Uśmiechnęła się do niego i starannie, powoli dodała po francusku: – I ja też dziękuję panu za wszystko, *monsieur*. – Przypomniała sobie, jaki jest dzień. – *Et bonne annee*.

Po chwili schodzili już oboje po kamiennych schodkach. Przed ratuszem czekał samochód Laurenta. W samochodzie Mojżesz, z czarnym nosem przytkniętym niecierpliwie do szyby, z pyskiem mokrym od skraplanej pary oddechu, walił ogonem w tapicerkę, uradowany, że znów widzi swoją panią.

– *Madame la baronne* – powiedział Laurent dobitnie i uśmiechnął się. – Jak się z tym czujesz?

– Jeszcze nie wiem – odrzekła szczerze. – Chyba będę potrzebowała trochę czasu, żeby się przyzwyczaić.

– Oczywiście. – Otworzył przed żoną drzwiczki samochodu i prędko przeszedł do drzwiczek od strony kierowcy, gdy Mojżesz radośnie wychylał się zza oparcia przedniego siedzenia. Usadowili się wszyscy troje.

– Mam nadzieję, że on będzie w zgodzie z tamtymi – powiedział Laurent przy kierownicy.

Krisztina spojrzała na niego zdumiona.

– Z tamtymi?

– Z naszymi psami w de Trouvere.

– Nigdy nie mówiłeś o psach.

– Są trzy. – Włączył silnik. – Irlandzkie wilczarze. Tak zwane łagodne olbrzymy. W naszej rodzinie od wielu pokoleń.

Po raz pierwszy, odkąd wyjechali z Budapesztu, perspektywa nowego życia wydała się Krisztinie prawie znośna.

Laurent w listopadzie, gdy Krisztina przyjęła jego oświadczenia, wrócił do Alzacji, otrzymał błogosławieństwo rodziców i dał na zapowiedzi przed ślubem, który miał się odbyć w przepisowe czterdzieści dni później w prywatnej kaplicy de Trouvere. Ale trzeciego dnia po przyjeździe do Budapesztu, gdy wiadomość o śmierci Armanda de Trouvere zmusiła go do natychmiastowego powrotu do domu, rozwiązała się jego nadzieja na wesele z wielką pompą. Tak więc młody dziedzic, baron de Trouvere, ponieważ nie chciał czekać, aż rodzinna żałoba się skończy, i uznał, że w każdym razie chyba lepiej postawić matkę przed *fait accompli*, uparł się, by wziąć ślub cywilny w Strasburgu, pierwszym większym mieście alzackim po drodze do de Trouvere.

Dwudziestego dziewiątego grudnia Laurent, Krisztina i Mojżesz wsiedli do wiedeńskiego ekspresu, żegnani przez jej rodziców na zaśnieżonym dworcu Keleti, machających do nich rękami. Doną z trudem powstrzymywała łzy, gdy kufry córki ładowano do wagonu bagażowego. Dojechali pod ponurym, szarym niebem do stolicy Austrii i stamtąd na Linz i Salzburg do Monachium, gdzie przenocowali, zanim wyruszyli dalej do Stuttgartu i za Ren, do Francji. Laurent zarezerwował pokoje w hotelu Carltona w Strasburgu, żeby mogli wypocząć przed *manage civil* o dziesiątej rano nazajutrz, w przeddzień nowego roku.

Wagony były wyściełane pluszem i wygodne, ale podróż ciągnęła się długo, dając im obojgu za dużo godzin na rozmyślanie o przeszłości i przyszłości. Laurent, w dziwnym nastroju, oscylował pomiędzy rozradowaniem i smutkiem, a Krisztina pocieszała się tylko chodzeniem raz po raz do zamkniętego biednego Mojżesza, żeby go zapewnić, że nie został porzucony.

Pierwszego dnia przy obiedzie w wagonie restauracyjnym Krisztina zapytała Laurenta, czy po opuszczeniu sezonu zimowego mistrzostw, będą mogli wziąć udział w konkursach na wiosnę.

– Oczywiście że nie – odpowiedział, wyraźnie zdumiony jej pytaniem.

– Och. – Posmutniała jeszcze bardziej, ale zgodziła się, że to – przecież okres żałoby. – No cóż – powiedziała – jeżeli popracujemy porządnie, w przyszłym roku szybko to nadrobimy.

– Ty nie rozumiesz – rzekł spokojnie.

– Czego nie rozumiem?

– Tego, że nasze tańce już się skończyły.

Patrzyła na niego wstrząśnięta.

– Jestem teraz dwudziestym szóstym baronem de Trouvere, *ma chere* – ciągnął – i pojutrze ty się stajesz *la baronne*. Będziemy mieli dużo obowiązków... ziemię pod naszą pieczę, zamek, winnice, pola, sady, już nie mówiąc o dzieciach, które, mam nadzieję, wkrótce się zjawią. – Uśmiechnął się do niej czule.

Siedziała nieruchomo.

– Czy to znaczy, że nie będziemy mogli tańczyć już nigdy?

Roześmiał się.

– Oczywiście że będziemy mogli. Będą zabawy, bale...

– Ale ja pytam o konkursy – przerwała mu, zaciskając pięści na kolanach.

Wyprostował się z niezmaconym spokojem.

– Tak, Krisztino. Konkursów już nie będzie.

– O tym mi nie mówiłeś.

– Myślałem, że się rozumie to samo przez się.

Potrząsnęła głową.

– Przykro mi, *cherie* – powiedział łagodnie – ale ten epizod w naszym życiu się skończył. *C'est termine*.

Termine. Vege. Skończone. Jak wszystko inne, co miało dla niej w życiu znaczenie. Odwróciła głowę do okna i patrząc na szary grudniowy krajobraz, ani nie pamiętała, ani jej nie obchodziło, czy patrzy na Węgry, na Austrię czy na Niemcy...

Gdy po ślubie wyjechali ze Strasburga, śnieg padał szybko i bezszelestnie, na pola wszędzie wokół.

– Czasu mamy mnóstwo – powiedział Laurent pogodnie – więc pojedziemy dłuższą drogą. *Route du Vin*... tak najlepiej widać charakter Alzacji. Chociaż w tej porze roku – dodał – niewiele zobaczysz. Latem – ciągnął po chwili – wzdłuż tej szosy na przestrzeni wielu kilometrów są z lewej strony oceany słoneczników, złocistych główek podniesionych ku niebu, a z prawej strony Wogezy, stonowane, aksamitne...

– To wydaje się cudowne – powiedziała Krisztina.

– To jest cudowne. Ziemia bardzo żyzna... nieraz można naliczyć chyba z pięćdziesiąt rozmaitych zielonych odcieni trawy i drzew.

Gdy przejeżdżali przez miasteczko Barr, Krisztinę zachwyciły uliczki brukowane kocimi łbami, kolory budynków i okiennic. Na jednej tylko ulicy zobaczyła domy: czerwony, różowy, niebieski, brunatno-żółty, beżowy i kremowy, przeważnie ze skrzynkami przy oknach, tak że z ukłuciem w sercu wspomniała podobne małe miasteczka węgierskie.

– Latem – znów powiedział Laurent – te skrzynki wprost płoną od geranium i w każdym mieście jest pełno kwiatów. – Wskazał mały, prawie wyludniony rynek. – Starzy tutaj grają w *boules*, inni siedzą przed knajpą, patrzą na nich i popijają piwo.

– Nie wino?

– Wino, owszem, ale i piwo. Nasze piwo jest przepyszne... Latem będziesz widziała na niejednym polu chmiel i jęczmień.

Latem, tęsknie pomyślała Krisztina, drżąc, chociaż w samochodzie było ogrzewanie. Zdaje się,

że tutaj wszystko, co dobre, jest latem. Tylko czy ja do lata dotrwam?

Pierwsze mignięcie widoku de Trouvere było dla Krisztiny – jak określała to później – chyba największym oczarowaniem w jej życiu, z wyjątkiem popołudnia miłości z Davidem.

Podjeżdżając od strony północnej, Laurent nagle bez słowa zatrzymał samochód i spojrzał na Krisztinę jakoś szczególnie. Patrzyła wprost przed siebie, był tylko jeszcze jeden las oszronionych sosen.

– To tam – szturchnął ją delikatnie.

Patrząc uważnie, zobaczyła, że przez środek tego lasu biegnie kręto pod górę trakt czy szlak pokryty śniegiem, dlatego w pierwszej chwili niewidoczny, i powyżej lasu mijając *vigno – bles* – podobne do tych, które widziała – prowadzi na szczyt wzgórza, gdzie stoi nieduży barokowy zamek, kremowy, skąpany z prawej strony w bladoróżowym blasku zachodzącego słońca.

– O *gyonyoru!* – zadziwiona wyszeptała po węgiersku. Laurent uśmiechał się, nie musiał pytać, co to znaczy.

Nadal chłonęła ten widok. Wszystkie jej przewidywania okazały się albo przesadne, albo zupełnie fałszywe. Tak, to na pewno autentyczny zamek i nawet z odległości, jak oceniła, mniej więcej dwóch kilometrów widać, jaki jest znakomity i w jakiej znakomitej oprawie – ale przede wszystkim, na szczęście, to jest bezsprzecznie dom; nie jakaś wagnerowska fanaberia z wieżyczkami i wieżami strzelniczymi do kompletu, nie ponury, kruszący się koszmar, tylko prawdziwa, solidna siedziba wielu pokoleń, wznosząca się na fundamentach głęboko wkopanych w rodzinie swoją ziemię.

– No?

Drgnęła, oderwała wzrok od tego widoku, spojrzała na Laurenta. W jego złocistych oczach lśniły, ku jej zdumieniu, łzy. Dziwny człowiek, pomyślała. Z jednej strony taki nieustępliwy i gruboskórny, że dla własnych celów może wywracać ludziom życie, a z drugiej zdolny do takiej tkliwości wobec swego rodzinnego domu.

– Co powiesz? – zapytał ochryple.

Wzruszona, położyła dłoń na jego ręce.

– Jest bardzo, bardzo piękny – powiedziała cicho. – *Gyonyoru* – dodała znów po węgiersku i przetłumaczyła: – *Magnifique*.

Podniósł jej dłoń do ust i ucałował.

– Tak jak ty.

Odczekała chwilę, nie chcąc psuć nastroju, a potem delikatnie wycofała rękę.

– Jedźmy już tam, proszę.

Włączył silnik i zaczęli wjeżdżać pod górę. Za lasem szosa się rozdzieliła i dalej, za następnym zakrętem, był ogromny kamienny łuk. Przejechali pod łukiem i znów zatrzymał samochód.

– *Voila* – powiedział. – Oto de Trouvere. – Oparł się o skórzane oparcie, a Mojżesz na tylnym siedzeniu, instynktownie wiedząc, że podróż się kończy, zbudził się z cierpliwego snu i zamruczał.

– To nie jest główna brama – wyjaśnił Laurent. – *Allée* wjazdowa i frontowe wejście są od południa i większość posiadłości rozciąga się na wschód i na zachód. Ale lubię dojeżdżać tędy.

– Nie dziwię się – powiedziała Krisztina serdecznie.

Teraz widzieli zamek z odległości niecałego kilometra. Stał, doskonale symetryczny, za

rozległym obszarem ogrodów, które przykrywała zima. Pośrodku tego obszaru był skuty lodem prostokątny basen, pośrodku basenu wznosiła się fontanna, pod sklepieniem z tysięcy migotliwych sopli majestatyczny marmurowy posąg kobiety z łukiem i kołczanem, i z ogarem u stóp.

– Biedna Diana – Laurent zachichotał. – Dzisiaj chyba jej chłodno.

– Jest urocza – wyraziła podziw Krisztina.

Laurent uniósł brew.

– Diana Łowczyńni? Myślałem, że ty gardzisz polowaniem.

– Ale ona jest boginią również domowych zwierząt.

Umilkli. Napawajmy się tym widokiem, bo to jest uczta, pomyślała Krisztina, patrząc na trzy kremowe kondygnacje z ładnymi galeriami.

– Stąd wydaje się większy – powiedziała już nie tak pewnie, znów zdenerwowana teraz, gdy prawie dojechali.

– Dość mały, żeby dać się utrzymywać – powiedział Laurent beztrąsko. – Zamki bywają rozmaite i różnej wielkości. Ten można by nazwać *un p'tit chateau*. Niewiele większy niż duża willa. Rzeczywiście, w siedemnastym wieku był tu pałacyk myśliwski, potem w osiemnastym całkowicie został przebudowany przez jakiegoś naśladowcę Guepiere'a, który zbudował kilka wiejskich pałaców dla książąt Wirtembergii. – Uśmiechnął się, widząc wyraz jej twarzy. – Opowiem ci te zamierchłe dzieje później, kiedy będziesz wypoczęta, ale nie pomyśl się, *ma chere*, pomimo swojego imponującego rodowodu Chateau de Trouvere jest zasadniczo domem, a nie pomnikiem.

Właśnie to Krisztina wyczuła jeszcze na szosie, nieokreśloną aurę siedziby, ciągłości historii i rodu. Potwierdzenie, że to naprawdę jest dom, sprawiło jej ogromną ulgę.

– Jak mogłeś wyjeżdżać stąd na tak długo? – zapytała ze szczerym zdumieniem.

Laurent parsknął śmiechem i nastawił lustro nad kierownicą tak, żeby ona zobaczyła swoją twarz.

– *Regarde* – powiedział. – *La cause*.

Zarumieniła się.

– Tańczyłeś i podróżowałeś, zanim się poznaliśmy.

– Owszem – przyznał – tylko że Alice Gebhard mieszkała w Colmar, a tam o wiele bliżej niż do Budapesztu. – Zawahał się. – Może dlatego, że według wszelkiego prawdopodobieństwa resztę życia spędzę w de Trouvere, chciałem, kiedy jestem jeszcze młody, korzystać z wolności póki czas.

– Więc uważasz, że teraz koniec twojej wolności?

– Pod wieloma względami koniec. – Wzruszył ramionami. – Ale nie tak znów ciężko zrezygnować z czegoś, co się lubi... *la danse*, na przykład... żeby mieć coś, co ma o wiele większą wartość. To wszystko – z rozmachem wskazał okolice – zawsze było w moim życiu najważniejsze. Dopóki nie spotkałem ciebie, moja śliczna Krisztino, to była jedyna naprawdę ważna rzecz.

– Ale jak ja mogłabym z tym współzawodniczyć? – zapytała trochę ironicznie.

– Ach, mogłaś jednak – odpowiedział. Pogłaskał ją po włosach, jeszcze spiętych w *chignon* pod kapeluszem ślubnym. – I teraz jestem najszcześliwszym z ludzi, bo posiadam te dwie ważne rzeczy.

Nastąpiło krótkie milczenie.

– Posiadasz? – powtórzyła.

– Jesteś moją żoną – stwierdził po prostu.

– To nie znaczy, że do ciebie należę, Laurent.

– *Nous sommes maries.* – Nadal mówił tonem niefrasobliwym. – Należymy do siebie nawzajem.

Nie odezwała się.

– *Jusqu' a la mort* – dodał. – Aż do śmierci.

Ale nie przed Bogiem, pomyślała niespodziewanie, tylko przed zastępcą burmistrza. Na tę myśl poczuła wyrzuty sumienia, ale mogła je odsunąć, skoro tak to ujęła. Posiadacz, powtórzyła w duchu. Mój mąż jest posiadaczem. Wbrew woli zadrżała.

– Nie bój się – powiedział Laurent, mylnie tłumacząc sobie jej reakcję. – Śmierć jest bardzo, bardzo daleko. – Przychylił się do niej i pocałował ją w policzek. – Dzisiaj nowy początek, *cherie*. Nowość małżeństwa dla nas obojga, nowy dom dla ciebie, a tej nocy nowy rok dla całego świata.

Powoli skinęła głową i otuliła się szczelniej futrem.

– *Alors* – wyprostował się nad kierownicą. – Jedziemy już do domu? Jesteś gotowa?

Nie, pomyślała apatycznie. Nie jestem gotowa. Bez Davida nie.

Przekręciła nową złotą obrączkę na palcu.

– Tak – odpowiedziała cicho.

Delikatnie, ale stanowczo odprawiła Davida w podświadomość i spojrzała przed siebie na zamek.

Pięć minut przed północą siedzieli w pokoju zwanym, jak Laurent powiedział Krisztynie, *salon rouge*. Był to utrzymany w ciepłych tonach i lekkim nieładzie salon rodzinny z dębową boazerią, z grubymi zasłonami z czerwonego adamaszku w oknach. Całą jedną ścianę zapełniały, kunsztowny późnogotycki gobelin *mille fleurs*, na wyfroterowanej posadzce leżały trzy dosyć już wydeptane dywany perskie w łunie ognia palącego się w dwóch marmurowych kominkach.

Oni też mogliby być z marmuru – siedzieli jak blade posągi, od czasu do czasu pobudzone do życia szmerem swej grzecznej rozmowy. Troje ostatnich z głównego pnia szlchetnego rodu, *la grande famille de Trouvere*.

Czterdziestoczteroletnia Genevieve de Trouvere siedziała wyprostowana w dużym, obitym jedwabnym adamaszkiem *fauteuil*, trzymając na kolanach wytworne ręce o długich palcach, ozdobionych tylko ślubną obrączką. Jakże jest piękna, pomyślała Krisztina. Nie sposób było nie widzieć tej urody, pomimo surowości czarnej sukni od Balmaina i wyrazu smutnej zadumy na twarzy, rozjaśniającej się tylko chwilami na jakieś przelotne miłe, osobiste wspomnienie. Wtedy te szare oczy nie były chmurne, błyskały w nich iskierki dawnej serdeczności, prawa ręka podnosiła się bezwiednie do gęstych, miodowo-blond włosów.

Nowożeńcy także mówili niewiele, przytłoczeni ponurą atmosferą, której podsumowaniem była stojąca w kącie choinka bez żadnych ozdób, tylko z niezapalonymi dwudziestoma czy trzydziestoma świeczkami. Laurent, w ciemnym ubraniu, palił papierosa, rozparty niedbale na końcu kanapy *dormeuse*, a jego oblubienica, ubrana w jedyną niepogniecioną i odpowiednio ciemną sukienkę, jaką zdołała znaleźć w kufrach, poza tym nierozpakowanych, siedziała na brzeżku rokokowego krzesła naprzeciw teściowej. Jedyne odskocznia dla jej uwagi były cztery psy w tym salonie. Irlandzkie wilczarze, dwa cętkowane, trzeci czysto biały, rozwalaty się w imponującym szyku przed jednym z kominków, podczas gdy biedny, wysiedlony Mojżesz leżał czujny i spięty u stóp swojej pani, oparty muskularną łopatką o jej lewą nogę.

Zza zasłon doleciał nagle świst wiatru i zaraz potem skrzywienie gałęzi, grzechot okiennych szyb. Krisztina wyobraziła sobie z dreszczem, jak śnieg, porwany z ziemi, wiruje w powietrzu.

Laurent spojrzął na ładny, staroświecki zegar stojący na parapecie kominka.

– Prawie już – powiedział i rozbrzmiało to w całym pokoju.

Jego matka poruszyła się, odwróciła głowę w stronę butelki szampana Krug – jedyne ustępstwa dla uczczenia nowego roku – w srebrnym kubelku na połączonym stoliku pod oknem.

– Bardzo proszę – wyraziła zgodę cicho, ale stanowczo. – *Le champagne, s'il te plait*, Laurent.

Skończył palić papierosa i wstał, żeby nalać szampana. Genevieve powoli też wstała, wobec czego wstała i Krisztina, patrząc, jak ta pani podchodzi do kominka i rozgrzewa w ciepłe ognia ręce.

Jeden z wilczarzy grzmotnął ogonem w podłogę. Genevieve pochyliła się, pogłaskała go po łbie. Potem zainteresowała się Mojżeszem.

– *Pauvre petit* – zagruchała i zaczęła wprawnymi mocnymi palcami drapać go w pierś. Mojżesz, rozpoznający prawdziwych psiarzy, stulił uszy i mruczał z uznaniem.

– *Il est beau* – powiedziała Genevieve do Krisztiny. – Pomoże ci się zdomowić – dodała po niemiecku.

– On panią polubił, *madame*.

Uśmiechnęła się.

– Zwierzęta przeważnie mnie lubią.

– *Maman*. – Laurent podał matce kieliszek.

– *Merci*, Laurent.

Podał drugi kieliszek żonie. Wziął trzeci i stanął między nimi dwiema. Jaka ona mała! Krisztina, zaskoczona, pojęła, że ta Francuzka sprawia wrażenie wysokiej siłą swojej osobowości.

Zadźwięczał perliście północny kurant, a przecież dumnie, jak gdyby ten pozłacany zegar z brązu wiedział, że oni polegają raczej na jego delikatnym mechanizmie niż na bardziej majestatycznym angielskim zegarze szafkowym, którego huczące bicie dało się słyszeć z *salle anglaise* za holem.

Gdy ucichł dwunasty kurant, Genevieve wzniosła toast:

– *Bonne annee, mes enfants*. – Oczy jej błyszczały, głos był tak pewny jak jej ręka. – Oby rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty przyniósł nam pokój wewnętrzny i wokoło. I oby – dodała po chwili – wasze małżeństwo było tak szczęśliwe jak moje.

– *Merci beaucoup, maman*. – Laurent postawił swój kieliszek na parapecie kominka i odwrócił się, żeby serdecznie uściskać matkę. Krisztina, chociaż wzruszona, poczuła się w takiej chwili intruzem, więc uklękła na dywanie, otarta policzek o jedwabistą sierść Mojżesza i szeptała mu czułości do ucha.

Ktoś dotknął jej ramienia. Podniosła wzrok, Genevieve patrzyła na nią ze współczuciem.

– *Gluekliches Neujahr*, Krisztina – powiedziała doskonale po niemiecku.

Szybko wstając, Krisztina teraz sobie przypomniała, jak Laurent mówił, że matka nie cierpi tego języka.

– *Merci, madame* – uściśnęła wyciągniętą chłodną rękę Genevieve. – *Pour tout*.

– Za co? – zapytała Genevieve kwaśno. – Za kieliszek szampana?

– Za przyjęcie mnie do swego domu w takim trudnym okresie.

– Chateau de Trouvere jest teraz twoim domem, Krisztino. I to twoja noc poślubna i sylwester... powinno być świętowanie... muzyka i tańce...

– Może będą w przyszłości – powiedziała Krisztina cicho – ale teraz nie czas na to.

Genevieve potwierdziła.

– Nie czas.

– Usiądziemy? – zapytał Laurent.

– Może – zaproponowała nagle Krisztina – ty i twoja mama chcielibyście być teraz sami? Mogłabym pójść na górę. Jestem bardzo zmęczona i nie miałabym nic przeciwko temu, żeby...

– *Absolument pas* – Genevieve bezapelacyjnie ją zatrzymała. – Słyszeć o tym nie chcę. – Spojrzała na zegar. – W każdym razie za kilka minut musimy zejść do holu służbowego, gdzie nasi ludzie świętują Nowy Rok. To tradycja – wyjaśniła. – Co rok jesteśmy na ich małej uroczystości w wigilię Bożego Narodzenia i w noc sylwestrową.

Laurent delikatnie dotknął jej ręki.

– Czy naprawdę, *maman*, chcesz tam pójść? Z pewnością oni by zrozumieli, gdybyś...

– Jasne, że tam pójde – przerwała mu dosyć opryskliwie. – Oni są wielkoduszni – powiedziała Krisztynie. – Ofiarowali się ze względu na żalobę po moim mężu odwołać swoją *Reveillon*, ale im

powiedziałam, że Armand absolutnie by tego nie chciał. – Czule pogłaskała syna po policzku. – Nie zaczynaj mnie traktować, jakbym była z morskiej pianki. Życie musi iść dalej, zwłaszcza w takiej rodzinie jak nasza, dla której historia i tradycja są wartością fundamentalną.

– Masz rację, *maman*, oczywiście. – Laurent był wyraźnie skruszony. – Wybaczysz mi? Genevieve się uśmiechnęła.

– Zawsze.

Spojrzała na Krisztinę.

– Moja matka jest dzielna, *n'est-cepas?*

– Tak – zgodziła się Krisztina ochoczo i nagle zdała sobie sprawę, że to pierwsze słowa, jakie on jej powiedział, odkąd wybiła północ.

– Nie można uciekać – powiedziała Genevieve i wymownie wzruszyła ramionami. – *On peut se cacher pendant quelque temps...* można przez jakiś czas ukrywać się w sobie, ale przed rzeczywistością nie ma ucieczki. – W oczach jej nagle zalśniły łzy, szybko je otarła i z ozdobnego stolika wzięła swój kieliszek z szampanem. – Powiedziałam ci, Krisztino, że Chateau de Trouvere jest już twoim domem. – Mówiła dalej po niemiecku.

– Tak – przytaknęła Krisztina. To był prawie szept.

– Wiem, że niełatwo przywyknąć do nowego otoczenia, już – nie mówiąc o nowych zwyczajach i oczywiście o ludziach. Ale mam nadzieję, że twoja miłość do męża wypełni ci te trudne pierwsze dni radością.

Nastąpiło krótkie milczenie.

– Też mam taką nadzieję – powiedziała Krisztina z powagą.

– Robi się późno, *maman* – przypomniał Laurent. – Powinniśmy zejść na dół.

– Dobrze. – Genevieve podała mu swój kieliszek i rześko obciągnęła suknię. – Laurent – poleciała. – Stań proszę pomiędzy nami. Zaprezentujemy im obraz ciągłości. – Niespodziewanie mrugnęła do Krisztiny. – U jednego boku baronowa, u drugiego boku baronowa. Powinno zrobić wrażenie, nie sądzisz, *ma chere?*

Nigdy Krisztina nie miała zapomnieć swojej pierwszej nocy w de Trouvere, tak samo jak następnego poranka. Ku jej zdumieniu tylko te nocne godziny, których bała się okropnie, poszły w niepamięć, bo smacznie, odświeżająco je przespała. Jej mąż, widząc, że jest wyczerpana, poczekał, aż ona się przygotowuje do snu, po czym delikatnie pocałował ją w policzek i powiedział dobranoc.

Obudziła ją też delikatnie ciemnowłosa młoda pokojówka, wnosząc srebrną tacę ze śniadaniem.

– *Bonne annee, madame.* – Postawiła tacę na łóżku, poprawiła kołdrę i odsłoniła okna.

– *A vous aussi* – powiedziała Krisztina zakłopotana. – *Et merci beaucoup.*

Ktoś zapukał do drzwi. Na progu stała Genevieve w ciemnym, czekoladowo-brązowym wełnianym kostiumie.

– *Bonjour*, Krisztina.

Pokojówka lekko dygnęła i wyszła. Krisztina, przerażona tym, że teściowa zastała ją jeszcze w łóżku, odsunęła tacę.

– *Non, non* – powiedziała szybko Genevieve. – *Reste tran – quille.* – Stała nadal w drzwiach. – Przyszłam tylko, żeby ci przypomnieć, że dziś jest święto, więc nie ma potrzeby się śpieszyć. Normalnie w Nowy Rok jeździmy do kościoła w Colmar, ale w tych okolicznościach *pere* Perigot przyjechał z Riquevihr i odprawił mszę w naszej kaplicy.

– Dlaczego Laurent mnie nie obudził? – zapytała Krisztina z żalem. – Bardzo bym chciała być na mszy.

– Zgodziliśmy się oboje, że na pewno jesteś zmęczona po podróży i prawie zarwanej nocy.

– Gdzie jest Laurent? – zapytała.

– Na przejażdżce konnej – odpowiedziała Genevieve. – On kocha krajobraz tutaj rankiem, a dziś, jak widzisz, jest szczególnie piękna pogoda. Może trochę później pójdziemy we dwie na spacer?

– Och, z przyjemnością, *madame*.

– Więc dobrze. – Genevieve, odchodząc, zatrzymała się. – Czy mogę cię o coś poprosić, moja droga?

– Naturalnie.

– Proszę, przestań mi mówić *madame*. Stanowczo lepiej, żebyś mówiła mi per ty, po imieniu, albo, jeżeli wolisz, *bellemere*.

Ponad godzinę potem stanęły w połowie kamiennych schodków po zachodniej stronie zamku, żeby popatrzeć na roziskrzoną panoramę. Krisztina spróbowała sobie wyobrazić, co się kryje pod tą śnieżną peleryną. Bez śniegu ogrody, winnice, pola i sady wyraźnie by się odróżniały, ale teraz była tylko ogromna, niekończąca się, majestatyczna, migotliwa biel, niczym nie rozgraniczona.

– I większość tego to de Trouvere – powiedziała Genevieve. – Jeden z pięknych widoków tego rejonu.

Krisztina powoli potrząsnęła głową.

– To wspaniale. Mogłabym tutaj stać wiecznie.

– I nabawić się zapalenia płuc. – Genevieve spojrzała na Mojżesza i trzy wilczarze: Wenus, Oriona i Perseusza, które już dokazywały w śniegu. – No, idziemy.

Oddalając się od zamku, szły po dziewiczo białych trawnikach, jednego z dwóch, jak wyjaśniała Genevieve głównie po niemiecku, klasycznych barokowych ogrodów.

– Kiedyś – powiedziała – cały ten obszar wokół domu był utrzymywany w tym stylu, podzielony na tak zwane *compartiments de broderie*, ale matce Armanda nie podobała się przewaga elementów architektonicznych nad roślinnymi. Kochała przyrodę, uważała, że wysiłki, by poprawiać *chefd'oeuvre* Boga, są bez sensu i że właściwe miejsce na marmur, złocenie i geometrię jest w budownictwie. Więc teraz, chociaż w parku jeszcze zobaczysz rzeźby i fontanny, zorientujesz się, mam nadzieję, że to tylko akcenty wśród naturalnej roślinności, nie zaplanowane, żeby stworzyć jakiś wymyślny układ.

– *Bellemere* – powiedziała Krisztina, na co Genevieve się uśmiechnęła – bardzo jesteś łaskawa, że mówisz po niemiecku.

– Chodzi mi o to, byś czuła się swojsko, Krisztino. Żałuję, że nie mówię po węgiersku.

– Chyba to ja powinnam podciągać swój francuski.

– Już jest zupełnie dobry, *ma chere* – zapewniła ją Genevieve – ale oczywiście trzeba czasu, żebyś nabrała swobody.

Z barokowego ogrodu szły dalej szeroką aleją. Psy je dogoniły i bezszelestnie po śniegu pogalopowały naprzód.

– Zaproponuję ci kompromis – powiedziała Genevieve. – Najlepszy sposób, żeby mówić

płynnie, to wprawiać się i wprawiać przy każdej okazji. Rozmawiajmy więc zawsze po francusku w ciągu dnia, a wieczorem, dopóki nie będzie ci zupełnie łatwo, będziemy wszyscy mówić po niemiecku.

Krisztina przytaknęła.

– Myślę, że to aż za dobrze.

– Dzisiaj jednak święto i masz dużo wrażeń, więc się nie męcz szukaniem słów. – Genevieve klasnęła w dłonie w rękawiczkach. – Powinnyśmy iść trochę prędzej. Dziś pokażę ci te części de Trouvere, do których można dojść pieszo. Ale żeby mieć rzeczywiście pojęcie o pięknie tych okolic, musisz poczekać do wiosny.

Krisztina westchnęła z uznaniem.

– Jest cudownie nawet teraz.

– *Qui* – zgodziła się Genevieve – *c'est un beau camouflage*. Mój mąż zawsze kochał śnieg, bo tylko przy takiej widoczności jak dzisiaj mógł z domu oglądać całą swoją ziemię.

Przez półtorej godziny chodziły ramię w ramię i Genevieve, nie inaczej niż Laurent przedtem w samochodzie, opowiadała o urokach tych okolic latem, starała się opisać Krisztinie ich uroki wiosenne.

– Na lewo od nas – powiedziała – w cieniu tego starego dębu będą klomby lilii, a na prawo pierwiosnki, narcyzy, hiacynty.

Kawałek dalej nad ładną sadzawką przymknęła oczy i wyczarowała przed synową wonny obraz konwalii, irysów, niezapominajek i ruty.

Śnieg skrzypiał pod ich butami, gdy szły z *jardin anglais* do *jardin japonais*, potem ze wspaniałego, wielkiego, dzikiego ogrodu, bliskiego sercu babki Laurenta, na idealnie równe zagony warzywnika, i stamtąd do otwartego parku i niezwykle nagromadzenie rzadkich okazów drzew.

Dalej i dalej szły przez zimowo ogołocone pergole i pod stropami z drewnianej kratki, i szpalerem szlachetnych hiszpańskich kasztanowców, i aleją buków. Z dogodnej pozycji w parku Genevieve pokazała Krisztinie dalekie sady, które jesienią magnetycznie przyciągały Laurenta w dzieciństwie, pokazała liczne ścieżki górskie dla jeźdźców, prowadzące przez zarośla do lasu i z lasu na łąki, gdzie konie mogą galopować do woli. Potem poszły wzdłuż zamarzniętej krętej rzeczki, w dwóch miejscach przeszły na przeciwległy brzeg po uroczych łukowatych drewnianych mostkach i w końcu zatrzymały się nad zamarzniętym jeziorem. Za jeziorem stała urocza *temple d'amour*, samotna na tle ośnieżonych jodeł.

– Czy ktoś po tym jeziorze jeździ na łyżwach? – zapytała Krisztina. Mojżesz obwąchał lód, podbiegł do niej z boku i wsunął nos w jej prawą rękę.

– Przy północnym brzegu czasami lód jest dosyć gruby – odpowiedziała Genevieve. – Jeździsz?

– Jeździłam, kiedy byłam mała. – Krisztina umilkła tęsknie. – Ale zaczęłam tańczyć i nogi stały się dla mnie zbyt ważne, żeby je narażać na złamanie czy zwichnięcie.

Umilkły obie. W ciszy miarowo dyszały psy i od czasu do czasu pokrzykiwały ptaki.

Genevieve przerwała milczenie.

– Bardzo będzie ci brakowało tańca? – zapytała łagodnie.

Krisztina spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie mogę sobie wyobrazić mojego życia bez tańca. Nie mogę uwierzyć, że to się skończyło. No, ale – roześmiała się dosyć ochryple – jeszcze niezupełnie pojęłam, że wiele innych rzeczy też

skończyło się dla mnie. – Powstrzymała łzy napływające jej do oczu.

– Jesteś bardzo utalentowana – powiedziała Genevieve. – Tańczysz świetnie.

– Lepiej niż nieźle – przyznała Krisztina ochryple – i miałam szczęście do partnerów.

– To więcej niż szczęście.

– Oczywiście – powiedziała, mylnie rozumiejąc. – Bez Laurenta nigdy bym nie zdobyła mistrzostwa.

– Mówię nie o nim, tylko o tobie. Jesteś najlepszą tancerką, jaką kiedykolwiek widziałam.

Podniosła wzrok oszołomiona.

– Przecież nie widziałaś, *bellemere*, jak tańczy.

– Widziałam – sprostowała Genevieve. – Raz w Baden-Baden, a drugi raz w Paryżu na *Championnat du Monde*.

Zabłąkany obłok, snując się leniwie po niebieskim niebie, zasłonił na chwilę słońce. Orion, biały wilczarz, niecierpliwie walnął ogonem w śnieg, a Mojżesz zaskomlał.

– Przecież myśmy się nie spotkały – powiedziała Krisztina.

– Laurent nic mi nie mówił.

– Prosił się go o to.

– Dlaczego?

– Dlatego, że mój mąż chciał zrozumieć, co tak namiętnie zachwyca jego syna. – Genevieve lekko wzruszyła ramionami.

– Ja chciałam ciebie poznać, ale Armand wolał, żebyś nie wiedziała o naszej obecności.

– Czy rozumiał?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Jak mógłby nie zrozumieć?

– Ale nie akceptował – w zamyśleniu dorzuciła Krisztina na pół do siebie, gdy nagle ukazał jej się nowy aspekt zalotów Laurenta. Dotychczas nie przyszło jej na myśl, chociaż rzeczywiście powinno było, że Laurent musiał pokonać nie tylko jej niechęć.

– Niestety, nie – potwierdziła Genevieve. – Przynajmniej nie z całego serca. Armand nie był despota... potrafił być wymagający, nawet surowy czasami, a w ostateczności jednak nie zabroniłby Laurentowi ożenić się z dziewczyną, którą Laurent pokochał.

Krisztina milczała przez chwilę, potem znów spojrzała Genevieve w oczy.

– A ty, *bellemere*? Byłaś przeciwna naszemu małżeństwu?

– Z początku, przyznaję, zgadzałam się z Armandem. Myśleliśmy, że Laurent tylko zadurzył się w tobie.

– Z początku?

– Właśnie. Im dłużej trwało to partnerstwo, im wytrwalej on starał się o ciebie, tym bardziej byłam zaintrygowana tą tajemniczą młodą Węgierką. – Uśmiechnęła się cierpko. – Musisz też wziąć pod uwagę, Krisztino, arystokratyczny snobizm.

– Pan Armand chciał, żeby Laurent ożenił się z panną z lepszym rodowodem – powiedziała Krisztina bez urazy.

– Ja tak samo – przyznała Genevieve. – Z utrwalaniem szlacheckiego rodu łączą się wielkie obowiązki, *ma chere*, łatwiej im podołać osobie z tej samej sfery. – Znów wzruszyła wytwornie ramionami. – Żyjemy, co ubolewania godne, w świecie niedoskonałym – umilkła na krótką chwilę. – Więc, jak mówię, przekonałam Armanda, że powinniśmy dowiedzieć się o tobie więcej, zanim

wyrazimy dezaprobatę, i wtedy on zdecydował, żebyśmy cię zobaczyli nieobowiązująco, bez żadnych prezentacji.

Dwie sroki, przelatując w górze, zaskrzeczały, Wenus i Perseusz szczełnęły głośno.

– I zmieniłaś, *bellemere*, zdanie?

– Zrozumiałam znaczenie doskonałego partnerstwa. Że taka szczęśliwa jedność... takie wyraźne zespolenie dwóch umysłów i ciał na parkiecie... może przerodzić się w miłość. Przynajmniej w sercu jednego z partnerów.

Krisztina nic nie powiedziała.

– I rozumiałam wtedy mojego syna. – Znow Genevieve na chwilę umilkła. – Zaznaczam, Krisztino, że muszę jeszcze zrozumieć ciebie.

Zmarzły, gdy tak stały nieruchomo nad zamrożonym jeziorem, więc zawróciły do zamku krótszą drogą. Skończyły spacer w małej, prywatnej kaplicy na odgrodzonym, cichym cmentarzu rodzinnym.

Zimno było w kaplicy, z kamiennej podłogi wiało po skrajach ich futer. Panował półmrok, chociaż promienie słońca przenikały przez siedem okien witrażowych tak, że para ich oddechów snuła się w powietrzu kolorowymi girlandami. A przecież, ledwie tam weszły ciężkimi dębowymi drzwiami, Krisztina poczuła ciepły, cudowny, prawie pierwotny spokój.

Patrzyła, jak ta Francuzka zanurza czubki palców w kropielnicy z wodą święconą, żegna się i klęka. Zamierzała zrobić to samo, ale tylko stała z ustami rozdziawionymi, jak pełna czci pensjonarka.

A więc to dają bogactwo i pozycja – prywatne miejsce do obcowania z Bogiem. Zawsze uważała, że modlić się można wszędzie i nie potrzebowała, jak jej matka, gipsowych świętych, różańca czy ołtarza, nawet nie czuła szczególnej potrzeby, żeby uklęknąć.

Religii nauczyła się na kolanach matki i szanowała swoje wyznanie katolickie, ale na pytanie, w co wierzy, musiałaby odpowiedzieć, że po prostu w istnienie Boga i że dla niej uroczyste obrzędy, chociaż bezsprzecznie niosą pociechę milionom ludzi, są raczej tylko symboliczne.

Rozglądała się wokoło, chłonąc niezwykle pogodny nastrój tej kaplicy, podziwiając śnieżnobiałe jońskie filary i czyste sklepienie stropu, i misterne rzeźby nad ołtarzem, które przedstawiały Ukrzyżowanie, i stojącą powyżej kolorową, pozłacaną niedużą figurę Matki Boskiej. Symbole i tutaj także, oczywiście, pomyślała, ale skromne dostojęństwo tej kaplicy koło ją i równocześnie inspirowało.

Genevieve przeżegnała się znowu, wstała i uśmiechnęła się, widząc wyraz urzeczenia na twarzy Krisztiny.

– Jedyne w de Trouvere przykłady *neoclassique* – wyjaśniła. – To kaplica podobno z okresu reakcji na barok i przeładowany styl rokoko. Efekt prostoty, nie sądzisz?

– Tu jest... – Krisztina szukała właściwego słowa – tu jest wzniośle. Mojej matce bardzo by się podobało.

– Mam nadzieję, że będzie mogła kiedyś do nas przyjechać i to wszystko zobaczyć.

Nagle Krisztina poczuła ból tęsknoty tak silny, że omal nie krzyknęła. Wyczuwając jej rozpacz, Genevieve pociągnęła ją lekko za rękaw.

– Ja też chyba jestem w szoku, odkąd Armand umarł – powiedziała gorzko. – Ty utraciłaś coś

innego, jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że twoje straty są nieco większe, niżby się wydawało.

Łzy, których ostatnio było pod dostatkiem, znów stanęły Krisztynie w oczach, tym razem wywołane wrażliwością teściowej.

– Prawdziwa przyjaźń, Krisztino, nie powstaje z dnia na dzień. Jak większość roślin nie od razu się zakorzenia i wzmacnia, ale czasami, jak drzewo judaszowe, zakwita zdumiewająco szybko. – Genevieve umilkła na chwilę. – Nie mogę zastąpić ci matki... nie poważylabym się próbować... ale mam nadzieję, że wkrótce będziesz czuła, że masz tu przyjaciółkę.

Krisztina przygryzła wargę. Chciała znaleźć stosowne słowa wdzięczności, chociaż wiedziała, że cokolwiek powie, na pewno się rozpłacze.

– Może – zapytała Genevieve – chciałabyś przez parę minut być tu sama? Ja zawsze znajduję tu największą pociechę.

Krisztina przełknęła łzy i przytaknęła.

– Dziękuję. Chybabym chciała.

– Trafisz z powrotem?

– Jesteśmy tak blisko. I już się orientuję. Zresztą – zmusiła się do uśmiechu – Mojżesz mnie poprowadzi.

Gdy została sama, bezszelestnie, na miękkich podeszwach butów, podeszła po kamiennej podłodze do pierwszej ławki. Usiadła.

Gdybym tylko potrafiła się modlić! Ale nie potrafiła od tamtego szkaradnego nocnego incydentu w domu z ojcem. Zamknęła oczy, złożyła ręce i próbowała dzielnie powstrzymać falę buntu, nagle zagrażającą wydostaniem się przez zaporę rezygnacji, za którą się chroniła, odkąd przyjęła oświadczenia Laurenta.

– Zdrowaś Mario, łaski pełna – usłyszała swój szept, zgrzytliwy w głuchoj ciszy. Oczy ją piekły pod powiekami.

Nic z tego, serce protestowało. Zdradziłam Davida i mamę, i siebie samą. Jeżeli moje wczorajsze przysięgi były kpina, to tak samo kpina musi być moja modlitwa dzisiaj.

Otworzyła oczy. Zobaczyła nad ołtarzem zbolale twarze Chrystusa i dwóch ukrzyżowanych łotrów.

Tam, gdzie David jest teraz, nie ma żadnej synagogi, pomyślała na dnie nieszczęścia.

I już nie wytrzymując spokoju tej kaplicy, wstała i pobiegła do drzwi.

Laurent wrócił z konnej przejażdżki, zarumieniony, z oczami roziskrzonymi. Zjedli obiad we troje w przyjemnym pokoju na pierwszym piętrze, którego okna wychodziły na ogród róż i w którym dominowała jabłkowa, blada zieleń wiecznej wiosny, chociaż złociste odcienie orzechowych mebli przypominały jesień.

Czy tutaj będziemy codziennie jeść obiad? – zastanawiała się Krisztina, patrząc na ciężkie srebrne tace, przynieszone z kuchni w suterenie. Czy to tylko dzisiaj, bo jest święto?

– Najlepsze *foie gras* w kraju! – Laurent entuzjastycznie wytarł usta serwetką. – Ty nie jesz, *cherie*?

– W de Trouvere hoduje się gęsi?

– Od przełomu stuleci. Wiesz, tu w Alzacji pewien *patissier*, Jean-Joseph Clause, udoskonalił ten *pate*. Geniusz.

– Wątpię, czy gęsi by się z tobą zgodziły.

Zdumiony, uniósł brew.

– Nie smakuje ci?

– Budzi we mnie obrzydzenie. To takie okrutne.

Wzruszył ramionami.

– Tu są farmy, Krisztino. Farmerzy nie mogą sobie pozwolić na czułość, no nie, *maman*?

Genevieve tego nie skomentowała.

Wysłała za farmera, pomyślała Krisztina apatycznie. Nie za tancerza, tylko za farmera.

Po obiedzie znów znalazła się sama, gdy Laurent i jego matka zostawili ją, żeby omówić sprawy majątkowe.

A teraz, czego się wymaga ode mnie? – dumiała, idąc jednym z korytarzy na parterze. – Chyba niczego, skoro jest święto. Co zrobić z tym wolnym czasem? Mogłabym wziąć Mojżesza znowu na spacer albo napisać do mamy, albo zwiedzić ten dom...

Wyruszyła uzbrojona tylko w chaotyczną znajomość nazw poszczególnych pokoi, tak jak Laurent je podawał, gdy przyjechali poprzedniego dnia. Obcasy jej stuknęły na posadzkach i na kamiennych podłogach, zapadały się bezszelestnie w gruby włos dywanów Savonnerie i Aubusson, i wciąż odkrywała coś nowego, starając się połączyć każdą zapamiętaną nazwę z tym, co zastawała za każdymi imponującymi dębowymi drzwiami.

Niektóre pokoje można było rozpoznać – *salon chinois*, pełen rzeźbionych misternie i lakierowanych mebli i jadeitów, pokój myśliwski: wszystkie serwantki, ściany i nawet sufit poświęcone polowaniu, czarowny *salon bleu*. Męska palarnia, gdzie w powietrzu pomimo dwóch okien otwartych, co wyrównywał ogień buzujący na palenisku kominka, wisały od lat zapachy tytoniu i dymu, i wyraźne opary koniaku.

Trafiła do dwóch uroczywych jadalni, jednej ogromnej, drugiej trochę przytulniejszej, po czym odkryła sąsiadującą z *salon rouge*, trzecią jadalnię, nie mniej ładną, ale wyraźnie częściej używaną. Zapewne to jest jadalnia rodzinna.

Ospale poszła na górę po fantastycznych barokowych schodach i gładząc chłodną powierzchnię ozdobnej marmurowej balustrady, zatrzymała się na podeście. Pójść w lewo czy w prawo? Schody

powyżej rozdzielały się wspaniale i jak dwa białe skrzydła sięgały z dwóch stron na raczej mroczną galerię pierwszego piętra.

– To prawie dokładnie miniatura wielkich schodów Bartłomieja Rastrellego w Pałacu Zimowym w Petersburgu – powiedział jej Laurent poprzedniego wieczora. – Lubię uważać te schody – dodał – za sam rdzeń naszego zamku.

Na pierwszym piętrze trafiła do pokoju muzycznego. Cicho tu było jak w grobowcu, ale nieskazitelnie połyskliwe, nazwę zaznaczały tylko fortepian Bechsteina i ogromna zakryta harfa. Za drugimi jednak drzwiami, w dużym pokoju kredensowym, zobaczyła starannie przechowywane instrumenty smyczkowe i dęte, których wystarczyłoby dla całej orkiestry.

Wychodząc z pokoju muzycznego i zamykając delikatnie drzwi za sobą, omal nie wpadła na Sutterlina, kamerdynera.

Ten dystyngowany, raczej chłodny, łysiejący Alzatzczyk stał na czele kłopotliwie powitalnego szeregu służby, gdy przyjechała z Laurentem.

– *Bonne annee, monsieur Sutterlin*. – Wiedziała, że zarówno Laurent, jak jego matka zwracają się do niego tylko po nazwisku, ale jakoś wydawało jej się to prawie niegrzeczne.

– *Bonne annee, madame*.

– Z przyjemnością trochę się tu rozglądam – wyjaśniła, jak obcy gość czując potrzebę wytłumaczenia się, dlaczego wchodzi do zamkniętych pokoi.

– Czy mogę pani pomóc, *madame*?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Chyba że pan mi powie, co pominęłam. – Wymieniła pokoje, które obejrzała.

Sutterlin zastanawiał się przez chwilę.

– Myślę, *madame*, że spodobają się pani *salle fleurie* i pokój letni. – Po chwili dorzucił: – I sala lustrzana.

– Dziękuję – powiedziała szybko. Uśmiechnęła się. – Czy to na tym piętrze?

Należycie skierowana przez Sutterlina w stronę wschodnią, poszła do połączonych ze sobą *salle fleurie* i pokoju letniego. W *salle fleurie*, rozkosznie buduarowej, jak gdyby będącej dziełem jakiegoś bardzo kobiecego ducha, zachwyciły ją kwieciste tkaniny. W pokoju letnim podziwiała kontrast z zimowym krajobrazem za oknami, bo w tym przestronnym dwupoziomowym salonie ładząco odtworzono na ścianach jezioro de Trouvere latem, jak się domyśliła, orgię kwiatów i szklistej niebieskiej wody z łabędziami i łabędziatkami oraz *temple d'amour* w dali z dwojgiem nierozpoznawalnych kochanków.

Ale dopiero w sali lustrzanej miała rzeczywiście powód do zachwytu. Dla ogółu te obfite, srebrzyste sztukaterie i ogromne w rzeźbionych ramach lustra, w których wczesny zachód słońca odbijał się ogniem tam i z powrotem, były niewątpliwie niezwykłym przykładem stylu rokoko, ale ona widziała tylko jedno – jakież to doskonałe, chociaż trochę zbyt fantazyjne studio do tańca.

Zamknęła drzwi, znalazła kontakty i zapaliła światła. Olśniły ją żyrandole. Drzwi, od wewnątrz lustrzane, ze srebrną klamką, nie rzucały się w oczy, sala wyglądała jak całkowicie ze wszystkich stron odizolowana.

Krisztina przyklekła i mocując się, uniosła trochę dywan. Ku jej uszczęśliwieniu, pod dywanem był parkiet.

Mój pierwszy krok w roli baronowej – zdecydowała nagle. – Poproszę o zabranie tego dywanu

i przyniesienie gramofonu. Jeżeli Laurent nie zechce tańczyć, będę tańczyła sama. I pomyślała już z mniejszą pewnością siebie: Jeżeli Genevieve się nie sprzeciwi. To jest wciąż jeszcze jej dom. Ale łagodne, rozgrzewające przekonanie sprawiło, że się uśmiechnęła. Ona się nie sprzeciwi...

O dziesiątej Laurent zaproponował, żeby poszli spać wcześniej, bo wszyscy są zmęczeni. Jego złociste wąskie oczy pała – ty, gdy patrzył na Krisztinę, aż czuła nerwowe drzenie w dołku.

Ramię w ramię, nie dotykając się, szli po wielkich schodach. Na pierwszym piętrze wziął ją pod rękę i poprowadził w lewo, skąd było bliżej do schodów, nie tak już wspaniałych, prowadzących na drugie piętro.

Nawet przez zamknięte drzwi garderoby i z wysokości dwóch pięter usłyszała słabe bicie zegara szafkowego na parterze. Wybił godzinę jedenastą. Dłużej nie mogła zwlekać. Popatrzyła jeszcze raz na swoją nieruchomą, bladą twarz w lustrze, zobaczyła, że włosy jej lśnią po nerwowym szcztokowaniu, i z głową podniesioną weszła do sypialni.

Paliło się tylko jedno światło, nocna lampka z jej strony łóżka.

Zdjęła biały atlasowy szlafrok i powiesiła go na oparciu krzesła. Po ciemku, pomyślała, będę mogła sobie wyobrazić, że jestem z Davidem.

Laurent na pół siedział w łóżku, opierając się na dwóch dużych kwadratowych poduszkach. Był w czarnej jedwabnej piżamie ze szkarłatną wypustką i maleńkim czerwonym herbem rodowym na górnej kieszeni. Wydawał się opanowany, szeroko otwartymi oczami śledził każdy jej ruch. Słabe drzenie blizny na policzku jednak zdradzało jego napięcie, gdy wsunęła się pod kołdrę i usiadła przy nim.

Odwróciła głowę do niego i zdobyła się na lekliwy uśmiech. Ujął ją za rękę, przez chwilę głaskał obrączkę na jej palcu, po czym uniósł jej dłoń do ust. Jego skóra była ciepła i sucha, jego dotknięcie dziwnie pocieszające.

Pomimo wszystko, pomyślała, dzięki Bogu, że przynajmniej jesteśmy przyjaciółmi. To małżeństwo może być błędem, może być niezwykle, ale też było transakcją, którą zawarła z rozpaczą i swej nieszczęśliwej miłości. Więc zamierzała się wywiązać.

Patrząc na Laurenta, zobaczyła po raz setny, jaki on jest przystojny. Z ulgą zaprawioną poczuciem winy zdała sobie sprawę, że wcale nie tak strasznie będzie leżeć w nocy przy tym szczupłym, dobrze umięśnionym mężczyźnie. W pewnym sensie intymnie знаła jego ciało, tyle z nim tańczyła w salach balowych całej Europy. Te ręce, które ją trzymały i prowadziły w tańcu tak pewnie i z takim wyczuciem, będą według wszelkiego prawdopodobieństwa równie zmysłowe i inteligentne, gdy dojdzie do seksu. Może ostatecznie nie będzie to koszmar, bo Laurent de Trouvere ma w sobie, prócz mnóstwa sprzecznych uczuć i pobudek, domieszkę dziwnej wrażliwości, której ona nie mogłaby nie rozumieć.

– Krisztina, *ma belle* – powiedział nagle, wrywając ją z zamyślenia – czy wiesz, jak długo czekałem na tę chwilę?

Zawahała się i odpowiedziała:

– Nie wiem.

Patrzył jej w oczy.

– Ponad pięć lat śniłaś mi się prawie co noc, ale w tych snach byłaś z marmuru, jak posąg.

Milczała zaniepokojona. Bo jeżeli naprawdę tak mu się śniła, to z chwilą gdy czar nieosiągalności pryśnie, niewiele w ich małżeństwie zostanie czegoś, co by się oparło kuksańcom

powszedniego życia. A ich małżeństwo funkcjonować musi. Przecież jest uwarunkowaniem ich transakcji. Jeżeli się rozpadnie, kto będzie dalej walczył o uwolnienie Davida?

Uznając jej milczenie za skromność, Laurent próbnie, prawie z szacunkiem, ujął ją za ramiona, po czym przyciągnął do siebie i pocałował. Zamknęła oczy, przez cały czas pocałunku siedziała wyprostowana i bierna, a gdy ją puścił, sięgnęła ręką za siebie, żeby zgasić lampę.

– *Non, chérie, s'il vous plait.*

Zatrzymała rękę na kontakcie i spojrzała na niego pytająco.

Apelował żarliwym wzrokiem.

– Szczególnie bym się cieszył – powiedział pokornie nieomal – gdybyś zostawiła światło zapalone.

Odjęła rękę od kontaktu.

– Dobrze – wyszeptała.

Uśmiechnął się.

– Bardzo chcę cię zobaczyć.

– Tak. Wiem.

Powoli objął ją i znów zamknęła oczy, tym razem myśląc, że on inaczej pachnie niż David. Wciągnęła w nozdrza ten zapach – woda kolońska, być może, bardziej korzenna, i... dym z palących się dREW – właśnie tak pachną lekko jego włosy.

Dłoni silnymi, a przecież delikatnie, Laurent zaczął głaskać ją po ramionach i rękach. Chociaż było nie tak jak wtedy, gdy głaskał ją David i płonęła pożądaniem, z pewnością nie było to nieprzyjemne. Przesunął dłonie na jej pierś pod jedwabiem nocnej koszuli. Zapragnęła wyrwać się, uciec od niego, uciec z de Trouvere, ale pamiętając swoją przysięgę, nakazała sobie się odprężyć. Jego palce już sprawiły, że pod białą satyną brodawki jej stwardniały. Otworzyła oczy i zobaczyła zadziwienie, błogość na jego twarzy, więc pomyślała, że jego seks będzie nieomal jak kult i na tę myśl wbrew sobie osłabła, drżała tak, że gdy jej zsunął cienkie ramiączka koszuli z ramion, rzeczywiście chciała ulec. Natychmiast poczucie winy, z takim wysiłkiem tłumione, wezbrało, omal jej nie dusiło.

– *Mon amour* – szepnęła Laurent i ukrył twarz między jej piersiami. Urzeczywistniło się marzenie z dawnych, powtarzających się snów w samotne, pełne rozczarowania noce, i trzymał w ramionach ciepłe, wonne ciało, już nie marmur. Wykrzyknął krótko. Krisztynie się wydawało, że na dekolt jej koszuli kapnęły łzy.

– Chcę nagości – wymamrotał niespodziewanie i poderwał się.

Jedwabna piżama nieznośnie go krępowała. Z pasją zerwał z siebie kurtkę, tak że dwa małe szkarłatne guziki przysnęły w powietrze, zrzucił spodnie, podniósł kołdrę zakrywającą ich oboje i ściągnął z Krisztiny białą nocną koszulę. Potem przez długą, długą chwilę znieruchomiały na klęczkach, wpatrywał się w oszalamiające, całkowicie obnażone wdzięki swojej młodej żony.

Nagle musiał rozplątać, rozedrzeć nowy splot rozszalałych pragnień serca i zmysłów. Pragnął kochać się z nią powoli, wytrwale, osiąść ją bardzo delikatnie, pieścić każdy cal jej ciała, jak należy się tej ziemskiej bogini, która tak długo nieuchwytna powstała w jego wyobraźni. Ale jednocześnie, gdy patrzył na jej urocze piersi, pełne, krągłe biodra i prowokacyjne blond włosy łonowe, czuł samczą żądzę, bezduszną, rzeczywiście chciał ją wziąć zaraz, zgwałcić tę słodycz, wtargnąć w nią, zмагаć się i ryć. Myśli się kłębiły, oczy mu pociemniały, penis zогromniał, serce

łomotało jak kopyta rumaka w galopie...

Krisztina patrzyła na niego. Jej ciało też stało się niezależne.

Od policzków aż do palców nóg rozplomieniło się oczekiwaniem. Oddychała płytko, coraz szybciej i czuła wilgoć pomiędzy udami, co ją zdumiało i zakłopotało. Dusza pozostawała na uboczu, pamiętała udrękę zdradzenia Davida i obliczała koszty ślubnej przysięgi, a ciało dalej, spontaniczne, rozpustne, przygotowywało się na przyjęcie jej męża powitalnym sokiem...

Nagle z jękiem Laurent rzucił się na nią i mocno ją objął. To, co przez kilka minut wydawało się raczej kontemplacją dzieła sztuki, raptownie było namacalne, przerażająco konkretne, seks bez miłości z jej strony, spółkowanie, parzenie się, zwierzęce i chutliwe, straszne. Gdy on ręką gwałtownie, zaborczo, rozdzielił jej uda i poczuła wtargnięcie, zacisnęła powieki i starała się w mrocznej rozpaczliwej fantazji przywołać miłość.

Ale przyszło jej na myśl, że może to właśnie jest największą zdradą ze wszystkich i taka obłuda nie da nic oprócz żalu i wstydu. Więc nakazała sobie otworzyć oczy i patrzyła bez drgnienia w oczy męża, ciemno-złociste szparki zamglone namiętnością i pożądaniem. Gdy on pragnał, obejmował ją ramionami i pieścił dłońmi, doznania jej ciała ustały i umarły, jakiś głos w mózgu powtarzał raz po raz. Nie David, już nigdy David, ale to dla Davida. Laurent ją miał, napierał rozpaczliwie, osuwał się nieprzytrzymywany, aż plaskanie skóry o skórę wybijało jej w uszach rytm coraz szybszy, podnoszący się okrutnie i do bezgłośnego crescendo, po czym coraz wolniejszy, a jej przez cały czas jeszcze jedna myśl krążyła w głowie, uspokajając ją, dziwnie pocieszając i rozgrzeszając.

Transakcja to transakcja.

W parę minut później Laurent wreszcie usiadł. Lśnił od potu.

– Nie bolało cię – powiedział bezbarwnie.

Przyjmując to za dobrą monetę, Krisztina lekko się uśmiechnęła.

– Nie.

– Dziewice to boli.

Omal się nie zakrztusiła, ale zdołała powiedzieć spokojnie:

– Nieraz, owszem.

Sekundy mijały.

– Chętnie bym cię uderzył – powiedział Laurent głosem nadal pustym.

Milczała.

– Ale nie mogę bić mojej żony za moją własną głupotę. – Uśmiechnął się blado, gorzko. – I przecież cię kocham – dodał.

Powoli, zawstydzona wbrew sobie nagością, Krisztina usiadła.

– Utraciłaś dziewictwo w Berlinie – powiedział.

Policzki ją paliły. Daremnie starała się przybrać ton wyzywający, a nie obronny.

– Wiedziałaś o tym.

– *Tu as raison*. Masz rację, oczywiście. – Parsknął krótkim, chrapliwym śmiechem. – Ale do dzisiaj to nie było realne.

Wyczuła, że on potrzebuje pociechy, więc spróbowała dotknąć jego ramienia, ale wzdrygnął się i odsunął, jak gdyby miała w ręce zapalonego papierosa.

– I co gorsze – ciągnął – o wiele gorsze, wiem, że to z mojej winy.

Zawahała się.

– Czy dlatego, że to się stało... w twoim pokoju?

Przytaknął, zaciskając szczęki jak z bólu.

– Przecież nie mogłeś wiedzieć, że do tego dojdzie – powiedziała cicho.

Spuścił wzrok, żeby nie patrzyła mu w oczy.

– Nie mogłem – potwierdził zdławionym głosem.

– Powodowałaś się przyjaźnią, Laurent.

Potrząsnął głową, nadal unikając jej wzroku.

– Nie – powiedział. – Miłością.

Poczucie nowej winy ogarnęło Krisztinę, gdy sobie uświadomiła, może po raz pierwszy, jaka jest samolubna. Może, pomyślała zmieszana, gdybym starała się wczuwać w Laurenta, nie tylko wciąż wnikać w siebie, to by mi pomogło przetrwać w tym małżeństwie. Nie, poprawiła się szybko, to by nam obojgu pomogło przetrwać.

Nadal zawstydzona swoją nagością, wstała cicho, znalazła na podłodze koszulę i włożyła ją przez głowę.

– Krisztina! – powiedział Laurent z takim niepokojem, że ją przeraził.

– Co?

Zobaczyła znów inny wyraz jego twarzy, teraz błagalny.

– Nie odchodź ode mnie.

Uśmiechnęła się.

– Ja tylko...

– Nie! Nie o to chodzi... – Był jak mały chłopiec, któremu śniło się coś koszmarnego. – Nie odchodź z de Trouvere!

Zdumiona, podeszła do łóżka od jego strony i usiadła.

– Laurent, ja nie odejdę od ciebie ani z de Trouvere. Myśmy dopiero...

– Przysięgam ci – chwycił ją za rękę – że dotrzymam słowa!

– Co?

– Dołożę starań, żeby odnaleźć Davida, załatwić jego zwolnienie! – Bliski hysterii, trzymał jej rękę prawie kurczowo.

– Laurent, kochanie – powiedziała łagodnie, nie okazując, jak się zaniepokoiła. – Wierzę ci. Ostatecznie to było przyrzeczenie, które...

– Dotrzymam! – Puścił jej rękę raptownie, zeskoczył z łóżka i otworzył szufladę swojej szafki nocnej. – Mam ci to udowodnić? Chcesz, żebym to napisał krwią? – Grzebał w szufladzie szaleńczo. – Tylko znajdę jakiś ostry...

– Laurent, przestań! – Z oczami rozszerzonymi Krisztina odciągnęła go od szafki, zatrzasnęła szufladę. – Nie musisz mi niczego udowadniać... Już powiedziałam, że ci wierzę. Proszę, uspokój się.

– A co będzie, jeżeli go nie odnajdę? – Twarz miał białą jak kreda i łyzy w oczach. – Co będzie, jeżeli go nie wypuszczą? Wtedy odejdiesz ode mnie, prawda?

Zbita z tropu jego wzburzeniem, delikatnie objęła go i trzymała. Przez parę minut trząsał się, potem stopniowo się uspokoił i usiedli znowu razem na łóżku: mąż przytulony do piersi żony. Pomyślała, że dziwnie jego dojrzałość maleje. Dotychczas wydawał się znacznie starszy od niej, doświadczenia miał o wiele, o wiele więcej. A teraz nagle doznała wrażenia, że jest znacznie

młodszy, potrzebuje ochrony przed – jak zdała sobie sprawę – własną chwiejnością.

To fakt i nie da się nie brać tego pod uwagę, rozmyślała. David, może o tysiąc mil oddalony w jakimś obozie koncentracyjnym, jednak był tutaj w de Trouvere, w zamku, którego nigdy w życiu nie widział – był w jej sercu i w zgorzkniałej duszy Laurenta.

Powoli, cierpliwie, z ręką zdrętwiałą od ciężaru męża, Krisztina zaczęła wysuwać się z jego nużącego uścisku.

– *Tu t'en uas?* – wymamrotał.

– Tylko do łazienki – uspokoiła go.

Już zupełnie spokojny, znów podniósł jej rękę do ust, pocałował i puścił.

– Za dużo wzruszeń – powiedział cicho.

– Tak.

– Zamknięte były za długo.

Pocałowała go w policzek.

W łazience ochlapała twarz letnią wodą, otarła ręcznikiem i ociężale usiadła na pokrytym frote taborecie. Nogi jej się trzęsły, w głowie miała chaos, jak gdyby cyklon wyrwał ją z korzeniami, powykręcał jej uczucia, przewracał myśli. Nigdy dotąd nie była tak wyczerpana. I zziębnięta. Objęła się rękami dla rozgrzewki, skuliła się w tej wspaniałej marmurowej łazience i usiłowała odzyskać równowagę.

– Krisztina? – Usłyszała jego głos zza drzwi.

– Już idę! – zawołała.

I nagle z przerażeniem pomyślała po raz pierwszy: Co będzie, jeżeli zaszłam w ciążę? Laurent powiedział, że chce mieć dzieci, ale na tym etapie to byłby straszny błąd, bo nie ma stałości. Trzeba stałość osiągnąć, zanim przyjdzie na świat niewinne dziecko.

Błagam Cię, Boże, nie dopuść, żebym zaszła w ciążę. Odetchnęła głęboko. Postanowiła znaleźć jakiegoś doktora, dyskretnego i życzliwego, by poprosić go o pomoc.

Mignął jej przed oczami obraz matki klęczącej w kościele i pomyślała ze smutkiem, jak bardzo ten pomysł by zabolął Ilonę. I w ogóle to musi być starannie ukrytym sekretem, weszła przecież do starej rodziny, zdecydowanie katolickiej.

Antykoncepcja jest grzechem – potępiliby mnie i wezwali *pere* Perigota.

Ale dziecko urodzone do nieszczęścia byłoby grzechem jeszcze większym – pomyślała wyzywająco, i w lustrze, które zajmowało całą jedną ścianę łazienki, popatrzyła sobie w oczy czyste i stanowcze.

Żadnych dzieci. Jeszcze nie.

Transakcja została przypieczętowana.

Sytuacja w Alzacji pogarszała się. Gdy zima stopniała w śliczną wiosnę i wczesne lato, Krisztina, wdrażając się – chwilami z trudem, chwilami z łatwością – w swoją nową rolę, zaczęła zdawać sobie sprawę, że zbliża się miarowo, nieubłagane wojna, która wessie wszystkich.

Do Alzacji napływały posiłki wojskowe, był pobór rezerwistów, z banków w Strasburgu klienci wycofywali pieniądze. Pod koniec sierpnia zachęcano ludność do wyjazdu, „dopóki jeszcze można”, ale Genevieve mówiła o tym z pogardą.

– *Laches*. Tchórze! Nasza rodzina od tysiąc osiemset siedemnastego roku mieszka tu w czasach pokoju i wojny, i inwazji. Żebyśmy się stąd ruszyli, trzeba czegoś więcej niż banda Niemców!

Międzynarodowe linie telefoniczne odcięto, więc Krisztina utraciła luksus rozmawiania co tydzień z matką. Zarządzono zaciemnienie, rozdawano maski gazowe i karty ewakuacyjne. Strużka niepokoju zmieniła się w strumień.

Pierwszego września Niemcy uderzyli na Polskę. Nazajutrz w Alzacji zmobilizowano wojsko, zarządzono powszechną ewakuację. Ponad trzy czwarte sił roboczych opuściło de Trouvere, ale państwo w zamku pozostali ze starszym pokoleniem swych podwładnych. Laurenta zwolniono ze służby wojskowej, ponieważ produkcję rolną de Trouvere uznano za niezbędny wkład w wysiłki wojenne.

Wojsko było wszędzie, a przecież dopiero w maju 1940 roku wojna zaczęła się poważnie, tak że nawet w sercu Haut-Rhin słychać było dalekie bombardowania. Linia Maginota utrzymała się do połowy czerwca, kiedy to – ku konsternacji stoicko nastawionych Alzatzyków – armia francuska zaczęła się wycofywać.

– *Traitres!* – żaliła się Genevieve oburzona. – Opuszczają nas bez walki. Mogę tylko się cieszyć, że Armand nie doczekał takiej okropności.

O świcie osiemnastego czerwca Strasburg był właściwie miastem-widmem, bezbronny, otwarty przed nieprzyjacielem. Następnego dnia Niemcy przekroczyli Ren i doszli do Benfeld, oddalonego tylko o trzydzieści kilometrów od de Trouvere. Gdy podpisano rozejm, kończący całkowicie działania wojenne, z najwyższych okien zamku widać było na szosach długie szeregi żołnierzy francuskich wziętych do niewoli i stało się boleśnie oczywiste, że chociaż dla większości Europy wojna dopiero się zaczyna, dla Francji i dla Alzacji jest już przegrana.

Dwudziestego ósmego czerwca przyjechał Adolf Hitler, żeby podziwiać swój nowy podbój. Szybko zakwaterował się Wehrmacht, został wprowadzony czas niemiecki, obowiązywała godzina policyjna. W ciągu paru miesięcy większość ewakuowanych na południowy zachód powróciła do swoich domów i Niemcy starali się przekonać ludność tego rejonu, włączonego w granice Reichu, że życie może być i będzie lepsze, niż było pod panowaniem francuskim.

Świeżo mianowany szef administracji cywilnej w Alzacji, gauleiter Robert Wagner, postawił sprawę jasno: ta prowincja ma się zrównać z Reichem pod każdym możliwym względem. Urzędników państwowych trzeba natychmiast przeszkolić. W myśl niemieckich ustaw rasowych wszystkie elementy „niepożądane” i „politycznie niepewne” trzeba deportować. Teraz oni byli panami, nowymi zwierzchnikami, i chociaż wydawali pierwsze zarządzenia tonem perswazji prawie życzliwej, szybko zaczęli podnosić głosy ostre, rozkazujące bezapelacyjnie.

W lipcu jedynym dozwolonym językiem urzędowym stał się *Hochdeutsch*, mówić po francusku zakazano. Proponowano lekcje niemieckiego, ale gdy ludzie nie chcieli się uczyć, zakaz

uzupełniono groźbą karania więzieniem. W sierpniu „poproszono” Alzaczyków o zmienianie nazwisk, jeśli są francuskie.

W grudniu wyrażono życzenie, żeby ludzie zdawali wszystkie książki francuskie celem „oczyszczenia” każdej biblioteki, czy to publicznej, czy prywatnej. Chłopcy z Hitlerjugend chodzili po Strasburgu od domu do domu, zbierając książki, które następnie w obecności trzech tysięcy osób spalono w Orangerie.

– To skandaliczne! – wiosną następnego roku Genevieve po pobycie w tej stolicy opowiadała Laurentowi i Krisztynie. – Oni usunęli prawie każdy ślad francuskiego. Nie ma już napisu *lettres* na skrzynkach pocztowych... w toalecie kawiarni, w której zjadłam nędzną kanapkę, krany są pomalowane, żeby nie było na nich *chaud i froid*.

– Absurdalne! – Krisztina się roześmiała.

Genevieve z policzkami zaróżowionymi z gniewu przytaknęła jej energicznie.

– Są nie tylko źli, ale obłąkani, moim zdaniem. *Madame Piquart*... ona ma *papeterie* na Place Broglie... powiedziała, że zniszczyli wszystkie, jakie u niej były, fotografie naszych żołnierzy w mundurach francuskich... i nawet napisy na widokówkach muszą być po niemiecku!

Po kolacji siedzieli w *salon rouge*. Wilczarze leżały przy pustym kominku, Mojżesz jak zawsze u stóp Krisztiny. Jej mąż, zmęczony całodzienną pracą, rozparty na kanapie, palił papierosa.

– Włączyć radio? – zapytała Krisztina.

– A po co? – Genevieve prychnęła. – Żeby słuchać hitlerowskiej propagandy? – Spojrzała chłodno na syna.

– *Maman* – Laurent westchnął. – Czy nie było dość głupio, że zerwałaś *etiquette*? Chcesz na dodatek łamać prawo?

– Chcę – odpowiedziała i szare jej oczy były jak ze stali. – Istotnie, to by mi sprawiło sporą satysfakcję.

Parę miesięcy przedtem wszystkie gospodarstwa domowe obdarzono nalepkami z groźnym przypomnieniem, że słuchanie audycji zagranicznych jest teraz przestępstwem pod karą robót przymusowych. Laurent po otrzymaniu takiej nalepki natychmiast przylepił ją do radioodbiornika. Matka, rozdrażniona, zdarła ją.

Bynajmniej nie był to jedyny gorący spór pomiędzy nimi od czasu niemieckiej inwazji. Odkąd zdelegalizowano język francuski, Genevieve i Krisztina za obopólną zgodą nigdy już 10. Zamek Ella nie gawędziły wieczorami po niemiecku, a Laurent wtrącał niemieckie zdania do rozmowy i wydawał podwładnym polecenia albo miejscowym dialektem, albo nawet samym *Hochdeutsch*. Ci, którzy jeszcze pozostali, znaleźli się pośrodku zawziętego rodzinnego konfliktu, gdy *madame la baronne* i *la jeune baronne* (jak po cichu nazywali Krisztinę) były z jednej strony, a dziedzic de Trouvere „siedział na płocie”, ale przechylał się wyraźnie w drugą.

Tylko Sutterlin, jedyny śmiałek, okazywał parę razy, co o tym myśli.

– Sutterlin, proszę, niech mi osiodłają Seigneura – polecił Laurent któregoś dnia po niemiecku.

– *Immediatement, monsieur le baron*.

Laurent uniósł brew.

– Czy Sutterlin nie wie, że teraz w Alzacji nie wolno mówić po francusku?

– *Mais oui, monsieur le baron* – padła spokojna, pełna szacunku odpowiedź.

Genevieve właśnie, przechodząc przez główny hol, parsknęła śmiechem.

– Nie mogę pojąć, Laurent, czemu nie zmieniasz nazw koni. Chociaż ja osobiście uważam, że *Herr* to nieciekawa nazwa dla urodziwego ogiera.

Laurent się zaczerwienił.

– To już wszystko, Sutterlin. – Poczekał, aż kamerdyner wyjdzie, i gniewnie zwrócił się do matki.

– Czy to konieczne, *maman*, robić ze mnie głupca przy służbie?

Patrzyła na niego zimno.

– A czy ty koniecznie musisz zachowywać się jak głupiec?

– Nie jest głupotą przestrzeganie prawa.

– Jakiego prawa? – odparowała Genevieve. – W zawieszeniu broni nie ma wzmianki o Alzacji.

– Jednak oni są tutaj, no nie? I panują. – Dla pewności zniżył trochę głos. – I chcę ci powiedzieć, *maman*, ja nadal, jak zawsze przedtem, uważam ich za ludzi cywilizowanych.

– Skoro cywilizowani mogą być dla ciebie złodzieje...

– Ale w ich pojęciu to Francuzi im ukradli Alzację. Zapominasz, że to było cesarstwo niemieckie przez prawie pięćdziesiąt lat.

– A cóż pięćdziesiąt lat znaczy w historii? – Oczy jej zapałały. – Twój ojciec, gdyby słyszał cię teraz, nie posiadałby się z rozpaczy!

– Brałby pod uwagę przyszłość de Trouvere, *maman*, tak jak ja – odciął się Laurent. – Był inteligentny.

– Był *patriot*.

Konflikt między nimi stale narastał i teraz, gdy Genevieve dalej opowiadała, co zastała w Strasburgu, Krisztina zaniepokojona widziała, że chociaż nadal niewątpliwie oni się kochają, jest coraz mniej między nimi serdeczności – a co jeszcze gorsze – coraz mniej zaufania.

– W sklepach nieciekawie, właściwie niczego nie warto kupić – powiedziała Genevieve synowej. – I gdybym dobrze nie znała miasta, wciąż bym błędziła przy tych śmiesznych nowych nazwach ulic. Place Broglie to obecnie Adolf Hitler Platz... *Madame* Piquart i ja splunęłyśmy na tę tabliczkę.

– Jakże dystygowanie – zauważył Laurent – i mądrze w dodatku, jeżeli się chce trafić do aresztu.

Matka go zignorowała.

– Avenue Jean-Jaures to teraz Horst-Wessel-Allee, a rue des Juifs to Mauerzunftgasse... mój fryzjer to teraz *Friseur*, a Banque de France to Reichbank. – Urwała, żeby nabrać tchu. – I kiedy będziecie mieli dzieci, one będą musiały chodzić do *Oberschulen*, zamiast do *lycee*, i należeć do Hitlerjugend!

Jej głos, niezwykle jak na nią namiętny i donośny, rozbrzmiewał echem po *salon rouge* w ciszy, która zaległa. Najmniejsza wzmianka o dzieciach często wystarczała, żeby Laurent posepniał, bo co miesiąc spotykał go zawód. Krisztina, czując się winna oszustwa, ale jeszcze bardziej zdecydowanie niż przed wojną uważając, że nie czas wprowadzać na świat nowe istnienia, udawała że pragnęła, żeby ponury nastrój męża minął.

W trzy dni później Genevieve czystym przypadkiem natrafiła na sekret Krisztiny.

Obie były gotowe do przejażdżki konnej, gdy okazało się, że Krisztina zapomniała wziąć rękawiczki. Ponieważ już siedziała w siodle, Genevieve, która chciała jeszcze powiedzieć coś o

obiedzie kucharce, Marthe Schneegans, ofiarowała się je przynieść.

– Gdzie one są, *cherie*?

– Chyba w górnej szufladzie komody, najbliższej toaletki – powiedziała Krisztina. – Ale ja pójdę, *bellemere*. – Zaczęła zsiadać ze swego wierzchowca.

– Nie, *cherie*, zostań. – Genevieve ją powstrzymała. – Konie się zdenerwują. Zaraz wracam.

Porozmawiała z Marthe i poszła do garderoby Krisztiny, ale w górnej szufladzie znalazła tylko rękawiczki z czarnego zamszu i białe bawełniane. Poszukała w drugiej szufladzie, też daremnie, szybko więc wyciągnęła najniższą i pogrzebała wśród szalików, bielizny i listów, uśmiechając się na widok tego nieładu – Krisztina zawsze wydaje się taka porządna, taka *soignee*.

Rozbawiło ją odkrycie, że bałagan w szafach to jeszcze coś, co ma z synową wspólnego.

Najpierw znalazła tę fotografię. Popatrzyła niezbyt zainteresowana: ot, zdjęcie jak wiele innych, Krisztiny i Laurenta z konkursów tańca, bo Krisztina jest w falbaniastej sukni balowej. Ale potem zobaczyła, że Krisztinę obejmuje w pół nie Laurent, tylko jakiś nieznamy młody człowiek – ciemnowłosa, wesoły – i patrząc znów na twarz Krisztiny, zdumiała się. Tak uszczęśliwionej nigdy dotąd jej nie widziała.

Ach, zrozumiała z ukłuciem w sercu, ta utrata ta prawdziwa *utrata*.

Wsuwając fotografię z powrotem pod stertę jedwabnych pończoch, wygarnęła nienaumyślnie jakieś pudełeczko. Z natury nie była wścibska, spojrzała na etykietkę odruchowo.

Oczy jej się rozszerzyły i wciągnęła powietrze. A więc Krisztina nie zachodzi w ciążę nie z woli Boga, jak ona filozoficznie dotychczas przypuszczała.

Przede wszystkim się zgorszyła, zdumiona, że Krisztina tak oszukuje; potem poczuła wyraźny, dojmujący gniew w instynktownej obronie syna i ostatecznie rozczarowanie.

Ściągnęła rękawiczkę z prawej ręki, otworzyła pudełeczko i z pogardą popatrzyła na małą błonę, którą zawierało. Zamknęła pudełeczko, wepchnęła je z powrotem na miejsce, głośno zatrzasnęła szufladę.

– Nie mogłam znaleźć tych rękawiczek – wyjaśniła krótko Krisztynie, dosiadając swego wierzchowca. – Więc przyniosłam ci moje zapasowe.

Dopiero gdy wróciły do zamku, w dwie godziny później Krisztina znalazła sposobność, żeby zapytać teściową, dlaczego tak dziwnie straciła humor.

– Coś się stało, *bellemere*?

– A cóż mogłoby się stać?

– Wydajesz się... roztargniona... nawet rozgniewana.

Genevieve patrzyła na nią przez chwilę, po czym się zdecydowała.

– Chodźmy do biblioteki. Chyba powinniśmy porozmawiać.

W tym miłym, pachnącym książkami pokoju Krisztina zapytała zatroskana:

– O co chodzi, *bellemere*?

– Usiądź, proszę, Krisztino.

Obie usiadły w wygodnych, obitych skórą fotelach, dobrze już nadgryzionych zębem czasu.

– Po pierwsze – zaczęła Genevieve. – Winna ci jestem przeprosiny.

– Za co?

– Postąpiłam niewybaczalnie. Wetknęłam nos w twoje sprawy osobiste – umilkła. Po chwili dalej mówiła szczerze: – Kiedy szukałam twoich rękawiczek i nie mogłam ich znaleźć w górnej

szufladzie, gdzie, jak powiedziałaś, miały być, otworzyłam drugą i trzecią.

Krisztina zbladła.

– Należało oczywiście zapanować nad sobą i nie patrzeć – ciągnęła Genevieve – ale ludzka ułomność jest taka, jaka jest. Skoro już zobaczyłam to pudełko, nie mogłam udawać nawet przed samą sobą, że go nie widziałam.

Krisztina z rękami splecionymi na kolanach milczała. Żabot amazonki jak pętla ścisnął jej szyję.

– Wiem, *ma chere*, że doprawdy to nie moja sprawa. – Ton Genevieve złagodniał – a przecież bardzo mnie to martwi. Jestem pewna, że oszukujesz mojego syna nie bez powodu...

– Chcę oszczędzić mu bolesnej prawdy! – wybuchnęła Krisztina. ‘

Genevieve zachowała spokój.

– Ja zawsze wolę uczciwość, nawet jeżeli sprawia komuś ból.

– Ja też – powiedziała Krisztina cicho.

Teściowa pogłaskała ją po rękę.

– Wierzę ci. – Zawahała się. – Często mam wrażenie, że czujesz się wciąż jeszcze samotna i wiem, jak bardzo tęsknisz do matki. Myślałam, że zbliżyliśmy się do siebie, że widzisz we mnie przyjaciółkę... ale jeżeli uważasz, że nie możesz mi ufać...

– Ja naprawdę ufam.

– Więc porozmawiaj ze mną, *cherie*. Chciałabym zrozumieć twoje motyw.

– Motyw? – Krisztina nie zdołała powściągnąć zawziętości w swoim głosie. – Mówisz tak, *bellemere*, jakby to było przestępstwo.

– Dla wielu katolików tym jest zapobieganie ciąży. Przystępstwem przeciw prawu naturalnemu. Przecież wiesz, Krisztino.

– Oczywiście że wiem. Podstawowym celem małżeństwa jest potomstwo – zacytowała ochryple.

– Właśnie.

– Ale nawet poprzedni papież rozumiał, że czasy się zmieniają...

– Dopuścił środki naturalne – sprostowała Genevieve. – W każdym razie – potrząsnęła głową – to sprawa twoja i twojego sumienia, a nie twojej teściowej. Ale to jak najbardziej dotyczy Laurenta. Jeżeli nie chcesz dzieci, on chyba ma prawo wiedzieć dlaczego?

– Wiedziałby, gdyby się nad tym zastanowił.

– Ale czy wie, że używasz błony?

– Nie wie.

Genevieve wstała, zdjęła jeździecką kurtkę i znów usiadła przejęta.

– Czy Laurent jest złym mężem, Krisztino?

– W żadnym razie.

– Kocha cię, prawda?

– Bardzo.

Zmarszczyła brwi.

– Więc może to ze względu na jego postawę wobec zaboru?

Krisztina napotkała jej wzrok.

– Częściowo.

Oczy Genevieve były pełne smutku.

– Z tym mogę się solidaryzować, *cherie*. Boli mnie ta jego ugodowość.

– On myśli, że zabezpiecza de Trouvere na przyszłość.

Genevieve rozmyślała przez chwilę.

– Armand by tego nie zrozumiał – powiedziała cicho. – Buntowałby się przeciwko hitlerowcom przy każdej okazji.

– Wątpię, czy Laurent tak by reagował, jak reaguje, gdyby jego ojciec był nadal tutaj.

– Prawdopodobnie masz rację – przytaknęła z bladym uśmiechem. – Może nie dorósł do ponoszenia takiej odpowiedzialności, jaka została mu narzucona.

– On kocha de Trouvere ponad wszystko, *bellemere*.

– A jednak miesiącami przebywał daleko stąd.

– Dla tańca.

Genevieve się uśmiechnęła.

– I dla ciebie.

– Tak.

– Myślę, że zainteresowanie tańcem – powiedziała Genevieve powoli – to jeden z przejawów jego złożonej natury.

– Nigdy nie przypuszczałam, że on ma w sobie jakieś komplikacje – powiedziała Krisztina. – Zawsze wiedział dokładnie, czego chce.

Genevieve przytaknęła.

– Aż obsesyjnie. – Umilkła na chwilę. – Jego taniec, na przykład. Laurent był... jest... bardzo zdolny, ale większość mężczyzn w jego sytuacji traktowałaby taniec jak rozrywkę, a nie *raison d'etre*.

– Teraz on w ogóle nie tańczy.

– Ku twojej zgrzyocie. – Oczy Genevieve trochę pocieplały. – Chociaż przynajmniej sama tańczysz w „studiu”.

Podkreśliła to słowo z rozbawieniem. Sala lustrzana, którą Krisztina odkryła swego pierwszego dnia w zamku, stała się pod wieloma względami ratunkiem. Prawie nie było dnia, żeby Krisztina nie przetańczyła choćby godziny przed lustrami, wyładowując wszelkie stresy i niedobre uczucia w czysto fizycznym wysiłku.

– Laurent nie chce nawet mówić o tańcu, nawet wspominać.

– To znów jeden z przejawów – powiedziała Genevieve. – Brak mu tańca, ale ma z powodu tańca wyrzuty sumienia. Żałuje, że nie był tutaj, żeby pomagać ojcu... i zarazem żałuje, że nie mógł zostać z daleka i być wiecznie wolnym duchem. – Po chwili podjęła: – Zawsze wiedział, że de Trouvere będzie dla niego brzemieniem, nie tylko radością. Od wczesnego dzieciństwa bawił się w *le baron*, często przybierał miny i pozy, aż musieliśmy go strofować. Zawsze kochał de Trouvere, jako swoją własność. A przecież uciekał stąd. Jest skomplikowany. – Lekko się skrzywiła. – Krótko mówiąc, jest nieszczęśliwym człowiekiem.

– A teraz ja mu przysparzam zmartwienia, bo nie chcę wciągać nowej istoty ludzkiej w taką... niestałość.

– Ujmijmy to w ten sposób – powiedziała Genevieve szczerze. – Z punktu widzenia kobiety, nie katoliczki... nie mam ci tego za złe.

Krisztina milczała.

– Ale trudno mi, *cherie*, oprzeć się wrażeniu, że pomijając Laurenta, ten młody człowiek na twojej fotografii... – urwała, widząc przerażenie Krisztiny. – Była w tej samej szufladzie... przepraszam. Więc odnoszę wrażenie – mówiła dalej – że może on ma coś wspólnego z tym twoim nastawieniem. – Umilkła. – Słuszne wrażenie? – zapytała po chwili.

Powoli ciemny rumieniec rozszerzył się z szyi Krisztiny na policzki.

– Tak. – Jej głos zabrzmiał prawie jak szept.

– Twój poprzedni partner:

Krisztina przytaknęła niemo.

– I o wiele więcej niż tylko partner?

Znowu słabe: – Tak.

– Powiedziałaś, że mi ufasz, *cherie*. Nie zwierzysz się?

Na to pytanie Genevieve, nieskończenie łagodne i serdeczne, wezbrały Krisztynie w oczach długo powstrzymywane łzy. Nadszedł moment zrzucenia ciężaru z serca.

– Więc mój syn niewiele lepszy niż szantażysta. – Genevieve jakoś zmizerniała nagle i pobladła, głos miała przytłumiony.

– Postąpił tak z miłości, *bellemere*.

– Ty go bronisz?

– Chyba – powiedziała Krisztina cicho. – Dojrzałam na tyle, by go zrozumieć.

Francuzka potrząsnęła głową, jeszcze do głębi wstrząśnięta.

– Nic dziwnego, że nie chcesz jego dzieci.

– Przynajmniej nie teraz.

Obie milczały przez długą chwilę.

– Na pewno zdajesz sobie sprawę – powiedziała wreszcie Genevieve – że Laurent, nawet jeżeli mógłby przed wojną, teraz nie może pomóc Davidowi. Już jest za późno.

– Tak. – Wargi Krisztynie zdrętwiały, gdy usiłowała zadać pytanie, które dręczyło ją od lat. – Czy... – przełknęła ślinę i spróbowała znowu. – Czy on przed wojną mógł pomóc?

– Pytasz mnie, czy on ci kłamał? – Genevieve posępna, lekko wzruszyła ramionami. – Całym sercem mam nadzieję, że nie. Armand rzeczywiście miał kontakty z naszą ambasadą w Berlinie... tam może by go wspierali. – Prawdziwy smutek był w jej oczach. – Ale już jest za późno – powtórzyła.

– Wiem.

– I nadal chcesz z nim zostać?

– Nie mogę winić Laurenta za wojnę.

– Wątpię, *ma petite*, czy ja bym potrafiła być tak wielkoduszną.

Krisztina wstała, kolana jej się trzęsły ze zdenerwowania.

– Złożyłam przysięgę, kiedy brałam z nim ślub – powiedziała. – I jednak, pomimo wszystko, przywiązałam się do niego... chociaż może bardziej jak przyjaciel niż jak żona. – Odetchnęła głęboko. – No i jest de Trouvere... myślę, że po prostu nie sposób nie pokochać de Trouvere. – Umilkła. – I jesteś ty, *bellemere*.

Genevieve wstała. Uściskały się obie, znów popłynęły łzy.

– Jest coś, *bellemere*, co chciałabym ci pokazać – powiedziała później Krisztina.

– Co?

– List. – Spojrzała w oczy Genevieve i wiedziała, że może mieć do niej zaufanie. – Od Davida. Genevieve wyraźnie się przeraziła.

– Ale kiedy? Ach, mówisz o jakimś dawnym?

– Nie taki dawny. Dostałam go zaledwie cztery miesiące temu, był napisany ponad rok przedtem. – Krisztina wzięła Genevieve za rękę. – Chodźmy. Jest u mnie.

W swoim buduarze dała teściowej małą prostokątną kopertę, trochę wystrzępioną.

– Jesteś pewna – zapytała Genevieve, patrząc na kopertę – że chcesz, żebym to przeczytała?

– Zupełnie pewna. – Usta Krisztynie drgały, aż przytrzymała dolną wargę zębami. – Taki wątlý papier, prawda? Ale odbył z Niemiec drogę do Palestyny i stamtąd na Węgry i w końcu, dzięki mojej mamie, dotarł do mnie. – Umilkła. – Usiądź, *bellemere*.

Genevieve usiadła. Krisztina podsunęła dla siebie taboret.

– Laurent mylił się co do tego, że David jest w Dachau albo w Buchenwaldzie. Jest w obozie w Sachsenhausen na północ od Berlina. – Zamknęła oczy i łzy pociekły jej spomiędzy rzęs. – Zupełnie blisko właściwie, a ja wcale nie wiedziałam.

Genevieve przyjrzała się kopercie, wyraźnie starej, ponownie użytej po dokładnym wykreśleniu jakiegoś nieznanego nazwiska i adresu i wypisaniu starannie pająkowatymi literami: *Florian Krisztina Kisasszonyt* i numeru domu na ulicy Kalvaria w Budapeszcie.

– To jego pismo – wyjaśniła Krisztina z dumą – chociaż we wszystkich innych listach, dawnych listach, które mogłabym ci pokazać, jest proste i mocne. – Sekundy mijały. Położyła dłoń na dłoni Genevieve. – Proszę, przeczytaj.

Pieczołowicie Genevieve otworzyła kopertę i wyjęła mały, cienki arkusik, bladoniebieski, z tłustą plamą w górnym prawym rogu. Był trochę zmięty i taki, jakby czyjaś ręka wygładzała go cierpliwie, z miłością, może godzinami. To samo delikatne pismo zapełniało tylko jedną stronę.

Taki krótki, pomyślała Genevieve, nieomal zgorzona szczupłością tego, co dla adresatki z pewnością graniczyło z cudem. Taki... żalony.

Przeczytała ten list napisany po niemiecku.

Ukochana!

Za mało czasu, za mało miejsca, za mało siły, ale to musi wystarczyć na wieczność.

Wielu tu umarło i umiera, aleja dalej żyję – jestem wciąż jeszcze Twoim Davidem. Słyszysz się pogłoski, że iluś z nas wkrótce deportują. Do Rygi, szepczą poinformowani.

Ryga jest bardzo daleko. Za daleko. Myślę, że nie przetrwam. Ale nie płacz, moja ukochana, moja czysta czarowności.

Plakałem, gdy znalazłem ten papier, bo wydawał się piękny. A potem wspominałem twoje oczy. Moja Kriszti. Sam wdzięk i łagodność, i wonność, i miłość.

Jeżeli znajdziesz moich rodziców, zawiadom ich o tym liście. Był tylko jeden kawałek papieru.

Rozpadam się, włosy mam siwe, ale serce i duszę pełne Ciebie.

David.

Genevieve wyciągnęła rękę na oślep, łapiąc łzy, żeby nie kapnęły na papier. W powietrzu były duchy – wyczuwała je, głąskały ją po policzkach, tłukły w głowę, wykręcały jej żołądek,

rozdzierały serce.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Krisztina też je wyczuwa, ale się nie boi.

– To, co czujesz, *bellemere*, to jest zło – powiedziała spokojnie synowa. – David chciał mi tego oszczędzić, ale to emanuje z tej stroniczki.

Genevieve nie mogła mówić.

– Ale miłość jest silniejsza – dokończyła Krisztina po prostu.

Genevieve przytaknęła, bardzo delikatnie włożyła list z powrotem do koperty i kopertę oddała Krisztynie. Ręce Krisztiny były zimne, a jej ręce, jak zauważyła, drżały.

– On myślał, że jestem w Budapeszcie i czekam na niego.

– I że jego rodzice są wolni. – Głos Genevieve dobył się ochryply ze ściśniętej krtani.

– Nie. – Krisztina potrząsnęła głową. – Dobrze się orientował, nie mógł tak myśleć. Może miał nadzieję. – Łzy nie popłynęły, chociaż znów stanęły jej w oczach. – Ale już był sam jeden.

Żadna przez długą chwilę nic nie mówiła.

– Przypuszczasz – zapytała Genevieve ostrożnie, powoli – że on jest w Rydze?

– Nie wiem.

Zmusiła się do następnego pytania.

– Przypuszczasz, że on nie żyje?

Krisztina cicho i krótko westchnęła.

– Wyobrażałam sobie, że gdyby nie żył, czułabym.

– Ale nie czujesz.

– Nie czuję. – Łzy popłynęły. – I już wiem, że nigdy nie poczuję. On za bardzo jest żywy we mnie. – Urwała i spojrzała teściowej w oczy. – Ale czuję... i oby Bóg mi to wybaczył, że ja go utraciłam.

– Może... – Genevieve przełknęła kulę w gardle – po wojnie?

– Nie wierzę w to, *bellemere*. – Krisztina trzymała ten list przy piersi. – Myślę, że już nigdy go nie spotkam.

Czasami ludziom pracującym w de Trouvere mogło się wydawać, że toczą się dwie wojny: jedna rozpościera niszczycielskie macki po świecie, a druga szaleje, bardziej prywatnie, ale nie mniej zaciekle, w zamku.

Posiadłość de Trouvere stała się pod niemiecką okupacją ośrodkiem produkcyjnym. Do Alzacji, odciętej od reszty Francji, rzeczywiście niczego nie sprowadzano, więc ten rejon musiał poprzestawać na swoich zasobach, które błyskawicznie się kurczyły. Ale rodzina w zamku miała się dobrze po części dzięki temu, że Krisztina kochała zwierzęta. W czasie ewakuacji przed zaborem porzucony żywy inwentarz biegał samopas, na ogół głodując i czasami nawet służąc żołnierzom za tarcze strzelnicze. Krisztina z litości nad tymi zwierzętami ruszyła do akcji – ci ze służby folwarcznej, którzy jeszcze zostali, mieli zapędzić na folwark tyle sztuk, ile tylko zdołają. W rezultacie było teraz w de Trouvere stado krów, wystarczające, by założyć niedużą mleczarnię.

Laurent szybko zrobił pieniądze na litościwym sercu żony. Ledwie ogłoszono racjonowanie żywności, skontaktował się z biurem gauleitera Wagnera w Strasburgu, proponując swoje produkty hitlerowcom. Gdy wrócili ewakuowani, szerzyło się wskutek strasznego upadku gospodarki bezrobocie, ale w de Trouvere powstały nowe miejsca pracy przy trzykrotnie większej uprawie zbóż, dodatkowych warzywniakach, w mleczarni i przy wytwarzaniu win riesling. Wszystko to z błogosławieństwem Niemców.

Hitlerowcy, z początku ufni, że wojna szybko się skończy, wszelkie sugestie, żeby Alzaczyków wcielać do Wehrmachtu, lekceważyli. Potem, wobec przegranej bitwy o Anglię i wcześniejszego, niż planowano, uderzenia na Rosję, gauleiter musiał wszcząć ogromną kampanię werbunkową. Chociaż były kuszące obietnice i machina propagandy w ferworze dostawała zadyszki, mało który Alzaczyk się zgłosił, więc w sierpniu 1942 roku po prostu zarządzono pobór. To samo, co uchroniło Laurenta przed powołaniem do armii francuskiej, teraz uratowało go przed Wehrmachtem. Produkcja de Trouvere miała znaczenie dla wojennych Niemiec.

Gdy Laurent powiedział żonie i matce, że zaprosił Hermana Bicklera, kreisleitera Strasburga, na kolację do zamku, Krisztina pierwsza wyraziła oburzenie.

– Laurent, chyba się nie spodziewasz, że będę podejmowała tego człowieka?

– Spodziewam się.

– Wykluczone. – Genevieve nieomal zsiniała.

– Proszę, *maman*, nie próbuj w to się wtrącać. Bickler pragnie zwiedzić de Trouvere, odmówienie mu tego byłoby najgorszą głupotą.

Siedzieli w rodzinnej *salle a manger* po niedzielnym obiedzie.

Genevieve walnęła pięścią w stół, aż kryształ i porcelana zadźwięczały.

– Na litość boską, to są mordercy!

– Dbają o Alzację i protegują de Trouvere, a przecież mogliby tylko się przyglądać, jak popada w ruinę.

– O tak wielką głupotę ciebie nie posądzałam. – Oczy Genevieve iskrzyły się lodowato. – W odpowiedniej dla siebie chwili oni rzucają się na de Trouvere i zostawiają nas z niczym...

– Bzdura – Laurent się zniecierpliwiał. – Krisztino, jednak będziesz na tej kolacji. Bardzo was proszę, wysilcie się, obie mówcie po niemiecku.

– Mój syn hitlerowcem! – Genevieve splunęła.

– *Bellemere*, nie – powiedziała Krisztina spokojnie. – Po co sobie ubliżać. – Była blada i spięta.
– Laurent wierzy, że nas chroni. Boi się postępować inaczej.

Teraz Laurent z furią walnął pięścią w stół.

– Wystarczy, że matka mnie obraża! Nie zniosę, żeby moja żona nazywała mnie tchórzem!

Krisztina uśmiechnęła się.

– Nie nazywam cię tchórzem, tylko mówię, że się boisz. Jest różnica.

– Laurent, odwołaj to zaproszenie, proszę. – Genevieve mówiła już łagodniej.

– Niemożliwe.

– Nic nie jest niemożliwe, jeżeli ma się odwagę.

– Odwagi mi nie brak, ale jestem dalekowzroczny. – Zmiękł. On też mówił łagodniej. – Ty żyjesz przeszłością, *maman*.

Genevieve wstała i spojrzała mu w oczy.

– Nie, Laurent, ja żyję dla przyszłości.

– Ten Bickler chyba cię ceni – powiedziała Krisztina w tamtą niedzielę wieczorem, gdy leżeli w łóżku i czytali – skoro chce przyjechać tu na kolację.

Laurent odłożył książkę.

– Interesuje się zamkiem i jego historią.

Uśmiechnęła się. – Nie bądź taki skromny, Laurent. Najwidoczniej i tobą także.

Wzruszył ramionami.

– Być może wie, że widzę lepiej niż niektórzy Alzatzcy... że wprawdzie nie podoba mi się wiele z tego, co oni reprezentują, ale uznaję i doceniam ich fachowość akurat tak, jak on docenia moją produktywność. – Zmarszczył brwi. – I wprost przeciwnie niż moja rodzina on wie, jak bardzo się chlubię, że jestem Francuzem, i zapewne to we mnie szanuje.

Krisztina zamknęła książkę.

– No cóż – powiedziała uprzejmie – jeżeli jest ci przeznaczone zaprzyjaźnić się z nim i kto wie, czy z czasem nie pozyskać łaski gauleitera, może będziesz mógł sobie przypomnieć o pewnym dawnym przyrzeczeniu.

– O przyrzeczeniu?

– Przyrzekłeś coś swojej żonie.

Laurent miał teraz twarz bez wyrazu.

– O ile pamiętam, chciałeś nawet napisać to krwią.

Odwrócił się do niej z czołem pofałdowanym.

– Chodzi o Davida?

– Oczywiście. – Była zupełnie spokojna.

Nadal wydawał się zdumiony.

– Przecież musiałaś zrozumieć, Krisztino, że odkąd zaczęła się wojna, nic już nie mógłbym dla niego zrobić.

– Owszem, rozumiałam. – Zawiesiła głos. – Aż do teraz.

– Jak to?

– Dopóki się nie dowiedziałam, jacy życzliwi są dla ciebie kreisleiter i jego koledzy.

– Kreisleiter odpowiada za działalność polityczną, kulturalną i gospodarczą w tym rejonie, *ma chere* – powiedział Laurent. – On nie wie nic o obozach. – Roześmiał się krótko, obronnie. – Co

chcesz, żebym zrobił? Żebym zapytał Hermanna Bicklera o jakiegoś Żyda, który może jest, a może nie jest w którymś z ich obozów koncentracyjnych?

– Właśnie.

– Ależ to niemożliwe! Nawet gdyby zechciał pomóc, to byłoby szukanie igły w stogu siana.

– A gdyby się wiedziało, w którym David jest obozie?

– Przecież nie wiemy – burknął.

Krisztina zapatrzyła się w plamkę na ścianie przed sobą.

– Myślę, że jest w Rydze.

– Dlaczego tak myślisz?

Nie odpowiedziała.

– Krisztina? – Ponaglił ją ostro.

– Dostałam list.

– Od Davida? – zapytał z niedowierzaniem. Przytaknęła, nadal nie patrząc na niego. – Kiedy?

– Dawno.

– I mnie nie powiedziałaś?

Skłoniła głowę.

Teraz głos mu się załamywał.

– Napisał, że jest w Rydze?

– Był w Sachsenhausen, ale słyszał pogłoski, że mają ich wywieźć do Rygi.

Przez chwilę Laurent milczał.

– Ile jeszcze listów twój kochanek ci przysłał? – zapytał ochryple. – Odbierasz je w jakiejś kryjówce?

Spojrzała w końcu na niego, ale z pogardą.

– Myślisz, że oni tam mają urząd pocztowy?

– Jak doszedł ten list?

– Przemycony jakoś z Sachsenhausen. Doszedł do mnie przez Palestynę i Węgry.

– Wzruszające.

– Laurent, nie wzbudzaj we mnie nienawiści.

– Myślałem, że już mnie nienawidzisz.

– Nie. – Złagodniała trochę. – Ale to niegodne dawać się ponosić zazdrości.

– Nie sądzisz, że mam do zazdrości prawo?

– Jestem twoją żoną, Laurent – powiedziała po prostu. – Jestem tutaj, przy tobie, kiedy David o tysiące mil stąd gnije w jakimś obozie, jeśli w ogóle jeszcze żyje. Więc gdzie powód do zazdrości o niego?

– Gdzie? – powtórzył posępnie. – Nadal dzień w dzień żyję z jego cieniem, jak wtedy, gdy jeździliśmy na konkursy... Nawet gdyśmy ze sobą tańczyli, wiedziałem, że Kaufmann jest pomiędzy nas wciśnięty i że ty wciąż jeszcze wspominasz, jak tańczyłaś z nim.

– To nieprawda.

– Oczywiście że prawda! I dalej jest tak samo w naszym małżeństwie. Kochamy się, a ty myślisz o nim. – Prychnął gorzkim śmiechem. – Podobno duchy nawiedzają miejsca, w których mieszkały. David Kaufmann nigdy nie był w de Trouvere, ale mieszka w tobie.

– To nieprawda. Naturalnie, myślę o nim... jak mogę nie myśleć o kimś, kogo kochałam... kto

musi cierpieć, Bóg wie, jakie męki, kto może nie żyje? – Położyła dłoń na ramieniu Laurenta. – Ale nie rozpamiętuję przeszłości... to nie ma sensu, szkoda na to życia. – Laurent strząsnął jej rękę. – Żyję tym swoim życiem, Laurent, tak jak potrafię. Ty jesteś moim mężem na dobre i na złe.

– Zawarliśmy transakcję.

– Tak – odpowiedziała z mocą. – Od tego zaczęła się ta rozmowa.

– Chcesz, żebym pomówił z Bicklerem?

– A ty się uchylasz.

– Uchylam się – przytaknął, ale już nie był taki oporny. – Bo to niemożliwe, Krisztino. On by nie mógł pomóc, nawet gdyby zechciał. A na pewno by nie chciał.

– Więc boisz się zapytać.

– To byłoby bezcelowe – przedkładał. – I to byłoby tak, jak – bym wziął młot i rozbił tę dobrą pozycję, którą sobie wyrobiłem. – Teraz prawie błagał. – Nie zaprzyjaźniłem się z Bickle – rem, *cherie*, musisz w to uwierzyć! Wolę mieć w nim sojusznika niż wroga.

Krisztina odłożyła książkę na szafkę nocną.

– Myliłam się przy kolacji, kiedy powiedziałam, że nie jesteś tchórzem – oświadczyła. – Jesteś. Znowu spochmurniał.

– I kłamcą w dodatku.

– Nie wycofuję się z danego słowa – powiedział pompatycznie. – Tylko w żaden sposób nie mogę go dotrzymać.

Zgasiła lampę i zamknęła oczy.

Laurent leżał nieruchomo. Długo panowała cisza.

– Czy ty mnie w ogóle kochasz? – zapytał w końcu, znowu lękliwie.

Krisztina otworzyła oczy. Na jego butnej, urodziwej twarzy odczytała niepewność.

– Coraz mniej – odpowiedziała.

Kreisleiter Bickler przyjechał do zamku z kolegą, Rene Schlegelem, szefem propagandy w strasburskim, ostatnio powołanym Komitecie Miejskim oraz pozdrowieniami od gauleitera. Genevieve, wierna swoim zasadom, nie zeszła na dół i Laurent wytłumaczył jej nieobecność migreną. Krisztina jednak, wiedzona jakimś dziwnym fatalizmem, włożyła twarzową, czarną aksamitną suknię i siedziała przy stole naprzeciw męża, okazując gościnność na tyle, na ile zdołała.

Najwstrętniejszy moment tego przyjęcia czekał ją, gdy Laurent wyszedł z palarni, do której mężczyźni przeszli po kolacji, i poprosił, żeby przyniosła z jego ubieralni aparat fotograficzny.

– *Komm herein!* – zawołał wesoło, gdy wróciła z jego leicą. – Nasi przyjaciele zaszczytli mnie propozycją, żebyśmy się sfotografowali razem. Zechcesz pstryknąć, *Liebling*?

– Niech pan jej nastawi aparat – powiedział Bickler protekcjonalnie.

W parę dni później dwie najlepsze odbitki, oprawione w ramki i podpisane: *Na pamiątkę wspaniałego wieczoru*, Laurent przesłał kreisleiterowi i Schlegelowi, a trzecią powiesił naprzeciw gobelinu w *salon rouge*.

W godzinę potem Genevieve zerwała tę fotografię ze ściany i potłukła szkło. Laurent chciał stanowczo postawić na swoim, ale mając już fotografię znowu oszkloną i w naprawionej ramce, nagle stracił odwagę, konieczną, żeby zmierzyć się z matką, więc zaszczytna pamiątka ostatecznie znalazła się w jego gabinecie.

W trzy miesiące po tamtej kolacji, gdy fotografia Laurenta i jego hitlerowskich przyjaciół nadal wisiała nad jego biurkiem, Krisztina mogła sobie wytłumaczyć swój dziwny, fatali – styczny nastrój, który ogarnął ją przed wizytą Bicklera.

Było ponure, zimne grudniowe popołudnie i Krisztina miała rzadką przyjemność panoszenia się przez parę godzin we własnej kuchni pod nieobecność Marthe Schneegans, doskonałej kucharki, mającej wolny dzień.

Z upodobaniem przyrządzała pyszną zupę węgierską, do rosółu z kury w ogromnym rondlu wrzucając pieprz, paprykę i maleńkie cebulki. Wtem ktoś zapukał do drzwi pomywalni przy kuchni. Mojżesz, którego połyskliwa czarna sierść ostatnio trochę zmatowiała i gdzieniegdzie zbieleła, przestał czuwać cierpliwie nad gotowaniem. Jeszcze ze śliną kapiącą z pyska usiadł, podniósł uszy.

Pukanie rozległo się znowu. Krisztina wytarta ręce o fartuch i podeszła do drzwi.

Przed drzwiami stała dziewczyna mniej więcej piętnasto, szesnastoletnia, ciemnowłosa, o skośnych oczach. Była w jaskrawej niebieskiej spódnicy i czarnym trykotowym *gilet* na białej bluzce z kryzką przy szyi. Na to miała narzucony tylko czarny szydełkowy szal, ale chociaż jej oddech parował w zimnym powietrzu, nie wydawała się zziębnięta.

– *Bonjour, madame.* – Zielonkawymi oczami przyglądała się Krisztynie bystro.

Minęło kilka sekund, Mojżesz nie warczał. Krisztina czuła się tak, jakby była taksowana, a przecież, o dziwo, wcale jej to nie irytowało.

– Czego sobie życzysz?

Dziewczyna otarła prawą dłoń o czerwone sukno na koszyku przewieszonym przez lewą rękę i nagle się zdecydowała.

– Pani jest *la baronne* de Trouvere?

– Tak.

Odjęła dłoń od koszyka.

– Może myślałaś, że zastaniesz Marthe?

– Nie – odpowiedziała. – Szukałam pani, *madame.*

Zdumienie Krisztiny nie trwało długo. Wszyscy wiedzieli, że pomimo zawziętych wysiłków hitlerowców, zmierzających do zlikwidowania Resistance w Alzacji, komórki tego ruchu nadal się trzymają. Walczą z niemiecką propagandą, zbierają po kryjomu informacje, pomagają uciekać jeńcom wojennym. Po nieudanym zamachu wiosną 1941 roku w Strasburgu na życie gauleitera Wagnera, którego samochód został obrzucony granatami, gestapo podjęło drastyczne środki: rozbito wiele z tych organizacji, aresztowano dziesiątki ludzi, wielu skazując na śmierć, ale przez cały ten czas nowe siatki konspiracyjne wciąż powstawały.

– Może wejdiesz?

Dziewczyna przecząco potrząsnęła głową.

– Lepiej nie. Jeżeli ktoś przyjdzie – wskazała koszyk – mam konfitury do sprzedania.

– O co chodzi?

– Żeby pani pomogła. – Skośne oczy patrzyły chłodno. Krisztynie zatętniły skronie.

– W czym?

Dziewczyna spojrzała poza nią w głąb pomywalni.

– Nie ma tutaj nikogo – powiedziała Krisztina łagodnie.

Znów zielone oczy wwierciły się w jej oczy.

– Pani wie, że są naloty.

Przytaknęła, prawie oniemiała. Zaczynało ją ogarniać szalone podniecenie, zaprawione lękiem.

– Wczoraj – dziewczyna zniżyła głos – jeden samolot spadł niedaleko Thannenkirch, angielski, dwóch zabitych, trzech przeżyli.

– Tyś się na nich natknęła?

– Zostali znalezieni.

– Ranni?

– Jeden ma złamaną rękę, drugi skaleczenia i siniaki, nic poważnego.

Krisztina czekała.

– Potrzebujemy bezpiecznego miejsca – powiedziała dziewczyna. Krisztina patrzyła na nią bez słowa. – Da im pani schronienie, *madame*?

– To niemożliwe. – Rzeczywiście, szarpnął ją żal. Nade wszystko chciała pomóc. W ciągu tych paru minut pojęła, że to jest właśnie to, na co bezwiednie czekała: sens, motyw jej bezcelowej egzystencji.

– Dlaczego niemożliwe? – Głos dziewczyny stał się prawie szorstki.

– Dlatego że... – Krisztina się zawahała, nie chcąc mówić obcej wieśniaczce o swych osobistych obawach. Nabrała tchu.

– Dlatego, że w de Trouvere nie jest bezpiecznie.

– Są piwnice.

– Tak, ale używane. Do win.

– Piwnice są pod całym zamkiem – powiedziała dziewczyna.

– Od zachodniej strony jest pusta część, niedaleko pieca do podgrzewania, żeby wina miały ciepło. – I dodała po chwili: – Tam jest bezpiecznie.

– W piecu podsycy się ogień kilka razy dziennie.

– Jacques Schneegans to robi.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała Krisztina zaskoczona.

– Nasza rzecz wiedzieć. – Dziewczyna znów odczekała chwilę. – Więc oni mogą przyjść? Tylko na kilka dni... dopóki nie zorganizuje się ich ucieczki.

Krisztina już się zlekła, czuła w żołądku twardą kulę napięcia, ale nadal krążyło jej we krwi podniecenie, prawie rozradowanie.

– *Madame*?

Zapatrzyła się w dziewczynę. Ona tak dużo wie. Co wie o Laurencie? Lojalność czy nielojalność, w każdym razie to obłęd udawać, że on by chciał ukrywać w de Trouvere trzech lotników brytyjskich.

– Mój mąż... – zaczęła.

– *Monsieur le baron* ma przyjaciół u góry – powiedziała dziewczyna szybko. – W gestapo nie pomyślą, żeby szukać tutaj.

Krisztina przełknęła ślinę.

– Jeżeli on ich odkryje... – zwilżyła językiem wargi – ... nie mogę odpowiadać za to, co zrobi. Wątpię, czyby doniósł, ale...

– Zawsze są niebezpieczeństwa, *madame*. Ale *monsieur le baron* nigdy nie chodzi do tych zachodnich piwnic i oni będą tylko parę dni.

Serce Krisztiny zaczęło łomotać. Mojżesz, wyczuwając jej wzburzenie, zaskomlał i oparł się o jej udo.

– Więc co, *madame*?

– Muszę się naradzić z teściową. Nie mogę powziąć takiej ważnej decyzji bez jej zgody.

– Nie ma czasu.

– Więc muszę odmówić.

– Pani jest teraz *la baronne* – powiedziała dziewczyna płynnie. – Zresztą, *madame*, pani wie, że pani starsza na pewno by się zgodziła.

Tak, zgodziłaby się, Krisztina zamknęła na chwilę oczy, Genevieve wolałaby umrzeć niż ich odtrącić.

Otworzyła oczy i spojrzała na tę spokojną, zdawałoby się, nie do pokonania twarz.

– Przyprowadź ich.

Nie byli tacy, jakich się spodziewała. No, ale nie bardzo wiedziała, kogo się spodziewać. Bohaterów? Jak wyglądają bohaterowie? Chyba nie inaczej niż wszyscy inni, doszła do wniosku po rozmowie z tą bezimienną młodą bohaterką trzy dni przedtem. Wiedziała, że lecieli bez osłony po nocnym niebie, gotowi staczać bitwę z niewidocznym nieprzyjacielem, nauczeni zrzucać bomby, żeby niszczyć, okaleczać, zabijać. Bohaterowie. Jeśli w ogóle wyobrażała ich sobie, to baśniowo, jako huzarów z galonami, malowniczych, przewspaniałych.

A okazało się, że oni są bladzi i cisi, jak wrażliwi sztubacy, i że padają z wyczerpania, pełni lęku i złych przeczuć. Ten ze złamaną ręką, w kurtce lotniczej narzuconej na ramiona, był najbledszy, prawie świetlisty, ale zapewne z bólu, a także dlatego, że rudy.

W uzgodnionym czasie, gdy Laurent przebywał daleko od domu, dziewczyna przyprowadziła ich prosto do okienka nieużywanej piwnicy, które wypatrzyła przedtem. Tego wejścia, zarośniętego zieliskiem, broniło tylko parę wilgotnych zbutwiałych desek.

Możliwie jak najciszej usunęła deski i szturchającami ponaglała swoich podopiecznych przedostających się do piwnicy. Temu ze złamaną ręką pomogli jego dwaj towarzysze. Potem mocno uściskała dłoń Krisztynie.

– W razie kłopotów niech pani powie Schneegansowi.

Krisztina się zdumiała.

– On wie?

– Nie wie. Mniej niebezpiecznie dla niego, jak nie wie, ale w razie kłopotów można mu zaufać, że da nam znać.

Mimo woli zastanowiła się dosyć ironicznie, z jakiej racji jej bezpieczeństwo ma tak wyraźnie mniejsze znaczenie niż bezpieczeństwo Jacques'a Schneegana, ale powstrzymała się od zapytania.

– Pani może mówić, że pani nic nie wie – wyjaśniła dziewczyna, jak gdyby czytała w jej myślach – i pani chybaby nawet uwierzyli, ale Schneegansa zastrzeliliby na pewno.

Dreszcz przebiegł jej po krzyżu.

– To powinno być nie dłużej niż parę dni – powiedziała dziewczyna uspokajająco.

– Mam nadzieję. Ale w jaki sposób się dowiemy, że już możecie ich zabrać?

– Pani nie będzie wiedziała, jeżeli wszystko pójdzie dobrze. Nie poprosi się pani o pomoc w ich ucieczce. Po prostu stąd ojedą.

Krisztina patrzyła na tę młodziutką wieśniaczkę.

– Jesteś bardzo odważna.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Właściwie to nie. – Zielone oczy były jeszcze bardziej zagadkowe niż przedtem. – Wstyd byłoby nie być. – Umilkła i szybko rozejrzała się wokoło. – *Allez* – powiedziała i delikatnie popchnęła Krisztinę do okienka. – Ja z powrotem założę te deski.

Krisztina najpierw zajrzała przez otwór między skruszałymi cegłami. Zobaczyła wzniesione ku niej twarze lotników, stojących o kilka stóp niżej, i przelotnie poczuła ulgę, że jest w bryczesach.

– *Venez, madame* – zachęcił ją ten ze złamaną ręką.

Usiadła na krawędzi okienka, oburącz chwyciła się rozszczepionej framugi i zaczęła się opuszczać. Silne ręce ją objęły i delikatnie postawiły na kamiennej podłodze.

– *Merci* – powiedziała, ale żaden z nich nie zareagował.

W ciszy poprowadziła ich w półmrok, dobrze się orientując, bo poprzedniego wieczora zwiedzała te piwnice z latarką elektryczną, gdy Genevieve stała na straży. Inaczej mogłaby zabłądzić w podziemnym labiryncie, podzielonym na duże obszary otwarte i pomieszczenia różnej wielkości, niektóre wypełnione stosami drewna i wyposażeniem pieca.

Im dalej odchodzili od wejściowego okienka, tym było ciemniej. Przez kilka minut mętne światło rzucał z daleka tylko piec.

Nadal w ciszy zbliżali się do pieca, w którym uwiecznione płomienie ryczały teraz jak jakiś potwór w klatce, i robiło się coraz duszniej, prawie nieznośnie gorąco. Krisztina zauważyła, że najmłodszy z nich trzech bardzo się boi.

– Nie ma obawy – powiedziała cicho, ale wyraźnie. – Tam, dokąd idziemy, będzie lepiej.

Nie była pewna, czy ją zrozumiał, ale chyba sam ton jej głosu trochę go uspokoił. Skręciła z nimi za jeszcze dwa rogi i doszli do pokoju, który – jak się domyśliła – był kiedyś czymś w rodzaju kantoru ze starymi dębowymi drzwiami i, co najlepsze, z okienkiem wysoko w zewnętrznej ścianie.

– Tu jest trochę chłodniej – powiedziała.

Zaczęli ze sobą rozmawiać cicho, szybko, po angielsku, tak że nic z tego nie rozumiała. Myślała z początku, że ten ze złamaną ręką nazywa się Skipper, bo tak się do niego zwracali tamci dwaj, ale po chwili on jej powiedział po francusku, że nazywa się William Hunter i że jego towarzysze, których francuszczyzna ogranicza się do *bonjour* i *merci, madame*, nazywają się Jim Miller i Eddie Cox.

Uśmiechnęła się do najmłodszego. Miał gęste, dziecinne rzęsy, platynowe jak jego włosy.

– Eddie? Od Edward?

Na to ten młodzik powiedział coś Hunterowi i po raz pierwszy wszyscy trzej się uśmiechnęli.

– Co on mówi? – zapytała.

– Podoba mu się pani akcent – przetłumaczył Hunter, ale była pewna, że niezupełnie dokładnie.

– Myślałam, że pan nazywa się Skipper – powiedziała.

Hunter znów się uśmiechnął.

– To w angielskim żargonie kapitan.

– Pan jest ich dowódcą?

Uniósł brwi lekceważąco.

– Eddie i Miller są starszymi sierżantami... ja mam stopień kapitana, ale to tylko w lotnictwie.

Krisztina pomyślała, że on jest bardzo przystojny i zupełnie inny niż Węgrzy czy Francuzi.

Bardzo wysoki, smukły, o pociągłej, szczupłej twarzy, przypominał jej trochę charta, ale bez charciej finezji, bo to wrażenie psuł dziwnie przyciągający uwagę złamany nos. Mężczyzna pełen uroku – pomyślała – nie takiego jednak, jaki mają tancerze, raczej brutal i solidniejszy.

– Ja prowadziłem tego Wellingtona, zanim spadł – powiedział. – Pewnie to czyni mnie ich dowódcą.

Wyczuła jego wielki żal do siebie o tę katastrofę, jak gdyby wyłącznie on był winny, a nie Hitler. Ale zaraz jej się przypomniało, że dwaj z tych lotników ponieśli śmierć – pilot ponosi za to odpowiedzialność. Ogarnęło ją wielkie współczucie.

– Czy rozbił się doszczętnie?

– Właściwie tak.

Po chwili zmieniała temat.

– Pod biurkiem są koce. I kilka świec i zapałki. – Spojrzała na okienko. Teraz, przed czwartą po południu, światło zimowego dnia, przenikające przez ciemną od brudu szybę, już przygasało.

Spojrzała na ciemnowłosego sierżanta Millera. Oni wszyscy byli brudni, ale ten wydawał się najbardziej z nich trzech zabłocony i zakrwawiony.

– Żałuję, że nie mogę zaprosić panów na górę, gdzie mogliby panowie wziąć gorącą kąpiel i dobrze się wyspać – powiedziała, wiedząc, że tylko Hunter rozumie, ale nie chcąc, by się wydawało, że ona ignoruje tamtych dwóch.

– Zrobiła pani już dosyć, *madame* – powiedział kapitan. – Jesteśmy pani serdecznie wdzięczni.

– Postaram się przynieść później gorącą wodę i ręczniki, i zapewniam, że będzie jakaś kolacja.

Nagle dał się słyszeć szelest. Wszyscy trzej lotnicy znieruchomieli.

– To tylko *la baronne* – uspokoiła ich Krisztina, widząc, jak zza pieca materializuje się, niczym wytworny jakiś duch, jej teściowa.

– Myślałem, że to pani jest *la baronne* – powiedział Hunter.

– Jestem, ale to matka mojego męża. – Przedstawiła ich trzech kolejno. Genevieve przywitała się z nimi tak ciepło i spokojnie, jakby ukrywanie Anglików z RAF-u w jej piwnicach było czymś na porządku dziennym.

– Niestety, nie będzie tu panom tak wygodnie, jak bym chciała – powiedziała czysto i płynnie po angielsku, zdumiewając ich, a zwłaszcza Krisztinę, która nie zrozumiała z tego ani słowa.

Hunter patrzył na Genevieve jak na cud, co Krisztiny wcale nie zdziwiło, bo jej *bellemere* w tweedowej spódnicy, w bluzce Chanel, ze sznurkiem pereł i w wełnianym blezerze wniosła ze sobą taki styl, że nastrój lęku i niepewności przynajmniej na chwilę się rozwiął.

– To już przerosło nasze nadzieje, *madame* – powiedział powoli kapitan lotnictwa.

– Nie wiedziałam, *bellemere*, że mówisz po angielsku – powiedziała Krisztina.

– Dlaczego miałabyś wiedzieć? – Genevieve się uśmiechnęła. – Znam kilka języków, w których mówić raczej nie mam okazji. – Popatrzyła na gości. – Ogromnie podziwiam Brytyjczyków, *messieurs*. *Herr* Hitler nigdy nie pokona angielskiego stoicyzmu i jeśli jakimś katastrofalnym przypadkiem uda mu się przejść przez La Manche, Irlandczycy rzuca złe czary, a Szkoci i Walijczycy w pień ich powybijają.

Hunter pokazał w uśmiechu wszystkie zęby i przetłumaczył sierżantom patrzącym na Genevieve z czcią.

– Kapitan Hunter mówi doskonale po francusku – skomentowała. – To może ich ratować,

dopóki najgorsze się nie skończy. – Spojrzała na zegarek. – Krisztino, musimy być na górze, zanim zauważą, że nas nie ma.

– Właśnie powiedziałam panom, że przyniesiemy im coś do jedzenia – powiedziała Krisztina. Genevieve przytaknęła.

– Ale to będzie możliwe nie wcześniej, niż kiedy cały dom zaśnie.

Krisztina z powagą pouczyła kapitana:

– Proszę, niech te drzwi będą zamknięte, kiedy my pójdziemy. *Lavabo* jest tuż za rogiem z prawej strony, ale zaczekajcie, aż palacz przyjdzie podsycić ogień w piecu i odejdzie. – Popatrzyła przepaszająco. – Blasku świecy nie widać zza tych drzwi, jednak byłoby roztropniej gasić ją, kiedy tylko usłyszycie kroki.

– Myślę, że będziemy spać przez dobrych kilka godzin – powiedział Hunter. – Przynajmniej na zmianę. Jesteśmy dosyć zmordowani.

Genevieve lekko dotknęła jego temblaka.

– Widział pana jakiś lekarz?

Hunter przytaknął.

– Wczoraj w nocy. Unieruchomił mi rękę tymi łubkami... powiedział, że nic więcej nie może zrobić.

– Powinien pan być w szpitalu.

– To także powiedział.

– Czy bardzo boli? – zapytała Krisztina.

Uśmiechnął się do niej.

– Teraz nie tak bardzo, jak bolało.

Północ już minęła, gdy wróciły do tej piwnicy, przynosząc dwa parujące miedziane rondle: jeden z gorącą wodą do mycia, drugi z resztką zawieszistej węgierskiej zupy na rosole z kury.

– To tylko my – zawołała Krisztina, cicho zbliżając się do ciemnego małego pokoiku.

Drzwi się otworzyły, trzasnęła zapalka przy ponownym zapalaniu świecy, szybko zdmuchniętej przed chwilą.

Oni nie spali i byli wyraźnie spięci, szczególnie młody Eddie, który w niezwykłym blasku świecy nawet nie mrugnął bladymi oczami pełnymi przerażenia.

– Wszystko dobrze? – szepnęła Genevieve, niepewna, czy głosów jakoś nie słyszą przez płataninę rur grzewczych w całym zamku.

– Świetnie, dziękuję. – Hunter wstał.

– Ręczniki i mydło. – Genevieve położyła te rzeczy na biurku.

– Coś do golenia. – Krisztina dodała małą brzytwę, której Laurent nigdy nie używał.

– I miseczki do zupy. – Genevieve postawiła trzy czarki w deseń z maleńkich przepiórek wśród gałązek z liśćmi.

Hunter, patrząc na tę porcelanę, zmarszczył czoło.

– Dobry Boże – powiedział i lekko powiódł palcem po zaszklonych kolorach. Oczy mu się rozszerzyły. – To nie imitacja! – krzyknął po francusku. – *Madame*, to drogie unikaty!

Genevieve przyłożyła palec do ust, żeby go uciszyć.

– Wiem, kapitanie.

– Autentyczne Kakiemon – syknął, prawie nie panując nad podnieceniem.

Przyjrzała mu się z ciekawością.

– Skąd kapitan RAF-u zna się na japońskiej porcelanie?

– Jestem z rodziny handlującej antykami – odpowiedział niedbale i pokręcił głową. – Ale szkoda ich używać, *madame*, a już z pewnością nie powinny ich dotykać łapy sierżantów.

Uśmiechnęła się.

– Brak trzech małych sztuk w dużej kolekcji raczej nie rzuci się tak w oczy, jak brak trzech talerzy w naszym codziennym serwisie.

– Łyżki – przypomniała Krisztina trochę niecierpliwie. – Zupa stygnie, *bellemere*.

– *D'accord*. – Genevieve dała jej połyskliwą chochlę. I nie czekając, aż Krisztina napelni czarki korzennym rosółem, gęstym od kawałków kury, kartofli, pomidorów i cebulek, sięgnęła do dużych kieszeni swego futrzanego płaszcza. – *Et voila!* – Z triumfalnym rozmachem spiętrzyła przy białych ręcznikach niedużą stertę książek.

– Do licha! – Miller wytrzeszczył oczy. – Angielskie! Agatha Christie!

– Trochę eskapizmu dla odświeżenia ducha – powiedziała Genevieve.

– Popatrz, Eddie – cieszył się Miller – „Zabójstwo Rogera Ackroyda” to jest szlagier! Zapomnisz o wszystkim, co cię trapi.

Eddie zdobył się na słaby uśmiech. Krisztina patrzyła na niego zatroskana.

– Sierżant Cox trochę cierpi na klaustrofobię – wyjaśnił Hunter. – Zamknięcie w małym, ciemnym miejscu niełatwo mu znosić.

– Więc jak może przebywać w samolocie? – Zdziwiła się. – Na wysokości tysięcy metrów pod niebem?

– W powietrzu jest innym człowiekiem. W swoim żywiole.

– Czy się nie załamie? Jeżeli to kilka dni potrwa...

– Zajmiemy się nim. – Spojrzał zgłodniały na zupę. – Panie darują...

– Oczywiście – zawahała się. – Och, omal nie zapomniałam... – Wyciągnęła z kieszeni korkociąg i spojrzała na Genevieve. – *Bellemere?*

– *Bien sur, cherie* – za promieniem swojej latarki Genevieve odeszła na kilka minut i wróciła z dwiema zakorkowanymi butelkami.

– Chateau PapeClement – oznajmiła.

Tego nie trzeba było przetłumaczyć.

– Do licha! – znów powiedział Miller. – Czerwone wino. Akurat to, co ten doktor zalecił.

Nawet Eddie, żałośnie wyławiając ze swojej zupy kawałki kury, spojrzał z entuzjazmem w stronę butelek.

– Niestety, ja nie mogę ich odkorkować. – Hunter smętnie dotknął swej złamanej ręki.

– Pan niech tylko siedzi i je, kapitanie – powiedziała Genevieve. – Umiemy posługiwać się korkociągiem.

Przez kilka sekund Hunter jadł, aż mu się uszy trzęsły.

– Zupa cudowna – powiedział Krisztynie.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Cieszę się. – Przelotnie zaciekawiona, spojrzała mu w oczy. Jeszcze przed chwilą myślała, że są jasno-piwne, a teraz zobaczyła, że brązowe.

– Nie ma kieliszków! – wykrzyknęła Genevieve.

– Nie szkodzi – powiedział Hunter swobodnie. – Z butelki tak samo będzie smakowało.

– PapeClement to wino z uroczą historią – powiedziała.

– Wiem.

– Wie pan?

– Tak – powiedział znów zdumiewająco. – Jego pierwszą winnicę założył biskup Bordeaux i tak pokochał francuskie wina, że kiedy został papieżem, przeniósł papieską administrację do Awinionu. – Popatrzył na butelkę w ręce Genevieve i wstał. – *Madame*, czy wolno mi wznieść toast?

– Oczywiście.

Lewą ręką wziął i podniósł butelkę. Miller i Eddie przestali jeść.

– Dzisiaj – rozpoczął ponuro – moglibyśmy być w obozie jenieckim. – Mówił po francusku, ale tamci chyba rozumieli. – Moglibyśmy nawet być w grobach. – Uśmiechnął się. – A tymczasem ja się czuję prawie tak, jakbyśmy wkroczyli w jakąś krainę snu – zawiesił głos. – W bombowcu Wellington niewiele jest czasu i miejsca na życzliwość i dobre maniery.

– Jest odwaga – przypomniała mu Genevieve – i świadomość celu.

– Jest także lęk i śmierć. – Znów się uśmiechnął, tym razem cierpko. – Jest wojna.

– Wojna jest tutaj także – powiedziała Krisztina.

– Nie dzisiaj. – Spojrzał na Millera i Eddiego. – Dzisiaj jest ciepło, dobre jedzenie i znakomite wino, i są książki do czytania przy świecy, i możemy sobie wyobrazać koniec wojny.

– Nieprędko, niestety – powiedziała Genevieve.

– Być może, ale myślę, że wspomnienie dzisiejszej nocy pozostanie i będzie pewną pociechą w noce zimniejsze, ciemniejsze i głodniejsze, które nadejdą. – Nagle skierował uwagę na Krisztinę. – Czy pani ma dzieci, *madame*?

– Nie.

Uśmiechnął się.

– Powinna pani mieć.

Stali przez kilka sekund w milczeniu. Potem podniósł butelkę wyżej.

– Za rycerskość, za wielkoduszność i za styl. – Oczy mu pały. – Niech żyją *les baronnes de Trouvere!* – Szybko, dużo pociągnął z butelki i wręczył ją Genevieve, która też wypila, po czym mocno wetknęła ją w rękę synowej.

Krisztina, tak jak przedtem, gdy otworzyła drzwi kuchenne zielonookiej dziewczynie, znów poczuła, że jej życie nabiera nowego, pikantnego sensu.

Odetchnęła dusznym piwnicznym powietrzem i trzymając butelkę jak trofeum, powiedziała cicho, ale z sercem głośno bijącym:

– Za wasz szczęśliwy powrót do domu. – I po chwili: – Za zwycięstwo!

Upłynęły trzy dni, całe trzy dni nieustannego napięcia, przerywanego momentami takiego niepokoju, że krew stygła Krisztynie i Genevieve w żyłach. Pierwszego dnia przy śniadaniu Sutterlin uskarżał się na centralne ogrzewanie: coś jest nie w porządku, więc trzeba wezwać hydraulików. Ale w porze obiadu Schneegans zameldował, że ten kłopot to tylko bąbelki powietrza. Drugiego dnia rano Laurent przeczytał w kontrolowanym przez hitlerowców „Colmarer Kurier” wiadomość, że poszukiwanych brytyjskich lotników jeszcze nie znaleziono i dodał swój komentarz, że ukrywaniem ich narażaliby się na męczeństwo tylko „skrajni głupcy”, bo Niemcy z pewnością ich wytropią. A trzeciego dnia w południe przed frontowe drzwi zamku podjechał czarny mercedes z dwiema swastykami i Krisztina omal nie zemdląła, chociaż, jak się okazało, to sekretarz Bicklera doręczył zaproszenie od szefa.

Ci trzej w piwnicy byli coraz bledsi, coraz bardziej spięci i gdy czwartego dnia Laurent, nagle bardzo przeziębiony, zdecydował nie wychodzić z domu, Krisztina miała jeszcze mniej możliwości wymknięcia się do nich. Po południu, gdy Laurent położył się do łóżka, Genevieve jej powiedziała, że klaustrofobia Eddiego zaczyna budzić niepokój.

– On błaga kapitana, żeby pozwolił mu pójść na spacer.

– To stanowczo zbyt ryzykowne.

– Oczywiście, ale jest zdesperowany. Jeżeli ich stąd nie zabiorą wkrótce, obawiam się, że mogą być poważne kłopoty.

O czwartej po południu Laurent, znudzony i zirytowany leżeniem w łóżku, uznał, że jeżeli ubierze się dostatecznie ciepło, świeże powietrze dobrze mu zrobi.

Wychodząc wschodnimi drzwiami, spotkał ogrodnika, odprowadzającego psy po spacerze. Dobył ochryply głos z obolałego gardła.

– Daj mi Oriona, Rene.

– Już prawie ciemno, *monsieur*.

– Daj mi go! – Gniewnie wziął od ogrodnika smycz i już z psem poszedł dalej, wzbijając żwir alei.

W piwnicy Eddie był bliski szału.

– Mówię ci, kapitanie – dyszał – jeżeli nie wyjdę stąd w tej chwili, zrobię coś strasznego! Zwariuję... będę wrzeszczał... będę...

Hunter mocno go uderzył. Eddie, wstrząśnięty, zachłysnął się i zwiotczał. Cały dygotał, obficie się pocił.

– Dobrze, Eddie – ustąpił Hunter. – Coś ci powiem. Pozwolę ci wyjść...

– Nie, kapitanie! – syknął Miller przerażony.

– Nie panikuj – uspokoił go Hunter. – Nic się nie stanie. Już zmierzch, prawie ciemno. Baron opatulony w łóżku i przecież odkąd przyszliśmy tutaj, nie słyszeliśmy, żeby ktoś chodził w tej okolicy.

Obaj spojrzeli na Eddiego, który wpatrywał się w małe okienko, jak gdyby jego oczy były magnesami przywierającymi do skrawka nieba w górze.

– Na skraju wytrzymałości, co kapitanie? – zapytał Miller cicho.

Hunter pokiwał głową.

– Chyba.

– Myślisz, że parę minut na dworze mu wystarczy?

– Nie na długo. Ale może da nam spokojnie przeczekać jeszcze jedną noc.

– Miejmy nadzieję, że ostatnią.

Hunter spojrział na zegarek.

– Powinniśmy mieć mnóstwo czasu przed porą podsycania pieca. Idź, Jim, odsuń te deski w wejściu, wychyl głowę i zainteresuj się, czy droga wolna.

– Rozkaz, kapitanie.

Idąc ociężale aleją do jednego z ogrodów barokowych, Laurent obejrzał się na zamek i przyciągnęła jego wzrok duża łata odbarwienia muru. Zmarszczył brwi, pociągnął Oriona na smyczy i zawrócił, żeby zobaczyć to z bliska.

W zmierzchającym świetle stwierdził, że białą ścianę w tym miejscu porasta jakiś mech czy grzyb, a mur poniżej okiennego parapetu jest jakby skruszały.

– Cholerna wojna! – zaklął pod nosem i głośno kichnął. – Mój dom się rozpada. – Pochylił się, odpiął smycz od obroży. – *Viens*, Orion. Sprawdźmy ze wszystkich stron.

Na drugim piętrze Krisztina zapukała szybko do drzwi buduaru Genevieve i od razu je otworzyła.

– *Qu'est-ce qu'il y a?* – Zapytała Genevieve niespokojnie, widząc wyraz twarzy synowej.

– Laurenta nie ma w sypialni.

– Pewnie jest na dole, czyta.

– I jego butów nie ma – powiedziała Krisztina. – *Bellemere*, boję się.

Genevieve wstała z fotela.

– Spokojnie, *cherie* – powiedziała. – Jeżeli wyszedł, to prawie na pewno będzie w ogrodzie.

– Teraz? – Krisztina przegarnęła palcami włosy. – Wolałabym wiedzieć, gdzie on jest.

– Poszukaj go – poleciła Genevieve. – Nie może być daleko... powiedz, że martwi cię jego przeziębienie, i przypędź go z powrotem do domu. – Sięgnęła po szal. – A ja zobaczę w piwnicy, czy wszystko w porządku.

– Też się denerwujesz, *bellemere*?

– Tylko ufam twojemu instynktowi.

Miller został, żeby osłaniać tyły, Hunter wyszedł i za nim Eddie. Obaj stanęli na twardej darni i wdychali wieczorne powietrze. Było cudownie zimne i czyste po stęchliźnie piwnicy i ciągłej duchocie w ciepłe pieca. Przez chwilę kręciło im się w głowach od tej świeżości, którą napełniali płuca.

Eddie odwrócił się i rzucił kapitanowi spojrzenie pełne wdzięczności. Hunter skinął głową. Cicho, tylko z szelestem spodni ocierających się o zielsko, chodzili w kółko, prostując nogi, machając rękami, pobudzając krążenie krwi.

Po trzech minutach Hunter podszedł z powrotem do włazu i szeptem zapytał:

– W porządku?

Podniesione kciuki Millera były ledwie widoczne.

– Jeszcze tylko minuta. – Hunter się wyprostował i spojrział na Eddiego. Eddie stał nieruchomo z głową uniesioną do wschodzącego księżyca z wyrazem błogości na twarzy.

Hunter się uśmiechnął.

I nagle Eddie zrobił coś nie do pomyślenia.

Upojony radością swobody, bezwiednie, dziecinnie dał temu upust. Ściągnął wargi, zamknął oczy i zagwizdał, jakby grał na flecie, trzy początkowe takty „Na pożegnanie szczęśliwej drogi mi życz”.

Hunter zdreptał.

Eddie natychmiast zdał sobie sprawę, co robi. Ucichł w pół taktu i szeroko otworzył oczy pełen zgrozy. Kilka stóp poniżej Miller zasłonił twarz rękami, a Genevieve, która właśnie schodziła do piwnicy, stanęła jak wryta.

Na zewnątrz o niecałe sto metrów dalej, już skręcając za północnozachodni węgiel domu, Laurent zatrzymał się, Orion zastrzygł uszami, a Krisztina na widok tego białego psa w księżycowej poświacie chwyciła się za serce.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

Potem Orion zaczął energicznie szczekać.

– Jesteś obłąkana?

– Nie sędzę.

– Na pewno jesteś! Albo niegodziwa czy może po prostu zupełnie głupia! – Laurent kręcił głową z obrzydzeniem. – Ale głupia ty nie jesteś, prawda, Krisztino? Tylko nienawidzisz mnie tak bardzo, że chcesz narażać całe nasze życie, ten zamek, posiadłość, nasze małżeństwo... nawet moją matkę!

– Twoja matka sama stanowi o sobie. – Starzę je się... nie odpowiada za siebie.

– Ma czterdzieści osiem lat. – Krisztina roześmiała się pogardliwie. – I więcej rozumu niż ty czy ja.

– Jej by się nawet nie śniło coś podobnego, kiedy żył ojciec... Jego śmierć ją rozstroiła.

– Co za bzdura!

– Chcesz, żeby ją zastrzelili?

– Oczywiście że nie. A ty chcesz?

– Ja nie złamałem prawa!

– Ty nie, ale twoja matka i ja złamałyśmy i dziękuję Bogu za tę sposobność.

Zamierzył się, ale jej nie uderzył.

– No – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Doprowadzisz do tego, że twoją matkę zastrzelą. Jeżeli im doniesiesz, tak właśnie będzie.

– Nie.

Odetchnęła z ulgą.

– Ale ty sama im powiesz. – Na twarzy miał wyraz zawziętości.

Wlepiała w niego oczy.

– Prędzej umrę.

– Zatelefonujesz do gestapo w Colmar i powiesz, że wykryłaś tych poszukiwanych lotników RAF-u w nieużywanej części naszych piwnic i że nie masz pojęcia, od jak dawna tam są.

– Zwariowałeś – powiedziała apatycznie.

– Jeżeli nie ty, ja to zrobię – uśmiechnął się brzydtko. – I ponieważ raczej mi nie wypada donosić na własną żonę i matkę, będę musiał powiedzieć, że chyba zawinił ktoś ze służących.

– Nie zrobiłbyś tego.

Wzruszył ramionami.

– Z pewnością wolałbym nie, ale...

– Więc, na litość boską, daj spokój! – Krisztina chwyciła go za lewą rękę, błagała: – Laurent, proszę! Zanim będzie za późno, pamiętaj, kim jesteś, co reprezentuje twój ród.

– Pamiętam. To ty wolisz nie pamiętać.

– Zapominasz, że jesteś Francuzem... Uważasz tych hitlerowców za przyjaciół, a to są twoi wrogowie i zniszczą cię tak, jak zniszczą wszystko, co dobre!

Usta mu zadrgały cynicznie.

– Uważasz, że jestem dobry?

– Z grubsza tak! – Krisztina wiedziała, że chwyta się brzytwy. – I zanadto kochasz matkę, żeby jej się sprzeniewierzyć...

– Wolno mi żyć po swojemu zgodnie z prawem! – wrzasnął nagle i rozkaszał się, bo ta kłótnia zaszkodziła mu na rozognione gardło. – Wolno mi chronić to, w co wierzę!

Atak kaszlu się wzmógł. Krisztina podbiegła do stolika, sięgając po karafkę z wodą, ale zatrzymała się. Jeżeli on chce wody, niech sobie naleje.

– Już nie mogę z tobą walczyć – powiedziała gorzko. – Obrabiłeś linię postępowania... masz wolną wolę... i jeżeli nie rozumiesz, że ci trzej to nie tylko ludzie, ale i bohaterowie, którzy zasługują na to, byś ich chronił za wszelką cenę, to proszę cię, przynajmniej zrozum, wiedz, że jeżeli ich zdradzisz, twoja matka i ja nigdy, nigdy ci nie wybaczymy.

Cisza zaległa gęsta i ciężka od wzburzenia. Laurent, z twarzą rozplómienną, z oczami czerwonymi, sapał. Krisztina już nie miała czym Laurentowi zagrozić.

Minuty upływały bezgłośnie, on wciąż milczał.

– No? – w końcu zapytała.

Zamrugał, jak gdyby przypomniał sobie o jej obecności.

– Co zamierzasz zrobić, Laurent?

Przełknął ślinę.

– Poczekam do rana – powiedział ochryple.

– A rano?

– Pójdę do tych piwnic.

Czekała.

– I jeżeli ich znajdę, zatelefonuję do biura kreisleitera. – Usiadł ciężko na brzegu łóżka.

– Laurent, oni nie mogą wyjść w środku nocy. Nie mieliby żadnej szansy.

– To, droga żono – powiedział ze znużeniem – nie moja sprawa. 1

I znów panowała straszna cisza. Krisztina zastanawiała się szybko. Spojrzała na zegar na parapecie kominka. Jest prawie pół do piątej. Powoli podeszła do męża i dotknęła jego czoła.

– Powinieneś się położyć.

Przytaknął słabo.

– Chcesz gorącej herbaty?

– Tak. – Pochylił się, żeby zdjąć buty, potem spojrzał za nią zmrużonymi, załzawionymi oczami. – Do rana – powtórzył.

Zrobiło jej się bardzo zimno.

– Przyniosę ci herbatę – powiedziała obojętnie.

Zamykając drzwi sypialni, zobaczyła Genevieve wchodzącą po schodach. Pobiegnęła do niej,

szybko pociągnęła ją na pierwsze piętro.

– Śpieszę się... idę po herbatę dla niego. Jeżeli nie przyniosę szybko, boję się, że mógłby zadzwonić do Bicklera.

– Jeszcze nie zadzwonił?

– Odłożył to do rana. – Zobaczyła na twarzy Genevieve wyraz ulgi. – Ale ja teraz przy nim będę dla pewności.

– Co mam zrobić?

– Znaleźć Jacques'a Schneegansa i wyjaśnić mu sytuację. Powiedzieć, że oni muszą wyjść przed świtem.

Szybko ucałowała Genevieve w oba policzki. – *Bellemere*, już więcej nie ryzykuj. Zдай się na Jacques'a. – Po chwili dodała: – A im powiedz, że bardzo żałuję.

– Oczywiście, *cherie*.

– I życz im szczęścia.

Noc była niespokojna. Laurent rzucał się we śnie. Krisztina leżała bezsennie i nasłuchiwała. O trzeciej rano wiatr zmienił się w wichurę. O czwartej Laurent się obudził z podwyższoną gorączką i zaczął kaszleć rozdzierająco. Od piątej, gdy Krisztina dała mu lekarstwa, nerwowo podrzemywał.

Zaraz po szóstej Krisztina ostrożnie wstała z łóżka i przeszła boso do okna. Przez szparę między zasłonami zobaczyła, że pada gęsty śnieg. Serce jej zamarło. Już gruba warstwa śniegu pokrywa ziemię... Czy Schneegans przekazał wiadomość? Czy oni jeszcze są w piwnicy, czy wyszli gdzieś na otwartą przestrzeń, wyraźnie widoczni na tle białego krajobrazu?

Laurent poruszył się, więc wróciła do łóżka. Najgorsze, co mogłaby zrobić, to wyjść teraz, zaryzykować tylko dla zaspokojenia swojej ciekawości, gdyby się zbudził i zobaczył, że jej nie ma, mógłby przecież pod wpływem chwili zatelefonować do Bicklera.

O ósmej Laurent obudził się, usiadł i jęknął. Poruszyła się, niby też się budząc.

– Co? – zapytała.

– Głowa mi pęka.

Usiadła na łóżku.

– Podam ci tabletkę.

– Powiniennem wstać.

– Jeszcze wcześniej.

Serce jej łomotało, gdy weszła do łazienki i przyniosła jedną z ostatnich, jakie im pozostały, buteleczek aspiryny.

Laurent zaprotestował:

– Jeżeli teraz to zażyję, znowu zasnę.

– Jesteś chory, Laurent. Potrzebujesz snu.

Wzruszył ramionami.

– Masz rację. – Połknął tabletkę i wstał z łóżka.

– Dokąd idziesz? – zapytała zaniepokojona.

– A jak myślisz? – zapytał gwałtownie i zamknął się w łazience. Minęła minuta. Usłyszała spuszczenie wody, potem wodę płynącą z kranu i drzwi się otworzyły.

– Jak twoje gardło?

– Boli. I klatka piersiowa.

– Powinieneś zostać w łóżku.

Położył się z powrotem, naciągnął na siebie kołdrę.

– Obudź mnie za godzinę. – Rzucił jej senne spojrzenie. – Mam ważne sprawy do załatwienia.

Nic nie powiedziała.

O dziewiątej, już nie wytrzymując tego napięcia, wstała, weszła cicho do garderoby, włożyła spodnie i gruby pulower.

W holu na pierwszym piętrze spotkała Sutterlina.

– Proszę nie budzić pana – powiedziała. – Jest niezdrów, powinien spać możliwie jak najdłużej.

– *Bien sur, madame.*

Genevieve była w bibliotece. Z otwartą książką na kolanach siedziała w obitym skórą wolterowskim fotelu przed kominkiem i patrzyła w ogień.

Krisztina pochyliła się, żeby ją pocałować.

– *Bonjour, bellemere.*

– Laurent? – zapytała Genevieve.

– Śpi jeszcze.

Genevieve uniosła brwi.

– Tak długo?

– Z małą pomocą. – Niespokojnie Krisztina patrzyła na teściową. – No?

– Poszli.

– Kiedy?

Genevieve potrząsnęła głową.

– Zesłam tam zaraz po północy... przyniosłam im gorący *potage de legumes* i resztki wieprzowiny, i zapytałam, czego mogliby potrzebować. Kapitan Hunter był wspaniały... bardzo opanowany. Powiedział mi, żebym spokojnie poszła spać, że – zrobiliśmy dla nich więcej niż dosyć i jest dobrej myśli: na pewno im się uda.

– A tamci?

– Błdzi, ale dzielni. – Genevieve się uśmiechnęła. – Ten biedny chłopiec, chociaż czuł się strasznie winny, chyba odetchnął z ulgą, że to czekanie się kończy.

– A potem?

– Kiedy znów tam przyszedłam o pół do siódmej, już ich nie było. Ani śladu ich obecności poza miseczkami Kakiemon i książkami w szufladzie biurka.

– A Schneegans?

– Myślę, że przekazał. – Genevieve się zawahała. – Ale jeszcze nie wrócił.

– Jesteś pewna?

– Słyszałam, jak Sutterlin burczał do Marthe, że on zniknął z powierzchni ziemi.

– Czy Marthe coś wiedziała?

– Jeżeli wiedziała, to nie pokazała po sobie. Znasz ją.

Krisztina podeszła do okna.

– Ta pogoda – zadrzała. – Przypomina mi moją pierwszą zimę tutaj... wydawało się tak ponuro, bez słońca. – Odwróciła się do Genevieve. – Myślisz, że nic im się nie stanie, *belle – mere*?

Genevieve uniosła ręce i pozwoliła im opaść na kolana.

– Wszystko w rękach Boga.

Gdy Laurent się obudził, Sutterlin przyniósł tacę z herbatą i suchymi *biscottes* i wyszedł. Krisztina odsłoniła okna.

Laurent zrywał się na tę jasność.

– Śnieg?

Przytaknęła i odwróciła się do niego.

– Już ich nie ma.

Ramiona mu zeszywniały.

– *Vraiment?*

– *Oui.*

– Przysięgasz?

– Sam możesz sprawdzić. Nic nie zostało. – Po chwili powiedziała: – Nikt nigdy nie musi o nich wiedzieć.

Odepchnął tacę i skulił się pod kołdrą.

– Każ rozpalić ogień. Zostanę dziś w łóżku.

– Chcesz doktora?

– Chcę aspirynę, świeżą wodę i nie chcę widzieć ciebie.

– Temu – powiedziała spokojnie – bardzo łatwo uczynić zadość.

Minutę po piątej tegoż dnia po południu do drzwi frontowych podeszli dwaj gestapowcy. Sutterlin im otworzył.

– *Frau Schneegans bitte.*

– Wejście dla dostawców od tyłu – powiedział Sutterlin zwięźle po francusku. Patrzyli na niego groźnie, ale był nieugięty. – Trzeba kawałek zawrócić i pójść aleją w lewo.

Zamknął drzwi, a potem zdumiewająco błyskawicznie jak krótkodystansowiec medalista pobiegł do kuchni.

– Dokąd ją zabrali? – zapytała Krisztina.

– Nie chcieli powiedzieć, ale prawdopodobnie do gestapo w Colmar – meldował Sutterlin.

– I nie mówili dlaczego?

– Nie mówili, *madame.*

Skinęła głową zamyślona.

– Dziękuję, Sutterlin.

Kamerdyner odwrócił się, żeby odejść, ale przystanął.

– *Madame?*

– Słucham, Sutterlin.

Wyraz twarzy miał nieodgadniony jak zwykle, ale głos pełen współczucia.

– *Madame*, nic pani nie może zrobić.

– Mogę tylko czekać.

– Tak, *madame.*

Marthe wróciła po dwudziestu pięciu godzinach. Sama. Genevieve i Krisztina powitały ją w kuchni serdecznie. Nie reagowała. Zawsze była chuda, koścista, teraz wyglądała – określiły to później, pełne zgrozy – jak stara kura z wykręconą szyją, bezsilna, zimna, martwa.

– Zastrzelili go – powiedziała tępo.

Krisztina patrzyła na nią ogłupiała. Którego? – pytała w duchu, myśląc o Hunterze, Millerze i

Eddiem.

– Zabili Jacques’a.

Niedowierzanie, nienawiść i poczucie winy zapanowały w zamku. Wszyscy to odczuwali, nawet psy, Orion i Perseusz, leżały apatycznie przy kominkach. Mojżesz chodził za Krisztiną jak cień, a Wenus, cętkowana suka, gdy tylko mogła, trzymała się Marthe.

– Ona tak patrzy na mnie – poskarżył się Laurent na kucharkę w cztery dni później – jak gdybym to ja zastrzelił jej męża.

– Wydaje ci się – zdawkowo powiedziała Krisztina.

Siedzieli we dwoje w *salon rouge* po kolacji.

– Te ostre, małe oczy – wzdrygnął się – jedyna żywa część jej nieszczęsnej twarzy, są jak groty wycelowane we mnie, zatrute wstrętem.

Uniosła brew.

– A czego się spodziewasz... że będzie cię całowała? Niezwykłe, że ona w ogóle pracuje.

– Nie dziwiłbym się, gdyby mi do czegoś dosypała trucizny. Stara wiedźma.

– Laurent, jej męża zamordowali.

– Nie zamordowali – powiedział posępnie. – Ukarali za złamanie prawa.

Krisztina spojrzała na niego z obrzydzeniem.

– Ciebie nic nie zmieni, prawda?

– Nie moja wina, że Schneegansowi się zachciało pomagać tym lotnikom.

– Oczywiście że twoja. Gdyby nie ty, on nie zostałby w to wmieszany.

Laurent wziął karafkę z koniakiem i napełnił sobie kieliszek. – Potępiasz mnie... matka prawie się do mnie nie odzywa... – Przełknął niecierpliwie koniak i skrzywił się, czując palenie w gardle.

Milczała.

– Nawet nie powiedziałem Bicklerowi – uroczyście wysunął argument.

– Wiemy o tym.

– No więc?!

Spojrzała na niego.

– Nieraz – powiedziała – groźba jest tak samo niebezpieczna jak czyn.

– Mam zamiar wyprowadzić się z naszej sypialni – oznajmiła Krisztina teściowej nazajutrz przy śniadaniu.

Genevieve spokojnie podniosła do ust filiżankę z czarną kawą.

– Co wolisz... apartament gościnny czy *chambre rose*? Widok powojnika może umilić zimowe poranki, ale w gościnnym jest lepszy materac.

– I w ogóle praktyczniej. – Krisztina spojrzała Genevieve w oczy. – Bardzo ci się to nie podoba, *bellemere*?

– Oczywiście... ale ja na twoim miejscu też bym to zrobiła. – I po chwili Genevieve dodała: – Ja na twoim miejscu chyba definitywnie bym od niego odeszła.

– W innych czasach prawdopodobnie bym odeszła – powiedziała Krisztina szczerze. – A przecież... – zawahała się – jednocześnie prawie mi go żal. – Obróciła w palcach nóż do masła. – Może nie zdobyłby się na odwagę, żeby to przyznać, ale na pewno poczuwa się do winy.

Milcząc, kończyły bez apetytu jeść śniadanie. Milczenie przerwała Krisztina.

– Myślisz, *bellemere*, że oni żyją?

– Nasi angielscy przyjaciele? – Genevieve zdecydowanie skinęła głową. – Jestem pewna, że tak.

Krisztina westchnęła.

– Czy życie jeszcze kiedyś będzie znów normalne?

Genevieve z uśmiechem zapytała:

– A co jest normalne?

– Właściwie nie pamiętam. – Krisztina odchyliła się od stołu. Oczy miała zamglone. – Może mi nie jest sądzone normalne życie, przynajmniej normalne dość długo. – Rozważała to przez chwilę. – Nie, chyba chciałam zapytać, czy ta wojna kiedykolwiek się skończy.

– Wszystkie wojny się kończą, *cherie*.

To, co zaczęło się jako wojna, a szybko przeszło w cudaczny pokój zaboru, skręciło jeszcze raz i wciągnęło Alzację z powrotem w wojnę prawdziwą i namacalną.

Szóstego września 1943 roku spadły niedaleko stolicy bomby amerykańskie – które miały spaść na linię kolejową pomiędzy Strasburgiem i Kehl, ale spowodowały wiele zniszczeń na dużym obszarze i zabiły ponad tysiąc osób. Potem już nie było żadnych większych uderzeń aż do wiosny następnego roku. Szóstego czerwca wojska alianckie wylądowały na plażach Normandii. W buduarze Genevieve w Chateau de Trouvere w samym sercu Haut-Rhin dwie baronowe, słuchając nielegalnie radiowych komunikatów brytyjskich i szwajcarskich, wypity toast za początek ostatecznej, jak miały gorącą w Bogu nadzieję, kampanii i za zwycięstwo nad Hitlerem.

W sierpniu nadzieje i obawy wzbijały się i opadały oszałamiającą spiralą i tak miało być, przynajmniej dla Alzaczyków, jeszcze przez dziewięć miesięcy. Krisztina ponadto coraz bardziej martwiła się o matkę w narastającym wciąż zamęcie na Węgrzech, gdzie od marca popuszczono faszystowskich cugli, a teraz zabiegano niezdarnie o pokój ze Związkiem Radzieckim.

Strasburg został częściowo zburzony zmasowanym bombardowaniem jedenastego sierpnia, a Niemcy, jeszcze niezupełnie się otrząsnąwszy z wrażenia po lipcowym zamachu na Hitlera, tym okrutniej władali Alzacją. Narzucili masowy pobór do armii, żeby wzmocnić borykający się już rozpaczliwie Wehrmacht i gdy na wszystkich frontach zaczęły doskwierać braki, zagarniali produkty i surowce bez pardonu.

Laurent wreszcie sobie uświadomił, że złowieszcze przepowiednie Genevieve mogą się sprawdzić. Z niepokojem z dnia na dzień patrzył, jak zmniejsza się stopniowo jego kontrola nad posiadłością, jak płańdrowane systematycznie są zbiory, jak marnieją resztki trzody, i co martwiło go najbardziej, jak niszczejają zaniedbane winnice. Siły robocze de Trouvere znów zdziesiątkowano.

W tych okolicznościach doprowadzał go do furii uparty optymizm matki.

– Już niedaleko, Laurent – mawiała Genevieve często.

– Do czego? – zapytał kiedyś rozgoryczony. – Do naszej ruiny?

– Do naszego wyzwolenia.

– Ale czy nie widzisz, co tu się dzieje?

– Widzę, oczywiście – powiedziała pogardliwie. – Widziałam to i dawniej, kiedy ty miałeś oczy wygodnie zamknięte.

– Na litość boską, matko! Może gdyby wszyscy zrozumieli, czego chcą Niemcy, żylibyśmy dzisiaj w dobrobycie i spokoju.

Roześmiała się drwiąco.

– Nie, Laurent. Oni chcą tyranizować, ujarzmić... bić po głowach. – I ciągnęła tak łagodnie, że prawie groźnie: – Ostrzegam cię, mój naiwny synu, czas nadchodzi... i to szybko, kiedy dla ciebie może być już za późno na właściwy wybór.

– *Czego* wybór, matko?

Patrzyła na niego ze smutkiem.

Wydawało się Laurentowi, że nic z tego, co robi czy mówi, nie tamuje upływu krwi z de Trouvere. Z końcem roku 1942 Hermann Bickler, odkomenderowany, wyjechał. Nowym kreisleiterem został niejaki Paul Schall, z którym stosunki urzędowe układały się dobrze, ale pomimo wysiłków Laurenta nie dawały się przenieść na teren prywatny. Paul Schall aż nazbyt

wyraźnie się opierał. Laurent, przygnębiony jego afrontami, czuł tym większy gniew na żonę i matkę.

Przez całe miesiące po incydencie z lotnikami RAF-u siedział godzinami w swoim gabinecie, wpatrując się w fotografię dwóch hitlerowców, trzymających go serdecznie między sobą, i dumał nad faktem, że chociaż nigdy nie było to powiedziane, przestępstwo Schneegansa rzuciło cień na samo de Trouvere.

Dwudziestego ósmego sierpnia, w trzy dni po wkroczeniu Wolnych Francuzów do Paryża, zjawił się w de Trouvere połyskliwie łysy, bladooki pułkownik SS, nazwiskiem Rahm.

Cel tej wizyty nie budził wątpliwości. Poprzedni kreisleiter Bickler – obecnie standartenführer SS – mówił ciepło o gościnności zamku, więc pułkownik Rahm wyraził nadzieję, że jego propozycja zostanie przyjęta tak samo życzliwie.

Siedzieli na krzesłach przy dębowym stole w pokoju myśliwskim, otoczeni doborową bronią, a ze ścian patrzyły na nich łby odyńców i łań o szklanych oczach.

– Czym mogę służyć? – zapytał Laurent, czując ucisk w żołądku i wir w głowie. Paryż jest wolny, alianci po wylądowaniu w Prowansji rozciągnęli front od Szwajcarii aż po Morze Północne i posuwają się w stronę Wogezów i Alzacji. To znaczy dla Niemców, że wróg puka do drzwi – a dla niego, tak jak matka przepowiadała, że czas wybrać sobie wroga.

– Trzej przyjaciele potrzebują noclegu na jedną noc czy dwie.

– Przyjaciele?

Pułkownik Rahm przytaknął.

– Są w drodze z Paryża do ojczyzny, spóźnieni, bo mieli trochę kłopotów.

No pewnie, pomyślał Laurent. Były pogłoski, że sporo prominentów z rządu Vichy jeszcze przed wyzwoleniem wyjechało z Niemcami na wschód, gdzie starają się utworzyć „rząd na wygnaniu” w bezpiecznej bazie, zamku Sigmaringen, siedemdziesiąt kilometrów na południe od Stuttgartu.

– Przejazd mają zorganizowany, będą tutaj jutro po południu – ciągnął Rahm.

– Ach, tak – powiedział Laurent niezobowiązująco.

– Czy to stanowi jakiś problem, *Herr Baron*?

– Oczywiście że nie – zapewnił z pośpiechem. – A raczej mam nadzieję, że nie. Naturalnie będę musiał porozmawiać z żoną.

– Chyba żona jest w domu? – Rahm się uśmiechnął. – Więc mógłby pan od razu z nią porozmawiać – podkreślił to słowo ironicznie.

– Niestety, nie. Pojechała z moją matką do Ribeauville.

Rahm wstał.

– W takim razie chyba będzie pan miał dla mnie odpowiedź, kiedy zatelefonuję dziś wieczorem?

Laurent też wstał, rad z tej zwłoki, ale pułkownik raptownie usiadł z powrotem.

– Jest pewien drobiazg, *Herr Baron*, który może by pan zechciał wziąć pod uwagę.

– Tak? – Laurent sztywno znów usiadł.

– Chyba panu wiadomo, że sprawa pańskiego pracownika Schneegansa nie została dokładnie zbadana.

Ciarki przeszły Laurentowi po plecach.

– W większości takich spraw – ciągnął Rahm – przeprowadza się pełne śledztwo i ponieważ Schneegans nie tylko pracował u pana, ale też w pana domu udzielił schronienia wrogom Reichu...

– O czym ja nic nie wiedziałem – przerwał ostro Laurent.

– ... pan i pańska rodzina – szybko Rahm mówił dalej – bylibyście przesłuchiwani. Poprzedni kreisleiter Bickler jednakże, konsultowany w tej sprawie, zaręczył za pana lojalność.

– Jestem mu wdzięczny – powiedział Laurent z lekka oziębłe. – Nie bardzo jednak rozumiem, dlaczego porusza pan temat wyczerpany dwadzieścia miesięcy temu.

– Żaden temat nie jest wyczerpany, *Herr Baron*, jeżeli pozostają wątpliwości.

– Wątpliwości?

Pułkownik Rahm znów uśmiechnął się półgębkiem.

– Okazywał się pan bardzo życzliwy, to nie ulega kwestii... – Urwał. – Niemniej był pan, tak mnie poinformowano, lojalnym synem swojego ojca.

Laurent zmarszczył brwi.

– Z pewnością.

– A baron, nieboszczyk... też mam wiarygodne informacje... był francuskim patriotą.

– Doprawdy, tak.

– I pańska matka jest bardzo lojalną *Franzosa*, z czym bynajmniej się nie kryje. – Rahm uniósł górną wargę. – Mogę, oczywiście, szanować taką kobietę, przyjacielu, ale z ręką na sercu nie mogę jej ufać.

Od początku wojny Laurent rzadko czuł rzeczywisty lęk. Był tak głęboko przekonany o wyższości Niemców, tak zręcznie nadał swoim interesom kierunek najdogodniejszy dla nowych panów, że po prostu nigdy przez myśl mu nie przeszło, jak bardzo ryzykuje.

– Poza tym – nacierał Rahm – jest pańska żona.

– Moja żona?

– Ta piękna Węgierka o miękkim sercu. Raz wykazała błędne rozeznanie, co, gdyby nie pana interwencja, mogło ją drogo kosztować.

Laurentowi zaschło w ustach.

– No, ale znów, gdyby nie pan, *Herr Baron*, o ile wiem od moich kolegów w Berlinie, jej „błąd” może by nigdy nie został wykryty.

Laurentowi zabrakło pewności siebie, by się odezwać.

A Rahm mówił teraz tonem wprost jedwabistym.

– Ale czy ona wie o tym, ciekawe. – Patrzył na Laurenta z łagodnie jadowitym rozbawieniem. – No, *Herr Baron*? Zadałem panu pytanie.

– Nie wie.

Przybrał ton ostrzejszy.

– Więc nie wątpię, że dla niej i dla pewnych ludzi z *Resistance*, których ona chyba zna, byłaby to nader oświecająca informacja. – Wstał i poczekał, aż Laurent, zdrętwiały wskutek wstrząsu, też wstanie. – Zatelefonuję do pana później, baronie de Trouvere, kiedy już będzie pan miał sposobność porozmawiać z *madame*.

Cofnął się o dwa kroki, elegancko zasalutował.

– Heil Hitler! Mała iskierka czegoś, niejasno związanego z wolną wolą czy może nawet z dumą, zatrzymała prawą rękę Laurenta przy boku.

Lekko unosząc podbródek, Laurent powiedział:

– *Au revoir*.

Gdy pułkownik Rahm zatelefonował tego dnia wieczorem, przelotna brawura Laurenta dawno już wyparowała.

– Pana znajomi mogą przyjechać, pułkowniku.

– Miło mi to słyszeć.

Laurent położył słuchawkę i zobaczył, że ręka mu się trzęsie.

Jeszcze musiał powiedzieć o tym Krisztynie.

Dwadzieścia po dziesiątej, mijając drzwi sali lustrzanej, usłyszał stamtąd muzykę, więc zapukał do tych grubych drzwi. Nie było reakcji. Wziął się w garść i wszedł.

Przez chwilę czuł się tak, jakby prosto ze skalnego wąwozu wkroczył w niematerialny świat jakiejś dawnej swojej fantazji.

Żyrandole się nie paliły, ale trójramienny kandelabr, stojący w drugim końcu sali, rzucał poprzez mglisty mrok, cętkowaną poświatą, fosforyzującą lunę na młodą kobietę, która siedziała pośrodku na podłodze. Oczy miała zamknięte, nogi lekko zgięte przed sobą. Cząsteczki kurzu wokół jej srebrzystych włosów wyglądały jak aureola.

Z dalekiego kąta, gdzie stał gramofon, dolatywała muzyka. Bing Crosby śpiewał *Begin the Beguine*.

– Krisztina?

Zaskoczona otworzyła oczy.

– Laurent...

Z biciem serca Laurent zamknął drzwi za sobą.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam.

– Nie szkodzi. – Nie poruszyła się. – Usiądź przy mnie. – Wskazała podłogę.

Zdjął marynarkę, usiadł powoli i powiedział jej o Rahmie i jego gościach z Vichy.

Przeraziła się.

– Kazał ci czy zapytał?

– Kazał.

Oczy jej się zwęziły.

– Nie wierzę. Zapytał, prawda? A ty wciąż jeszcze jak mały lizusek starasz się im przypodobać.

– Wcale nie – powiedział. – Nie dał mi wyboru. Groził.

Odwróciła od niego wzrok.

– No, to gorzej – powiedziała stanowczo. – Bo to znaczy, że jesteś rzeczywiście tchórzem.

Poblaski świec nagle wydawały się rażące, muzyka zgrzytliwa.

– Te groźby dotyczyły ciebie – powiedział cicho.

– Mnie?

– I mojej matki.

Przeraziła się.

– Jak to?

– Schneegans.

– Oni wiedzą, co myśmy zrobiły?

– Najwidoczniej.

– Dlaczego mówią dopiero teraz? Nie aresztowali nas... nawet nie przesłuchiwali.

Odczekał chwilę.

– Ze względu na mnie.

– Rozumiem – ucięła.

– Aż do dzisiaj. – Urwał na chwilę. – Chcą zapłaty.

– Nie sądzisz, że wzięli dosyć? Nasza ziemia jest prawie ogołocona, nasze winnice potrzebują lat, żeby się odrodzić. – Umilkła z wyrazem zawziętości na twarzy.

– Więc rozumiesz – ciągnął swoje – dlaczego musiałem się zgodzić?

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Właściwie nie rozumiem.

– Chcesz być aresztowana?

– Im świat się wali, Laurent. Już nic nam zrobić nie mogą.

– Jeszcze mogą cię rozstrzelać.

Spojrzała na niego chłodno.

– Czy naprawdę byś się tym przejął?

Teraz on z kolei doznał wstrząsu.

– Pytasz poważnie?

– Przepraszam – powiedziała. – Przejąłbyś się chyba... przynajmniej matką.

Odczuwał dojmująco jej fizyczną bliskość, wdychał jej woń.

– Myślisz, że przestałem cię kochać?

– Myślę, że ty pojęcia nie masz o miłości.

– Zawsze cię kochałem, Krisztino... nie przestaję ani na chwilę.

Zobaczyła na jego twarzy niezamaskowaną niedolę, samotność i lęk, i nagle coś w niej zmiękło.

– Odmów Rahmowi! – powiedziała. – Jeżeli nie mają gdzie indziej miejsca postoju dla nich, tak czy owak przyłożą nam pistolety do głów.

Laurent patrzył na posadzkę.

– Padła wzmianka o Resistance.

– Jak?

Nerwowo zwilżył językiem wargi.

– Myślę, że mogliby rozpuścić w Resistance informację, że ja wydałem Schneegansa. – Spojrzał na nią. – Nie rozumiesz? *Maquisards* są coraz mocniejsi...

– Nie mam wątpliwości, Laurent, że oni wiedzą, co zrobiłeś, a czego nie zrobiłeś w sprawie tych lotników – powiedziała spokojnie. – I my wszyscy wiemy. Chociaż mogłeś donieść później w tamten poranek, nie doniosłeś. – Umilkła na chwilę. – Teraz masz szansę, żeby się oczyścić.

– Jak? Odmową?

– Nie. – Wzrokiem rzucała mu wyzwanie. – Niech ci z Vichy tu przyjadą, ale jakoś zawiadom o tym Resistance.

– Chcesz, żebym zastawił na nich pułapkę?

– Właśnie.

Przestraszył się.

– Zostaliby z zimną krwią zamordowani!

W oczach miała chłód.

– Jakoś cię nie trapiło to, że zastrzelili Jacques’a Schneegansa... i bez takich skrupułów robiłeś interesy z tymi, którzy mordowali całe rzesze.

– Skąd wiesz, co mnie trapi? – Zaprotestował gniewnie. – Zdaje ci się, że tych kilka lat było dla mnie łatwe?

– Zdaje mi się, że zawsze wybierałeś możliwie najłatwiejszą drogę – odpowiedziała.

– Czy było mi łatwo, kiedy matka obróciła się przeciwko mnie? I czy łatwo jest, myślisz, słyszeć, jak służba szepcze o mnie? I jak Sutterlin otwarcie mnie lekceważy?

– Mogłeś do tego nie doprowadzać.

– Wszystko to mnie zżera. – Wstał i zaczął spacerować tam i z powrotem, bezwiednie w takt muzyki. – Odkąd przyjechaliśmy tu, do de Trouvere... – skrzywił się udręczony. – Ale najgorsza, najgorsza jest świadomość, że utraciłem cię.

Przełknęła ślinę.

– Przecież nadal tu jestem.

– Nie ze mną, nie! Nie przy mnie, nie jako moja żona... nawet nie w moim łóżku!

Patrzyła na niego przez chwilę.

– Może nie byłoby za późno – powiedziała cicho.

Zatrzymał się.

– Gdybym w to wierzył, zrobiłbym wszystko.

Spojrzała mu w oczy.

– Nawet wydałbyś tych gości?

– Wszystko! – Rzucił się nagle na klęczki przed nią. – Krisztino, gdybyś tylko wiedziała, jakie puste jest moje życie bez 13. Zamek Ella ciębie... jak rozpaczliwie do cię tęsknię. Nieraz prawie wariuję, kiedy myślę, że mogłoby być dobrze, gdybyśmy mieli dziecko. Ono by nas ze sobą związało.

– Dzieci nie spajają rozbitych małżeństw – powiedziała spokojnie, chociaż dźgnęło ją dawne poczucie winy.

– Ale budzą miłość! – Błagał ją oczami. – Czy naprawdę jest szansa, Krisztino? Jeżeli przekażę wiadomość do *maquisards*? Czy jest?

Nagle, zdjeta litością i żalem, delikatnie dotknęła jego włosów – gest prawie serdeczny, pierwszy od miesiąca.

– Chyba – odpowiedziała niepewnie.

Z cichym okrzykiem nadziei ujął obie jej ręce i ucałował.

– Przysięgam ci – szepnął żarliwie. – Zrobię to.

Płomyki więc pełgały, wosk syczał, topniał i zastygał strużkami, a miodowy baryton śpiewał *In the Still of the Night*. Siedząc na podłodze w tym niezwykłym świetle, oboje poczuli dawny, na pół zapomniany impuls.

– Zatańcz ze mną – szepnął Laurent.

Krisztina siedziała nieruchomo.

– Proszę – powiedział – tylko chwilę.

Spojrzała na niego. Nogi już ją podnosiły.

Wolno, pieczołowicie pociągnął ją, żeby wstała, i prawą rękę położył jej na plecach tym dawnym, dobrze znanym, równoważącym ruchem, instynktownym i naturalnym dla nich obojga jak

samo oddychanie.

Od lat nie tańczyli ze sobą, ale zespolenie i kroki przyszły im lekko, jak gdyby nigdy nic. Sunęli po sali w powolnym fokstrocie, ich odbicia szybowały z lustra do lustra, Laurent w białej koszuli, Krisztina w powiewnej letniej sukience tak cienkiej, że prześwitywała. A przecież tańczyli, jak nigdy przedtem – nie dla jury czy dla publiczności, czy w tłocznym salonie na przyjęciu – tym razem tańczyli tylko dla siebie, dla swoich wspomnień i tych żalonych strzępów pozostałych z ich małżeństwa. Tańczyli, bo chcieli tańczyć – i było w tym dziwne rozczulenie...

Piosenka, płyta się skończyła, więc skończył się też taniec.

Jeszcze trzymając rękę na plecach Krisztiny, Laurent spojrział na jej podniesioną ku niemu, cudownie spokojną twarz, pochylił się i pocałował ją w usta.

– Laurent, nie. – Jej głos tłumili jego wargi. – Nie.

Ale nie mógł się powstrzymać, a ona nie wiedziała, czy chce, żeby się powstrzymał, zobaczyła jego oczy mokre od łez. Niezliczone sprzeczne myśli opadły ją jak kuszące drapieżne demony. Wyrwij się – nakazywały – bądź znowu sama, kamienna w twoim zimnym, dużym łóżku... I zaraz pobudzały, nakłaniały, żeby została w jego objęciach, przypominały, że ona też ma potrzeby i pragnienia. Jęknęła, słabo spróbowała odepchnąć się od jego piersi, ale wargi miała rozchylone i język jej nagle splątał się z jego językiem i w piersiach ją łaskotało, brodawki stwardniały jak zdumione pąki róż pod dotknięciem jego lewej ręki, gdy prawą zsunął z jej pleców na krągłość pośladków, a ciało mu rosnęło, silne, chciwe, zaborcze...

– *Mon amour* – szepnął i zaczął jej rozpinąć sukienkę na plecach.

– Nie, Laurent, nie tutaj...

– Tak, tutaj, teraz...

Nie puszczając jej, szybko podszedł do drzwi, przekręcił duży srebrny klucz w zamku.

Sukienka opadła. Jego ręce, usta i język Krisztina czuła w sobie całej, aż osunęła się z nim na posadzkę. Czuła chłód wyfroterowanego drewna, ciepło bijące od męża, i już jej ręce i nogi go oplatały.

– *Merci, mon amour* – wyszeptał bez tchu, gdy otworzyła się przed nim i tyle było przejmującej miłości i wdzięczności w jego głosie, że z uczuciem prawie bliskim szczęścia stwierdziła: jest dobrze...

Później w dawnej małżeńskiej sypialni leżeli przy sobie. Laurent w migotliwym świetle kandelabra, który przyniósł z sali lustrzanej, miał twarz już niepobrużdżoną, gładką i radosną.

– Byłem gorzej niż głupcem – powiedział ochryple, ujmując ją za rękę.

Uścisnęła mu dłoń, pełna dobrych chęci – przecież on jest jak ryba na potężnym haczyku własnej naiwnej zachłanności.

Wpatrywał się w nią.

– Jesteś wszystkim, czego potrzebuję... teraz już wiem.

Potrząsnęła głową.

– Bardziej niż mnie potrzebujesz de Trouvere.

– Nie! – zaprzeczył gwałtownie. – Zrezygnowałbym z de Trouvere w jednej chwili, żeby mieć cię z powrotem. Niczego nie potrzebuję bardziej niż ciebie. – Przelotnie sposepniał. – Z wyjątkiem twojego dziecka... a pod tym względem, tak jak pod każdym innym, też cię zawiodłem.

Opuściła powieki, bo nie mogła spojrzeć mu w oczy.

Uznał, że jej milczenie to smutek.

– Wybacz mi – poprosił. – Nie jest za późno... może teraz, jeżeli znów spróbujemy... – urwał, widząc wyraz jej twarzy. – Krisztino, *cherie*, proszę cię, nie bądź tym taka przygnębiona.

Otworzyła oczy, ale nic nie powiedziała.

– Krisztina?

Usiadła nagle i odsunęła kołdrę.

– Dokąd idziesz?

– Do mojej sypialni. – Wstała z łóżka i włożyła peniuar.

– Nie! – wykrzyknął przerażony.

– Przepraszam, Laurent.

– Na miłość boską, Krisztino, nie zostawiaj mnie teraz!

Podeszła do drzwi i nie odwróciła się.

– Przepraszam – powtórzyła.

W jej ubieralni Mojżesz, stary już i śnieżno-siwy na pysku, merdał powitalnie ogonem.

Krisztina pogłaskała go z roztargnieniem i weszła do sypialni. Przez chwilę siedziała na łóżku, policzki jej płonęły, oddychała nierówno. Potem powoli jak lunatyczka wstała, podeszła do *armoire*, otworzyła wewnętrzną szufladę i wyciągnęła pudełeczko z błoną.

Tak dawno nieużywana. A dzisiaj... Co za ironia, jeżeli...

Patrzyła na pudełeczko. Był moment w jego łóżku, gdy omal mu się nie przyznała. Wariactwo, pomyślała, wariactwo z litości i poczucia winy.

Nie usłyszała otwierania drzwi ani kroków Laurenta za sobą.

– Boże – powiedział cicho.

Odwróciła się, i wstrząśnięta, upuściła pudełeczko.

Podniósł je.

Patrzyła, jak on zaciska szczęki i czerwienieje, jak z jego oczu i twarzy znikają wszystkie ślady wrażliwości. Dojmująco sobie uświadomiła, że jeśli było jakieś błysnięcie nadziei na wspólną pomyślność, to ona tym jednym zabójczym ciosem je zgasiła.

– Ty szmato!

Nie odezwała się. Wlepił wzrok w pudełeczko.

– I ty mnie zarzucałaś sprzeniewierzenie! – Cisnął pudełeczko na łóżko.

– Tak – powiedziała najspokojniej, jak mogła. – Przykro mi.

Milczał. Miała wrażenie, że już jej nie widzi.

Nagle podszedł do drzwi, przekręcił klucz, wyjął go z zamka i zdjął szlafrok. Był nagi.

– Laurent, co robisz?

Nigdy dotąd nie widziała tak absolutnie sprężonego ciała. Zwarte były wszystkie mięśnie – brzucha, pośladków, ud, rąk, szyi.

– Laurent?

Nadal milcząc, podszedł do niej i przyparł ją do ściany. Zrozumiała, że to odkrycie jedynej jej oszustwa sprawiło, że coś w nim pękło. On rzeczywiście jej nie widział – jak gdyby miał przed oczami tworzący się jakiś obraz, wypaczoną wizję koszmaru. Nagle strasznie się złękła.

– Laurent? – wykrztusiła. – Laurent! – powtórzyła ostrzej.

Jak na filmie w zwolnionym tempie, jego prawa ręka uniosła się i zatoczyła łuk. Klucz niczym

miniaturowa srebrzysta piłka do krykieta wzleciał w powietrze, uderzył w marmurową obudowę kominka na drugim końcu pokoju i odbił się w kąt.

– Laurent!

Jego ręka jeszcze poruszała się z rozmachu, potem znieruchomiła na sekundę, a potem mignęła. Pięść jak rozpalone żelazo walnęła ją w brzuch.

– Boże święty! – Zachłystując się, Krisztina upadła. W oszołomieniu, w męce, w strachu, jej mózg przekazywał koniuszkom wszystkich nerwów, że trzeba się przygotować na więcej, na bicie, na kopanie, może nawet na śmierć.

Ale ręka Laurenta już bez tego wściekłego, rozpaczliwego rozmachu, paląc go od zetknięcia z delikatnym, miękkim kobiecym brzuchem, opadła. Energia stopniała, wessała mu się w lędźwie i on, jakby przez jakiś filtr jarzący się, zamglony i daleki, widział Krisztinę bezwładną na dywanie.

Niewyraźnie usłyszał, jak ona mówi: „Laurent”, zobaczył, jak podnosi obronnie ręce, ale widok jej kredowobiałej twarzy i oczu pełnych grozy przesłoniła mu nieprzeparła potrzeba. Wlać do ostatka swoje soki w to łono, które go oszukiwało, obwarowywało się przed nim! Więc pochylił się, podniósł ją za ręce, przyparł do ściany i zerwał z niej pasek peniuaru.

Krisztina oprzytomniała. Widząc jego twarz rozpaloną, oczy szkliste, wiedziała, że po prostu oszalał. Zastygła w bezruchu i dopiero gdy wzrok jej padł na jego ogromną erekcję, zaczęła się szamotać. Ale on prawą ręką jak stalową sztabą przycisnął jej piersi, lewą objął ją, sięgnął poniżej, uniósł i przyciągnął jej biodra, prawym kolaniem rozdzielił uda.

I wtargnął w nią. Wrzasnęła, a jego penis był jak zabójczy miecz, przeszywał, rozdzierał jej ciało i duszę, dopóki on się nie wyczerpał i nie odpadł zupełnie pusty, zdyszany, na pół martwy z wysiłku i obłędu. Prawie nie słyszała szczekania Mojżesza za drzwiami, tylko tak jej się kręciło w głowie, że osunęła się przy ścianie. Peniuar zaszeleścił w zetknięciu z tapetą i już wtulała się w ciemność, ale rozległo się pukanie, a potem walenie do zamkniętych drzwi i wyciągnęło ją z ciemności, odgrodziło od niebytu. Coraz głośniejsze, coraz natarczywiej szczekała, podskakując, klamka.

– Wpuść mnie!

Głos Genevieve, bardzo niespokojny, a przecież władczy, podziałał jak kubeł lodowatej wody na chwilowo ogłupiałego Laurenta. W jakimś paraliżującym urzeczeniu Krisztina patrzyła, jak on reaguje na ten głos, najważniejszy w jego dzieciństwie.

Jeszcze nagi, podszedł powoli, automatycznie do drzwi, nacisnął klamkę. Bez skutku.

– Zamknięte na klucz – powiedział ochryple.

– Więc otwórz!

Zakręcił się, zaczął szukać klucza. Zapomniał o mnie, pomyślała, leżąc na podłodze, modląc się w duchu, żeby znalazł prędko.

Dojrzał klucz pod oknem, schylił się, podniósł i nadal tak dziwnie automatycznie podszedł znów do drzwi, otworzył.

Genevieve wpadła do pokoju, dramatyczna w szafirowej nocnej szacie. Popatrzyła i zaniepokojenie zmieniło się w grozę.

– *Nom de Dieul* – Podbiegła do Krisztiny, ogarnęła wzrokiem jej spopielałą twarz i osłupiałe oczy, rozchelstany peniuar, krew na udach i znów wykrzyknęła. Szybko okryła peniwarem jej nagość, obejmując ją ramieniem odwróciła głowę do syna.

– Ubierz się!

To zabrzmiało jak chłaśnięcie biczem. Laurent usłuchał bez słowa. Patrzył na nie obie, Krisztinę chyba widział przytomnie dopiero teraz, ale wyraz twarzy miał niezgłębiony.

Genevieve zapytała synową cicho:

– Możesz się podnieść, *cherie*?

– Za chwilę – odpowiedziała Krisztina słabym szeptem.

– *Qa va*. Już nie ma czego się bać.

Laurent w szlafroku usiadł ciężko na łóżku i wziął z kołdry pudełeczko.

Genevieve rozpoznała je, przymrużyła oczy. Spojrzała na Krisztinę.

– Znalazł?

Krisztina przytaknęła niemo.

– Rozumiem. – To zabrzmiało jak westchnienie.

Laurent wyjął z pudełeczka błonę i przytrzymując przed sobą jak chorągiewkę, wyciągnął z kieszeni szlafroka złotą zapalniczkę.

– Laurent, *arretel* Zignorował matkę. Płomykiem zapalniczki dotknął podstawy kapturka i od razu zapachniało w pokoju palącą się gumą. Upuścił ją na dywan i zdeptał bosą stopą.

– Zwariowałeś? – wykrzyknęła Genevieve.

– Przynajmniej już nie będzie mogła tego używać – powiedział tępo.

Krisztina zakwiliła z bólu, przyciskając dłoń do brzucha. Genevieve zmarszczyła brwi, lekko rozchyliła na niej peniuar i spojrzała na już powiększający się siniec. Oczy jej się rozszerzyły. Z jeszcze większym gniewem groźnie przeniosła wzrok na Laurenta.

– Jeżeli choćby marzy ci się, że ona kiedykolwiek jeszcze będzie tego potrzebowała, to rzeczywiście jesteś niespełna rozumu.

Wstał, poparzona stopa trochę go już bolała, co przywracało mu siłę.

– Nie martw się, matko – powiedział – ja już nigdy, dopóki żyję, jej nie dotknę. – Mignęła w jego oczach udreka, ale rzucił Krisztinie szybkie spojrzenie pełne zawziętości. – Zresztą i tak ona nigdy nie była naprawdę moja.

– Nikt nie ma nikogo na własność – powiedziała Genevieve.

– Moją żonę ktoś ma – oświadczył. – Ona wciąż jeszcze należy do swojego pierwszego... do swojego ukochanego Davida. Czy wiesz, matko, o Davidzie? Pewnie wiesz, bo tak się przyjaźnicie.

– Wiem o nim – odrzekła spokojnie.

– Prawdopodobnie nie żyje – ciągnął Laurent prawie sennie. – Zagazowany jak zwierzę.

Genevieve przytuliła Krisztinę mocniej i pogłaskała ją po włosach.

– Szkoda – powiedział Laurent.

– Tak.

– Nie, matko, nie rozumiesz, o czym mówię.

– Laurent, na litość boską, przestań! Jeszcze ci mało?

– Szkoda – ciągnął i nadal głos miał głuchy, pusty – bo ona powinna była zapomnieć o nim. Wiedziałem, że na to trzeba czasu... czekałem cierpliwie. Nie uważasz, że czekałem cierpliwie, Krisztino?

Krisztina nie mogła mówić.

– Ale tyś wcale nie zapomniała, prawda? – Potrząsnął głową, znowu znużony. – Szkoda

wszystkich moich wysiłków, całej strategii.

Obie słuchały z przerażeniem.

– Na tym po części polegał mój plan, rozumiesz? – Oczywiście miał zamglone. – Twój ojciec żywił nadzieję, że Davida może aresztują tylko dlatego, że jest Żydem. – Uśmiechnął się półgębkiem, ironicznie. – I naturalnie tak by się stało prędzej czy później. Ale ja nie chciałem już tracić czasu... traciłem dostatecznie długo... więc postarałem się to przyspieszyć w jedyny sposób, w jaki mogłem.

Krisztina zdrętwiała.

– Tyś doniósł o nas?

Przytaknął.

– Ułatwiłeś nam spotkanie, a potem doniosłeś?

– Oczywiście. – Umilkł. Po chwili odpowiedział: – *Rassenschande*. Najcięższa z możliwych zbrodni.

Z krwią zastygłą w żyłach myślała, że chyba umiera.

– Przecież mnie kochałeś!

– Nade wszystko.

Przełknęła kulę w gardle.

– I nie starałeś się mu pomóc... w ogóle nie miałeś takiego zamiaru?

Uśmiechnął się znowu.

– Może bym się starał, kiedy już byłaś moja. – Rozważył to. – Ale wybuchła wojna, zrobiło się za późno... Zresztą ty nigdy nie byłaś moja, prawda?

Genevieve poruszyła się tak, jakby się ocknęła. Delikatnie, a przecież stanowczo pomogła Krisztynie dźwignąć się z podłogi.

– *Viens, cherie* – pocałowała ją tkliwie w policzek. – Pójdziemy do mnie... będziemy tam razem.

Poprowadziła ją, podtrzymując, wolno do drzwi, Laurent stanął na środku pokoju i zapatrzył się w pustkę przed sobą.

– Mojżesz – szepnęła nagle Krisztina. – Jest w ubieralni.

– *Bien sur, ma petite* – uspokoiła ją Genevieve. – Mojżesz musi pójść z nami. Będziemy we troje.

Zostawiła Krisztinę w drzwiach, opartą o dębową framugę, i wróciła z drżącym, zdenerwowanym Mojżeszem, który natychmiast przypadł do boku swojej pani.

– *Bien* – powiedziała łagodnie. – Chodźmy.

Nie obejrzała się na syna.

Noc minęła spokojnie. W sypialni Genevieve rozпалиły ogień, chociaż był sierpień, Krisztina leżała na łóżku, teściowa siedziała przy niej. Trzymała ją za rękę, głaskała po włosach, rozmawiała z nią, gdy widziała, że ona chce rozmawiać, milczała w czasie jej urywanej nerwowej drzemki, a stare czarne psisko, wyciągnięte u nóg łóżka, czuwało jak wierny wartownik.

W swojej sypialni Laurent zapalił papierosa i otworzył okno. Przyniósł z palarni nienapoczętą butelkę koniaku i pił, dopóki nie była pusta. O trzeciej rano leżał nieprzytomny na podłodze, o czwartej wstał, zwymiotował w łazience, a potem nie było dla niego ani snu, ani spokoju. Spokoju już nigdy nie miał zaznać.

Trzej prominenci z Paryża, dwaj z nich z żonami, przybyli tego dnia po południu, jak również

wjechał ich bagaż: pięć kufrów w stalowych okuciach i dziesięć skórzanych walizek.

Gościli w zamku czterdzieści godzin.

Dla Laurenta ta wizyta miała w sobie niejasną złowieszczość z surrealistycznego koszmaru. Krisztina i Genevieve pozostawały na górze, zeszły na dół tylko trzy razy, na krótko, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, i spotykając Laurenta czy kogoś z tych obcych, zachowywały zimne milczenie. Sutterlin, Rene i Marthe, pomimo wściekłych pogroźek Laurenta, strajkowali.

O siódmej wieczorem zatelefonował Rahm.

– Pańską gościnność oceniono, *Herr Baron*.

Laurent mówił głosem zdławionym ze zdenerwowania.

– Postawił mnie pan w strasznej sytuacji. Moi służący nie chcą pracować.

– Mógłbym przysłać dziewczynę z BDM do pomocy. – Pauza była niezauważalna. – Oczywiście, w następstwie utraciłby pan tych służących.

Laurent zdrzął. Przed oczami upiór Jacques'a Schneegan – sa zatańczył mu, szkieletowy i zakrwawiony.

– Dziękuję, poradzę sobie.

– Pańska sprawa.

Więc on nie tylko był ich gospodarzem, ale sam ich obsługiwał. Zadbał o ich wygody, podał szampana i nawet wszedł do kuchni (od czasów dzieciństwa wchodził tam bardzo rzadko), żeby wygrzebać mięso na zimno i sałatę do *foie gras*, który już znalazł i którym z kilkoma butelkami chłodzonego rieslinga miał nadzieję zaspokoić ich głód.

Nazajutrz rano w pomywalni przy kuchni zastał jakąś młodą dziewczynę. Szorowała podłogę.

– Kim jesteś?

– *Jem 'appelleMarie, monsieur*.

– Dawno tu pracujesz?

– Sześć miesięcy, *monsieur*.

– Dobrze. Zrobisz śniadanie.

– *Monsieur?*

– *Oeufs au plat, croissants* i kawa dla sześciu osób.

Patrzyła na niego tępo.

– Pośpiesz się! – powiedział zniecierpliwiony.

– Ale *madame Schneegans* przykazała, żeby nic nie robić dla... – Urwała.

Do reszty stracił cierpliwość.

– *Merdel* – Stał nad nią. – Zrób śniadanie zaraz, bo jak nie, to wezwę gestapo i niech cię zastrzelą!

Skuliła się ze strachu...

– *Oui, monsieur*.

– Prędzej!

W porze obiadowej Marie także rozplynęła się w powietrzu, więc Laurent, na dnie furii i rozpacz, musiał znów usługiwać, bo szybko się okazało, że prominenci Vichy i ich żony raczej umrą z głodu, niż sami zatroszczą się o siebie. Pragnął ich porzucić, a nawet wyrzucić, ale widmo pułkownika SS Rahma majaczyło nad nimi, więc przełykał upokorzenie, wściekłość i niezdarnie uwijał się dalej.

O piątej Rahm znów zatelefonował.

– Wszystko dobrze, *Herr Baron*?

– Tak dobrze, jak można się spodziewać w trudnych warunkach.

– Czasy są trudne.

– Tak, pułkowniku.

Laurent położył słuchawkę. Ocierając pot z czoła, wyjrzał przez okno gabinetu i zobaczył Andre Sutterlina stojącego pośrodku alejki i patrzącego na to okno.

– Jak szczur w klatce – pomyślał. Lęk zimnymi mdłościami wywracał mu żołądek. – Bez wyjścia, w którąkolwiek stronę się odwrócę.

Wyjechali nazajutrz rano o dziewiątej, ich bagaże załadował do ogromnego mercedesa szofer w cywilnym ubraniu.

Jedna z tych żon, arogancka wysoka blondynka, przed wyjazdem podeszła do Laurenta, żeby mu podziękować za gościnność.

– Kucharzem nigdy pan nie będzie, *monsieur le baron* – powiedziała czystym, niskim głosem – ale gdyby pan się znalazł kiedyś w pobliżu Sigmaringen, na pewno byłoby mi przyjemnie odkryć w panu inne talenty. – I przeciągle pocałowała go w policzek.

Nic nie powiedział, tylko patrzył na Sutterlina, który stał w odległości może dwudziestu kroków i niewątpliwie znów zimno go obserwował.

Kilka godzin później Laurent spotkał w głównym holu Krisztinę. Tym razem ona jednak nie zignorowała go, tylko lodowato skinęła głową.

– Wyjechali – powiedział.

– Tak.

– *Maquisards* nie przyszli.

– Nie przyszli.

– Myślałem, że może ich poinformowałaś.

– Mojego męża nie napiętnowałabym publicznie jako zdrajcy.

Powieki mu zatrzepotały.

– Sutterlin im powie, prawda?

– Tak.

Następnego dnia rano, gdy się obudził z kacem po pijaństwie na umór, bo inaczej by nie zasnął już przez czwartą noc z rzędu, otworzył oczy prosto na wymalowany na ścianie czerwonymi jak krew literami wielki napis: *COLLABORATE UR*.

Usiadł przestraszony. Resztki snu się rozwiały, serce pracowało jak automat.

Sutterlin, ta myśl była wyraźna i straszna, mrożąca krew w żyłach. Potrząsnął głową, splamiona ściana jak magnes przyciągała jego wzrok.

Chyba nie Sutterlin, to nie w stylu Sutterlina. Ale ktoś.

Ktoś niewiadomy w jego pokoju.

Zadzwoił do pułkownika Rahma z gabinetu, gdzie zamknął się na klucz i zasunął zasłony w oknach. Przez chwilę obawiał się, że może go nie połączyć.

– *Ja?*

Ulżyło mu, trochę się uspokoił.

– Pułkowniku, potrzebuję pana pomocy.

– Do czego?

Wyjaśnił pokrótce.

– I niby co, *Herr Baron*, ja mogę zrobić?

– Niech mi pan da ochronę, przyśle ludzi... dwóch... choćby jednego do pilnowania zamku.

Rahm wydawał się prawie rozbawiony.

– Musimy bronić kraju, *Herr Baron*. Poważnie pan myśli, że w takim czasie mam żołnierzy na zbyciu?

– Ale mnie grozi niebezpieczeństwo!

– Być może.

– Na litość boską! Spełniłem pana żądanie, prawda? Od początku współpracuję! Chyba mógłby pan coś zrobić, żeby mi teraz pomóc? – Znowu Laurent spociał się obficie.

– Mogę tylko służyć radą. Więc radzę siedzieć w domu, *Herr Baron*. Jest wiele doniesień, że bandy *Resistance* dokonują zbiorowych egzekucji zarówno urzędników *Vichy*, jak ich zwolenników.

– Co mi da siedzenie w domu, kiedy oni już się do domu dostali? – syknął zdesperowany.

Rahm odezwał się dopiero po chwili:

– Może bym panu przysłał dwóch chłopców z *Hitlerjugend*.

– Chłopcy zdołają mnie obronić przed *maquisi* – Najprawdopodobniej nie zdołają – odpowiedział Rahm spokojnie. – Zresztą sama ich obecność pogorszyłaby pana sytuację jeszcze bardziej.

– I to jest pana ostatnie słowo? – Niedowierzanie i gwałtowna nienawiść wezbrały, nieomal dusiły Laurenta. – Po tym wszystkim, co zrobiłem dla waszego narodu?

Rahm odpowiedział niecierpliwie i hardo:

– Cokolwiek pan robił, przyjacielu, to tylko po to, żeby sobie napęłniać kieszenie i bezpiecznie przetrwać wojnę.

– Karmiłem wasze wojska, na litość boską!

– Po prostu dawał pan dobrowolnie to, co mogliśmy zabrać panu sami.

Laurent dotąd stał sztywno przy biurku. Teraz opadł na fotel, wiedząc, że nie pozostało już nic do powiedzenia.

– Życzę szczęścia, *Herr Baron* – powiedział Rahm.

Rozłączył się. W słuchawce była cisza.

Laurent poszedł do stajni, osiodłał *Seigneura* i pojechał w las.

Zrobiło mu się lżej wśród niezliczonych odcieni brązu i zieleni, pod osłoną sękatych, starych drzew i przebijających się soczystych piłodych drzewek. Koń szedł stępą, lekko kołysał, a on wdychał ostre, zaprawione zapachem mchu powietrze, słuchał spokojnego miarowego człapania kopyt po alzackiej ziemi i czuł ukojenie, patrząc na bezgraniczny dywan z dzikich kwiatów, których nazw nigdy nie pofatygował się zapamiętać, nawet w dzieciństwie, gdy matka brała go za rękę i kolejno wskazywała każdy.

Gdyby tylko mógł zostać tutaj, w tym łagodnym świetle, karmić się przyrodą, bezduszny, ale żywy, latem, jesienią i na wiosnę, i w zimie, rok po roku, z dala od zamku, i od wszystkich w zamku. Gdyby mógł tu pozostawać bezpiecznie, przytulnie, jak kret ryjący coraz głębiej w ziemi, ślepy, ale pewny, kopać tak i kopać do śmierci...

Ale pozostawał w siodle, wtulając nogi, mocne jak żelazo, w boki szlachetnego białego stworzenia, które go nie osądzało, nie mogło osądzać, i jechał dalej przed siebie leśnym traktem ku jasności, aż znalazł się na otwartej przestrzeni, gdzie słońce kłuło go w oczy i grzało, i gdzie ptaki, wyzwolone z niewoli splątanych gałęzi, śpiewały wniebogłosy. Powoli, instynktownie jechał i jechał dalej, aż dojechał do miejsca na północ od Chateau de Trouvere, skąd po raz pierwszy pokazał Krisztynie siedzibę swego rodu.

Magnifique – przypomniał sobie, jak ona to powiedziała.

Popatrzył na zamek znowu i napawał wzrok szlachetnością tej kremowej barokowej budowli, splendorem terenów wokoło. Poczł się na fali historii i przeznaczenia, bo to mogłoby być każde lato każdego roku, wszystko było tak jak zawsze nietknięte przez wojnę ani przez hitlerowców, ani przez krzepkich młodych patriotów, którzy igrali z jego strachem, czyhając w ciemnych zakamarkach, żeby go zastrzelić czy powiesić, czy odrąbać mu głowę siekierą.

Seigneur nagle rozedrgany, zniecierpliwiony, potrząsał grzywą i grzebał kopytem, Laurent poklepał go.

– Ty masz już dosyć czekania, *mon ami*, a ja mogę tylko czekać, bo nie wiem, gdzie, kiedy i jak to się stanie.

Raptem, odchylając głowę i szeroko otwierając usta, wybuchnął dobywającym się jak gdyby z trzewi, szalonym śmiechem. Spiał konia i pogalopował w stronę domu, który był jeszcze jego, i w stronę kobiet, które się od niego oddaliły, w stronę zakończenia, które nieuchronnie się zbliżało.

Przestał się śmiać dopiero na stajennym podwórzcu, gdy prowadził konia z powrotem do boksu.

Te słowa były w oczy, wypisane na zewnętrznej ścianie boksu Seigneura, tym razem żółtą farbą i innymi literami:

MORT AUX COLLABORATEURS!

Znow ogarnęła go panika, paląca i haniebna, nieunikniona. Odwrócił się, zarzucił ręce na wielki kark Seigneura, ukrył twarz w jedwabistej grzywie i rozplakał się jak dziecko.

Nie miał dokąd uciec, nie miał gdzie się ukryć. Wszyscy schodzili mu z drogi, stał się niedotykalny jak trędowaty. Poszedł do apartamentu matki, zapukał do drzwi.

– *Qui est la?*

– Laurent.

– Odejdź.

– Matko, pomóż mi, proszę.

– Nie, Laurent.

– *Maman*.

– Laurent, nie mogę ci pomóc.

Odwrócił się.

Za zamkniętymi drzwiami Genevieve z poszarzałą twarzą siedziała w wolterowskim fotelu i łzy spływały jej po policzkach niepowstrzymanie.

Przy drzwiach niebieskiego apartamentu gościnnego stał cicho, słuchając niegłośnej muzyki z radia. Wyobrażał sobie, że Krisztina tańczy przed publicznością, którą jest jej stary czarny pies.

Zapukał. Podeszła do drzwi i otworzyła.

– Czego chcesz?

– Być z tobą.

Była bardzo poważna.

– Nie, Laurent – powiedziała.

– Tylko przez chwilę.

– To skończone, Laurent.

– Wiem.

– Odejdź, proszę.

Pomyślał, że jej oczy są tak czyste, tak ślicznie niebieskie jak żadne oczy na świecie.

– Pomóż mi – szepnął.

– Nie mogę.

Zamknęła drzwi.

Wziął mauzera z pokoju myśliwskiego i z palarni butelkę najlepszej whisky. Wszedł do gabinetu, zamknął drzwi na klucz i znów zasłonił okna.

Z dolnej szuflady biurka wyjął duży album w skórzanej oprawie. Otworzył go na środkowych stronicach i zapatrzył się w swoją utraconą przeszłość.

Europa Misterschaft, Berlin 1937.

Przeminęło.

Podniósł wzrok i zobaczył na ścianie trzy uśmiechnięte twarze: Blickera, Schlegela i swoją.

Podszedł tam, zdjął tę fotografię z haczyka i przeniósł na biurko. Teraz miał niewymownie smutny wyraz twarzy.

Whisky była znakomita.

Mój ostatni smak, pomyślał.

Wziął mauzera i przycisnął zimny wylot luty do skroni.

– *Mea culpa* – powiedział, patrząc na roześmianą, promienną twarz Krisztiny.

– Nie zostawił żadnego listu.

– Nie było nic już do napisania.

– Nie wierzę.

– Musisz uwierzyć, *cherie*.

– On chciał z nami porozmawiać, *bellemere*.

– Wiem. – Genevieve westchnęła. – Obie wiemy.

Zamilkły. Były ubrane na czarno. Na stoliku przed nimi w buduarze Genevieve leżały przy srebrnej tacy z podwieczorkiem cztery grube albumy – jeden zakrwawiony – i fotografia w ramce: Laurent z hitlerowcami, starannie wytarta.

– Powinnaś ją spalić – powiedziała Genevieve.

Krisztina potrząsnęła głową.

– On był z niej dumny. Cieszyła go przez jakiś czas.

Genevieve otworzyła jeden z albumów wypełniony fotografiami z dzieciństwa i wczesnej młodości Laurenta.

– Kronika życia.

Krisztina przeglądała drugi album i zobaczyła fotografię Laurenta tańczącego z Alice Gebhard.

– Powinien był zostać z Alice.

– Dla twojego dobra, może. Nie dla swojego.

Krisztina dotknęła palcem fotografii w ramce.

– Cały ten człowiek – powiedziała cicho.

Genevieve przymknęła na chwilę oczy.

– Czy on był cały? – zapytała.

Zaległa cisza.

– Czuję... – Krisztina urwała, ścisnęło ją w gardle, wezbrały łzy.

Genevieve kiwnęła głową.

– Wiem.

CZEŚĆ TRZECIA

Krisztina:

Alzacja
lata 1945-1958

Prawie bankructwo.

– Zbiory właściwie żadne.

– Dziewiąty miesiąc ciąży.

Genevieve się uśmiechnęła.

– Żyjemy!

Krisztina mozolnie poprawiła się w fotelu.

– Co my zrobimy, *bellemere*?

– Zrobimy?

– Żeby przetrwać.

– Wezwiemy Sutterlina, Marthe i wszystkich innych, otworzymy w pokoju letnim drzwi na taras i będziemy pić szampana jak miliony ludzi dzisiaj w całej Europie.

– Myślę, że oni wolą dziś wieczorem oblewać w Riquewihhr.

– Chcesz pojechać także, *cherie*?

Krisztina potrząsnęła głową.

– Więc wypijemy szampana same.

– Ale kiedy piwnica się wyczerpie i pola nadal będą gołe, i jeszcze jeden grad rozsieka winnice, i ludzie nie przyjdą do zbiorów, bo nie mamy czym płacić, co wtedy zrobimy?

– Takie czarne myśli – powiedziała Genevieve. – Nie pamiętasz, jak długo modliłyśmy się o zwycięstwo?

Krisztina miała oczy posepne.

– Oczywiście, pamiętam.

– *Alors*.

– Tylko że jakoś nie mogę się ze zwycięstwa cieszyć. Wciąż myślę o śmierci i o utracie, i o klęskach.

– O Laurencie.

Przytaknęła.

– I o mamie.

– Ciężko ci bez wiadomości.

– Tak się boję. Rosjanie są w Budapeszcie... nie ma poczty, nie ma telefonu. – Opuściła rękę i bezwiednie, pieszczotliwie podrapała Perseusza w ucho. Od śmierci Mojżesza ten wilczarz zajmował jego miejsce przy niej.

– Powinnyśmy ich stamtąd wydostać, *bellemere*. Węgry wykończone.

– Naród z odwagą w sercu nie da się łatwo wykończyć. Przykład na to widzisz tu wszędzie wokoło. – I po chwili Genevieve zapytała: – O Davidzie też myślisz, prawda?

Nie było odpowiedzi.

– Może wkrótce będzie można go odnaleźć.

– Może.

Pochyliła się ku synowej.

– Ale teraz, *ma petite*, musisz mieć na względzie dziecko.

Krisztina roześmiała się niewesoło.

– Nie mam na względzie niczego innego. Lada dzień wydam na świat spadkobiercę Laurenta, a

o ile wiem, wkrótce chyba nic nie zostanie z de Trouvere dla niego.

– Albo dla niej.

– To chłopiec, jestem pewna. – Krisztina westchnęła. – Biedaczek.

– Dlaczego biedaczek?

– Bez ojca.

– Ale z cudowną matką.

Uśmiechnęła się.

– I babcią. – Znów sposepniała. – Ale wejdzie w życie, kiedy wszystko będzie się rozpadało.

Genevieve zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Już przestało się rozpadać, Krisztino... wojna się skończyła. Teraz zaczyna się odbudowa.

– Ale jak? Sama powiedziałaś, *bellemere*, że winnice trudno przywrócić do normalnego stanu.

Chyba że będziemy wy – sprzedawać ziemię.

– Nikt by teraz nie kupił.

– Więc co zrobimy?

– Przede wszystkim odkorkujemy butelkę Kruga – Genevieve wstała i podała rękę Krisztynie.

– A potem? – Krisztina ciężko dźwignęła się z fotela.

– Potem się zastanowimy.

– I co z tego, *bellemere*? My, dwie kobiety... zdane na siebie.

– O czymś zapominasz, Krisztino.

– O czym?

Genevieve odpowiedziała stanowczo:

– Silne kobiety.

Dziecko się urodziło, syn, jak przepowiedziała Krisztina, i zostało ochrzczone w kaplicy.

Olivier Armand Laurent de Trouvere.

Zaniósł go, mrugającego wściekle ciemnymi oczami w blasku słońca, na grób jego ojca.

– Twój tatuś – powiedziała mu Krisztina – pragnął ciebie i byłby z ciebie niesłychanie dumny.

Synek wyrwał się z rodzinnego szala chrzestnego de Trouvere. Małeńkie piąstki młóciły łagodne wiosenne powietrze, z okrągło wydętych czerwonych usteczek dobywał się pisk protestu.

– On dużo płacze – powiedziała Krisztina niespokojnie.

– To zdrowo. – Genevieve zamglonymi oczami wpatrywała się w swoje wspomnienia. – Laurent był takim cichym dzieckiem. – Wzruszyła ramionami. – Może lepiej, jak uczucia kipią i wybuchają.

– Myślisz, *bellemere*, że nic mu nie dolega? – Krisztina kołysała go delikatnie.

– Twardy jak mały Trojanin. – Genevieve pogłaskała go po głowce pokrytej ciemnym puszkciem. Pisk się wzmógł i szybko stał się gniewnym wrzaskiem. Uśmiechnęła się czule.

– *Petit sauvage*.

Wreszcie przyszedł list od Ilony, napisany w kwietniu, przysłany przez ambasadę sowiecką w Paryżu. To było zaledwie kilka linijek nienaturalnych sformułowań ze względu na cenzurę. – Wszystko jest dobrze – usiłowała uspokoić córkę Ilona. Firma Kaufmann już nie należy do nich, ale Gabor ma posadę w tym sklepie. Ich *lakas*, luksusowe nowoczesne mieszkanie, do którego, jak Gabor sobie wymarzył, przeprowadzili się wkrótce po ślubie Krisztiny, cudownie ocalałe pomimo bombardowań, władze zarekwirowały, żeby udzielić schronienia rodzinom bez dachu nad głową.

Ale to dobrze, że możemy w ten sposób pomóc – pisała Ilona – *i nasz pokój zupełnie nam wystarczy.*

Krisztina płakała nad tym listem, pełna ulgi i współczucia, dzięki Bogu za to, że matka jest zdrowa i cała, ale też wiedząc, jak Ilona kochała dom na ulicy Kalwaria i zdając sobie sprawę, jakie to straszne przebywać wciąż w jednym pokoju z Gaborem, dla którego taka zmiana warunków życia na pewno jest bolesnym ciosem.

– Jeżeli oni nie mogą stamtąd wyjechać, może ja mogę tutaj postarać się o pozwolenie dla nich? – zapytała teściową.

– To ci się nie uda, *cherie* – odpowiedziała Genevieve łagodnie. – Jeszcze przez jakiś czas musisz być cierpliwa. Sytuacja się poprawi, ustali i wtedy może będziesz mogła pojechać tam z Olivierem w odwiedziny.

Oczy Krisztiny posmutniały jeszcze bardziej.

– Może.

Plan uratowania de Trouvere urodził się miesiąc po narodzinach Oliviera.

Po prostu ukazał się spokojnie, naturalnie jak wielki owoc, dojrzały, gotowy do zerwania we właściwej chwili, a przecież poprzedziły to ciągnące się godzinami beznadziejne debaty, gdy jedynym logicznym sposobem uniknięcia ruiny majątkowej wciąż jeszcze wydawała się sprzedaż. Ale nawet gdyby znalazł się reflektant w tym strasznym okresie załamania gospodarki, one obie – Genevieve i Krisztina – wiedziały, że wołałyby umrzeć, niż pozbawić dwudziestego siódmego barona jego rodowej siedziby.

Wspomagając się drobiazgowo prowadzonymi księgami rachunkowymi Laurenta, z trudem wynotowały każdy akr: ile może przynieść zysku w przyszłym roku, zważywszy na niedostatek sił roboczych.

– Obawiam się, że ziemia tym razem nam nie pomoże. – Genevieve ze znużeniem odłożyła ołówki.

– Czyli pozostaje tylko zamek.

– I wiele naszych skarbów.

– *Bellemere*, przecież byś nie sprzedała tych kolekcji.

– Gdyby to miało uratować de Trouvere, owszem, sprzedałabym.

– Ale to byłoby jak wydobycie złota z całej żyły, tylko po to, by zachować pustą kopalnię... charakter tego zamku to właśnie bogactwo obrazów i posągów, i srebra, i gobelinów...

– I porcelany, i złota, i rzeźb, i mebli – dokończyła Genevieve. – Ja wiem, *cherie*, możesz mi wierzyć. Zresztą i tak to by nie wystarczyło na dłuższą metę.

Siedziały w bibliotece przy stole do czytania. Przed nimi księgi rachunkowe piętrzyły się wysoko, i stygła im kawa w filiżankach z cienkiej porcelany drezdeńskiej. Krisztina wstała, podeszła do półek z książkami, przesunęła palcem po skórzanych oprawkach.

– Pokochałam de Trouvere już pierwszego dnia – powiedziała cicho. – Pamiętasz, *bellemere*, wzięłaś mnie na spacer po ogrodzie i nad jezioro i pokazałaś mi kaplicę.

– Miałam wtedy możliwość oglądania tego wszystkiego twoimi świeżymi oczami.

– Wszystko było pod śniegiem, jednak sprawiłaś, że wiedziałam, jak będzie wyglądało na wiosnę i latem.

Genevieve się uśmiechnęła.

– Ale sam zamek... szkoda, żeś nie widziała go w lepszych czasach, w szczęśliwych czasach.

– Przed wojną?

Przytaknęła.

– Kiedy Armand, jeszcze zdrowy, silny, był tutaj, nieraz zapraszaliśmy gości na cały weekend. Przyjaciele zjeżdżali się z zewsząd... z Paryża i Lyonu, i z Frankfurtu, i z Zurychu, i nawet z Londynu. De Trouvere jak magnes przyciągało ich z całej Europy... niektórzy zatrzymywali się po drodze do Baden – Baden, ale większość przyjeżdżała specjalnie.

– Bo to jest cudowny dom.

Genevieve potrząsnęła głową.

– Nie tylko dlatego. Zamek przyciągał jakimś szczególnym czarem.

Krisztina znów usiadła.

– Więc – powiedziała zrezygnowana – to są nasze aktywa. Piękny zamek, który rzuca urok na ludzi.

Zapanowała cisza.

– Właśnie!

Krisztina spojrzała na Genevieve.

– Co właśnie?

– Nasze aktywa, tak jak powiedziałaś. – Genevieve się rozplomieniła.

– Więc?

– Hotel – powiedziała Genevieve.

– Nie rozumiem.

– Mogłybyśmy przeobrazić Chateau de Trouvere w hotel.

Krisztina wybałuszyła oczy.

Genevieve znów się uśmiechnęła.

– Nie w byle jaki zwyczajny hotel, Krisztino. Wspaniały. *Un grand hotel de luxe*. Jedyne w swoim rodzaju.

Krisztina nadal się w nią wpatrywała. Zrobiło się tak cicho, powietrze tak dziwnie się rozrzedziło, że poczuła wszystkie swoje tętna odmierzające czas jak bezszelestne metronomy.

– Jak? – zapytała nieomal szeptem.

– Pracą – odpowiedziała Genevieve. – Wyobraźnię. Inspiracją. Walką i mazołem. – Rozpromieniła się. – Pracą – powtórzyła.

Krisztina przełknęła ślinę.

– I pieniędzmi?

– Banki wkrótce staną na nogi.

– Nigdy nie daliby nam aż takiego kredytu, *bellemere*.

– Myślę, że daliby. Mój mąż miał wiele wpływowych znajomości. Między innymi znał byłego prezesa Credit Lyonnais w Strasburgu.

– Ta znajomość – zapytała Krisztina – by pomogła?

Genevieve wzruszyła ramionami.

– Będzie miał powód, żeby sobie przypomnieć, co zawdzięcza Armandowi. W każdym razie tam trzeba zacząć.

Krisztina odchyliła się w fotelu i na chwilę zamknęła oczy, oszołomiona natłokiem pomysłów i

wizji.

– *Cherie?* – zapytała Genevieve zaniepokojona. – Żle się czujesz?

Krisztina parsknęła śmiechem.

– *Bellemere*, kompletnie mnie powaliłaś, a siedzisz tak, jakbyś zaproponowała wyjazd do Paryża na jeden dzień!

Usłyszały pukanie.

– *Entrez* – powiedziała Genevieve.

Weszła niania Oliviera z przeproszającą miną.

– Jakiś kłopot, *Jeanne?* – zapytała Krisztina.

– *Le p'tit* jest strasznie grymaśny, *madame*. Dałam mu wody i przewinięłam go, ale się nie uspokoił.

– Chce do *maman* – powiedziała Genevieve.

Krisztina wstała.

– Już tam idę. – Spojrzała na teściową. – Porozmawiamy później.

– Oczywiście. – I po chwili Genevieve zapytała: – W zasadzie, *cherie*, a probujesz?

Krisztina pochyliła się, serdecznie pocałowała ją w policzek.

– W zasadzie uważam, że to pomysł dość natchniony, odważny... i dość zbzikowany, żeby być świetnym rozwiązaniem. – Wyprostowała się. – Ale jedno jest pewne.

– Co?

– To nie będzie łatwe.

Później, gdy Olivier w pokoju dzieciennym smacznie spał, chodziły po całym zamku, szacując wszystko z nowego, krytycznego punktu widzenia. Podziwiałały piękno, wykrywały felery, liczyły, ile jest sypialń, łazienek, pomieszczeń służących za skład, tropiły wodociągi i rury centralnego ogrzewania od piwnicy po strych. Przechodząc z pokoju do pokoju, usiłowały sobie wyobrazić nową jego funkcjonalność i na każdym kroku napotykały problemy – że *salon chinois*, na przykład, byłby jedyną w swoim rodzaju sypialnią, cóż, kiedy bez łazienki, bo nie ma doprowadzenia wody, i w każdym razie wszystkie sypialnie muszą być na górnych piętrach, inaczej goście nie będą mieli spokoju. I jaka szkoda, że pokój letni i *sallefleurie* łączą się ze sobą – pokój letni byłby doskonałym salonikiem do ogólnego użytku, a *sallefleurie* raz-dwa by się przerobiło na romantyczną sypialnię.

– Koszmar! – rozpaczła skołowana Genevieve. – *Un grand hotel de luxe* przecież należy zbudować specjalnie od fundamentów. Teraz to widzę. Miałam wariacki pomysł. – Stuknęła się energicznie w czoło. – Jestem wariatką.

– Więc może ja powinnam znaleźć się natychmiast w szpitalu wariatów, skoro myślę, że z tej mąki może być chleb.

– Jakim cudem? Jeżeli wykluczmy skrzydła zachodnie, będzie za mało sypialni, a jeżeli nie wykluczmy, gdzie będziemy mieszkały?

Krisztina machnęła notatkami, które robiła w czasie tych oględzin.

– Pomijając to, co zostawiłybyśmy dla siebie, byłyby... – popatrzyła na swoje liczby – trzy apartamenty i trzy sypialnie plus jedna łazienka dodatkowa, wszystko na drugim piętrze.

– Te sypialnie nie są dość duże.

– A na pierwszym – ciągnęła Krisztina – jeszcze trzy sypialnie i dwie łazienki, i ponadto trzy pokoje nadające się do przerobienia.

– Które pokoje? – zapytała Genevieve.

– Zielona jadalnia, pokój muzyczny i *salle fleurie*, chociaż wtedy pokój letni nie mógłby być salonem. – Krisztina coś na – bazgrała w notatniku. – Czyli miałybyśmy dwanaście sypialni.

– Chyba nie dosyć, żeby to przynosiło zysk.

– Może nie dosyć, ale będziemy wiedziały dopiero po sporządzeniu dokładnego planu. – Szybko poszła dalej. – Na parterze jest o wiele za dużo małych pokoi, więc kilka ścian trzeba zburzyć.

– Arretel Krisztina zatrzymała się, zaskoczona.

– Pozwolisz, że ci przypomnę: to mój dom tak rozbierasz na kawałki – powiedziała Genevieve lodowato.

– Nasz dom – ze zdumieniem poprawiła ją Krisztina.

– Tym bardziej nie powinno nas tak ponosić. – Genevieve trochę złagodniała. – Przecież mamy zamek uratować, a nie zdemolować jak jakiś gruboskórny przedsiębiorca budowlany.

Krisztina poczuła się dotknięta.

– Ja właśnie usiłuję ratować.

– Czyżby? Dlatego już planujesz zlikwidowanie pokoju, w którym mój mąż grał dla mnie Chopina?

Teraz Krisztina zarumieniła się, zawstydzona.

– Przepraszam, nie wiedziałam.

Genevieve wzruszyła ramionami.

– Nie mogłaś wiedzieć, oczywiście. Ale mówisz o burzeniu ścian...

Obie umilkły i zamyśliły się. Z głębi którejś szacownej ściany jęknęła rura i jak gdyby w odpowiedzi zaskrzypiała klepka posadzki.

Krisztina niespokojnie spojrzała na Genevieve.

Wolisz porzucić ten pomysł, *bellemere*?

– Jeszcze nie jestem pewna.

– Może odłożmy to do jutra? – zaproponowała łagodnie.

Genevieve skinęła głową.

– Potrzebujemy czasu, żeby się zastanowić – powiedziała – nad każdym aspektem... co by to oznaczało dla zamku, dla nas, dla Oliviera i wszystkich innych, którzy są zdani na de Trouvere.

Przy kolacji nazajutrz prawie nic nie mówiły. Ciche szcęknięcia srebrnych sztućców na porcelanie, sporadyczne skrzypnięcia krzesła sprawiały, że nastrój wydawał się niezwykle napięty i ceremonialny.

Sutterlin podał im kawę w *salon rouge*.

– Napijmy się koniaku – powiedziała Genevieve, gdy wyszedł.

– Dobra myśl.

Siedziały obie na *dormeuse* w pewnej odległości od siebie.

– Ja z mojej strony – oznajmiła Genevieve – zdecydowałam.

Krisztina milczała.

– Jestem już za stara na nowe pomysły.

– *Bellemere*, wcale nie jesteś stara.

– Mam pięćdziesiąt jeden lat – powiedziała Genevieve spokojnie – i chociaż pochlebiam sobie,

że dawniej może na swój wiek nie wyglądałam, ostatnie lata mocno się na mnie odbiły.

– Wiek jest nieistotny – zapewniła ją Krisztina trochę rozjątrzona. – Zresztą nigdy nie spotkałam tak ponadczasowej kobiety, jak ty, *bellemere*. – Umilkła na chwilę. – Lękasz się. W tym sęk. Lękasz się zmiany samego de Trouvere i sposobu życia. Lękasz się sprzeniewierzenia dziedzictwu męża. Tego, że zamiast wzmocnić, spustoszyłybyśmy dom jego przodków. – Znów umilkła, a potem powtórzyła po prostu: – Lękasz się.

Genevieve patrzyła na nią.

– Masz rację, niestety.

– I to jest naturalne. – Krisztina wstała. – Ja też się lękam... tylko że to nie jest dostatecznie konkretny powód, żebyśmy odrzuciły twój najwspanialszy, najodważniejszy pomysł.

– Naprawdę? Proszę, nie gap się tak na mnie, *cherie*. – Genevieve się uśmiechnęła. – Postawiłaś sprawę zupełnie jasno: powinniśmy działać. Ja się zgadzam.

Krisztina usiadła z powrotem.

– Ale co z tymi zmianami? Niektóre ściany trzeba zburzyć... Obcy ludzie będą siedzieli w naszych pokojach, będą chodzili po naszych ogrodach. Nie za duża przykrość?

Genevieve rozmyślała przez chwilę.

– Słyszałaś o Tagore?

– To ten indyjski poeta?

– Coś mądrego napisał o zmianie. *Gdy na języku brzmienie starych słów umiera, z serca wyrывa się nowa melodia...* – Ujęła Krisztinę za rękę. – Gdy pokój muzyczny zmieni się w sypialnię, postaram się pamiętać Rabindranatha Tagore.

Krisztina poczuła kulę w gardle.

– Pokój muzyczny pozostanie nietknięty, *bellemere*, daję ci słowo.

– Nie obiecuj pochopnie – powściągnęła ją Genevieve. – Jeżeli to będzie konieczne, proszę bardzo.

Potem znów milczały i Krisztina zaczęła pojmować ogrom podjętej decyzji. Ogarnęło ją wielkie wzruszenie – nie to odurzenie szalone i nagłące jak poprzedniego dnia, tylko głębokie, przemożne rozradowanie.

– Nasz projekt – podjęła wreszcie Genevieve – jest właśnie tym, czego potrzebujemy. Przed śmiercią Armanda, przed wojną, miesiąc nie mijał, żebym nie jeździła do Paryża... do przyjaciół, po zakupy, do mojego *coiffeur*, nawet do dentysty. Towarzyszyłam Armandowi, kiedy załatwiał interesy, podróżowałam z nim... Żyłam.

– Ale zamek de Trouvere zawsze stawiałaś na pierwszym miejscu.

– Tak, naturalnie, bo przede wszystkim to był dom rodzinny, miejsce swobodnego wypoczynku i przynależności. Hitlerowcy pomogli zmienić go niejako w sanktuarium... bezpieczną, prawie normalną ostoję wśród oblędu, w rezultacie staliśmy się zamkniętą społecznością.

– I Bogu dzięki za to.

– Doprawdy – przyznała Genevieve. – Ale jeszcze coś ważnego przemawia za zmianą. – Uśmiechnęła się. – Ważnego, jeśli chodzi nie tyle o mnie, ile o ciebie, Krisztino. Czas, żebyś ty się nauczyła znowu żyć w pełni.

– Masz rację – powiedziała Krisztina cicho.

– A więc – Genevieve się poruszyła – powinniśmy to oblać. Ale *vin rouge*, nie koniakiem.

– Ani nie szampanem?

– Szampan jest do świętowania – wyjaśniła. – Sprawy o większym znaczeniu wymagają bardziej odżywczego trunku, żeby się połączył z krwią.

Krisztina się uśmiechnęła.

– Chodźmy na górę. Myślę, że Olivier powinien w tym uczestniczyć.

– No pewnie – powiedziała Genevieve. – Ostatecznie ta decyzja dotyczy jego przyszłości.

W pokoju dzieciennym, gdzie powietrze zasnuwały niemowlęce czary, Krisztina pochyliła się nad łóżeczkiem i przyjrzała się swojemu synkowi, jego małej twarzyczce tak ciekawskiej i ruchliwej, gdy nie spał, a teraz pogodnej,omalże anielskiej w aureoli jedwabistych włosów, prawie czarnych przy jego białej cerze.

– Och, *bellemere*, on pachnie piękniej niż wszystko na świecie – wyszeptała, wdychając unikalny aromat niemowlęcego ciała i talku. Sercem jej wprost szarpała tkliwość.

– Niech pośpi jeszcze godzinę – szepnęła Genevieve czule. – To mu doda pikanterii.

Krisztina zachichotała.

Genevieve nalała Chateau Margaux do dwóch kieliszków na stole z pieluszkami.

– A zatem – teraz w jej głosie była powaga – wnieśmy toast. Niech żyje *Grand Hotel du Chateau de Trouvere*. – Krisztina podniosła kieliszek.

– Niech daje pewność jutra, schronienie i szczęście dwudziestemu siódmemu baronowi! – Wypiły do dna. – I zdrowie twojego bankiera – dodała. – Oby miał horyzonty szerokie I serce szlachetne...

– I kieszenie głębokie – dokończyła Genevieve.

Parsknęły śmiechem. W łóżeczku Olivier poruszył się i zakwilił. Natychmiast matka obróciła go pieczołowicie na brzuszek, delikatnie zaczęła masować jego ciepłe plecki. Po chwili znowu spał spokojnie.

– Myślisz, *bellemere*, że możesz przekonać tego bankiera? To ogromna inwestycja.

– Przez trzydzieści lat bez mała, odkąd nazywam się de Trouvere, wciąż słyszałam, że chceć to móc. – Oczy Genevieve błyszcząły pełne zapału. – Zapewniam cię, *ma chere* Krisztina, że *monsieur* JeanJoseph Dienheim, jeszcze zanim skończę go przekonywać, przejdzie na naszą wiarę.

Wymagało to wysiłku i czasu, wdzięku i chytrych pogrózek, ale w końcu, tak jak Genevieve przepowiedziała, JeanJoseph Dienheim przeszedł na ich wiarę i kapitał pod warunkiem, że wszystkie decyzje w związku z planem podlegają akceptacji banku, był do ich dyspozycji.

Następnie musiały znaleźć odpowiedniego architekta, który by ocenił możliwości zamku i zalecił konieczne przeróbki. Odprawiły trzech, bo żaden chyba nie rozumiał ani ich zamierzeń, ani ich przywiązania do tego domu – aż wreszcie znalazł się Alberto Giordano, będący w istocie tylko projektantem wnętrz.

– Ale czy my nie potrzebujemy architekta budowlanego? – zapytała go Krisztina, gdy sam się do nich zgłosił, niski, łysawy, przystojny Włoch z iskierkami w ciepłych, ciemnych oczach. Swoją wrodzoną wylewnością i szczerym entuzjazmem podbił obie baronowe.

– Pewnie, że w sprawach budowlanych trzeba będzie zasięgać porad – odpowiedział Krisztynie – i ja powinienem przez cały czas radzić się zespołu fachowców. Ale myślę, że celem pań jest spożytkować Chateau de Trouvere taki, jaki jest... zachować jego charakter, tylko umożliwić przebywanie tutaj hotelowym gościom.

Krisztina spojrzała na Genevieve.

– Architektowi trudno podjąć się takiego zadania – ciągnął Giordano. – Architekt projektuje budowlę, tworzy... ten dom potrzebuje nie twórcy, tylko kogoś z wyobraźnią.

– Skąd pan się wziął w Alzacji? – zapytała Genevieve z zaciekawioną.

Giordano uśmiechnął się, pokazując wszystkie zęby.

– Mam w sobie cygańską krew, *baronessa*. Podróżuję po Europie, wchłaniam różne kultury, pracuję, kiedy nadarza się akurat właściwa sytuacja.

Krisztina znów popatrzyła na jego teczkę, zawierającą dziesiątki fotografii, listów i wycinków prasowych z omówieniem jego prac, zarówno krytycznym, jak pochwalnym.

– Sporo pan osiągnął. – Nie ukrywała, że jej to imponuje.

– Jestem szczęśliwym człowiekiem, *signora*.

– Czy nie byłby pan jednak sławniejszy i bogatszy, gdyby pozostał pan w jednym miejscu... w jednym dużym mieście? – zapytała Genevieve.

Giordano wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie byłbym, ale myślę, że nie miałbym tych umiejętności widzenia i przystosowania, jakie mam dzięki podróżom.

– Czy mieszka pan gdzieś na stałe? – badała Krisztina.

– Jeszcze nie – odpowiedział niefrasobliwie. – Nie jestem gotów. Koczuję tam, gdzie pracuję... czasami na noc zostaję przy pracy. W ten sposób wczuwam się w osobowość danego domu czy pokoju, poznaję nie tylko konstrukcję i powierzchnię. – Umilkł na chwilę. – No, dosyć się nagadałem. Pożegnaj się już, *baronessa*, i będę czekał na decyzję.

Genevieve i Krisztina porozumiały się wzrokiem i przytaknęły sobie, zadowolone.

– Nie ma potrzeby czekać – powiedziała Genevieve.

Ciemne oczy Włocha ściemniały jeszcze bardziej. Wyraźnie się ucieszył.

Krisztina potwierdziła z uśmiechem.

– Oddajemy się w pana ręce, *signor* Giordano.

Nadszedł czas, żeby zawiadomić służbę.

Z Sutterlinem już o tym rozmawiały, bo po pierwsze, żadnych spraw ważnych nie dałoby się przed nim ukryć, a po drugie, chciały mu coś zaproponować.

Wiedząc o ich finansowych tarapatkach, Sutterlin poczuł wielką ulgę, gdy usłyszał, że nie sprzedadzą zamku, ale z początku wyraźnie był ich projektem zgorszony. Powiedział, że 15. Zamek Ella musi się nad tym zastanowić. Zastanawiał się przez całą dobę, po czym doszedł do wniosku, że to pomysł, z którym można się pogodzić.

Andre Sutterlin był oczywistym kandydatem na *concierge*. Nikt inny nie miałby takich kwalifikacji jak on, żeby dzielić się swoją znajomością de Trouvere i okolic z hotelowymi gośćmi. Gdy Genevieve i Krisztina zaproponowały mu to stanowisko, przyjął je, godny i zadowolony.

Co do Marthe Schneegans, wprost się zamartwiały. Marthe pracowała w tym domowym gospodarstwie od bardzo dawna, chuda, ale nadal silna jak koń, i z pewnością nie wypadało zaproponować jej wcześniejszej emerytury.

– Ona będzie chciała gotować – powiedziała Krisztina po raz Bóg wie który – a przecież to wykluczone.

– *Absolument* – zgodziła się Genevieve, skręcając na palcu pasmo włosów w ciasny lok, puszczając je i znów skręcając. – Marthe to świetna domowa kucharka, ale nie kuchmistrzyni. Przede wszystkim *cuisine* w naszym hotelu musi być bez zarzutu.

– Ale co zrobimy?

– Nie możemy od niej żądać, żeby podlegała w kuchni komuś obcemu... Czułaby się poniżona.

– I nie możemy jej odprawić... de Trouvere jest jej całym życiem teraz, kiedy nie ma Jacques'a!

– *Zut, zut, zut!* – wykrzyknęła Genevieve z wypiekami bezsilnej i rzadkiej u niej irytacji. – To nie do rozwiązania!

– Co mówi Andre?

– Że powinniśmy z nią porozmawiać... szczerze.

– Może on ma rację, *bellemere*.

Wkrótce się okazało, że Marthe wie o ich planach już od pewnego czasu, chociaż nikt, pośpieszyła zapewnić, rzeczywiście jej nie mówił; po prostu zwracała uwagę na niezwykłą krzątanie w domu, więc się domyśliła. A że przewidziała, w jakim kłopotliwym położeniu znajdują się jej chlebodawczy – nie, sama już zaplanowała swoją przyszłość.

– Bałam się, że może panie mnie poproszą, żebym została jako kucharka, ale wiem oczywiście, że nie jestem *chef de cuisine*.

Genevieve i Krisztina były zmieszane.

– Nie chcesz zostać?

– *Naturellement*, chcę, ale nie jako kucharka. Mam po dziurki w nosie gotowania. Przez dwadzieścia lat z górą nie ro- biłam nic innego rano, w południe i wieczorem, a od tego się zaczyna, że ja nigdy nie chciałam być kucharką, i gdyby mi dać wybór, to bym fikała z radości, że już do końca życia nie muszę wejść do żadnej kuchni.

Obie baronowe mieszały się jeszcze bardziej.

– Więc czego ty chcesz, Marthe? – zdołała zapytać słabo Genevieve. – Zdaje mi się, że masz gotowy plan.

– Tak, *madame*. – Symbolicznie Marthe z rozmachem zdjęła fartuch i powiesiła na oparciu kuchennego krzesła. Małymi ptasimi oczami patrzyła bystro. – Dowiadywałam się... taka

recherche... więc mi wiadomo, że w każdym porządnym hotelu musi być *gouvernante*, żeby kierować pokojówkami i gospodarstwem ogólnie. – Zawiesiła głos. – *C'est moi*.

Nastąpił moment oszołomienia.

– Jeżeli panie uważają, że się nie nadają – powiedziała raczej ozięble – ja zrozumieć. Ale mam pewność, że byłaby ze mnie dobra *gouvernante*.

Genevieve i Krisztina oprzytomniały. Genevieve pierwsza.

– Oczywiście, Marthe. – Zaczęła się uśmiechać. – Wybacz nam, że to nie od razu nam przyszło na myśl. Byłyśmy w rozpacz... mylnie sobie wyobrażałyśmy cię w roli, którą odgrywałaś tak długo.

– Niewybaczalny brak wyobraźni – dodała Krisztina. – Wiedziałyśmy, że nie można od ciebie wymagać, żebyś gotowała dla całego hotelu...

– Chybabym sobie poradziła, gdyby było trzeba – przerwała Marthe ostro.

– Och, bez cienia wątpliwości – zgodziła się szybko Krisztina – ale *gouvernante* będzie z ciebie wspaniała... to cudowny pomysł.

Na pytanie, czy możliwe, żeby Marthe Schneegans kiedykolwiek promieniała, Genevieve i Krisztina odpowiedziałyby, że to rzeczywiście nie do pomyślenia – ona uśmiechała się tak rzadko, nawet w dobrych czasach przed aresztowaniem jej męża. A jednak teraz wydawało się, przynajmniej przez chwilę, że cała jej osobowość uległa przeobrażeniu. Ptasię oczy błyszczały, ziemiste policzki się zaróżowiły, stała wyprostowana, naprawdę rozpromieniona. Marthekucharka zniknęła: jej miejsce zajęła *madame Schneegans, la gouvernante*.

Alberto Giordano zadomowił się w zamku. Wciąż i wszędzie natrafiało się albo na któregoś z jego „fachowców”, albo na jego ogromne bloki rysunkowe, pełne szkiców i notatek, albo na niego samego w milczącej zadumie, jeśli nie w rozplamieniu świeżego natchnienia.

Był cyganem, prawie co noc od czterech miesięcy obozował, sypiając na materacu, kolejno w każdym pokoju i na każdym korytarzu. Pracował jak derwisz nad jednym planem po drugim, sprowadzał architektów, elektrotechników, hydraulików, budowniczych i dekoratorów, gawędził z nimi przyjaźnie, wrzeszczał na nich, zgadzał się z nimi, nie zgadzał, chwalił ich i ganił, po czym zwykle odchodził, samotnie rozmyślał i rysował.

Chudł, potem tył, potem znowu chudł i znowu tył w rezultacie dziwacznych napadów jedzenia i picia. Przez całe dni udaremniał wysiłki Marthe, starającej się z nagle zbudzonym ukrytym instynktem macierzyńskim dobrze go odżywiać, i nie brał do ust ani odrobinki alkoholu, a potem nagle, jak gdyby przyjmował do wiadomości, że paliwo się kończy, łomotał w kuchenne drzwi i pożerał kopiaсте talerze *spaghetti*, popijając czasem dwiema albo trzema butelkami *chianti rosso*, które Krisztina specjalnie dla niego zamawiała w Strasburgu.

Były niezliczone problemy, ale Alberto stanowczo zamierzał rozwiązać je wszystkie. Nic nie przerastało jego możliwości.

– W naszym hotelu – zapewniał – będą niekończące się dopływy wody, instalacje elektryczne tak zdrowe, że nawet przy największej iluminacji żaden bezpiecznik się nie przepali!

Podwoił liczbę dwunastu sypialni, wyliczoną z początku przez Krisztinę. Znalazł sposób, żeby rodzina de Trouvere mieszkała wygodnie i zachowała takie ważne pokoje jak *salon rouge* i pokój muzyczny. Podzielał niechęć Genevieve i Krisztiny do zainstalowania wind w zamku *par excellence* barokowym, ale uznał, że to jest konieczne, i rozwiązał ten problem. Zaprojektował dwie

windy: jedną dla ludzi, drugą na dostawy, obie zamaskowane oryginalną, dębową boazerią, którą precyzyjnie w tych miejscach wycięto i położono z powrotem już na drzwi windy.

Wciąż powtarzał, że nie ma problemu, którego nie da się rozwiązać. A tam, gdzie rozwiązanie łatwo się nie nasuwa, zawsze może być jego ulubione słowo: *Compromesso*. Kompromis.

Po przebyciu etapów planowania operacja wkroczyła w następną fazę. Chateau de Trouvere, odarty z wszelkich pozorów normalności, stał się jednym wielkim kotłem hałasów, kurzu, brudu i zamętu, gdy sprowadził się przedsiębiorca budowlany ze swoją kohortą i zaczęło się bezlitosne szarpanie tego ukochanego domu.

– *Calma, calma, amiche mie* – Giordano usiłował uspokajać rozstrojone baronowe. – Wszystko będzie dobrze... wszystko znów będzie spokojne i piękne.

– Ale te ściany. Dębowe boazerie... ten marmur – jęczała Genevieve. – Pan przyrzekł, że będą nietknięte.

– I będą, *cara signora*, daję pani słowo.

– Niemożliwe, żeby wyglądały znowu tak samo! – protestowała Krisztina. – To gruz! Doszczętnie zniszczone!

– *Ma no!* Każdą część usuwa się *eon tenerezza...* kiedy prace się skończą, wcale nie będzie widać, że te ściany w ogóle ruszono! – Giordano zniżył głos. – Ci ludzie są jak chirurdzy, *baronessa*. Żeby dać dostęp hydraulikom i *elettricisti*, muszą przedtem zrobić nacięcia. – Uśmiechnął się. – Ciało pod nożem na pewno też wygląda nieładnie, ale kiedy chirurg jest pierwszej klasy, blizny znikają całkowicie.

Genevieve stała wyprostowana i w oczach miała zabójczy błysk.

– Bardzo dobrze – powiedziała oschle. – Weźmiemy pana za słowo. – Odczekała sekundę. – Ale ostrzegam, Alberto Giordano, jeżeli pan się myli, na pewno nie będzie pan miał już ani jednej nocy spokojnej.

Giordano uklonił się w pas.

– *Baronessa*, klnę się, że nie żywię ani ździebelka wątpliwości co do tego, że kiedy nasze mozoły się skończą, będę sypiał jak niewinne *bambino*.

Dwudziestego dziewiątego kwietnia Sutterlin poprosił Krisztinę do telefonu w gabinecie.

– Krisztina?

Osiem lat już minęło, ale poznała ten głos od razu. Ścisnęło ją w dołku.

– Ojciec?

– *Igen*.

– Skąd dzwonicz?

– Z Wiednia.

– A mama? Gdzie jest mama? – Nogi jej drżały, policzki ją paliły. – Ojczy, powiedz mi!

– Matka też jest tutaj.

– *Hala Istenek!* – podziękowała Bogu. – Chcę porozmawiać z mamą, zaraz!

Gabor jak gdyby się wahał.

– Właściwie w tej chwili nie ma jej tutaj, Krisztino.

– Dlaczego? Gdzie jest? Dlaczego jesteście w Wiedniu? Czy to podróż służbowa? Jak się wydostaliście? Gdzie mama? – wypytywała gorączkowo.

– *Lassan*, Kriszti... powoli! Żebym mógł ci opowiedzieć.

– Czy mama zdrowa?
– Tak. Jest w szpitalu, ale...
– Dlaczego? – Złękła się. – Co jej dolega?
– Miała operację... macicy, ale jest...
– Boże!
– Postaraj się uspokoić, Kriszti, i daj mi powiedzieć. Matka miała operację trzy dni temu...
– Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś?
– Dlatego, że chciałem zaczekać na orzeczenie lekarzy.
– I?
– Są zadowoleni, Bogu dzięki. Ona była bardzo chora tam, w kraju, i trzeba czasu, żeby zupełnie doszła do siebie, ale dojdzie!
– Ale jak znaleźliście się w Wiedniu? Dlaczego mama nie miała tej operacji w kraju?
Przez telefon, z bardzo daleka, głos Gabora był blaszany i szorstki.
– Nie widziałaś takiego Budapesztu, jaki jest teraz. Bomby tyle zburzyły... każdy most, nasz dawny dom... prawie wszystkie te domy. A potem Rosjanie...
– Zburzyli szpitale?
– Przyjęli ją do szpitala w Peszcie i jej lekarz, zacny, świetny młody człowiek, powiedział, że to musi być pierwszorzędna operacja, inaczej ona umrze. Powiedział, że powinna być operowana tutaj, w Wiedniu.
– Więc pozwolili wam wyjechać?
– Nie tak łatwo, możesz mi wierzyć. Ale ten doktor przekonał władze, że zabiją niewinną kobietę, jeżeli nie dadzą pozwolenia na wyjazd. Miał stosunki.
– Boże, dzięki ci za niego.
– Doprawdy, tak. – Nastąpiła przerwa. – Chcemy się z tobą zobaczyć, Krisztino. Możesz przyjechać tu do nas?
– Oczywiście, przyjadę. – Rozmyślała przez chwilę. – Czy mama dostawała moje listy? Czy wiecie o Olivierze?
– Wiemy, Kriszti. Przywieziesz go?
– Chyba za długa dla niego podróż, ojczy. –
– Tak bardzo byś ucieszyła mamę.
Usłyszała w jego głosie upokorzenie i błaganie.
– Jutro wyruszymy – powiedziała.
Dona była chuda, blada i słaba, ale na widok córki nie posiadała się z radości. Gdy wreszcie wyplakały się w swoich objęciach, Krisztina zobaczyła, że piwne oczy matki są tak piękne, jak je pamiętała, a blade policzki trochę się zaróżowiły.
– *Hala Istenek, hala Istenek* – wykrzykiwała Ilona raz po raz, wpatrując się w Krisztinę, jak gdyby usiłowała wyrycić sobie w mózgu obraz nie do usunięcia, cokolwiek jeszcze mogłoby je rozdzielić.
– Zmieniłaś się, *dragam* – stwierdziła zadziwiona. – Jesteś kobietą, złocistą pięknnością... – Uśmiechnęła się. – I matką.
– Ale jak ty się czujesz, mamó? – zapytała Krisztina niespokojnie.
– Ja? O wiele lepiej – odpowiedziała Ilona. – Nie ma potrzeby martwić się o mnie, w każdym

razie nie teraz.

Krisztina pogłaskała matkę po policzku.

– Wyzdrowiejesz, nabierzesz sił i przyjedziesz do de Trouvere, zamieszkaś z nami.

Łzy stanęły Ilonie w oczach.

– Przywiozłaś Oliviera? Gabor mówił, że może przywieziesz.

– On jest tutaj za drzwiami, zabawia go pielęgniarzka. Chciałam się upewnić, czy dość dobrze się czujesz.

– Żeby poznać mojego wnuka? – Ilona roześmiała się z wysiłkiem. – Mogłaś wątpić o tym?

– I chciałam mieć cię choćby przez chwilę dla siebie – dodała Krisztina, lekko ściskając jej rękę.

– Bóg da, że będziemy mieć wkrótce tyle czasu, ile potrzebujemy, *dragam*.

Krisztina wstała z twardego, małego krzesła.

– Przyniosę go.

Widząc Oliviera, Ilona zachłysnęła się ze zdumienia.

– Brunet! Jak mały Cygan.

Ostrożnie, nie potrącając rurki podłączonej do ręki matki, Krisztina położyła synka na brzegu szpitalnego łóżka i czekała na jego protest. Ale protestu nie było. Babcia i dziecko wpatrywali się w siebie w urzeczeniu pełnym powagi, Ilona oniemiała ze szczęścia, Olivier najwidoczniej zbyt zaintrygowany, żeby wrzasnąć.

Ilona wyciągnęła wolną rękę.

– Chodź, *baba*.

Olivier podniósł okrągłe, prawie czarne oczy na matkę, a potem znów wlepił w Ilonę.

– *Vasy, cherie* – zachęciła go Krisztina.

Olivier zachichotał. Teraz miał dołki w pyzatyh policzkach, rozdziawiał śliczne niemowlęce usteczka, pokazując maleńkie białe zęby, podczołgał się do Ilony i chwycił za rękę.

– *Dieu, mamó!* – wykrzyknęła Krisztina. – On garnie się do ciebie.

Ilona się zdziwiła.

– Dlaczego miałby się nie garnąć?

– Jeszcze nie znasz Oliviera, mamó – odpowiedziała Krisztina, rozbawiona. – Bardzo go kochamy, ale niełatwo mu się podobać i nigdy nie widziałam, żeby poczuł sympatię do kogoś tak od razu.

– Bo on wie, prawda, *baba*? On wie, że ja jestem jego babcią, a nie kimś obcym. – Ilona przyjrzała mu się bliżej. Głaskała go po ciemnych włoskach, łaskotała pod podbródkiem i rozśmieszała, ale jej myśli ulatywały z wiedeńskiego szpitala w przeszłość sprzed dwudziestu pięciu lat z górą, do uroczego, wymarzonego niemowlęcia, które kuzyn Jozsef powierzył jej sercu.

Kriszti ma włosy jak len, pomyślała. Laurent był prawie tak samo jasnym blondynem. Popatrzyła znów w oczy Oliviera, ciemne, prawie kruczoczarne. Po przodkach? Zastanowiła się. Gwiazdę Dawida przemyciła z Węgier i miała w torebce, ukrytą przed Gaborem.

– Mamó? – Zamrugła.

– Źle się czujesz, mamó? – Krisztina szybko zabrała Oliviera z łóżka, gdzie ssał róg prześcieradła.

– Czuję się bardzo dobrze, Kriszti, nie przejmuj się, jestem tylko trochę zmęczona... Tyle

podniecenia.

– Damy ci odpocząć. – Krisztina wstała, chłopczyk w jej objęciach zaczął się skręcać.

– Przyjdiesz znowu? – Ilona miała twarz zmiętą i zmarszczki, których jej córka nie widziała przed wojną.

– *Persze* – zapewniła Krisztina. – Oczywiście, przyjdę jutro. Będziemy w Wiedniu tak długo, jak trzeba. – Pochyliła się i pocałowała matkę w czubek głowy.

– Kriszti...

– *Igen*, mammo?

Ilona chwyciła Krisztinę za rękę i trzymała mocno.

– Co, mammo?

– Już nigdy nie możemy dopuścić, żeby nas ktoś znowu rozłączył – powiedziała ze łzami w oczach.

– Już nigdy, mammo.

Przełknęła szloch.

– Nie mogłabym tego znieść.

Krisztina przesunęła Oliviera w objęciach i delikatnie pogłaskała chude palce zaciśnięte na jej ręce jak deska ratunku.

– Ani ja bym nie mogła.

Krisztina i Gabor siedzieli przy stoliku pod oknem w последней restauracji niedaleko Kanału Dunajskiego. Talerze z niedojedzonymi przesmażonymi sznycłami i na pół wychylone kieliszki z niedobrym, za kwaśnym winem Heuriger stały na poplamionym obrusie przed nimi. Płomyk świecy pełgał, ilekroć drzwi wejściowe otwierały się lub zamykały. Świeca na stoliku najwyraźniej miała, w zamierzeniu restauratora, nadawać odrapanemu powojennemu lokalowi nastrój romantyczności, ale tylko oświetlała sterane twarze ojca i córki, gdy uważnie przyglądali się sobie po raz pierwszy od ośmiu długich lat.

– Przepadło – powiedział Gabor – wszystko przepadło.

– Co?

– Wiedeń taki, jaki był. Skończone. *Fertig*.

– Spodziewałeś się, ojcze, że będzie taki jak dawniej?

– Nie wiem, czego się spodziewałem. W Budapeszcie jest strasznie, też doszczętne zniszczenie.

Więc wspominałem Wiedeń. – Wzruszył ramionami. – Ot, płonna nadzieja.

– Mieć nadzieję chyba zawsze warto.

Nastąpiło krótkie milczenie.

– Między tobą i mną także – powiedział Gabor cicho.

– Co także?

– Skończone.

Zignorowała błaganie w jego oczach.

– To, co było kiedyś, owszem.

Zamrugał, jakby powstrzymywał łzy, odchrząknął, po czym mówił dalej, siłąc się, żeby to brzmiało beztrzesko.

– Zalecają matce porządną rekonwalescencję... doradzają Semmering, bo dobre powietrze. Myślę, że moglibyśmy tam wynająć na jakiś czas mieszkanie. Odpoczywałyby lepiej niż w hotelu...

domowymi sprawami mogłaby się zajmować służąca. – Zawahał się. – I to mogłoby wyjść taniej w dodatku.

– Czy z tym będzie kłopot? Z kosztami? – Krisztina wiedziała, że po utracie firmy wyjazd z Budapesztu i rachunki szpitalne za leczenie matki musiały już pochłonąć powojenne zasoby ojca.

Gabor się zaczerwienił.

– Szczerze mówiąc, tak. – Jego łyse ciemię zalśniło w blasku świecy.

– Może ja bym pomogła?

Odwrócił wzrok.

– Chciałabyś mi pomóc, Krisztino?

Nie – pomyślała – tobie nie, ale nie powiedziała tego.

Nawet teraz, po tylu latach, jej stosunek do ojca był pogmatwany. Gabor odegrał dużą rolę w tym, że utraciła Davida, i na domiar złego zniszczył wiele drogocennych wspomnień, w jedną noc raz na zawsze splamionych wstrząsem i wstrętem.

– Krisztina?

A przecież... Popatrzyła na niego, zobaczyła taką słabość i klęskę, i poczucie winy, że wbrew woli poczuła litość.

– Oczywiście, ojcze, pomogę – powiedziała. – Chociaż w de Trouvere od czasów wojny jest niełatwo.

Pokrótko opowiedziała o tych zmaganiach i o wprowadzaniu w życie pomysłu Genevieve, żeby otworzyć hotel.

– Czy ten zamek naprawdę jest taki piękny? – zapytał. – Wydaje mi się, że nadspodziewanie bardzo przywiązałaś się do swojego nowego domu.

– To fakt.

– Więc może... – Zawahał się niepewny, czy mówić dalej. – Może ostatecznie coś dobrego dało ci to małżeństwo?

– Moje małżeństwo było złe – powiedziała nieprzejednanie – ale to mój własny grzech i nikogo innego nie winię. Owszem – przyznała po chwili – przyniosło mi wiele dobrego... przyjaźń z matką Laurenta, ten zamek i posiadłość... i przede wszystkim Oliviera.

– Mój wnuk. – Tak.

Gabor znów był zażenowany.

– Czy wiesz, dlaczego matka miała operację?

– Wiem. Rozmawiałam z jednym z lekarzy w tym Kranken – haus.

– Potrzebuje jeszcze naświetlań. – I wypoczynku.

– Semmering jej posłuży.

– A potem? – Krisztina spojrzała na Gabora. – Po wyjeździe z Semmering?

Nie mógł spojrzeć jej w oczy.

– Ona oczywiście pragnie być blisko ciebie i Oliviera, ale...

– urwał.

– Ale?

– Wiem, że mnie nie chcesz, Krisztino, i nie mogę mieć o to żalu. – Znów usłyszała nutę upokorzenia w jego głosie.

– Będziesz potrzebny mamie – powiedziała.

– Chyba tak. Zawahała się.

– I nadal jesteś moim ojcem. Wreszcie napotkał jej wzrok.

– Kiedy już otworzycie ten hotel, mógłbym w nim pracować, przydać się. – Patrzył błagalnie, z nadzieją.

– Chyba tak.

Twarz mu się znów wydłużyła.

– Sklep mi zabrali, wiesz o tym.

– Wiem. Mama pisała.

– I dali mi posadę. – Roześmiał się gorzko. – Zamiatanie... szorowanie kontuarów... mycie okien. W moim własnym sklepie. – Przełknął ślinę, bliski łez. – Kiedy czyściłem żyrandol, musiałem stać na szczycie wysokiej drabiny i kręciło mi się w głowie, pamiętasz, zawsze nie cierpiałem wysokości... ale powiedzieli, że dla mnie albo ta praca, albo żadna.

Przypomniała sobie, jaki był przed wojną, przypomniała sobie jego zaciekłą ambicję i chciwość, i pojęła, jak beznadziejnie nieszczęśliwy jest teraz... Choć widziała w jego upadku sprawiedliwość, ze zdumieniem stwierdziła, że nie chce się mścić.

Gabor wzmocnił się tym kwaśnym winem.

– Więc, Kriszti – powiedział – ja chcę pracować, płacić za swoje utrzymanie.

– Nie będziesz musiał ojciec – przerwała mu, żeby się tak nie poniżał. – Mój dom jest twoim domem; to słuszne i normalne.

– A matka Laurenta? Jak ona to przyjmie?

– *Bellemere* myśli tak samo jak ja. – Krisztina zmarszczyła brwi. – Ale, niestety, dopiero za jakiś czas będziecie mogli zamieszkać w zamku.

– Dlaczego?

Uśmiechnęła się.

– Nie pytałbyś, gdybyś zobaczył, co tam się dzieje. Prawie nie ma centymetra nietkniętego przez robotników... wszędzie brud i kurz... byłoby bardzo niezdrowo dla mamy.

Gabor słuchał zaniepokojony.

– Nie martw się pieniędzmi, ojciec. Już nie – powiedziała łagodnie. – Niech mama wydobrzeje w Semmeringu, a potem, jeżeli zamek jeszcze nie będzie gotowy, może zamieszkacie tymczasem w Ribeauville, niedaleko.

Znowu się zaczerwienił.

– Ciężko jest, wiesz, Krisztino, korzystać z miłosierdzia własnego dziecka.

– To nie jest miłosierdzie.

– Dla twojej matki nie, ale chyba... jeśli chodzi o człowieka, którego nienawidzisz...

– Ojciec, nie czuję do ciebie nienawiści.

Podniósł nagle wzrok. Jego okulary błyszczały w płomyku świecy.

– Dlaczego? – zapytał z niedowierzaniem.

Krisztina zastanawiała się przez chwilę.

– Chciałabym wiedzieć.

Stan zdrowia Dony wyraźnie się poprawiał, Krisztina wróciła z dzieckiem do Alzacji i oznajmiła Albertowi, że trzeba jakoś i gdzieś wygospodarować jeszcze jeden apartament dla rodziny.

Giordano dotrzymał słowa; rzemieślnicy wykonywali każde zadanie rzeczywiście pieczołowicie. Ale, jak chyba zawsze, kiedy jest dobrze, bilans niejednorodnych losów muszą równoważyć niepowodzenia. Przede wszystkim była sprawa pieniędzy – ściślej braku pieniędzy.

Wydawało się prawie wulgarnością, widząc tak cudowną twórczość, przekładać każde następne osiągnięcie na franki, ale nadzór popadającego w coraz głębszy pesymizm *monsieur* Jean-Josepha Dienheima i jego delegatów zmuszał do przejmującego umiarkowania.

Po raz pierwszy Alberto zaczął przejawiać, jak przedtem już wszyscy w zamku, napięcie i drażliwość.

– Ja tak nie mogę pracować! To nas okalecza.

Teraz z kolei Krisztina usiłowała go uspokajać.

– Nie mamy wyboru, Alberto... bank się upiera, że zanadto rozciągamy budżet. Mają nasze kosztorysy i...

– Kosztorysy!?! – wykrzyknął Giordano, jeszcze bardziej rozżłoszczony. – Przecież nie biurowiec tworzymy... to jest wizja!

Krisztina uśmiechnęła się ze współczuciem.

– My wiemy o tym, Alberto... nikt nie wie lepiej... ale przykra prawda jest taka, że na jedno słowo *monsieur* Dienheima mogą nam obciąć fundusze tak, jak się amputuje rękę czy nogę. I jeżeli do tego dojdzie... – potrząsnęła ponuro głową – w de Trouvere będzie potrzebny nie żaden z twoich „chirurgów”, tylko przedsiębiorca pogrzebowy.

Giordano nie zrozumiał.

– *Pręgo?*

Spróbowała przetłumaczyć:

– *Per la morte.*

– Ach, *un becchino*. – Uśmiechnął się, ale zaraz znów spo – chmurniał. – Po moim trupie.

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

– Ależ, Alberto, zrozum. Jeżeli im nie pokażemy, że potrafimy ograniczać koszty, żadnego hotelu nie będzie.

Czternastego sierpnia Krisztina dostała wreszcie odpowiedź z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie.

David Kaufmann, jak zostało potwierdzone, zmarł w transporcie z Sachsenhausen do Rygi w styczniu 1942 roku, jego rodzice zmarli w Buchenwaldzie.

Do tego pisma dołączono kopię dziennika, który przekazał do Czerwonego Krzyża ktoś, kto przeżył w obozie pracy w Sa – laspils pod Rygą. Była to kronika okropności jednej z deportacji więźniów żydowskich z Niemiec na okupowaną przez hitlerowców Łotwę.

Po podaniu nazwisk licznych towarzyszy tej podróży w wagonie towarowym ów kronikarz napisał, że gdy silniejsi więźniowie zeskrobywali sople lodu ze ścian i okien wagonu i rozpuszczali je, żeby mieć wodę, kobiety, dzieci i jedenastu mężczyzn, wśród nich David, już słabi na skutek tyfusu i niedożywienia – zamarli na śmierć.

Dla wielu może lepiej było umrzeć w tym pociągu – czytała Krisztina dalej – *ponieważ później dowiedzieliśmy się, że ponad pięćset osób Niemcy zabrali do puszczy Rumbuli i zastrzelili.*

Przez cztery dni Krisztina z nikim nie rozmawiała i tylko zajmowała się niezbyt przytomnie Olivierem. Z bezgłośną rozpaczą przyciskała czternastomiesięcznego synka do piersi i puszczała

dopiero wtedy, gdy wił się i wrzeszczał, protestując. Wiadomość, że *la jeune baronne* utraciła kogoś ukochanego, szybko rozeszła się i Alberto przez szacunek kazał swoim ludziom przerwać pracę. W całym zamku zaległa cisza.

– Nie chciałabyś pojechać do Semmeringu do matki? – zapytała Genevieve piątego dnia rano. – Jeanne i ja poradzimy sobie z Olivierem.

W końcu Krisztina się odezwała:

– Nie, dziękuję, *bellemere*. Tylko bym zasmuciła mamę, gdybym jej się teraz pokazała. – Potrząsnęła głową. – Tak mi dziwnie.

– Dziwnie?

– To pewnie żałoba. – Głos miała stłumiony. – Ale nie taka jak po kimś, z kim się było codziennie... żadna nowa próżnia nie powstała w moim życiu.

– Ja myślę, *cheñe*, że powstała.

Krisztina prawie nie słuchała.

– Wiesz, *bellemere*, chociaż ci mówiłam, że wierzę, że on nie żyje, nigdy pomimo wszystko nie przestałam mieć nadziei, że – może uciekł i kiedyś mnie odnajdzie. A teraz wiem, rzeczywiście wiem, że odszedł na zawsze. – Przełknęła z trudem. – Ale nie ma ciała... zwłok, żeby mogła je pogrzebać i opłakiwać, są tylko słowa na papierze, więc ja chyba nie uwierzyłam, że to naprawdę.

– Musisz uwierzyć, *cherie*.

– Wiem. Wiem! – W jej oczach zalśniły niewylane łzy. – Ale napisali, że był chory i słaby – powiedziała drżącym głosem. – Że zamarł! – Wzdrygnęła się i zacisnęła pięści. – Nigdy sobie nie pozwolę myśleć o Davidzie w ten sposób... nigdy! Dla mnie on będzie zawsze taki, jaki był... zdrowy, piękny i żywy.

– Tak być powinno – powiedziała Genevieve łagodnie. – Tak właśnie ja pamiętam Armanda.

Krisztina się zaczerwieniła.

– I Laurenta.

– I Laurenta.

Milczenie było niezręczne, ciężkie od wspomnień i smutku.

– Ale jeżeli nie uznaj fakt, *bellemere* – ciągnęła Krisztina, już wiedząc, że ta rozmowa jest jej potrzebna, i rozpaczliwie usiłując panować nad sobą – jeżeli nie przestanę marzyć o tym, jak David może kiedyś, jakimś niemożliwym cudem przyjedzie do Chateau de Trouvere, czy będę mogła kiedykolwiek o nim zapomnieć?

– *Cherie*, ty o nim zapomnieć nie chcesz.

– Owszem, chcę! – Skrzywiła się boleśnie. – Chcę zapomnieć o tych wszystkich cudownych chwilach! Chcę zapomnieć o tym, co mu zrobiłam!

– Czy to, co mu zrobiłaś, było takie straszne?

– Zdradziłam go! – wykrzyknęła.

– Jak? – zapytała Genevieve ostro. – Zdradą był ślub z Laurentem?

– Oczywiście.

– Przecież wyszłaś za Laurenta ze względu na Davida, Krisztino.

– Nie tylko.

– Może nie tylko. Ale gdyby... – Genevieve z trudem mówiła dalej, z trudem zdławiła własne poczucie niewierności wobec syna, bardzo jednak chciała pocieszyć Krisztinę. – Gdyby Davida nie

aresztowali, wyszłabyś za niego, a nie za Laurenta, prawda? – Pogłaskała Krisztinę po włosach. – Ty nie chcesz zapomnieć.

– Chcę zapomnieć, że on nie żyje – wyszeptała Krisztina.

Genevieve westchnęła. Pociecha nic nie da, dopóki nie ma żałoby.

– Może, *cherie* – zaczęła z namysłem – jakoś uczciłabyś jego pamięć?

– Mam zapalić świecę? – W głosie Krisztiny brzmiało rozgoryczenie.

– To na pewno – odpowiedziała spokojnie Genevieve. – Ale ja myślę o czymś więcej.

– O czym? Raczej nie mogę zamówić mszy za jego duszę.

– Dlaczego nie możesz?

– Msza katolicka za Żyda?

– Słusznie. Oczywiście że nie.

– Więc co? Mam pójść do synagogi?

Genevieve potrząsnęła głową.

– Wątpię, czy znalazłabyś tam taką pociechę, jakiej potrzebujesz, *ma chere*. Nie, myślę o czymś innym. – Zastanowiła się. – Nabożeństwo żałobne, tak. W naszej kaplicy.

– Przecież David...

– *Pere Perigot* zgodzi się na obecność rabina.

Krisztina się przeraziła.

– A ty, *bellemere*? W twojej kaplicy żydowskie modlitwy?

– Krisztino, ta kaplica jest nasza.

Krisztina umilkła, Genevieve łątko na jej bladej twarzy odczytała, co ona rozważa.

– Bierzesz pod uwagę Laurenta? I czy nie byłby to afront dla niego... może nawet dla mnie?

Krisztina tylko przytaknęła niemo.

Genevieve miała oczy pełne bólu, chociaż mówiła nadal spokojnie:

– Staram się w miarę moich ludzkich możliwości nigdy sobie nie przypominać, jak mój syn skrzywdził Davida.

– I ja, Bóg mi świadkiem, nie chcę ci tego przypominać, *bellemere* kochana! – wybuchnęła Krisztina z wielkim żalem.

– Wiem. Ale są prawdy nieuniknione.

– Nie można obarczać Laurenta zbrodniami hitlerowskimi – usiłowała argumentować Krisztina.

– Są miliony zmarłych. Obie wiemy, że gdyby Davida nie aresztowali wtedy, i tak zabraliby później.

– Albo może by uciekł.

Krisztina patrzyła na Genevieve bezradnie.

– I nigdy nie będzie grobu, który mogłabyś odwiedzać.

Krisztina potrząsnęła głową.

– I jego rodzice nie mogą go oplakiwać.

Powstrzymywane łzy zaczęły nagle spływać po jej policzkach.

– Najświętsza Panna tego nie potępi – ciągnęła Genevieve – *ile Bon Dieu* dba o nas wszystkich jednakowo.

W końcu przypadły do siebie, obie potrzebując pociechy i utulenia w smutku. Gdy Krisztina wypłakiwała lata dławiącej rozpacz i tęsknoty, Genevieve wpatrywała się w ślepą uliczkę różnych

„mogłoby być”, bardziej niż kiedykolwiek przedtem zadziwiona ironią życia: gdyby Laurent był prawy, gdyby tamten obcy, umiłowany David Kaufmann żył, przecież nigdy by nie poznała Krisztiny, nigdy by nie miała tej delikatnej, odważnej przyjaciółki, tej córki.

– *Alors chere filie* – powiedziała cicho, jeszcze czując, jak szlochy wstrząsają tym smukłym ciałem – pozwolisz, że to załatwię?

Krisztina z wysiłkiem uniosła głowę, twarz miała mokrą od łez.

– Jak w ogóle będę mogła dziękować ci, *bellemere*?

Genevieve odsunęła ją na długość ręki i popatrzyła jej w oczy.

– Dziękować mi nie ma za co.

Jean-Joseph Dienheim już nie wierzył.

Gdy odmówiono dalszego kredytu, Genevieve musiała zatelefonować do Alberta Giordana, który taktownie przyczaił się w małym pensjonacie w Ribeauville, żeby Krisztina miała spokój.

– Koniec – poinformowała go z wielką przykrością. – Bank wypowiedział umowę.

– *Ma non e possibile!*

– Smutne, Alberto, ale możliwe. Musimy spłacić ludzi i skończyć natychmiast, inaczej będą kary.

– Nie możemy skończyć! – wybuchnął. – Nie możemy się zatrzymać, kiedy hotel jeszcze niegotowy. Ja się nie zatrzymam! Mówię pani, *baronessa*, jeżeli ci bankierzy są takimi tchórzami, będę pracował za darmo, aż znajdziemy innych z *coraggio!*

– Mój drogi Alberto, to wykluczone. Każdemu za wszystko zapłacimy. Ale nie możemy brnąć dalej.

– Musi być jakiś sposób!

– Tym razem nie ma żadnego.

– Przynajmniej niech mi pani pozwoli pozbierać myśli.

– Proszę bardzo – powiedziała Genevieve. – Ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Znikąd nie będzie pieniędzy.

Pere Perigot z *Riquewihr*, młody, chudy i uroczysty rabin z *Colmar*, Krisztina, Genevieve i mały *Olivier*, a także *Sutterlin*, *Marthe* i *Jeanne* klęczeli, gdy ksiądz odprawiał *Requiem*, a potem stali z pochylonymi głowami, gdy rabin śpiewał dwa *Psalmy Dawidowe* i odmawiał tradycyjną modlitwę żałobników. Uprzednio rabin wyjaśnił, że zgodnie ze zwyczajem *kadisz* odmawiają chórem mężczyźni z najbliższej rodziny zmarłego.

– Czy byłoby niestosowne, gdybym ja dołączył się do tej modlitwy? – zapytał go wtedy *Andre Sutterlin*, poważny i pełny godności. – Chociaż nie jestem krewnym i nawet nie znałem *monsieur Kaufmanna*.

– W tych okolicznościach, *monsieur* – odpowiedział rabin – uważałbym, że to niemała *miewa...* dobry uczynek.

Dał *Sutterlinowi* kartkę, na której hebrajskie słowa były wypisane fonetycznie. Kamerdyner, protestant, zarumieniony czytał prawie bez zająknięcia, omalże nadażając za rabinem. Gdy skończyli, cisza zapanowała w kaplicy, taka cisza, że wyjątkowo nawet *Olivier* znieruchomiał i oniemiał jak zahipnotyzowany. Potem, gdy już *pere Perigot* poświęcił, a rabin pobłogosławił przybitą do ściany przy drzwiach małą złotą plakietkę ku pamięci *Dawida*, *Marthe* miała oczy różowe, *Jeanne* otwarcie płakała, a *Krisztynie* serce wezbrało wdzięcznością i dumą.

– *C'était beau, chérie, n'est-ce pas?* – zapytała Genevieve, obejmując ją, i też miała w oczach łzy.

– Piękniejsze, niż mogłabym wymarzyć – szepnęła Krisztina, jeszcze ukojona spokojem tego krótkiego nabożeństwa...

– Nadzwyczajne – ciągnęła Genevieve ze zdumieniem. – Wojna tyle zmieniła, przyniosła nie tylko zło, ale też i wiele dobrego. – Patrzyła, jak wszyscy wychodzą z kaplicy, Jeanne prowadząc Oliviera za rączkę, na przedzie. – Przed wojną to by się nie zdarzyło. Ci ludzie zawsze byli czymś więcej niż służącymi... zaufani i lojalni... ale teraz czują, że staliśmy się rodziną.

Uściskały się jeszcze raz, a potem delikatna jak zawsze Genevieve znów się przeżegnała, odwróciła się i wyszła za tamtymi, zostawiając Krisztinę samą.

Krisztina wpatrywała się w plakietkę: David Kaufmann 1918 – 1942

Było pod tym słowo hebrajskie, które rabin pomógł jej wybrać, *Szalom*. Pokój. Podniosła palce prawej ręki do ust, potem dotknęła nimi tego wygrawerowanego imienia. Przyszły jej nagle na myśl pierwsze słowa z *kadisz*: „*Yis 'gadal v'yis ka – dash sh'mai raboh...* „

Smakowały dziwnie na języku i nie wiedziała, co znaczą. Potem stanął jej przed oczami obraz matki, zawoalowanej, pobożnej w kościele, i lekko zadrzała, zmieszana. Przyklękła szybko, przeżegnała się i wyszła z kaplicy.

Tamci już wrócili do zamku. Popołudnie jaskrawiło się kwiatami w blasku słońca późnego lata, ptaki na drzewach za murem śpiewały radosne hosanny.

Idąc przez cmentarz, zobaczyła, że ktoś odwrócony do niej tyłem stoi przed nagrobkiem Laurenta.

Był w beżowym letnim ubraniu, płaszcz nieprzemakalny miał przewieszony przez lewe ramię. Ktoś bardzo wysoki i jakoś dziwnie nieobcy.

Te włosy, pomyślała, w słońcu czerwonozłote.

Musiał wyczuć jej obecność, bo odwrócił się do niej. Uśmiechnął się.

– Dzień dobry – powiedział.

Kapitan lotnictwa Hunter rozmawiał z dwiema baronowymi przez cały wieczór przy uczeniu, którą błyskawicznie wyczarowała Marthe – *volauvent*, pstrągach z rusztu i *tarte aux cerises* – i dwóch butelkach Rieslinga de Trouvere oraz koniaku z *vieille reserve*, a potem jeszcze długo w tę ciepłą noc wrześnieją.

Mówiąc po francusku, jak obie pamiętały, doskonale, opowiedział, jak wyszedł ze swymi dwoma towarzyszami przedwcześnie z kryjówki w piwnicy, jak ich aresztowano, ale dzięki mundurom RAF-u nie zastrzelono za szpiegostwo. Opisał krótki, nieprzyjemny pobyt w więzieniu gestapo, przewiezienie kolejno do dwóch obozów jenieckich w pobliżu Augsburga w południowych Niemczech i w końcu tamten poranek, gdy obudził się na wolności: ciemniejący opuścili obóz.

– Bramy szeroko otwarte, mogliśmy od razu wyjść.

– Ale nie wyszliście? – zapytała Krisztina, wciąż jeszcze tak olśniona, jak kilka godzin przedtem.

– Nie. Bezpieczniej było zostać, dopóki sytuacja się nie wyklaruje. – Hunter wzruszył ramionami. – Zorganizowaliśmy się, nawiązaliśmy łączność radiową, oszczędzaliśmy resztki zapasów żywności, no i się czekało. – Uśmiechnął się. – Siódma Armia Amerykańska dotarła do nas pierwsza. Dwudziestego siódmego marca. W dwa tygodnie później wróciliśmy do Anglii – Więc już u siebie świętowaliście Dzień Zwycięstwa – powiedziała Genevieve.

– Jak najbardziej.

– Co z pana ręką? – zapytała Krisztina.

– Jest jak nowa. – Zgiął rękę na dowód. – Była sztywna przez jakiś czas... lekarz obozowy nie zaliczał się do tak zwanych specjalistów... ale w Londynie chirurg nastawił ją należycie.

– A tamci? Eddie i Miller?

Cień przemknął po twarzy Huntera.

– Miller jest w dobrej formie. Ożenił się zaraz po zdemobilizowaniu.

– A Eddie? – zapytała Genevieve, właściwie już wiedząc.

– Eddiemu się nie udało.

Nastąpiła cisza.

– Jak to? – Krisztina pobladła.

– Chyba nie mógł wytrzymać w zamknięciu. I czuł się winny, wciąż wyrzucał sobie, że przez niego nas aresztowano. – Hunter się nachmurzył. – Eddie był najmniej odpowiednim kandydatem do ucieczki. W większości tych obozów próbowano uciekać – wyjaśnił. – Niektórzy robili to niemal profesjonalnie. Ale Eddie zanadto histeryzował.

– Złapali go?

Hunter przytaknął.

– Zastrzelili? – wyszeptała Krisztina.

– Nie. Oszczędził im tej fatygi. Kiedy wsadzili go do karceru, powiesił się na pasku.

Cisza była pełna grozy.

– Gdyby nie lubił gwizdać, myślę, że może byłby dziś zdrow i cały – dokończył Hunter ze smutkiem. – Wszystkich nas ostrzegano, panie rozumieją, przed niebezpieczeństwem dobrych, starych melodii.

Krisztina zamknęła oczy, Genevieve wpatrywała się w puste palenisko kominka.

Hunter wypił jeszcze trochę koniaku.

– Mam dreszcze – powiedział – ilekroć słyszę tę przeklętą piosenkę: „Na drogę szczęścia mi życz”. Jest tak cholernie pogodna.

Przyjechał do Alzacji przez wdzięczność i dlatego, że bardzo chciał znów zobaczyć je obie w czasach pokoju. Powiedział im również, że zgłosił je do Odznaczenia Królewskiego za Męstwo. O Scheegansie usłyszał dopiero teraz i postanowił się postarać, żeby wynagrodzono to wdowie: Marthe powinna otrzymać odznaczenie męża. Prawdopodobnie zostaną zaproszone do ambasady brytyjskiej w Paryżu na tę uroczystość.

– Ależ to niedorzeczne – protestowała Genevieve, zakłopotana. – Co innego Jacques, oczywiście, ale myśmy nie zrobiły nic niezwykłego.

Hunter się uśmiechnął.

– Wszyscy dobrze wiemy, co panie zrobiły, *madame*, i za jaką cenę.

Był gościem w de Trouvere przez trzy tygodnie, coraz bliżej poznając Genevieve i Krisztinę, interesując się Olivierem, ruchliwym i bystrym dzieckiem.

Naturalnie nie mógł nie widzieć cudaczego bałaganu wokół, ale z początku, gdy one wymijająco mówiły, że to niedokończony remont, taktownie powstrzymywał się od pytań. W końcu jednak czuły się z nim już dostatecznie swobodnie, by wyjawić mu swoje problemy.

Przeraziła go ich zapaść finansowa, urzekło rozwiązanie, które znalazły, zde gustowała krótkowzroczność banku.

– Jestem zde gustowany, ale nie zdumiony – dodał. – Wiadomo, że banki są tchórzliwe, kiedy finansują coś na średnią skalę.

– Nasz zamek chyba uważają za coś na dużą skalę – powiedziała oschle Krisztina.

Roześmiał się.

– Nie wierz w to. Gdybyście były multimilionerkami i planowały budowę od fundamentów hotelu pięć razy większego niż de Trouvere, błagaliby, żebyście raczyły pożyczyć od nich pieniądze.

Genevieve zmrugała oczy.

– Czy sęk w tym, że jesteśmy kobietami, Williamie?

Wzruszył ramionami.

– Chociaż chciałbym zaprzeczyć, muszę przyznać, że to może mieć wpływ... ale tylko częściowo. – Umilkł na chwilę. – Przywróciliby kredyt, gdyby się ich należycie zachęciło.

– Niby czym? – zapytała Genevieve. – Zapewnieniem, że nie będziemy się upierać przy ogrzewaniu każdej łazienki? Że obejdziemy się bez wind? Że w sypialniach ściany pomalujemy, bo tapety, które wybrałyśmy, są za drogie?

– Oczywiście że nie – zbył to Hunter. – Obie wiecie równie dobrze jak ja, że takie ograniczenie tylko by ich zniechęciło jeszcze bardziej.

– Więc co ma być tą zachętą? Tym bodźcem, żeby zechcieli dorzucić następne pieniądze? – zapytała Krisztina.

Odczekał chwilę.

– Ktoś, kto na was postawi. Potrzebujecie kogoś takiego.

– Kto na nas postawi – powtórzyła Krisztina jak echo.

– Tak. Protektor. Poręczyciel.

Genevieve krótko parsknęła śmiechem.

– Dlaczego nie któryś ze świętych? Albo Anioł Stróż? Dlaczego nie sięgnąć tak wysoko?

– Dlatego, że mnie nie wyrosną skrzydła ani aureola – odpowiedział rozbawiony. – Ale ja mogę na was postawić. – Wybałuszyły oczy. – Czy skrzydła mi wyrastają?

Krisztina pierwsza odzyskała głos.

– Powiedziałaś, że możesz na nas postawić?

– Tak.

– Co przez to rozumiesz?

Uśmiechnął się.

– Dokładnie nie potrafię powiedzieć w tej chwili... bez adwokatów i księgowych... ale sądząc z tego, co słyszę i widzę na własne oczy, i co mówi mi instynkt, wiem, że ja... a raczej moja rodzinna firma może by was wspomogła ufnością, której brakuje waszym bankierom.

– *Dieu* – powiedziała Genevieve tępo. – W życiu nie byłam tak skołowana.

Hunter się śmiał.

– Więc pozwól, że wytłumaczę.

– Też bym chciała – Krisztina się zapaliła.

– To bardzo proste. W tym zamku jest pełno... pełnusięńko skarbów. Złoto, srebro, porcelana, antyki, na których widok naszym licytatorom oczy by zachodziły łzami, gobeliny i dzieła sztuki takie, że niejeden z wielkich koneserów na świecie zabiłby się, żeby je mieć.

– Myślisz, że mamy je sprzedać? – Krisztina uśmiechnęła się cierpko. – Naprawdę, nam przychodziło to już na myśl, ale nigdy byśmy nie dostały nawet w przybliżeniu tyle, ile są warte. I w każdym razie byłyby potrzebne w hotelu tutaj, gdzie jest ich miejsce.

– Właśnie – przytaknął Hunter.

Genevieve zmarszczyła brwi.

– Mówiłeś o waszych licytatorach.

– Tak.

– Firma twojej rodziny... co to za firma?

– Dom aukcyjny, centrala w Londynie, filie w Paryżu i Nowym Jorku.

Oczy jej się rozszerzyły.

– Dom aukcyjny Huntera?! Huntera?

– Tak.

– Ale powiedziałeś... – Teraz czoło Genevieve się pofałdowało, gdy sobie przypominała. – Kiedy byliście w piwnicy, zapytałam, skąd wiesz tyle o porcelanie Kakiemon, a tyś powiedział, że twoja rodzina to antykwariusze.

– Tak powiedziałem.

– A tymczasem to jeden z wielkich domów aukcyjnych.

– Nie aż taki jak Sotheby's czy Christie's – wyznał skromnie.

– Prapraprababka Oliviera nie była Marią Antoniną – odcięła mu się przyjaźnie – a rodzina de Trouvere jest pomimo to jedną z najznakomitszych w Alzacji. – Uśmiechnęła się ironicznie. – Co nie znaczy, że to widać teraz.

– Nadal trudno mi nadażyć – przerwała im Krisztina.

– Jeśli się nie mylę, kapitan Hunter radzi sprzedać część naszych zbiorów na aukcji –

zaryzykowała Genevieve. – Chociaż, nawet gdyby to nie były sprzedaże poniżej wartości, odarłybyśmy zamek z charakteru.

– Obie źle rozumiecie – powiedział Hunter. – Owszem, mamy dom aukcyjny, ale... – urwał na chwilę. – W naszych biurach w Londynie i w Nowym Jorku mieszczą się także dwa nieduże muzea, jednak coraz bardziej się liczące.

Baronowe słuchały ze świeżym zainteresowaniem.

– Mam pomysł – ciągnął. – Jeżeli się go zrealizuje ku zadowoleniu mojego ojca i oczywiście ku waszemu zadowoleniu, to by was zasiłowało gotówką i przywróciłoby wiarę waszym bankierom.

Obie się wyprostowały w fotelach, nastawiając uszu.

Genevieve odezwała się pierwsza:

– Williamie, czy wolno zapytać, jaki masz pomysł?

Potrząsnął głową.

– Nie chciałbym sugerować, że się zobowiązuję do czegoś, z czego może nie będę mógł się wywiązać. – Rozmyślał przez – chwilę. – Mogę tylko powiedzieć, że wyobrażam sobie sytuację, w której Dom Huntera może by wam pomógł i ta pomoc by nie zagrażała naruszeniem piękna de Trouvere. – Zrobił pauzę. – Zaufacie mi?

Patrzyły na jego inteligentną, szczupłą twarz. Było w nim coś szczególnego. Jakaś fundamentalna wiarygodność.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała Genevieve.

Roześmiał się.

– Nie zaraz. Muszę mieć więcej materiału, zanim wrócę do Londynu z konkretną propozycją dla naszego zarządu. I będzie mi potrzebna wasza współpraca.

– Zrobimy wszystko – zapewniła go Genevieve.

– To dobrze. W takim razie poproszę moich kolegów z biura w Paryżu, żeby niezwłocznie tu przyjechali. – Zawahał się. – I pozwolicie im włączyć się po zamku przez tydzień albo dłużej?

Krisztina się uśmiechnęła.

– Tyle ludzi od dawna przewijało się przez ten dom, że jest nienaturalnie cicho, odkąd Alberto zabrał swoją ekipę.

– Czy on wyjechał z Alzacji? – zapytał William szybko.

– Alberto? – zapytała Krisztina. – Myślę, że nie.

– Więc powinniście skontaktować się z nim natychmiast i poprosić, żeby się wstrzymał. – William wstał. – Ale teraz ja muszę zatelefonować.

Przyjechało, ni mniej, ni więcej, tylko jedenastu „kolegów” Huntera. Południową *allee* sunął sznur samochodów, poczynając od wspaniałego modelu z roku 1939 („wyprodukowali takich tylko dwadzieścia, wiecie” – powiedział baronowym William) bentleya Mark V, z którego wysiadł etatowy znawca sztuki cesarskich Chin i kończąc na starym, poobijanym citroenie sprzed kryzysu, którym przyjechał, sprawiając również wrażenie gruchota, znawca porcelany europejskiej. Przybyli z małymi neserami, uprzejmi i obojętni, i nawet po tygodniu wciąż jeszcze gubili się w różnych niedokończonych sypialniach, ale coraz częściej wyraźnie się radowali, aż im oczy, przeważnie za okularami, rozbłyskiwały na widok coraz to innych skarbów de Trouvere.

– Chyba rzeczywiście poweseleli, odkąd tu przyjechali – stwierdziła Krisztina.

One obie, chociaż zdawały sobie sprawę ze wspaniałości swego domu, dotychczas widziały to

piękno w całości. Teraz miały pierwszą sposobność, żeby rozróżniać liczne poszczególne składniki.

Prawie każdy pokój odkrywał swoje walory, i to nieraz cenniejsze, niż one przypuszczały. W samym pokoju myśliwskim pod koniec pierwszego tygodnia ci eksperci zaświadczyli autentyczność dziesięciu etruskich rzeźb w brązie i w terakocie, dwóch perskich dywanów myśliwskich z XVI wieku, kreteńskiego miecza i dwóch brązowych sztyletów z rękojeściami inkrustowanymi złotem, srebrem i czarną emalią, znakomitego stolika z intarsją z XIX wieku i dwóch obrazów pędzla Antoine'a Barye przedstawiających dzikie zwierzęta, już nie mówiąc o niezwykłym angielskim stole Coalbrook – dale, którego rogi podtrzymywały cztery irlandzkie wilczarze i który szczególnie sobie upodobał zmarły baron Armand.

William wyjechał z de Trouvere w końcu trzeciego tygodnia, nazajutrz po wyjeździe ekspertów do Paryża. Zadzwoił po następnych trzech tygodniach.

– I co? – zapytała Krisztina, gdy bardzo szybko już wymienili uprzejmości.

– Zarząd podał swoją decyzję pół godziny temu.

– Tak?

– Czy Genevieve jest przy tobie?

– Owszem, jest.

– To dobrze. Proszę, pozdrów ją ode mnie serdecznie.

– Williamie, błagam! Co powiedział zarząd?

W słuchawce zatrzeszczało.

– William?

Trzaski ucichły i jego głos, męski, dobitny, absolutnie angielski, pomimo doskonałej francuszczyzny, doleciał z odległości sześciuset kilometrów, które ich dzieliły.

– Zadzwoń do Giordana. Niech zbierze swoich ludzi i będzie w pogotowiu.

Krisztina wolną ręką chwyciła Genevieve.

– To znaczy, wszystko dobrze?

– Mnóstwo formalności do załatwienia i jeszcze potrzebna jest pomoc banku, ale...

– A jeżeli bank nie zechce? – Znów poczuła panikę.

W słowach Huntera dźwięczała pewność siebie.

– Możesz mi wierzyć, Krisztino. Zechce.

Trzy dni przesiedział z Dienheimem w banku, po czym powrócił do de Trouvere i przy wspaniałej kolacji, będącej wspólnym popisem Marthe i Krisztiny, wyjaśnił, na czym polega owa nadzwyczajna transakcja, którą Dom Aukcyjny Huntera jest gotów zawrzeć, jeżeli baronowe się zgodzą.

Jego plan był oszałamiająco prosty. Dom Huntera wydzierżawi sporo antycznych mebli, dzieł sztuki, starej porcelany, wyrobów ze srebra i złota oraz pewne rodzinne klejnoty, ale wszystko to pozostanie *in situ*, w zamku, na mocy spisane porozumienia, że te rzeczy, szczególnie czy w kompletach, można będzie w każdej chwili po odpowiednim uprzedzeniu zabrać, żeby je wystawić na pokaz, czy też w ostateczności na aukcję, na której Genevieve i Krisztina miałyby prawo pierwokupu.

– W zamian, zamiast zapłacić od razu gotówką – dokończył William – poręczymy wasz kredyt w banku. I jeśli budowa i początkowe koszty prowadzenia hotelu przekroczą wysokość tego kredytu albo wesprzemy was sami, albo załatwimy następny kredyt.

– Więc wszystkie nasze problemy są rozwiązane paroma pociągnięciami pióra – powiedziała Genevieve powoli, prawie w to nie wierząc.

– Ale dlaczego? – zapytała Krisztina w jej imieniu także. – Co Dom Huntera spodziewa się zyskać z takiego układu? – Potrząsnęła głową. – Przecież mogłeś po prostu uprzeć się, żebyście kupili jakieś dzieła sztuki do wystawienia i to, czego nie sprzeda się na wystawach, sprzedali na aukcji. Nie możemy trzymać dla was tych rzeczy, choćby bardzo nam ich brakowało.

– Po pierwsze – odpowiedział William – właścicielami tych rzeczy będziemy faktycznie tylko do czasu, kiedy prowadzenie hotelu zacznie się zdrowo opłacać.

– Co może nastąpić za wiele lat, jeśli w ogóle – zwróciła mu uwagę Krisztina.

– Możliwe – zgodził się i mówił dalej: – A po drugie: zarząd uznał de Trouvere za dobrą lokatę, którą warto dołożyć do naszego portfela. Rzecz jasna, adwokaci i księgowi z waszej i naszej strony ustalą warunki, na jakich powstanie ta spółka...

ale mogę wam przyrzec, że w granicach rozsądku będziemy sumiennie cichymi współnikami.

– Chyba wasz zarząd żąda reasekuracji, że poprowadzimy hotel kompetentnie? – zapytała Genevieve.

– Już zażądał i na pewno będzie miał reasekurację ode mnie – Hunter uśmiechnął się. – Dopóki nie wypłyną jakieś jaskrawe błędy, dajemy wam wolną rękę. Jesteśmy domem aukcyjnym, a nie hotelarzami.

Genevieve zrobiła minę.

– My raczej nie możemy się podawać za fachowe hotelarki, Williamie.

– Chyba nie, ale już pokazałyście, że kiedy pomoc jest wam potrzebna, zwracacie się do fachowców. I również nie wątpię, Genevieve, że zatrzymywałaś się częściej niż większość moich znajomych w hotelach *grand luxe*.

– Gdyby to dawało kwalifikacje – zadrwiła – dziesiątki tysięcy ludzi otwierałoby hotele.

– Ilu z nich jednak ma na to ochotę i takie możliwości, że już nie wspomnę o surowcu, jakim los was obdarzył? I wracając do rzeczy, jest trzeci powód, chociaż ani ojciec, ani ja nie przedstawiliśmy go zarządowi.

– Jaki? – zapytała Krisztina.

Hunter spąsował.

– Pamiętam... doprawdy nigdy nie zapomnę... w piwnicy tamtej niezwyklej pierwszej nocy wzniosłem winem Chateau Pape-Clement toast: niech żyje rycerskość, wielkoduszność i styl. Teraz dodałbym: wdzięczność.

– Za co? – zapytała Genevieve ironicznie. – Za dwa lata z okładem w niewoli?

Nie dał się tak zbyć.

– Dobrze wiecie za co. Królewskie odznaczenie i chwała za waszą odwagę to ładna podzięką, ale nie otworzy drzwi waszego hotelu, nie ocali de Trouvere.

Krisztina spojrzała na Genevieve.

– On ma rację – powiedziała cicho.

Genevieve przytaknęła.

– Wiem, *cherie*.

Praca znów się zaczęła. W zamku wrzało, powietrze było gęste od pyłu i od zapachu farb, rozbrzmiewały stukoty młotków, zgrzytanie pił i wiertarek, wrzaski życzliwie sobie ubliżających

robotników z Marsylii i z Mediolanu, i z Lyonu, i z Neapolu – ludzi, którzy przybyli do de Trouvere zupełnie obcy, a teraz wydawali się tak przynależni do tego domu, jak sam Alberto Giordano.

Ilona i Gabor, po rekonwalescencji Ilony w Semmeringu, przyjechali do de Trouvere przed Bożym Narodzeniem. Chociaż mieli mieszkać w Ribeauville, dopóki prace się nie skończą, Genevieve i Krisztina uznały, że w święta powinni być wszyscy razem *en familie* pod jednym dachem.

To był cudowny okres błogości, gdy wydawało się możliwe, że wszelkie zło, wszystkie troski są już za nimi i że czeka ich tylko spokój i zadowolenie. Gabor szybko zrzucił z siebie Włosienicę upokorzeń i rozpaczy narzuconą przez Sowietów i chorobę żony. Z cierpkim rozbawieniem Krisztina patrzyła, jak on, wciąż jeszcze snob, pęcznieje z dumy na widok wspaniałości i piękna de Trouvere. Oto nobilitacja, do jakiej zawsze aspirował – jego córka baronową, jego wnuk już baronem, jego domem będzie zamek.

A przecież to Ilona na swój cichy, skromny sposób jakoś swobodniej wsunęła się w życie de Trouvere. Ilona, która siedziała z wrodzonym wdziękiem i dystynkcją obok Genevieve przy wieczerzy *Reveillon*, Ilona, chuda, nadal niezbyt silna i nadal oplakująca Węgry, łatwo wsunęła się w tkaninę rodziny de Trouvere, podczas gdy jej mąż, pragnąc tej przynależności, pozostawał, pomimo swoich wysiłków i uprzejmej Genevieve, beznadziejnie na skraju.

Na pasterce byli w Colmar, potem rano na świątecznej mszy w kościele, którą odprawił *pere* Perigot w Riquewihir, a Krisztina zabrała ciepło opatuloną matkę do kaplicy, zobaczyła ją po raz pierwszy w pełnym czci zadziwieniu.

Dopiero wychodząc stamtąd, Ilona zauważyła na ścianie plakietkę ku pamięci Davida. Szybko odwróciła się do córki, blada i wstrząśnięta.

– Nie powiedziałaś mi!

– Nie powiedziałam, mamó.

– Dlaczego?

– Nie chciałam cię zmartwić.

– Powinnaś była mi powiedzieć, Kriszti. Od kiedy wiesz?

Krótko Krisztina wyjaśniła. Opowiedziała o nabożeństwie żałobnym i przetłumaczyła hebrajskie słowa na plakietce.

Ilona milczała przez długą chwilę.

– Mamó? O czym myślisz?

Potrząsnęła głową.

– O wielu rzeczach – odpowiedziała. – Genevieve to niezwykła osoba.

– Nie przeżyłabym tych ostatnich ośmiu lat bez niej.

Ręką w rękawiczce matka dotknęła policzka Krisztiny.

– Chyba, Kriszti, przeżyłabyś, ale i tak dziękuję Bogu, że ci ją zesłał.

Radość panowała w domu de Trouvere.

W przeddzień nowego roku przyjechał William z Paryża i nastąpił fakt bez precedensu: Sutterlin, Marthe, Jeanne i reszta służby zostali zaproszeni z sutereny na rodzinny sylwestra. Bawił się tam również Alberto.

– Nadzwyczajne – powiedział William po pierwszej półgodzinie 1947 roku, gdy Krisztina

oprowadzała go po zamku, pokazując, jak prace się posunęły od czasu jego poprzedniej wizyty.

– Co?

– Wszystko prawie gotowe. To jest nadal wasz dom, a już prawie *Grand Hotel du Chateau de Trouvere*, jaki sobie wymarzyliście.

Wzruszenie ścisnęło jej gardło.

– Czy my kiedykolwiek zdołamy ci się odplacić? – zapytała, nagle przepełniona wdzięcznością. William patrzył na nią zagadkowo.

– Jest coś, Krisztino, co mogłabyś zrobić dla mnie.

– Zrobię wszystko – wyszeptwała żarliwie.

Uśmiechnął się ciepło.

– Naucz się mówić po angielsku.

Kto by pomyślał! – Genevieve roześmiała się w niedzielny poranek na początku marca, podając Ilonie następną filiżankę kawy. – Ja raz po raz dziękuję dobremu Panu Bogu za to, że jest język niemiecki! Gdyby go nie było, nie mogłybyśmy się porozumiewać.

– Żałuję, że mój francuski nie jest lepszy – z ubolewaniem powiedziała Ilona.

– Dlaczego twój francuski miałby być lepszy niż mój węgierski? Ostatecznie od lat mieszkam z twoją córką i wciąż jeszcze znam nie więcej niż dziesięć słów.

Siedzieli w pokoju letnim, jak w spokojnej bazie, jak na wyspie wśród morza wiórów, polityry i ogólnego zamętu. Krisztina z uśmiechem spojrzała na Oliviera, bawiącego się z Gaborem na dywanie bakiem, którego puszczenie nigdy go nie nudziło.

– Przynajmniej mój syn będzie czterojęzyczny... czy nawet pięcio-, jeżeli Alberto zostanie u nas dłużej.

– Ty w angielskim czynisz ogromne postępy – stwierdziła Genevieve. – William ostatnio był zachwycony.

– No pewnie – powiedział Gabor. – Zaloty łatwiejsze, kiedy się mówi jednym językiem.

Krisztina szeroko otworzyła oczy.

– Zaloty?

– Nawet głupiec by widział, że ten człowiek jest w tobie zakochany.

– Przecież nie jest! – zaprzeczyła krewko.

Gabor wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz. Ale musiałś zadać sobie pytanie, dlaczego ktoś obcy tak skwapliwie służy ci tak wielką pomocą.

– Jestem pewna, że wyjaśniałam to już nieraz – powiedziała Krisztina spokojnie. – Myśmy mogły mu pomóc w czasie wojny i on może nam się zrewanżować. To po prostu układ handlowy.

– Raczej nie po prostu. – Gabor nakręcił znów baka i potargał Olivierowi czuprynkę. – *Kis Cigany* – powiedział czule.

– Co to znaczy, Gabor? – zapytała Genevieve.

– Mały Cygan.

Krisztina parsknęła śmiechem.

– Tak nazwała go mama, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy.

Genevieve zachichotała.

– Często myślę, że on wygląda jak mały Hiszpan czy może Żydziątko.

– Idiotyzm cholerny! – warknął Gabor, przerażając je wszystkie trzy.

– Gabor! – Ilona lekko zwróciła się do Genevieve: – Gabor nie chciał...

– Nie przepaszaj za mnie! – huknął. – Jeżeli ona będzie obrażać mojego wnuka...

– Zapewniam cię – przerwała mu Genevieve spokojnie – to nie była obraza i proszę, nie zapominaj, że Olivier jest także moim wnukiem.

Krisztina zbladła, rozgniewana.

– Nigdy się nie zmienisz, prawda, ojczu?

– *Qa va, chérie* – zbagatelizowała Genevieve. – Nie denerwuj się. To tylko nieporozumienie.

– Wcale nie. – Krisztina wstała i podniosła Oliviera z dywanu. – Ojciec zawsze był antysemitą, *bellemere*. Nic się nie zmieniło.

– *Nem, Kriszti!* – zaprotestowała żałośnie Ilona.

– Przykro mi, mamó, ale obie wiemy, że tak jest.

Gabor, jeszcze szkarłatny z gniewu i upokorzony, powiedział: – Genevieve na pewno mnie zrozumie, Krisztino. Ostatecznie jej syn podzielał moje poglądy pod tym właśnie względem.

– Gabor, proszę cię! – zaapelowała Ilona.

Genevieve siedziała nieruchomo, tylko to, że zbladła, świadczyło o wzburzeniu.

– *Monsieur Florian* – powiedziała. – Wszyscy błądzimy. Niektórzy gorzej niż inni. – Oczy miała szare, chłodne. – Mój syn popełnił swoją porcję błędów, być może więcej niż porcję, ale nie ma go tutaj, żeby się bronił.

Zamykając oczy, Ilona przeżegnała się, a Olivier w objęciach Krisztiny podniósł wrzask, krzepkimi nóżkami kopał wściekle matkę, gdy usiłowała go uciszyć.

– Nic z tego – powiedziała – muszę go zabrać na górę. Olivier, *chut!* – ofuknęła go wrzeszczącego wniebogłosy.

– Ilono – zaproponowała Genevieve – może pójdziesz z nimi? Zwykle ty jedna potrafisz go uspokoić, kiedy tak szaleje!

– Proszę się, mamó, chodź.

Ilona z powątpiewaniem spojrzała na męża, który, teraz naburmuszony, wpatrywał się w taras.

– Dobrze, Kriszti. – Niepewnie wstała i wyszły z dzieckiem, zamykając drzwi za sobą.

W ciszy tykał stary włoski zegar na parapecie kominka. Genevieve patrzyła na Gabora, na zgarbione malkontenckie ramiona, opuszczone kąciki ust i gniewne oczy za okularami.

Antypatyczny, pomyślała.

Zegar wybił piątą.

– A więc, Gaborze – zapytała zupełnie miło. – Jak my to rozwiążemy?

– Co mamy rozwiązać? – Nie spojrzał na nią.

– Ten... konflikt.

– Czy nie możemy poprzestać na różnicy zdań?

– Możemy, ale wolałabym mieć pewność, że to się już nie powtórzy. Bo to bardzo denerwujące dla nas wszystkich, zwłaszcza dla twojej żony, dosyć jeszcze nieodpornej.

– Dziękuję, o moją żonę sam się zatroszczę.

– Mam nadzieję.

Znów, jak nieraz, się zdumiała: mąż Ilony, ojciec Krisztiny, taki prostak. ‘

– Ale jedno musimy sobie dokładnie wyjaśnić.

Obrzucił ją spojrzeniem pełnym odrazy.

– Co mianowicie?

– Wiem, ile twoje uprzedzenia i ambicje kosztowały twoją córkę...

– To raczej nie twoja sprawa.

– Mylisz się, Gaborze Florian – powiedziała miażdżąco. – To się stało moją sprawą i kiedy zamieszkas w moim domu, będę chronić Krisztinę przed dalszymi przykrościami.

– Nie jestem pewny, czy chcę mieszkać w pani domu, *madame*.

– Oboje wiemy, że nie masz innego wyjścia, więc, proszę, wysłuchaj mnie.

Nic nie powiedział.

– Chyba możemy tu wszyscy żyć w zgodzie i grzecznie – ciągnęła – bylebyś zachowywał

swoje fanatyczne, nie do przyjęcia poglądy dla siebie. Czy wyrażam się jasno?

– Owszem.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się i z tacy na stole podniosła srebrny dzbanek z kawą. – Jeszcze filiżankę?

Na górze, w pokoju dzieciennym, Ilona osunęła się w fotel. – Tak bym chciała, Kriszti, żebyście ty i ojciec starali się zrozumieć nawzajem.

Krisztina patrzyła na synka, który, ledwie go położyła, głęboko zasnął.

– Nie wszystkie starania są możliwe, mamó.

– Też tak myślałam, dopóki nie spotkałaś się z nim w Wiedniu i nie zaprosiłaś nas tutaj. Wtedy nabrałam otuchy... – Ilona potrząsnęła głową.

Krisztina podeszła do niej i uklękła na dywanie.

– Przepraszam, mamó, nie możesz żądać ode mnie za dużo.

– Myślisz, że będziesz mogła z nim mieszkać?

Zawahała się, ale zobaczyła w oczach matki lęk.

– Myślę, że tak... mam nadzieję, że tak – umilkła na chwilę. – Mamó, ojciec musi zrozumieć, że ja już nie jestem dzieckiem, że jestem dorosłą kobietą, mam własne życie i dziecko. – Zaciśnęła usta. – I że dla mnie jego poglądy są wstrętne.

Ilona westchnęła.

– Gdyby tylko mi osłabienie minęło, mogłabym się z tym uporać o wiele lepiej, spróbowałabym go przekonać...

– Zawsze był zanadto dogmatyczny, żeby go przekonywać. I nie znosił krytykowania czegokolwiek, co mówił, co robił.

– Ale gdybym była bardziej sobą, mogłabym przynajmniej spróbować.

– Jeszcze masz za mało sił, mamó. To naturalne – powiedziała uspokajająco Krisztina.

– Ależ nie!... Ja już nie czuję się naturalnie! – Oczy Ilony były pełne paniki. – Czuję się tak, jakbym traciła wszystko, chociaż wiem, że nie tracę. Za taką czarną niewdzięczność Bóg powinien mnie ukarać.

– Utraciłaś dom, musiałaś wyjechać z kraju i byłaś ciężko chora. Nic dziwnego, że odczuwasz utratę.

– Przecież mam jeszcze męża i wnuka, i co najważniejsze, znowu mam ciebie... – Łzy Ilony popłynęły niepowstrzymywane. – Dlatego błagam cię, *dragam*, postaraj się jakoś dojść do porozumienia z Gaborem! Inaczej utracę cię po raz drugi, a wtedy chyba umarła! Chyba chciałabym umrzeć.

– Mamó, nie! – Straszny był dla Krisztiny ten wybuch zgryzoty. – Na pewno mnie nie utracisz... nigdy mnie nie utraciłaś nawet na sekundę przez te wszystkie lata rozłąki...

– Ale ja nie chcę znowu rozłąki!

– Ani ja nie chcę, kochanie, i to nam nie grozi, przysięgam. – Krisztina pogłaskała matkę po włosach, porządnie upiętych, zaczesanych do góry nad steraną, pomarszczoną twarzą. – Hotel wkrótce ukończą i będziemy mogły ciągle być razem.

Ilona znalazła w kieszeni chustkę do nosa, wytarła oczy i opanowała się.

– Przepraszam – powiedziała. Wstała chwiejnie, popatrzyła na Oliviera, dziecko porywcze, a tak spokojne we śnie. Zamyślona znów spojrzała na córkę. – Kriszti?

– Tak, mamó?

– Czy Gabor miał rację co do kapitana Huntera?

– W związku z czym?

– Wiesz dobrze, *dragam*. – Głos Ilony był znów spokojny. – Czy on się w tobie zakochał?

Krisztina nie spojrzała na nią.

– Nie wiem. Nigdy o tym nie mówił.

– Wątpię, czy powiedziałby na tym etapie. Jest Anglikiem.

Krisztina się uśmiechnęła.

– Jest pierwszym Anglikiem, jakiego znam... poza tymi jego dwoma sierżantami w czasie wojny.

– A ty? Jesteś w nim zakochana?

Potrząsnęła głową.

– Nie – zawahała się. – To znaczy nie w takim sensie, jak byłam zakochana w Davidzie.

– A w twoim mężu?

– W Laurencie nigdy nie byłam zakochana.

– Ano nie.

– William to bardzo szczególny człowiek, mamó. Jak rzadko.

– I frapujący – dodała cicho Ilona.

Krisztina przytaknęła.

– Te jego włosy są nadzwyczajne... – powiedziała – takie czerwonożłote, a przecież on nie ma piegów.

– I te oczy.

– Też ci się podobają? – zachichotała.

Ilona spojrzała na nią bacznie.

– Myślę, że zaczynasz go kochać, troszeczkę.

– Mamó, naprawdę nigdy nie myślę o nim w ten sposób. Tyle się zdarzyło, tyle wciąż roboty. Z całego serca jestem mu wdzięczna za to, co nam umożliwił... Nie chcę mylić wdzięczności z czymkolwiek innym.

– Słusznie – przyznała Ilona. – Ale nie zapominaj, Kriszti, że fundamenty dobrego małżeństwa to o wiele więcej niż idylliczna, namiętna miłość.

– Fundamenty małżeństwa? – Krisztina parsknęła śmiechem. – O czym ty mówisz, mamó? – Olivier się poruszył, więc zniżyła głos.

– O czym tu w ogóle my obie mówimy? Pojęcia nie mamy, co William myśli o mnie... ani nawet, czy w ogóle o mnie myśli.

William czekał.

Myślał – oczywiście, myślał o Krisztinie. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, gdy dziewczyna z *Resistance*, przyproceedziła go do zamku.

Przypuszczał, że w pewnym sensie zakochał się w nich obu – w Krisztinie i Genevieve, w dwóch odważnych, niezwykłych kobietach, gotowych narazić swój dom, a nawet życie dla trzech zupełnie obcych ludzi. O ile jednak miał zawsze być głęboko wdzięczny wytwornej Genevieve, o tyle Krisztina przede wszystkim oczarowała go swoją urodą. Myśl o niej nie odstępowała go przez długie noce w piwnicy i podtrzymywała na duchu przez niekończące się miesiące w obozie jeńców

wojennych, gdzie zaczął o niej marzyć i te fantastyczne marzenia, połączone ze wspomnieniami, dodawały mu sił w zimnym świetle ponad siedmiuset niemieckich dni.

Przyjeżdżał teraz do de Trouvere często – kiedy tylko miał czas i pretekst – więc sporo się dowiedział o Krisztinie. Widywał na jej ślicznej twarzy smutek i żal, i zniechęcenie, i gniew, bezbronność i siłę, a także determinację. Rzeczywiście się ucieszyły, gdy dyrekcja firmy jego ojca wypowiedziała się pozytywnie o projekcie hotelu, i był wprost uszczęśliwiony, gdy Krisztina po raz pierwszy poczuła się z nim dość swobodnie, żeby pocałować go w policzek.

Poznał jej rodziców, ujmującą matkę i kłopotliwego ojca, dowiedział się o Laurencie de Trouvere i o Davidzie Kaufmannie. I chociaż nagrobek na rodzinnym cmentarzu od czasu do czasu go mitygował, to właśnie mała złota plakietka niepokoiła go i wciąż powstrzymywała, przypominając, że Krisztina, chociaż jest wdową po baronie de Trouvere, nadal oplakuje Kaufmanna i jeszcze nie mógłby w jej życie wkroczyć inny mężczyzna.

William nie wiedział, czy kiedykolwiek przyjdzie na to czas.

Czekał.

Było upalne popołudnie w sierpniu przed zapowiedzianym przyjazdem Williama, który miał wpaść na kilka dni do de Trouvere po drodze do letniej willi rodziców w Villefranchesur Mer. I oto w życiu Krisztiny znów nastąpił dramatyczny przełom.

Spokojna, zadowolona rozłożyła na trawie duży, miękki biały ręcznik frote nie dalej niż dwadzieścia kroków od *temple d'amour* nad jeziorem. Popołudniowy skwar był lepki i duszny, ale już w czasie poprzedniej fali upałów odkryła, że w tym miejscu, osłoniętym wspaniale ciemną zielenią jodeł, jest stosunkowo chłodno.

Zdjęła kretonowy szlafrok, opalała się, a potem weszła do chłodnej, czystej wody jeziora. Wróciła odświeżona i położyła się na ręczniku. Owady brzęczały wokół, próbowały zbadać z bliska jej szybko schnącą skórę, jeszcze mokry biały kostium kąpielowy i uczesane na mokro włosy, po czym ulatywały między gościnniejsze kwiaty i trawy. Leżąc tak, sięgnęła do panter po pulchną śliwkę mirabelkę. Oprócz śliwek miała w tym koszyku jedną z pasjonujących jej teściową powieści Agathy Christie, żeby wzbogacić swoją angielszczyznę, grzebień, suchy drugi ręcznik i butelkę olejku do opalania.

Cześć i chwała, pomyślała leniwie, tu jeszcze lepiej niż nad Balatonem. Z uśmiechem przeciągnęła się jak kotka. Kto by w to uwierzył? Mam własny, prywatny Balaton!

– Czujesz się szczęśliwa?

Usiadła przerażona, serce jej zaczęło łomotać.

Gabor stał na schodkach świątyni. W białej koszuli z krótkimi rękawami, w dobrze skrojonych lekkich spodniach, które Ilona kupiła mu w Strasburgu na urodziny, opalony, zrelaksowany, wyglądał nieco młodziej niż dawniej.

– Ojczy! Przestraszyłeś mnie!

– Wybacz.

– Długo tu jesteś?

– Mniej więcej godzinę.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Siedziałem w cieniu i czytałem. A ty sprawiałaś wrażenie, że chcesz być sama.

– Bo chciałam.

– Wybacz – powtórzył. – Pójdę już.

Zawstydzila się.

– Nie idź, proszę. To tylko dlatego, że mnie zaskoczyłeś... Myślałam, że tu nie ma nikogo.

– Ja często tu przychodzę – powiedział.

– Tak?

– Tutaj trochę jak nad Balatonem, prawda?

Uśmiechnęła się.

– Owszem.

Powoli zszedł ze schodków.

– Gorąco dzisiaj. – Wyjął z kieszeni chustkę do nosa i wytarł czoło. – *Quelle chaleur*. – Zrobił minę.

– Coraz lepiej mówisz po francusku, ojczu.

– Kroczek za kroczkiem.

Krisztina nagle zdała sobie sprawę, że kostium nieprzyzwoicie ją oblepia, ale Gabor wpatrywał się w kremowy zamek daleko na wzgórzu.

– Więc kiedy to będzie? – zapytał. – To otwarcie?

– Na Gwiazdkę, miejmy nadzieję.

Czysto biały motyl usiadł na jej stopie i oboje się nie poruszyli, dopóki nie odleciał.

– Przynosi szczęście – powiedział Gabor. – Życzę ci szczęścia, Kriszti.

Zdziwiła się. Niewiele dobrych czy szczerych słów padło między nimi po tamtym przykrym zatargu w marcu.

– Dziękuję, ojczu.

Patrzył na nią.

– Spieczesz się.

– Nie.

– Wcale się nie nasmarowałaś.

– Nasmarowałam.

– Ale nie plecy. Barki masz zupełnie suche.

– Nie mogłam dosięgnąć. – Ugryzła się w język. Za późno.

– Pozwól, ja to zrobię.

– Nie trzeba, ojczu.

Wyraźnie zrobiła mu przykrość.

– Wiem, Krisztino, że już nigdy nie nazwiesz mnie tatusiem... wiem, że nie możemy zapomnieć przeszłości... ale czy już nigdy niczego nie mogę zrobić dla ciebie? Nawet takiej drobnostki? – Lekko się uśmiechnął. – Zawsze to robiłem, kiedy byłaś mała.

Przelotne wspomnienie upalnych letnich niedziel w ogródku na ulicy Kalvaria miało w sobie dawno zapomnianą słodycz. Pucharki z domowymi lodami, Miksa rozleniwiony, zdyszany w blasku słońca, tatuś, taki dobry i delikatny, smaruje ją kremem...

– Teraz jestem dorosła.

Zobaczyła wielki żal w jego oczach, zanim odwrócił się ze znużeniem, znów zgarbiony, podstarzały.

– Masz rację, ojczu – powiedziała szybko. – Jednak mnie przypieкло. – Wyjęła z koszyka i

podawała mu butelkę z olejkiem. – Proszę, tylko nie za dużo, żeby kostium się nie poplamiał.

– Dziękuję ci, Kriszti.

Usłyszała wdzięczność w jego głosie, więc była rada, że zmiękła. Przypomniały jej się lekcje religii: Bądźcie życzliwi dla siebie nawzajem, miejcie serca czułe, przebaczajcie. Niestety, nie dość, że nie jest pobożną katoliczką, nie jest nawet dobrą chrześcijanką, bo utraty Davida na pewno nigdy ojcu nie przebaczy.

Gabor zdjął z butelki nakrętkę i przykucnął na trawie za Krisztiną. Usłyszała ciche pluśnięcie, gdy wylał trochę olejku na dłoń, i wzdrygnęła się, gdy dotknął jej pleców pomiędzy łopatkami.

Czuła, jak ta dłoń, nacierając, ociągając się, sunie ślisko po jej plecach i powróciło jeszcze jedno wspomnienie, to, które prawie zaginęło wśród jego większych grzechów popełnionych przeciwko jej miłości.

– Taka jedwabista – powiedział Gabor cicho i na pewno poczuł pod palcami jej nagłą gęsią skórę, ale smarował dalej.

– Wystarczy, ojcie – powiedziała. – Dziękuję.

– Jeszcze tylko ramiona, *dragam*.

Suchą lewą ręką pociągnął ramiączko jej kostiumu. Zrobiło jej się mdło. Chwyliła za to ramiączko.

– Więc pośpiesz się, proszę, bo inaczej to na nic... Muszę wracać do domu.

– Jesteś tutaj dopiero od dwudziestu minut.

Obserwował mnie przez cały czas, pomyślała z obrzydzeniem. Podgląda mnie wstrętnie. Szarpnęła się i odsunęła.

– Kriszti, o co chodzi?

Odwróciła głowę do niego i zobaczyła jego oczy powiększone przez soczewki okularów. Wlepił je mimo woli w jej sutki sterczące w mokrym kostiumie.

– Powinnam być mądrzejsza.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Niewinnie – wycedziła – siedziałeś i czytałeś.

– Tak.

– Delikatny ojciec, którego córka krzywdzi...

– Nigdy ci tego nie zarzucałem, Kriszti.

– I nie nazywaj mnie Kriszti! – Zdawała sobie sprawę, że histeryzuje i powinna się opanować, ale powróciły dawne okropności.

– Łatwo zakazać – powiedział Gabor, wyraźnie do głębi zraniony. – Nazywałem cię Kriszti przez całe twoje dzieciństwo, kiedy ty nazywałaś mnie tatusiem.

– To było, zanim ukradłeś firmę Davida jak podły złodziej!!!

– Każde słowo Krisztiny chlastało. – Zanim zakazałeś mi się z nim widywać, chociaż jego kochałam! – Patrzyła ojcu w oczy.

– Nawet Laurentem posłużyłeś się dla swoich celów...

– Laurent posłużył się mną! – zaprotestował Gabor.

– Wiem dobrze, co Laurent zrobił, ale ty byłeś moim ojcem... powinienesz tylko chronić mnie i moją miłość.

– I uchroniłem ciebie. Tylko popatrz, co masz teraz! – Krzywo zatoczył krąg rękami. – To całe

piękno... i przecież kochasz de Trouvere, prawda?

– Może pokochałam, ale powinieneś pozwolić mi zostać w Budapeszcie i wyjść za Davida.

– Gdybyś wyszła za niego, prawdopodobnie już byś nie żyła.

– Może miałam do tego prawo, ojcze.

– Nie rozumiesz? – Usiłował argumentować. – Nadal muszę cię chronić, chociaż to do ciebie nie dociera... Jesteś nierozsądna, Krisztino... masz wszystko, a jeszcze wzdychasz do tego nieszczęsnego, zmarłego Żyda.

Przemożnie zapagnęła plunąć mu w twarz, z ogromnym wysiłkiem się powstrzymała.

– Naprawdę jestem ci potrzebny, *dragam* – mówił dalej.

– Do czego? Żebyś tutaj któreś nocy zakradł się do mojej sypialni, tak jak to zrobiłeś w domu?

– Znow skóra jej ścierpła na to ohydne wspomnienie. – Żebyś mnie obejmował po ojcowsku, kiedy przez cały czas chciałeś tylko... – Oczy miała suche, ale bolesne, rozdierające szloch zdławiły jej głos, wykrzywiły twarz.

– Boże, Kriszti, nie. Oczywiście że nie! – Gabor ruszył ku niej z otwartymi ramionami, z rękami wyciągniętymi błagalnie. – Sama nie wiesz, co mówisz!

– Myślisz, że zapomniałam o tamtej nocy?! – Szlochała tak, jak gdyby nagle pozbawiona swojej ciężko osiągniętej dojrzałości, znow była młodziutką dziewczyną, wrażliwą i przestraszoną.

– Właśnie to w końcu pchnęło mnie do odejścia... dlatego wyszłam za Laurenta, czy nie pojąłeś?

– Nie!

– Wiedziałaś, na pewno wiedziałaś! Postąpiłam tak, bo myślałam, że może ocalę Davidowi życie, . ale ty byłeś tą ostatnią kroplą... nie mogłabym zostać z tobą pod jednym dachem, bo nie mogłabym patrzeć w oczy mamie, a w żadnym razie bym jej nie powiedziała.

– Kriszti, och, Kriszti! – Niezdarnie podszedł i spróbował Krisztinę objąć.

Odsunęła się ze wstrętem.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła.

Nie ustąpił, jego silne objęcia były jak groźne, nieczyste okowy. Szamotała się gwałtownie, uwolniła prawą rękę i zamierzyła się na niego.

– Kriszti, przestań! – Przytrzymał jej nadgarstek. – Chcę tylko...

– Puść mnie! – Palce drugiej ręki wpiła mu w twarz. Krzyknął wstrząśnięty, ale zamiast się cofnąć, objął ją znowu.

– Puść ją, łajdaku!

Ten grzmiący głos zaskoczył ich oboje. Na twarz Gabora opadła zaciśnięta pięść, aż kłykcie zbieleły. Gabor zatoczył się, zaskowyczał z bólu i krew popłynęła mu z nosa.

– William!

William stał przy Krisztynie. W nieskazitelnych flanelowych spodniach i białych pantoflach wyglądałby jak spokojny angielski krykiecista, gdyby nie jego twarz tak nasrożona, że Krisztina prawie się złękła.

– Nic ci się nie stało? – zapytał ją, nie odrywając oczu od Gabora.

– Nic – wykrztusiła.

– Pan oszalał – kwilił Gabor. Muskając nos chustką, patrzył na plamy krwi.

– Właśnie, patrz pan na to! – palnął William. – To twoja krew, Florian. I więcej jej popłynie, jeżeli kiedykolwiek znow zbliżysz się do Krisztiny!

– Ale pan nie rozumie! Ona jest pomyłona... myślała, że...

– Wiem, co myślała, i przysięgam, że gdyby jej tu nie było, i gdyby nie wzgląd na jej matkę, już bym cię zabił!

– Pan oszalał!

– Są określenia... paskudne, plugawe określenia, takich jak ty, Florian.

– Co?! – Gabor zaczął przytomnieć. – Za kogo ty się uważasz, Hunter?

– Wiem dobrze, kim jestem. I bardziej do rzeczy, wiem, czym ty jesteś.

– Czym? – zapytał Gabor, czerwieniejąc jak przed atakiem apopleksji.

– Czym? – William podszedł, Gabor cofnął się szybko, znowu w panice. – Jesteś niegodziwym skurwysynem i mało tego, zboczeńcem...

– Zboczeńcem, ja?!

– William, proszę! – błagała Krisztina.

– Ona nawet nie jest moją córką!

Te słowa zawisły w powietrzu. Wydawało się, że świat znieruchomiał, nawet śpiew ptaków ucichł na długą chwilę osłupienia.

– No, nie jest! – Dalej zdradzał sekret Gabor, głupiejac w panice coraz większej. Na jego policzkach płomienie zgasły, zostały tylko dwa czerwone błazeńskie kółka. – Adoptowaliśmy ją, kiedy była niemowlęciem... Ukrywaliśmy to przed nią, ale to prawda. Święta prawda!

Krisztina wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, oniemiała ze zgrozy.

– Nie patrz tak, Kriszti! – błagał Gabor. – Nie miałem zamiaru ci powiedzieć... ale on mnie posądził... – szukał słów. – To bez różnicy... jesteś moją córką... naszym dzieckiem, tak jakbyś była naszym rodzonym.

Milczała, nie mogła mówić.

– Na Boga, Kriszti, proszę!

William pierwszy ochłonął. Ignorując trzęsącego się Gabora, łagodnie powiedział do Krisztiny.

– Chodź. Daj się stąd zabrać.

Nadal stała jak wryta, wpatrzona w Gabora.

– Jesteś w szoku. – Przymilał się do niej, jakby była dzieckiem. – No, już kochanie, chodźmy do domu.

– Nie. – Głos miała ochryply. Gorączkowo przeniosła wzrok na niego. – Nie do domu. Jeszcze nie!

– Dobrze – powiedział kojąco. – Więc gdzie indziej. Gdzieś, gdzie nie ma nikogo, i będziesz miała spokój, którego ci potrzeba. – Podniósł szlafrok i narzucił jej na ramiona, czując przez ten cienki kreton, jaka jest zimna i jak drży. – Chodźmy.

– Moje rzeczy.

– Przyjdę po nie później. Teraz przyniosę ci z domu coś suchego, żebyś nie umarła z przeziębienia.

– Nie – poprosiła. – Nie zostawiaj mnie!

– Dobrze. Pójdziemy do kaplicy... tam nikogo nie będzie. I zanim się spostrzeżesz, wrócę z jakąś garderobą.

Patrzyła na niego.

– Skąd się wzięłaś tutaj? – zapytała. – Spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro.

– Wyrwałem się wcześniej. Genevieve mi powiedziała, że poszłaś nad jezioro złapać trochę słońca.

Krisztina obejrzała się na Gabora. Stał cicho, wyraźnie zawstydzony, udęczony i pełen urazy.

– *Venez*. – Lekko trącił ją łokciem.

Dreństwo skinęła głową.

Jeszcze w godzinę później siedzieli w kaplicy, w pierwszej ławce. Krisztina kuliła się w wystrzępionym kaszmirowym pulowerze, który William szybko jej przyniósł ze swojej walizki w zamku. Zabierał ten stary, ale ulubiony pulower w każdą podróż, nawet do ciepłych krajów. Na czas, gdy Krisztina zdejmowała wilgotny kostium kąpielowy, odwrócił się tyłem, a gdy spojrzał na nią znowu, pomyślał, że jakkolwiek niefortunna to sytuacja, nigdy w całym swoim życiu nie widział piękności tak zmysłowej, jak ta nieszczęśliwa młoda kobieta w samym tylko za dużym, długim prawie do kolan, męskim swetrze.

– Właściwie nic się nie stało, wiesz – powiedziała.

– Wiem. – Odczekał chwilę. – Ale coś się stało przedtem, w przeszłości?

Przytaknęła bez słowa.

– Powiesz matce?

Spojrzała na niego przerażona.

– Oczywiście że nie.

– Nie, nie o tym. Tylko czy ją zapytasz?

– O to, co on powiedział?

– Tak.

Zapatrzyła się w rzeźbę na ołtarzu.

– Nie wiem. Jeszcze nie.

– Czy masz wybór?

Potrząsnęła bezradnie głową.

– To dziwne – powiedziała – w życiu jest wiele punktów... punktów zwrotnych, kiedy się myśli: tak musi być, to koniec dzieciństwa czy młodości, czy niedojrzałości... teraz jestem dorosła, teraz jestem mądrzejsza, odtąd już nie będzie wstrząsów. Ale ja jestem dorosła, Williamie, jestem matką, a wstrząsy są nadal, coraz ich więcej. – Wzruszyła ramionami. W oczach miała łzy. – Czy to się kiedyś skończy?

– Gdybym ja wiedział.

– Ale tak to wygląda lepiej, prawda? – zapytała z goryczą. – Tylko jeżeli on mówił prawdę, nawet nie wiem, kim rzeczywiście jestem.

William nie ufał sobie na tyle, by się poruszyć. Połączenie zapachów olejku, perfum i jej własnej, naturalnej wonności było prawie nie do zniesienia. Pragnął nade wszystko trzymać ją w objęciach, otrzeć się policzkiem o to niezwykle zagłębienie przy szyi, gdzie zaczyna się idealnie proste ramię, pocieszać ją pocałunkami – ale nie mógł bodaj wziąć jej za rękę.

– Wiesz doskonale, kim jesteś – powiedział ochryple. – Jesteś tą samą osobą, tą samą kobietą, którą byłaś dwie godziny temu.

– Czyżby? – zapytała słabo.

Do diabła z tym, pomyślał. Jej smutku również nie mógł już znieść. Nagłym zdecydowanym ruchem ujął ją za prawą rękę. To nie był prosty gest przyjaźni, to była deklaracja solidarności i coś

jeszcze: wyzwanie.

Czekał.

Na jej twarzy niczego nie odczytał, ani zdumienia, ani niezadowolenia, niczego w ogóle, chociaż tylko oczy jej dostrzegalnie ściemniały.

Dalej czekał.

Smukła ręka o długich palcach, zamknięta w jego dłoni, skrzyła się lekko i jak gdyby stwierdzając, że się nie uwolni, poddała się. Potem wolno i delikatnie Krisztina podniosła lewą rękę z kolan, ale tak zdecydowanie, jak on przed chwilą, i położyła na jego dłoni.

A więc przyjęła wyzwanie.

Dopiero teraz sobie przypomniał.

– Żał się poruszyć – powiedział – ale o mało nie zapomniałem, że coś mam dla ciebie. – Wyjął z kieszeni aksamitne pudełeczko i położył na jej lewym kolanie. – Otwórz.

Na czarnym aksamicie leżały kolczyki, dwa kwadratowe szafiry otoczone maleńkimi brylancikami w platynowej oprawie.

– Ale z jakiej racji? – zapytała.

– Nie podobają ci się?

– Czy mi się nie podobają? – W ustach jej zaschło ze zdumienia. – Są prześliczne... nie mogłyby się nie podobać.

– Więc nie siedź tak... przymierz.

Szybko usłuchała, ręce jej drżały. Odwróciła głowę do niego.

– Pasują?

Wpatrzył się w delikatne płatki jej uszu, przeniósł wzrok na czyste, bez zmarszczek czoło, prosty nos, usta, podbródek, szyję i niżej...

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytała niepewnie.

– Napawam się widokiem.

– Pytałam, czy mi pasują.

– Kolczyki?

– Tak, kolczyki.

Uśmiechnął się.

– A jak myślisz?

Siedzieli jeszcze przez jakiś czas. Zdenerwowanie trochę Krisztinie minęło i chociaż myślała przede wszystkim o tajemnicy, którą cisnął w nią Gabor, zdawała sobie sprawę, że jest jeszcze jedna zagadka do rozwiązania, o wiele mniej niebezpieczna i przecież bardzo miła.

– Krisztina...

– Tak?

– Jestem w tobie zakochany – powiedział ze ściśniętym sercem.

W kaplicy było bardzo cicho.

– Krisztina?

– Tak.

– Słyszałaś, co powiedziałem?

– Słyszałam.

– Więc co ty na to?

- Zastanawiam się.
- Czy mam to powtórzyć?
- Tak, proszę.
- *Je vous aime.*
- Trochę zbyt ceremonialnie – powiedziała cicho.

Słońce późnego popołudnia jaśniało wielkimi smugami na kamieniach podłogi, na drewnie i na nich.

- Wolałbym już wyjść – powiedział William.
- Już? – W głosie jej zabrzmiało rozczarowanie.
- Nie zapytasz dlaczego?
- Zapytam.

– Dlatego, że chcę cię pocałować. A tutaj jestem skrepowany. – Odczekał chwilę. – Masz coś przeciwko temu?

- Nie mam.

Pocałowali się przed kaplicą, ledwie drzwi za sobą zamknęli i... to był długi pocałunek, badawczy i zaspokajający – nie próba ani nie zderzenie ust, ufny, czuły, ciepły, rozkoszny.

Gdy w końcu niechętnie odsunęli się od siebie, William pełen ulgi, z sercem już lekkim, miał oczy tak wilgotne jak oczy Krisztiny.

Ilona zbladła, gdy Krisztina do niej przyszła.

- Matko Boska, jakże to? Czemu on ci to powiedział?

– Mieliśmy... wymianę zdań. – Krisztina postanowiła, że matka nigdy się nie dowie rzeczywiście przyczyny.

- *Jeszus Maria!* – Ilona wybuchnęła rozpaczą. Jak mógł powiedzieć... w gniewie...

- Może postąpił słusznie. – Krisztina była dziwnie spokojna.

- Słusznie? – Nawet w echu tego słowa brzmiało zaprzeczenie.

- Czy nie czas, mamo, żebym знаła prawdę?

Ilona nieomal skuliła się pod jej spokojnym wzrokiem.

- Powiesz mi teraz?

Zwiotczała.

- Powiem.

Czując się jak samotna pasażerka w małej łódce miotanej wichurą na wielkich spienionych falach, Krisztina słuchała. Matka – nie, osoba będąca dla niej rodzoną matką – opowiadała o bezimiennej młodej kobiecie, zamordowanej, wyciągniętej z jakiejś węgierskiej rzeki... i o Jozsefie Szabo, smutnoookim księdzu, który tylko mgliście przewinął się przez jej dzieciństwo... i... o dwojgu ludziach niezaspokojonych, niepełnych, niekompletnych, dopóki ich życia nie przeobraziło to, co uznali za dar niebios... i o szczęściu i udręce...

- Kriszti?

Prawie nie widziała Ilony.

- Tak, mamo?

Ilona drżała, przerażona, wyczerpana.

- O czym myślisz?

- Nie wiem. – Krisztina potrząsnęła głową. – Jakoś zdreślałam.

– Nie gniewasz się? – Opowiadając tę historię, Ilona wciąż walczyła ze łzami. Teraz łzy napłynęły do oczu. – Nie jesteś rozgoryczona?

– Nie.

– Nie poczułaś nienawiści do mnie?

– Za co? Za to, że mnie kochasz?

– Za to, że ukryłam przed tobą prawdę. – Ilonie w głowie się kręciło. To straszna wina. Ukrywałam? Jeszcze coś ukrywam.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Patrzyła na Krisztinę, przybita.

– Nigdy nie było powodu, odpowiedniej chwili. – Nabrała powietrza, przełknęła. – Tak bardzo nas uszczęśliwiłaś. Byłaś naszym dzieckiem. Nigdy nie pomyśleliśmy, że może pozbawiamy cię czegoś... kogoś.

– Mojej matki – wyszeptała Krisztina.

– Jej nie miałaś.

– A mój ojciec?

– Nie zdołałabys go odnaleźć, Kriszti. – Łzy się polały.

– Czy próbowaliście kiedyś?

– Jozsef próbował.

Krisztina bezradnie marszczyła czoło.

– Niczego nie dowiedzieliście się o niej? Czy ona była nikim?

Fakt, że w ukryciu jest gwiazda Dawida, palił sumienie Ilony jak potworna jakaś blizna i dołączyła się do tego okrutna ironia plakietki ku pamięci Davida Kaufmanna. Krisztina ma prawo wiedzieć, dręczyła się Ilona. Przez krótką szaloną chwilę, jak nieraz przedtem, pragnęła wyjawic ten sekret zachowywany od dwudziestu ośmiu lat. Ale zaraz jak zawsze przypomniła sobie Gabora i pomyślała o nazwisku de Trouvere, o tym zamku, gdzie nadal czasami czuła się intruzem, i o małym Olivierze, dwudziestym siódmym baronie, i o tych wszystkich antysemitach, którzy wciąż jeszcze są na świecie...

– Mamo? – Krisztina taka blada, tak strasznie chce wiedzieć. – Nie było nic?

– Nic – odpowiedziała Ilona definitywnie. – Nic a nic.

– I jak samopoczucie? – zapytał William Krisztinę później w *salon rouge*.

– Powinni byli mi powiedzieć – rzekła z pasją. – Chyba tylko to mnie w tym wszystkim martwi.

– Ale rozumiesz, dlaczego nie powiedzieli?

– Tak, oczywiście... tylko że moje zrozumienie tego nie naprawi.

Przyglądał się jej.

– Co z moimi prawdziwymi rodzicami? Jak ja kiedykolwiek dowiem się czegoś o nich?

– Nie dowiesz się? – powiedział łagodnie.

– Ano nie. – Przygryzła wargę. – Mama mówiła, że to były czasy oblędu na Węgrzech.

– Nie tylko na Węgrzech, kochanie.

– Co tego miała rację. Nie byłoby żadnego zapisu jednej maleńkiej ludzkiej tragedii, kiedy miliony ludzi umarły... miliony umierały.

Zmarszczył brwi.

– Ale logika ci nie pomoże, prawda?

– A co mi pomoże? – zapytała gorzko, ze znużeniem.

– Porozmawiaj z Genevieve.

– Mam obciążać ją jeszcze bardziej moimi problemami?

– Jest twoją najbliższą przyjaciółką.

– Tak, ale...

– I to bardzo mądra kobieta. – Umilkł na chwilę. – Myślę, że powinnaś sobie pofolgować. –

Wyciągnął rękę, tkliwie dotknął jej policzka, widząc, że usta jej drżą. – Wyładuj trochę swoje żale, wylej trochę łez, które powstrzymujesz.

Potrząsnęła głową.

– Już za dużo dzisiaj płakałam.

Przysunął się do niej na *dormeuse*.

– Jak ktoś kiedyś powiedział: na wszystko jest czas i miejsce. I wydaje mi się, Krisztina, najmilsza moja, że tak jak po kwietniu następuje maj, ten czas już przyszedł, a miejsce – przytulił jej głowę do ramienia – jest tutaj.

Prześcieradła?

– Pięćdziesiąt podwójnych, dwieście pojedynczych.

– Powłoczki?

– Dwieście z monogramami, dwieście bez.

– *Couvertures*?

– Tyle, ile prześcieradeł.

– Rondle?

– Dwanaście, różnej wielkości, połowa miedzianych, połowa srebrnych.

– *Cocottes*?

– Pięć.

– Żelazne patelnie?

– Siedem.

– Patelnie *sautet* – Pięć. I pięć do omletów.

– *Marmites*?

– Pięć. Aha, Marthe mówiła, że dwa razy na rok przyjeżdża druciarz do miedzianych.

– Andre, szampana przywieźli?

– *Oui, madame.*

– Pol Roger?

– Tak.

– PerrierJouet?

– Tak.

– I Cristal?

– Jeszcze nie, *madame.*

– Merdel – Zgadzam się, *madame*, ale na pewno dostawa będzie na czas przed otwarciem.

– Miejmy nadzieję. Chociaż chyba i tak powinniśmy się cieszyć, że w ogóle jakiś szampan został we Francji... Czy wiesz, Andre, że przed końcem wojny zniknęło ponad sześć milionów butelek?

– Szkopy mają za co odpowiadać, *madame.*

– Cliquot! Przywieźli?

– Wczoraj.

– Bogu dzięki!

I odbywała się dalej gorączkowa, chwilami szaleńcza inwentaryzacja, obejmująca każdy dział *Grand Hotel du Chateau de Trouvere*, całe jego wyposażenie aż do ostatniej ścierki w szafach, bielizny pościelowej i stołowej, *videpommes* w nieskazitelnej nowej kuchni, gdzie od pierwszego grudnia miał panować wyłącznie *monsieur* Luc-Alain Careme, który nosił nazwisko, jak Genevieve i Krisztina optymistycznie sobie powtarzały, tworzącego kulinarne arcydzieła na początku XIX wieku, największego kuchmistrza wszech czasów.

Szał organizacyjny, zdawałoby się, nie miał końca. Wszyscy w zamku co wieczór niemal padali z wyczerpania i zdenerwowania. Również i dlatego William nie pozwolił sobie posunąć dalej romansu z Krisztiną.

„Drugie stadium” ich przyjaźni już się rozwinęło tak czule i nieuniknienie, jak się zaczęło – bez

podstępów, bez gierki ani dwulicowości z jednej czy drugiej strony. William może się roznamiętnił, podobnie jak Laurent dwanaście lat przedtem, i może jak ten Francuz marzył o Krisztynie przez czas nieprawdopodobnie długi, zanim skorzystał ze sposobności, żeby się zdeklarować, ale na tym podobieństwo się kończyło. William Hunter ani nie usiłował, ani nie potrzebował Krisztyny posiadać, tylko po raz pierwszy w życiu pragnął cały oddać się kobiecie, dzielić z nią życie i samego siebie.

Dla Krisztyny to rozwijało się inaczej, a przecież rezultat był taki sam. Swoją miłość do Davida miała zachowywać w pamięci, nieskażoną, szaloną, pełną słodyczy, ale Davida przecież bezpowrotnie utraciła. Wreszcie mogła się z tym pogodzić i myśleć o przyszłości, którą już zaczęła sobie wyobrażać u boku tego solidnego, bardzo jednak romantycznego Anglika. On był tak romantyczny, że chciał miłości doskonałej pod każdym względem, łącznie z seksem.

– Kiedy przyjdzie na to czas – powiedział Krisztynie – będę wymagał, żebyś skoncentrowała się na nim, na nich obojgu, a nie na sztuccach czy piwnicy z winem, czy zapasach bielizny pościelowej.

Więc czekali jak dziewica i prawiczek na swój ślub mający odbyć się dwudziestego trzeciego grudnia w przeddzień otwarcia hotelu.

Gdyby Krisztina musiała w dwóch tylko słowach określić poślubienie Williama, powiedziałaaby: „pogodne” i „słuszne”.

Tym razem były dwie ceremonie: *manage civil*, którego im udzielił burmistrz Colmar, a potem ślub w kaplicy de Trouvere, gdzie w obecności rodziny i bliskich przyjaciół połączył ich węzłem małżeńskim *pere Perigot*.

Rodzice Williama i jego dwie siostry, Leslie i Wendy, asystowali ze łzami w oczach, ale godnie opanowani. Dona płakała, Genevieve chłonęła każdą sekundę chciwie, z wielką radością, Olivier dreptał tam i z powrotem pośrodku kaplicy i protestował jak zwykle rykiem, gdy Jeanne usiłowała go zatrzymać. A siedem, ni mniej, ni więcej, wilczarzy irlandzkich (w tym cztery szczeniaki, które Wenus urodziła we wrześniu) czekało na mrozie przed kaplicą, skomlać i niecierpliwie drapiąc łapami w drzwi.

Był tylko jeden niefortunny moment, gdy Gabor podał ramię Krisztynie, żeby ją poprowadzić do ołtarza, a ona odruchowo odwróciła od niego głowę i wzrok jej padł na plakietkę ku pamięci Davida.

Ale potem spojrzała na Williama, który czekał przed ołtarzem wyprostowany, opanowany, prawie piękny w smudze przedgwiazdkowego słońca. I zobaczyła kwiaty, białe lilie, klematysy i pastelowo-różowe róże, rozrzucone wszędzie, wyczarowane w zimie przez Genevieve, nie wiadomo skąd, i zobaczyła poprzez mgłę woalki twarze zgromadzonych gości, wyczekujących, podziwiających i chyba zadowolonych z tego ślubu. Tak więc w końcu odwróciła się od przeszłości, mogła nawet tolerować bliskość Gabora przez tych kilka pozostałych sekund. Szybko, zdecydowanie obciągnęła na sobie brzoskwiniowo-różową jedwabną suknię od Diora, uśmiechnęła się wyraźnie i pewnie, i podeszła do Williama, żeby stać się jego żoną.

Zamek wydawał się trochę niesamowity w to popołudnie i wieczorem, jeszcze niezupełnie hotel, już niezupełnie dom rodzinny, ale po pełnej metamorfozie w myśl planu Genevieve i Krisztyny. Patrząc z przelotnym żalem na świeżość holów i korytarzy, z których swojskie ślady odwiecznego zadomowienia bezpowrotnie usunięto, Krisztina przypominała sobie mądre słowa

Rabindranatha Tagore o „nowej melodii” i żal uleciał. Przyszłość się uśmiechała, lekko jej było na sercu w radosnym oczekiwaniu.

Nie mogło być podróży poślubnej, tym jednak Krisztina się nie przejmowała, bo przecież i tak oni w końcu będą naprawdę razem. Toteż zdumiała się, gdy z wybiciem godziny dziesiątej Genevieve poprowadziła ją z salonu do drzwi frontowych, gdzie ktoś już przyniósł jej neseser i futrzany płaszcz.

– *Qu'est-ce que c'est?*

Genevieve tylko się uśmiechnęła.

– *Bellemere*, co się dzieje?

– Jedziemy po prostu w podróż poślubną. – William w płaszczu z wielbłądziej wełny stanął nagle przy niej.

– O czym ty mówisz? Ja nie mogę wyjechać. Nie czas na to.

– Wiem. – Wziął neseser. – Chodźmy, Andre czeka w samochodzie.

– Idź, *dragam*. – Ilona, trzymając sennego Oliviera w objęciach, ukazała się jak wyczarowana z powietrza.

– Mamo! Ty także?

Genevieve pomogła Krisztinie włożyć futro.

– Spędzenie w domu pierwszej nocy po ślubie przynosi pecha.

– Nigdy o tym nie słyszałam. Wymyśliłaś to, *bellemere*.

– Idziesz? – William skierował ją do drzwi.

– Nie! Chwileczkę! – Nie chciała się ruszyć. – Muszę wstać o świcie, muszę być tutaj!

– Więc będziesz, *dragam*. – Ilona pocałowała ją w policzek. – Wszystko jest zorganizowane.

– Ale dokąd jedziemy?

William wyprowadził ją przed dom.

– Do lasu.

– Dokąd?

W sosnowym lesie na północ od zamku był mały domek myśliwski, jedna z wielu na terenie de Trouvere doborowych budowli, domków, pawilonów, świątyń, które pięknie harmonizowały z otoczeniem, ale stały od dawna z konieczności zaniedbane. Do tego domku wśród wysokich ciemnych drzew biegła od leśnej drogi ścieżka, Andre Sutterlin dowiózł tam Williama i Krisztinę.

– Nie rozumiem – mamrotała Krisztina, gdy Sutterlin poszedł z neseserem pierwszy i otworzył drzwi kluczem. – To przecież rudera.

– Tak, kochanie.

– Więc dlaczego mnie tu przywiozłeś? – zapytała logicznie – kiedy mamy cudowny apartament w zamku?

– Pytanie nawet rzeczowe.

Sutterlin, parując oddechem w mroźnym powietrzu, wyszedł z domku i wrócił do samochodu.

– A jaka będzie odpowiedź? – zapytała.

William uśmiechnął się.

– Romantyczność.

– Och!

– Będę jeszcze potrzebny, *monsieur*? – zapytał Sutterlin.

– Nie, Andre, dziękuję. Niczego nam tu nie brak.

– Przyjadę o ósmej rano.

– O szóstej – poprawiła go Krisztina.

– O siódmej – rozstrzygnął William.

Sutterlin usiadł przy kierownicy.

– *Bonne nuit, monsieur.*

– Dobrej nocy i dziękuję, Andre.

– *Bonne nuit, madame.*

Odjechał.

– Co teraz? – zapytała Krisztina. – Pająki? Myszy, być może. Boję się pomyśleć.

– Teraz – powiedział William – przeniosę cię przez próg.

– Jestem ciężka...

– Nie pleć. – Podniósł ją. – Zamknij oczy.

– A po co?

– Czy o wszystko musisz się kłócić, odkąd jesteśmy małżeństwem?

– Prawdopodobnie.

– Zamknij oczy.

Usłyszała, poczuła powiew mroźnego powietrza, falę ciepła i gdy drzwi się zamknęły, zapach, a raczej dwa zapachy.

– Co tu tak pachnie?

– Zobaczysz.

– Nie stawiaj mnie na podłodze.

– Dlaczego?

– Nogi mi odpoczywają, jak ani przez chwilę dzisiaj.

Postawił ją, ignorując jęki.

– Jeszcze nie otwieraj oczu.

Z zamkniętymi oczami dała się pociągnąć za rękę naprzód, a potem w lewo jeszcze parę kroków i usłyszała szum i trzaski. To jest jeden z tych zapachów – pomyślała – przynajmniej oczyścił komin.

– Otwórz oczy.

Otworzyła.

– *Dieu!*

– Podoba się?

Oniemiała.

Ten pokój wydawał się wyciosany, wyheblowany do połysku ze złocistej sośniny, rozświetlony blaskiem płomieni, które skakały na wielkim kamiennym palenisku kominka, pośrodku gołej pobielonej ściany. Na przeciwległej ścianie wisiał wspaniały gobelin, a całą kamienną podłogę pokrywał dywan w kolorze wina, tak puchaty, że Krisztina zapragnęła zrzucić swoje głupie jedwabne brzoskwiniowe czółenka na wysokich obcasach i zanurzyć bosa stopy w tym włosie.

– Krisztina?

Oczy miała ogromne.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– To cię zadowala, mam nadzieję. – Odczekał chwilę. – Mój prezent ślubny.

Jeszcze oszołomiona, kręciła głową.

– Tutaj jest tak bezpiecznie – wyszeptala.

– Tego właśnie się spodziewałem. To nasza przystań ratunkowa, kiedy w hotelu zrobi się za duży ruch, a my nie będziemy mogli wyjechać. – Znów wziął ją za rękę. – Rozejrzyj się. Po pierwsze: ta biblioteka. – Wskazał piękne mahoniowe półki za szkłem, na których już stały z rozmysłem wybrane książki francuskie, angielskie i węgierskie – Sheraton, prezent od Clemmie.

– Twoja mama o tym domku wiedziała?

William uśmiechnął się.

– Tak jak prawie wszyscy. Byliśmy pewni, że ty też się dowiesz, ale byłaś zanadto zajęta, żeby się czegokolwiek domyślać. A to – pogłaskał inkrustowany stół z drewna atlasowego – to Heppbewhite, prezent od taty.

– Cudowny prezent – wykrztusiła. – O wiele za hojny.

– A gobelin to Burne-Jones z serdecznymi życzeniami od Wendy i Leslie. I, jeżeli zechcesz mi towarzyszyć... – za rękę wyciągnął ją z pokoju do sionki i z sionki do kuchni schludnej, aż wszystko błyszczało. – Tu jest właśnie ten zapach, który poczułaś, kiedyśmy weszli.

Z okrzykiem lubości Krisztina podniosła pokrywkę dużego miedzianego *marmite* stojącego na wolnym ogniu.

– Oczom nie wierzę... *gulyas!* Ale jak?

– Twoja mama, oczywiście.

– Kiedy? Przez cały dzień była ze mną.

– Wczoraj. A dzisiaj dostarczyła to Marthe. Na naszą ucztę o północy. Jest i zastawa. – Wskazał srebrną tacę na sosnowym stole: porcelanowe talerze, sztucce i kryształowe kieliszki do wina.

– Kakiemon! – uradowała się, widząc tę cenną porcelanę ostatnio używaną w pamiętną noc przed laty, gdy William, Miller i biedny Eddie przyszli do de Trouvere. – I Pape-Clement także! To na pewno ręka *bellemere*.

– A kogóżby innego?

Oczy jej napęłniły się łzami wdzięczności.

– Tyle starania...

– Nie więcej, niż na to zasługujesz, Kriszti.

Ujęła twarz męża w obie dłonie.

– Ty jesteś o wiele, wiele więcej, niż zasługuję.

Zamknął oczy.

– Boże – powiedział drżącym głosem.

– Co takiego?

– Ty. Twoje ręce...

– Co z moimi rękami?

Uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

– Nic. – Objął ją w pół i przyciągnął do siebie. – Ale myślę, że to było dotknięcie, które złamało grzbiet wielbładowi.

– Nie rozumiem.

Teraz pałającymi oczami popatrzył na nią żarliwie.

– Żądza, moja kochana żono – powiedział. – Mówię o *desire* – przeciągnął ochryple to słowo.

Poczuła ćmienię, zsuwające jej się po rdzeniu kręgowym, jak gdyby on palcami nakreślał od ciemienia do kości ogonowej gorącą linię. Zadrżała.

– Czy tu jest jakaś sypialnia?

– Jest. Urocza.

– Więc mogę zobaczyć? Czy może mamy czekać do rocznicy naszego ślubu?

– A *gulyas*?

Pocałowała go w szyję przy podbródku, wiedząc, że to jego czułe miejsce.

– A *fenebe gulyasal* – szepnęła niegodziwie.

– Co to znaczy, na Boga? – Przechylił głowę i trącił ją nosem w ucho.

– Do diabła z *gulyas*.

W życiu Krisztiny było dotychczas tylko dwóch mężczyzn – z pierwszym przeżycie najczystsze, czarowne, zachwycające, z drugim seks bez obopólnej miłości i to ostatnie wtargnięcie, szpetne, barbarzyńskie.

Tej nocy, gdy w łóżku przytuliła się do Williama, pomyślała – zanim jej myśli zmaćło pożądanie – że los wreszcie jest dla niej łaskawy. Bo tutaj, w tym znakomitym łożu z baldachimem, mężczyzna i kobieta, dwoje równych sobie, są niezaprzeczalnie związani miłością. Osłania ich i umacnia pewność wzajemnych uczuć, gotowość do oddania, optymizm.

Kochali się tej nocy na trzech różnych płaszczyznach, na trzech planetach. Pierwszy raz twarzą w twarz, z oczami otwartymi, powoli, zręcznie, inteligentnie i radośnie, szukając i odkrywając, biorąc i dając, gdy soki w nich wzbierały, koniuszki nerwów mrowiły. Drugi raz połączyli się szaleńczo, chciwie, bez żadnych hamulców – serca ich łomotały, usta łaknęły, ręce i nogi się splatały, palce zagarniały, i osiągnęli szczyt jednocześnie, i wykrzyczeli swoją namiętność w nocną ciszę. A trzeci raz, jak gdyby już pojęli, czym istotnie jest małżeństwo, kochali się bardzo spokojnie i miło, dwoje ludzi, którzy wiedzą, że nie ma żadnych czających się duchów, żadnych cieni i żadnej potrzeby pośpiechu. Bo to tylko pierwsza z tych nieskończenie wielu nocy przed nimi...

O piątej rano Krisztinę obudziło dziwne szuranie. Cicho, ostrożnie, żeby nie obudzić męża, wstała z łóżka i nago podeszła do okna.

Odsunęła zasłonę. W zaskoczeniu jednak głośno sapnęła:

– Och!

William poruszył się, po omacku spróbował ją przytulić i stwierdzając, że jej przy nim nie ma, otworzył oczy.

– Kriszti?

Spojrzała na niego w półmroku.

– Nie chciałam ciebie obudzić, *cherie*.

– Co się stało?

– Nic. Chodź zobaczyć – szepnęła.

– Jest zimno. Wracaj do łóżka.

– Nie, naprawdę, chodź zobaczyć.

Z niechętnym pomrukiem odrzucił ciepłą kołdrę i podszedł. Przycisnął się do jej nagich pleców.

– Patrz – szepnęła. – *Reveillon*. Czyż to nie doskonałe?

Spojrzał znad jej ramienia i podskoczył lekko. Dwie pary dużych, przejrzystych, piwnych oczu wpatrywały się w niego przez szybę.

– Sarny – cieszyła się Krisztina. – Czyż nie są piękne? Na pewno nie posiadają się ze zdumienia, że ten dom jest zamieszkały po tylu latach.

– Kiedy zaczął padać śnieg? – zapytał William, też zdumiony.

Gdy przyjechali, niebo było gwiaździste z księżycem prawie w pełni, a teraz na ziemi już leżała cienka warstwa bieli. Śnieg padał bezszelestnie, zmieniając polankę i sosny wokoło w wigilijny obrazek jak w kalendarzu, przy czym sarny przydawały tej scenerii jeszcze więcej uroku.

– *C'est idylle*. – Krisztina aż westchnęła. – Tak genialnie znalazłeś to miejsce, kochany mój, najmiłszy.

– Wprawa – powiedział z satysfakcją.

Odwróciła się powoli i uświadomiła sobie rozkosz jego bliskości.

– Czy wiesz – szepnęła – że pachniesz cudownie, niezwykle, wspaniale?

– Naprawdę?

– Tak. – Oparła obie dłonie na jego piersi, przesunęła je po brodawkach, miękkim owłosieniu na pępek, po brzuchu i niżej. Palce jej, jak przyjaciele pragnący ciepła, połączyły się na jego erekcji.

Jęknął.

– Do łóżka!

– Dywan jest taki miękki. – Pociągnęła go.

– W łóżku lepiej – wymamrotał, całując ją w usta – i my to już nie dwudziestolatki.

– *Te mindent el rontasz* – poskarżyła się czule.

– Co?

– Psujesz zabawę.

Szybkim zdecydowanym ruchem podniósł ją w objęciach i przeczłapał z nią z powrotem do łóżka.

– Jesteś dziś bardzo węgierska.

Przytulona do niego, polizła go w ramię.

– Może to dlatego, że dziś jestem bardzo sobą.

– Świetnie. – Położył ją na kołdrze i przyklęknął nad nią.

Ogarnęła ich oboje prawie namacalna płomiennosc.

– Zmarnowaliśmy *gulyas* twojej mamy – szepnął przepraszająco.

– Mama zrozumie.

– Na śniadanie będzie łosoś. Bardzo szkocki. Moja kuchnia.

– Nie jesteś Szkotem.

– Ale kocham wędzone łososie z Arbroath... Leslie je przywiozła dla mnie.

Poczuła na piersiach jego ręce, znów łapczywe.

– Jak możesz w ogóle myśleć o jedzeniu w takiej chwili? – zapytała, wijąc się.

Odpowiedział z uśmiechem:

– Niektórych mężczyzn, moja miła, jedzenie pobudza.

Rozsunęła uda.

– Czy tobie pobudzenie potrzebne, William.

Jego palce szybko powędrowały pionowo w dół i wplątały się w jej ciepłe, jedwabiste kędziorki.

– Może nie – odpowiedział ochryple.

– Rzeczywiście?

Zamknął oczy i wśliznął się w nią. Westchnął przeciągle, z zachwytem.

– To jeszcze lepsze niż losoś – powiedział.

Z kroniki towarzyskiej Yvesa Perraulta w „Dernieres Nouvelles d’Alsace” 5 września 1948 r.

Radujmy się! Niech wspaniałe hotele zamki nad Loarą i grand hotele w Normandii i nawet na Lazurowym Wybrzeżu dobrze pilnują swoich wawrzynów, teraz mogę bowiem potwierdzić, że nowa gwiazda, która weszła na firmamencie *grandę luxe* osiem miesięcy temu, staje się na pewno świetnym przybytkiem rokującym nadzieję na trwałość.

Grand Hotel du Chateau de Trouvere, o którego otwarciu w dniu Bożego Narodzenia jeszcze niepewnie doniosłem, już ma zęby, rozprostował nogi i godny podziwu ruszył pełną parą naprzód, kompetentnie, z przekonaniem, przy czym nabrał dynamicznej pogody ducha, czym od razu ujmuje przybywających gości, przyjmując każdego na swe luksusowe łono.

Co to właściwie jest wspaniały hotel? Marzenie, pojęcie, światło wyobraźni i optymizmu zapalone przez jego twórców i przekazywane jak pochodnia olimpijska w biegu rozstawnym, żeby ostatecznie ten płomień służył jego bezspornym *raisons d’etre*, jego gościom.

Hotel de Trouvere chyba ma wszystko: dom, historię, dystynkcję i piękno – piękno przystosowane do hotelowych potrzeb przez inspiratorki, dwie *belle dames*, mające nienaganny gust, baronowe de Trouvere, z pomocą projektanta *signora* Alberta Giordano, któremu ze wszech miar należy się pochwała – zapierające dech malownicze okoliczne tereny, łącznie z winnicami rieslinga oraz pełen zaangażowania sprawny personel. Niewątpliwie szczerą ręką wydano wiele milionów franków na tę umiłowaną barokową budowlę, a jednak gość tam nie czuje się wśród pałacowych wspaniałości skępowany, raczej czuje się jak w domu, w domu z najmiłszych fantazji, w którym można rzeczywiście się odprężyć, popieścić psa (każdego z uroczej, przyjaznej sfory dobrze wychowanych domowych wilczarzy), z lubością dotykać dzieł sztuki i antyków wszędzie w zamku, nie lękając się ofuknięcia.

Na Boże Narodzenie przyjechałem tam w czasie zawiei śnieżnej i zastałem ogień na palenisku kominka nie tylko w sypialni i w saloniku, ale i w bezwstydnie hedonistycznej łazience. W zesłym tygodniu natomiast ciepłym blaskiem cieszyły nas zmasowane siły przyrody, chytrze tonującej bujność swych uroków, żeby umożliwić nam spokojne spacerunki i ożywcze przejażdżki konne. Przy obu okazjach powitał mnie Rene, sędziwy portier, który wprost dwoi się, będąc też *directeur des pares*, i dzieląc się swoim trzydziestoletnim doświadczeniem ogrodniczym w de Trouvere i wiedzą z pełnym zapałem zespołem młodych *jardiniers*. Faktycznie, większość kierowniczych stanowisk w tym hotelu piastuje stara, wierna rodzinie czeladź i, być może, to właśnie ci ludzie są duszą zamku i tchną serdeczną żarliwość w takich nowych pracowników jak Bertrand Leclerc, znakomity *maitre d’hotel*, wypatrzony gdzieś raczej w cieniu przez bystre właścicielki hotelu oraz groźny *chefdecuisine*, Luc – Alain Careme (możliwe, że potomek Marie-Antoine’a Careme’a, tego kolosa *cuisine française*), którego talent sprawił, że rozpamiętuję z wdzięcznością prawdziwe znaczenie słowa *restaurant* – wzmacniający!

Pytam jeszcze raz: co to jest wspaniały hotel? Oczywiście, nie ma prostej odpowiedzi. To jest sam ten dom, to są ci, którzy go prowadzą, to jest jego otoczenie, komfort, udogodnienia, jedzenie i wino, personel i ostatecznie to są goście, jakich przyciąga. Cokolwiek to jest, powtarzam, radujmy się, bo Alzacja nie tylko nie utraciła cennego historycznego zabytku, ale pozyskała nowego, cennego przyjaciela z całą świeżością przyszłości i dostojeństwem przeszłości.

Obowiązkiem krytyka jest chyba pilnowanie tego, co doskonałe, odrzucanie fałszu i miernoty i

witanie nowych ewenementów *chef d'oeuvre*. Więc teraz gorąco witam Grand Hotel du Chateau de Trouvere i oto moje dwie przepowiednie:

Pierwsza: wkrótce Guide Michelin do nielicznych elitarnych hoteli doda jeszcze jeden trzy gwiazdkowy. Druga: obie baronowe de Trouvere nie będą teraz spoczywać na laurach i zadowolone z siebie tylko patrzeć, jak ich wymarzone dziecko idzie samo swoją usłaną różami drogą. Ręcę, że będą utrzymywać drobiazgową, inteligentną kontrolę nad każdym aspektem swego hotelu, wspierane w tym przez świetny personel, zachęcane pochwałami szczęśliwych gości.

W cztery miesiące i sześć dni po lirycznym elaboracie Perraulta inna wiadomość, o wiele krótsza, ale chyba jeszcze bardziej triumfalna, ukazała się jednocześnie w „Derniere Nouvelles d’Alsace”, „Figaro”, „Timesie” i „Surrey Gazette”:

*William i Krisztina Hunterowie
zawiadamiają,
że urodziła im się córka Ella Clementine Ilona
10 stycznia 1949 r.*

Clinique Kleber, Strasburg, Francja Rzadko przychodzi na świat, przyznawały nawet przesyczone widokiem noworodków pielęgniarce na oddziale położniczym, takie dziecko od razu rzeczywiście prześliczne. Maleńka, ale bardzo krzepka, miała delikatną kremową skórę bez śladu zmarszczek i krostek, kalających doskonałość tyłu nowo narodzonych dzieci, oczy miała fiołkowiebieskie jak jej matka i w dodatku zadziwiające włosy.

– *Les cheveux sont divins!* – gruchała nad nią *soeur* Mathilde, kobieta w średnim wieku, zwykle powściągliwa. – Podobna na pół do matki, na pół do ojca... *quelle merveille!*

– Będzie piegowata, *pauvre petite* – przepowiadała *soeur* Joanne surowo, ale ze współczuciem, ponieważ zawsze uważała swoją nakrapianą cerę za klątwę skądinąd litościwego Boga.

– Ty jesteś marchewka – zbyła ją *soeur* Mathilde lekceważąco – a Ella to złocisty ogień.

Krisztina, po raz pierwszy widząc wspaniałe włosy swojej córki, zaniepokoiła się: czy to nie wróży wybuchowości – cechy już bardziej niż dostatecznie przekazanej genom Oliviera. Wkrótce jednak stwierdziła, że nie ma się czego obawiać. Ella była w takim samym stopniu spokojna, w jakim jej przyrodni brat był niesforny – nie potulna i na pewno nie bierna, ale jakoś pobłogosławiona cudownym spokojem.

Już po kilku tygodniach zaprezentowała uśmiech, z którego promieniowało ciepłe zadowolenie na każdego, kto szczęśliwie był w zasięgu. Uciekały wszelkie cyniczne myśli. Zdenerwowanie, przygnębienie mijało, gdy Ella się uśmiechała, a gdy śmiała się, zanosząc perlistym chichotem, każdy śmiał się razem z nią. Gdy płakała, zresztą bardzo rzadko, każdemu ścisnęło się serce.

– To tak jak z tymi *saucés mousselines* LucAlaina – oświadczył William po jednym z posiedzeń z córeczką. – Inni kucharze potrafią zrobić sos identyczny, a przecież to wcale nie będzie to samo. Zapewne inne niemowlęta też się uśmiechają, ale uśmiech Elli to zupełnie inna sprawa.

Olivier zrobił największą niespodziankę.

Wszyscy, szczególnie Krisztina, spodziewali się brzydkiego manifestowania zazdrości, a tymczasem ten czterolatek uwielbiał swoją siostrzyczkę od pierwszej chwili, gdy zostali sobie przedstawieni, przytulał ją, pieścił i troszczył się o nią wprost rozczulająco.

Po ślubie William, tak jak się o to postarał, urzędował na Avenue George V w Paryżu. Tam zawiadywał teraz francuskimi interesami Domu Huntera i planował rychłe otwarcie szwajcarskiej filii z siedzibą w Zurychu. Nadal jednak jego praca wymagała wyjazdów za granicę częściej, niż on i Krisztina by sobie tego życzyli.

Te nieuniknione wyjazdy, nieraz na cały tydzień, pociągały też za sobą irytujące skutki w hotelu. Zarząd Domu Huntera cały, co do jednego, bardziej skłonny do sceptycyzmu niż ojciec i syn

Hunterowie, wnikał w sprawy hotelu zanadto, zdaniem Williama, Krisztiny i Genevieve, zabierając im cenny czas pytaniami, sprawozdaniem rachunków, liczbą rezerwacji i krytycznymi uwagami.

Tak to więc członek zarządu nazwiskiem Bradley, przebywając kilka dni w de Trouvere, natknął się na Ilonę płaczącą bez opamiętania w bibliotece. Myśląc, że ona jest gościem hotelowym, wezwał Andre Sutterlina. Gdy dowiedział się, że Ilona należy do rodziny, poskarżył na nią Williamowi. William zapewnił go, że nie ma się czym przejmować, ale Krisztinę rozjątrzyła niedelikatność Bradleya.

Rzeczywiście, Ilona po operacji nie odzyskała w pełni dawnej pogody ducha i wciąż jeszcze tęskniła do ojczyzny, w której komuniści mocno dokręcili śrubę. Ostatnio czuła się tak, jakby swoją tożsamość, swoją indywidualność, zostawiła w Budapeszcie, i u boku niekochanego męża żyła tylko dla Krisztiny i wnucząt.

– Martwię się o twoją mamę – powiedziała Genevieve Krisztynie wkrótce po incydencie w bibliotece. – Dziwnie odcina się od nas i od rzeczywistości. – Zmarszczyła czoło, zatroskana. – Doskonale rozumiem, jaką pociechą jest modlitwa, ale ona przesiaduje w kaplicy prawie codziennie całymi godzinami.

– Naprawdę tylko to ją teraz pociesza, *bellemere*.

– Zapalanie świeczek z myślą o przeszłości może pocieszyć, owszem, ale ona nie chce patrzeć w przyszłość, *cherie*. Andre też się o nią martwi, wiesz. Mówił mi przedwczoraj, że niektórzy goście pytają go o „tę panią w czarnym welonie”... zaniepokojeni, że taka nieszczęśliwa.

– Odpowiada im, mam nadzieję, żeby pilnowali własnego nosa – palnęła Krisztina.

– Z pewnością, i chwała Bogu, tak im nie odpowiada. Mamy tu hotel, Krisztino. Nie możemy o tym zapominać.

– Mamy tu także dom rodzinny i ja zawsze będę stawiać dobro mojej rodziny na pierwszym miejscu.

Genevieve łagodnie upomniała synową:

– Ze względu na zarząd Huntera jednak uważam, że roztropniej zachowywać umiar niezależnie od naszych uczuć.

– Czego oni chcą od nas? – zapytała Krisztina. – Pokoje są zarezerwowane od miesiąca. Na Boże Narodzenie i na Nowy Rok już mamy komplet. Bertrand mówi, że miejscowi próbują dawać łapówki za stoliki...

– Myślę, że chodzi o zyski – powiedziała Genevieve.

– Zyski będą najwcześniej za trzy lata, o czym oni dobrze wiedzą.

– To jednak ich nie zniechęca do pomagania nam, żeby hotel zaczął być dochodowy możliwie jak najprędzej.

Oczy Krisztiny błyszczały determinacją.

– Będzie, *bellemere*, gwarantuję. Tylko że osiągniemy to po swojemu, a nie na ich sposób.

W grudniu, gdy Krisztina dowiedziała się, że w drodze jest następne dziecko, wyłoniła się potrzeba wykombinowania więcej pokoi dla rodziny.

Alberto przyjechał w styczniu.

Od razu wziął pod uwagę dwa pawilony, przyłączone do zamku z północnej strony przewiewnymi jasnymi galeriami. Dotychczas były tylko ładnym przedłużeniem głównego budynku, ale teraz zdecydował, że będą idealnym rozwiązaniem.

– Są o wiele za małe – protestowała Genevieve.

– Nie o wiele.

– Za małe, to za małe.

– Nie, jeżeli je powiększymy.

– Przedłużyć je? – Nawet Genevieve się zdenerwowała. – Alberto, więc jeszcze nie rozumiałeś, że mowy być nie może o naruszeniu zasadniczej konstrukcji de Trouvere?

– Nawet dla ulepszenia?

Krisztina zmarszczyła czoło.

– Przecież zawsze nam mówiłeś, że wszystko tu jest doskonałe.

– Niezupełnie wszystko, *signora*.

Siedzieli jak zwykle w *salon rouge*, pili kawę i jedli przepyszne *tartes aux fraises*, dzieło ich *patissier*. Teraz William wstał z fotela, patrząc na Giordana wyzywająco.

– Ponieważ pan chyba zawsze ma rację, może zechce pan powiedzieć, jakich to usterek ród de Trouvere nie zauważał przez bite sto lat.

– Z przyjemnością. – Alberto odsunął talerzyk z nietkniętym ciastkiem. – Właśnie tych pawilonów.

– Co w nich złego?

– Są wrzecionowate jak nogi niedożywionej panienki.

Nikt się nie odezwał.

– A powinny być mocne, dojrzałe, jak nogi odpoczywającej wielkiej kurtyzany.

Krisztina się uśmiechnęła.

– Nigdy nie myślałam o nich w ten sposób.

– Również i te galerie... są urocze, oczywiście... ale sprawiają, że *padiglione* wydają się doczepione do zamku, chociaż – powinny być nieodłączne. – Po chwili Giordano dodał: – Myślę, że kiedy je bardzo pieczołowicie powiększymy, one staną się elementami całości i zarazem odosobnionymi wygodnymi mieszkaniami.

William spojrział najpierw na Genevieve, a potem na żonę. Wobec ich akceptacji popatrzył znów w czujne, żywe oczy projektanta.

– No – powiedział – jeżeli pan tak to ujmuje, cóż możemy powiedzieć?

– Mogą państwo powiedzieć: zgoda.

– Czy to da się ukończyć przed sierpniem?

Giordano promiennie uśmiechnął się do jeszcze smukłej Krisztiny i odpowiedział:

– *Naturalmente*.

William też się uśmiechnął.

– A więc zgoda.

Plany Alberta miały ten wielki plus, że zawsze były tak samo dobre w praktyce, jak w teorii.

Zadziwiająco bez żadnych zakłóceń w życiu hotelu zachodni pawilon dwudziestego drugiego lipca stał się domem Genevieve, Ilony i Gabora. A wschodni, na zewnątrz nienaruszony, ale wewnątrz rozrośnięty, jak gdyby ściany były z gumy, zapewniał Hunterom wszystko, czego potrzebowali – zmieściło się tam nawet małe studio do tańca, mające zastąpić Krisztynie ukochaną salę lustrzaną, która teraz była oczywiście hotelowym salonem.

Dwudziestego trzeciego sierpnia Orion, najstarszy z wilczarzy, zasnął na zawsze. Nazajutrz po

południu Giselle, jedna z młodych suk, nie tak spokojna jak jej bracia i siostry, rozbrykała się na alei wjazdowej i wpadłszy pod czarnego mercedesa, poniosła śmierć.

– Jeszcze coś będzie złego – denerwowała się Krisztina, rozstrojona utratą tych dwojga.

– Na pewno nie – uspokajał ją William.

– Mówi się, że nieszczęścia zawsze chodzą trójkami.

– Nigdy nie byłaś przesądna, kochanie – powiedział William. – W każdym razie Orion był bardzo stary i umarł we śnie. Tego nie możesz nazywać nieszczęściem.

– Chyba nie. – Westchnęła. W oczach miała niepokój. – Głupieję przez tę ciążę.

W dwa dni później duże antyczne lustro w holu, nie wiadomo dlaczego, spadło ze ściany i stłukło się na tysiące kawałków.

– No, przynajmniej tę twoją trójkę mamy już szczęśliwie z głowy – żartował William, gdy Krisztina zastała go przy zmiataniu szczątków.

– Boże drogi – wyszeptła.

Wyprostował się, widząc, jak zbladła.

– Co takiego?

– Siedem lat nieszczęśliwych.

Uśmiechnął się.

– Następne bzdurne przesady, kochanie.

– Czyżby? – Chwyciła się za swój napęczniały brzuch obiema rękami i zamknęła oczy. –

Jeszus Maria – wymamrotała. – *Istenem segits rajtam.*

– Co to znaczy?

Otworzyła oczy i zobaczył w nich niemy lęk.

– Modłę się o nasze dziecko.

Objął ją.

– Nasze dziecko ma się świetnie, Kriszti.

– Nie jestem tego pewna.

– Z powodu lustra? Nie jesteś zbyt mądra, kochanie.

– Wiem – powiedziała.

Siedem lat, pomyślała, drżąc.

Trzydziestego sierpnia o trzeciej po południu, gdy Krisztina w recepcji rozmawiała z Sutterlinem, wody zaczęły odchodzić.

Syn, silny i zdrowy, ważący osiem funtów i sześć uncji, urodził się już w cztery godziny potem – kompletny, z dziesięcioma paluszkami rączek i dziesięcioma nóżek.

– I akurat zdążył na kolację – powiedział jego ojciec, zachwycony. – Prawdopodobnie będzie smakoszem.

Krisztina patrzyła na zawiniątko, które trzymała w ramionach, wzrokiem pełnym niedowierzania.

– Tyle włosów – cieszyła się – i naprawdę rude, jeszcze bardziej rude niż twoje.

– Jest przebojowy – rzeczowo stwierdził William. – Dzięki Bogu.

Łzy ulgi ściekały z jej policzków.

– Tak bardzo się bałam.

– Wiem, kochanie, ale już po wszystkim.

– Taki jest pomarszczony – wyszeptała – jak wszystkie noworodki, a ja zawsze myślałam, że moje są zupełnie inne.

William delikatnie pogłaskał małeńki paluszek śpiącego synka.

– Jesteśmy zdecydowani, że Michael?

– Chyba. – Pocałowała miękkie, ogniste włoski. – Michael Armand Robert.

William uśmiechnął się.

– Tata będzie uszczęśliwiony.

Pielęgniarka w wykrochmalonym kitlu, serdecznie macierzyńska, wbiegła do separatki.

– Teraz damy dzidziusiowi trochę się przespać, dobrze? I *maman* też potrzebuje *snu, n'est-ce pas?*

Niechętnie Krisztina przekazała błogo drzemiące dziecko w jej bezpieczne, pulchne objęcia.

– Nazwiemy go Michael, *soeur* Julie. – Pielęgniarka się rozpromieniła.

– *Un petit Anglais.*

– Jego brat i siostra będą chcieli go odwiedzić, kiedy tylko to możliwe – powiedziała Krisztina.

– Już nie mówiąc o dziadkach. – Tak jak w przypadku Elli samo przez się było zrozumiałe, że Genevieve jest babcią tego małego również, nie inaczej niż Ilona i Clementine Hunter.

– Jutro rano – zarządziła *soeur* Julie. – Pierwszy wieczór jest dla papy... tamci wszyscy mogą przyjść jutro.

Chłopczyk, zanim ukończył pierwszy miesiąc życia, miał, ni mniej, ni więcej, tylko cztery imiona. Mischa dla siostry, Michel dla Genevieve, a dla Ilony i Gabora Mihaly. Tylko dla Krisztiny i Williama pozostawał Michael, przy czym William nieraz nazywał go Mike.

Wszyscy go wielbili. Gdy Olivier od urodzenia przejawiał temperament, ten mały po prostu czarował swoją spokojną, czystą niewinnością.

Wszyscy go wielbili.

Z wyjątkiem Oliviera. Ellę Olivier pokochał od pierwszego dnia, natomiast Michaela przyjął nieufnie. Michael był chłopcem. Intruzem. Zagrożeniem. Olivier nie cierpiał przyrodniego brata.

W pierwsze urodziny Michaela William chciał sfotografować grupę rodzinną.

– Całuj braciszka, Ollie! – zawołał.

Olivier obejmował ramieniem Ellę.

– No, Ollie, stań przy Michaelu.

Sześciolatek ani się ruszył. Ustąpił dopiero, gdy William mu kazał.

– *Allez, cheñe* – zachęcała Krisztina. – Uśmiechnij się.

Wyszczrzył zęby niechętnie.

– I pocałuj brata, jak tatuś ci powiedział.

Przyparty tak do muru pochylił się i cmoknął Michaela w pizaty policzek.

– Tak lepiej. Objemij go. – William postawił aparat.

Pełen dziecięcej urazy Olivier, obejmując małego lewym ramieniem, szybko, ale mocno go uszczypnął.

Michael się rozplakał. Krisztina wzięła go na ręce, z fotografowania nic nie wyszło.

Olivier się uśmiechał.

– Myślałam, że Ella go zmieniła – powiedziała Krisztina później w tamten wieczór, gdy dzieci już spały, hotel szumiał swym wieczornym życiem, a Hunterowie i Florianowie zebrali się w

salonie Genevieve na kieliszek do poduszki.

– On się przystosuje. – William nalewał koniak.

– Ale kiedy Ella się urodziła, nie mieliśmy z nim żadnych takich kłopotów.

– O Ellę nie był zazdrosny – zauważyła Genevieve.

– Dlaczego miałby być zazdrosny o Mihaly’ego? – zapytała Ilona niespokojnie.

– Ella nie jest rywalem. Jest dziewczynką.

Krisztina potrząsnęła głową.

– To naprawdę się nie klei, *bellemere*. Olivier już wie, jaki ma tytuł, i wie, że Michael nazywa się Hunter, a nie de Trouvere.

– *Exactement*.

– Jak to?

– Olivier uwielbia Williama, ale William nigdy nie będzie jego ojcem.

– Przecież traktuje go jak syna.

– Wiadomo, ale nasz Olivier nie podchodzi do życia tak po prostu. – Genevieve się uśmiechnęła. – Nie jak Ella, która wierzy w to, co widzi, i ufa każdemu. Olivier chlubi się swoim nazwiskiem, a jednak pragnie być Hunterem.

William przytaknął.

– Pytał mnie niedawno, czy nie powinien mówić mi *beau – pere*, a nie papa. Powiedziałem mu, że jestem jego papą, ale on chyba dalej się tym gryzie.

– Te rodziny – mruknął Gabor z kąta.

– Co z rodzinami, Gabor? – zapytał William dobitnie.

– Im są większe, tym więcej w nich problemów.

– Więc co mamy zrobić? – ignorując Gabora, zapytała Krisztina. – Traktować Oliviera jakoś specjalnie?

– I rozwijać w nim przekonanie, że jest inny niż wszyscy? – William potrząsnął głową. – O nie! Tylko byśmy z niego zrobili znerwicowanego pieszczocha.

– Nie należy zwracać na niego szczególnej uwagi – powiedziała Genevieve.

– Ale jeżeli jest nieszczęśliwy, chyba trzeba jakoś mu pomóc? – Hona bardzo się przejęła.

Genevieve pogłaskała ją po ręce.

– Olivier jest otoczony miłością i wie o tym. – Znów się uśmiechnęła. – A dziecko najmłodsze z trojga nieraz jest ostatnie, więc niańczone dłużej niż inne dzieci. Może z tego powodu budzić urazę.

Krisztina się rozrzewniła.

– Michael ma zaledwie rok, *bellemere*. Nie chcemy, żeby dorósł zbyt prędko.

– Będzie dorastać w takim tempie, jakie jemu odpowiada – powiedział William. – Genevieve ma zupełną rację. Musimy dać im czas i niech Michael podrośnie trochę, zacznie się stawiać. – Usiadł i odetchnął. – Myślę, że możemy zdać się na nich, sami to rozpracują.

Wszyscy troje rośli.

Niczym uparte, nadzwyczajne zielsko Olivier, Ella i Michael rozrastali się bujnie, kości im się wydłużały, mięśnie wzmacniały. Oczy mieli czujne, wszechwiedzące. Ich głosy kipiały podnieceniem, umysły łaknęły i piły jak nałogowi pijacy, wchłaniały wszystko wokoło jak ruchome gąbki.

Osobom postronnym, może nawet wyrafinowanym gościom drzemiącym w apartamentach Chateau de Trouvere, prywatne mieszkania rodziny, te odgraniczone od hotelu kremowe kamienne skrzydła zamku, mogły się wydawać jakąś baśniową krainą, daleko poza pospolitą rzeczywistością i ziemskimi kłopotami.

Jak w wielu żywych bajkach, to było na pół prawdą, na pół fikcją. Krisztina, na przykład, wiedziała, że jest bardzo szczęśliwa, rozumiała, jak łaskawy okazał się dla niej los, ale uważała się za kobietę ciężkiej pracy, zbyt zajęta, żeby przebywać dostatecznie dużo ze swymi dziećmi czy z mężem. A troje smyków znało tylko życie de Trouvere.

– Pora na spacer, dzieci.

Tak brzmiał rozkaz panny Herrick, który w pokoju szkolnym w zachodnim skrzydle słyszeli dwa razy dziennie.

– Ale jest zimno, proszę pani.

– Nonsens, Olivier. Idźcie po płaszcze i nie zapomnijcie włożyć botów i szalików.

– Mischa kicha – zgłosiła Ella. «

– Michael zawsze kicha, kiedy się ściera z tablicy. To ten pył kredy.

– *Mais, madame* – zaprotestował najmłodszy, który rzeczywiście lubił spacerować, ale w każdej sprawie popierał starszego brata i siostrę.

– Mów po angielsku, Michael, i zechciejcie łaskawie zrobić, co się wam poleca.

– Dobrze, proszę pani.

Już od trzecich urodzin Michaela mocno stąpali po ziemi nie tyle w szykownych, ile w praktycznych brytyjskich półbutach, sandałach i botkach pod okiem Annabel Herrick, angielskiej guwernantki, którą z jej rodzinnego Devonu sprowadzili William i Krisztina, decydując, że ich dzieci powinny pobierać podstawowe wykształcenie w domu.

Annabel Herrick, tylko o pięć lat starsza od Krisztiny, teraz trzydziestodwuletnia, miała lekko kręjące się brązowe włosy, czystą cerę bez makijażu, talię jak osa i zgrabne kształty, obleczone niezmiennie w jaegerowskie spódnice i swetry – bliźniaki. Aż za dobrze wiedziała, że jej podopieczni łatwo mogą się przedzierać w antypatyczne, rozpieszczone bachory. Mały baron już był chłopcem bardzo samowolnym, toteż uzgodniła z ich rodzicami taktykę dosyć twardej dyscypliny, takiej jednak, by zostawało im trochę swobody, czas na odprężenie, serdeczność i zabawę.

Rozkład lekcji był przypięty do tablicy w pokoju szkolnym, ale oni z góry znali prawie każdą minutę całego dnia powszedniego i wcale im się to nie podobało.

Po śniadaniu, pożywnym i zdrowym, które musieli zjeść do ostatniego kęsa, dostawali okropny, wstrętny tran. Lekcji panna Herrick nigdy nie przerywała, nawet gdy William wracał z podróży z prezentami. Spacerować były przymusowe dwa razy dziennie – i tylko jeżeli padał rzeczywiście ulewny deszcz, kończyło się na jednym spacerze. Po południu następował obrzęd podwieczorku – od czasu

do czasu angielskie smakołyki, takie jak kanapki z ogórkiem czy trójkątne placki z dżemem truskawkowym, ale najczęściej tylko mleko i chleb z masłem. A spać kładli się – to była zasada przestrzegana najsurowiej – Olivier o godzinie ósmej, Ella o siódmej, a Michael o pół do siódmej.

Niedziele miały przyjemniej poza tym, że musieli być niewygodnie ubrani odświętnie i modlić się w kościele, ale cały tydzień wynagradzały soboty, wspaniałe soboty, wypisane w kalendarzach ich umysłów jaśniejącymi wielkimi literami. W sobotę mieli tylko jedną lekcję rano, na obiad jedli to, co chcieli (w granicach rozsądku), urządzali sobie piknik, gdy była ładna pogoda, błogo, bez skrępowania uganiaли się z psami po łąkach i zamiast wcześniej pójść do łóżek, jedli kolację z dorosłymi.

Chociaż dyscyplina nigdy nie ustawała, często znajdowali sposoby, żeby się spod niej wymknąć i psocić, przy czym prowodyrem niezmiennie był baron, mając Ellę, swą odważną uczennicę u boku, a mały Michael, chętne popychadło i satelita, deptał im po piętach.

Z coraz większym zapamiętaniem Olivier płatał figle, a miał komu: cały hotel z gośćmi i nieduża armia personelu był dla niego polem do wyładowania energii.

Telefon na biurku Andre Sutterlina co najmniej raz na tydzień zapowiadał dzwonieniem wiadomość o najnowszym łożu – trostwie tych *enfants terribles*...

– Szyszki jodłowe?

– Mój mąż ma słabe serce, Andre. To był dla niego straszny wstrząs.

– *Madame*, te szyszki są przy kominkach, żeby dorzucać do ognia dla zapachu.

– Więc czy same, na Boga, weszły pod nasze prześcieradła?

– Andre, wezwij *docteur* Schaeffera!

– Do kogo, Bertrand?

– Do wszystkich, którzy zamówili *consomme*.

– Zatrucie pokarmowe?

– *Chef* Careme wychodzi z siebie... omal nie zamordował *en – tremetier!* – *Och, mon Dieu!* –

Co, Andre?

– Znowu ten tran?

– Możliwe.

– Wezwę doktora.

– Lepiej ukryj gdzieś dzieci – jeżeli Careme je znajdzie, jutro będzie rosół na ich kościach!

– *Andre, przyjdź na drugie piętro, vitel – Pourquoi, Marthe?*

– Słyszę krzyki w jednym apartamencie.

– *Je viens tout de suite.*

– Nie, zaczekaj, Andre... sekundę. *Monsieur* Sondheim właśnie stamtąd wychodzi.

– Marthe?

W słuchawce cisza.

– Marthe?!!

– Andre, gdzie są te dzieci?!

– A bo co?

– Żaby! W wannie, w bidecie, skaczą wszędzie!

– Merdel – Właśnie, Andre. Proszę, czy możesz przysłać tu kogoś na górę, żeby pomógł mi je wylapać?

Po każdym takim wykroczeniu Krisztina pilnowała, żeby winowajcy pokornie przeprosili swoje ofiary i ponieśli należytą karę. Na ogół oni instynktownie brali na cel ludzi obdarzonych poczuciem humoru, ale od czasu do czasu, zwykle wtedy, gdy Olivier nie usłuchał przestrogi Elli, ich figle były fatalnymi niewypałami. Wówczas kary spadały naprawdę dotkliwie – zakaz sobotniej włączki, wczesny marsz do łóżek w sobotę wieczorem. A po pewnym katastrofalnym incydencie, wskutek którego przepadła jedna hotelowa rezerwacja, został odwołany wyjazd na cały tydzień wakacji do Normandii.

Ale żeby dotkliwie ukarać Ellę, wystarczyło rozłączyć ją z psami. Wkrótce po jej narodzinach stało się jasne, że odziedziczyła rzadką cechę swojej matki: garnęła się do zwierząt, zwierzęta garnęły się do niej. Wilczarze czuwały nad nią w dzień i w nocy, gdy była niemowlęciem, a gdy zaczęła chodzić, wielkodusznie pobłażliwe, pozwalały jej prawie na wszystko; mogła kurczowo trzymać się ich sierści, oplatać je nogami. Nawet rywalizowały, ubiegając się o przyjemność noszenia jej na grzbiecie. Teraz, już starsza, bardzo lubiła codziennie pomagać Rene nadal sprawującemu nad nimi pieczę, szczotkować je i dawać im jeść. Pozbawiona tej drogocennej godziny bodaj na jeden dzień, wpadała w rozpacz i płakała.

Jak wszystkie dzieci, byli indywidualnościami, mieli swoiste cechy, upodobania i animozje, ale łączyły ich więzi emocjonalne. Ella uwielbiała starszego brata, wyczuwała, boleśnie mu współczując, huśtawkę jego skomplikowanych nastrojów i z bezwiednym poświęceniem zawsze go broniła. Jej stosunek do Mischy był prostszy. Kochała tego malca – któżby nie kochał? – więc nie musiała manifestować solidarności. A Michael, z głową jak marchewka, rozciągliwym sercem i szerokim uśmiechem, dreptał za Olivierem i Ellą, pełen ślepej wiary szczeniaka.

Stosunek Oliviera do Michaela też był prosty. Tak nierozzerwalnie jak wiązało go z Ellą uwielbienie, wiązała go z uroczo wrażliwym przyrodnim braciszkiem nienawiść.

Ogromną, przewrotną przyjemność sprawiały Olivierowi wspólne zabawy. On, dwudziesty siódmy baron i najstarszy z rodzeństwa, był siłą rzeczy przywódcą i inspiratorem, toteż mógł nieładnie wykorzystywać Michaela. Czasami, gdy Ella nie patrzyła w ich stronę, nawet maltretował go fizycznie, tak że pod koniec dnia białą, delikatną skórę małego znaczyły dodatkowe draśnięcia i siniaki, niebędące śladami uczciwego szamotania się normalnych, zdrowych dzieci.

– Musisz bardziej uważać, Michael – mawiała Annabel Herrick, aplikując jodynę na te obrażenia.

– *Oui, madame.*

– Dlaczego ty się przewracasz częściej niż tamci?

Michael się czerwił.

– Olivier nazywa mnie „niedorajda”.

– Brzydko. – Popatrzyła na lewe kolano Michaela. – Chociaż nie bez racji... to okropny siniak.

Delikatnie dotknęła tej bolącej kości. Dolna warga drżała Michaelowi, ale nic nie powiedział.

Psoty dzieci mogłyby szkodzić reputacji hotelu, a jednak wydawało się, że wywołują skutek wprost przeciwny. Jakoś nienaumyślnie Chateau de Trouvere zaczął słynąć z serdecznej, urokliwej, rodzinnej atmosfery. Gdy w hotelach *grand luxe* krzywiono się na małe dzieci, nie przyjmowano psów – Genevieve i Krisztina z zasady mile witały takie dodatki, ufając, że ich wybredni, rozsądni goście nie doprowadzą do sytuacji, która by w jakikolwiek sposób zepsuła pogodny nastrój domu czy też groziła dewastacją starannie doglądanych ogrodów i parku.

Nie miały złudzeń – były wciąż jeszcze nowicjuszkami w wysoce konkurencyjnym hotelarstwie i z dnia na dzień czegoś się uczyły. Ale jak większość uczniów chciwych wiedzy uczyły się szybko i dokładnie.

Już wiedziały, na przykład, że muszą z góry orientować się, jacy goście będą zapelniać hotel w danym okresie. Jeżeli miały więcej niż dwie rezerwacje dla osób z dziećmi, czyniły specjalne przygotowania, żeby te dzieciaki się nie nudziły. Sposób niewadzącego nikomu goszczenia dzieci i zwierząt w tym samym hotelu, gdzie są bankowcy, księżne, producenci filmowi, dyplomaci i projektanci mody – to spełniać zachcianki każdej mniej lub bardziej pragnącej się wyszumieć grupy wieku i chytrze trzymać każdą oddzielnie.

Dla energicznych były w de Trouvere stajnie, spacer, pływania w jeziorze latem i ślizgawka na jeziorze zimą. Na wiosnę 1955 roku miały być cztery korty tenisowe, a w zimie 1956 roku specjalny tor saneczkowy. Ponadto zaszły już zmiany: ładna muszla w parku służyła do regularnego czytania bajek Hansa Andersena czy braci Grimm, w *temple d'amour* nad jeziorem od czasu do czasu odbywały się koncerty i przedstawienia, a dla dzieci w wieku żadnym przygód był z lekka zrujnowany belweder, który Krisztina, widząc jego możliwości w charakterze „domu, gdzie straszy”, przeobraziła poniekąd w siedzibę nieruchomych duchów i z którego często przez trawniki dolatywały wrzaski rozkosznego strachu.

Dobrze też miały się przyjezdne zwierzęta. Mniejsze koty i psy mogły mieszkać w sypialniach, więksi ulubieńcy kwaterowali w centralnie ogrzewanej psiarni, dostępnej dla ich właścicieli o każdej porze dnia i nocy.

Tak więc *salle anglaise* pozostawała spokojną enklawą dorosłych, w *salon bleu*, teraz jednym z dwóch hotelowych barów, utrzymywał się nastrój beztroskiego wyrafinowania, a godności barokowych ogrodów nie naruszały piski rozbawionych dzieci ani szczekanie rozhulanych psów.

Sukces de Trouvere stał się głośny, tak jak Perrault przepowiedział w swojej recenzji przed sześciu laty, *les deux baronnes* nie popadły w leniwe zadowolenie z siebie. Pracowały niezmiernie, dbały o to, by personel czuł, że we własnym interesie buduje przyszłość tego hotelu, troszczyły się namiętnie o wygodę swoich zadowolonych gości. I nawet, cud nad cudami, pomimo wysokich kosztów ulepszeń i sezonowych dekoracji wykazywały zdrowe zyski.

W pewną deszczową niedzielę 1955 roku, gdy William był w Paryżu, Krisztina i Genevieve pojechały do Strasburga, panna Herrick kładła spać Michaela, a Ilona modliła się w kaplicy, Gabor i Ella byli w jego pokoju sami.

– *Je t'aime, grandpere* – to mówiąc, Ella uściskała dziadka, który często wydawał się jej czułemu sercu osamotniony i smutny.

– A ja kocham ciebie, *kis szivem* – Gabor objął ją w cieniutkiej talii, ładnie przepasanej szeroką niebieską szarfą z wielką kokardą z tyłu.

– Szkoda, że deszcz pada, *grandpere*. Panna Herrick nie pozwala nam w niedzielę wychodzić na deszcz.

– Dlaczego, królewno?

– Dlatego, że musimy być w najlepszych rzeczach.

Och, ten głosik, pomyślał Gabor. Taki słodki i czysty.

– To głupia zasada – powiedział. Pocałował jej bujne włosy, płomienną chmurkę, od której robiło się słonecznie w najciemniejszym nawet pokoju w najbardziej pochmurny dzień.

Ella przesunęła się na jego kolanach.

– Czy możemy się w coś pobawić, *grandpere*?

– A w co byś chciała?

– Nie wiem.

– Posiedź tak jeszcze, *kis szivem*. Tak rzadko mogę popieścić moją królową.

W podstarzałej pamięci błysnęła iskierka, Kriszti była moją królową... sześćoletnia. Gdyby zamknął oczy, widziałby znów Kriszti, włosy jak złota przędza, zamiast tego płomienia, ale te same niewysłowienie piękne oczęta, tę samą cerę jak płatki róży.

Ella pogłaskała go po podbródku.

– Kłujący język. – W policzkach jej ukazały się dołki. – Papa goli całą twarz codziennie.

– Ja też, małeńka, ale zawsze mam znowu zarost.

Prawą ręką ujął jej szczupłą nogę w kostce tuż nad jaśniejąco białą skarpetką. Ciało dziecięce... nie ma nic tak czystego, tak znakomitego jak skóra małej dziewczynki... Pogłaskał ją po nodze, ona się uśmiechnęła i przytuliła głowę do jego ramienia.

– Przyjemnie, *grandpere* – szepnęła.

Zamknął oczy. Czuł jej woń mlecznokwiatną, nektarową, nieodpartą jak – Jak Kriszti, kiedy miała sześć lat... i dwanaście lat... i dwadzieścia... Jego dłoń sunęła dalej swoim szlakiem po tym niewinnym miękkim jedwabiu, z którego mrowiące, palące sygnały przelatywały przez jego palce i rękę ku rozżętnionemu sercu.

Odruchowo Ella lewą ręką go odepchnęła.

– Łaskocze. – Zachichotała cicho.

Nie mógł się powstrzymać.

Pod ładną niebieską spódniczkę, pod kremową haleczkę gorące jego palce skradały się jak małe jakieś stworzenia, instynktem wiedzione do łupu, który da się znaleźć tylko w tym ciepłe jeszcze dalej, za obcisłymi bawełnianymi majteczkami, w uświęconych niepokalanym fałdkach ciała małej dziewczynki...

Ella się skróciła.

– *Nie, grandpere* – W porządku, królowno, nie ruszaj się.

Zmarszczył czoło, ale posłusznie znieruchomiała, nie chcąc zrobić dziadkowi przykrości, chociaż on już nie łaskotał, on szarpał majtki i oczy miał wciąż zamknięte jakoś dziwnie, ‘ a usta rozchylone – *Grandpete*, ja tak nie chcę...

Musiała zejść z jego kolan – było jej dziwnie nieprzyjemnie i nagle szczególniey zapach dziadka, zapach cygar i czegoś, czym smarował włosy, zapach, który zawsze dotąd budził w niej spokojną ufność, teraz przyprawił ją o mdłości. Zaczęła wyrywać się z jego objęć.

– *Nie, kis sileni*.

Cicho krzyknęła, przestraszona, wstrząśnięta – ściągał z niej majtki i wpychał palce boleśnie, okropnie w jej...

– *Nie, granfperel* Trzymał ją jeszcze mocniej. Kriszti! Rozpaczliwie jej potrzebował, jej ciała, jej miłości, jej duszy...

– Puść ją!

Jak gdyby postrzelony Gabor się poderwał. Otworzył oczy, trupio blady, i dwiema wielkimi plamami żaru na policzkach!

Zagapił się w ciemnowłosego małego mściciela stojącego w drzwiach.

– Olivier!

– Puść ją, powiedziałem!

– Ale... – Ręce Gabora opadły.

Ella zgramoliła się z jego kolan.

– Ollie, ja nie chciałam...

– Odsuń się, Ella – rozkazał Olivier z całą mocą, jaką mógł naładować swój dziesięcioletni głos. I raptem, prawie obłędnie wyjąc w furii, doskoczył do dziadka, zaczął go walić, gdzie popadnie...

– Olivier, przestań, proszę cię! Co ty wyprawiasz?

Na wyrazistej, wąskiej twarzy chłopca malowała się pogarda.

– Wstrętny staruch! – wykrzykiwał. – Robiłeś jej krzywdę... widziałem...

Nadal w szale wściekłości okładał Gabora pięściami, przerażony tym, co zobaczył, niezupełnie pewny, co to znaczyło, ale instynktownie świadom, że to było złe i krzywdzące jego ukochaną Ellę.

– Olivier, na litość boską! – wy sapał Gabor, usiłując złapać chłopca za młócające ręce.

– Ollie, *arrete* – błagała Ella ze łzami spływającymi po policzkach, ze zgrozą, jakiej nigdy dotąd nie czuła.

Nagle Olivier cofnął się o krok i opuścił ręce, zaciśnięte pięści do boków. Na skronie wystąpiły mu cienkie żyłki.

– Nie bój się, Ella – powiedział łagodnie. – Teraz ja tu jestem. Obronię cię.

Gabor zbladł jeszcze bardziej.

– Olivier – zaczął słabym głosem. – Ty źle zrozumiałeś... nie wiem, co myślisz, ale coś ci się pomyliło, strasznie się pomyliło...

Olivier przymrużył oczy, bardzo przenikliwy jak na swój wiek.

– Jeżeli mi się pomyliło, *grandpere*, to dlaczego tak się zląkłeś? – rzucił wyzwanie. – Gdybym nie miał racji, to byś się rozgniewał, prawda?

– Gniewam się, ale potrafię zrozumieć, że...

– Milcz!

– Jak śmiesz tak mówić do mnie!

Chłopiec stał prosto jak struna.

– Och, śmiem, *grandpere*. – W jego głosie brzmiała groźba. – I daję ci słowo, że tylko dotknij jeszcze kiedyś moją siostrę, a ja cię zabiję!

– Oliver, jestem twoim dziadkiem – jęknął Gabor z niedowierzaniem.

– Wolałbym, żebyś nie był.

– Ollie, proszę cię, chodźmy stąd. – Ella dopiero teraz odważyła się podejść. Położyła rękę na ramieniu brata.

Zignorował ją.

– I myślę, że *maman* i papa przyznają mi rację, kiedy im powiem, co zrobiłeś.

– Powiedziałbyś?

– Ollie, przestań! – Ella zaczęła go odciągać.

– I co babcia pomyśli?! – Olivier bez tchu wystrzelił ostatnią salwę złości.

Gabor zakrztusił się i łypnął oczami.

– Nie możesz opowiadać kłamstw! – Usta miał wykrzywione w panice. – To nieprawda, Olivier!

Myśleli, że jego twarz jest już biała, ale teraz uszły z niej ostatnie pozostałe krople krwi, jabłko Adama poruszało się wściekle.

Olivier wziął Ellę za rękę, pociągnął ją ku drzwiom i odwrócił się.

– Ostrzegam, nigdy już nie podchodź do Elli. Nawet nie mów do niej!

– Olivier!

– I dziś wieczorem nikt nie będzie chciał z tobą rozmawiać!

W dwie godziny później w pokoju zabaw usłyszeli w domu ruch.

– Poczekaj tutaj – powiedział Olivier.

– Nie zostawiaj mnie! – Odkąd tu przyszli ze skrzydła zachodniego, Ella, wciąż jeszcze bliska płaczu, kulila się przy bracie nad domkiem dla lalek.

– Coś się dzieje. Chcę wiedzieć co.

W parę minut później wrócił z dziwną miną.

– Ollie, co się dzieje?

– Dziadek jest chory.

– Chory?

– Właśnie zabrało go pogotowie.

Ella się zachłysnęła.

– Wyglądał niedobrze. – W głosie Oliviera zabrzmiało zadowolenie.

Jej fiołkowe oczy ściemniały z niepokoju.

– Ollie, czy umrze?

– A bo ja wiem, Lalla? – Gdy się urodziła i dostała imię, czteroletni Olivier stwierdził, że łatwiej mu wymawiać Lalla i tak ją nadal nazywał.

– Jeżeli umrze, to myśmy go zabili! – Te słowa były syknięciem, pełnym przerażenia.

Olivier zmarszczył brwi pogardliwie.

– Stary wieprz...

– Ollie, nie!

Oczy miał srogie.

– To pewnie sposób Boga, żeby go ukarać.

– Zawsze mówisz, że nie wierzysz w Boga.

Wzruszył ramionami.

– Bo zwykle nie wierzę.

Gabor miał wylew. Był przytomny, ale sparaliżowany i nie mógł mówić.

Późnym wieczorem Olivier przyszedł cicho do pokoju Elli. Nie spała, policzki jej jaśniały w smudze księżycowej poświaty wpadającej przez szparę między zasłonami.

– Ollie, co się stało? – zapytała. Strach wezbrał na nowo, gdy zobaczyła, jak on ukradkiem wychodzi. – Czy dziadek umarł?

Olivier ostrzegawczo podniósł palec do ust.

– Nie. – Usiadł na krawędzi łóżka.

– Zimno ci? Połóż się przy mnie.

– Nie. Lalla, posłuchaj.

Usiadła, włosy kaskadą opadły jej na ramiona.

– Nie możemy nikomu powiedzieć, co się dzisiaj stało.

Zmarszczyła czoło.

– Ale powiedziałeś *grandpere*, że powiesz rodzicom.

– To było, zanim zachorował. Teraz jest inaczej.

– Bo myślisz, że może nas będą winić?

– Z dorosłymi nigdy nic nie wiadomo.

– Ale czy nie musimy być uczciwi?

Rozzłościł się.

– Kto dla ciebie więcej znaczy? Ten człowiek czy ja? Wysunęła się spod kołdry i usiadła przy nim.

– Ty, Ollie, oczywiście. Wyraźnie powątpiewał.

– Ella, czy mogę ci zaufać?

– Wiesz, że możesz. Raptownie wstał.

– Jutro rano po śniadaniu spotkamy się za stajniami.

– Przecież ja wtedy chodzę do psów.

– No to raz do nich nie pójdziesz.

– Ale Rene będzie...

– Spotkaj się ze mną. – Rozkazał.

– Dobrze, Ollie.

Był rześki jesienny poranek, dość chłodny, żeby ich oddechy parowały w czystym powietrzu. I owiewał ich złożony zapach stajni – ta cudowna mieszanka gnoju, siana i owsa, i samych koni.

Przyglądali się sobie nerwowo.

– Wiesz już coś? – zapytała Ella. Potrząsnął głową przecząco. Oczekwała chwilę.

– Po co się tu spotkaliśmy?

– Żeby porozmawiać o wszystkim jeszcze trochę.

– Chcesz być pewien, że ja nie powiem? Przytaknął.

– Przecież nie powiem. Nie powiem, skoro mówisz, że nie mogę.

– Dla twojego dobra, Lalla. Mogliby pomyśleć, że to przez ciebie.

– To, co się stało *grandpere*?

– Nie. To, co się stało przedtem. Zagapiła się na niego.

– Ale ja nic nie zrobiłam – powiedziała. – Tylko siedziałam na jego kolanach na pieśczołki.

Tak jak z tatą.

– To nie to samo.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ale to nie to samo. – Och!

Spojrzał na nią z ukosa.

– Więc im nie powiesz? Jeszcze się dręczyła.

– Chyba mnie by nie winili, wiesz, Ollie. I panna Herrick mówi, że zawsze lepiej powiedzieć prawdę.

– Jeżeli powiesz – Olivier zmienił taktykę – na pewno mnie się dostanie. Bo dla nich zawsze wszystko to moja wina.

– Ja im nie dam... powiem prawdę.

– Będą myśleli, że mnie osłaniasz. – Spojrzał jej w oczy. – Ja cię uratowałem, rozumiesz, Lalla?

– Tak, Ollie.

– On robił ci straszne rzeczy. Zaczerwieniła się. Policzki ją paliły.

– Uratowałem cię. Przytaknęła.

– Więc zrobisz coś dla mnie?

– Wszystko – odpowiedziała ochoczo.

– Zawrzyj ze mną pakt.

– Co to jest pakt?

– To jest składanie przysięgi... tak jak przyrzeczenie, tylko poważniejsze. Umrze się, jeżeli się tego nie dotrzyma.

– Ja zawsze dotrzymuję – zapewniła.

– I to musi być przysięgnięte krwią. Ochoczość zniknęła.

– Jak... jak my z krwią... ?

– Nic trudnego. – Wziął ją za rękę i odciągnął od stajni w kępę krzaków. – Skaleczymy się w kciuki...

Wstrząśnięta, uwolniła rękę.

– Skaleczymy się?

– Trochę się drapniemy właściwie. I nie ma strachu, nie będzie bolało. – Z kieszeni spodni wyjął kawałek szkła.

– Ollie! – Wybałuszyła oczy ze zgrozą.

– Tchorzysz – potępił ją. – Zawsze myślałem, że jesteś odważna jak na dziewczynę.

– Jestem, ale...

– Teraz możesz pokazać, że jesteś – zagrał swoim atutem – że bardzo mnie kochasz. Dobrze?

Przytaknęła, pokonana.

– Więc wyciągnij rękę... lewą. Trochę dygocząc, usłuchała.

Machnął tym ostrym szkiełkiem.

– Drapnę cię prędko, tak że wcale nie zaboli.

Zacisnęła powieki. Chwycił ją mocno za nadgarstek i poczuła ból w kciuku. Tłumiąc krzyk, mimo woli się szarpnęła.

– No i już – usłyszała, więc otworzyła oczy. – W porządku, Lalla?

Przełknęła łyzy wzbierające jej w krtani, osłupiała na widok jaskrawej krwi płynącej z jej skaleczonego kciuka.

– Teraz ja. – Odczekał. – Chcesz mnie zaciąć?

– Nie! – Znow zamknęła oczy. Nie mogła na to patrzeć. Usłyszała wdech i po króciutkiej chwili:

– Zrobione.

Spojrzała. Krwi jeszcze więcej. Mdlilo ją.

– Teraz – powiedział Olivier – musimy naszą krew połączyć.

– Po co?

– Żeby być bratem i siostrą w braterstwie krwi.

– Przecież już jesteś moim bratem.

– Tylko przyrodnim, Lalla. Odtąd będziemy dla siebie czymś jeszcze bardziej specjalnym niż prawdziwy brat i siostra.

– Naprawdę?

– No pewnie. Na tym polega pakt... Przysięgasz, że będziesz mi wierna... jak nikomu innemu na świecie.

– Nawet *maman*?

– I papie.

– I Mischy?

– Tak. Michaelowi także – powiedział niecierpliwie.

Wzdrygnęła się, bo kciuk jej pulsował.

– No już – powiedział. – Krew wyschnie. Jeżeli nie zrobimy tego zaraz, będziemy musieli znów się skaleczyć.

Prędko wyciągnęła rękę. Olivier stanął przed nią, uroczyście podniósł jej lewy kciuk i potarł o swój.

– Załatwione – oznajmił z powagą.

– Ten pakt? – zapytała bez tchu.

– Przypieczętowany krwią. – Ciemnymi oczami przyglądał się jej badawczo. – Będziemy wierni, ty mnie, ja tobie, bo inaczej umrzemy.

Gabor nie umarł.

Sparaliżowany z prawej strony, od głowy do dużego palca nogi, siedząc w fotelu na kółkach albo oparty o poduszki w łóżku, wpatrywał się w ludzi wokół niego jedynym swym ruchomym okiem z wielką niechęcią. Nie chciał współpracować z lekarzami i pielęgniarkami ani z szeregiem fizjoterapeutów, którzy usiłowali mu pomóc, by radził sobie ze swymi ograniczeniami i w miarę możliwości poprawiał swój stan. W końcu, widząc daremność tych wysiłków, zostawili go jedynej osobie mającej do niego cierpliwość – Donie.

Tył coraz bardziej i stracił resztkę włosów. Prawie wszyscy w jego obecności czuli się nieswojo, a nawet bali się człowieka, który jeszcze, gdy był zdrowy, działał przygnębiająco, a teraz sprawiał wrażenie jakiejś wrogiej kłody.

Dwoje młodszych dzieci, przyprowadzanych co pewien czas do jego pokoju, kamieniało ze strachu – Michael, bo wygląd Gabora i żalony, nieartykułowany bełkot dobywający się chwilami ze zniekształconych ust były dla niego koszmarem na jawie i we śnie – a Ella, bo ilekroć na Gabora patrzyła, wydawało jej się, że widzi w tym groteskowo obrotowym oku nienawiść – nienawiść, rozpacz i mściwość. I chociaż Olivier powiedział, że Bóg ukarał *grandpere* za to, co *grandpere* jej zrobił, rzeczywiście wierzyła, że Bóg karze ją.

Krisztina, na szczęście zajęta hotelem, serdecznie ku swemu zdumieniu współczuła Gaborowi. Nieraz przychodziła sama, żeby czytać mu którąś z jego ulubionych węgierskich książek albo próbować się z nim porozumieć. Ale zaporą pomiędzy nimi: jego uraza i jej straszne, irracjonalne poczucie winy na widok jego bezwładu, nie dawała się usunąć.

Ilona pielęgnowała go bez słowa skargi i czasami nawet z czymś pokrewnym radości. Gdy inni podchodzili do niego może z lękiem, jej lęk się rozwiął w momencie jego udaru, który ponadto wniósł w jej daremne życie celowość. Wreszcie dobry Bóg uznał, że czas podnieść ją z kłeczek i

znów miała po co żyć, potrzebna swojemu mężowi – oto nowe dziecko do karmienia, kąpania i ubierania, i pocieszania. Choć wiedziała, że on nią gardzi jeszcze bardziej niż przedtem, była to przynajmniej pogarda, którą mogła zrozumieć i znieść bez przykrości.

Krisztina zdawała sobie sprawę, że Olivier, teraz dwunastoletni, jest trudnym dzieckiem.

Po głębokim zastanowieniu zdecydowali, że lepiej będzie zapisać go do *lycee* w Colmar niż do bardziej ekskluzywnej szkoły prywatnej. „Normalne” wykształcenie i towarzystwo mniej uprzywilejowanych dzieci może będzie budujące – może opadnie z niego trochę snobizmu.

Olivier jednak uważał wybór *lycee* po prostu za zniewagę zadaną jego dziedzictwu, przy czym pretensję o to miał przede wszystkim do Williama. Co dzień rano, gdy wyruszał do Colmar, Ella i Michael z okna pokoju zabaw machali mu rękami *au revoir*, patrzył na tę ochoczo uśmiechniętą, piegowatą twarzyczkę przyrodniego brata pełen niepohamowanej zawiści. Michael zostaje z rodziną na zamku, który prawowicie należy do niego, Oliviera, usuwanego z drogi.

Zorganizowanie wyjazdu rodziny na wakacje do letniej willi w Cabourg zawsze było problemem, ponieważ nie mogli wyjeżdżać wszyscy razem. Właśnie w sierpniu, miesiącu wakacji szkolnych Oliviera, Krisztina musiała pozostawać w de Trouvere.

W tym roku zdecydowali, że William i Krisztina wyjadą w lipcu z Iloną i Gaborem, a potem na trzy tygodnie sierpnia wyjedzie Genevieve z dziećmi. Ale pod koniec czerwca Michael nabawił się grypy i doktor doradził, żeby od razu zabrać go nad morze. Wobec tego zabrali też Ellę dla niego do towarzystwa, a Genevieve została w de Trouvere z Olivierem jeszcze niemającym wakacji.

Lipiec na Côte Fleurie był po prostu błogi. Willa, którą ze względów podatkowych Robert i Clementine Hunterowie przekazali synowi i córkom, lirycznie nazwana *l'Idylle*, stała w odległości tylko paruset metrów od płaskiej, szerokiej nor – mandzkiej plaży – duży, ale przytulny różowy dom, na pół drewniany i kryty strzechą. Za willą na czterech akrach rozciągał się urocznie nieporządkny ogród z sadem jabłoni i grusz, i małym, wartkim strumykiem.

Wieczorami, gdy Ella i Michael smacznie spali pod opieką Jeanne, a Ilona z Gaborem już udali się na spoczynek, William i Krisztina jeździli do Deauville na kolację i do kasyna, zwykle kończąc wieczór spacerem ręką w rękę po Les Planches, zanim wracali do Cabourg. Dni spędzali wszyscy razem w *l'Idylle*, rozkoszowali się słońcem na plaży, biesiadowali na piasku albo w ogrodzie. Nierzadko wybierali się do restauracyjek w Honfleur czy w Pontl'Eveque, gdzie dzieci tak samo jak dorośli pałaszowały miejscowe specjały. Teraz, gdy Annabel Herrick nabierała świeżych sił na swoich wakacjach w Anglii, Elli i Michaelowi wolno było jeść prawie tyle mięczaków, kremów i serów, ile zdołali, przy czym Elli (raz wyjątkowo „najstarszej”) nawet łyknąć trochę calvadosu.

– *En bien, mes enfants* – powiedział William w przeddzień spodziewanego przyjazdu Genevieve i Oliviera, gdy siedząc przy nieheblowanym sosnowym stole w ogrodzie jedli obiad – czy jesteście szczęśliwi?

– Tak, dziękuję, papo – odpowiedziała Ella, złociście opalona, z oczami roziskrzonymi jeszcze bardziej niż zwykle.

Ilona i Gabor jedli obiad w domu, bo południowe słońce zaszkodziłoby Gaborowi. Dzieci, jak William i Krisztina zauważyli, zawsze czuły się swobodnie, gdy dziadków przy nich nie było.

– A ty, Mike? – zapytał William.

Michael, nakrapiany jak indyjskie jajo, kipiał zdrowiem.

– Superekstra – odpowiedział z czarującym uśmiechem, tak się podrywając, że przewrócił solniczkę.

Krisztina strzepnęła większość soli serwetką, potem wzięła trzy szczypty w palce i rzuciła za

ramię.

– Co ty robisz, *maman*? – zapytała Ella.

Krisztina się uśmiechnęła.

– Taki przesąd, *cherie*.

– Co to znaczy przesąd? – zapytał Michael.

– To znaczy, wierzy się w szczęście i w pecha – wyjaśniła mu siostra.

– Rzeczywiście, wielka bzdura – powiedziała Krisztina.

– Więc dlaczego to robisz?

– Dlatego, że ona jest niemądra – powiedział Michael.

– Nie bądź bezczelny – skarcił go William. – I nie mów o matce „ona”.

– Przepraszam, *maman*.

– Wybaczam ci, *cherie*. – Krisztina znów zwróciła się do Elli. – Przesady to niezła uciecha, jeżeli nie traktuje się ich poważnie. Pamiętam, jak wiele lat temu lustro się stłukło. – Spojrzała na Williama. – Okropnie się wtedy zdenerwowałam.

– Dlaczego? – Michael głośno przełknął wodę mineralną.

– Pij cicho – powiedział William.

– Jest taki przesąd, że stłuczone lustro to siedem lat nieszczęścia. – Krisztina się roześmiała. – Dostałam wtedy naucz – kę.

– Jaką, *maman*? – Ella przetoczyła po resztkę rozsypanej soli jajko na twardo.

– Taką, że nastąpiło siedem lat bardzo, bardzo szczęśliwych.

– Morał z tego – dodał William – stłuczone lustro, rozsypana sól, przejście pod drabiną na pewno nie szkodzi.

– Odstukaj w niemalowane drewno – powiedziała Krisztina.

*Miłość jest mocna jak śmierć, twarda jak piekło jest zazdrość**[Przekład ks. Jakuba Wujka.].

Te słowa *Pieśni Salomona* Olivier zapamiętał z którejś prze – nudnej lekcji religii. Właściwie ich nie rozumiał, ale poruszyły w nim jakąś strunę.

Przez cały lipiec w de Trouvere dużo myślał o Michaelu, smarkatym rudzielcu, byczącym się do woli z Ellą i Williamem, kiedy on musi harować w szkole. Trzy tygodnie sierpnia w Cabourg jakoś mu tego nie powetowały.

Jego zazdrość o Michaela, twarde, małe ziarenko w sercu, gdy ten przyrodni brat się urodził, z biegiem lat stała się bezpostaciową, szlamowatą bestią, zatruwającą jego organizm wciąż świeżym jadem.

Został już tylko jeden tydzień sierpnia, letniej wolności przed powrotem do *lycee* – jeden tydzień na to, by ukarać Michaela za sam wyraz promiennej radości na chłopcym buziaku.

Od lat Olivier wymyślał zabawy dla nich trojga, przeważnie czerpiąc pomysły z fantastycznych opowieści. Ostatnio to była zabawa, którą nazwał *Chevaliers et Dames* – rycerz śpieszy na ratunek swojej pani i wyrywa ją ze szponów wroga. Zabawa akurat na miarę jego celu. Co dzień po południu w tym ostatnim tygodniu bawili się w to w ogrodzie i za stajniami, i w lesie, czasem w nawiedzonym przez duchy belwederze. Ilekroć Olivier rzucał się w pościg za piegowatym, małym, zgoła nieprawdopodobnym wrogiem, prześladowanie, coraz bardziej zaciekle, przestawało być zabawą.

– Ollie, nie możesz tak napadać – strofowała go Ella czwartego dnia. – Naprawdę

przestraszyłeś Mischę.

- To taki dzieciuch... przecież go nie bolało.
- Doprowadziłeś go do płaczu.
- Powinien wiedzieć, że to na niby – bronił się Olivier.
- My o tym wiemy, Ollie – powiedziała Ella – ale on ma tylko sześć lat.
- W piątek będzie miał siedem.

Ella zawahała się.

- Może pozwól mu raz być rycerzem, ty mógłbyś być wrogiem. – Ja?
- Dlaczego nie?
- On by nie umiał ciebie wyratować. Pokręciłby wszystko.
- Jeden raz, co to szkodzi?

Olivier zmrużył oczy, nagle zupełnie czarne.

- Zapomniałaś, kto cię wyratował ze szponów starego?
- Ollie, to tylko zabawa... sam tak powiedziałeś.
- Ja nie będę wrogiem! To jest moja zabawa! Ja ją wymyśliłem!

Ella się zdumiała.

- Dobrze. Proszę, nie złość się.
- Tobie się ta zabawa podoba, prawda? Wymyśliłem ją dla ciebie.
- Szalenie mi się podoba – zapewniła. – Więc niech będzie, jak jest.

Westchnęła.

- Tak, oczywiście.

To, co najlepsze, zachował na koniec.

W piątek, w urodziny Michaela, miał odbyć się finał wakacyjnej zabawy w rycerzy i damy, ponieważ w sobotę mieli w programie piknik, a w niedzielę nie wolno im było hasać. Michael dostał prezenty od wszystkich rano, a potem urodzinowy obiad jedli wyjątkowo w restauracji hotelowej i mogli (ponieważ panna Herrick miała wrócić dopiero w niedzielę wieczorem) popijać przy jedzeniu wino.

Olivier wypił swój kieliszek od razu do dna i większość rozwodnionego wina z kieliszka Michaela. Już miał sięgnąć po kieliszek Elli, ale William to zauważył i stanowczo go pohamował.

Gdy nadszedł czas na zabawę, Olivier był trochę pijany.

– Pójdziemy nad rzekę – powiedział tym dwojgu wśród płasających młodych psów: Apolla, Ceres i Junony. – Przygotowałem tam wszystko dziś rano, kiedy wyście jeszcze spali. – Uśmiechnął się, rozpłomieniony winem i podnieceniem. – Będzie tak świetnie, jak jeszcze nigdy nie było.

Poprowadził ich nad tę wąską rzeczkę. W pobliżu mostku oplecionego kwitnącymi pnączami róż pokazał im na konarach starego dębu drewniany domek ze sznurową drabinką.

- Patrzcie! – wykrzyknął Michael. – Miecze!

W stercie przygotowanych pod dębem rekwizytów były dwa plastikowe miecze, dwie tarcze, sztylet-zabawka i dwie jaskrawo pomalowane tekturowe korony. Jedną koronę Olivier dał Elli, drugą włożył na głowę.

- A ja nie mogę mieć także? – Michael podskakiwał, psy czekały.
- Ty jesteś wróg, a wróg to człowiek z ludu. Ale weź sobie miecz i tarczę.
- I sztylet?

– Nie. Jest tylko jeden. Dla mnie.

Michael promieniał, uległy jak zawsze.

– Więc już – oznajmił Olivier. – Ella, włącz do domku na – drzewie. Tam będziesz w więzieniu u wroga. Jeżeli nie zdążę cię uratować, on cię zabije.

– Czy możesz mocno trzymać drabinę, Ollie? – Ella bała się wysokości, ale nie chciała się do tego przyznać.

– No pewnie, Lalla.

Ostrożnie wgramoliła się na dąb i uklękła w więzieniu.

– Odwiąż drabinę i zrzuć ją! – zawołał Olivier.

– Jak wtedy będę mogła zejść?

– Ty głupia, właśnie o to chodzi, żebyś nie mogła. Inaczej dlaczego mam cię ratować?

– Aha. Dobrze. – Odczepiła koniec sznurowej drabinki, upuściła ją na ziemię. Ceres i Juno uskoczyły spod dębu, Apollo wskoczył do wody, żeby popływać.

– Uważaj, Michael – instruował Olivier. – Jesteś nędznym oszustem, który chce wstąpić na tron. Pojmałeś królową Ellę i trzymasz ją dla okupu.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jeżeli ja ci nie zapłacę tysiąca funtów, zabijesz ją.

– Tak. Zabiję! Zabiję! – wykrzyknął Michael, wchodząc w swoją rolę prędko, żeby Olivier się nie zirytował.

– Będę liczył do stu, schowaj się przez ten czas. Kiedy powiem „sto”, zacznę cię szukać.

Michael wyraźnie się zaniepokoił.

– Ja będę liczyła, Mischa! – zawołała Ella z dębu.

Olivier spojrział na zegarek.

– Start!

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć – licząc piskliwie, Ella patrzyła z uśmiechem, jak Olivier znika, a młodszy braciszek biega w poszukiwaniu odpowiedniej kryjówki.

– Mischa! – syknęła głośno. – On i tak wszędzie cię znajdzie, więc może spróbuj go zaskoczyć.

– Jak? – Michael zadzierał głowę do niej.

– Psst! Bo cię usłyszy. Może zacznij się na niego.

– Co to znaczy?

– To znaczy, tylko schowaj się za którymś z tych krzaków. Kiedy on przyjdzie cię szukać, wyskoczysz, machniesz mieczem i wygrasz.

– Ale on zwycięży.

– Ale będzie już przegrany, bo go zaskoczyłeś.

– Ollie zawsze zwycięża – powiedział Michael, raczej smętnie, i nagle oczy mu się zaokrągliły.

– Przestałaś liczyć!

– Schowaj się prędko... ten czas prawie minął.

Tknięty nagłą myślą, Michael znów spojrział w górę.

– Lalla!

– Tak?

– Każ psom się nie ruszać, bo mogą mnie wydać.

– Racja, ale pośpiesz się!

Michael przysiadł za wielką kępą głogów. Jego rude włosy, płomienne w blasku słońca, maskowała jaskrawość czerwieni, różowości i fioletu dzikich różyczek.

Nie wiedział dlaczego, ale bał się. Zdecydowanie się bał. Sercu w piersi zrobiło się za ciasno, w ustach mu zaschło, oczy go piekły.

To tylko na niby – mówił sobie jak zawsze.

Ale Ollie, jak zawsze w końcu go złapie i zrobi mu coś wcale nie na niby, uszczyplnie, kopnie albo – naprawdę raz tak było – walnie pięścią!

Mam już siedem lat, przypomniał sobie Michael z przelotną dumą, jestem starszy niż wczoraj, więc może Ollie będzie mnie szanował. Kiedyś zapytał: „Ollie, dlaczego mi dokuczysz?”, a Ollie odpowiedział: „Jesteś tylko dzieciuch, a dzie – ciuchów się nie szanuje”. Siedem lat to już nie dzieciuch.

Usłyszał jakiś szelest, chrzęst liści, kroki. Wiedział, że Olivier się zbliża i że lada sekunda trzeba wyskoczyć z ukrycia, tak jak Lalla powiedziała, ale nie był pewny, czy to dobry pomysł.

Olivier przechodził tuż obok z tupotem. Michael zobaczył jego twarz, oczy, w których było coś takiego, że zmartwiał i tylko koniuszkami nerwów czuł ostrzegawcze sygnały zastygłej krwi. Zanim wyskoczył zza głogów, pojął, co te oczy mówią.

Nie jestem twoim bratem. Jestem rycerzem. A ty jesteś moim wrogiem.

Ella klęczała w domku na dębie, nogi jej zdrętwiały, aż miała skurcze. Ale wołała się nie ruszać, bezruch wydawał się bezpieczniejszy.

Wiatr potargał gałęzie, konar zatrzeszczał. Cała ścierpła w krótkim ataku paniki.

Oburącz się trzymając, wyjrzała w dół, gdy Olivier nadchodził. Popatrzyła na krzaki, poszukała marchewkowej głowy Michaela. Tam? Nie, tam.

Olivier uwiesił sobie miecz i tarczę przy pasku. Uśmiechnęła się. Mischa, jeżeli usłucha jej rady, raz wyjątkowo będzie miał przewagę nad Olliem i jak by to było miło, gdyby Ollie dał mu zwyciężyć, bo dziś przecież jego urodziny.

Ale nie da.

Olivier kręcił głową z boku na bok, badał wzrokiem każdy zakamarek, każdy cień jak wytrawny myśliwy podchodzący pod zwierzynę.

Znajdę go.

Dam mu nauczkę.

Zobaczył psy – trzy w rzędzie siedziały jak posłuszne dzieci i merdały ogonami. Kącikiem prawego oka zobaczył dwie kaczki, które weszły do wody, i popłynęły z prądem w stronę mostku.

Gdzie on jest?

Ja go spiorę.

Zakotłowały się liście, gałązki i powietrze, chmara owadów wzleciała z krzaków, gdy z głośnym okrzykiem ten chłopczyk, mały, drżący i zdecydowany, wyskoczył, osłaniając się plastikową tarczą.

Ella patrzyła w dół.

– Zwyciężyłem! Zwyciężyłem! – triumfalnie piszczał wniebogłosy uradowany Michael.

Widziała, jak Olivier potyka się, korona spada mu z głowy, a Michael naciera na niego z piskiem i wymachuje mieczem. I widziała, jak Olivier odzyskuje równowagę, sięga po swój miecz i odpycha od siebie młodszego brata, ni to wrzeszcząc, ni to wyjąc.

– Wzięłem cię w zasadzkę! – triumfował Michael. – To był pomysł Lalli. ‘

Olivier spojrział przelotnie w górę na domek drzewny i Ella zobaczyła na jego twarzy coś, co ją przeraziło, po prostu zdjęło grozą.

Olivier podniósł miecz wysoko w powietrze.

– Rycerz oddaje honory swojej pani, specjalnie jej.

– Uratuję cię! – ryknął.

I wtedy Michael zdał sobie sprawę, że jeszcze nie koniec zabawy, i co gorsze, o wiele gorsze, że sekundy strachu w krzakach nie były głupie.

Polowanie się zaczęło.

W krzaki i z krzaków, wokół dębów i za żywopłoty, ścieżką i w bok w szorstką darni. Psy szczekały obłądnie, Ella wrzeszczała, piskliwie wzywała pomocy, ale wbrew prawidłom tej zabawy, nie dla siebie, tylko dla młodszego braciszka.

– To na niby – usiłowała sobie powtarzać – na niby!

I nagle Olivier wybuchnął śmiechem, który sprawił jej w tej szarpaninie lęku wielką ulgę jak chłodna woda na rozpalonym ciele. A potem usłyszała Mischę. On też śmiał się, chociaż dyszał, wymykając się bratu i wbiegając na opleciony pnączami róż, łukowaty mostek.

– Dobrze, ty diable! – wrzasnął Olivier. Wskoczył na mostek, miecz w jego ręce świstał. – Walczmy o nią! Walczmy o królową Elle.

Ella podsunęła się na konarze i wykręciła szyję, żeby lepiej widzieć. Najpierw jednak zobaczyła, jak jej tekturowa korona spada z wysokości na ziemię.

– Tak! Ratuj mnie! – zawołała. Teraz rzeczywiście miała uciechę. Dlaczego jeszcze przed chwilą denerwowała się tak strasznie, kiedy nie było czym?

– Uratuję cię! – zawołał znowu Olivier i walnął pięścią w tarczę Michaela, tarcza upadła, szczęknięta o bok mostku. Natarł znowu i miecz daleko wyleciał Michaelowi z ręki.

– Mam cię! Poddajesz się?

Michael usiłował go wyminąć, nie zdołał, więc gorączkowo wgramolił się na balustradkę z prawej strony.

– Nie, Mischa, nie! – wrzasnęła Ella.

To wydawało się filmem w zwolnionym tempie.

Ella widziała, jak Olivier wyciąga ręce do Michaela, upuszczając sztylet i miecz. Widziała na różowej twarzy wyraz już nie podniecenia, tylko straszliwego lęku.

A potem on spadał w dół, w dół, spiralnie przekręcił się jak nurek głową w dół, w ciemną wodę poniżej. I gdy Ella zaczęła znów krzyżeć – inaczej, rozdzierająco, rozpaczliwie, obłądnie – zniknął z jej pola widzenia. Został tylko Olivier, stojący z otwartymi ustami, zagapiony, gdy wielkie pluśnięcie rozbrzmiewało w powietrzu wokoło.

– Ollie! – usłyszała piskliwy własny szloch. – Ratuj go! Na litość boską, ratuj!

Olivier spojrział w górę i zaraz buńczucznie, nieomal teatralnie, jak gdyby jeszcze grał rolę *chevalier*, oparł się o poręcz dłońmi aż po nadgarstki wśród kolców i płatków róż i wyskoczył.

Już obaj byli niewidoczni. Przybiegł Apollo i dołączył do nich, a Juno i Ceres na brzegu czekały jak szalone. Ella gorączkowo się rozejrzała, szukając sposobu, żeby zejść. Ale jak – bez sznurowej drabinki leżącej bezużytecznie pod dębem?

Przez sekundę wahała się, wzdragała i wzbraniała przed tym strasznym, karkołomnym

schodzeniem. Pomyślała jednak o Mischy i Olliem, o nich obu tam w wodzie, i ze łzami paniki spływającymi jej po policzkach zmusiła się. Wyszła z drzewnego domku i jakoś zaczęła się zsuwać. Czepiając się, wbijając paznokcie w korę, rękami i nogami zahaczając się o konary, prawie nie czując palących zadrapań, powoli zjeżdżała z pnia, aż raptownie, boleśnie uderzyła o ziemię i przetoczyła się bez tchu.

– Ollie! Mischa!

Olivier nie zaplanował tego, co się stało.

Wskoczył w wodę, żeby ratować brata, nie tyle poczuwając się do braterskiego obowiązku, ile dla Lalli, która, blada, przerażona, patrzyła ze swego więzienia na drzewie.

Dopiero gdy znalazł się po pierś zanurzony w mrocznym wartkim zimnie nad tym małym chłopczykiem, z głową koloru marchwi, oczami okrągłymi ze strachu i ustami otwartymi, usiłującym łapać powietrze jak ryba na haczyku, to przyszło mu na myśl, ogarnęło go potężną falą i zmogło.

– Ollie, ratuj!

Te piwne oczy, ufne, bezradne.

– Ollie, pomóż!

Wtedy pies Apollo już był przy nich, wielkie, silne szare zwierzę, i warczał, ostrymi dużymi zębami usiłował pochwycić Michaela za kołnierz koszulki. Olivier zaczął odganiać psa, coraz groźniej warczącego z głębi krtani, odpychać coraz mocniej.

W czasie tej walki nie uświadamiał sobie, że widzi skamieniałą twarz Michaela, oczy pełne już nie ufności, tylko niedowierzania – nie potępiające, nawet gdy on trzymał brata pod wodą i ostatnie bąbelki powietrza wyciskane z pękających płuc ulatywały przez obolałe gardło nosem i ustami.

Nie uświadamiał też sobie bólu dłoni pogryzionych przez psa ani tego, że krew zabarwia wodę wokół nich czerwono, ani obecności Elli, która z twarzą jak upiorna maska grozy i udręki stała na brzegu, już niezdolna do krzyku.

Wiedział tylko, że w końcu to młócenie ustało i razem z młóceniem bulgot.

Wiedział tylko, że wroga już nie ma.

– To Apollo – powiedział głuchym głosem. – Nie pozwalał mi go wyciągnąć.

Delikatnie położył Michaela na trawie.

– Patrz – powiedział – moje ręce.

Ella popatrzyła, zobaczyła głębokie rany i krew. Kolana się pod nią ugięły, poczuła mdłości.

– Apollo? – wyszeptwała.

– Tak.

Padła na klęczki, dotknęła zimnej, lepkiej twarzy Michaela.

– Mischa?

– Za późno, Lalla – powiedział Olivier i rozplakał się. – On nie żyje.

– Nie żyje?

Zaczęła się trząść niepoohamowanie i gwałtownie. Olivier przykucnął i objął ją, ale mu się wyrwała. Zobaczył swoją krew na jej zabłoconej, podartej sukience.

– Mischa! – krzyknęła żałośnie, przygarnęła braciszka do siebie i kołysała.

– Tak bardzo się starałem go uratować – szlochał Olivier. – Ale Apollo nie dopuścił... wściekł się, ni stąd, ni zowąd... może to od tej wody, nie wiem.

Ella podniosła wzrok i zobaczyła psa, który stał w odległości może dwudziestu kroków, drżący, mokry, z łbem spuszczonego, z ciągłym, cichym charkotem w piersiach.

Potem znowu spojrzała na Michaela.

Krzyk zaczął się znowu. Nie przestawała, nie mogła przestać krzyżeć, dopóki nie odciągnęły jej od Michaela delikatne, ale stanowcze, silne, dorosłe ręce.

Michael Armand Robert Hunter

30 VIII 50 – 30 VIII 57

Siedem lat.

Krisztina, stojąc bardzo prosto, czuła, jak William ściska jej łokieć, słyszała cichy płacz matki i pamiętała swoje słowa, rzucone tak lekko w wonne normandzkie powietrze zaledwie kilka tygodni przedtem.

Siedem lat nieszczęścia.

Zamknęła oczy. Michael przyniósł siedem lat radości, piękna i miłości. Koniec z przesądami.

Otworzyła oczy i spojrzała na Williama, zobaczyła ponure, szare odbicie swojej twarzy w jego oczach, po czym odwróciła głowę i zobaczyła małą Ellę bladą, zrozpaczoną, Oliviera obejmującego ją ramieniem i stojącą za nimi Genevieve.

Znowu opuściła wzrok na tę trumienkę, taką małą i samotną. Był początek września, jeszcze ciepło, ale zrobiło jej się lodowato zimno jak nigdy dotąd.

Michael w tej zimnej ziemi i z Michaelem część jej jestestwa.

Są sprawy nie do zniesienia, pomyślała.

Nie do zniesienia.

Dla Elli, jak dla innych, życie potoczyło się dalej.

Miała lekcje z panną Herrick i bezskutecznie usiłowała zapomnieć o tych dwóch grobach – jednym z nagrobkiem Mischy i tym drugim, biednego wściekłego Apolla, na cmentarzyku zwierząt niedaleko.

Papa taki, jakim nigdy przedtem go nie widziała, często i długo siedział sam, pijąc whisky i płacząc. *Maman* była dobra dla niej i dla Olliego, i dzielna, ale te piękne oczy miała wciąż – chociaż kiedy płakała, nie widzieli – zamglone, smutne, ciemno podkrążone.

W nocy Ella z krzykiem budziła się z koszmarnych snów. Ollie wtedy przychodził, siadał na brzegu jej łóżka i łkała w jego objęciach, dopóki nie zasnęła znowu.

Życie toczyło się dalej.

Maman zaczęła znów pracować, jeszcze gorliwiej niż przedtem, codziennie od rana do późnego wieczora, nieraz nawet nie przerywając pracy, żeby zjeść obiad czy kolację. Papa chyba poczuł się trochę lepiej, zaczął znów wyjeżdżać w interesach, a gdy wracał do domu w piątkowe wieczory, już nie pił whisky ani nie płakał i po kilku tygodniach namówił *maman* do wyjazdu z nimi wszystkimi. Spędzili wtedy czternaście dni w Villefranchesur Mer, zdaniem jej, Elli, bardzo przyjemnie, ale nie tak, jak byłoby z Miszą.

W któreś popołudnie w grudniu Olivier znalazł w *temple d'amour* maleńkiego szczeniaka kundelka, chroniącego się tam przed deszczem, i przyniósł go Elli z nadzieją, że to ją rozweseli. Szczeniak był czarny jak węgiel, z beżowymi smużkami na łapkach i na czubku ogona. Taki liliput, a okazywał odwagę i wielką pewność siebie, więc Ella nazwała go Tytus.

Pokochała serdecznie tego psiaka, który nawet pannę Herrick tak oczarował, że od czasu do czasu wolno mu było przebywać w pokoju szkolnym. Panna Herrick wiedziała, jak bardzo Elli na lekcjach brakuje Mischy, i próbowała temu zaradzić, ale właściwie nic nie pomagało na długo. Ella cierpiała, do żaloby dołączyły się niejasności i poczucie winy.

Przyjęła wersję Oliviera o tym, co się stało tamtego dnia, bo nie miała powodu mu nie

dowierzać, wciąż jednak prześladowały ją wspomnienia tej zabawy, tego polowania, niewytłumaczalnych lęków i najgorsze ze wszystkiego – wspomnienie twarzy Mischy, gdy spadał z mostku. Ale jeszcze bardziej bezlitośnie i uporczywie, chociaż życie w de Trouvere wracało do normalności, dręczyły ją wyrzuty sumienia. Rzeczywiście wierzyła, że to się stało z jej winy. Bo zdając sobie sprawę, że niejednokrotnie jest o wiele rozsądniejsza niż Olivier, zawsze pozwalała mu stawiać na swoim i uczestniczyła chętnie w jego zabawach, przeważnie odbywających się kosztem Mischy.

A teraz Mischy już nie było.

Za kilka tygodni Ella, w kwiecie wieku dzieciństwa, miała ukończyć zaledwie dziewięć lat. Rozumiała, że wbrew wszystkiemu życie naprawdę toczy się dalej i że może nawet kiedyś w przyszłości będzie znowu szczęśliwa, ale jakąś częścią umysłu wiedziała, że czasy pod kloszem – nieskrępowana radość letnich wakacji, wspaniała, niewysłowiona przytulność zimy – skończyły się.

Też nigdy nie wróca.

CZEŚĆ CZWARTA

Ella: Alzacja i Nowy Jiirk
lata 1968-1974

Ella prawie nie wierzyła własnym oczom.

King's Road Chelsea.

Taki był napis na tabliczce i przypuszczała, że większość turystów na tej słynnej londyńskiej ulicy wcale się nie zdumiewa, ale dziewczynie dziewiętnastoletniej, która dorastała prawie tylko w granicach wciąż tych samych kilkuset akrów francuskiej wsi, widok i tło dźwiękowe przelewających się paradnych tłumów wydawały się prawie nie do pojęcia.

To wszystko świeże, nowe, w nieustannym ruchu, zuchwałe i głośnie – to jest inny świat.

Przyjechali do Anglii *en familie* na pogrzeb Roberta Huntera dziesięć dni temu. Wszyscy razem na miłym, wiejskim cmentarzu pod szarym niebem listopada, napierającym na dzwonnice i grożącym, że zaraz lunie deszcz, złożyli ostatni hołd człowiekowi, którego niejeden z żałobników prawie nie znał.

Robert i Clementine przenieśli się trzy lata przedtem do Nowego Jorku, bo dłużej już nie sposób było ignorować faktu, że filia Domu Huntera na Manhattanie stała się centralą. Jednak gdy Robert, przewodnicząc konferencji, umarł na zawał, nie ulegało wątpliwości, że należy go pochować na ziemi ojczystej.

Po pogrzebie William i Krisztina zatrzymali się na kilka dni z Clementine w jej londyńskim mieszkaniu, a Genevieve, Olivier i Ella w hotelu Connaught. Potem William poleciał do Nowego Jorku, gdzie musiał pokazać się w biurze, Krisztina i Genevieve wróciły do de Trouvere, a Ella i Olivier zdecydowali, że zrobią sobie w Londynie krótkie wakacje.

Olivier z przyjemnością towarzyszył siostrze w tym wielkim mieście i zauważał spojrzenia pełne podziwu rzucane na nią, gdziekolwiek byli. Tak jak wszyscy stwierdzał, że Ella jest rzeczywiście niezwykle piękna.

Chodzili wszędzie – Hampstead, Kensington, Chelsea, Knightsbridge, Bond Street.

– Ależ, Ollie, ja nie chcę wciąż tylko biegać po sklepach i jeść.

– Wszystkie dziewczyny lubią biegać po sklepach.

– Chcę pójść do teatru.

– Dobrze – ustąpił.

– I do kina.

– Mamy kina we Francji, Lalla.

– Ale nigdy w nich nie bywam. I muzea... chcę zobaczyć British Museum i...

Olivier się zbuntował.

– Co do muzeów, *ma chere*, będziesz musiała znaleźć sobie innego kawalera.

Więc Ella chodziła po muzeach sama. Z bratem korzystała z takich sposobności, jakich normalnie nie mieli. Ucztowali w eleganckich restauracjach: Spot i 335 King's Road, pili piwo i pałaszowali żeberka w Trader's Vic, wybierali wielkie kawały znakomitej wołowiny w Rib Room w hotelu Carlton Tower, tańczyli w Ad Lib, zobaczyli *Jeżeli, Boso w parku i 2001: Odyseję kosmiczną...*

– Podobno – powiedział jej Olivier chytrze – ostatnia część tego filmu to wrażenia Kubricka pod wpływem LSD.

Potrząsnęła głową.

– To było piękne, a te paskudztwa są ohydne i straszne.

– Skąd możesz wiedzieć, Ella?

– Właściwie nie mogę, Bogu dzięki, ale wiem, że są niebezpieczne, wariackie i nie chcę nigdy mieć z nimi do czynienia.

Odkąd Olivier po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej wrócił do domu z ukrytym zapasem ziała indyjskich konopi, Ellę niepokoił problem narkotyków. Zaledwie minęły jej siedemnaste urodziny, zastała Oliviera kiedyś po południu w starym, nawiedzanym przez duchy belwederze, gdy zataczał się jak niewidomy. Błagała go wtedy, żeby już nigdy tego nie tknął.

Ale w Londynie nie tylko powszechność narkotyków ją niepokoiła. Od nieustannego hałasu i ruchu bolała ją głowa, namacalne napięcie w powietrzu zbijało z tropu, a raptowne znalezienie się w towarzystwie mężczyzn, bo Olivier szybko zawierał nowe znajomości, jakkolwiek podniecało, przyprawiało ją o ostrzegawcze ciarki przebiegające po krzyżu.

Olivier i Ella byli bezsprzecznie dwojgiem najbardziej atrakcyjnych młodych ludzi „do wzięcia” w Haut-Rhin. Olivier, postawny, przystojny, mający w twarzy coś z charta, brunet, mógł przebierać wśród miejscowych panien i ostatnio zaczął uderzać do wybranek spośród hotelowych gości, ku wielkiemu zadowoleniu niejednej z nich i chyba jeszcze większemu ubolewaniu Williama i Krisztyny.

Ella natomiast odnosiła się do mężczyzn z rezerwą, powściągliwa, a nawet nieśmiała. Dziesiątki młodych i starych podziwiała i zachwycała się tą piękną, gibką panną, o wysoko osadzonych piersiach i ognistych włosach, a ona, tak nęcała roziskrzonymi, fantastycznymi oczami i ustami jak dojrzały owoc, po prostu nie była gotowa.

To spowodowało jeden przykry incydent w Londynie. Ella ogromnie lubiła tańczyć, upajały ją grzmoty muzyki w dyskotekach. Łatwo tracąc opamiętanie na otwartym parkiecie, poddawała się rytmom, potrząsała całym ciałem, zupełnie wolna od swej wrodzonej powściągliwości. Młody człowiek, z którym tańczyła w „Rewolucji”, ciemnooki student ekonomii imieniem Tim, obdarzony świetnym wyczuciem rocka, ale nie znający dotychczas takich dziewczyn jak ona, wyprowadził ją z sali, żeby „się przewietrzyć” i ledwie wyszli, przyparł ją do ściany budynku.

Zdrętwiała.

– Nie, dziękuję – powiedziała, jak mogła najuprzejmiej.

Tim pochylił głowę i pocałował ją wilgotnie, spróbował językiem rozewrzeć jej mocno zaciśnięte wargi. Usiłowała się wyrwać, ale przypierał ją mocno, jedną ręką przytrzymując jej ramię, drugą macając po lewej piersi.

– Nie – powiedziała już ostrzej.

Pochylił twarz do następnego pocałunku, oczy miał zamknięte, błędzącą rękę zsunął z jej piersi raptownie na skraj białej mini od Courreges’a między uda.

– Nie! – Odepchnęła go, zbrzydzone i gniewna.

Spojrzał zaskoczony.

– O co chodzi?

– Ja nie chcę – wycedziła.

– Nie chcesz?

– Nie.

– No, przecież dawałaś mi do zrozumienia.

– Wcale nie – oburzyła się.

– Tak, sposobem, w jaki tańczysz. – Tim uniósł brwi i z łagodnym niesmakiem odszedł akurat w chwili, gdy Olivier wyszedł z tego nocnego klubu, szukając siostry.

– Lalla?

Ella, zaczerwieniona, zdenerwowana, stała pod ścianą.

– *Qu'este que tu as?*

– *Rien.*

Podszedł i jednym palcem uniósł jej podbródek.

– Co się stało?

Potrząsnęła głową.

– Nic.

– Ten chłopak... co on zrobił?

Widząc błyski gniewu w jego oczach, zmusiła się do uśmiechu.

– Nic, Ollie, naprawdę. Tylko głowa mnie trochę boli, więc chcę tu jeszcze chwilę zostać.

– Zostanę z tobą.

– Nie, wróć tam. Ja zaraz przyjdę.

Czekała, aż on zniknie, po czym podniosła ręce do twarzy, niemądrze bliska płaczu.

Śmieszne.

Miała dziewiętnaście lat. Zdawała sobie sprawę, że jest ładna, i wiedziała od koleżanek, że to normalna kolej rzeczy i że to powinno jej pochlebiać, a nie wzbudzać w niej obrzydzenie.

Ale zemdliło ją. Wtedy, gdy on sięgnął między jej uda... Nikt dotąd tego nie zrobił – chłopcy ją całowali, czasami przyjemnie, ale nikt tego nie zrobił!

Z wyjątkiem *grandpere*.

Odjęła dłonie od twarzy. W świetle latarni zobaczyła na kciuku bliźnię tak maleńką, że prawie niewidoczną. Tylko Olivier i ona wiedzą o tej bliźnię.

Pomyślała, że przeszłość zawsze z nią będzie. Naprawdę nie odejdzie nigdy.

Londyn uczył Ellę czegoś ważnego o niej samej. Może, zastanawiała się, to jest prawdziwy smak wolności, właściwie po raz pierwszy w życiu. Z dała od de Trouvere przebywała przez jeden, jedyny rok studiów handlowych na politechnice w Paryżu.

Może właśnie wolność, dumiała, pokazuje, czym rzeczywiście chce się być, gdzie się chce mieć swoje, należne miejsce. Teraz wiedziała, że jej miejsce jest w de Trouvere. To jedyny dom, jaki ona ma i przecież – uświadomiła sobie jaśniej niż kiedykolwiek przedtem – sam ten zamek rzeczywiście odwzajemnia miłość i troskliwość. De Trouvere rzeczywiście karmi jej rodzinę, daje jej rodzinie ogromną pewność jutra i spokojne zadowolenie, a swoim gościom przyjemność przerwy w życiu powszednim.

Była gotowa wrócić do domu.

W ostatni wieczór przed wyjazdem z Londynu Olivier, siedząc i popijając z Ellą w holu Connaught, powiedział, że William i Krisztina chyba będą musieli przenieść się do Nowego Jorku.

– To niemożliwe.

Wzruszył ramionami.

– Teraz tam jest główny Dom Huntera, centrala. Kiedy Roberta już nie ma, centralę trzeba upewnić.

– Jak to upewnić? – Ella pobladła.

– Że życie będzie płynęło dalej.

– W żadnym razie nikt by nie wymagał, żeby papa i *maman* tam mieszkali. Ich dom to de Trouvere.

– Wszystko się zmienia, *cherie*.

– Nie lubię zmian.

Olivier uściskał jej rękę.

– Wiem.

William, po dwóch tygodniach na Manhattanie, wrócił do Alzacji, zabrał Krisztinę i poleciał z nią do Nowego Jorku na jeszcze jeden tydzień, zostawiając hotel pod okiem Genevieve, Oliviera i Elli.

– Zdecydowanie coś się dzieje – powiedział Olivier późnym wieczorem, gdy w biurze sprawdzali we dwoje książki zakupów.

– Co masz na myśli? – zapytała Ella.

– Te interesy nowojorskie. – I dodał po chwili: – Wielkie zmiany.

– Nie mów – powiedziała szybko i przestała wbijać liczby w kalkulator.

– Musimy być realistami, Ello. Jeżeli oni tam się przeniosą, to już wkrótce.

Rzuciła długopis. Potoczył się po biurku i spadł na podłogę.

– Ollie, mówisz poważnie?

– Oczywiście.

– I wcale się nie przejmujesz?

Wzruszył ramionami.

– Rozpatrzyłem wszystko. Doszedłem do wniosku, zupełnie szczerze, że to byłoby bajecznie.

– Ollie!

– Tego właśnie nam potrzeba, Lalla.

– Nie mieć tu *maman* i papy? – zapytała z niedowierzaniem.

– Chyba wiesz, co to jest abdykacja?

– Ollie, nie jesteśmy rodziną królewską.

– Wychodzi na jedno, prawda? Dopóki starzy są u władzy, my to coś niewiele lepszego niż księgowi... jak najęta pomoc.

– Mów za siebie! – Ella była oburzona. – Ja wykonuję prawie każdą robotę, jaka jest w tym hotelu...

– Ale po co?

– Żeby się nauczyć, oczywiście.

– W jakim celu?

– Żeby umieć wtedy, gdy będziemy musieli poprowadzić ten hotel.

– A kiedy to nastąpi? Wtedy, gdy oboje już osiwiejemy?

– Wtedy, gdy przyjdzie na to czas.

Olivier pokręcił głową.

– Czas na to jest teraz. Dom Huntera pozostaje zasadniczo koncernem rodzinnym i ponieważ staruszka już nie ma, prezesem musi być papa.

– Wcale jednak nie musi mieszkać w Nowym Jorku.

– Oczywiście że musi. Nie bądź naiwna, Ella.

– Jeżeli naiwnością jest żałować, że nasz dziadek umarł, albo chcieć, żeby rodzice mieszkali w tym samym kraju co ja, to naiwność bardzo mi odpowiada!

– On nie był moim dziadkiem.

– Och, Ollie, na miłość boską!

Nie wzruszył się.

– Powinnaś zdać sobie sprawę, że to daje nam szansę, *cherie*.

Wpatrzyła się w niego.

– Potrafisz być czasami taki twardy, naprawdę mnie niepokoisz.

Odrzucił z czoła kosmyk włosów, modnie długich.

– Są chwile na miękkość, Lalla. Ale nie teraz.

– Nie rozumiem, dlaczego nagle jesteś niezadowolony z obecnego stanu rzeczy. Masz wszystkie przywileje de Trouvere i bardzo mało odpowiedzialności.

– Czy to wyklucza wszelkie ambicje?

– Oczywiście że nie, i ja też mam swoje ambicje. Ale mnie się nie śpieszy... Kocham moje życie takie, jakie jest, i modłę się, żebyś się mylił co do Nowego Jorku. Poza tym ten hotel jest całym światem dla *maman*... byłaby zagubiona bez hotelu.

– Pocieszyłaby się prędko.

Ella się wzdrygnęła wobec takiej gruboskórności.

– Możliwe – powiedziała – ale modłę się, żebyś się mylił.

Olivier pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Módl się, o co chcesz, *petite soeur*. Jednak zobaczysz, że się nie mylę.

Miał rację.

W niecały tydzień potem huknął ten grom.

– Musimy się przenieść, kochanie – powtarzała matka po raz Bóg wie który.

– Nie wierzę.

– Nie mamy wyboru.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego papa nie może tam po prostu jeździć częściej. – Ella znów próbowała argumentować, chociaż wiedziała doskonale, że to daremne.

– Tak samo nie może, jak nie mógł jego ojciec. – Krisztina – była błada i zmęczona. W końcu poczuła, że ma już czterdzieści dziewięć lat. – Ella, kochaneczko, spodziewałabym się od ciebie więcej obiektywizmu.

– Chcesz, żebym obiektywnie patrzyła, jak tracę rodziców?

– Nie tracisz nas, *cherie*... wiesz o tym.

Ella westchnęła.

– Tak, oczywiście, wiem. – Z dużym wysiłkiem opanowała wzburzenie. – Dobrze, kapituluję.

– To wcale nie miała być bitwa – powiedziała Krisztina zasmucona. – To jest decyzja dotycząca całej rodziny.

– Nie jest.

– Jest.

– Nasza rodzina to nie korporacja, *maman*. Nie możemy zwołać miłego, grzecznego zebrania, wyłożyć naszej strategii i głosować. – Oczy Elli pały. – Jesteśmy ludźmi, mamy swoje uczucia, wrażliwość i potrzeby. – Wzruszyła ramionami. – Może powinnam być już bardzo dorosła i

pomachać wam wesoło *au revoir*, ale chcę, żeby matka i ojciec byli przy mnie na miejscu.

– To zupełnie na opak – zgodziła się Krisztina. – Bo nie syn i córka opuszczają dom rodzinny, ale rodzice.

– Opuszczasz nie tylko dom rodzinny – upierała się Ella. – I nawet nie tylko swoje przedsiębiorstwo... Opuszczasz to, co stworzyłaś... swoje dzieło.

– Które mogę, dzięki Bogu, przekazać tobie.

– I Olliemu.

– Naturalnie. Z myślą o nim powstał ten hotel.

– Wiem.

– Więc, ostatecznie, chyba tak być powinno. Lepiej tak, niż czekać, aż ja przejdę w stan spoczynku czy umrę, a wtedy Olivier może będzie znudzony i zgorzkniały albo gdzieś w odległości tysięcy mil zajęty czymś innym. – Krisztina zmarszczyła brwi. – Ten aspekt rzeczywiście martwi mnie najbardziej.

– Jaki aspekt?

– To, że William i ja faktycznie przywiązujemy was oboje do de Trouvere, kiedy moglibyście w normalnym stanie rzeczy chcieć stąd wyjechać.

– Nie wyobrażam sobie, że bym kiedykolwiek chciała wyjechać – powiedziała Ella zgodnie z prawdą. – Ale też nie mogę pojąć, że ty chcesz.

– Nie chcę.

– Ale chcesz być z papą.

Krisztina się uśmiechnęła.

– No przecież. – Umilkła na chwilę. – Zrozum, on jest przerażony tym, że mnie porwa od was i z de Trouvere. Takie rozwiązanie na myśl by mu nie przyszło, gdyby nie było w stu procentach konieczne.

Ella przygryzła wargę.

– Pewnie, że Dom Huntera jest ważny. Ważniejszy niż nasz hotel.

– Nie ważniejszy... jest o wiele większy, oczywiście, i utrzymuje o wiele więcej ludzi... ale wasz ojciec ani przez chwilę nie przestaje doceniać Chateau de Trouvere, tych wartości zarówno materialnych, jak i bardziej abstrakcyjnych.

– Ale papa, jeżeli nie pojedzie do Nowego Jorku, może utracić kontrolę nad Domem Huntera, a jeżeli ty tam pojedziesz, de Trouvere zostanie dla ciebie pod naszą opieką.

– Właśnie – powiedziała Krisztina rzewnie, bez żadnej satysfakcji.

Ella milczała. Po chwili podniosła głowę.

– Myślisz, że to na stałe, *maman*? Myślisz, że będziesz mogła wrócić?

– Nic nie trwa wiecznie, *dragam*.

– Lubisz Nowy Jork? – zapytała Ella zaciekawiona.

Krisztina się roześmiała.

– Pod wieloma względami tak, lubię. Czasami Nowy Jork mnie przeraża, ale to dlatego, że od trzydziestu lat żyję na wsi. Każde wielkie miasto, którego mieszkańcy jak zahipnotyzowani wierzą, że jest pępkiem świata, na pewno ma jakąś nadzwyczajną moc.

– Takie wrażenie sprawił na mnie Londyn.

– Ale Londyn jest zupełnie inny... tak jak Paryż, czy nawet Budapeszt, ma w sobie wiele

dostojeństwa, szacowność starości. Manhattan jest terazniejszy.

Ella zachichotała.

– Londyn wydawał mi się dosyć terazniejszy, wtedy gdy tam byłam.

Milczały przez parę minut.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała Ella.

Krisztina potrząsnęła głową.

– Papa musi wyjechać wkrótce, ale ja jeszcze długo nie będę mogła zostawić de Trouvere. – Umilkła. – Czujesz się już lepiej, Ella? Trochę więcej rozumiesz?

Ella zrobiła minę.

– Czy dobrze, jeżeli odpowiem, że jestem zrezygnowana?

– Lepiej, niż na to zasługujemy.

– To nieprawda – powiedziała cicho. – Zasługujecie na podtrzymywanie na duchu i uspokojenie. – Nabrała tchu. – I to wam zapewniam.

– Myślisz, że dacie tu sobie radę, *cherie*?

Uśmiechnęła się.

– Wiem, że tak.

Późno tej nocy, gdy Ella poszła spać, a Olivier jeszcze nie wrócił do domu, William i Krisztina siedzieli z Genevieve w jej salonie i popijali koniak przed ogniem buzującym na palenisku kominka.

– Waszym zdaniem oni już są rzeczywiście gotowi? – zapytał William. – Ella ma zaledwie dziewiętnaście lat.

– Jest bardziej dojrzała niż Olivier – powiedziała Krisztina.

– I uważa, że jest gotowa – dodała Genevieve.

– Ollie też tak mówi – powiedział William. – I to chyba mogłoby z niego zrobić człowieka. Bo to szansa dla nas, żeby wykorzystywał swoje walory dla odmiany praktycznie.

– Będzie musiał skończyć z uwodzeniem każdej ponętnej kobiety w hotelu.

– Jestem pewna, że skończy, *bellemere* – powiedziała Krisztina.

– Jesteś pewna? Ja nie.

– Razem mogą działać po prostu świetnie. – William pogłaskał się po bródce, którą ostatnio zapuścił. – Olivier ma wrodzony dynamizm i ambicję, no i wielki wdzięk, kiedy chce czarować, a Ella, jak wszyscy wiemy, z własnej inicjatywy przeszła przeszkolenie gruntowniejsze, niżby jej to dała szkoła hotelarstwa.

Genevieve, nadal tak wytworna jak zawsze, w ponadczasowej garsonce Chanel, rozpromieniła się na myśl o swojej znakomitej wnuczce, wprawdzie nie z jej krwi, ale ukochanej na równi z rodzonym wnukiem Olivierem.

– Ella jest nadzwyczajna – powiedziała – sprawna, zdolna, – silna i dostatecznie spokojna, żeby neutralizować wyskoki Oliviera. – Umilkła i po chwili zapytała: – Co z Iloną i Gaborem? Jak twoja mama poradzi sobie bez ciebie? – W ostatnich latach Ilona coraz bardziej traciła orientację, więc do Gabora przyjęli na pełny etat pielęgniarkę.

Krisztina posmutniała.

– Trudno powiedzieć, czego mama chce. Sama widzisz, *bellemere*... czasami jest zupełnie przytomna... kiedy indziej wydaje jej się, że jest w Budapeszcie. Chyba prawie niemożliwe byłoby

ich ciągnąć na inny kontynent. Potrzebują stabilności, normalnego życia... swojego domu.

– A Ilona ponadto potrzebuje swojej córki. – William się skrzywił. – Czuję się draniem, wiecie.

Taki przewrót przeze mnie, tyle zmartwienia.

Krisztina wstała z fotela i usiadła obok męża na kanapie.

– Nie jesteś temu winny. Nikt do ciebie nie ma pretensji.

– Ale fakt, że odrywam cię od trzydziestoletnich korzeni.

Genevieve odstawiła kieliszek.

– Twoja żona, *mon cher*, wszystko przetrwa. Już raz została oderwana od innych korzeni o wiele gwałtowniej.

– Wtedy, *bellemere*, nie było mi tak ciężko – powiedziała Krisztina – odkąd poznałam ciebie i pokochałam de Trouvere.

– Nasz dom jest szczególny, owszem... ale myślę, że ty masz dar wyszukiwania piękna wszędzie, gdzie jesteś.

– Szczerze mówiąc – przyznała Krisztina powoli – nigdy ani przez chwilę nie wyobrażałam sobie, że coś czy ktoś mnie skłoni do opuszczenia de Trouvere. – Ujęła męża za rękę. – Ale nie czuję się tak, jakbym porzucała zamek... przecież wy tu zostajecie: ty, *bellemere*, i dzieci, Andre i Marthe, i inni. I przecież my już nie budujemy. Nasz hotel istnieje.

– A co z nimi? – William wskazał leżące u jej stóp dwa psy: Janusa, wspaniałego potomka Perseusza, spośród tych pierwszych wilczarzy, które Krisztina zastała w de Trouvere przed trzydziestu laty, i Tytusa Drugiego, najstarszego syna małego czarnego kundelka, którego Ella w dzieciństwie dostała od Oliviera.

Krisztina wyciągnęła rękę i pogłaskała Janusa za uszami.

– Te dwa muszą pojechać... w żadnym razie bym ich nie zostawiła. A młoda Wenus będzie świetną *maman*, jeżeli *belle – mere* i Ella z niej zrezygnują.

Genevieve się uśmiechnęła.

– Chcesz założyć hodowlę?

– Myślałaś, że już nic nie będę robić? Po takim życiu, do jakiego przywykłam? – Krisztina wydeła usta. – Zwariowałabym w ciągu miesiąca.

– To znaczy, że musimy tam mieć dużo miejsca, a to z kolei znaczy, że będę musiał dojeżdżać do pracy – William westchnął.

– Dojeżdżasz już od dwudziestu lat, więc nie sędzę, żeby to ci sprawiło dużą różnicę.

Genevieve stłumiła ziewnięcie i spojrzała na zegarek.

– Już po drugiej, *mes enfants*. Jestem stara i ciągnie mnie do łóżka.

Krisztina uniosła brew.

– Masz więcej energii niż my wszyscy.

– Już nie. – Genevieve znów spoważniała. – Dlatego cieszę się, że pozwalacie młodemu przejąć hotel. Dla mnie samej byłby ponad siły.

– Z pewnością oni nie daliby sobie rady bez ciebie! – wykrzyknęła Krisztina. – Ella może nauczyła się wszystkiego świetnie, ale im brak doświadczenia.

– Czy my miałyśmy doświadczenie, kiedyśmy zaczynały?

– Nie – odrzekła – tylko że w tamtych czasach było inaczej. Teraz jest wielka konkurencja, mnóstwo do zyskania, mnóstwo do stracenia.

– Nie martw się, *cherie* – uspokoiła ją Genevieve. – Będę wywierać stabilizujący wpływ, jakiego potrzebują. Nie będę jednak się wtrącać do codziennych decyzji... gdybym się wtrącała, nie mieliby możliwości się wykazać i ucierpiałby na tym duch tego miejsca.

Znów zaległo milczenie.

– Więc zdecydowane? – zapytał w końcu William.

– Wydaje się, że tak – odpowiedziała Genevieve.

– Kriszti?

Oczy Krisztiny nagle zwilgotniały, ale przełknęła łzy.

– Nowe melodie – powiedziała cicho.

– Co, kochanie? – William nie zrozumiał.

Uścisnęła jego dłoń.

– Jedna z mądrości *bellemere*. Na temat zmiany.

– Aha – William przytaknął. – Jedna z tych mądrości.

Genevieve uśmiechnęła się i machnęła ręką.

– Nie moje słowa.

– Ale takie trafne, kiedy wahałyśmy się, czy zmienić zamek w hotel – powiedziała Krisztina. – I tak samo pasują teraz.

William znalazł dla nich ładny kamienny dom z sześcioma sypialniami niedaleko Rhinebeck w hrabstwie Duchess pośrodku doliny rzeki Hudson. Chociaż nie do porównania z Alzacją czy Kalifornią, była to okolica winnic, więc Krisztina mogła znaleźć jakieś skojarzenia. I mieli uroczy ogród, za którym rozciągało się pięć akrów łąk należących do tej posiadłości.

– Czy nie za daleko od miasta? – zapytała Elia niespokojnie, gdy Krisztina jej o tym powiedziała.

– Przecież zawsze byliśmy daleko od miasta.

– Ale tutaj jesteśmy u siebie.

Krisztina ją przytuliła.

– Nie byłam u siebie, kiedy tu przyjechałam.

O siódmej rano przed wyjazdem Krisztina sama poszła do kaplicy i na cmentarz.

Stała na kamiennej podłodze w różnobarwnym blasku porannego majowego słońca wpadającym przez witraże. Przypomniała sobie, jak stała tu po raz pierwszy – i wiele razy potem. Myśli jej powędrowały w przeszłość – do Davida, do Laurenta, do ojca i matki, do tamtych czasów, gdy Ilona Florian była spokojną, mocną kobietą, a nie tą oszołomioną staruszką, która, siedząc przy sparaliżowanym mężu, chyba zupełnie nie pojęła, że pożegnalny pocałunek córki może być ostatni... i do ślubu z Williamem, i do chrztów dzieci, i do Michaela...

Minęła połyskliwą złotą plakietkę ku pamięci Davida i wyszła z kaplicy na cmentarz, gdzie smutno powitały ją groby, pokryte jak zawsze świeżymi kwiatami, i zadbane, posępne nagrobki.

Gdy uklękła przy najmniejszym grobie, ogarnęło ją dziwne uczucie nierzeczywistości. Znów była dzieckiem na Węgrzech, tańczącym przed dużym lustrem w sypialni rodziców, a Miksa czy potem Mojżesz leżał cierpliwie i patrzył na nią.

– *Maman?*

Odwróciła powoli głowę i zobaczyła stojącą na żwirze alejki Elle.

– Tak, *dragam?*

– Przepraszam, *maman* – powiedziała Ella – ale papa i Ollie czekają. Już czas.

Krisztina przytaknęła.

– Czas.

Spojrzała na grób Michaela i dawna, nieznośna tęsknota, beznadziejność pragnienia, żeby tulić synka w objęciach, były tak bolesne jak przed dziesięciu laty.

– On nigdy nie będzie miał więcej niż siedem lat – wyszeptwała.

– Tak. – Ella podeszła do niej.

– I David nigdy więcej niż dwadzieścia cztery... i Laurent nigdy więcej niż trzydzieści.

– Będę pilnowała, żeby zawsze były w porządku – powiedziała Ella z czułością.

– Ja wiem.

Krisztina mocno zamknęła zamglone oczy, jak gdyby chwilowa czerń pod zaciśniętymi powiekami mogła uśmierzyć ten straszny, tępy ból.

– *Maman*, musicie już jechać do Paryża.

Otworzyła oczy. Poczła na policzkach i gołych przedramionach muśnięcie uroku łagodności i wonności de Trouvere, jak lekkie tchnienie przenikające jej płuca i mózg.

Wstała z klęczek, wzięła Ellę za rękę.

– Idę – powiedziała.

W pół godziny później ich samochód, warkocząc na głównej *allee*, oddalał się od domu w stronę Paryża, w stronę Ameryki.

Ella, drętwa, weszła do swego gabinetu, usiadła przy biurku i przewróciła stronicę terminarza.

26 maja 1969 r.

Pierwszy dzień drugiego pokolenia Grand Hotel du Chateau Trouvere.

To powinno być proste.

Wobec tak przemożnej *bonhomie* i tak znakomitej dwudziestoletniej reputacji powinno być dosyć łatwo, pracując pilnie, rozsądnie i z oddaniem, prowadzić ten hotel dalej na tym samym poziomie.

Ella, chociaż знаła wady Oliviera, nigdy ani przez minutę nie myślała, że to jest zły człowiek. Niezależnie od tego, że go kochała, widziała w nim wiele cech dobrych – przywiązany do matki, szanuje ojczyzna, jest wprost niewyobrażalnie dla większości ludzi dumny ze swego dziedzictwa, uwielbia siostrę i wprost rozpaczliwie kocha de Trouvere.

Potrafi również – niechętnie to przyznawała – być bezwzględny, nawet bezlitosny, coraz namiętniej uprawia hazard, z ogromną przyjemnością uwodzi i odrzuca kobiety, nieraz pije za dużo, gardzi wszystkimi i wszystkim, co stare, z wyjątkiem antyków i oczywiście zamku swoich przodków, i beznadziejnie szasta pieniędzmi.

Olivier znał te cechy swego charakteru i kultywował je w spokoju ducha, bo był całkowicie, naprawdę amoralny. Jeżeli rzeczywiście miał kiedykolwiek wyrzuty sumienia, to głęboko je pogrzebał. Im więcej dowiadywał się o swoim zmarłym ojcu, tym bardziej podlegał swemu dziedzictwu i tym większej nabierał pewności siebie. Nie przejmował się tym, że ludzie czasami uważają jego postępowanie za karygodne – bo cóż znaczą ci ludzie? On jest inny niż oni, jest arystokratą, to go zarówno tłumaczy, jak usprawiedliwia.

Teraz wiedział, że jego czas nadchodzi – szansa jego i Elli, a przynajmniej na Ellę mógł liczyć, że będzie respektowała panowanie starszego brata – ale jeszcze nie nadszedł, bo nadal babka trzyma bat. Wydawało mu się, że tworzą trójkąt – on i Lalla na dwóch końcach solidnej, młodej podstawy patrzą w przyszłość, a Genevieve, wytworna przeszkoda, siedzi na wierzchołku i chociaż udaje, że nie wtrąca się do codziennego prowadzenia hotelu, samą swoją obecnością nieustannie zagraża. Wiedział, że Genevieve jak nikt inny potrafi przejrzeć go na wskroś.

Dość tego! – często myślał, rozzłoszczony. – Już nie jestem dzieckiem... mam dwadzieścia pięć lat... jestem mężczyzną... baronem!

Dzieciństwo na ogół bardzo mu się nie podobało – dzieci mają za mało kontroli nad czynnikami rządzącymi ich życiem. Odetchnął z ulgą, gdy jego chłopięce lata oficjalnie się skończyły i powołano go do *service militaire*. W wojsku jednak też się zmagał, zamiast dziadków, rodziców i nauczycieli dowodzili tam obcy mężczyźni, którzy ośmielali się krzyczeć na niego, karać go i poniżać.

Ale i to już minęło i w wyniku ostatnich wydarzeń ukazała się przed nim nowiusieńka wolność, jakiej nigdy nie zaznał. To tylko kwestia czasu i będzie rzeczywiście mógł zażądać swego prawowitego dziedzictwa, zdecydować o swojej przyszłości.

– Ona ma siedemdziesiąt sześć lat, na litość boską! – warknął do Elli któregoś dnia jesienią 1970 roku. – Dlaczego nie może się wycofać i odpoczywać?

– Dlatego, że nie jest stara – odpowiedziała Ella.

– Do cholery, Lalla! Jasne, że jest!

– Nie klnij, Ollie. – Umilkła. – I mylisz się całkowicie – powiedziała po chwili. – Nie znam nikogo tak niestarego jak *grandmere*. I przede wszystkim ja bym się pogubiła bez niej.

– Na pewno nie. Żadne z nas by się nie pogubiło. Mielibyśmy możliwość iść naprzód, zamiast tej

stagnacji...

Ella patrzyła na niego, zażenowana, nie pojmując.

– De Trouvere kojarzy ci się ze stagnacją?! Nasz hotel oddycha, tętni życiem.

– Zaludniony i prowadzony przez starych ze starymi pojęciami.

– Ollie – powiedziała łagodniej – nie rozumiem, jak ty, prawie znikowany na punkcie tradycji, możesz myśleć tak niedorzecznie.

– Nie mów, że jestem niedorzeczny!

– Nie ty... twoje myśli! Figurujemy w przewodniku Michelina jako *grand luxe et tradition...* a ty nagle wydajesz się gotów powyrzucać nasze rokokowe krzesła i wstawić meble ze stalowych rurek!

– Teraz ty jesteś niedorzeczna, Ella. Ja mówię o ludziach. Owszem, przyznaję, że Genevieve jest w dobrej formie, ale jak długo będzie, kiedy musi mieszkać w zachodnim skrzydle z kaleką i wariatką?

– *Grandmere* nie jest wariatką! – Ella się oburzyła. – Jest tylko trochę zdziecinniała, biedaczka kochana.

– Czy to nie wariactwo wierzyć, że się ma osiemnaście lat i mieszka się na Węgrzech, kiedy się ma osiemdziesiąt i mieszka się we Francji już co najmniej od dwudziestu lat?

– Poniekąd to zupełnie normalne – argumentowała gwałtownie. – To się zdarza milionom ludzi. Zresztą, *grandmere* nie jest taka przez cały czas.

– Ich oboje powinno się usunąć, jeżeli nie mają dość poczucia przyzwoitości, żeby umrzeć.

– Olivier! – Patrzyła na niego ze zgrozą. – Nie myślisz tego, co mówisz.

Zobaczył jej oburzenie, więc złagodził atak, w żadnym razie nie chcąc jej zrazić.

– *Qa va, Lalla, ne te fache pas.* Masz rację, oczywiście, wcale tak nie myślałem.

– Więc dlaczego to powiedziałeś?

– Tylko tak mogę cię przekonać, że ponieważ mieszkamy wszyscy „nad sklepem”, nasze życie domowe odbija się na samym hotelu. Weź na przykład starego Sutterlina. Przecież to starożytny pomnik... powinno się go odlać w brązie, ale on nadal jest naszym głównym portierem. Przecież ten człowiek to zagrożenie.

– Po pierwsze – powiedziała Ella spokojnie – on jest na pół na emeryturze, jak dobrze ci wiadomo, chociaż to prawda, że pracuje ciężiej, niż powinien.

– Po prostu wspinała dla nas reklama, gdyby *concierge* dostał wylewu od podawania zbyt wielu kluczy do pokoi.

– A po drugie – ciągnęła, usiłując ignorować jego nieczułość – jest wybitnym członkiem Clefs d'Or...

– Niechby nawet był ich przewodniczącym, ma już dobrze ponad siedemdziesiąt lat...

– No, Jean-Martin Lalouche jeszcze nie może radzić sobie bez niego... nikt z nas nie może.

– Ty znowu swoje! Dlaczego masz tak mało wiary w siebie? W nas!

– Mam dostatecznie dużo wiary w nas oboje – powiedziała z godnością. – Ale też wielki szacunek dla doświadczenia i tak się składa, że, moim zdaniem, nic doświadczenia nie zastąpi. Co chciałbyś zrobić, Ollie? Zwolnić wszystkich powyżej pięćdziesięciu lat?

Wzruszył ramionami.

– To mi się wydaje rozsądne.

Zmrużyła oczy.

– A co z tą dodatkową pracą, jaką byś miał bez nich? Czy znalazłbyś wtedy czas na wypadki tam i z powrotem do Baden – Baden i przegrywanie gotówki w ruletkę i bakarata?

– Wolalabyś, *petite soeur*, żebym bez przerwy butwiał w Alzacji?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie butwiał, nie. Tylko żebyś ponosił prawdziwą odpowiedzialność, zamiast wciąż się uskarżać na tych, którzy ją ponoszą.

Zmarszczył brwi.

– Zdaje się, że ty i moja *grandmaman* razem uskarżacie się na mnie.

– Nie bądź niemądry, Ollie, oczywiście, że się nie uskarżamy.

Pogłaskał ją w podbródek.

– Uważaj, *cherie*, bo zestarzejesz się przedwcześnie. Zbyt poważnie podchodzisz do życia.

Przeczesała palcami swe długie, gęste włosy.

– Naprawdę ciebie nie rozumiem. – powiedziała. – W jednej sekundzie chcesz wyrzucić wszystkich, na których de Trouvere od lat się opiera, a już w następnej chcesz wolności i zabawy bez żadnych obciążeń i obowiązków. – I dodała: – Ollie, nie możesz mieć jednego i drugiego naraz.

Wzruszył ramionami.

– Mogę spróbować.

– Nie wyjdzie ci to. – Uśmiechnęła się. – Dlaczego nie chcesz spożytkować tego okresu, przyzwyczajając się do roli szefa stopniowo, korzystać w pełni z pomocy *grandmaman* i takich ludzi jak Andre, któremu nie trzeba powtarzać raz po raz, co ma zrobić?

– Dlatego, że czekałem już dostatecznie długo. Jestem baronem de Trouvere od urodzenia, a jednak moja ziemia i ten zamek już prawie dwadzieścia trzy lata są pod kontrolą Hunterów.

– *Grandmaman* nie jest Hunter i *maman* nadal dla wielu ludzi pozostaje *la baronne* i jakoś ani ona, ani papa nigdy tego nie prostują. Jesteś przewrażliwiony, Ollie... bezpodstawnie.

– Mój ojciec jest podstawą, Ella – powiedział szorstko – poprzedni baron, który umarł, mając trzydzieści lat, doprowadzony do śmierci przez hipokrytów.

– Był nieszczęśliwym człowiekiem w strasznych czasach. – Ella wiedziała, jak Olivier się dręczył, odkąd dowiedział się, że jego ojciec popełnił samobójstwo.

Olivier wcześniej zaczął zadawać badawcze pytania, nie rozumiejąc paradoksalnego stosunku rodziny do Laurenta. Zawsze go zachęcano, żeby w różne rocznice chodził na dobrze utrzymany grób i czcił pamięć zmarłego, którego nie znał, a przecież tak mało było w domu dowodów, że ten zmarły kiedyś żył. Tylko jedna fotografia w srebrnej ramce w sypialni babki i druga w *salon rouge*, nie bardzo widoczna wśród nieładu rodzinnych pamiątek. Złote, srebrne i porcelanowe trofea jego rodziców z konkursów tanecznych były zamknięte w serwantkach w rzadko otwieranym pokoju i zauważył, że ilekroć w rozmowie pada imię jego ojca, maluje się na twarzach Genevieve i matki i brzmi w ich głosach dziwny żal, chyba głębszy niż normalna żałoba po przedwczesnej śmierci.

Toteż nie przestawał pytać i gdy miał piętnaście lat, Genevieve i Krisztina zgodziły się, że lepiej będzie powiedzieć mu prawdę, owiniętą w bawełnę czułości i taktu. Ich prawdomówność jednak zapoczątkowała coraz wnikliwsze grzebanie w tej przeszłości, którą chciały usunąć bezpowrotnie w niepamięć. A przecież, im więcej szczegółów Olivier, dorastając, odkrywał o swym ojcu i jego powiązaniach z hitlerowcami, tym bardziej był nim zafascynowany.

Przez kilka dni po powrocie z wojska Olivier zamykał się w swoim pokoju i nie wpuszczał tam nawet Elli. Gdy w końcu ją wezwał, zastała coś, co ku jej skrepowaniu, wydawało się kapliczką ku czci zmarłego barona. Kąt pokoju wypełniały skórzane albumy z wycinkami prasowymi, fotografie w nowych ramkach, sporo nagród z konkursów tańca, kilka złotych medali, które Laurent dostał, zanim zaczął występować z Krisztiną, i szokujące zdjęcie Laurenta z dwoma hitlerowcami, Bicklerem i Schlegelem. Wszystko to było uwieńczone specjalnie wykonaną repliką herbu de Trouvere.

– *C'est bien, n'estce pas?* – zapytał Olivier, uśmiechając się na widok jej zdziwienia.

– *Oui* – odpowiedziała powoli – *tres beau*.

– Mówisz jakoś bez przekonania.

– Ja... – zawahała się. – To mnie zaskoczyło.

– On był moim ojcem, Lalla – powiedział łagodnie – tak jak William jest twoim papą. Czy nie mam prawa chlubić się pamięcią o nim?

– Oczywiście, masz, Ollie – patrzyła na niego – byleby cię to cieszyło.

W zadumie pogłaskał skórzaną okładkę jednego z albumów.

– Cieszy – powiedział.

„Kapliczka” była nadal, a przy kapliczce narastał jego wilczy apetyt na niezależność i władzę i narastała uraza do każdego, kto stał na drodze.

– Przypuszczam, że *grandmaman* nie przestaje donosić do Nowego Jorku o wszystkich moich wykroczeniach – ironicznie powiedział Olivier siostrze.

– Nie sądzę, żeby kiedykolwiek to robiła.

– Na pewno im doniosła o Brigitte. Dostałem od Williama surową, bardzo angielską epistołę z pouczeniem, co mnie jako dżentelmena obowiązuje, nawet wobec pokojówek.

Ella zmarszczyła brwi.

– Dlaczego ty już nigdy nie mówisz o nim papa?

– Dlatego, że nie jest moim papą – odpowiedział Olivier po prostu.

Potrząsnęła głową.

– *Grandmaman* chyba uznała, że co do Brigitte będziesz – bardziej się liczył ze zdaniem papy niż któreś z nas. I chyba sam wiesz, że powinieneś się nią zaopiekować.

– Brigitte przed pracą u nas miała już dwie skrobanki. Nie jest niewiniątkiem... zna się na rzeczy i pod względem psychicznym i fizycznym to krowa. Dałem jej forszę... załatwiła sobie klinikę i *voila*, teraz za darmo odpoczywa w Cannes.

– Zastanawiam się, czy ją jeszcze zobaczymy.

– Zależy, kogo ona tam poderwie.

– Jeżeli jednak wróci – ostrzegła Ella – musimy dalej ją zatrudniać. Nie możemy dziewczyny pozbawić pracy dlatego, że tobie zachciewa się romansów, Ollie.

– Nie szkodzi. Ona dobrze pracuje.

– I będziesz musiał trzymać się od niej z daleka.

– Masz mnie za głupca?

– Czasami tak.

– Nigdy nie piję dwa razy z tej samej studni. – Olivier błysnął zębami w uśmiechu.

Ella znów potrząsnęła głową i spojrzała na zegar stojący na jej biurku.

– Och, idź już, Ollie, tyle jeszcze do roboty. Ty strasznie marnujesz czas.

– *Bien*. – Olivier wstał. – Ale nadal złości mnie to, że Nowy Jork wie o każdym moim grzeszku. *Grandmere* nie ma prawa.

– Rzeczywiście – powiedziała Ella, już pochylając się nad papierami – ona ma wszelkie prawo. Olivier spochmurniał.

– Może właśnie w tym sęk.

Genevieve doprawdy rzadko zawiadamiała czy to Krisztinę, czy Williama o karygodnych postępkach wnuka. Zdecydowała, że jemu należy się możliwość znalezienia sobie samodzielnie drogi życia, i trzymała się tego. Miała jednak złe przecucia – nie mogła nie wspominać Laurenta, który wrócił do de Trouvere w roku 1938, gdy już miał za sobą swoje lata . wolności pozwalające mu się w pełni wyszumieć, a przecież wciąż jeszcze rozpaczliwie zmagał się sam ze sobą, chociaż może nie byłoby aż tak źle, gdyby nie wojna i zabór.

Ale to nie jest Laurent, upominała się często. To jest inny człowiek i niesprawiedliwie zaliczam go do tej samej kategorii. Nie dać mu pełnej swobody wyboru to tak, jak skazać go, uznać za nieodwracalnie straconego.

W każdym razie – dumiała, leżąc bezsennie w łóżku, słuchając ptasich chórów o świtanii – kiedy Ella jest przy nim, a hotel prowadzi się prawie sam, cóż naprawdę złego on może zrobić?

Ostatniego dnia stycznia 1971 roku Alex Monselet, *chef de cuisine*, który zastąpił LucAlaina Careme'a siedem lat przedtem i podniósł reputację hotelu na jeszcze zawrotniejsze wyżyny, wręczył Elli podanie o zwolnienie.

– Myślałam, że pan jest zadowolony z pracy tutaj.

– Byłem. – Monselet umilkł, ważąc swoje słowa.

– Proszę, Alex, niech pan będzie ze mną szczery.

Chef de cuisine wydał usta.

– Chodzi o pani brata.

– *Le baron*?

– *Oui* – odpowiedział krótko. – On nie rozumie zasadniczych reguł kuchni, *mademoiselle*.

– Jakich reguł?

– Głównie najważniejszej reguły... że moja kuchnia jest właśnie... moją kuchnią... moim terenem.

Ella uśmiechnęła się lekko.

– Oczywiście, Alex, wszyscy o tym wiemy... respektowaliśmy to przez lata, kiedy *chef* Careme był u nas... i nadal respektujemy, kiedy pan tu jest.

– Brat pani nie respektuje.

Ella popatrzyła na niego. Stał przed biurkiem sztywno.

– Proszę usiąść, Alex. Musimy porozmawiać.

– Nie ma o czym.

– Ale co takiego on zrobił?

Monselet roześmiał się ochryple.

– Czego nie zrobił?

– *Dieu* – Ella się zaniepokoiła.

– *Eh, bien mademoiselle* – wybuchnął nagle Monselet. – Powiem pani.

– Słucham.

– Pani brat nie tylko lubi wtargnąć do mojej kuchni codziennie, żeby sprawdzać moją pracę... sprawdzać moją pracę! Nie tylko kosztuje zupy mojego *entremetier*, krytykuje metody kupowania *gardemanger*. w dodatku próbuje napastować moją drugą *commispatisiere*... najzdolniejszą dziewczynę z Tuluzy.

Oczy Elli się rozszerzyły.

– Jak to napastować, Alex?

Monselet walnął pięścią w biurko i pochylił się ku niej.

– Jestem Francuzem, *mademoiselle* – huknął. – I jak każdy mężczyzna rozumiem przyjemność uwodzenia... ale nie w mojej kuchni.

– Ale właściwie, co on zrobił... – Ella urwała, błyskawicznie w pamięci dokonała przeglądu dziewczyn pracujących w tych rozgorączkowanych kuchennych rejonach. – Co zrobił Margueritte?

Chef spurpurowiał na myśl o tym.

– Zalecał się w *gardemanger*, kiedy tam poszła po mąkę i cukier, a potem znów przy stole, kiedy wałkowała ciasto. Zalecał się do niej bardzo niestosownie.

Ella stłumiła uśmiech, wyobrażając to sobie.

– Dla pani to zabawne, *mademoiselle*?

Potrząsnęła głową.

– Ani trochę – odpowiedziała stanowczo. – Na pewno, Alex, porozmawiam z bratem natychmiast.

– I co to da?

– Dowiem się więcej o tej sprawie.

– Pani mi nie wierzy?

– Ależ wierzę – zapewniła. – Tylko oczywiście muszę wiedzieć, co on ma do powiedzenia.

– Myśli pani, że się wytłumaczy? Z usiłowania gwałtu?

– Czy to nie przesada, Alex?

Monselet odpowiedział spokojnie.

– Ma pani rację, *mademoiselle* Hunter. Nie było gwałtu jako takiego i gdybyśmy mówili o kimś innym... o kimś, kto prościej przejawia *joie de vivre*... może to nie byłoby takie obrzydliwe – nabrał tchu. – Ale, niestety, *monsieur le baron* nie jest zabawny... daleki od tego.

Ella milczała.

– Jednak jest pani bratem i jest *en effet* moim pracodawcą, więc dlatego pani rozumie, że niemożliwością dla mnie będzie pozostać w de Trouvere.

Przelotne rozbawienie już minęło. Ella przełknęła ślinę.

– Rozumiem, Alex. Ogromnie mi przykro. – Wstała.

– Mnie też jest przykro.

Czuła wzbierające mdłości i gniew.

– Będzie nam pana brakowało.

Monselet podał jej rękę.

– Zawsze będzie pani miała kłopoty, *mademoiselle* – powiedział otwarcie – dopóki jego się nie przykróci. On nie jest taki jak pani.

Uczciwość nie pozwoliła jej zaprzeczyć, lojalność nie pozwoliła przytaknąć.

– Będę jadła częściej w restauracji przez te dwa tygodnie, dopóki pan tu jest, Alex – powiedziała.

– Więc postaram się przewyższać sam siebie.

Piątego marca, nazajutrz po dwutygodniowej wizycie Krisztiny i jej wyjeździe z powrotem do Nowego Jorku, Olivier podyktował listy z wypowiedzeniem pracy do Andre Sutterlina, Marthe Schneegans i dwojga innych z personelu, którzy ostatnio ukończyli sześćdziesiąt lat.

– Nie możesz tego zrobić! – wybuchnęła Ella w jego gabinecie, gdy się o tym dowiedziała.

– Już to zrobiłem.

– *Grandmaman* i ja odwołamy to, Olivier.

Uśmiechnął się.

– Ale oni wszyscy i tak odejdą... przynajmniej Marthe i Andre odejdą po moim piśmie. Zraniona duma.

Ella wpatrywała się w niego.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jaką wyrządziłeś szkodę?

– Naszemu hotelowi nie wyrządziłem żadnej.

Bezradnie potrząsnęła głową.

– Mylisz się, grubo się mylisz.

– Nie sędzę.

Błada usiadła w obitym skórą fotelu naprzeciw niego.

– *Maman* prosiła, żebyśmy tylko utrwalali doskonałość.

– Żebyśmy spoczywali na laurach, chcesz powiedzieć.

– Nie, nie chcę. Nasza matka i nasza babcia stworzyły ten hotel z niczego...

Wykrzywił usta.

– Ja bym posiadłości de Trouvere raczej nie nazwał niczym.

– ... i nigdy, nigdy nie spoczywały na laurach.

Olivier wstał.

– Sutterlin i Schneegans nie zawsze byli tacy lojalni, jak tobie się wydaje, Ella.

– Oczywiście że byli.

– Nie w stosunku do mojego ojca. Pod koniec nie byli. – Twarz mu zastygła w wyrazie zawziętości, ale po chwili się ożywił. – Tak czy owak, w de Trouvere nie ma miejsca dla próchna.

– Andre i Marthe to nie próchno – sprzeciwiła się Ella. – Są słabsi może niż dawniej, ale oboje wciąż jeszcze żywotni i sprawni i są lojalni, cokolwiek ty o tym myślisz. – Popatrzyła na niego groźnie. – I zapewniam cię, kiedy *grandmere* wróci ze Strasburga, powiemy im, że zaszła pomyłka.

Olivier znów się uśmiechnął.

– Proszę bardzo, tylko się nie spodziewaj, że odwołam zwolnienie.

– Z pewnością będę się spodziewać i *grandmaman* także.

– No, to długo poczekacie.

Zaległo milczenie.

– Gdyby oni odeszli – zapytała Ella powoli – masz na oku ich następców?

– Na miejsce Sutterlina nie potrzebujemy nikogo nowego... Jean-Martin już może to przejąć. A co do Schneegans, skieruję do ciebie pewną młodą kobietę na rozmowę wstępną, kiedy tylko zechcesz.

- Nigdy nie zechcę.
- Dobrze. Będę musiał sam ją zaangażować.
- Nie zrobisz tego!

Olivier znów usiadł i zaczął bawić się złotym wiecznym piórem.

- Nie chcesz wiedzieć, kto to jest?
- Prawdopodobnie któraś z twoich przyjaciółek.

– Właśnie że nie, chociaż przyznaję, że jest dosyć ładna. Ale wyjątkowo, *petite soeur*, zainteresowały mnie jej inne kwalifikacje.

– Gdzie ona pracowała? Pewnie w jakiejś ultranowoczesnej sieci hotelowej? – wyzywająco zapytała Ella, coraz bardziej rozgniewana. Wciągnęła oddech. – I nie mów mi *petite soeur*, Olivier... Jestem twoją współniczką.

- Ona nazywa się Paula Miller, pochodzi z Grazu.
- Zna francuski?
- Władza pięcioma językami. Płynnie.
- I chce być gospodynią?
- Kierowniczką działu gospodarczego.
- Oczywiście – powiedziała z sarkazmem. – Więc gdzież ta perta pracowała?

– Tylko na dwóch stanowiskach kierowniczych. Prawie cztery lata w hotelu Kempinsky w Berlinie.

Ella milczała.

- A potem trzy lata w hotelu Brenner.
- W Baden-Baden? Olivier uśmiechnął się.
- To zrobiło na tobie wrażenie.
- Dlaczego stamtąd odeszła?
- Żeby pielęgnować chorego ojca w domu w Grazu.
- Sprawdziłeś w Brenner? Olivier rozparł się w fotelu.
- *Cherie*, właściwie za kogo ty mnie bierzesz? Odczekała chwilę.
- Sama nie wiem.
- Za łajdaka? Napotkała jego wzrok.
- W tym wypadku za łajdaka i głupca.

Telefon na biurku zadzwonił. Olivier odebrał. Gdy po chwili położył słuchawkę, twarz miał nieodgadnioną.

- *Grandmaman* już wróciła z miasta. Chce się z nami zobaczyć.
- Rozmawiała już z Marthe albo z Andre.
- Przypuszczalnie. Ella patrzyła na niego.

– Wiesz, Olivierze, tym razem posunąłeś się za daleko. Ja nie stanę po twojej stronie... nie mogę. *Grandmaman* będzie nalegała, żeby przywrócić ich wszystkich... nie tylko Andre i Marthe.

- I ty się z nią zgodzisz?
- Jak najbardziej.
- Ze względu na de Trouvere czy ze względu na nich?
- Ze względu na słuszność, Olivierze.
- No cóż – powiedział – ale to nic nie zmieni. Jak już mówiłem, nie odwołam, zresztą ani

Sutterlin, ani Schneegans i tak by nie chcieli zostać.

– Przestań – raptownie powiedziała Ella, wstając.

– Co?

– Doprowadzisz do tego, że cię znienawidzę.

Patrzył na nią z ukosa.

– Dziwne... myślałem, że miałem w nosie pannę Herrick, a jednak nagle mi się przypomniała linijka z jej drogocennego Browninga. – Wstał także. – *Miłość, gdy Kocham najgoręcej, przebiera się w strój nienawiści.* – Spojrzył jej prosto w oczy. – Stosownie, nie uważasz, Lalla?

– Może tak – odpowiedziała – ale z tym chyba wcale nie jest łatwiej.

W tamto popołudnie, gdy Andre i Marthe wyjeżdżali z hotelu, one obie, Genevieve i Ella przytulone do siebie, płakały bez skrupowania.

– Będziesz nas odwiedzać, prawda? – zapytała Ella po raz co najmniej dziesiąty. Marthe miała pozostać niedaleko w Saint – Hippolyte, gdzie Genevieve kupiła dla niej domek, ale Andre zdecydował się zamieszkać u swojej siostry w Grenoble.

– Będę przyjeżdżał, kiedy tylko będę mógł – zapewnił Ellę i zwrócił się do Genevieve: – *Madame*, jeżeli kiedykolwiek będę tu potrzebny, wystarczy jeden telefon.

– Och, Andre, nigdy nie będziesz nam niepotrzebny.

Sutterlin obejrzał się i przez otwarte drzwi zobaczył w recepcji Jeana-Martina Lalouche'a mówiącego jednemu gościowi, którydy się idzie na Route du Vin, i równocześnie od innych przyjmującego listy lotnicze do wysłania i klucze.

– Jean-Martin już jest członkiem Clefs'Or. Spokojnie można mu zostawić kontrolę.

– Ale ty jesteś tak bardzo częścią de Trouvere – powiedziała Ella. – Tak samo jak ty, Marthe Kochana. – Serdecznie uściskała starszycę rękę.

Marthe zrobiła minę.

– Chciałabym mieć pewność, że Fraulein Muller będzie dobrą *gouvernante*.

Sutterlin prychnął niegrzecznie.

– Uprzedziłaś się do niej, Marthe. Mnie ta dziewczyna wydaje się bardzo sprawna.

Marthe spojrzała na niego złośliwie i odwróciła się z powrotem do Genevieve i Elli.

– Kto zapyta, czego mi będzie najbardziej brak?

– Czego? – zapytała Ella.

– Gotowania *chef* Gerarda.

– Naprawdę? – Genevieve się zdumiała. – Gotuje cudownie, wszyscy wiemy, ale ty nigdy nie przepadałaś za *haute cuisine*.

Marthe uśmiechnęła się słabo.

– Ale żaden *chef* nie wpuszczał mnie do kuchni i dzięki temu przez dwadzieścia lat byłam z dala od garnków. A teraz będę musiała sama sobie gotować.

– Byłaś wspaniałą kucharką, Marthe – powiedział Sutterlin. – Nigdy i nigdzie w całej Alzacji nie natrafiłem na lepsze *Schifela* niż twoje.

Teraz Marthe była wyraźnie zdziwiona.

– Pamiętasz je? Po tylu latach?

– Andre wszystko pamięta. – Genevieve znowu miała oczy pełne łez. – I ja także.

W swojej sypialni we wschodnim skrzydle Olivier ponownie nalał szampana i podał kieliszek

kędzierzawej blondynce siedzącej przy nim na kołdrze.

– Dopiero czwarta po południu – szepnęła. – Mam dużo pracy.

– *Chut*, Paula – uciszył ją. – Oprócz pracy są inne sprawy.

– To mi dopiero szef! – Zachichotała, podziwiając jego smukłe ciało, nadal niezłe umięśnione, pomimo nadmiaru alkoholu. – Ale wątpię, czy twoja siostra i babcia przyznałyby ci rację.

– Och, na pewno, możesz mi wierzyć. Obie wysoko cenią sentymenty.

– A co, jeśli wolno zapytać, sentyment ma z tym wspólnego? – Nabrała szampana z kieliszka na język i zaczęła lizać mu pierś.

– Nic a nic – odpowiedział. Położył się leniwie, z powagą patrzył na swoją erekcję.

– Ciekawe – szepnęła Paula bez tchu, siadając na nim okrakiem. – Kiedy rozmawiałeś ze mną przed zaangażowaniem, wcale nie okazywałeś, że mnie chcesz. – Zamknęła oczy i uśmiechnęła się, gdy ujął jej piersi w dłonie. – Byłeś urzędowy.

– To właśnie ja... zawsze urzędowy.

Paula zachichotała gardłowo.

– Czy ten twój też?

– A jakże. – Jej piersi cudownie poddawały się jego dłoniom. – Co jest najważniejszą funkcją *gouvernante*?

Uniosła biodra, a potem zaczęła opadać na niego powoli – Dbłość o pełny komfort każdego gościa – odpowiedziała skromniutko.

– To, *Liebchen*. – Szczypnął ją w jędrne sutki.

– Czy będą premie za inicjatywę?

– Wcale niewykluczone.

– Więc miej oczy otwarte, *monsieur le baron*. – Wygięła się, zaokrąglając plecy, wciągając brzuch, żeby on widział dobrze swoje genitalia, a potem raptownie rzuciła się na niego jak popełniająca obrzędowe *seppuku* Japonka na miecz.

W niecałe pięć minut później zadzwonił telefon na szafce nocnej.

– *Oui*?

– Olivier, czy widziałeś Paulę Muller?

– Niedawno, owszem.

– Nie wiesz, dokąd poszła?

– Czy ja jestem opiekunem naszej *gouvernante*?

– Prawdopodobnie tak.

Olivier spojrział na Paulę leżącą u jego boku i szybko ją uciszył szturchańcem w zębra, gdy otworzyła oczy i jęknęła.

– No, szukaj jej gdzie indziej – powiedział do mikrofonu.

– O tej porze ona ma najwięcej roboty. Możesz powiedzieć swojej *protegee*, że jeżeli swój pierwszy numer solowy zacznie od znikania, nie zostanie tu długo.

Położył słuchawkę.

– Wstawaj! – powiedział szorstko.

– Zbyt mi wygodnie, *Schatzi*.

Usiadł i dał jej mocnego klapsa w pośladek.

– Proszę wstać, *Fraulein Muller*. Czas do pracy.

Przeturlała się, patrząc pytająco.

– Co się stało mojemu *Liebchen*?

– *Liebchen* musi się ubrać.

– A podstawowe szkolenie?

– *Terminee*. – Popchnął ją. – Jesteś już na stanowisku, Paula, i postaraj się być znakomita.

– Myślisz, że nie byłam znakomita, *Schatzi*?

– Niezła. Całkiem niezła. – Uśmiechnął się. – Przekonałaś mnie, że umiesz leżeć na łóżku.

Pozostaje pytanie, czy jeszcze umiesz łóżko zasłać.

Są prawdy w życiu, w które woli się nie wierzyć, nawet jeżeli się wie, że to prawda.

Ella wiedziała coraz bardziej niezbicie, że do prawdziwej duszy Oliviera nie ma dostępu.

I że ta jego ciemna strona jest ciemniejsza, niż ona zdawała sobie z tego sprawę.

Może wiedziała zawsze.

Ale i tak go kochała.

We wrześniu tegoż roku 1971 Ella zastała Oliviera w jego sypialni, gdy przed dużym lustrem przymierzał nową marynarkę z aksamitu koloru burgunda.

– Bardzo zawadiacka – orzekła z uśmiechem. – Na jaką okazję?

– Czy wszystko musi być na jakąś okazję?

– No, raczej nie jest w twoim zwykłym stylu – zauważyła, przyglądając się grubym złotym galonom przy kłapach i na ramionach. – Wygląda jak mundur.

– To jest mundur.

– Więc skąd u ciebie?

– Mam do tego prawo.

Wzruszyła ramionami.

– Jeżeli będziesz taki tajemniczy, rezygnuję, szkoda mi czasu.

Olivier odwrócił się od lustra.

– Wstąpiłem do pewnego bractwa w Paryżu.

– Naprawdę? Do którego?

Zaczął rozpinać złote guziki.

– Nazywa się Confreres de La Fontaine, chociaż tylko dlatego, że spotykamy się w mieszkaniu na Rue La Fontaine.

– Co to za bractwo? Kto tam należy?

Pieczołowicie zdjął marynarkę.

– Młodzi ludzie dumni ze swojego kraju... ze swojego pierworództwa.

– Z pierworództwa? Arystokraci?

– Niekoniecznie.

Uśmiechnęła się.

– Jednak jesteś tajemniczy, Ollie.

– Nie. Po prostu to sprawa prywatna.

Uniosła brew.

– Tajna organizacja?

Potrząsnął głową.

– Tylko prywatna.

Następnym razem, w listopadzie, zobaczyła tę marynarkę, na pół widoczną pod płaszczem burberry, gdy Olivier po południu wychodził ze wschodniego skrzydła. W ręce miał długi cienki futerał z czarnej skóry.

– Co to jest? – zapytała.

– Rapier.

Szeroko otworzyła oczy.

– Po co? – Nie odpowiedział, więc zapytała ostrzej: – Ollie, po co?

Uśmiechnął się.

– Czysto ceremonialny rekwizyt, Lalla, nie obawiaj się.

– Twoje bractwo?

– Specjalne zebranie – umilkł. – Ten rapier jest częścią umundurowania.

– Tylko tyle? – uspokoiła się i pocałowała go w policzek. – Baw się dobrze.

– Będę się bawił.

W trzy tygodnie później po wypadzie do Baden-Baden na weekend, który okazał się sześcioma dniami, Olivier wrócił do de Trouvere z dużym plastrem na lewym policzku.

– Co się stało, *cheri*? – zapytała Genevieve nazajutrz rano, spotykając go w recepcji hotelu.

– *Rien*.

– Nie wydaje się, że nic.

– *Un petit accident* – powiedział Olivier niedbale. – Potknąłem się w łazience i zaciąłem się.

– Pewnie za dużo wypiełeś – oziębłe zauważyła Genevieve.

– Przyznaję.

Gdy plaster został tydzień później zdjęty, Ella zobaczyła bliznę długą, cienką jak ciachnięcie żyłką. Nic nie mówiąc, poszła do biblioteki i wzięła z półki pewną książkę.

W godzinę potem dowiedziała się, że Olivier jest w *salon bleu* i wezwała go do swego gabinetu.

– No, *petite soeur* – zapytał leniwie, wchodząc z butelką whisky w prawej ręce. – Dlaczego miałem się stawić? Czy znów spsociłem?

– Nie wiem. Spsociłeś?

Uśmiechnął się.

– Możliwe. – Wlał whisky do szklanki, którą trzymał w lewej ręce. – Kiedy już o tym myślę, owszem, z całą pewnością.

– Kasyno?

Zrobił minę.

– O Boże, tak.

– Mnóstwo przegrałeś.

Wzruszył ramionami.

– Nie więcej, niż mnie na to stać.

Usiadła przy nim na kanapie.

– I pijaństwo w dodatku?

– Oczywiście. – Postawił butelkę na dywanie. – I seks. Zapominasz o seksie.

– I pojedynek?

Zamrugał.

– Co?

– Pojedykował się?

– Coś ty! Oczywiście że nie.

Nadal patrzyła mu w oczy.

– Ach, chodzi ci o to. – Przesunął palcem po bliznie. – Pojedyunki są nielegalne, Ella.

– Nie studenckie i nie w Niemczech... to, co oni nazywają *Mensur*.

– Ja nie jestem studentem.

– Ollie, skłamałeś mi, że ten rapier jest rekwizytem.

– Jest.

– Och, raz w życiu powiedz mi prawdę, Olivier! Czy to twoje miłe bractwo zabawia się w *Mensur*?

– Nie.

– Och! – Wyraźnie mu nie wierzyła.

Westchnął.

– Członkowie Fontaine nigdy się nie pojedynkują ani nawet nie ćwiczą *Mensur*. Uprawiamy szermierkę, owszem, ale z pełnym zabezpieczeniem i w maskach.

– Więc skąd ta rana?

– Spotkaliśmy się z bratnim bractwem za granicą.

– Ze studentami?

Potrząsnął głową.

– Oni tylko przejęli pewne aspekty życia studenckiego w braterstwie.

– Takie jak *Mensur*?

– Tak.

Ella popatrzyła na Oliviera i wzdrygnęła się.

– Okropność.

– Wcale nie. To dalekie od pojedynku, Lalla... w tym nie ma wrogości ani trochę.

– Olivier, wielu ludziom bractwa takie jak to twoje kojarzą się z neonazizmem.

– Oburzające.

– Czyżby? – zapytała spokojnie.

– Absolutnie. Ty byś mnie zaliczała do zbirów lewackich?

– Mówię o ekstremie prawicowej, a nie lewicowej.

Olivier wypił whisky do dna.

– Ella, tak zwani neonaziści mają o wiele więcej wspólnego z komuchami niż z prawdziwymi nazistami. Są przeciwni kapitalizmowi i większości tego, w co ja wierzę.

– Zdaje się, że mnóstwo o nich wiesz.

– My w Fontaine wiemy, jak się nas krytykuje i znieważa... przecież musimy wiedzieć, żeby się bronić. – Nalał sobie whisky dwa razy tyle co poprzednio. – Większość neonazistów to dawni hitlerowcy... starzejący się wierni partyjniacy, którzy zagracają swoje domy pamiątkami po Trzeciej Rzeszy i czekają na drugie pojawienie się Fihrera. A młodych się wysysa prosto z motłochu kibiców piłki nożnej i z band ulicznych. – Wykrzywił się pogardliwie. – Raczej nie nasz gatunek.

Na Elli nie zrobiło to wrażenia.

– Więc co Fontaine popiera?

Olivier się zirytował.

– Wyjaśniłem ci już, kiedy pierwszy raz pytałaś. Nie deprecjonuj sprawy zgodnej z honorem i czystej.

Powtórzyła jego słowa:

– „Młodzi ludzie dumni ze swojego pierworództwa”.

– Otóż to.

Jeden z telefonów na jej biurku zadzwonił, więc wstała, żeby odebrać.

– *Oui*, Paula. – Posłuchała chwilę, odpowiedziała krótko i położyła słuchawkę. – Jakiś kłopot w składzie bielizny pościelowej. Muszę tam pójść.

– Co myślisz, Ella, o naszej *gouvernante* teraz?

– Pracowita, pozbierana. – Zrobiła krótką pauzę. – Bardziej pracowita, odkąd przestałeś ją zapraszać do swojego pokoju.

– Uznałem, że tak będzie lepiej dla hotelu.

– Miło mi to słyszeć.

– Może, ostatecznie, nie jestem taki beznadziejny – powiedział niefrasobliwie.

– Nigdy cię za takiego nie uważałam. – Ella podeszła do drzwi i odwróciła się do niego. – Co nie znaczy, że mogę przy – klasnąć niektórym twoim poczynaniom.

– Fontaine, na przykład.

– Właśnie.

Uśmiechnął się do niej z kanapy. Jego ciemne oczy były wilgotne, zamglone whisky i braterską miłością.

– Nie masz czym się martwić, Lalla.

– To dobrze. – Otworzyła drzwi, obejrzała się przez ramię i powiedziała miękko: – Bądź ostrożny, Ollie, proszę cię.

Olivier zasalutował szklanką.

– Będę ostrożny.

Jedenastego dnia roku 1972, gdy William i Krisztina jeszcze byli w Alzacji po uroczystej rocznicy swego ślubu i dwudziestych trzecich urodzinach Elli, z poważnego zaziębnienia Ilony wywiązało się zapalenie płuc. Krisztina, strapiona, przesiedziała całą noc przy łóżku matki.

– Muszę tu zostać – oświadczyła rano Williamowi. Zaplanowali już wyjazd do Nowego Jorku następnego dnia.

– Oczywiście. – Też miał twarz pofałdowaną ze zmartwienia. – Dosyć fatalnie, że ja muszę jechać.

– Musisz – powiedziała stanowczo, wiedząc, pod jaką jest presją, gdy przebywa z dala od Domu Huntera. – Doktor Freitag mówi, że te antybiotyki powinny wkrótce poskutkować, wtedy przylecę pierwszym możliwym samolotem.

Zauważył, że ona lekko drży, więc podszedł do kominka, żeby dorzucić drew w dogasające płomienie, zanim znów usiadł przy niej na kanapie.

– Ilona ma osiemdziesiąt dwa lata, Kriszti, kochanie – powiedział, obejmując ją ramieniem. – Myślisz, że wyjdzie z tego?

– Nie wiem. – Bezradnie spojrzała mu w oczy. – Weźmy Gabora... tyle lat w fotelu na kółkach, tyle lat nie może mówić ani prawie nic przy sobie zrobić, a jednak żyje. – Westchnęła. – To dziwne... ja, matka dorosłych dzieci, wiem, że powinnam łatwo się z tym uporać, mówić sobie, że mama jest w bardzo podeszłym wieku i od lat nieszczęśliwa...

– Nie sądzę, żeby była nieszczęśliwa – sprzeciwił się łagodnie William. – Tylko przestała być komunikatywna i przy Gaborze w tym jego stanie może częstką umysłu woli przebywać w przeszłości.

– Czuję się tak bardzo winna, że zostawiam ją samą. – Łzy wezbrały Krisztynie w krtani. – Kiedy po wojnie wyjechali z Węgier, przyrzekłam jej, że już nigdy się nie rozstaniemy.

– To moja wina – powiedział – nie twoja.

Potrząsnęła głową, włosami wciąż jeszcze złocistymi, zwykle w idealnym porządku, teraz w nieładzie po nocnym czuwaniu.

– Nie, nie jest tak, Williamie... nie zaczynaj winić siebie. To ja sama zdecydowałam. – Wzruszyła ramionami, beznadziejnie zgnębiona. – Może powinniśmy byli ich poprosić, żeby przenieśli się z nami... może to niesłuszne, okrutne, że ich zostawiliśmy.

– Wtedy już tutaj był ich dom, Kriszti – tłumaczył William nieugięcie. – Tu mają dobrze. Znane otoczenie, wygody, lekarzy, którzy znają historię ich chorób, i wnuki...

– Z Oliviera chyba niewiele pożytku.

– Ollie jest młodym egoistą – zauważył chłodno. – Ale Ella z nawiązką to im wynagradza.

Krisztina rzewnie się uśmiechnęła.

– Nasza córka jest nadzwyczajna, prawda?

– Jak ty, Bogu dzięki... odważna, silna, a przecież czuła jak mimoza.

– Można równie dobrze tak powiedzieć o tobie.

– O mnie? Rzeczywiście? – Poglaskał ją po policzku.

– Rzeczywiście.

W trzy dni później o ósmej wieczorem, gdy Krisztina siedziała w sypialni matki, Ilona, która od wielu godzin niespokojnie spała, nagle obudziła się i usiadła.

– Mamo? – Krisztina pochyliła się ku niej.

– Kriszti! – Głos Ilony był ochryply, obcy, wyraz twarzy dziwnie żarliwy.

– Mamo, o co chodzi?

Upiornie, przezroczyście blada, Ilona gorączkowo wlepiła oczy w córkę.

– Powiedzieć... – wyszeptwała.

– Co? – Krisztina podeszła do łóżka i ujęła ją za rękę. – Jesteś taka gorąca, mamo. Mam wezwać doktora Freitaga?

– Nie! Nie doktora. Muszę ci powiedzieć.

– Co, kochanie?

– Prawdę...

Ilona zanosła się strasznym, rozdzierającym kaszlem, uporczywym od wielu dni. Napila się trochę wody ze szklanki w ręce Krisztiny i kaszel ustał, chociaż jeszcze oddychała ciężko.

– Prawdę – powtórzyła.

– Mam sprowadzić ojca?

– Nie, Kriszti.

– Jest blisko, w sąsiednim pokoju, mamo...

– *Nem!* Nie, Gabor... nie może słyszeć... – Nabrała tchu, po czym z wielkim wysiłkiem się opanowała. – Tylko tobie powiem, *dragam*, tylko tobie.

Krisztina odgarnęła matce włosy z czoła.

– Dobrze, mamo. Rozumiem.

– Usiądź przy mnie, Kriszti.

Usiadła na krawędzi łóżka.

– Bliżej.

Podsunęła się do Ilony.

– Co takiego? Co chcesz mi powiedzieć?

– To, co powinnam już dawno, dawno temu. – Teraz Ilona mówiła wyraźnie i spokojnie, jak nigdy od wielu miesięcy.

Krisztina czekała.

– W dolnej szufladzie – powiedziała Ilona.

– Co, mammo?

Wskazała komodę przy łóżku z prawej strony.

– W dolnej szufladzie, Kriszti, pod wszystkim woreczek.

Krisztina otworzyła szufladę i po chwili wyciągnęła mały skórzany woreczek. Oszołomiona, włożyła go w rozdygotaną rękę matki.

Oczy Ilony napełniły się łzami.

– Zgrzeszyłam.

Krisztina poderwała się.

– Chcesz, żeby przyjechał *pere* Beurmann, mammo?

Ilona przytaknęła słabo.

– Wkrótce.

Krisztina wstała, ale Ilona pociągnęła ją za łokieć.

– Jeszcze nie – zaprotestowała. – To jest dla ciebie, Krisztino – powiedziała. – Dla nikogo innego.

– Dobrze, mammo, dobrze. – Krisztina znów usiadła. Ilona zaczęła szarpać rzemyk, którym ściągnięty był woreczek. – Pomóc ci?

Ilona potrząsnęła przecząco głową i machnęła woreczkiem. Coś złotego wypadło na białe prześcieradło.

– To twoje – powiedziała znów obcym głosem. Krisztina patrzyła. – Weź to, Kriszti.

– Co to jest, mammo? – Podniosła z prześcieradła cienki łańcuszek z sześcioramienną gwiazdą. – Zmarszczyła czoło. – Nie rozumiem.

– To twoje – wykrztusiła Eona – od urodzenia.

Po jej pomarszczonej twarzy popłynęły długo dławione łzy skruchy i lęku, z jakim dochowywała tajemnicy.

Krisztina wpatrywała się w nią, zbyt zdenerwowana, żeby się odezwać.

– To miałaś na szyjce, kiedy Jozsef cię znalazł. – Ilona, szlochając, znów zaczęła kaszleć i brakowało jej tchu. Krisztina upuściła złotą gwiazdkę, dała matce wody i z twarzą spopiela – ją czekała, aż atak kaszlu ustanie.

– Już?

Ilona przytaknęła słabo i z wielkim wysiłkiem zapytała:

– Czy wiesz, co to jest, Krisztino? Rozumiesz, co to znaczy?

Krisztina wzięła znów gwiazdkę, trzymała to chłodne złoto na dłoni i serce jej biło coraz szybciej. Dotknęła ramion gwiazdki palcami, poczuła ich ostrość i nagle ogarnęło ją jakieś niezwykle, złożone uczucie bo jaźni, zrozumienia i zdziwienia, bo w tym momencie, gdy trzymała to wątłe ogniwo łączące ją z przeszłością, z jej przeszłością, wiele, mnóstwo się wyjaśniło.

– Ojciec nie wiedział? – Też się trzęsła. – Nie wie?

– Nie wie. Bałam się o ciebie. – Wargi Ilony drżały.

Krisztina przytaknęła. Łatwo zrozumieć... och, jak łatwo...

Myśli jej się kłębiły.

– Ukrywałaś to... przez te wszystkie lata?

Łzy wciąż jeszcze spływały po policzkach Ilony.

– To był mój wielki sekret... mój grzech...

Krisztina potrząsnęła głową.

– Nie grzech, mamó. – Też miała mokre oczy.

– Tak, to był grzech. Wiedziałaś i Jozsef wiedział, ale cóż innego mogłam zrobić? – W głosie Ilony brzmiało błaganie o zrozumienie.

– Mogłaś mi powiedzieć później, kiedy już dorosłam – palnęła Krisztina bezwiednie, bo chociaż rozpaczliwie chciała matkę pocieszyć, nie mogła powstrzymać swoich myśli. Bóg tylko wie, jaką męką dla matki musiało być pięćdziesiąt lat takiego milczenia. Potrząsnęła głową, usiłując się zastanowić. – Mogłaś mi powiedzieć wtedy, gdy się dowiedziałam, że jestem adoptowana.

– Chciałam... o Jezu... pragnęłam ci powiedzieć... ale wciąż jeszcze się bałam. Twoje nowe życie... twój syn, dwudziesty siódmy baron... Bałam się, że jeżeli ci powiem, coś się zmieni.

Krisztina wpatrywała się w złotą gwiazdę. Powróciło wspomnienie sprzed lat, jakiś dzwon w jej uszach wydzwaniał raz po raz: David.

Ilona, patrząc na nią, odgadła.

– Myślisz o Davidzie.

Serce ścisnęło się Krisztynie boleśnie.

– Gdybym wiedziała...

– Co byś zrobiła? – zapytała Ilona głosem trochę mocniejszym. – Ogłosiłabyś się Żydówką? Skazałabyś się na śmierć?

Krisztina uczciwie spojrzała matce w oczy.

– Mogłabym. – Umilkła. – Miałabym prawo.

– Przecież wiem o tym. – Ilona opadła na poduszki, znów bardzo osłabiona.

Krisztina się zaniepokoiła.

– Mamó?

– Och, Kriszti... – Ilona sięgnęła po jej rękę. – Czy mi kiedyś wybaczysz?

Kapiąc na ich splecione palce, popłynęły po policzkach Krisztiny palące, słone łzy.

– Nie ma czego wybaczać, mamó.

– Kłamstwo. Strasznie niegodziwe kłamstwo.

Krisztina potrząsnęła głową.

– Z miłości.

– Mój największy grzech – wyszeptła Ilona ze znużeniem. Do cna ją wyczerpały wyrzuty sumienia i teraz świadomość ironii losu. – *Pere* Beurmann czeka, żeby mi dać rozgrzeszenie, kiedy moja córka, moje dziecko, dowiaduje się ode mnie dopiero teraz, że jest Żydówką. – Siegnęła po drugą rękę Krisztiny jeszcze żałośniej. – Jak zdołasz mi przebaczyć?

– Przebaczam, mamó, oczywiście, przebaczam.

Przycisnęła sobie palce Krisztiny do policzka.

– *Kószónóm, kószónóm...*

– Ty mnie dziękujesz, mamó? – Łzy już Krisztinę oślepiały. – To ja powinnam dziękować

tobie.

Z wysiłkiem Ilona się uśmiechnęła.

– *Kószónóm*, Kriszti – wyszeptała znowu.

– Za co? Za to, że cię kocham? Mamo, niemożliwe jest nie kochać ciebie.

– Za to, że przyszedł do mnie znikąd – szeptała Ilona – za to, że jesteś moją córką, moim dzieckiem.

– Jesteś moją matką – powiedziała Krisztina cicho i po prostu. – Zawsze byłaś. Zawsze będziesz. Czy urodziłam się katoliczką, czy Żydówką, to żadna różnica.

Usłyszały za sobą jakieś dziwne chrapnięcie i obie się przeraziły.

To było groteskowe, prawie nieludzkie, zgrzytliwe łapanie oddechu.

Ilona szeroko otworzyła oczy, wyraźnie wstrząśnięta.

Krisztina się odwróciła.

Przy drzwiach siedział Gabor w swoim elektrycznym fotelu na kółkach. Lewą ręką, którą władał, chwycił coś, kogoś w powietrzu.

Okulary zwisały mu z ucha, lewe oko, to sprawne, wlepił w Krisztinę z niedowierzaniem i absolutną, zżerającą zgrozą.

– Więc teraz wiesz – powiedziała Ilona straszliwie głośno w wieczornej ciszy. – Nadal to oko się wybałuszało. – Więc teraz w końcu znasz mój wielki grzech, Gaborze Florian. – Resztkami sił usiadła. – I twój.

– Mamo, nie – powiedziała Krisztina, ruszając w stronę ojca.

Ilona nie mogła się powstrzymać.

– Teraz wiesz, Gaborze Florian, że twoja córka... córka, którą, jak mówiłeś, kochasz, ale której się sprzeniewierzyłeś, nawet nie wiesz jak bardzo, jest Żydówką.

Gabor, niemy od szesnastu lat, mocował się z sobą, żeby coś powiedzieć. Oko wybałuszało się okropnie, ślina ciekła mu po podbródku i pierś falowała. Aż wykrztusił jedno słowo:

– Kriszti.

I umarł.

Pere Beurmann przyjechał wysłuchać spowiedzi Ilony, udzielił jej ostatnich sakramentów, po czym modlił się nad zeschniętym ciałem Gabora. *Docteur* Freitag, Krisztina i Genevieve siedzieli przy Ilonie, gdy zapadała w swój ostateczny sen. O czwartej rano nazajutrz ona także umarła.

– Nie wiem, czy mama chciała, żebym powiedziała to rodzinie – zastanawiała się Krisztina, rozmawiając z Williamem, gdy trzeciej nocy po dziwnym, podwójnym pogrzebie leżeli bezsennie w swojej sypialni we wschodnim skrzydle.

William pomyślał.

– Może uznała, że ty sama w swoim czasie podejmiesz właściwą decyzję.

– Ale ty jak myślisz?

– To sekret nie mój, kochanie.

– Ale ja nie chcę, żeby to był sekret. – Odwróciła się do niego w łóżku. – To przecież nie jest sprawa, której mogłabym się wstydić.

– Więc im powiedz.

– Tak po prostu?

– Czemużby nie?

– Nie wiem... Czy to nie byłby szok dla rzetelnie katolickiej rodziny?

– Ciebie to nie zaszokowało, prawda, Kriszti? Nie w tym sensie.

– Nie zaszokowało.

– Więc dlaczego miałyby się tym przejąć twoje dzieci? I na pewno to nie zmartwi Genevieve.

Krisztina się uśmiechnęła.

– Chyba masz rację. – Myślała przez chwilę. – Chociaż nawet *bellemere*... – urwała. – Katolicyzm jest dla niej bardzo ważny.

– O ile wiem, nigdy nie biadała, że nie jesteś taką zagorzałą katoliczką jak ona. I pamiętaj, co zrobiła dla Davida.

Krisztina pokiwała głową.

– Masz rację, oczywiście. Jej to nie sprawi dużej różnicy poza tym, że może wyjaśnić pewne moje cechy.

– Tak jak tobie samej. – William przyciągnął ją do siebie bliżej.

Zawahała się.

– Ty w gruncie rzeczy nie rozumiesz, dlaczego mama nie powiedziała mi przedtem?

– Nie rozumiem. Ale ty rozumiesz, a tylko to się liczy.

– Tak. Ja rozumiem – potwierdziła żarliwie. – Miałam ojca antysemitę, męża antysemitę. Przeżyłam jedną wojnę. Mama przeżyła dwie, już była zorientowana. Wiedziała, że znalazłam zadowolenie i pewność jutra, więc po prostu nie chciała ryzykować, że mi to zburzy.

– A teraz ty zostałeś z tym samym dylematem... czy zaryzykować małą przerwę w porządku naszego życia, czy też schować tę gwiazdę Dawida w szufladzie na następne pół stulecia.

Krisztina westchnęła.

– Tak. _

– Z tym, że zatajeniem będziesz uwieczniać pamięć o potwornościach z repertuaru Adolfa Hitlera i każdego antysemitę przed nim.

– Naprawdę? – zapytała zaskoczona.

– Naprawdę.

– *Dieu*.

– *Więc* rozważ sobie, kochanie... to przecież absurd, to śmieszne! Na miłość boską, pomyśl o państwie Izrael... pomyśl o tym wszystkim, co ci ludzie przeszli choćby w ciągu ostatnich dziesięciu lat. I w jakim celu? Żeby kobieta tak inteligentna, tak wartościowa jak ty wstydziła się, że jest Żydówką?

– Ależ ja się nie wstydzę, Williamie!...

– Nie, oczywiście że nie. Chyba jesteś raczej dumna z tego. – I mówił dalej: – To nie jest podjęcie drastycznej decyzji... Nie chodzi o nawrócenie się na tę wiarę. To jest tylko sprawa tożsamości.

Milczała.

– Posłuchaj, najdroższa – sięgnął za jej plecy i wziął z nocnego stolika spłowiały skórzany woreczek. – To jest to, czym jesteś... czym była twoja rodzona matka i czym prawdopodobnie był twój ojciec. To jest prawda, Krisztino. Prosta, uczciwa prawda.

Przez chwilę Krisztina milczała, a potem nagle wstała z łóżka i wyciągnęła rękę po szlafrok.

– Ty dokąd?

– Zwołać rodzinne zebranie.

– Teraz?

Już włożyła szlafrok, zawiązała jedwabny pasek na dużą, zuchwałą kokardę.

– Wprost nie mogę uwierzyć, że byłam taką idiotką.

William usiadł.

– Kriszti, jest druga w nocy.

Zdumiała się.

– Poważnie?

Przytaknął.

– Och!

– Uważasz, że za daleko do rana?

Wolno położyła się z powrotem. Zgasili swoje lampki nocne I objęli się. Krisztina czuła, jak ogarnia ją stopniowo jakiś nowy spokój, dopóki nie zasnęła z tą złotą gwiazdką zaciśniętą w dłoni.

Powiedziała im.

Jak było do przewidzenia, Genevieve przyjęła tę wiadomość ze swoją zwykłą pogodą ducha, a Elle, o całe pokolenia oddaloną od klimatu, w którym takie sprawy z konieczności ukrywano, spokojnie to zainteresowało, nie robiąc na niej szczególnego wrażenia.

Olivier osłupiał.

– Nie wierzę – oświadczył stanowczo.

– To prawda, *cheri* – łagodnie potwierdziła Krisztina.

– Na czym oparta?

– Na słowie księdza. Kuzyna mojej matki.

– Rzeczywiście, to zdumiewające – komentowała Ella. – Dzięki Bogu, że *grandmaman* mogła ci w końcu powiedzieć. – Uśmiechnęła się. – Zawsze mi się podobała opowieść o tym psie... jak jakaś fantastyczna bajka.

– Niewątpliwie to jest bajka – wycedził Olivier. – Po prostu mit. Rozpatrzmy to, *grandmere* od lat nie miała dobrze w głowie.

– Zapewniam cię, że miała w głowie doskonale, kiedy mi to mówiła.

Oczy mu błyszczały, zupełnie czarne.

– Nie chcę w to wierzyć.

– A w to? – Z marmurowego stolika w salonie Genevieve William wziął *Magen David*. – Czy to także jest urojenie twojej babki...

– Ona nie była moją babką – burknął Olivier.

– Odpowiedz. Co myślisz o tym? – William trzymał przed nim gwiazdę Dawida.

– Może to znalazła?

– Nie bądź dziecinny.

Ignorując Williama, Olivier gniewnie spojrzał na Krisztinę.

– Ty jesteś Żydówką? – Potrząsnął gwałtownie głową. – Niemożliwe.

– Dlaczego? – Krisztina się uśmiechnęła. – Czy dlatego, że mam jasne włosy? Ten kuzyn powiedział mamie, że moja prawdziwa matka też była blondynką.

– Ollie – zapytał William – czy to coś złego być narodowości żydowskiej?

– Śmieszne pytanie! – prychnął Olivier.

– Powiedziałbym, że jak najbardziej na temat.

Znów Olivier zignorował ojczyma. Czuł się chory, odepchnięty i przede wszystkim zdradzony.

Parsknął gorzkim śmiechem.

– Co cię tak bawi? – zapytała Genevieve.

– To, że przez te wszystkie lata... przez całe moje życie... mój ojciec, mój prawdziwy ojciec, był rodzinnym kozłem ofiarnym... był grzesznikiem.

– Wcale nie, *chere* – Krisztina zbladła.

– Oczywiście że tak. – Skrzywił usta. – A ty... zwłaszcza ty... byłaś taka wspaniałomyślna, przebacząca, kiedy przez cały czas, to nie ulega wątpliwości, mój ojciec pod każdym względem cię przewyższał.

– Olivier! – złękła się Ella.

– To co innego, Lalla... jesteś moją siostrą i wiesz, że cię kocham, ale nie nosisz nazwiska de Trouvere, więc dla ciebie nie ma znaczenia, czy się próbuje to nazwisko skalać.

Ella wpatrywała się w niego, oszołomiona i zdruzgotana...

– Nawet nie próbuję zrozumieć, Olivierze, o czym ty mówisz.

– Ella, kochanie, on mówi chyba o wyższości rasowej. – William był nasrożony.

W pokoju zaległa cisza.

– Nie, papo – wyszeptala Ella. – Nie o tym, prawda, Ollie?

Olivier z oczami pełnymi wrogości wstał z fotela i stanął przed nimi.

– Twój ojciec ma rację, Lalla, chociaż może jest trochę me – lodramatyczny. Rzeczywiście, chodzi mi o czystość naszego rodu... rodu de Trouvere. – Mocno zacisnął szczęki. – I dopóki nasza matka nie wyszła za mojego ojca, ten ród był czysty, czysty, nie splugawiony.

Genevieve już stała i zanim ktokolwiek oprócz niej się ruszył, w pokoju wstrząsająco głośno rozległo się trzepnięcie.

Olivier oniemiał. Dopiero po chwili ironicznie uklonił się do pasa.

– *Merci, grandmaman.* – Blizna na jego policzku znaczyła się groźnie.

Genevieve, chociaż ręce jej drżały i z przerażeniem patrzyła na wnuka, wysoko podniosła głowę.

– Czasami, Olivierze – powiedziała – myślę, że byłbyś pierwszorzędnym hitlerowcem.

Ella w fotelu znieruchomiała ze zgrozy, patrząc na tę bliznę „przypadkową”, jak Olivier wyjaśnił rodzinie. I natychmiast pomyślała o mundurze ze złotymi galonami wiszącym teraz w jego szafie.

– Ella? *Cherie?* – zapytał William zaniepokojony. – Źle się czujesz?

Przytaknęła bez słowa, usiłowała odepchnąć te myśli niepożądane, rozwiązać je siłą woli. Są sprawy w życiu, o których lepiej nie myśleć.

Krisztina siedziała też nieruchoma, oczy miała pełne nie – wylanych łez.

– Czy ona może czuć się dobrze, Williamie – zapytała słabym głosem. – Czy my możemy?

Olivier pragnął pomsty.

Bardziej niż kiedykolwiek przedtem, chciał zawładnąć posiadłością de Trouvere i już się zdecydował – za wszelką cenę, do diabła! – tego dopiąć.

William i Krisztina wyjechali z powrotem do Stanów Zjednoczonych – całe szczęście, bo ilekroć spojrział na matkę, przypominała mu się prawda o niej i potworny fakt, że on sam jest półkrwi, którą pogardza. Ale w de Trouvere nadal był cholerny trójkąt z nadal górującą na wierzchołku jego okropną, arbitralną babką.

W drugim tygodniu kwietnia członkowie bractwa Fontaine i ich bracia z Niemiec zjechali się w hotelu na „seminarium”. Olivier wiedząc, że Ella by temu przeszkodziła, zadbał, by każdy z tych gości załatwił sobie rezerwację osobno, toteż gdy dowiedziała się o ich przybyciu, za późno było na sprzeciw.

Północ już minęła w noc piątkową, gdy Elle, pracującą nad zaległą korespondencją, wywołał z gabinetu rozplamieniony nocny portier, Louis Dettlingen.

– Co się dzieje, Louis? – zapytała, śpiesząc za nim.

Wymamrotał coś.

– Nie dosłyszałam.

Miody portier zatrzymał się raptownie i odwrócił do niej.

– *C'est une orgie, mademoiselle!* – Był wprost boleśnie zakłopotany.

– Co?!

– *Une orgie* – powtórzył.

– Gdzie?

Wzruszył ramionami z desperacją.

– Wszędzie!

Nastąpiły dla Elli dwie godziny wściekłego obrzydzenia i kipiącego gniewu.

Nocny portier miał rację – bankiet tych dwóch bractw, odbywający się w pokoju letnim i *salle fleurie*, błyskawicznie się zmienił w szalone pijaństwo, a potem w rozprzestrzenione w całym hotelu bachanalia.

– Skąd się wzięły te kobiety? – zapytała, wychodząc z *salon rouge*, gdzie zastała dwie pary, na pół nagie, na perskim dywanie.

– Nie było ich tutaj, kiedy schodziłem z dyżuru – bronił się wezwany Jean-Martin.

Ella zwróciła się do młodszego portiera.

– Louis?

Zmieszał się.

– Przyjechały wieczorem. *Monsieur le baron* powiedział, że są zaproszone.

– *Poules!* – warknął Jean-Martin z odrazą.

– Co mogłem zrobić? – Louis załamywał ręce. – Skąd mogłem wiedzieć?

– Wiedzieć to twój obowiązek – skarcił go Jean-Martin.

– Dobrze – przerwała Ella. – Skoncentrujmy się na sprzątanii tego bałaganu.

– Louis, czy jacyś nasi goście jeszcze nie są w swoich pokojach?

– Niestety, państwo Livorne byli w bibliotece, usiłowali czytać. Przyszli do recepcji, żeby się poskarżyć na hałasy.

Ella szybko w pamięci przejrzała rejestr. Chwała Bogu, towarzystwo Oliviera zajęło właściwie cały hotel.

– A *maitre* Galie?

– Wieczorem pojechał na jakąś uroczystość do Colmar... jeszcze nie wrócił.

W napięciu przeczesła palcami włosy.

– Zabierzmy się już do roboty.

– Czy mam obudzić *madame la baronne*? – zapytał Louis.

– Po co?

– *Madame* zawsze mi mówi, żebym zawiadamiał ją w krytycznych chwilach.

– Z pewnością masz jej nie budzić! – odparowała Ella.

Jean-Martin, bardziej niż zwykle niezadowolony z nocnego portiera, dorzucił:

– Dorośnij, człowieku, na litość boską!

– *Oui, monsieur* Lalouche.

Ella nigdy dotąd nie widziała ani nawet nie wyobrażała sobie takich scen. To była absolutna rozpusta – dekadencja na wielką skalę, a ona nie miała środków, żeby się z tym uporać.

Ale się uporała przy pomocy swoich dwóch portierów. Razem wywlekali ociekających, prawie nieprzyodżnianych członków bractw z chłodnej wody basenu. Razem przerwali walkę zapaśniczą dwóch nagusów na szczycie wspaniałych barokowych schodów. I schowali każdą widoczną butelkę alkoholu, zmiotli potłuczone szkło, usunęli plugastwo wymiotów i wpakowali dziewięciu mężczyzn do łóżek, już po odesłaniu siedmiu utyskujących prostytutek taksówką gratis z powrotem do Colmar.

– Dlaczego nie możemy obudzić *Fraulein* Muller? – zapytał dosyć logicznie Louis, szorując zapaskudzony odcinek dywanu w barze. – Na pewno ona by lepiej się spisywała niż ja.

– Na pewno – powiedziała Ella łagodnie – ale im mniej osób wie o tym skandalu, tym lepiej, nie uważasz? – Uklękła i pomagała mu przez chwilę, po czym zmarszczyła nos. – Ten dywan, obawiam się, trzeba oddać do pralni.

– Merdel Podnieśli wzrok, gdy do baru wbiegł Jean-Martin.

– Co znowu? – zapytała Ella.

– *Mademoiselle*, zaglądała pani do pokoju myśliwskiego?

– Jeszcze nie.

– To niech pani tam nie zagląda, błagam panią. – Pociągnął Louisa za nogi. – *Venez, vitel* – polecił.

Ella wstała z klęczek.

– Ja też idę.

– Nie, *mademoiselle*, proszę! Są rzeczy, których damy, nawet w tych oświeconych czasach, nie powinny widzieć.

Ella spojrzała mu w oczy.

– To jest hotel mojej rodziny, Jean-Martin, i to jest moja – odpowiedzialność. Muszę wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w tym domu.

– Przepraszam, że się z panią nie zgadzam, ale nie ma reguły bez wyjątków.

– Och, na Boga! – wykrzyknęła zirytowana. – Marnujemy czas. Czy wy dwaj pójdziecie ze mną, czy mam iść sama?

– *Nom de Dieu* – mruknął Louis, gdy otworzył te drzwi.

Pokój myśliwski był zdemolowany; meble poprzewracane, dwie serwantki rozbite i powietrze przesycił jakiś odór – ale Ella i na chwilę oni obaj, Louis i Jean-Martin, zdrętwieli dopiero na widok dwóch młodych mężczyzn leżących nieruchomo w samych tylko podartych białych koszulach, oplatających nogami zwiotczałe łapy najwidoczniej martwej Artemidy, pięcioletniej irlandzkiej wilczarki.

Elli zakręciło się w głowie.

Nie mogę zemdleć, upomniała się całą siłą woli. Nie zemdleję.

W dalszym kącie pokoju trzeci mężczyzna, niepewnie oparty o ścianę *trompe l'oeil*, oddawał mocz do etruskiej wazy z terakoty.

W uszach Elli huczało.

– Dość tego!

Dźwięk jej głosu, czysty, ostry jak sztylet, oszołomił tego mężczyznę tak, że upuścił wazę na posadzkę. Stłukła się doszczętnie.

Ella, starając się nie patrzeć na sukę, nie czując, jak boleśnie wbija sobie paznokcie w dłoń, poleciła:

– Louis, proszę, odstaw tego osobnika do jego pokoju i zamknij go na klucz.

– Owi, *mademoiselle*.

Nocny portier powiedział to dziwnym tonem. Spojrzała na niego.

– Dasz radę?

– Niechybnie, *mademoiselle*.

Szybko podszedł do złoczyńcy i ujął go za rękę. Tamten się wyrwał.

– Precz ode mnie!

– Nie bądź jeszcze większym idiotą, niż jesteś! – warknął Louis. Spróbował znów, ale tamten, barczysty, wysoki, rzucił się na niego i walnął go w pierś.

Zrobiło się cicho, gdy Louis nabierał tchu. Potem zgoła niespodziewanie skłonił głowę w stronę Elli.

– *Excusezmoi, mademoiselle* – powiedział dwornie. Zakręcił się na pięcie i prawą ręką, pięścią zaciśniętą fachowo, podbił tamtemu podbródek, po czym z łatwością pochwycił go osuwającego się na posadzkę.

– *Merdel* – powiedział znów Jean-Martin.

– Przepraszam. – Louis się zaczerwienił. – *Mademoiselle*, mam go teraz wynieść?

– Proszę. – Ella patrzyła z ciągłym zdumieniem, jak ten nieduży, drobny portier zarzuca sobie nieprzytomnego draba na ramię, jakby to był worek kartofli. – 1, Louis...

– Słucham, *mademoiselle*.

– To było wspaniałe.

Zaczerwienił się jeszcze bardziej.

– Dziękuję, *mademoiselle*. Zaraz wracam.

Teraz uzbroiła się w męstwo, żeby spojrzeć na dwóch śpiących, obrzydliwie rozwalonych przy jej pięknej Artemidzie.

Jean-Martin ukląkł, odturlał jednego z nich i delikatnie przyłożył rękę do boku suki.

– Żyje. – Zmarszczył brwi. – Chyba jest odurzona.

Ella kipiała niepohamowaną furia.

Jean-Martin przyjrzał się tym dwóm śpiącym.

– Z nimi też nie tragedia, myślę. Nieprzytomni od alkoholu i... – urwał raptownie.

Ella zamknęła oczy.

– *Mademoiselle?*

Otworzyła oczy.

– Nic mi nie jest.

– Czy zatelefonować po policję, czy pani sobie życzy, żeby o tym zapomnieć? – Główny portier miał twarz pokerzysty.

Nie odpowiedziała.

– Może – zaproponował – woli pani poczekać i później zdecydować.

Lewą nogą trącił drugiego. Ten poruszył się we śnie, zobaczyli na jego udzie czerwoną jak rubin ranę.

– Widocznie Artemida go ugryzła.

Ella przełknęła mdłości.

– Usuń ich, Jean-Martin – poprosiła nagle, zaciskając pięści. – Na litość boską, usuń ich! – Przyklekła i dotknęła kudłów suki. Oczy miała pełne łez, które wściekle zamrugowała z rzęs. – Powinnam wezwać weterynarza.

– Ja to zrobię, *mademoiselle*, kiedy tylko zamknę te dwa potwory. – Zawahał się. – Czy mogę ich zamknąć w piwnicy? To im da coś do myślenia, kiedy się obudzą.

– Pomysł doskonały – przyznała. – Ale nie możemy tak ryzykować.

– Oni nie odważą się skarżyć.

Wzruszyła ramionami.

– Niemniej jednak nasz obowiązek to położyć ich do łóżek i wezwać doktora Freitagą, żeby ich zbadał i opatrzył pogryzioną nogę.

– Doktor nie złoży urzędowego doniesienia?

Potrząsnęła głową.

– Nie, chyba że to coś poważnego, a wątpię.

Louis wrócił z wózkiem bagażowym.

– Do czego? – zapytał Jean-Martin.

– Pomyślałem, że to akurat transport dla ich, *monsieur* Lalouche.

Ella przytaknęła.

– Świetnie.

– Jak Artemida, *mademoiselle?*

Czuła pod dłonią miarowy oddech.

– Chyba tylko śpi, dzięki Bogu. Jean-Martin przypuszcza, że ją odurzili.

Louis się zdumiał.

– Czym?

– Bóg raczy wiedzieć. – Wyraz twarzy miała jeszcze sroższy. Ale ja się dowiem.

W czterdzieści pięć minut później hotel, przynajmniej powierzchownie, przypominał jako tako swój stan normalny i za dziesięć trzecia, gdy *maitre* Galie, wybitny paryski adwokat, zadowolony przestąpił próg drzwi frontowych, Louis w czystej liberii, już znowu na posterunku, dał gościowi

klucz do jego apartamentu z uśmiechem.

– Spokojny był wieczór, Louis?

– Grobowo.

– Dobranoc, Louis.

Nocny portier uklonił się. – Życzę smacznego snu.

W swoim gabinecie Ella, trzymając oburącz kieliszek koniaku, który nalał jej Lalouche, zapytała:

– Jean-Martin, widziałeś mojego brata?

Twarz głównego portiera nic nie wyrażała.

– Nie, *mademoiselle*.

– Doktor jeszcze tu jest? – zapytała po chwili.

– Ma zadzwonić, kiedy będzie gotów wyjechać. – Jean-Martin popatrzył na Artemidę, leżącą na kocu na podłodze. – A weterynarz już tu jedzie.

– To dobrze.

– *Mademoiselle*, niech się pani stara nie rozmyślać o tym – powiedział troskliwie. – Wyrzucić to z głowy jak najprędzej.

Obraz pokoju myśliwskiego – teraz zamkniętego na dziesięć spustów – mignął jej przed oczami, aż zamrugła.

– Nie poszłaby pani do łóżka, *mademoiselle*? Ja bym mógł poczekać na weterynarza.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie, dziękuję, Jean-Martin. Poczeka sama.

Przytaknęła.

– Więc pójdę zobaczyć, czy doktor Freitag nie potrzebuje mojej pomocy.

– A potem prześpij się. Dzień będzie trudny.

Po wizycie weterynarza, który stwierdził, że Artemida odzyskuje przytomność i nie doznała żadnych obrażeń, Ella weszła do cichego holu.

– Louis, chcę być zupełnie pewna, że w hotelu już nie ma żadnych niezaproszonych damulek.

– Nie ma żadnych, *mademoiselle* – odpowiedział nocny portier dobitnie.

– Skąd pewność?

– Policzyłem je, kiedy... – znów bardzo się zmieszał – kiedy przyjechały.

Skinęła głową.

– W porządku.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia.

– *Mademoiselle*...

– Słucham, Louis.

– Bardzo, bardzo boleję nad tym, co dzisiaj się stało.

– My wszyscy bolejemy – powiedziała ze znużeniem.

– Więc muszę panią poprosić o zwolnienie mnie z pracy. – Wlepił wzrok w podłogę.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona.

– Bo to była moja wina.

– Oczywiście że nie.

– Nie to wszystko... ale te... – zająknął się – prostytutki. *Monsieur* Lalouche miał rację...

powiniennem być mądrzejszy.

Ella się uśmiechnęła.

– To było dla ciebie nowe doświadczenie, Louis. Błąd się zdarza każdemu, wiesz o tym.

– Ale nie zawsze kosztuje aż tyle. – Potrząsnął głową zmartwiony. – Nie, *mademoiselle* Hunter, zawiniłem, powiniennem odejść.

– Och, bzdura, Louis – powiedziała Ella rześko. – Nie dramatyzuj. Byłeś opoką przez tych kilka godzin, a dzięki temu, że przedtem popełniłeś błąd, na pewno nigdy już nie wpadniesz w taką pułapkę.

– Nigdy!

– Więc zostajesz, załatwione.

– Tak?

– Całkowicie. – Patrzyła na niego. – Myślę, że będziesz kiedyś doskonałym głównym portierem, jeżeli nie tutaj, to gdzieś indziej.

– Nie chcę pracować gdzie indziej.

Ella się uśmiechnęła.

– To byś musiał być bardzo cierpliwy, bo *monsieur* Lalouche jest jeszcze młody.

– Z radością służę pod nim, *mademoiselle* – zapewnił ją Louis żarliwie.

– I nam miło mieć tu ciebie. Ale kiedyś może zechcesz pójść naprzód... Wiesz, że trzeba być głównym portierem w hotelu pierwszej kategorii przez pięć lat, żeby móc nosić złote klucze.

Przytaknął.

– Tylko jedno pytanie, Louis – powiedziała po chwili.

– *Mademoiselle*?

– Gdzie nauczyłeś się boksować?

Uśmiechnął się szeroko.

– W szkole.

– Wyobrażam sobie, że byłeś w tym celujący.

– Hak to zawsze mój najlepszy cios – zwierzył się już rozpromieniony.

– Będę o tym pamiętać.

Ella ukończyła obchód hotelu i poszła do wschodniego skrzydła. Oliviera nie było w jego pokoju. Zastanowiła się, po czym wróciła do hotelu. Windą zjechała do sutereny i skierowała się prosto do pokoju Pauli Muller.

Zastukała. Za drzwiami po chwili śmiertelnej ciszy usłyszała szuranie i głosy.

– *Fraulein* Muller, proszę otworzyć.

Drzwi się uchyliły. *Gouvernante* w szlafroku z satyny wyjrzała potargana, z rozmazanym makijażem.

– O co chodzi?

– Czy mój brat jest tutaj?

– Nie, oczywiście że nie.

– Nie wierzę – powiedziała Ella dobitnie.

Z pokoju doleciał głos Oliviera:

– W porządku, Paula.

Paula wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi szerzej. Ella zobaczyła brata. W kurtce munduru,

narzuconej na plecy, siedział na łóżku i wkładał spodnie.

– Czego chcesz, Lalla? – wybełkotał.

– Chcę z tobą porozmawiać spokojnie – powiedziała.

– W środku nocy?

– Tak.

Paula Muller zaróżowiła się.

– Prawdopodobnie ja na tym ucierpię – powiedziała gniewnie.

– To znaczy?

– Dostanę wymówienie.

Ella się uśmiechnęła.

– Jesteś dla nas zbyt cenna teraz, żebyśmy dali ci odejść. – Patrzyła zmieszanej Austriaczce w oczy i spojrzała na zegarek. – Lepiej prześpij się trochę, chociaż może nie warto, bo musisz wstać już za pół godziny.

– Dzisiaj mogę wstać dopiero o siódmej.

Znów się uśmiechnęła.

– Poprawka. Przyjdiesz na dyżur punkt o piątej. *Monsieur* Lalouche wyda polecenia, co zrobić najpierw.

– Od kiedy on mi mówi, co ja mam zrobić?

– Od dzisiaj. – Umilkła na chwilę. – Chyba będzie dosyć dużo dodatkowego sprzątanego w sypialniach dziś rano... niektórzy z gości, zdaje się, wypili więcej, niż mogli zmieścić.

Olivier podszedł do drzwi.

– Cóż to raptem za pilne sprawy, z którymi nie można poczekać?

Pod brawurą jego pytania wyczuła niepokój.

– Chcę zabrać cię na mały obchód.

– Co?

– Słyszałaś, co powiedziałam. – Za rękę wyciągnęła go z pokoju. – Do widzenia, *Fraulein*. – Zamknęła drzwi.

– Ella, do diabła, co ty sobie myślisz? Jak śmiesz wtrącać się w moje osobiste życie w taki sposób?

Patrzyła na niego niezwykle hardo.

– Śmiem – powiedziała. – W tej chwili śmiem zrobić sporo.

W pół godziny później w swoim gabinecie zapytała:

– No, podoba ci się?

– Co?

– Dzieło twoich kompanów.

Nic nie powiedział.

– Podoba ci się? +

Poczerwieniał.

– Jasne że nie. To wstrętne.

– *Confreres de la Fontaine*. – Odczekała. – Arystokraci?

Znów milczał.

– Mam lepsze określenie dla nich – powiedziała. – To po niemiecku, ale trafnie określa ich

wszystkich.

Patrzył gniewnie na ścianę.

– *Untermenschen* – powiedziała. – Podludzie.

Uniósł podbródek.

– Ella, nie posuwaj się za daleko. Obrażasz moich przyjaciół.

– Więc ty nadal nazywasz ich przyjaciółmi? Tych, którzy wymiotują i załatwiają się w pokojach...

– Byli pijani, po prostu.

– ... którzy bazgrzą sprośności na hotelowych ścianach... na twoich ścianach, Olivier... na ścianach de Trouvere.

– Nie wiedzieli, co robią.

– No pewnie, że nie wiedzieli! – Dała się ponieść długo zdławionej wściekłości. – I nie wiedzieli, że kobiety, które zaprosiłeś do tego hotelu... do naszego hotelu... to dziwki!

Olivier był blady.

– Nie bądź taka pruderyjna, Ella.

– Pruderyjna? – zerwała się z fotela. – Twoi tak zwani przyjaciele porozbijali bezcenne antyki, zniszczyli drogie dywany. Zachowywali się jak dzikie zwierzęta i zastraszcili przyzwoitych ludzi!

Wstał z wysiłkiem z kanapy, już wyraźnie przestraszony.

– Ella, proszę...

Teraz powiedziała głosem lodowato zimnym:

– Wciągnęli w swoją zabawę piękne, niewinne stworzenie... Struli ją, żeby popełnić Bóg jeden wie, jaką ohydę...

– To nie moja wina! Nigdy bym na to nie pozwolił!

– No, Boże, dzięki ci bodaj za taką łaskę!

– Więc dlaczego mnie oskarżasz?

– Dlatego, że to ty, Olivier, dwudziesty siódmy baron de Trouvere, zaprosiłeś tych wandalów, tych sodomitów, do naszego hotelu! – Nagle wyczerpana, opadła z powrotem w fotel. – I teraz to ty się ich pozbędziesz.

– Pozbędę się, oczywiście.

– Dziś rano!

– Ale oni dopiero co przyjechali! Nie mogę tak po prostu...

– Olivier, oni mają szczęście, że nie są w areszcie, nie nadużywaj ich szczęścia.

– Dobrze, dobrze. – Uniósł ręce obronnie. – Rano ich stąd wyprawię.

– A te szkody?

– Co szkody?

– Spodziewasz się, że hotel będzie subwencionował rozpa – sany wandalizm?

– Ja to pokryję.

– Z jakiej racji? – zapytała.

Zmieształ się.

– Dlatego, że to spada na mnie. Dałaś to do zrozumienia.

– Czy ty rozbijałeś rzeźby i wazy?

– Nie, ale...

– Czy ty zarzygałeś cały nasz jedwabny myśliwski dywan z szesnastego wieku?
– Na litość boską, oczywiście że nie ja!
– Chyba że nie ty – powiedziała spokojnie. – Jakież ślady twojego pochodzenia musiały jeszcze zostać.
– Lalla, powiedziałem, że zapłacę. Więc może skończymy na tym?
– Czy dlatego pokryjesz, że krępujesz się zażądać odszkodowania od sprawców?
– Nie! – wrzasnął zapalczywie.
Przyglądała mu się.
– Ale przynajmniej zrezygnujesz, prawda?
– Zrezygnuję?
– Z Fontaine.
Zawahał się.
– Nie wiem.
– Może podziwiasz ich sposób bycia? – zapytała z grubą ironią.
Znów poczerwieniał.
– Dzisiaj nie, oczywiście że nie.
– Ale to wyjątkowo?
– Tak.
– Na ogół – ciągnęła – zachowują się, jak przystało na cywilizowanych, dobrze urodzonych arystokratów.
– Tak jest.
– Poza tym, że pojedynkują się od czasu do czasu.
Milczał.
– Jeden z tych, których zastaliśmy w pokoju myśliwskim, jeden z tych łajdaków, którzy struli Artemidę... miał bliźnię zupełnie taką jak twoja, Olivier. *Schmiss* to się nazywa, prawda?
Teraz przypominał rybę na haczyku.
Ella miała łzy w oczach.
– Z takich przyjaciół możesz być dumny, Ollie.
Patrzył na nią.
– Zapewne moja kochana babcia usłyszy o tym. – Nuta wyzwania znów zabrzmiała w jego głosie.
– Zapewne.
– Więc jej powiesz?
Uśmiechnęła się smutno.
– Wyobrażasz sobie, że jej trzeba powiedzieć? W każdym pokoju do użytku publicznego jest pobjowisko, w *salon rouge* i w głównym barze strasznie cuchnie i przed południem w hotelu będzie właściwie pusto.
– Chcesz ich usunąć? – zapytał.
– Tak.
Przytaknął.
– Tylko z jednego powodu nie wezwałam policji – powiedziała.
– Zła prasa?

– Nie, Ollie – wyjaśniła łagodnie. – Hotel de Trouvere jest dostatecznie silny, żeby przetrwać mały skandal, chociaż to nie jest taka reklama, o jaką zabiegam.

– Więc co za powód? – Wydawał się urażony.

– Ty – odpowiedziała po prostu. – Olivier, baron de Trouvere. Twoje cenne nazwisko.

Znów zaległa cisza.

– Czy wystąpisz z bractwa?

Oczy miał chmurne, milczał.

– Nie wystąpisz, prawda? – I po chwili zapytała: – Dlaczego? Boisz się, że ich rozniewasz?

Dlaczego?

Milczał zaczerwieniony.

Patrzyła na niego w zamyśleniu i z wolna pojęła.

– To ma coś wspólnego z tym, że jesteś na pół Żydem?

Uniósł podbródek, oczy mu zapalały.

– Nie waż się tego mówić!

– Dlaczego? To przecież fakt. Nie chcesz, żeby się o tym dowiedzieli, bo się boisz, że nie będą ciebie szanować. – Ze smutkiem pokręciła głowę. – Wyrzuć ich stąd, Olivierze. Mało mnie obchodzi, w jaki sposób, tylko ich wyrzuć.

Ona, pomyślał Olivier, jest jak władczy sędzia, wymierza sprawiedliwość łaskawie, ale ze świętym oburzeniem.

– Nigdy w naszej rodzinie nie zdarzyło się nic podobnego.

– Nawet przy moim ojcu, tej czarnej owcy? – zapytał arogancko.

– Twój ojciec żył w burzliwych czasach, Olivierze, miał jednak godność i chciał chronić honor rodziny, którego tobie zdumiewająco brak.

Patrzył na nią spode łba, wściekły, że mając prawie dwadzieścia siedem lat, jeszcze musi stać potulnie przed babką, strofowany jak mały chłopiec.

– Każdy z personelu, kto by przyniósł taki wstyd temu hotelowi, z miejsca by wyleciał i prawdopodobnie byłby ścigany sądownie.

– Współczuję ci *grandmaman*, że jestem tylko twoim wnukiem – powiedział sardonicznie.

– Smutne to, ale prawda.

– Przecież przyjąłem odpowiedzialność za ten cały parszywy bałagan. – Trochę spokorniał. – Powtarzam, że zapłacę za szkody, chociaż zdaję sobie sprawę, że niektórych rzeczy nie da się zastąpić i, *grandmaman*, jeszcze raz cię zapewniam, że już nigdy do czegoś takiego nie dojdzie. Czy nie można skończyć z tym?

– Z pewnością można – powiedziała Genevieve. – Pod jednym warunkiem.

– Że też nie przewidziałem.

Zmrużyła oczy.

– Usiądź, Olivierze. – Byli w jej prywatnym gabinecie. Wskazała mu krzesło. Usiadł. – Parę prostych faktów. – Złożyła ręce na kolanach.

– Proszę bardzo.

– Po pierwsze: ten hotel, jak wszyscy wiemy, jest w trzech równych częściach własnością twojej matki, moją i twoją.

Olivier przytaknął.

– Po drugie: mój testament.

W pokoju zaległa zupełna cisza.

– Kiedy umrę – podjęła po chwili Genevieve – moja część przejdzie po połowie na ciebie i Elle, jak chyba się domyślasz.

– Niczego nie uważam za przesądzone, *grandmaman*.

Genevieve lekko uniosła brwi.

– Wtedy połączone portfele akcji twojej matki i przyrodniej siostry będą się równały twojemu. Jest kwestią bardzo sporną, czy tó w porządku wobec Elli, żeby miała o dwie trzecie mniej niż ty, ale ja sama, kiedy ukończyłeś trzy lata, zdecydowałam, żebyś miał tę trzecią część w powiernictwie, więc nie mogę tego kwestionować, jakkolwiek szczerze żałuję.

Olivier wysłuchał obojętnie.

– Zdecydowałam, *grandmaman*, że w moje dwudzieste – pierwsze urodziny będę odpowiedzialnym dorosłym. – Uśmiechnął się kwaśno. – A jednak w sześć lat po tych urodzinach nadal podlegam twojej władzy!

– Nie przesadzaj, Olivierze. Żadnej władzy byś nie uznawał, gdyby nie to, że twoja matka i ja jeszcze mamy większość akcji hotelu.

– Do twojej śmierci, *grandmaman*.

– Tak.

– Więc przypominasz mi, że testament to nie powiernictwo, można go zmienić.

Z powagą w szarych oczach Genevieve wychyliła się lekko z fotela, przebierając palcami sznur pereł na szyi.

– Roztropnie powinieneś o tym pamiętać, *mon cher*.

Olivier wysunął podbródek.

– Nie sądzisz, *grandmaman*, że rozropnie powinnaś zmienić testament teraz? – Spojrzał jej prosto w oczy. – Zważywszy na to, co się stało?

– Nie.

– Czemu?

– Bo jesteś moim wnukiem – odpowiedziała spokojnie. – Bo czuję, pomimo twojej arogancji, że wiesz, jakim jesteś głupcem. – Uśmiechnęła się. – Bo nadal pozostaję *une optimiste*... Mam nadzieję, że się nauczysz.

– Że się nauczę?

– Jeżeli nawet niczego innego, Olivierze, to przynajmniej rozpoznawania, co powinno mieć pierwszeństwo.

Olivier nie musiał mieć umysłu biznesmena czy matematyka, żeby dojść do wniosku, że nie ma szans. Choćby już nigdy nie naraził się na święty gniew babki czy matki, jeżeli *grand – maman* dożyje bardzo sędziwego wieku, minie co najmniej dwadzieścia lat, zanim będzie mógł objąć kontrolę nad de Trouvere.

Genevieve postanowiła na razie nie zmieniać testamentu, ale Olivier wyobrażał sobie, jak ją smuci myśl, że po jej śmierci każda jego decyzja może zapoczątkować bitwę, gdy Krisztina i Ella połączą siły przeciwko niemu. A jaka będzie sytuacja, jeżeli on, co jest bardzo prawdopodobne, znowu zgrzeszy?

Dzień w dzień Olivier przyłapywał się na obserwowaniu babki, teraz

siedemdziesięcioośmioletniej, nieugiętej, niezwykle młodszej, bez żadnych oznak słabości, czy to umysłowej, czy fizycznej – ale nie wykrywał nic poza tym, że od czasu do czasu zwalniała krok, i tak zwawy, albo wcześniej chciało jej się spać.

Długo ona jeszcze pociągnie?

Kobiety tego typu żyją do stu lat, odpowiadał sobie przygnębiony.

Gdybyż tylko ona nie była taka żywotna!

Gdybyż poszła do łóżka któreś nocy i raz w życiu postąpiła przyzwoicie – po prostu umarła.

Gdybyż...

To wyniki jej dorocznych badań lekarskich sprawiły, że się zdecydował.

Wróciła ze Strasburga wytworna jak zawsze, ale ożywiona, z błyskiem zadowolenia w oczach, ostatnio przygaszonych.

Wieczorem po kolacji, którą we troje jadali przy swoim stoliku w restauracji hotelowej, skomentował jej szczególną wesołość.

– Jestem w świetnym humorze – przyznała.

– Z jakiegoś specjalnego powodu?

Wypiła trochę czerwonego wina.

– Tylko takiego, że trochę się denerwowałam przed dzisiejszą wizytą u doktora Freitag.

– Dlaczego, *grandmaman*? – zapytała Ella niespokojnie.

– Czekałam na pewne wyniki.

– Myślałam, że to tylko zwykła doroczna wizyta – powiedział szybko Olivier.

– Chciałam też tak myśleć.

– I?

Genevieve zaczęła krajać Chateaubriand.

– I? – jak echo Oliviera powtórzyła Ella.

Genevieve się uśmiechnęła.

– Nic mi nie dolega.

– Naprawdę?

Pogłaskała Ellę po rękę.

– *Oui, chérie.*

– Ale co to było? – zapytał Olivier.

Wzruszyła ramionami.

– Pewien objaw trochę zastanawiający.

– Jaki objaw?

– Nie twoje zmartwienie, Olivierze.

– Ale najwyraźniej było twoje, *grandmaman*.

– To był mój objaw – powiedziała łagodnie. – A teraz, kiedy wiem, że nie miał znaczenia, to już nie moje zmartwienie także.

– Więc jesteś zdrowa?

Znów Genevieve się uśmiechnęła.

– Dzięki dobremu Bogu, jestem, jak się okazuje, nadzwyczajnie zdrowa.

Ella pochyliła się nad stolikiem i pocałowała ją w policzek.

– Cudowna nowina na zakończenie doskonałego letniego dnia.

Olivier podniósł swój kieliszek.

– No, przecież – powiedział.

Wysiłki, żeby być idealnym wnukiem – czy przynajmniej wnukiem poskromionym, ponieważ Genevieve byłaby ostatnią osobą, która by uwierzyła w całkowitą zmianę charakteru – zaczęły mu doskwierać.

I Elli też oczywiście starał się nie niepokoić – nie jeździł na zebrania Fontaine, w hotelu podejmował konserwatywne decyzje, godne jej aprobaty, i był tak tolerancyjny wobec personelu, jak tylko zdołał. Ale teraz wiedział niezbicie, że ten stan rzeczy może się przeciągnąć na strasznie długie lata. Babka ze swoją kondycją może dożyć stu lat. Nawet gdyby dożyła tylko do dziewięćdziesięciu, on będzie musiał jeszcze przez dwanaście lat tańczyć koło niej jak jakiś słaby na umyśle lizus! Dwanaście lat!

Nie do wytrzymania.

Sposobność nadarzyła się we wrześnie.

Do tego czasu Olivier wpadał na najrozmaitsze pomysły, ale kolejno wykreślał szybko z listy każdy możliwy sposób.

Powolne trucie? Genevieve jest na to zbyt spostrzegawcza i inteligentna.

Upadek? Ona nie jest niezdarna – zresztą nigdy nie wiadomo, czy upadek spowoduje śmierć.

Samobójstwo? – Pomysł śmieszny, bo nawet w największej rozpacz, po utracie Armanda i Laurenta, i Michaela, uważała, że życie jest uświęcone i nic pod słońcem by nie sprawiło, żeby próbowała sobie życie odebrać.

Rzeczywiście nie chciał tego zrobić, fakt faktem. Nie życzył jej źle, nie czuł nieprzepartej chęci zabicia jej. Chciał tylko – zmuszony potrzebą – żeby jej nie było.

Gdybyż ona umarła, po prostu umarła, modliłby się nad jej grobem, i to prawie szczerze.

Ale ona nie umrze.

– Wybieram się w przyszły czwartek do Paryża – oznajmiła na zwykłym zebraniu w piątek rano w jej gabinecie.

– W jakiej sprawie? – zapytał grzecznie Olivier.

– Dla przyjemności.

Ella się uśmiechnęła.

– Znowu zakupy?

– Oczywiście.

– Polecisz helikopterem, *grandmaman*?

– Stanowczo.

– Chcesz, żebym zadzwoniła do Paula Moritza? – ofiarowała się Ella.

Genevieve potrząsnęła przecząco głową.

– Już to załatwiłam, *cherie*, dziękuję. On tu będzie w środę wieczorem jak zwykle na kolacji. – Radośnie zatarta ręce. – Ledwie mogę się doczekać.

– Naprawdę lubisz ten straszny helikopter, *grandmaman*? – dziwiła się Ella.

– To jest przygoda, *ma petite* – odpowiedziała Genevieve. – A wiesz, że wciąż jeszcze uwielbiam przygody, chociaż jestem stara.

– Myślę, *grandmaman*, że nigdy nie będziesz stara – powiedział Olivier z takim przekonaniem, że babcia uśmiechnęła się do niego serdecznie.

– Dziękuję, Olivierze... Komplement?

Przytaknął.

– Jak najbardziej.

Uznał, że to stosunkowo proste – zaprawić czymś kolację pilota. Są tylko dwa problemy: wybranie i zdobycie właściwego środka.

Ten idealny środek musi spełnić trzy wymagania.

Smak mieć bardzo słaby, a najlepiej nie mieć smaku wcale.

Działać z opóźnieniem.

Obezwładnić.

Pojechał do głównej biblioteki w Mulhaouse, gdzie nie było prawdopodobieństwa, że ktoś go rozpozna, i spędził trzy godziny nad podręcznikiem lekarskim i grubą farmakologią, coraz bardziej zmęczony, z coraz większym zamętem w głowie. Notował raz po raz, przekreślał te notatki jedną po drugiej i zaczynał znów – aż nagle się zatrzymał.

Mignęło mu jakieś wspomnienie.

Drukowane słowa na papierze.

Odgarnął kosmyk z czoła. Czytał za długo, przemęczył się.

Ale wspomnienie nie ustępowało, więc zamknął oczy, mocno zacisnął powieki i postarał się skoncentrować. Wspomnienie czegoś w jakiejś książce, kiedyś, gdzieś...

Otworzył oczy i uderzył dłonią w blat stołu z nagłym triumfem. Ta książka to jeden z niezliczonych kryminałów babki, które oni wszyscy wcześniej czy później czytali. Było tam coś o narkotyku – nie, o truciznie bez smaku, bez zapachu. I że jest łatwo dostępna jako powszechnie używana trutka na szczury.

Tal.

Znów rześki, podniecony, znalazł potrzebną informację. Zatrucie talem, czytał, wywołuje dotkliwe bóle brzucha, wymioty i biegunkę, a w bardzo ciężkich przypadkach drżenie, delirium, konwulsje i paraliż...

Opuszczając drobne szczegóły, czytał gorączkowo. Teraz miał to, o co mu chodziło. Objawy występują w ciągu dwunastu do dwudziestu czterech godzin po jednej toksycznej dawce. O Boże, o Jezu, a jeżeli to się opóźni?

Ale tak nie będzie. Trzeba sprawdzić – trzeba wypróbować I wtedy się ustali dawkę, która należycie podziała. Przeznaczenie sprawi, że podziała, tak jak sprawiło, że on sobie przypomniał o talu.

Zamknął farmakologię i pomyślał znów o objawach. Drżenie, ból, konwulsje.

Więcej niż dosyć, żeby uziemić Paula Moritza.

To niezwykle, zdumiewał się, prawie od razu w pierwszej z trzech szop ogrodnika w de Trouvere znalazł ten zakurzony stary pojemnik. Następnym krokiem, sprawdzenie, przebiegł tak samo pomyślnie.

Ugotował w swojej kawalerskiej kuchni małą rybkę, dodał dawkę trucizny na szczury i w zakrytej plastikowej miseczce zaniósł do stajni, gdzie rezydowało kilka głodnych kotów.

– *Viens, mon p'tit* – zachęcił chudego rudego kotka i patrzył, jak to chucherko przybiega ochoczo, ociera łepkę o jego kostkę i węszy.

Podniósł pokrywkę, postawił miseczkę.

– *Alors, mange.*

Zakopał tego kota zaraz po zachodzie słońca.

Żeby zatruć jedzenie pilota, musiał tylko przypomnieć sobie swoje arcyfigle z dzieciństwa. Jeżeli potrafił w tamtych czasach dolewać tran do *consomme* niepostrzeżenie, to tym bardziej taka sztuczka uda się teraz, kiedy mu wolno wchodzić do kuchni. Tylko trzeba wiedzieć, które potrawy są specjalnie dla Moritza. Ostatecznie chciał oszczędzić *grand – maman* niekoniecznych cierpień.

Poszło doskonale.

Olivier od chwili, gdy budząc się w środę wczesnym rankiem, zobaczył, jak słońce wstaje nad winnicami na horyzoncie, wiedział z absolutnie spokojną pewnością, że wszystko pójdzie dobrze.

Ten spokój, ta niezachwiana pewność pomogły mu się postarać, by Moritz i Genevieve weszli wieczorem do sali restauracyjnej w odpowiednim czasie, i wyliczyć na podstawie wagi kota, jaką dawkę zaaplikować Moritzowi w głównym daniu. Z tym samym spokojem przyszedł do kuchni i wywołał przy stole *entremetier* akurat tyle zamieszania, że *saucier* zostawił naczynie z sosem morelowym, zamówionym przez pilota, na chwilę dostatecznie długą, i to wtedy, gdy już *chef* Gerard skosztował sosu i pochwalił. Ta sama zimna krew pozwoliła mu też po wyjściu kelnera z gotowymi potrawami do sali zostać w kuchni i obserwować, jak *plongeurs* zmywają wszelkie ślady dowodu.

Na rozległym frontowym trawniku, na którym jaśniały zawsze świeże regularnie malowane znaki do lądowania na trawie, Paul Moritz po późnym śniadaniu, zdaniem Oliviera, bledszy niż poprzedniego wieczora, załadował bagaż Genevieve i usiadł przy drążku sterowniczym w helikopterze, gdy ona i Olivier czekali na Elle, mającą przyjść, żeby powiedzieć babci *au revoir*.

– Coś ją zatrzymuje – powiedział wreszcie Olivier, zniecierpliwiony tą zwłoką. – Musicie już lecieć, *grandmaman* – zerknął znów na twarz pilota i przeniósł wzrok na niebo. – Chmurzy się... Lepiej nie latać przy złej pogodzie, jeżeli można tego uniknąć.

Genevieve pogłaskała go po przedramieniu.

– Ładnie, Olivierze, że troszczysz się o moje bezpieczeństwo.

– Na pewno *grandmaman* będziesz bezpieczna, ale wolałbym, żebyś nie leciała, kiedy jest burza. W tych helikopterach nie tak wygodnie jak w odrzutowcach.

– Chyba nie. W każdym razie, dziękuję, *cheri*.

Olivier pochylił się i pocałował ją w policzek.

– De ja mam babć?

Oczy jej błysnęły.

– O jedną za dużo. Podejrzewam, że tak myślisz czasami.

– Dlaczego? Czy dlatego, że nie zawsze zgadzasz się ze mną? Mnie świetnie służą nasze utarczki, *grandmaman*.

Poranek był chłodny, ale Genevieve przeniknął ciepły powiew zadowolenia.

– Powinam już wsiąść – powiedziała. – Kiedy zobaczysz Elle, ucałuj ją ode mnie i powiedz, że zatelefonuję.

Wnuk pomógł jej wsiąść do helikoptera, sprawdził, czy pas jest dobrze zapięty, i jeszcze raz pocałował ją na pożegnanie.

– *Bon voyage.* – Odwrócił się do pilota. – Niech pan dobrze się opiekuje moją babcią.

Moritz skinął głową.

– To moja ukochana pasażerka.

Z powrotem na ziemi, stojąc daleko od helikoptera, Olivier, z włosami rozwianymi w wirze potężnego śmigła, zobaczył biegnącą ku niemu Ellę jak zwykle z Artemidą u boku.

– Niech to лихо, nie zdążyłam! – Dyszała, machała rękami z pasją, gdy helikopter wzniósł się w powietrze. – Dobrze *grandmaman* się czuje?

– Dlaczego miałyby czuć się źle?

Policzki Elli jeszcze bardziej się zaróżowiły.

– Nie wiem... zawsze się denerwuję, kiedy ona lata.

Olivier objął siostrę ramieniem.

– Prosiła, żebym cię ucałował... powiedziała, że zadzwoni z Paryża.

– To dobrze. – Ella zmarszczyła brwi. – Wiatr się zrywa.

– Nie martw się, Lalla. Śmigłowce są mocniejsze, niż się wydają, a Moritz to dobry pilot.

Doznawał dziwnego wrażenia – wrażenia, że mózg ma przekrojony na dwie oddzielne części. Jedną potrafił wyliczyć lodowato, drętwo, obojętnie, kiedy pilot może poczuć pierwsze dolegliwości, kiedy może sobie uświadomić niebezpieczeństwo, kiedy może tym symptomom ulec. W drugiej części mózgu, mniejszej, ćmił go słaby, dziwny smutek i wyraźny prawdziwy żal.

W trzy godziny później Ella zastała go w *salon bleu*. Była blada, oczy miała wielkie i niespokojne.

– Ollie, oni nie dolecieli.

– Kto?

– *Grandmaman* i Paul... nie wpisali się u Ritza.

– Może w Paryżu wstąpili gdzieś po drodze – powiedział niefrasobliwie.

– Z jej bagażami? Ollie, ona zawsze najpierw zatrzymuje się w hotelu i odpoczywa... to jej sprawia przyjemność... przypominanie sobie, że są inne wspaniałe hotele oprócz de Trouvere i że w nich za nic nie jest odpowiedzialna.

– Dzwoniłaś na lotnisko, czy wylądowali?

Ella przygryzła wargę.

– Myślałam, że ty mógłbyś.

Wstał.

– Już tam dzwonię.

Kontroler ruchu powietrznego w Nancy usłyszał wzywaniem pomocy i patrzył, jak ten helikopter znika z radaru.

– Podobno jest burza na trasie, więc nie mogą jeszcze zacząć poszukiwania – zameldował Olivier w napięciu.

– Ale już jest ciemno – powiedziała Ella bliska łez. – Zrobi się zimno... oni muszą ich znaleźć.

Wziął ją w objęcia.

– Lalla, powinniśmy być dzielni i cierpliwi. Przypuszczają, że ten helikopter wylądował gdzieś w Forêt de Haye na zachód od Nancy. Nie ma sensu szukać przed świtem... po prostu by ich nie wypatrzyli.

– Ze specjalnymi reflektorami? – Ella kurczowo chwyciła go za klapy marynarki. – Przecież warto spróbować! Ollie, musisz ich nakłonić, proszę cię!

– Dlatego zaraz jadę do Nancy. Na szosach nieduży ruch o tej porze... nadrobię czas i chyba

jakoś namówię ich, żeby wyruszyli.

– Jadę z tobą.

– Nie, Lalla.

– Jadę!

– To nie ma sensu, *cherie*...

– Ze wszech miar jest! Chcę odnaleźć *grandmaman* – Ciebie nie zabiorą do puszczy! Ja mogę się uprzeć... mam przeszkolenie wojskowe, więc nie będę im przeszkadzał. – Odsunął ją od siebie na długość ręki. – Zresztą, kto zostanie w de Trouvere?

– Niech diabli porwą de Trouvere!

Olivier potrząsnął nią czule.

– Nie mówisz tego poważnie. *Grandmaman* byłaby wściekła, gdyby to usłyszała. – Umilkł i po chwili powiedział: – Ona by ci kazała zostać, Lalla, a ja ci przysięgam, że na pewno będziesz informowana na bieżąco.

To trwało.

Dzień zaczął się tą przedziwną jasnością celu, tym zdumiewającym spokojem i dalej był taki. Gdyby Olivier potrzebował udowodnienia, że tylko lekko trąca łokciem przeznaczenie w drodze naprzód, powinien uchwycić się swego losu oburącz i biec z nim, wtedy szereg wydarzeń, odkąd przyszła mu na myśl owa powieść, jak przypomniał sobie później Agathy Christie – szereg wydarzeń niezawodnie następujących jedno po drugim udowodniłoby mu to w całej pełni.

Ella została w de Trouvere. Twarz miała szarą jak popiół, ale czepiała się nadziei. Teraz Olivier prowadził samochód po ciemnych, mokrych szosach do Nancy. Jego jaguar E pożerał kilometry, a umysł, nadal ostry jak brzytwa, analizował niepomyślne ewentualności.

Dawka talu może nie zaszkodziła Moritzowi albo może zaszkodziła nie w porę. Ale podziałała, rozumował, bo inaczej nie wzywaliby pomocy.

Helikopter może wylądował bez szwanku, a nawet jeżeli się rozbił, oni może żyją.

Z twarzą spokojną zaciskał ręce na kierownicy i rozmyślał.

Nawet jeżeli nie żyją, a nie było wybuchu, sekcja zwłok wykaże przyczynę zaślabnięcia pilota. Po zatruciu talem wypadają włosy. Będzie wiadomo...

Zaczął się pocić, gdy światła Nancy były coraz bliżej. Zasygnalizował, że skręca w prawo, i z warkotem zjechał z *auto – route* na zjazd.

Gdybym znalazł ich pierwszy, gdybym dotarł przed wszystkimi innymi! Tylko tak mógłbym mieć stuprocentowe potwierdzenie. Czuć się bezpieczny...

Przeznaczenie wiodło go przez całą drogę.

Wyruszył o świcie z zespołem ratowników i na skraju puszczy, w której, jak przypuszczano, spadł helikopter, odłączył się z czterema z nich.

Po godzinie poszukiwań ci czterej zgodzili się, że skoro każdy ma gwizdek i rakiety, lepiej będzie się rozejść w różne strony, bo w ten sposób przeszukają większy obszar. Nie potrafilyby powiedzieć, czy to dawny instynkt wojskowy, czy przecucie, czy po prostu ślepe szczęście kazało mu iść na wschód.

Wiedział, że ich znajdzie, ledwie poczuł ten zapach.

Paliwo.

Zatrzymał się, zamknął oczy.

Dym.

Znalazł ich oboje w odległości kilku kroków od siebie. Moritz, w strzępach kombinezonu, leżał twarzą w błocie, a Genevieve była jeszcze przypasana do siedzenia, które wyleciało z kabiny i uderzyło w drzewo, pozostawiając w pniu głęboką wyrwę.

Wiedział natychmiast, że oboje nie żyją.

Przez długą chwilę stał nieruchomo, wpatrzony w babkę, obwisłą od pasa jak szmaciana lalka, z paryskim kapeluszem z jedwabiu *beige*, cudacznie sterczącym w zaciśniętych dłoniach. Zrobiło mu się słabo, nogi się pod nim trzęsły i myślał, że zwymiotuje.

Tylna część helikoptera utkwiała między mocnymi konarami innego drzewa nieco dalej. Gdy, przytomniejąc, zaczął sobie uzmysławiać sukces swojej strategii, zobaczył, że chociaż rozlała się po ziemi wielka kałuża benzyny wokół zgniecionego kadłuba, a z rozbitych przyrządów do sterowania nadal unosi się dym, to jednak nocna ulewa sprawiła, że nie było wybuchu.

Obejrzał się na Moritza.

Sekcja zwłok, pomyślał.

Nie będzie zwłok, jeżeli się spalą.

Odczekał, nasłuchując, czy nie zbliżają się tamci czterej, ale w ciszy tylko kapały krople deszczu z gałęzi i śpiewał jakiś ptak.

Za blisko jestem helikoptera, też bym się spalił.

Teraz nagle oddychał szybko, płytko, tętna mu bębniły. Pogrzebał w kieszeniach swojej grubej, nieprzemakalnej kurtki i znalazł małe pudełko zapalek reklamujące de Trouvere.

He czasu na to trzeba? – zastanowił się. Boże, ile mam czasu?

Odpowiedź dostał spokojną i pewną.

Dość dużo, jeżeli zrobisz to zaraz.

Cicho, prędko podszedł do wraka i popatrzył, skąd cieknie paliwo. Prawdopodobnie miało się wkrótce zapalić, bo przyrządy do sterowania tliły się i iskrzyły od czasu do czasu.

Może wybuchnąć. Musisz uciec, kiedy tylko rzucisz zapalną.

Zdecydowany, wciąż z tym samym spokojem, upewnił się, że wokoło nie ma śladów jego stóp. Będzie mówił, że znalazł ich, kiedy się palili, nie może być żadnego dowodu, że przyszedł tu wcześniej.

Usłyszał coś. W pierwszej chwili nie zorientował się, że to jest głos.

– Olivier.

To prawie nie był głos, nawet nie tak dosłyszalny jak szept, ale wystarczyło, by krew zastygła mu w żyłach.

– Olivier.

Odwrócił głowę powoli, oczy go piekły, szeroko otwarte, suche. Ona nie była martwa.

Żyje.

Zagapił się na nią, nadal obwisłą, nieruchomą.

Tylko mu się wydawało.

Ale zobaczył, jak kapelusz wysuwa się z jej palców i upada na ziemię.

Zachłusnął się.

jej palce się prostowały, ręka próbowała się wyciągnąć.

– Jezusie, Mario – wykrztusił w duchu, chociaż nie modlił się nigdy. – Boże, Panie, pomóż

mi...

Zdobył się na siłę i odwagę, żeby podejść, uklęknął przy niej, skreconej, wygiętej, i wysuwając głowę, gdy serce mu waliło ogłuszająco, spojrzał na jej twarz.

Na prawym policzku było trochę krwi i kurzu, na lewym rozchłapane błoto, ale poza tym makijaż pozostał tak doskonały jak wtedy, gdy on jej machał ręką na pożegnanie i miodowo-blond włosy, zawsze bez odrobiny odrostów, wydawały się świeżo uczesane.

Boże drogi, pomyślał z ogromnym podziwem, ta kobieta jest naprawdę niepokonana.

Nagle jej oczy się otworzyły.

Z przestraszeniem odchylił się, wzdrygając.

– Olivier...

Przełknął. W gardle mu zaschło.

Ta ręka wyciągnęła się znowu, jak gdyby usiłowała sięgnąć po coś.

– Olivier...

Zwilżył wargi językiem.

– *Grandmaman?*

Genevieve z ogromnym wysiłkiem zdołała trochę odwrócić głowę do niego. Zdał sobie sprawę, że zobaczyła w jego lewej ręce zapalki i że jej szare oczy nadal są wszechwidzące.

Prawą ręką, całą roztrzęsioną, dotknął jej policzka, lodowato trupio zimnego, i teraz wiedział – Genevieve, *baronne de Trouvere* umiera, jednak umiera.

Pogłaskał ją po policzku i znów powiedział cicho, czule:

– *Grandmaman.*

Uśmiechnęła się kwaśno, jak nieraz, i nagle jej głos był mocniejszy, doleciał do jego uszu wysoki i wyraźny.

– O jedną za dużo – powiedziała.

A potem umarła.

Olivier wstał z klęczek.

Pamiętał tę rozmowę przed jej odlotem z de Trouvere.

I O jedną za dużo. Podejrzewam, że tak myślisz czasami.

I A więc wiedziała. Nie domyślał się, jak mogła wiedzieć, ale nie wątpił, że wiedziała.

Jeden pantofel leżał pod drzewem nieopodal. Podeszedł i podniósł to wytworne małe czółenka z białej i beżowej cielej skóry na niepokalanym obcasie, i gdy wsunął je na prawą, w cienkiej pończosze, stopę Genevieve, nawet nie czuł, że po twarzy spływają mu łzy.

– *Au revoir, grandmaman* – powiedział łagodnie.

Znów się wyprostował i mijając Paula Moritza, podeszedł tam, gdzie z pogruchotanej stali ciekła benzyna.

Zapalił dwie zapalki, wciągnął w nozdrza zapach siarki i rzucił je obie.

Wiele odbyło się pogrzebów w de Trouvere, odkąd Laurent przywiózł Krisztinę do Alzacji, zbyt wiele, i każdy z nich swoiście był pełen smutku, albo bezbrzeżnego i nie do zniesienia, albo złagodzonego okrucami wspomnień przynoszących poniekąd ulgę.

Nabożeństwo żałobne za duszę Genevieve de Trouvere różniło się od wszystkich tamtych, bo zaznaczało nie tylko odejście wspaniałej kochanej kobiety, ale też i odejście epoki, która nigdy nie wróci.

Z daleka przyjechali żałobnicy: Clementine Hunter i jej córki z Londynu, Alberto Giordano z Rzymu, oczywiście Marthe Schneegans z Saint Hyppolite, Andre Sutterlin z Grenoble i *chef* Careme z Genewy. Zastęp przyjaciół, dla których zabrakło miejsca, stał przed zatłoczoną kaplicą w łagodnym październikowym deszczu, gdy pere Beurmann odprawiał mszę, a potem William, Krisztina, Olivier i Ella mówili o Genevieve, czytali i śpiewali specjalnie wybrane psalmy, pieśni i wiersze.

Krisztina i Ella jednakowo czuły się osierocone. *La baronne* bez wieku była dla nich czymś więcej niż teściową i babcią – była ich najmądrzejszą doradczynią, najlojalniejszą współpracownicą, najserdeczniejszą przyjaciółką. Serca im się buntowały, przecież Genevieve powinna była umrzeć spokojnie w swoim łóżku w de Trouvere, otoczona miłością bliskich, a nie, koziołkując z przestworzy, ponieść okrutną, samotną śmierć w katastrofie, której przyczynę po zakończeniu śledztwa określono: „prawdopodobny błąd pilota”.

Ella czuła się, jak nigdy, przerażająco sama na świecie. Bardziej niż przedtem potrzebowała obecności rodziców, martwiły ją problemy, jakie stwarzał jej gwałtowny, skomplikowany brat i wiedziała, że utraciła swoją najmocniejszą kotwicę w Chateau de Trouvere raz na zawsze.

Olivier przez jakiś czas czuł się wspaniale.

To było tak, jakby odskoczyła w nim ciasno zwinięta sprężyna, jak gdyby w końcu mógł rozwijać swoje prawdziwe możliwości.

Jego nowe szczęście rzutowało na wszystko wokół niego. Wysoki, teraz wydawał się jeszcze wyższy; bardzo przystojny, teraz nieomal olśniewał; niczym nieskrepowany, poruszał się z wielkim wdziękiem; jego ciemne oczy błyszczały, włosy lśniły i, co najlepsze, tym życzliwiej odnosił się do ludzi, im pogodniejszym stawał się optymistą.

Zauważał to w sobie codziennie, z przyjemnością przeglądał się w lustrze i niezłomnie postanowił się zmienić, żeby być godny swego ciężko wypracowanego szczęśliwego losu. Zwłaszcza dla Elli był miły, łagodny i dobry, wiedząc, jak bardzo ją boli utrata Genevieve. Już mógł sobie pozwolić na wielkoduszność, bo wreszcie miał to, czego chciał tak długo.

Błogostan trwał tylko cztery miesiące.

Potem raptownie ta sprężyna znów mocno się zwinęła, blask ciepła i pogody ducha przygasł i w miarę jak aura pewności siebie się rozwiewała, rozwiewał się też świeżo znaleziony spokój.

Powód był prosty.

Olivier zaczął mieć koszmarnie sny.

Co noc, ledwie zasypiał w łóżku w zachodnim skrzydle, które teraz za zgodą Elli całe należało do niego, śnili mu się, okropnie, przerażająco, Genevieve i Moritz, trawieni żywcem przez ogień, widział ich oczy oskarżycielskie, zwęglone wskazujące palce. Budził się bez tchu mokry od potu, i bał się znowu zasnąć, bo mogli powrócić.

Co noc, co noc przychodzili do niego. Babka i pilot. Cierpieli męki, denuncj owali go.

I jeszcze jedna postać.

Mały chłopiec o jaskrawo-rudych włosach.

Wyrzuty sumienia były nowym doświadczeniem dla Oliviera, poczucie winy jak większość jego duszy, było ponadnormalne – ostre, nieustanne, piekielne.

Wciąż zmęczony, wyczerpany, nie mógł się zwierzyć nikomu, nawet Elli – zwłaszcza Elli – więc uciekał z powrotem w swoje dawne nawyki. Podejmował arbitralne decyzje, zawsze niewłaściwe, gburowaty i ponury, warczał na każdego, ilekroć coś go zniecierpliwiło, przyjmował ludzi do pracy i zwalniał ich zależnie od humoru. Znów uprawiał hazard, jeździł za granicę do Baden-Baden, a nawet zapraszał gości na pokera do de Trouvere, ku wielkiemu zmartwieniu Elli. Wyciągnął odłożony po śmierci Genevieve mundur Fontaine i bratał się z *Bruderschaft* w Niemczech.

Elli było coraz trudniej.

Żeby utrzymać hotel na należyтым poziomie, mogła tylko sprzeciwiać się bratu i odciągać matkę od boku Williama – sytuacja niedobra i kłopotliwa dla nich wszystkich, szkodliwa dla samego hotelu.

– Ja go już nie rozumiem – odwoływała się Ella do Krisztiny po jeszcze jednym nagłym zebraniu zarządu w październiku 1973 roku, rok po pogrzebie Genevieve. – Gdybym nie wiedziała, myślałabym, że on stara się zniszczyć de Trouvere, ale obie przecież wiemy, że de Trouvere jest dla niego ważne ponad wszystko w życiu.

Krisztina westchnęła, znużona podróżą odrzutowcem, zmianą czasu i godzinami użerania się z synem.

– On sam jest swoim największym wrogiem. Zawsze taki, odkąd wyrósł z niemowlęstwa. Obawiam się, że nigdy się nie zmieni.

– Ale przez parę miesięcy rzeczywiście wydawał się inny. Smutny, w żałobie, ale widać było po nim, że jego czas przyszedł.

– Jego czas?

Ella przytaknęła.

– Od lat podejrzewał, że *grandmaman* jest tutaj, żeby mieć na niego oko.

Krisztina uśmiechnęła się smętnie.

– Raczej tak.

– Często uważał to za afront, obrażał się na każdego, kto kwestionował jego poczynania.

– Więc zmieniło się niewiele – powiedziała Krisztina, myśląc o ich burzliwym zebraniu. – Jednak mu jej brak.

– Tak mówi.

– Nie potrzebuje tego mówić – Krisztina się zamyśliła. – Jesteś mu najbliższa, Ella, ale nie nazywasz się de Trouvere. Tylko on teraz został i chyba czasami jest tym przerażony, czuje się samotny.

Ella osunęła się głębiej w fotel.

– *Maman*, odkąd pamiętam, znajdujemy wciąż jakieś usprawiedliwienia postępków Oliviera. Nieraz nawet mnie to męczy.

Krisztina przyjrzała się jej.

– Może potrzebny ci urlop?

Ella parsknęła śmiechem.

– Może potrzebny, ale niemożliwy.

– Dlaczego?

– Przecież nie mogę zostawić de Trouvere.

– Oczywiście, że możesz.

– W rękach Oliviera?

– I moich.

Zdumiała się.

– Twoich, *maman*?

– Nie bądź taka skonfundowana. W mniejszym lub większym stopniu naprawdę prowadziłam ten hotel przez więcej lat, niżbym chciała liczyć.

– Tak, oczywiście, ale już tu nie mieszkasz.

Krisztina się uśmiechnęła.

– To nie znaczy, że nie mogę tu znowu mieszkać dla odmiany.

– Ale co papa powie? On bardzo nie lubi... kiedy nie jesteś przy nim.

Krisztina zastanowiła się przez chwilę.

– Więc może wymiana? Ty przy nim zamiast mnie... nie będzie miał nic przeciwko temu.

Oczy Elli zajaśniały.

– W Nowym Jorku?

– No, powiedziałabym, że już chyba pora. Mieszkamy tam od czterech lat, tyś nigdy nie znalazła czasu, żeby nas odwiedzić, a zapowiadają się takie ogromne aukcje Huntera na Manhattanie, że ojciec nieprędko tu przyjedzie.

– Byłoby tak miło, gdybyś ty, *maman*, pokazywała mi Amerykę.

– Możesz mieć tę przyjemność następnym razem, *cherie*.

Ella wahała się.

– O czym myślisz? – zapytała Krisztina.

– O Olliem. Nie będzie zachwycony.

Krisztina uśmiechnęła się szeroko.

– Matka wraca, żeby go tyranizować.

– Nie jesteś tyranką. Nie umiesz być.

– Idziesz o zakład? – zapytała z akcentem czysto nowojorskim.

Ella zrobiła komiczną minę.

– Powodzenia.

– Więc pojedziesz?

– Jeżeli papa się zgodzi.

– Zgodzi się.

Przyleciała po południu. Gdy jechała na Manhattan samochodem, który ojciec przysłał po nią na lotnisko Kennedy'ego, nie wiedziała, na co patrzeć – na wnętrze tej nadzwyczajnej, luksusowej limuzyny czy na wspaniałości wielkiego miasta, przesuwanej się z jej lewej strony.

Ella urodziła się w luksusach, ale ten samochód cieszył ją tak, że chichotała. Zrzuciła z nóg pantofle i wsunęła palce stóp w zdumiewającą puszystość białego dywanika, zapała się w miękkie

siedzenie obite białą skórą, zagapiła się w orzechowy barek – szampan Krug, sok ze świeżych pomarańczy, małe buteleczki wody Evian i duże srebrne czarki z kawiosem na lodzie.

– To wprost skandaliczne – powiedziała Williamowi, gdy już uściskała go radośnie w głównym holu Domu Huntera na Madison Avenue.

– Nie spodobało ci się?

– Szalenie mi się podobało! – Niemal dusiła ojca pocałunkami, prowadzona do prywatnych wind w głębi marmurowego holu. – Ale ten telewizor! Kto, na Boga, oglądałby telewizję w czasie pierwszej jazdy samochodem w Ameryce?!

– Chciałem ci zaimponować.

– I zaimponowałaś, papo.

Weszli do windy, drzwi zamknęły się bezszelestnie, ledwie William musnął palcem najwyższy guzik.

– Do nieba? – zapytała.

– Do domku na dachu.

– Czterdzieste ósme piętro? – Oczy jej się rozszerzyły, w dołku ją ćmiło.

– To dosyć nisko jak na Manhattan.

Drzwi się otworzyły.

– Papo, ludzie tu nie dostają zawrotu głowy?

– Nie, jeżeli chcą być nowojorkyczkami.

Tydzień minął, zanim jej się to objawiło. Czy też, ściślej mówiąc, minęło siedem dni i dwie i pół godziny, ale w tym właśnie momencie, w środę na początku listopada, gdy wielkie dzwony katedry Świętego Patryka wydzwoniły pół do szóstej, Ella, idąc wśród tłumu Piątą Aleją, zatrzymała się i stanęła jak wryta.

Nagle przejrzała na wskroś zamazaną ciżbę i zamęt ruchu na jezdni, i fasady ze stali, szkła i betonu. Nagle usłyszała coś w kakofonii klaksonów i w skotłowanym gwarze, i wyobraziła sobie, że przewierciła wierzchnią warstwę tego miasta i już wie: jest żywe, prawdziwe z krwi i kości.

– I? – zapytał William później w swym gabinecie.

– I co?

– Co się stało?

Nie zrozumiała.

– Nic się nie stało.

– Pytam, co ci się stało. Kiedy już poznałaś Manhattan. Był *coup de foudre*? Zakochałaś się?

– W tym mieście? – Zastanowiła się i przecząco potrząsnęła głową. – Nie, jeżeli miłość jest tak nieodwołalna, jak mi się zdaje. – Znow się zastanowiła. – Pokocham je, owszem. Czułam przynajmniej przez krótką chwilę, że mogłabym tu mieć swoje miejsce, nawet przetrwać tutaj.

– To mnie nie dziwi.

– Nie dziwi? Mnie to zdumiewa. Londyn, kiedy tam byłam, też kochałam... zachwycał mnie niezwykłością, ale przez cały czas uświadamiałam sobie, że moje miejsce jest gdzie indziej.

– Tutaj sobie tego nie uświadamiasz?

Kiwnęła głową.

– Och, też sobie uświadamiam... i chyba tak będzie wszędzie, dokądkolwiek pojedę. Ale Manhattan wydaje się taką straszną dżunglą, więc się zdumiałam, że ma serce... i w sercu jakiś

spokój. Tylko niełatwo wpaść na to. Przypuszczam, że nawet ty, papo, nie znajdujesz tego często.

– Trzeba mieć siłę, żeby żyć tutaj – powiedział William. – Ty masz taką siłę, Ella.

– Myślę, że mam.

– Ale ciągnie cię do de Trouvere.

– Oczywiście.

Patrzył na nią.

– To nie brzmi tak bezapelacyjnie jak dawniej.

Wzruszyła ramionami.

– Jestem trochę zmęczona, papo.

– Toteż przyjechałaś na urlop.

Westchnęła.

– Na parę tygodni. Za krótko, żeby lizać rany.

– Ollie?

Nagle łzy wściekłości zabłyły w jej oczach.

– Kocham go, papo, serdecznie, jak zawsze... nic pod słońcem by tego nie zmieniło. Ale kocham także de Trouvere, a co on wyprawia? Kocha de Trouvere nade wszystko. Nie dba jednak, ściga de Trouvere w dół, a ja nie wiem, w jaki sposób go powstrzymać.

– Może w ogóle nie ma sposobu – powiedział William spokojnie.

– Więc mam zrezygnować? – Potrząsnęła głową. – Nigdy.

– Nigdy to długi czas, Ella. – William umilkł na chwilę. – Wiesz, co myślę?

– Co?

– Że już pora, żebyśmy pojechali do domu.

Przeraziła się.

– Przecież dopiero co przyjechałam.

– Nie mówię o Alzacji. Mówię o naszym domu... twojej matki i moim. Jesteś zmęczona, a na Manhattanie się nie wypoczywa. Posiedź trochę w Rhinebeck, złotko.

– Planowałam jeszcze przynajmniej tydzień tu, w mieście.

– Możesz przyjeżdżać... nie jest daleko, a przecież to zupełnie inny świat. – Uśmiechnął się. – Popłyniemy tam statkiem w górę Hudsonu, zamiast jechać samochodem.

– Już listopad.

– Nie będziemy się opalać. Przywiozłaś swetry, prawda? Takie wieśniaczki jak ty wiedzą chyba, co zabrać ze sobą.

– No pewnie. I wysokie buty, i trampki.

– Świetnie. Twoja miejska garderoba tam niepotrzebna, więc zatrzymamy twój apartament w St. Regis, żebyś mogła teraz wziąć tylko jedną torbę.

Parsknęła śmiechem.

– To już byłaby za duża prostota, dziękuję... wezmę torbę i walizkę.

William patrzył na nią z czułością.

– Weź przyczepę samochodową, jeżeli chcesz... tylko pojedź.

– Czy naprawdę, papo, możesz mi poświęcić tyle czasu?

– Nie mogę, ale poświęcę. Wprowadzę cię i wrócę do miasta.

– Zostawisz mnie samą? – zapytała z powątpiewaniem.

– Nie będziesz sama. Alice tam mieszka. Gotuje i zajmuje się psami.

Ella się rozpromieniła.

– Omal nie zapomniałam o psach. Chcę je zobaczyć jak najprędzej.

– Poczujesz się tam bardzo dobrze. – Wyraźnie był tego pewny. – Będziesz mogła robić wszystko, na co ci przyjdzie ochota, wypoczywać dla odmiany, a potem zdecydujesz, czy jeszcze cię pociąga ten zwariowany Manhattan.

Dom w odległości mili od Rhinebeck był, jak Ella z zapartym tchem go określiła, „zachwycający”. Zbudowany na holenderskiej farmie w połowie siedemnastego wieku, zachował wiele ze swoich pierwotnych cech: szczyty w obrębie dachu, ściany grubości pół metra, kafle holenderskie w kuchni i frontowa alejka wyłożona tłuczonymi muszlami ostryg. Jednak po co najmniej czterech etapach unowocześniania, zachowując historyczny urok, stał się komfortowy.

Alice, gospodyni Hunterów i opiekunka psów w jednej osobie, napaliła we wszystkich piecach i kominkach, wstawiła zapiekankę do piecyka i czekała w aromacie świeżego domowego pieczywa z dwoma najukochańszymi psami Krisztiny u boku.

– Janus! – Ella, usiłując oprzeć się witającemu ją entuzjastycznie wilczarzowi, odwróciła się do czarnego pieska, który skowyczał z radości. – I Tytus! Tak bardzo do was obu tęskniłam!

Alice, wysoka, urodziwa kobieta, czterdziestopięcioletnia, o szpakowatych włosach i czystych szarych oczach, uśmiechała się do nich wszystkich.

– Mama pani mi mówiła, że dzięki tym dwóm bardziej niż dzięki wszelkim luksusom poczuje się tu pani u siebie.

– Miała rację. – Ella promieniała. – I te zapachy są cudowne.

– Przypuszczałam, że państwo po przejeździe statkiem będą głodni jak szczeniaki.

– Zagłodzeni – powiedział William, przeglądając pocztę.

– Tylko nie wiedziałam, czy nakryć w jadalni...

– Zjemy w kuchni, Alice. Zgadzasz się, kochanie?

– Świetnie. – Ella z zadowoleniem usiadła w jednym z wiklinowych foteli przy kominku.

Bezceremonialny nastrój tego domu był dla niej jak kojący balsam.

William spojrzał na nią.

– Mówiłem, że tu ci się spodoba.

Tytus zgrabnie wskoczył jej na kolana, Janus o jej kolano oparł swój kudłaty łeb i patrzył w oczy. Alice krzątała się po kuchni, nucąc. Ojciec włożył jedną kopertę do kieszeni, trzy inne wrzucił w ogień.

– Pocztaś śmieci – wyjaśnił. – Nie ma przed nimi ucieczki, gdziekolwiek się jest, nawet w raju.

– Czy właśnie w raju teraz jesteśmy? – zapytała Ella rozbawiona.

William zapalił papierosa.

– Myślę, że mógłby być prawie raj, gdyby cała rodzina była tu razem.

– Tak to jest, niestety, kiedy ma się więcej niż jeden raj, papo.

– Życia w de Trouvere ostatnio raczej nie nazwałbym takim rajem.

Alice położyła na dębowym stole czerwone płócienne serwetki i srebrne sztucce, postawiła szklanki.

– To nie przeszkadza mi kochać de Trouvere – powiedziała Ella cicho.

William stanął przy niej i pogłaskał ją po włosach.

– Wiem.

Gdy William wyjechał z powrotem do miasta, Ella przez cztery dni odpoczywała, spała dziewięć godzin na dobę, kładła się spać o dziesiątej, wstawała o siódmej. Co dzień rano przed śniadaniem spędzała godzinę z Alice i szczeniakami w dużej, specjalnie zbudowanej psiarni za ogrodem, przy czym Janus i Tytus już zrezygnowały z odwracania uwagi swojej pani od niesfornej bandy sześciotygodniowego potomstwa Wenus. Potem sadowiła się w dużym miękkim fotelu w saloniku i na zmianę czytała, słuchała Vivaldiego i Mozarta, i drzemała aż do obiadu.

– Głodna? – pytała Alice co dzień w południe.

– Właściwie nie – odpowiedziała Ella piątego dnia.

– Nic dziwnego. Jesteś kobietą aktywną... Nie myślisz o jedzeniu.

– Może za dużo się wałkonie?

Alice wzruszyła ramionami.

– Zorientujesz się, kiedy już będzie dosyć tego dobrego.

– Jak?

– Usiądziesz prosto i zaczniesz zauważać.

– Co?

– Hrabstwo Duchess na początek. Gdyby twoi rodzice tu byli, postaraliby się, żebyś je zobaczyła, bo warto.

– Pewnie masz rację – powiedziała Ella, czując się winna.

– Tylko nie wstydz się zmęczenia – szybko powiedziała Alice. – Wszyscy potrzebujemy od czasu do czasu nabrać paliwa. Co czytasz?

Ella zachichotała.

– Washingtona Irvinga. Muszę przyznać, że on zachęca mnie do rozejrzenia się po okolicy. Tylko wściekle trudno mi wyruszyć... wydaje mi się, że zanim wrócę, ktoś mógłby stąd porwać ten uroczy spokój.

– Przysięgam, że upilnuję. – Alice postawiła głęboki talerz na stoliku.

– Co to jest?

– Taka nasza potrawka z mięczaków.

– Znowu mam się napychać?

– To się przyda, jeżeli wreszcie się ruszysz. Samochód, nawiasem mówiąc – dodała – stoi blisko z pełnym bakiem.

Ella się uśmiechnęła.

– Dokąd mam jechać najpierw?

– Do Ryn Beck.

– Dokąd?

– Myślę, że to jest to, co Holendrzy nazwali Rhinebeck, chociaż może Niemcy to nazwali od swojej niemieckiej rzeki... zawsze byłam na bakier z historią.

– Urodziłaś się tutaj?

Alice potrząsnęła przecząco głową.

– Nie. Przyjechałam z Washingtonu D. C. na narty jakieś dwadzieścia lat temu. Widoki Hunter i Bobcat przypadły mi do serca tak bardzo, że zostałam. – Alice umilkła na chwilę. – Jedz, póki

gorące.

Ella skosztowała. To było gęste i pyszne.

– Więc myślisz, że powinnam zacząć od Rhinebeck?

Alice przytaknęła.

– To tylko wioska, ale warto ją zobaczyć. Nawet jeżeli nie będzie ci się chciało jechać dalej, popatrz tam sobie na Delameter House... prawdziwy dom z piernika.

– A potem co? – Ella zanurzyła w potrawce pajdę domowego chleba. – Jestem zbyt niecierpliwa, żeby długo przebywać w jednym miejscu i nie cierpię zwiedzać według przewodnika.

– Przejedź się po prostu. Dam ci dobrą mapę, więc zanadto nie zabłądzisz, a gdyby nawet, zawsze można zapytać... tutejsi ludzie są dosyć życzliwi. To śliczna, falista kraina, chociaż, oczywiście, listopad nie jest dla niej najbardziej twarzowym miesiącem.

– O ile wiem, jest tu sporo winnic.

Amerykanka się uśmiechnęła.

– Nie ma porównania z Francją, rzecz jasna, ale wystarczająco dużo, żeby przyciągać bogatych... i żeby były wspaniałe rezydencje, jeżeli to cię interesuje, chociaż, kiedy się mieszka w Chateau de Trouvere, wątpię, czy mogą zaimponować.

– Przecież nie znasz de Trouvere.

– Znam tylko z fotografii, ale pani Hunter opisała mi każdy zakamarek.

– Myślisz, że mama wciąż jeszcze tęskni? – zapytała Ella.

– O Boże, tak. Cieszyła się przed wyjazdem, że teraz będzie tam trochę dłużej.

– Ale chyba lubi te strony.

– Jeszcze jak! – Alice znów się uśmiechnęła. – Można kochać więcej niż jedno miejsce, wiesz, Ella.

– Można?

Alice potwierdziła z całą rozwagą.

– Och, można.

Ella jeździła przez całe popołudnie. Zabłądziła trzykrotnie, ale jakoś trafiła z powrotem do domu i zostało jej dosyć pewności siebie, żeby nazajutrz wczesnym rankiem znowu wsiąść do samochodu, tym razem z Janusem do towarzystwa i z prowiantem w koszyku.

Jechała na północ po drugiej stronie rzeki Hudson zygzakiem to naprzód, to wstecz, przeważnie przez dolinę, zbaczając od czasu do czasu w niskie góry hrabstwa Ulster. Nad jaskrawoniebieskim jeziorem, nazwanym czarująco Minnewaska, pałaszowała udko kurze usmażone przez Alice, patrzyła, jak Janus bryka niczym szczeniak, i studiowała rozłożoną na trawie mapę, zachwycona magicznością nazw – Shawangunk, Phoenicia, Kamienny Grzebień, Ezopus...

Potem pojechała dalej, tak urzeczona krajobrazami, że zapomniała o ograniczeniach tej miejscowej mapy. Powyżej rzeki zobaczyła raczej odpychający masywny, rozłożysty wiktoriański hotel, Dom na Górze Mohawk, w pobliżu jakiegoś ślicznego jeziora, a potem, jadąc wciąż na północ, ominęła Kingston, objechała Zbiornik Ashohan, rozejrzała się w Woodstock, miasteczku nadal uroczym, pomimo komercjalizacji. Trochę później zostawiła za sobą hrabstwo Ulster i już w hrabstwie Greene zatrzymała się, żeby wypić kawę w przydrożnym barzewagonie. Ciemnooka kelnerka, częstując Janusa kanapką z indykiem i sosem, powiedziała, że niedaleko jest jeden z najwspanialszych widoków na świecie.

– Domostwo na Górze Catskill – dodała tonem pełnym szacunku. Nalała Elli trzeci kubek kawy i pogłaskała Janusa po łbie. – To był najwspanialszy wypoczynkowy hotel w górach do wczesnych lat czterdziestych.

– A teraz?

– Nie ma nic. Spalili go w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim.

– Więc dlaczego mam tam jechać?

– Tam jest wciąż jeszcze najpiękniej na świecie. Tylko dlatego. – Wycierając ścierką stalowy ekspres, miała błyski rozmarzenia w oczach.

– Nawet w listopadzie?

Wzruszyła ramionami.

– Może to nie najlepszy czas, ale kiedy Bóg się decyduje stworzyć wspaniałość, stwarza na wszystkie pory roku. Niech pani tam pojedzie, zobaczy.

Ta jazda była długa, bo część trasy wiodła przez Park Narodowy Catskill: lasy z wartkimi strumieniami i przepychem wodospadów, z dramatycznymi przepaściami, zanim teren trochę się wyrównał, gdy Ella jechała przez Haines-Falls i skręciła w prawo nad Jezioro Północne. Wkrótce potem z konieczności zaparkowała samochód i dalej poszła z Janusem piechotą.

– *Bon Dieu* – wyszeptała na szczycie góry.

Janus przy niej siedział nieruchomo i spokojnie, ciemnymi oczyma także patrzył na krajobraz poniżej.

Odwracała głowę powoli, to w lewo, to w prawo i znów w lewo, usiłując ogarnąć majestat rozległej panoramy. Wszelkie myśli uleciały, umysł zmienił się w jakąś automatyczną kamerę czy też w gąbkę, nasiąkającą tym wszystkim, każdą cząstką tego widoku, aż samo widzenie stało się pełnym, doskonałym doznaniem.

W końcu zamrugła, poruszyła się.

Mapa.

Uklękła na ziemi obok Janusa i próbowała się zorientować, gdzie jest. Tę mapę kupiła w księgarni w HainesFalls.

Jest na Górze Południowej w miejscowości zwanej Pine Orchard. Daleko, daleko w dole płynęła przez dolinę rzeka Hudson – soczyście niebieska wstęga w chłodnym listopadowym słońcu. Na wprost są wzgórza Berkshire i Zielone Góry, i Albany, i Park Narodowy na Górze Niedźwiedziej. Usiłowała sobie wyobrazić, gdzie się kończy stan Nowy Jork, gdzie się zaczynają Connecticut i Massachusetts, i Vermont. Wszystko, z wyjątkiem samych gór, było w miniaturze: domy jak kropki, lasy jak kleksy, jeziora jak grochy, niektóre roziskrzone, niektóre wtulone w pocętkowany cień – a przecież wszystko to składało się na ogrom imponujący, wzruszający do głębi, inspirujący.

Zrozumiała, że matka mogła tu się osiedlić. Jeżeli już trzeba daleko się wyprowadzić z ukochanych, bezpiecznych okolic, z pewnością ma się szczęście, trafiając gdzieś, gdzie warto mieć swoje nowe miejsce.

Wspaniałość – słusznie powiedziała ta kelnerka.

Ciekawe, jaki był ów hotel, tak przepięknie usytuowany. Ella zajrzała do małego przewodnika, który dostała razem z mapą.

Znalazła w przewodniku fotografię. Trzyńście korynckich filarów od frontu. Przykład stylu

greckiego, tak popularnego w Europie i Ameryce w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. A co za goście! Zawistnym okiem hotelarki sunęła po tych nazwiskach: Alexander Graham Bell, Jerzy Lind, Henry James, Mark Twain, Oscar Wilde, Ulysses S. Grant – na Boga, któż nie przebywał w tym hotelu?

Pierwszy wielki górski hotel wypoczynkowy w Ameryce Północnej – przeczytała. – Symbol bogactwa kraju... jedno z najromantyczniejszych miejsc na ziemi.

Jednak uznano, że konstrukcja tego hotelu jest niepewna, i spalono go na popiół w pewien styczniowy świt na początku lat sześćdziesiątych, gdy już od dwudziestu lat bez mała świecił pustką.

Ella pomyślała o de Trouvere i zadrżała.

Janus zaskomlał.

– Dobrze, piesku, wracamy.

Dopiero teraz zauważyła dwoje turystów nieopodal.

Uśmiechnęła się.

W tym powietrzu są czary.

– No pewnie, że był słynny – potwierdziła Alice później tego dnia wieczorem, gdy Ella już oddała sprawiedliwość jeszcze jednej zbyt obfitej kolacji.

– Piszą o nim jak o pomniku.

– Był pomnikowy u szczytu sławy. Każdy, kto się liczył, przyjeżdżał do Pine Orchard... to musiał być hotel nie lada.

– I zniknął, zanim tu przyjechałaś?

– Och, sporo czasu przedtem, ale kiedy jesz. cze stał, niewiele z niego zostało do zobaczenia. Walił się, a ludzie jednak – przyjeżdżali, żeby go zwiedzić, więc dla bezpieczeństwa go zburzono.

– Przecież nie zburzono, tylko spalono.

Alice uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– To cię naprawdę trapi.

– Owszem.

– Możesz się w to wczuć, bo masz swój własny hotel.

– Chyba mogę. – Ella zmarszczyła brwi. – Wciąż myślę o człowieku, który ten hotel zbudował... jak on się nazywał? Erastus Beach. – Pokręciła głową. – Pewnie już nie żył, kiedy spalono jego dzieło.

Alice odłożyła robotę na drutach.

– Myślisz o de Trouvere jak o hotelu czy jak o rodzinnej siedzibie? – zapytała.

– I tak, i tak – odpowiedziała Ella spokojnie, po czym się zastanowiła. – Może bardziej jak o hotelu... powstał, zanim się urodziłam. – Umilkła na chwilę. – Inna sprawa z moim bratem. Dla niego ważniejszy jest sam zamek... hotel to tylko przedsiębiorstwo, a posiadłość de Trouvere to część jego ja. – Uśmiechnęła się. – Czy może na odwrót... On jest częścią tej posiadłości.

– Zdaje się – powiedziała Alice ostrożnie – że wy dwoje nie bardzo się zgadzacie w kwestiach zarządzania.

Ella się zdziwiła. Najwidoczniej Alice jest kimś o wiele ważniejszym niż gospodyni czy nawet administratorka, jest powiernicą jej rodziców.

– Uważasz, że to problem, który potrafisz rozwiązać? – zapytała Alice.

– Kiedyś tak uważałam – powoli odpowiedziała Ella.

– Ale nic z tego. – To było stwierdzenie, a nie pytanie.

– Nic.

– Więc co zrobisz? – Alice wzięła znów druty i ciche ich szczękanie brzmiało w pokoju jakoś pocieszająco.

Ella ze znużeniem oparta głowę o poduszkę z łątek.

– Nie wiem.

Obudziła się nazajutrz rano stęskniona do ojca, dostatecznie wypoczęta, żeby znów stawić czoło szturchańcom wielkiego miasta.

Po drodze nie zatrzymywała się nigdzie, tylko jechała niecierpliwie na południe, pragnąc ciepła, które ją ogarniało, ilekroć była blisko Williama. Pogoda nagle się zmieniła, był prawdziwy listopad, mroczny i posepny, ciężkie, szare chmury śliniły się irytującą mżawką, tak że wycieraczki były w niemrawym ruchu przez całą drogę z Ponghkeepsie do Yonkers.

Pomimo pluchy widok Manhattanu od tej innej strony podniecił Ellę, aż zahamowała gwałtownie, zbaczając ze swojego pasa na autostradzie i tylko cudem uniknęła wypadku. Empire State Building, na który przedtem z ulicy patrzyła rozczarowana, teraz, widziany z autostrady, wznosił się we mgle nadzwyczajnie, taki triumfalny, przynaglał wracających tubylców i zapraszał nowych przybyszów. Elli gardło się ścisnęło jak zawsze, gdy z szosy z Ribeaupville widywała za drzewami pierwszy przebłysk Chateau de Trouvere.

– Jakiś kłopot? – powitał ją William w swoim gabinecie.

– Nie.

– Więc co ty tutaj robisz?

– Stęskniłam się za tobą – odpowiedziała po prostu.

Twarz mu się rozjaśniła.

– To dobrze.

– Pójdziemy na obiad, papo?

Uśmiech zniknął.

– Nie mogę, kochanie... za dużo spraw. Dwie ważne aukcje dzisiaj i jutro rano.

– Co wystawiacie?

– Kilimy i dywany dziś wieczorem... a jutro obrazy impresjonistów i nowoczesne. Może przyjdiesz?

– Dywany. – Ella pomyślała o ślicznych dywanach w de Trouvere, tak zaszarganych przez kompanów Oliviera. – Może bym nawet poważnie je obejrzała.

– Chciałabyś coś kupić?

– Będę wiedziała, kiedy zobaczę.

– Więc zobacz, jeżeli zamierzasz licytować. Twój współzawodniczy już cię wyprzedził. – William wstał. – Znajdę jakiegoś eksperta, żeby teraz tam cię zabrał.

Pocałowała go w policzek.

– O której wieczorem?

– Od pół do ósmej. Bądź tutaj o siódmej, to napijemy się szampana.

Te kolory były wspaniałe, niektóre cudownie zgaszone, inne zadziwiające jaskrawości, wszystkie w jedwabiu, wełnie, dobrze eksponowane płyty historii od piętnastego do

dziewiętnastego wieku, pochodzące z Persji, Egiptu, Chin, Turcji, Francji i Hiszpanii. Bogactwo wzorzystości i stylu zarówno inspirowało, jak dezorientowało. Dywany w deseń z medalionów. Dywany w deseń z win czy z waz. Dywany z Heratu. *Tapis Polonais*. W deseń z ptaków. I pod dostatkiem dywanów Savonnerie, Aubusson, w deseń z kwiatów lotosu, z cyprysów i wierzb, ze słowików, bażantów, pawie, lwów, niedźwiedzi, lisów, smoków, koni i myśliwych. Ella jednak dokonała wyboru w ciągu dwudziestu minut – uroczy jedwabny dywanik turecki z siedemnastego wieku w deseń perski – zwiewne obłoki, ptaki latające na tle bladioróżowym, szmaragdowozielonym i indygo.

– To jest to – powiedziała swojemu ekspertowi, młodemu człowiekowi w okularach i ciemnym garniturze.

– Znakomity, panno Hunter, ta zieleń zwłaszcza jest bardzo rzadka.

– Myśli pan, że mam szansę?

Uśmiechnął się.

– Aukcja. Wszyscy mają szansę.

– Ja niekoniecznie, jeżeli nie złożę na to oferty pierwsza – powiedziała strapiona. – Licytator przyjmuje oferty tylko od dwóch osób naraz, prawda?

– Tak jest.

– Takie to wszystko skomplikowane. Oferty za upoważnieniem, rezerwowanie po cichu... Potrzebny mi ktoś, kto złoży ofertę za mnie.

– To można by załatwić, panno Hunter. Chociaż wątpię, czy miałyby pani wtedy tyle emocji.

Przez okno gabinetu Ella patrzyła na przybywających klientów. Jgdni wysiadali z limuzyn z pomocą szoferów w liberii, inni gramolili się z żółtych taksówek, jeszcze inni przybiegali pieszo pod dużymi czarnymi parasolami.

– Czy nie powinnam już być tam, na dole, żeby znaleźć sobie miejsce? – zapytała niespokojnie ojca. – Lepiej być w polu widzenia licytatora, prawda?

– Dobry licytator cię wypatrzy, nawet jeżeli usiądziesz z tyłu, ale zarezerwowałem miejsce dla ciebie, więc bądź spokojna. – Spojrzał na katalog w jej ręce.

– Która pozycja?

– Numer dwanaście. – Ella się uśmiechnęła. – Może nikt nie będzie go chciał.

– Nie będziesz wiedziała, nawet jeśli nikt – powiedział William. – David van Street, licytator, nie da ci tego wiedzieć, tak samo jak raczej nie okazuje, że jakaś pozycja nie została sprzedana. Wiele z tych zgłoszeń to fikcja, nazwiska nabywców też.

– I po co takie utrudnienia?

– Rzeczywiście nie ma w tym nic trudnego, przynajmniej dla ciebie. Musisz tylko zdecydować, czego chcesz i ile jesteś gotowa zapłacić. – Spojrzał na zegarek. – Czas, żebyś tam poszła.

Ella postawiła swój kieliszek z resztką szampana i przejrzała się w dużym lustrze na ścianie. Nie miała pojęcia, jak się ubrać na taki wieczór i ostatecznie włożyła prosty czarny spodniom i białą bluzkę z dużą kokardą przy szyi.

William popatrzył na nią.

– Wyglądasz wspaniale – powiedział zupełnie szczerze. Po chwili namysłu wyciągnął z wazonu na stoliku ciemnoczerwoną różę i wetknął w jej butonierkę. – Teraz idź już i kup sobie ten dywan.

Aukcja zaczęła się tak chytrze, że Ella tego nie zauważyła, dopóki David van Street nie uderzył

młotkiem i nie oznajmił, że numer jeden został sprzedany komuś o nazwisku, którego nie dosłyszała.

Może to fikcyjna sprzedaż, pomyślała. Rozparła się na krześle, żeby wchłaniać tę atmosferę, rozglądać się wokoło – kamienne twarze personelu, reflektanci wyraźnie wzburzeni, dwaj, niewątpliwie dealerzy, mający coś nabyć dla nieobecnych klientów, dama w futrze z soboli, o twarzy okrągłej, wyrazistej, uradowana, nie wiadomo dlaczego, każdym momentem aukcji, i mnóstwo osób tak spokojnych, jakby przyszły tylko popatrzeć.

Następne cztery pozycje przeleciały, skwitowane uderzeniem młotka, błyskawicznie. Ella mocno zacisnęła palce na katalogu, gdy wystawiono piękny perski kilim ze srebrnego i złotego brokatu niepodpisany, ale znakomity. Teraz zmusiła się do studiowania sposobów licytacji; niektórzy kiwali głowami, ktoś stuknął się złotym wiecznym piórem w policzek, kilkoro podniosło dyskretnie rękę, a jedna kobieta dała znak wzruszeniem ramion.

Młotek uderzył w blat, Ella lekko podskoczyła, pojmując, że przegapiła oferowane ceny i ten kilim został już sprzedany. Wystawiono następną pozycję. Całą uwagę zwróciła na licytatora, żeby zbadać, jak ceny rosną, tym bardziej dramatycznie, im cenniejsza jest sprzedawana rzecz.

Następne trzy dywany sprzedano szybko. Elli zrobiło się gorąco z podniecenia. Jakaś dziewczyna na końcu drugiego rzędu przytknęła do nosa białą koronkową chusteczkę – czy licytuje, czy ma katar? Dziewczyna kichnęła raptownie, Ella się uśmiechnęła.

Numer jedenasty, ładny wełniany dywan kaukaski w smoki, został po krótkiej potyczce sprzedany dosyć młodemu człowiekowi ze złocistymi wąsikami, który siedział w pierwszym rzędzie, oddalony o trzy miejsca od Elli.

– Pozycja dwanaście.

Włosy na karku Elli się zjeżyły.

Za Davidem van Streetem dwaj tragarze zaprezentowali jaśniejący pieczołowitym doborem koloru dywanik turecki i serce jej załomotało.

– Dziewięć tysięcy dolarów.

– Kto?

Zamrugnęła, podnosząc rękę.

– Dziewięć pięćset.

Opuściła rękę, skonsternowana. Właściwie już przegrała, jeżeli ci dwaj reflektanci są w wyścigu przed nią.

Nie, nie, uspokój się i czekaj. Jeszcze będzie szansa.

Cena podniosła się szybko do trzynastu tysięcy dolarów, a potem nagle nastąpiła pauza – nie dłuższa niż dwie sekundy, ale wyraźna.

– Trzyście tysięcy dolarów – powtórzył pan Street.

Ella podniosła rękę wysoko jak dziecko w szkole.

– Trzyście tysięcy pięćset... dziękuję pani.

Policzki jej płonęły, oczy się iskrzyły – wreszcie dopięła swego.

– Czternaście tysięcy.

Podniosła rękę.

– Czternaście tysięcy pięćset. Rozejrzała się. Kto z nią tak rywalizuje?

I znowu ta ziejąca pauza. Czy to znaczy, że ten ktoś zrezygnował? Wygrałaś!

– Piętnaście tysięcy. Dziękuję panu.

Niech go diabli! Ręka Elli samorzutnie znów się podniosła. – Piętnaście tysięcy pięćset. Pauza bardzo krótka.

– Szesnaście tysięcy. No, któż to jest?

– Szesnaście tysięcy pięćset.

– Siedemnaście tysięcy.

Kącikiem oka Ella zobaczyła, jak ten z wąsikami opuszcza prawą rękę na kolano.

Ależ zachłanność! Przecież kupił przed chwilą dywan w smoki! Wściekle pomachała ręką.

– Siedemnaście pięćset. No, ty draniu, wyzywam cię! Zapanowała cisza.

– Siedemnaście pięćset po raz pierwszy. Ella wstrzymała oddech.

David van Street rozglądał się po sali, wypatrując najlżejszego ruchu.

– Siedemnaście tysięcy pięćset dolarów – powtórzył. Na litość boską, milcz, wąsaty!

Licytator znów skierował wzrok na nią, tylko na nią.

– Sprzedane – powiedział. Młotek stuknął.

Spotkali się w holu.

Jej współzawodnik był bardzo wysoki, ponad sześć stóp wzrostu. Włosy miał krótko ostrzyżone, oczy niebieskie, migoczące. Usta pod wąsem uśmiechały się do niej.

– Gratuluję. Zarumieniła się.

– Dziękuję.

– Dobrze się pani spisała.

Nie wiedziała, czy to nie jest protekcyjne. Ale ostatecznie uznała, że nie.

– Dziękuję – powtórzyła.

– Daleko by pani jeszcze zaszła?

– Nie wiem.

– Ale wyznaczyła pani sobie sumę? Uśmiechnęła się.

– Już ją przekroczyłam, zanim pan się odezwał. – Zwycięstwo sprawiło, że była wspaniałomyślna. – Przykro mi, że pan przegrał. Bardzo pan chciał to kupić?

– Wcale nie chciałem.

– Słucham?

– Nie chciałem tego dywanika. Jest bardzo ładny, ale już mam to, na czym mi zależało.

– Ale gotów był pan zapłacić siedemnaście tysięcy dolarów.

– Fakt.

– Dlaczego?

– Dlatego, że chciałem panią poznać. Oniemiała. Uśmiechnął się znowu.

– Nie kłamie. Patrzyła na niego.

– Nie wierzę panu.

– Gdybym w to nie wszedł, miałaby go pani za czternaście i pół tysiąca, ale pozostałbym niezauważony.

Po raz drugi nie mogła dobrać głosu.

– Gniewa się pani na mnie? – zapytał.

– Czy to znaczy, że pan mnie zmusił do wydania o trzy tysiące dolarów więcej, żeby pan zauważyła?

– Na to wychodzi.

– A więc tak. Gniewam się na pana.

– Niech się pani nie gniewa, proszę.

– Pan chyba zwariował. Zaprzeczył:

– Na pewno nie. – Przechylił głowę. – Wie pani, mógłbym łatwo powiedzieć, że rozpaczliwie chciałem mieć ten dywan, ale ponieważ pani się podobał, zrezygnowałem. Wtedy by pani uznała mnie za dżentelmena?

– Być może.

– Ale czy uczciwość nie jest większą zaletą?

– Nie zawsze.

Tłum wokół nich się rozrzedzał. Ella spróbowała odejść z godnością.

– Już pani wychodzi? – Tak.

– Czy o czymś pani nie zapomniała?

– Nie sędzę.

– A dywan?

Odpowiedziała kwaśno:

– Sama nie będę go niosła do domu.

– Gdzie jest ten dom?

– Nie pana sprawa.

– Słusznie.

Przełożyła torebkę i katalog pod lewą pachę.

– Dobranoc.

Staął pomiędzy nią i drzwiami.

– Zje pani ze mną kolację? Oczy jej się rozszerzyły.

– Oczywiście że nie.

– Dlaczego?

– Pan mi się nie podoba. Jego oczy migotały.

– Czy dlatego, że chciałem panią poznać nawet za cenę siedemnastu tysięcy dolarów?

– Przecież pan wiedział, że nie ryzykuje pan ani grosza – odparowała.

– Nie mogłem wiedzieć, czy pani się nie wycofa.

– Pan wiedział, że się nie wycofam. Spuścił głowę, niby to pokornie.

– Proszę, niech pani ze mną zje kolację.

– Nie – odpowiedziała stanowczo. Podniósł wzrok.

– Poza tym, że się pani nie podobam, dlaczego pani nie chce? Poszukała powodu.

– Nie cierpię wąsów. Wyraźnie był zaskoczony.

– Rzeczywiście?

– Rzeczywiście. Podszedł do niej William.

– Tu jesteś... szukałem cię.

– *Bonsoir, papa.* – Pocałowała ojca w policzek.

– Słyszałem, że przebiłaś. – Zwrócił się do jej współzawodnika. – Cześć, Harry. – Przywitali się uściskiem rąk.

– Udany wieczór, Williamie?

– Ze wszech miar. A dla ciebie?

– Mieszany.

– *C'est la guerre* – powiedział William beztrąsco. – Już znasz, jak widzę, moją córkę.

Ella okrągłymi oczami patrzyła na nich obu.

– Obawiam się, że ona mnie nie bardzo lubi.

– Dlaczego? Co zrobiłeś?

– Byłem podły.

– Och! To nie w twoim stylu, Harry. Ella się zirytowała.

– Chyba nie wypada rozmawiać o mnie tak, jakby mnie tu nie było.

William uśmiechnął się.

– Przepraszam, kochanie. Czym ten człowiek ci się naraził?

– Chyba powinieneś nas sobie przedstawić – zaproponował Harry.

William objął ją ramieniem.

– To jest Ella, moja córka – dokonał prezentacji. – Ella, to jest Harry Bogarde, przyjaciel.

– Twój?

– Mój.

Bogarde zrobił minę.

– Ella mówi, że nie chce zjeść ze mną kolacji.

– Myślałem, że zjemy we troje – powiedział William.

– Tak myślałeś? – Ella zirytowała się jeszcze bardziej. Ojciec zwykle nie traktował jej nonszalancko.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, oczywiście.

– Nie widzę dużego wyboru.

– Przypuszczałem, że może jesteś zmęczona, więc zarezerwowałem stolik w St. Regis.

Odpowiada ci, Harry?

– Cudownie.

– Czy mam coś teraz załatwić z moim dywanikiem? – zapytała Ella. William przecząco potrząsnął głową.

– Przecież wiesz, kim jesteś. – Uśmiechnął się do nich obojga. – Jedziemy?

– Żałuję, ale ja dopiero za pół godziny – powiedział Bogarde.

– Dlaczego?

– Wskoczyła pewna niespodziewana sprawa.

– Czy mogę ci w tym jakoś pomóc?

Bogarde zachichotał.

– Niestety, nie. Proszę, idźcie już, spotkamy się w St. Regis.

W sali King Cole'a popijali szampana, gdy Bogarde stanął przy ich stoliku.

– Szampan mnie podniesie na duchu.

Ella patrzyła na niego oszołomiona.

– Pana... – zamrugła – pana wąsy...

– Już ich nie ma. – Usiadł.

– Ale dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Powiedziała pani, że nie cierpi wąsów.

William się roześmiał.

– Tak powiedziałaś?

– Tak, ale wcale nie...

Bogarde pochylił się ku niej z powagą.

– To, że się pani nie podobam, omal mnie nie powaliło. Starania, żeby to zmienić, zabiorą sporo czasu, ale wąsów mogłem się pozbawić natychmiast. – Potarł się nad górną wargą. – Muszę przyznać, że wolałbym je zgolić nie tak pośpiesznie, ale czego się nie robi dla pięknej kobiety.

Ella się zarumieniła.

– Nie wiedziałem, że nie cierpisz wąsów. Dlaczego? – zainteresował się William.

– Zasłaniają różne rzeczy – powiedziała niezręcznie.

– Jakie rzeczy? – zapytał Bogarde.

– Wąskie wargi świadczące o małostkowości. Takie rzeczy.

– Ja nie mam wąskich warg, prawda?

Jeszcze bardziej się zaróżowiła, mimo woli spoglądając na jego usta. Istotnie, nie były wąskie. Były ładne, raczej zmysłowe.

– Nie mam? – powtórzył.

– Nie ma pan.

– Dzięki Bogu, przynajmniej jeden problem rozwiązany. – Podniósł kieliszek i wypił trochę szampana. – Teraz reszta. – Zastanawiał się przez chwilę. – Ella, założę się, że dla pani w większości spraw słowa ojca są jak słowa Ewangelii.

– Chyba tak.

Spojrzał na Williama.

– Powiedziałbyś, że jestem sympatyczny?

William przytaknął z uśmiechem.

– Raczej.

– Godny zaufania?

– Za to mogę ręczyć.

– Żonaty?

– Nie, o ile mi wiadomo.

– Trzeźwy?

– Przynajmniej publicznie.

– Pozwoliłbyś swojej córce spotykać się ze mną?

– Gdyby chciała.

Bogarde zwrócił się znów do Elli i zobaczył ku swojej wielkiej uldze, że ona się śmieje.

– Jak pani myśli? Mogłaby pani przestać mnie nie cierpieć?

– Nie powiedziałam, że pana nie cierpię. Powiedziałam, że pan mi się nie podoba.

– Zje pani ze mną kolację?

– Zaraz zaczniemy jeść.

Znów podniósł kieliszek.

– Za naszą pierwszą randkę – powiedział – chociaż to randka, do licha, z przywoitkiem.

W holu hotelowym, gdy William pojechał do mieszkania na dachu swego firmowego

wieżowca, Bogarde i Ella stanęli przy windach.

– Jeśli chodzi o tę aukcję – powiedział Bogarde i Ella znów zauważyła ciepłą, czystą, amerykańską, wesołą śpiewność w jego głosie. – Gdybym nie wiedział, kim pani jest, w żadnym razie nie prowadziłbym takiej gry. Ale wiedziałem, że... – urwał nagle zdumiewająco niezręcznie.

– Że mnie stać na to? – odpowiedziała Ella.

Przytaknął.

– Nie chcę, żeby pani poszła dzisiaj spać, myśląc, że jestem kompletnym szubrawcem.

– Szubrawiec. – Uśmiechnęła się. – Cóż za ładne, staroświeckie słowo.

– Bardzo angielskie – przyznał. – Jak hultaj albo szuja. Nie przychodzi mi na myśl odpowiednik francuski.

– Chyba nie mamy nic takiego... *goujat* to trochę za ostro.

– Cieszę się, że pani tak sądzi.

– Mówi pan po francusku? – zapytała zaciekawiona.

– Jesteśmy nieźle wykształceni... my, po tej stronie oceanu, wie pani. – Przyglądał się jej przez chwilę. – O czym pani będzie myślała?

– Kiedy?

– Dziś przed zaśnięciem.

Ella nacisnęła guzik. Drzwi się otworzyły. Weszła do windy.

– O moim ślicznym jedwabnym dywaniku oczywiście.

Na górze w swoim apartamencie Ella oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Harry Bogarde, wysoki, inteligentny, miły...

Otworzyła oczy i zobaczyła siebie w lustrze.

– *Dieu* – powiedziała cicho.

Gdy tego wieczora patrzyła na swoje odbicie w lustrze w gabinecie ojca, widziała podnieconą, szykowną, ładną dziewczynę. Teraz stała na wprost wyraźnie zaskoczonej, smukłej, promiennej, bezsprzecznie pięknej młodej kobiety.

Uśmiechnęła się.

– *Enfin* – powiedziała.

W Nowym Jorku była noc, godzina prawie druga, ale we Francji, jak Pan Bóg przykazał, pora śniadania. Ella wzięła aparat telefoniczny do łóżka i zamówiła rozmowę z przywołaniem.

– *Maman?*

Głos Krisztyny, trochę zniekształcony pogłosem, zabrzmiał niespokojnie.

– Ella? Coś się stało?

– Oczywiście że nie. Czy nie mogę telefonować, kiedy nie mam żadnych kłopotów?

– Tam już jest głucha noc.

– W Nowym Jorku nigdy głucha.

Krisztina ledwie dosłyszalnie odetchnęła.

– Jak ci poszła aukcja?

– Skąd wiedziałas?

– Ojciec mi powiedział.

– Co u ciebie, *maman?*

– Świetnie.

– To znaczy w hotelu.

– Wiem, co to znaczy. Hotel, zamek, goście, personel, nawet twój brat... wszystko świetnie.

– Ollie też?

– Zachowuje się jak anioł, chociaż na pewno nie może się .

doczekać mojego wyjazdu.

Napięcie, które z dala od de Trouvere stopniowo minęło, znów dało o sobie znać.

– Niełatwo z nim, prawda, *maman*?

– Trochę – przyznała Krisztina, po czym znów głos jej poweselał. – Ale nie przejmuj się tym teraz, kiedy jesteś na wakacjach. – Po chwili zapytała: – Powiedz o aukcji.

– Mnóstwo emocji.

– Zdobyłaś ten dywan?

– Czy jest coś, o czym nie wiesz?

– Przepraszam. Miej pretensję do ojca. Więc powiedz mi, *cherie*.

– Tak. Zdobyłam. – Ella się zawahała. – Ale nie to było emocjonujące.

– Nie to?

Przymrużyła oczy, nagle podejrzliwa.

– *Maman*, wiedziałas, z kim papa i ja mamy zjeść kolację?

– Harry Bogarde? Wiedziałam, że może tak będzie. I Krisztina zapytała: – Tak było?

– Tak.

– No i?

– *Maman*, ukartowaliście to? Papa miał być swatem? – zapytała z niedowierzaniem.

Krisztina się roześmiała.

– Oczywiście że nie... ale, istotnie, obojgu nam przyszło na myśl, że ty i Harry możecie się dogadać.

– No, nie dogadaliśmy się... Ja go nie cierpię.

– Nie wierzę.

Ella uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Masz rację. – Zakipiało w niej rozradowanie. – *Maman*, powiedz mi o nim... Kim jest? Czym jest? Jaki jest?

– Ma na imię Harry... nie zdrobniale, nie Harold ani Henry... po prostu Harry. Jest tak zwanym dawniej królem agencji nieruchomości, ale jego agencje chyba zarządzają się same, bo on w przeciwieństwie do innych takich potentatów mówi o interesach bardzo rzadko. Na co dzień zajmuje się kolekcjonowaniem.

– Czego? – zapytała Ella urzeczona.

– Pięknych, cennych rzeczy, antyków, dzieł sztuki, domów i galerii. Wszystkiego, co zaciekawia i ekscytuje.

Ella milczała.

– No? – zapytała Krisztina.

– Co „no”?

– Zaproponował ci spotkanie? – Nie.

– Myślisz, że zaproponuje?

– Nie wiem.

- Wydawał się zainteresowany? – pytała Krisztina cierpliwie.
- Chyba. – Ella zachichotała. – Zgolił dla mnie wąsy.
- Co powiedziałeś? – zapytała matka. – Przez te trzaski na linii nie dosłyszałam.
- Dosłyszałaś.
- Ella, dlaczego zgolił wąsy?
- Powiedziałam mu, że wąsów nie cierpię.
- Naprawdę? To do ciebie niepodobne.
- Naprawdę.
- I zgolił je, tak od razu, tak po prostu?
- Pomiędzy aukcją a kolacją. – Ella...
- Słucham, *maman*.

– On jest tobą zainteresowany.

Ledwie Ella się zdrzemnęła, zbudził ją dzwonek telefonu. Szybko sięgnęła po słuchawkę.

– Oui?

– Przestań marzyć o Persji, zacznij myśleć o mnie. Szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Kto mówi?

– I przestań się mizdrzyć. Ilu kawalerów usychających z miłości dzwoni do ciebie o trzeciej nad ranem?

– Zbyt wielu, żeby ich policzyć.

– Bujda na resorach.

– Zakochani kawalerowie nie mówią tak brzydko, Harry.

– Akurat!

– Harry Bogarde, czego chcesz o trzeciej nad ranem?

– Wiedzieć, czy zjesz ze mną śniadanie.

– Śniadanie? – powtórzyła zaskoczona.

– We Francji ludzie się nie spotykają, żeby zjeść śniadanie?

– Francja jest krajem cywilizowanym.

– Chcę umówić się na dziewiątą, nie na szóstą.

– Niech będzie dziesiąta, to się nad tym zastanowię.

– Powiedzmy, żebyś zdążył się znów ogolić, kwadrans po dziesiątej.

– Gdzie? Tutaj?

– W Plaža, tam jest bardziej romantycznie. Wkroczyliśmy do Sali Edwardiańskiej ramię w ramię i będę mógł sobie wyobrazić, że spędziliśmy razem tę noc.

– Harry!

– Czy facet nie może pomarzyć?

Na śniadanie zjedli jajka na bekonie i bulki, wypili kawę, a potem udali się do Central Parku, gdzie spacerowali przez dwie godziny, odrzucając kopniakami mokre liście, oglądali zwierzęta w zoo i rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali. Stamtąd leniwie poszli do baru Sherry Netherland, w którym Bogarde został powitany nieomal owacyjnie.

– Krwawa Mańka? – zaproponował Elli.

– Nie mogę pić przed obiadem.

– Nawet szampana?

– Nigdy nie próbowałam.

– Temu się zaradzi. Dziewicza Mańka? – Odczekał i wyjaśnił po chwili. – To samo, tylko bez wódki.

– Wiem, co to jest – powiedziała. – Przecież prowadzę hotel.

– Trudno mi uwierzyć.

– Dlaczego?

– Z taką twarzą i z takimi włosami. – Popatrzył na nią w zadumie. – Wyglądasz jak skrzyżowanie anioła z diabłem. Czemu nie wyglądasz na bizneswoman?

– Bo nią nie jestem.

– Prowadzisz Grand Hotel du Chateau de Trouvere, jeden z najwspanialszych hoteli we Francji, więc jak, do licha, możesz nie być?

Potrząsnęła głową.

– Jestem *hôteliere*.

– A bo to jakaś różnica?

– Bardzo duża.

– Chciałbym cię widzieć w akcji.

Elli zrobiło się ciepło z radości.

– Może zobaczysz.

Obiad zjedli w „21”, podwieczorek znowu w Plaža na Palmowym Dziedzińcu i nastąpiła dwugodzinna przerwa, w czasie której Ella odwiedziła ojca, kupiła czarne jedwabne pończochy i pomadkę do ust w Berwit Teller, umyła głowę i przebrała się w karmazynową puszystą sukienkę, jak na złość swoim błyszczącym wściekle, elektryzującym płomiennym włosom.

Jeszcze makijaż, przepisowe maźnięcie perfumami Chama – de i przejrzała się w jednym z wielkich luster w sypialni.

– Merdel Bogarde powiedział, że ona ma w sobie trochę z diabła. Nagle zdała sobie sprawę, że podświadomie czy świadomie ubrała się w sam raz, żeby to podkreślić. Jej małe, krągłe piersi rysowały się powabnie pod obcisłym kaszmiem z angorą, nowa jaskrawa szminka sprawiła, że usta wydawały się pełniejsze i wprost krzykliwie zmysłowe, a w niebiesko-fioletowych oczach nieomal trzaskało radosne oczekiwanie.

Boże drogi, wyglądam jak ulicznica. On pomyśli, że zamierzam go uwieść!

W panice chwyciła bibułkę i starła tę pomadkę, ale usta nieumalowane raczej eksponowały, niż neutralizowały nowy wizerunek.

Bądź uczciwa, Ello Hunter, odezwało się w niej coś pogardliwie, nigdy nie wyglądałaś lepiej i szalenie się sobie podobasz.

Zadzwonił telefon.

– Jesteś gotowa?

– Nie! – zapięła gorączkowo.

– Mogę wjechać na górę?

– Nie!

– Dobrze. Będiesz za minutę czy za godzinę? Mam czekać tu w barze czy wrócić jutro?

Głęboko nabrała tchu.

– Już tak, już jestem gotowa. Zaraz będę na dole.

W jego głosie był uśmiech.

– Czekam z niecierpliwością.

Gdy zjechała na dół, stał przed drzwiami windy w odległości kilku kroków.

Wyraźnie osłupiał.

– O rany! – wyszeptał.

– Cześć. – Ku swemu przerażeniu nagle onieśmielona, przecież się ucieszyła, że zrobiła na nim takie wrażenie. Ocknął się i stanowczo ujął ją za rękę.

– Jestem w okropnej rozterce – powiedział.

– Jak to?

– Zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie, a teraz nie mogę się zdecydować, czy chcę się tobą popisać, czy zatrzymać cię dla siebie.

– Na jakie przyjęcie?

– W punktacji od jednego do dziesięciu, to co najmniej dziewiątka.

Oczy jej się zaiskrzyły. Nigdy dotąd nie miała tak wielkiej ochoty pójść na przyjęcie.

– Wolisz, żebyśmy poszli tylko na kolację? – zapytała grzecznie.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował.

– Wolę sprawić tobie przyjemność.

Ella nigdy dotąd nie znalazła się w takiej atmosferze.

Przyjęcie odbywało się w dwupoziomowym mieszkaniu w wieżowcu Dakota na Central Park West. Przeszli chyba przez tyle kontroli, ile ich jest przed niebezpiecznym lotem na Środkowy Wschód, ale gdy wreszcie wkroczyli w progi tego mieszkania, Ella zrozumiała, dlaczego.

To był luksusowy pałac, pełen bogactwa i dzieł sztuki, inny jednak niż Chateau de Trouvere – różnił się od jej zamku jak cytryna od cukru. Tu każdą ścianę w każdym pokoju na obu piętrach pomalował któryś z wielkich malarzy nowoczesnych. Przepychając się w tłumie gości, Ella wydawała ciche okrzyki zachwyty i wprost rzucała się na tynk, drewno i szkło nobilitowane przez takie znakomitości jak Chagall, Picasso, Dali i Warhol, na dwa kolaże Roberta Rauschenberga i na mobile Caldera.

– Co w razie pożaru? – zapytała przejęta. – Albo potopu? Albo gdyby kiedyś zburzyli ten wieżowiec?

– Czy martwisz się o Luwr, o Metropolitan? No i o de Trouvere? Podobno twój zamek aż pęka od *objects d'art*. Czy miewasz koszmarne sny o tym?

– Ciagle – odpowiedziała żarliwie.

– Biedulka – wyraził Bogarde współczucie i lekko pocałował ją w usta.

Mniej więcej w godzinę później, gdy Ella trochę już przywykła do ocierania się ramionami o

ramiona mężczyzn i kobiet, niesamowicie podobnych do Warrena Beatty i Dustina Hoffmana, Lauren Bacall i Faye Dunaway, usiedli na wielkich, pokrytych futrem pufach, włożyli śliniaki ze szkarłatnego plastiku i zaczęli jeść pieczone kleszcze homara.

– Niebiańskie. – Ella westchnęła. – Nigdy, nigdy nie byłam na przyjęciu, na którym można się upaćkać.

– Jak małemu dziecku – Bogarde uśmiechnął się – masło cieknie ci po podbródku.

– Podaj mi, proszę, gorący ręcznik – powiedziała. Ale ręcznik odłożyła. – Zjem jeszcze, więc po co już się wycierać. – Oczy jej się zaokrągliły. – Harry, czy ten, na którego patrzę, to rzeczywiście...

Bogarde spojrział.

– We własnej osobie. – Był rozbawiony. – Nigdy bym nie przypuszczał, że jesteś taką gwiazdomanką. Czy tak samo się ekscytujesz, kiedy sławy przyjeżdżają do de Trouvere?

– Naturalnie. – Wzruszyła ramionami. – Ale za nic bym tego nie okazała. – Oblizła palce. – Teraz daj mi ręcznik.

Łomot muzyki disco doleciał z sąsiedniego pokoju i oboje zaczęli wybijać rytm nogami.

– Tańczysz? – zapytała.

– Też mi pytanie! Myślisz, że jestem za stary?

– Nie wiem, ile masz lat.

– Trzydzieści pięć.

– Czy starsi panowie lubią tańczyć?

Muzyka nabierała coraz szybszego tempa, przechodząc od zdrowych rytmów lat sześćdziesiątych do rock'n'rolla pięćdziesiątych, a Ella, jak zwykle przy takich okazjach, tańczyła szaleńczo i niezamordowanie. Ziajany Bogarde, gdy Presleya nagle zastąpił Charles Aznavour, przyciągnął ją do siebie z wielkim westchnieniem ulgi.

– Chwała niebiosom, już myślałem, że to mnie dobije. – Wziął ją w objęcia i tańczyli spleceni, chwając się lekko, poddając się rozmarzeniu instrumentów smyczkowych i tego niezwykle francuskiego głosu.

A potem też nagle to się skończyło i muzyka wrzuciła ich bezlitośnie w lata siedemdziesiąte, aż w końcu oboje znieruchomieli. Prawie już nie wiedzieli, gdzie są, ale ponad wszystko zapragnęli być gdzie indziej.

– Chodź! – powiedział Bogarde, pociągając ją za rękę.

– Dokąd?

– Stąd.

– Dobrze.

Na ulicy czuła, jak on patrzy na nią, chociaż jego oczu nie widziała w mroku.

– Gdyby było lato, zawiózłbym cię na plażę. Gdyby była zima, porwałbym cię do chaty z bali gdzieś w górach. Ale jest listopad, więc mogę ci zaproponować tylko mieszkanie z drwami w kominku i jeden z najwspanialszych na świecie widoków wielkiego miasta.

– To brzmi doskonale.

– Dzięki Bogu. – Na sekundę Bogarde zamknął oczy. – Teraz wiem, że jestem najszcześniejszym draniem w Ameryce.

Dopiero w tej sekundzie, widząc radość na jego twarzy, pojęła, że już się zgodziła.

Odszedł od niej, żeby przywołać taksówkę, i przez chwilę nie posiadała się z niepokoju. Rozważała, czy jakoś się wymówić, czy po prostu uciec. Ale gdy wrócił i lekko dotykając jej pleców, skierował ją do poobijanej taksówki, lęk prawie minął. Pragnęła być z Harrym – i tylko drżały jej dziwnie kolana.

Widok był wspaniały. Czekając na Harry'ego, który miał otworzyć szampana, Ella stała na szerokim tarasie zapatrzona w miliony świateł. Ni stąd, ni zowąd, pomyślała o innym widoku, tamtym sprzed dwóch dni w górach.

– Grosik za twoje myśli.

Bogarde przyniósł dwa parujące fajansowe kubki.

– Chyba to nie szampan?

Podał jej kubek.

– Kakao?

– A cóż innego rozsądny mężczyzna i rozsądna kobieta piją o tej porze?

– A więc tak?

– Nie bądź podejrzliwa. Ja przyrządzam kakao nadzwyczajnie. Miałem bonę Angielkę, wiesz?

– Ja także. Kakao panny Herrick było upiorne.

– Bo prawdopodobnie bez mojej magicznej przyprawy.

Ella powąchała, po czym skostatowała:

– Koniak?

– Napoleon. Plus czekolada Sucharda, ale czuję się cnotliwszy, kiedy mówię, że to kakao.

– Oszust.

Patrzył, jak wiatr targa jej włosy.

– Wejźmy już. Rozpaliłem ogień.

Zamknął drzwi balkonowe i postawił swój kubek na marmurowym stoliku.

– Teraz moglibyśmy przypiekać kasztany...

– Albo ślaz.

– Wypij swoją czekoladę.

– Nie mam ochoty.

Odczekał.

– A na co masz ochotę?

Poczuła żar rumieńców i w duchu się skłęła.

– *Viens* – powiedział, biorąc ją za rękę.

– Dokąd teraz?

Poprowadził ją z kwadratowego holu korytarzem do pokoju. Dopiero po paru sekundach pojęła, że to jest jego sypialnia. W alkowie stało ogromne łóżko, nakryte popielatą atlasową kapą.

– Napijesz się koniaku? – Pociągnął ją na dużą miękką kanapę naprzeciw kominka, w którym już palił się ogień.

– Nie z czekoladą?

– Na pewno. – Otworzył piękny lakierowany barek i wziął butelkę Delamain. – Kakao było tylko po to, żebyś się uśmiechnęła.

Ella usiadła na kanapie.

– Rzeczywiście, sprawiasz, że się uśmiecham.

– To miło – nalał koniak do dwóch kieliszków. – Jak poza tym działam na ciebie?

Takie pytanie z ust innego mężczyzny strasznie by ją zakłopotало i w innej męskiej sypialni czułaby się nieswojo, ale z Harrym wszystko wydawało się naturalne – on zapytał po prostu ciekaw, co ona do niego czuje.

Trzymała kieliszek w stulonych dłoniach.

– Właściwie, Harry, nie bardzo wiem, jak na mnie działasz – zaczęła swobodnie, szczerze. – Wiem tylko, że w ciągu ostatniej doby spędziłam z tobą mnóstwo czasu i że już jest po północy, a ja nadal nie chcę się z tobą rozstać.

– Przecież nie musisz – powiedział, siadając przy niej.

Przez parę minut patrzyli w płomienie i popijali koniak.

Stopniowo udzieliło jej się jakieś nowe napięcie, emanujące od Bogarde'a.

– Postaw kieliszek – powiedział cicho.

Zaskoczona, postawiła kieliszek na podłodze i spojrzała na niego wyczekująco.

– Ella, dezorientujesz mnie.

– Dlaczego?

– Kiedy na ciebie patrzę i widzę jedną z naj śliczniej szych młodych kobiet, jakie w życiu spotkałem... a możesz mi wierzyć, spotkałem ich niemało... – Oczy jego jarzyły się niebiesko. – Kiedy widzę coś zadziwiającego, prawie kociego... niewiarygodną gibkość, skórę prawie przezroczystą, to ciało żywe, ciepłe, zmysłowe, chcę wrzasnąć i cię dotykać.. – urwał. Zaciśnął usta.

Ella zamknęła oczy, nagle słaba, zdumiona tym, że ochrypłość jego głosu wywołuje w niej dziwne rozedrganie.

– Ale jednocześnie – mówił dalej – widzę w tobie czystość, taką ufną niewinność... że cała ta prawdziwa żądza, jaką czułem, kiedyśmy tańczyli i potem w taksówce, wydaje się raczej niewczesna... jeżeli wiesz, o czym mówię.

– Nie – powiedziała Ella cicho, ale wyraźnie – nie wiem.

– To dlatego, że nie możesz siebie widzieć.

– Ja widzę ciebie, Harry.

Nic nie powiedział.

Rozedrganie nie ustawało, przydawało jej dziwnej emocjonalnej siły, pobudzając jak znakomite wino.

– Widzę pięknego, wysokiego, mocnego mężczyznę – podjęła – o jasnych włosach i elektrycznie niebieskich oczach, z cudownymi zmarszczkami. Ale ten mężczyzna, nawet gdyby był brzydki, chyba wydawałby się piękny, bo ma osobowość i wprost bezczelny wdzięk.

Bogarde wpatrywał się w nią oniemiały.

Głęboko wciągnęła oddech.

– Widzę też mężczyznę nagle przerażonego tym, że ma u siebie córkę przyjaciela...

– Nie chodzi o Williama, naprawdę.

– Więc może o to, że jestem dziewczcą?

– Jesteś? – zapytał z bojaźnią.

– Tak, jestem – powiedziała zapalczywie i zdumiała się w głębi ducha, gdzie, na Boga, ulotniły się jej zahamowania? – Ale jestem dziewczcą, bo tak wolałam, bo aż do teraz nie spotkałam

mężczyzny, któremu chciałabym się oddać. Więc nie ma co robić z tego wielkiej sprawy. – Dysząc, zastopowała, jak samochód z piskiem opon zatrzymujący się raptownie, gdy już przejechał przy czerwonym świetle.

– Aż do teraz – powtórzył Bogarde.

– Co? – Po swojej brawurowej deklaracji znów się zaczerwieniła. Zapra gnęła zapaść się w ziemię, zniknąć pod tym kudłatym dywanem u ich stóp.

– Mówisz, że aż do teraz nie spotkałaś mężczyzny, któremu chciałabyś się oddać – nastawał Bogarde.

Przełknęła ślinę.

– Nie chciałam.

– A teraz chcesz?

Przytaknęła niemo.

– Alleluja – powiedział i wziął ją w objęcia.

Usta ich zetknęły się, ocierając wargami najpierw zamknięte, potem rozchylone, potem otwarte ochoczo, gdy ruchliwe języki badały. Ella czuła, jak miła gorączka ogarnia jej szyję i rozgrzewa całą do palców nóg.

Bogarde odsunął się, trochę zdyszany, i wstał, podnosząc ją ze sobą. Powoli poprowadził ją do łóżka, ściągnął atlasową kapę na podłogę.

– Ella? – szepnął pytająco.

Przytaknęła bez słowa.

Odwrócił ją, rozpiął ekler sukienki z puszystej wełny, cieplej od jej skóry, przesunął dłońmi po jej prostych barkach, jedwabście gładkich przedramionach. Głaskał ją, dłonie sunęły na brzuch, pępek i poniżej za morelowy, koronkowy pasek do podwiązek ku maleńkim jedwabnym majteczkom...

Ella zdrętwiała. Jak gdyby rzuciło ją w przeszłość, w dzieciństwo, w tamto popołudnie, które zapoczątkowało tyle koszmarnych snów.

Harry wyczuł jej lęk, zmianę nastroju, więc przestał ją pieścić.

– Ella?

Nie mogła mówić.

– Ella, co takiego?

Wyraźnie był przejęty – to zatroskanie w jego oczach niezwykłych, serdecznych, ciepło-niebieskich. Zawrócił ją do terażniejszości. Tamto umarło. Zatarło się skojarzenie z tamtymi rękami na jej brzuchu, z tamtymi ciekawymi, napastliwymi palcami... Teraz było inaczej, wreszcie. Teraz był Harry Bogarde i dotknięcia jego rąk chciała...

Wyciągnęła ręce do niego, objęła go, witając, westchnęła z ulgą i zadowoleniem. Rozpiął jej stanik i tylko na ułamek sekundy zeszytniała znowu, zanim się przytuliła do jego piersi będącej opoką i schronieniem.

– Chcę cię widzieć – szepnął i gdy o krok się cofnęła, patrzył zadziwiony na nią, zbudowaną jeszcze piękniej, niż sobie wyobrażał. Piersi małe, ale krągłe i znakomite, kobieta z marzeń poety, malarza, rzeźbiarza – aż jęknął w radosnym oczekiwaniu. Zdjął koszulę i spodnie i twardy jak żelazo został w szortach. Stanął przed nią i, zdawałoby się, też dziewiczy, odwlekał obnażenie się ostateczne i nieodwołalne.

– Pójdiesz ze mną do łóżka? – zapytał błagalnie głosem drżącym z pożądania.

– Tak, proszę – wyszeptała Ella wpatrzona w niego. Był szczupły, muskularny jak atleta, sprężysty, bez odrobiny zbyt ciężkiej tkanki.

Jest piękny, pomyślała. Położyli się na tym wielkim łóżku i Harry narzucił na nią i na siebie śnieżną puchową kołdrę, zanim ściągnął z niej figi i sam się obnażył. Ogarnęło ją uniesienie, jak gdyby była młodym ptakiem, wzlatającym po raz pierwszy w przestworza. Łzy szczęścia napłynęły jej do oczu.

– Dobrze, Ella?

Przytaknęła niemo i musnęła go ustami w czoło. A potem już niepoohamowanie całowała go w policzki i prosty nos, i w powieki, i w potargane jasne włosy, i w zmarszczki, które biegły od nozdrzy do kącików ust...

Bogarde ruszył się, dłużej nie mógł się powstrzymać. Pieścił Ellę całym sobą, palcami i dłońmi, i ustami, i nawet stopami, całował, lizał, łaskotał, głaskał i sondował, przy czym nie było to budzeniem jej ciała, bo ono natychmiast wstrząsająco się ożywiło – bo Ella sercem już uległa, wszystkie wątpliwości odpędziła, chciała, żeby on poznał i miał jej ciało.

Zatopił palce w płomiennych włosach łonowych. Doprowadzona do szału pragnienia, zaczęła się trząść, gdy dotykał jej sprężonej lechtaczki, i prawie nie wiedziała, że jęczy i rozchyła uda coraz szerzej, niecierpliwie otwiera się przed nim.

– Zaczekaj – powiedział nagle.

Otworzyła oczy, zobaczyła jego twarz, wyraz prawie bolesnego rozdrażnienia i on już się oddalał...

– Nie! Zostań – błagała, przytrzymując go. Całkowicie dla niego gotowa, czuła, że nie można zmarnować takiej chwili.

– Muszę czegoś użyć – mruknął.

Natychmiast zrozumiała, pełna ulgi i wdzięczności.

Wrócił i pocałował ją w usta namiętnie i zarazem czule, wzruszony, zachwycony jej skwapliwością. Znowu zawładnęło nimi pożądanie. Ona na wznak leżała pod nim i potem on był w niej, penetrował, brał ją na własność i to bolało, ale ból nic nie znaczył, tak wielkie było szczęście tej absolutnej bliskości. Poruszała się z nim, kołysała się, aż ból ustąpił i były niezliczone inne doznania. Wiedziała, że wykrzykuje: „Harry! Harry!” i że on powtarza raz po raz rozpaczliwie, szaleńczo, że kocha ją i że chce ją mieć już zawsze, zawsze...

Spali w swoich objęciach do świtu i znowu się kochali, a potem drzemali do śniadania, które Harry sam zrobił i przyniósł na tacy z owym obiecany szampanem. Jedli *croissantes* i chociaż zanurzali je w Dom Perignon, kołdra była upstrzona okruchami. Zrzucili tacę na podłogę i znowu już to kochali się, już to drzemali do południa, dopóki Harry sobie nie przypomniał, że ma umówione spotkanie. Wstał, chwiejnie, ze znużeniem, ubrał się i wyszedł, a Ella spała smacznie w jego łóżku do czwartej po południu.

– Jesteś jakaś zmęczona – zauważył ojciec, gdy wstąpiła do Domu Huntera o szóstej.

– Naprawdę?

Bębnił palcami po bibularzu na biurku.

– Jak się miewa Harry?

– Chyba nieźle.

- Domyślam się, że trochę go polubiłaś.
 - Trochę. – Po chwili zapytała: – Papa dziś wieczorem zajęty?
 - Niestety, tak.
 - To ja pojedę już z powrotem do Rhinebeck.
- Uśmiechnął się.
- Masz dosyć miasta?
 - Niezupełnie. Tylko jakoś mnie tam ciągnie.
 - Harry wie, że wyjeżdżasz?
 - Jeszcze nie wie.
 - Powiesz mu?
 - Nie jestem pewna.
 - Rozumiem.
 - Rozumiesz, papo?
 - Tak mi się zdaje. – Ojciec wstał, wyszedł zza biurka i mocno ją uściskał.
 - Szczęśliwej drogi.
 - Nie martw się o mnie.

Uniósł jej podbródek i spojrzał w oczy.

- Wcale się nie martwię.

Przyjechała o dziewiątej wieczorem. Alice i Tytus, radośnie merdający ogonem, powitali ją w drzwiach frontowych.

- Nie ma Janusa?
- Jest z wizytą u Wenus i szczeniaków.
- Jemu to dobrze.
- Głodna?
- Coś bym zjadła.
- Omlet wystarczy?

Cmoknęła się w czubki palców.

– Parfait! Nie chcąc się sobie przyznać, że czeka na telefon, siedziała do północy, a potem apatycznie położyła się spać z książką.

Obudził ją warkot silnika, w okno błysnęły reflektory i zgasły. Silnik ucichł.

Wykoziółkowała z łóżka, wyjrzała przez okno w ciemność, zobaczyła sylwetkę mężczyzny, który wysiadał z długiego, sportowego samochodu. Jego włosy złościście załśniły w księżycowej poświacie, zanim zniknął w cieniach ganku i zadzwonił do drzwi frontowych.

Pisnęła z radości. Zapaliła światło, gorączkowo szukała szczotki do włosów, gdy psy zaczęły szczekać i drzwi sypialni Alice otworzyły się z trzaskiem.

- W porządku, Alice! – zawołała, wybiegając w pizamie na podest.
- Jest druga w nocy!
- To do mnie... przepraszam!
- Na pewno do ciebie?
- Jak najbardziej.

Dzwonek jeszcze rozbrzmiewał, gdy zbiegała po schodach na dół.

- Przestań! Obudzisz wszystkich sąsiadów!

Drżącymi palcami odciągnęła zasuwy i otworzyła drzwi na oścież.

Harry stał na słomiance, ponury.

– Sąsiadów tu nie ma – stwierdził kategorycznie.

– Zakłócasz spokój!

– Kicham na spokój.

– Dlaczego przedtem nie telefonowałeś?

– Dlaczego ty nie telefonowałaś?

– Nie wiedziałam, gdzie cię zastać – odpowiedziała.

– Trele-morele.

– No... nie wiedziałam. – Jąkała się.

– Mogłaś zostawić kartkę. Hotelarki umieją pisać, prawda?

– W czterech językach. – Drżała z zimna. – Może byś jednak wszedł.

– Jeżeli jesteś pewna, że nie masz nic przeciwko temu.

– Szkoda, że ty nie masz.

W saloniku spojrział na nią spode łba.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Nie bardzo wiem. Chyba chciałam być zagadkowa.

– Bzdura.

– Nie wiem, Harry, dlaczego. Proszę, już się na mnie nie gniewaj.

Zmrużył oczy.

– Chciałaś mnie wypróbować?

– Wypróbować?

– Chciałaś sprawdzić, ile dla mnie znaczysz.

– Chciałam tylko wydostać się z miasta.

– Chciałaś czy nie chciałaś, żebym przyjechał tu za tobą?

– Chciałam.

– No i co teraz?

Postarała się uśmiechnąć.

– Pójdziemy znowu do łóżka?

– Nie jechałem tu taki szmat drogi, żeby się z tobą kochać – powiedział dobitnie.

– Och! – Była wyraźnie rozczarowana.

Westchnął.

– Mam za swoje, za zdeflorowanie dwudziestoczteroletniej dziewczyny. Chytrej, bezwstydnej, zuchwałej cwaniary.

– Taka ja jestem? – zapytała zdumiona.

– Najwyraźniej.

– Dziękuję.

– To nie miał być komplement.

– Niemniej jednak, czy możemy pójść do łóżka? – zapytała przymilnie. – Spać mi się chce i już zmarzłam tu na dole.

– W niebieskiej jedwabnej piżamie. – Patrzył na nią z uznaniem.

– Podoba ci się?

– Bardzo cnotliwa.

– To model, który ma być perwersyjny. – Zobaczyła, że on spogląda na zegarek. – Zostajesz, prawda? – zapytała niespokojnie.

– Może mam coś lepszego do roboty, niż obijać się na wsi?

– Mówiłeś, że lubisz wieś.

Przyglądał jej się w zamyśleniu.

– Powiniennem położyć cię na kolanie i zdrowo, staroświecko, po wiejsku, dać ci w skórę.

– Ośmiel się!

– Och, jeszcze jak się ośmielę.

– Poszczuję cię psami.

– Śmiertelnie się boję. – Popatrzył na Tytusa rozciągniętego przy kominku, strzygącego uszami, walącego w podłogę ogonem.

– Za domem jest sześć irlandzkich wilczarzy.

– Mówiłaś mi o nich... cztery szczeniaczki i ich łagodni, olbrzymi rodzice.

– Przecież i tak byś mnie nie zbił, prawda? – Zaczęła się przymilać, podchodząc do niego.

– Mógłbym.

– Wolę, żebyś zrobił coś innego. – Delikatnie, ale stanowczo zabrała mu kluczyki do samochodu i przyciągnęła jego dłonie do piersi.

Zamknął oczy.

– Uch! – jęknął.

– Powiedziałeś, że jestem zuchwała cwaniara – uśmiechnęła się zachwycona skutkiem, jaki osiągnęła. – Staram się do tego dorastać.

– Udaje ci się.

– To dobrze – zamruczała. – Chodź już do łóżka.

Harry dogadał się z Alice znakomicie. Po śniadaniu, gdy Alice pakowała dla nich piknikowy obiad, Ella zabrała go na spacer po dużym ogrodzie za domem, a potem do psiarni.

– Więc dokąd dziś jedziemy? – zapytał, tarmosząc kudłate uszy Wenus.

– Chcę ci pokazać coś specjalnego.

– Co?

– Zobaczysz. – Ella się zawahała. – Coś, czym chciałabym podzielić się z tobą.

Wiedziała, odjeżdżając z Pine Orchard przed czterema dniami, że magnes tych okolic przyciągnie ją tam z powrotem.

– Co w tym jest? – zapytała, gdy z Harrym pod rękę stanęła na górze i patrzyła w dół. – Widziałam mnóstwo cudownych krajobrazów przedtem...

Harry potrząsnął głową.

– Niewiele takich jak ten – powiedział miękko. – Ten jest specjalny, miałaś rację.

– Ale nie tylko malowniczy. – Usiłowała znaleźć właściwe określenia. – Czy wiesz, Harry, co to jest *camera obscura*?

– Po łacinie ciemnia i jakaś praprababka fotografii.

– Kiedyś widziałam coś takiego ze szczytu wzgórza. Jak gdyby *camera obscura* uchwyciła cały okoliczny obszar i jego obraz odbijał się na jakimś półmisku. To wyglądało jak wielka mapa, z tą różnicą, że żyło. Patrząc uważniej, widziało się i samochody, i maleńkich ludzików, i zwierzęta jak

punkciki, ich codzienne życie, toczące się w niewiedzy, że ktoś na to patrzy. Dziwne wrażenie... *puissant...* potężne.

– I tak właśnie czujesz się tutaj?

– Trochę tak.

– Prawdopodobnie dlatego w tym górskim hotelu bywało tyle bogatych, ustosunkowanych ludzi. Im musiało się podobać to wrażenie, czuli się tu dobrze.

– Mnie tu smutno – powiedziała Ella.

– Smutno?

– Bo ten hotel zniknął bez śladu.

Z chmur, które zagrażały od przedpołudnia, zaczął padać deszcz dużymi, krągłymi kroplami.

– Chodź – powiedział Harry. – Wracajmy do samochodu.

– Jeszcze chcę zobaczyć wodospad Kaaterskill... podobno wyższy niż Niagara.

– Zmokniemy.

– Co ty jesteś: człowiek czy mysz? – zadrwiła Ella.

– Nowojorczyk z pięknym suchym aston martinem tylko czekającym, żeby do niego wsiąść.

– Harry, może już nigdy nie przyjadę tu znowu... Wracaj do swojego aston martina, zobaczę ten wodospad sama.

Bogarde ciężko westchnął.

– William mi mówił, że Krisztina potrafi być uparta. Widać ty to odziedziczyłaś.

Poszli drogą, która, prowadząc do wodospadu, zmieniała się w ścieżkę. Ella potknęła się i wpadła na Bogarde'a.

– Pocałuj mnie – powiedział ochryple.

Pocałunek trwał długo, krople deszczu padały coraz większe, aż włosy im zmokły, ścieżka zanikała w błocie, gdy oderwali się od siebie, żeby odetchnąć. Bogarde ujął Ellę za ramiona i żarliwie popatrzył jej w oczy.

– Wyjdź za mnie.

– *Quoi?* – Była zaskoczona.

– Słyszałaś.

– Chcesz się ze mną ożenić?

– Chcę.

– Ale dopiero co się poznaliśmy.

Spojrzał na zegarek.

– Poznaliśmy się prawie sześćdziesiąt godzin temu. – Spojrzał na nią. – Wyjdiesz za mnie, Ella?

Nie wiedziała, czy ma w oczach deszcz, czy łzy. Wpatrywała się w niego po prostu z uwielbieniem.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie możesz? – Jego oczy stały się jeszcze elektrycznej niebieskie. – Patrzysz na mnie tak, jakbyś...

– Jakbym co?

– Jakbyś... jak gdybyś mnie kochała...

– Kocham cię.

– No więc? – Był bardzo spięty. – Nie chcesz wyjść za mnie?
– Chcę. O Boże, chcę.
– Więc dlaczego nie możesz?
– Dlatego, że mieszkam we Francji. – I to wszystko?
– Czy to nie decydujące? – zapytała.
– Oczywiście że nie. – Śmiał się pełen ulgi. – Możesz się przenieść. Ludzie się przenoszą, wiesz?

– Ja nie.
– Dlaczego?
– Bo moje miejsce jest tam.
– Twoja matka się przeniosła.
– To prawda.
– No więc? – zapytał znowu.
– Nie gniewaj się na mnie, Harry – poprosiła.
– Nie gniewam się, tylko nie rozumiem. Pogłaskała go po twarzy.
– Jesteś Amerykaninem, *n'est-cepas?*
– Więc?
– Zamieszkałbyś w Alzacji?
– Mógłbym.

Potrząsnęła głową, jej przemoczone włosy przywierały do twarzy.

– Nie, nie zamieszkałbyś.
– Mam domy wszędzie. Mogę mieć jeszcze jeden.
– Gdzie są te domy?
– Na Long Island, na Manhattanie, w Chicago i w San Francisco.
– Wszystkie w Ameryce. Zaczął inaczej.
– Sądząc z tego, co mi mówiłaś w parku przedwczoraj, niezupełnie bajkowo jest w krainie de Trouvere.

– Niezupełnie – przyznała.
– Więc proponuję ci alternatywę.
– A jeżeli ja nie chcę alternatywy?
– Może chcesz, tylko jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy.
– Nie myśl, że wiesz o mnie wszystko, Harry – powiedziała lekceważąco.
Puścił ją i zawiedziony przesunął dłonią po swych mokrych włosach.
– Po prostu nie rozumiem – powiedział znów.

Złagodniała.

– Bo nie możesz mnie zrozumieć.
– Jak to?
– Ani trochę, dopóki nie zobaczysz de Trouvere.
– Nie zbywaj tak tych ostatnich trzech dni, Ella.
– Jak mogłabym?... To najcudowniejsze dni w moim całym życiu.
– Więc nie odmawiaj.
– Harry, ja...

– Powiedz, że się zastanowisz.

Milczała.

– Proszę! – Głos miał zdesperowany, oczy błagalne. – Mam trzydzieści pięć lat, Ella, i nigdy dotąd nie spotkałem kobiety, z którą chciałbym się ożenić. – Umilkł. – Tylko mi powiedz, że się zastanowisz.

Bezradnie potrząsnęła głową.

– Niemożliwe, żeby nie myślała o tym.

– Dzięki Bogu, że przynajmniej o tym pomyślisz.

Tydzień później Ella odleciała do Francji bezdennie smutna.

W de Trouvere Krisztina powitała ją w recepcji.

– Niech ci się przypatrzę.

– Cześć, *maman*.

– Oczy masz czerwone, makijaż w smugach, ale pomimo to wyglądasz cudownie.

– Ty także, *maman*. – To była prawda. Matka wprost jaśniała w szarym kostiumie od Balmaina.

– Buszowałeś po sklepach?

– Tylko dwa dni. Chyba nie myślałeś, że kiedy jestem tak blisko Paryża, nie zrobię sobie tej przyjemności.

– No chyba.

– Chodź, *cherie*, usiądziemy. – Krisztina wzięła Ellę pod rękę. – Najpierw opowiesz mi wszystko o ojcu, a potem wyjaśnisz, dlaczego to, że zakochałeś się w Harrym Bogarde, wyciskało ci łzy z oczu przez całą drogę nad Atlantykiem.

Potem Krisztina pogłaskała Ellę po włosach.

– Myślisz, że on przyjedzie?

– Tak – Ella się zawahała. – Mam nadzieję.

– Może powinnaś przyjąć jego oświadczyny? To porządny człowiek.

– Wiem, *maman*. Ale jakżebyś mogła? Nie chcę zrezygnować z de Trouvere.

– Może powinnaś?

Po długiej chwili Elfa zapytała:

– Gdzie jest Ollie?

– Gdzieś tam. Nie wiem. Po moim przyjeździe pewnie doszedł do wniosku, że dla nas dwojga razem tu za ciasno.

– Pracuje?

– Niewiele.

Ella osunęła się głębiej w fotel.

– *Maman*, co ja mam zrobić?

– Z bratem czy z de Trouvere? Czy z Harrym?

– Z jednym, drugim i trzecim.

– Więc zacznij od trzeciego, *cherie*. Powiedz... wolałabyś, żebyście się w ogóle nie spotkali?

– Nie!

Krisztina się uśmiechnęła.

– Chociaż podjęcie decyzji w prawo czy w lewo rozerwie cię na strzępy, którą stronę wybierasz?

Ella odpowiedziała dopiero po długiej chwili.

– Poznanie Harry’ego jest najwspanialszym moim przeżyciem.

– Więc nie daj mu odejść, *dragam*. Nie zdławiaj takich uczuć. – Krisztina patrzyła na nią z powagą. – Ja ich kiedyś doznałam i nie miałam wyboru, musiałam je odsunąć i wyszłam za niewłaściwego mężczyznę.

– Ale potem spotkałaś papę.

– Nie każda kobieta ma tak wielkie szczęście, Ella.

– Myślisz, *maman*, że Harry jest dla mnie tym właściwym?

Krisztina się roześmiała.

– Nie obarczaj mnie tym, *chérie*. Twój ojciec i ja znamy Harry’ego Bogarde’a od paru lat. Bardzo go lubimy... bo honorowy, wielkoduszny, dobry i sympatyczny – odrzekła. – A czy właściwy dla Elli Hunter, ty musisz wiedzieć.

– Ale nawet jeżeli właściwy, jak mogę zrezygnować z tego hotelu, mojego domu?

– Sęk w tym, Ella – powiedziała Krisztina powoli – że to nie jest całkowicie twój dom...

Ella się zdumiała.

– Mówisz o Olliem, *maman*?

– Tak, mówię o Olliem. Ta posiadłość nazywa się de Trouvere. To jego nazwisko, nie twoje.

– Ale jesteśmy rodzeństwem.

– Przyrodnim. Zasadnicza różnica... zwłaszcza że ty nazywasz się Hunter – powiedziała Krisztina łagodnie. – Olivier kocha cię jak nikogo innego na świecie, Ella. Tego bym nie kwestionowała nawet przez sekundę, ale on ma za mało dla ciebie szacunku.

– Uważam, że nie.

– On cię wykorzystuje, *cherie*. Manipuluje tobą.

– Mną nie tak łatwo manipulować – wysunęła kontrargument Ella.

– Na ogół niełatwo... wszyscy jednak mamy swoje słabe punkty.

– On się zdaje na mnie, *maman*, tak bardzo. Nie jesteś tutaj stale... nie widzisz, jaki bywa czasami zagubiony.

– Niewątpliwie polega na tobie, bo nie jest głupi. Mój syn może jest szalony, arogancki i głęboko nieszczęśliwy, ale do tych wad nie dochodzi głupota.

– Określasz go tak strasznie.

– Jestem jego matką – powiedziała ze smutkiem Krisztina. – Nie twierdę, że on jest straszny, Ella, ale widzę jego błędy wyraźniej niż wszyscy inni. – Ujęła Ellę za rękę. – Niezliczone są różnice pomiędzy tobą a Olivierem, kochanie, ale jedna jest diametralna. Ty mogłabyś żyć z dala od de Trouvere i nadal być w pełni sobą, nadal być szczęśliwa... może nawet szczęśliwa jak nigdy dotąd. A Olivier by nie mógł, on wierzy, że stanowi z de Trouvere jedność i tym samym, że zamek i ta ziemia są mu niezbędne do życia.

– Ale jeżeli ja go opuszczę... obawiam się, że on zniszczy de Trouvere i siebie także.

– Ojciec Oliviera zniszczył siebie i, niestety, są oznaki tego – dziedzictwa. – Na twarzy Krisztiny malował się ból. – Może nieprędko, ale Olivier też się zniszczy, przy tobie czy nie przy tobie. – Po długiej chwili Krisztina powiedziała: – Może to kismet wprowadził Harry’ego w twoje życie właśnie teraz.

– Nie chcę, żeby Harry był dla mnie klapą bezpieczeństwa, *maman*.

– Nie, oczywiście że nie... to byłaby katastrofalna podstawa związku małżeńskiego. – Krisztina przyjrzała się córce. – Myślę jednak, że to nie ma nic do rzeczy, bo zakochałaś się w Harrym, prawda?

– Chyba tak.

– Wiem, jak nikt, czym dla ciebie jest de Trouvere – ciągnęła. – Czujesz, że ma własną siłę życia, że jest placówką naszej rodziny... że odjazdem stąd może być zdradziła rodzinę, nie tylko Oliviera.

Ella przytaknęła.

– Szczególnie *grandmaman*.

– Mylisz się. *Bellemere* i ja czułyśmy to samo, a przecież wiedziałyśmy, że przyszedł czas, żebym ja wyjechała.

– Niektórzy ludzie całe życie przeżywają w jednym miejscu... pokolenia rodzin kolejno żyją i umierają w jednym domu – argumentowała Ella. – Mówisz, że to niesłuszne?

– Nigdy bym nie powiedziała czegoś takiego. Przeznaczenie wiązało Laurenta z de Trouvere i nie inaczej wiąże jego syna. Ale mnie moje przeznaczenie nie wiąże. Przynajmniej nie tak nierozzerwalnie. – Krisztina przenikliwie spojrzała Elli w oczy. – I twoje, myślę, że nie wiąże ciebie.

W czasie rozłąki Harry i Ella rozmawiali codziennie przez telefon i pisali do siebie długie listy pełne tęsknoty albo krótkie, romantyczne kartki. Ella zdołała Harry'ego przekonać, żeby przyleciał dopiero na Boże Narodzenie, bo po pierwsze:

w miarę zbliżania się nowego roku w de Trouvere panował coraz większy szal przygotowań, a po drugie: zwłoka dawała jej potrzebny czas do namysłu.

Nie wcześniej niż na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem Ella zauważyła, że nie miała okresu. W hotelu było tyle gorączkowej pracy, a ten wypad do Ameryki wytrącił ją z normalnego trybu, więc w ogóle nie przyszło jej to na myśl, dopóki nie zaczęły się mdłości.

Najpierw ogarnęło ją przerażenie.

Potem się biedziła. Jak mogło to się stać pomimo użycia prezerwatywy? Aż przypomniała sobie Rhinebeck – pierwszy raz tamtej pierwszej nocy – tamten jeden jedyny raz, gdy oboje zapomnieli, porwani nastrojem chwili...

A potem zadziwienie: dziecko Bogarde'a w jej łonie.

I podniecenie, i znowu panika, i żarliwie nieprzeparte pragnienie: zwierzyć się ze swojego sekretu.

Ale komu? Nie Harry'emu, bo nie będzie go przy niej jeszcze przez dwa tygodnie. Nie matce czy ojcu, którzy by zaraz się o nią martwili.

Gdyby Genevieve żyła... Był tylko Ollie.

Nie bardzo wiedziała, dlaczego mu to mówi, dlaczego myśli, że nadal może mu ufać po tylu przykrościach – ale on nadal jest jej bratem, czyż nie, cokolwiek by się działo...

Pojęła, że popełniła błąd, już w sekundzie, w której skończyła mówić.

– Nie wierzę – powiedział kategorycznie.

– To prawda.

– Ilu okresów nie miałaś?

– Jednego. Wystarczy. – I jakie objawy?

– Poranne mdłości... Ollie, jestem w ciąży.

Milczał przez długą chwilę. Potem nagle podniósł wzrok.

– Co zrobisz?

– Co zrobię?

– Żeby się pozbyć.

– Nie zamierzam się pozbywać.

– Chcesz je? – zapytał z niedowierzaniem.

– Oczywiście.

– Zwariowałaś.

– Nie. Wcale nie zwariowałam. Skrzywił usta.

– Moja siostra, ta świętoszka, moja niewinna mała Lalla wpadła jak najpospolitsza zdzira. To prawie śmieszne.

Ella szeroko otworzyła oczy.

– Żałuję, że ci powiedziałam.

– Mnie możesz ostatecznie powiedzieć wszystko. A ten ojciec? Czy wie?

– Jeszcze nie wie.

– Aha, gwiazdkowy prezent dla niego... *un joli cadeau*. Czy on się z tobą ożeni?

– Przecież wiesz, że mi się oświadczył.

– Tak, ale zanim zaszłaś. Oczy Elli zabłyśły.

– Pobierzemy się czy się nie pobierzemy, będę miała to dziecko.

– Świetna reklama dla hotelu.

– Mniej szkodliwa niż wiele twoich wyczynów.

– Nie wywyższaj się, Ella... już nie. Jesteś nie lepsza ode mnie i teraz to się okazało. – Pochylił się ku niej i pogłaskał ją po brzuchu. – I wkrótce wszyscy będą o tym wiedzieli.

– Żałuję, że ci powiedziałam – powtórzyła bliska płaczu. – Powinnam być mądrzejsza.

– Jeżeli się obawiasz mojej niedyskrecji, zapewniam cię, że nie rozgadam... Nie chcę naszej rodziny okrywać wstydem.

– Ty obłudniku! – Pokręciła głową. – Po tym, co wyprawiasz tutaj, w de Trouvere...

– To jest mój dom.

– Mój także.

– Sprawa sporna.

– Przepraszam, nie dosłyszałam.

– To nie jest dom twojego ojca.

– Na litość boską, Olivier!

– Przynajmniej nasza matka miała dość taktu, żeby stąd się wynieść, kiedy już dowiedziała się prawdy.

– Jakiej prawdy?

– O swoim pochodzeniu.

– I o twoich przodkach – wypomniała mu. Popatrzył jej w oczy z zimnym niesmakiem.

– Zbladłaś, Lalla. Może powinnaś się położyć? W ciąży nie należy ryzykować.

Majestatycznie wyszedł z pokoju. Ella przyłożyła rękę do policzka mokrego od łez.

Późno tej nocy, bezsennie leżąc w łóżku, usłyszała pukanie. – Tak?

Drzwi się otworzyły. W świetle padającym z holu stał Olivier.

– Odejdź – powiedziała.

– Lalla... – Wszedł i zamknął drzwi.

– Nie chcę z tobą rozmawiać.

– Proszę cię.

Zapaliła nocną lampkę i spojrzała na budzik.

– Dochodzi trzecia, Olivier. Czego, do licha, chcesz?

– Przebaczenia. – Podszedł. Oczy miał czerwone.

– Daj mi spokój.

Usiadł na brzegu łóżka i poczuła w jego oddechu whisky.

– Lalla, przepraszam... nie powinienem był powiedzieć tego, co powiedziałem.

– Masz zupełną rację.

– Nie myślałem tak. Byłem wstrząśnięty.

– Właśnie tak myślałeś.

– Nie! Kocham cię, wiesz o tym.

– Bardzo dziwnie to okazujesz.

– Nie bądź taka, Lalla, na miłość boską. – Spróbował wziąć ją za rękę, ale się zachnęła. – Naprawdę cię kocham... potrzebuję ciebie, wiesz o tym. Tylko ty się dla mnie liczysz.

– Jesteś pijany – powiedziała z obrzydzeniem. – Najpierw wytrzeźwiej, a potem mów, jak bardzo się przejmujesz.

– Lalla, proszę, błagam, wybac mi! – wykrzyknął, nieomal szlochając.

– Wyjdź z mojego pokoju.

– Lalla...

– Już!

Harry przyjechał w porze obiadowej w przededniu Wigilii. Miał trzy walizki, dwie z rzeczami osobistymi, trzecią pełną prezentów.

– Nie wszystkie są ode mnie, są dwa od twoich rodziców, jeden od Alice.

– Miło z jej strony. – Ella zajrzała do walizki. – Harry, tu jest co najmniej dwadzieścia paczek?

– Wszystkie dla ciebie.

– Wariat.

– Tylko zakochany.

– Ja nie miałam czasu, żeby coś ci kupić.

– Nie szkodzi... już mam to, czego chcę. – Przyciągnął ją do siebie i długo trzymał w objęciach.

– Boże, jak tęskniłem.

Ella zatelefonowała do rodziców z pytaniem, czy może skorzystać z ich ulubionego ustronia w północnym lesie, maleńkiego domku myśliwskiego, który William urządził dla żony w prezencie ślubnym dwadzieścia sześć lat temu.

– Nie wyobrażam sobie lepszego pomysłu – powiedziała matka po krótkiej rozmowie z ojcem.

– Nieraz mi żal, że tam bywamy tak rzadko.

– Czy na pewno oboje nie macie nic przeciwko temu?

– Oboje jesteśmy zachwyceni.

Ella się rozpromieniła.

– Ręczę, że mało którzy rodzice wypożyczają córce garsonierę...

– Ale też niewiele rodziców ma taką córkę – powiedziała Krisztina. – Pozdrów od nas Harry'ego i bawcie się dobrze.

– Dziękuję.

Utrzymywany pieczołowicie domek od dawna nie był używany, a jednak romantyczny nastrój, którym powitał Krisztinę w noc poślubną, jeszcze wibrował w powietrzu, jak gdyby zamknęły go te złociste sosnowe ściany i przez tyle lat miały w powiernictwie. Ella spędziła z Harrym dwie wspaniałe godziny popołudnia w błogim odosobnieniu, po czym musiała wrócić do swoich obowiązków. Ale kolację zjedli *a deux* przy tym stole Hepplewhite, chociaż dopiero o północy, bo wcześniej nie mogła się zwolnić.

Gdy w końcu już po trzeciej nad ranem zasnęli w oświetlonej luną ognia z kominka przytulnej sypialni, jeszcze nie powiedziała o dziecku. Postanowiła poczekać z tą wiadomością co najmniej dwadzieścia cztery godziny, dopóki nie będzie zupełnie pewna, że nic między nimi dwojgiem się nie zmieniło, a poza tym czyż *Reveillon* nie jest odpowiednią okazją dobro – wróżbną?

Telefon wyrwał ją z radosnego snu. Szybko sięgnęła po słuchawkę, mając nadzieję, że nie obudzi Harry'ego.

– *Pardon, mademoiselle.*

– Louis? Co się stało?

– Kłopot, mały pożar...

– Pożar!

– Niech się pani nie denerwuje, już ugaszony.

– Gdzie?

– W kuchni... w *vestiaire*. Jak mówię, myśmy ugasili...

– Myśmy, czyli kto?

– Ja i Christine Vernier, jedna z *femme de chambre*... To ona poczuła dym, zanim włączył się czujnik.

– Zaraz tam będę.

– Wiedziałem, że pani zechce sprawdzić, *mademoiselle*, chociaż szkód prawie nie ma.

– Słusznie, Louis.

Położyła słuchawkę. Obok niej Harry jednak się obudził.

– Co się stało?

– Nic specjalnego. – Pocałowała go we włosy. – Mały kłopot w hotelu. Muszę tam pojechać.

– Dobrze słyszałem, że pożar?

– Maleńki i już ugaszony. Śpij dalej. Niedługo wrócę.

– Pojadę z tobą – wymamrotał sennie.

– Nie pojedziesz. Jesteś wyczerpany. Powinieneś być w pełni sił na Boże Narodzenie.

Harry zmusił się, żeby usiąść.

– Środek nocy, środek puszczy. Nie możesz sama jechać...

Uśmiechnęła się.

– To jest Alzacja, nie Manhattan. Dojadę bez przygód. Śpij dalej.

Dziesięć minut po jej odjeździe Harry, leżąc na wznak, irytująco rozbudzony, usłyszał jakiś odgłos przy drzwiach wejściowych.

Ucieszył się.

– Już wróciłaś? – zawołał.

Nie było odpowiedzi.

– Ella?

Coś zaskrzypiało, a potem bardzo wolno klamka, lśniąca w blasku ognia z kominka, się poruszyła.

Zdrętwiał.

– Ella? To ty?

Drzwi się otworzyły też niesamowicie powoli.

Na progu stał nieruchomo jakiś mężczyzna.

Harry zapalił światło.

Ten mężczyzna był chyba w mundurze: aksamitnej, koloru burgunda kurtce ze złotym galonem i czarnych, nieposzlakowanych spodniach.

Harry odetchnął z ulgą.

– Kim pan jest, do diabła? – warknął.

I właśnie wtedy zobaczył rapier.

– Nie wiedziałem, kto to, dopóki nie zaczął bredzić o swojej siostrze – popijając koniak, Harry opowiadał Elli. – Mówiłaś, że on wróci dopiero jutro pod wieczór.

– Tak mi powiedział.

– Myślałem przez chwilę, że śnię. Wyglądał... wyglądał absurdalnie... jak ktoś z innego stulecia. Chciało mi się śmiać, chociaż piekielnie się przestraszyłem. Zobaczyłem ten miecz.

– Rapier.

– Ella, kochanie, wydawało mi się, że to jakiś cholerny miecz, a ponieważ nie byłem bodaj w spodniach, już nie mówiąc o tym, że nie miałem broni, powiedzmy sobie, że poczułem się bez szans.

Wbrew woli się uśmiechnęła.

– To wcale nie zabawne.

– Wiem. – Wstała i zaczęła spacerować po pokoju, usiłując zebrać myśli. – Ale mówisz, że nie atakował?

– Nie, kochanie, powiedziałem ci... Wyzwał mnie na pojedynek. Pojedynek!

– Musiał być pijany.

– Był pijany na umór. Ale ja w swoim czasie też piłem za dużo, a jednak nigdy nie wbijałem się w kostium maskaradowy i nie zataczałem się do sypialni nieznajomego, żeby żądać satysfakcji!

– Nie posądzam ciebie o to.

Popatrzył na nią żartobliwie.

– Czy to normalny sposób bycia Oliviera?

Potrząsnęła głową.

– Nawet Oliviera nie. – W głosie jej zabrzmiał nagle smutek.

– Pijany czy nie – ciągnął Harry – niestety, sprawił na mnie wrażenie nie zrównoważonego.

Milczała.

– Chodź tu i usiądź – powiedział łagodnie.

Podeszła i położyła mu głowę na ramieniu. Najchętniej by się rozpląkała.

– Skąd on wiedział, że ciebie tu nie ma? – zapytał Harry.

Nadal starała się nie rozpląkać.

Harry się zawahał.

– Może to on wzniecił ten pożar dla odwrócenia uwagi? Powiedziałaś, że niegroźnie się paliło. Czy można podpalić celowo niegroźnie?

– Licząc, że ktoś w porę zauważy – szepnęła.

– Macie gaśnice?

– Tak, oczywiście.

– Więc on by wiedział, że się ugasi.

– Chyba tak.

Z czułością Harry zwrócił jej twarz ku sobie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– O czym?

– O dziecku.

Zesztywniała.

– Wiesz? Olivier ci powiedział?

– A niby dlaczego chciał się pojedyńkować? – zapytał Harry kwaśno. – Bredził tak szaleńczo, że nie od razu to do mnie dotarło... Wykorzystałem jego siostrę, mówił, i zapłacę za to. – Wzruszył ramionami. – Myślałem z początku, że chodzi mu tylko o twoje dziewictwo, ale potem wrzasnął, że porzucam cię z dzieckiem.

– Boże – szepnęła.

– Więc dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Czekałam z tym do jutra.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz.

– Nie rozumiem – zgodził się. – Czy to ma coś wspólnego z Bożym Narodzeniem?

– Po części. Ale przede wszystkim chciałam być pewna, że wszystko między nami jest nadal w porządku.

– Rozumiem – powiedział znów.

– Rozumiesz?

– Chyba tak. Nie jesteś kobietą, która wyszłaby za mąż z niewłaściwego powodu.

– Mniej więcej.

– Czy zrobiłaby ci różnicę informacja, jak ja zapatruję się na dziecko?

– Oczywiście.

– Spójrz mi w oczy, Ella.

Spojrzała.

– Jestem powalony – powiedział.

– Och.

– Radością.

Uśmiechnęła się.

– Och.

– Wprost trudno mi uwierzyć w samą możliwość, że za jednym zamachem będę miał wszystko, czego chcę. – Patrzył jej w oczy. – Nawiasem mówiąc, wszystko, to znaczy: ciebie i nasze dziecko.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

– Ale co z tobą? Jak się czujesz w ciąży? I wobec faktu, że będziesz matką tak... szybko?

– Nie inaczej niż ty – odpowiedziała. – Jestem powalona radością.

– Czy gdybyś nie zdecydowała się na małżeństwo ze mną, nadal chciałabyś mieć to dziecko?

– Stanowczo. W żadnym razie nie byłoby aborcji.

– Dlatego, że jesteś katoliczką?

– Nie. – Zawahała się. – Zresztą właściwie nie jestem, jak się okazuje.

– Kriszti i William mi mówili, że ona została adoptowana.

– Więc jak się zapatrujesz na poślubienie Żydówki?

– To dla mnie nieistotne. – Zastanawiał się przez chwilę. – Chciałabyś ślubu w synagodze?

Roześmiała się.

– Myślę, że to byłoby trochę skomplikowane, skoro moja matka przez większość życia uważała się za katoliczkę.

– Więc może tu, w kaplicy? Chciałabyś, żebyśmy się pobrali tutaj?

– Harry, nie powiedziałam, że w ogóle chcę, żebyśmy się pobrali.

– Wiem. Przepraszam. – Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. – Tylko że skoro ty mnie kochasz i ja Kocham Ciebie, i będziemy mieli dziecko, którego oboje chcemy... – trochę się zająknął.

Wstała, podeszła do kominka i przez chwilę milczała.

– Och, dobrze – powiedziała w końcu.

– Co to znaczy?

– Och, dobrze. Wyjdę za Ciebie.

Patrząc na nią, rozparł się na kanapie.

– Miejmy nadzieję, że nikt nigdy ci nie zarzuci nadmiaru romantyzmu, Ello Hunter.

Odwróciła się z uśmiechem.

– Przepraszam.

– No?

– No, co?

– Podejdz tutaj do mnie i przeprosz należycie, tak żeby cię widział. Trochę popłacz ze szczęścia czy przynajmniej daj mi całusa.

Podeszła do niego, mocno objęła go w pól. Całował ją długo, przerywając tylko na parę sekund, żeby powiedzieć:

– Ella Bogarde. To ładnie brzmi. – Potem zapytał: – Czy może chcesz zachować swoje nazwisko?

Uśmiechnęła się.

– Nie miałbyś mi za złe?

– Nie na tyle, by się z tobą rozwieść.

– Przypadkiem i mnie się podoba Ella Bogarde.

Znowu ją całował i znowu przerwał:

– Zapominamy o hotelu. – Był nieomal przerażony.

– Ja nie zapominam.

– Więc?

– Jakoś to rozwiążemy – powiedziała. – Już mi się to nie wydaje dostatecznym powodem, żebyśmy nie byli mężem i żoną.

– To żaden powód.

– Tak właśnie mówię.

Przez cały następny dzień Harry obserwował Ellę w otoczeniu, które kochała, wyczuloną na każde uderzenie serca hotelu.

Przy obiedzie w restauracji został sam i patrzył, jak ona rozmawia z gośćmi i personelem. Gdy wróciła do niego, powiedział jej, że nigdy nie wyglądała śliczniej.

– Dziękuję – uśmiechnęła się.

– Praca przydaje ci urody, Ella. Zaokrągła cię i uzupełnia.

Cień przemknął po jej twarzy, ale nic nie powiedziała.

Usiadła przy stoliku, zjadła trochę sera, wypła trochę wina.

– Pojadę tam, do domku – powiedział Harry – po obiedzie, żeby pomedytować.

– O czym?

– Mam pewien pomysł.

Gdy wychodzili z restauracji, zapytał:

– Oliviera dziś nie widać?

– Prawdopodobnie kuruje kaca.

– I zostawił cię z tym całym gwiazdkowym rwetesem?

– Nie jest tak źle – powiedziała szybko. – Prawie wszyscy goście już się zjechali i są zadowoleni ze swoich pokoi.

– Więc zostawił cię tylko z czymś tak nieskomplikowanym, jak kierowanie przygotowaniem do dzisiejszej wieczornej uczy – powiedział Harry ironicznie.

– Mamy cudownego kuchmistrza.

– Wiem. – Uściskał ją krótko, wiedząc, że ona nie lubi okazywania czułości w miejscach publicznych. – W razie gdybyś mnie chciała, będę w domku.

– Chcę cię przez cały czas – powiedziała smętnie – ale właśnie czasu mi brak.

Uroczystość świąteczna odbyła się wspaniale. Ella w szkarłatnej aksamitnej sukni – bardzo obcisłej, już niedługo miała takie suknie nosić – potrafiła być świetną panią domu i jednocześnie bawić się dobrze z Harrym, który odgrywał rolę tymczasowego adiutanta z niezwykle swobodą.

Olivier zjawił się dopiero przed samą północą. W smokingu wszedł do oświetlonej świecami sali balowej, uśmiechając się czarująco i przywitał z Harrym i Ellą tak, jakby poprzedniej nocy nie się nie stało.

– Może nie pamięta? – szepnął Harry.

– Pamięta. – Ella przelotnie zbladła.

– Hej – uściskał jej dłoń. – Niech on ci nie psuje zabawy. Triumfalnie podejmujesz gości na najwspanialszym przyjęciu, na jakim kiedykolwiek byłem.

Starła się uśmiechnąć.

– To nie jest przyjęcie, Harry.

– Dla ciebie nie jest. – Pokręcił głową. – Nie wiem, jak ty możesz panować nad tak wielką imprezą. To musi wymagać ogromnej wytrzymałości.

– To wymaga planowania i dobrego personelu – wyjaśniła Ella. – To trochę jak wystawianie dobrej sztuki w teatrze... trzeba tylko należycie dobrać obsadę.

– I dekoracje!

Przytaknęła.

– Tutaj są dekoracje przede wszystkim.

Już było po czwartej, gdy mogli zrzucić z nóg pantofle i wtulić stopy w miękki dywan w domku myśliwskim.

– Musimy porozmawiać – powiedział Harry – ale chyba padasz ze zmęczenia.

Ella potrząsnęła głową.

– Niezupenie. Czekam tyle godzin, żebyś mi powiedział, co to za pomysł.

– Może lepiej powiem ci, kiedy już się prześpisz.

– Dopóki się nie dowiem, co wykombinowałaś, nie będę mogła zasnąć.

Przyniósł jej kubek kawy, zanim zaczął:

– W Ameryce – powiedział – na tamtej górze powiedziałaś, że nigdy cię nie zrozumie, jeżeli nie przyjadę do de Trouvere.

– Owszem.

– No, więc przyjechałem tu ostatecznie, popatrzyłem i stwierdzam, że miałaś rację. Byłoby krzywdą zabrać cię z tego hotelu. To jest część ciebie... nie tylko czerpie z ciebie siły, ale ci je zwraca.

– Tobie by nie odpowiadało życie w...

– Zaczekaj – przerwał – aż powiem cały mój kawałek.

– Czekam.

– Ja nie chcę mieszkać w Alzacji – mówił dalej. – Co do tego, Ella, też się nie myliłaś. Tutaj jest cudownie, ale, jak zauważyłaś trafnie, ja jestem ze wszech miar Amerykaninem.

– Więc co zrobimy? – zapytała.

– Zabierzemy hotel ze sobą.

– Co?

– Zostawimy de Trouvere na lepsze czy na gorsze Olivierowi i zbudujemy hotel identyczny pod każdym względem, jeżeli chcesz... chociaż myślę, że powinien być większy... w stanie Nowy Jork.

Ella wybałuszyła oczy.

Uśmiechnął się.

– Co ty na to?

Milczała oszołomiona.

– Myślę, że to wspaniałe rozwiązanie – powiedział – co więcej, myślę, że chyba owocne.

Ella postawiła kubek, ostrożnie, żeby nie rozlać kawy.

– To niemożliwe. – Głos miała ochryply. – Chateau de Trouvere jest stary... nie da się go odtworzyć, nigdy nie byłby taki sam.

– Mając dostateczne środki, można by się pokusić.

– Poza tym jeszcze jedno – ciągnęła – największa chyba przeszkoda... pieniądze.

Harry się uśmiechnął.

– Jestem bogaty, Ella. Obrzydliwie bogaty.

– Nikt nie jest aż tak bogaty – odparowała. – Taka budowa kosztowałaby miliony.

– Prawdopodobnie około dwudziestu – przyznał niefrasobliwie.

– No właśnie.

– Powiedziałem ci. Jestem bogaty... superbogaty.

– Przecież nic nie robisz!

– Bogactwo odziedziczone, kochanie. Chociaż to niezupełnie prawda, że nic nie robię... tylko nie mówię o tym dużo.

– No, powinieneś mówić. Zona musi wiedzieć, skąd jej mąż ma pieniądze. Równie dobrze mógłbyś być przestępcą, tak mało mi o tobie wiadomo.

– Nie jestem.

– Wiem.

– No to o co chodzi? – Harry umilkł na chwilę. – Mogę podjąć pieniądze. Możemy odszukać faceta, który zmienił ten zamek w hotel. Jak on się nazywał?

– Alberto Giordano. – Potrząsnęła głową. – To było trzydzieści lat temu.

– On żyje... mówiłaś, że przysłał ci kwiaty.

– Ale ma już co najmniej siedemdziesiąt lat!

– Nie szkodzi, byleby miał zdrowie... W najgorszym razie mógłby nadzorować.

– Harry, zlituj się, zaczekaj.

– Na co?

– Pędzisz za prędko.

– Przepraszam, dziewczyno.

Znów potrząsnęła głową.

– To niemożliwe.

– Nie ma rzeczy niemożliwych. – Znów zrobił przerwę. – Nie zapytałaś mnie, gdzie, według mnie, powinien stanąć ten hotel.

Nagle z lekkim wstrząsem odczytała jego myśl.

– Chyba zgadłam.

– Usytuowanie doskonałe.

Zamknęła oczy i natychmiast ujrzała krajobraz, który tak ją oczarował. Przez długą chwilę wyobrażała sobie Pine Orchard i tę górę wiosną i latem, i jeszcze piękniej jesienią, gdy na pewno, gdzie sięgnąć okiem w dolinę, ściele się przepych kolorów.

Otworzyła oczy.

– Ale drugim de Trouvere nigdy by nie był. Nie mógłby bez historii, bez rodu.

– Jasne, że nie – powiedział Harry szybko. – Otworzyłabyś nowy de Trouvere. Kto wie, czy nawet nie lepszy.

Raptem sobie uprzytomniając, przyłożyła dłoń do brzucha.

– Będę miała dziecko – przypomniała Harry'emu. – W ciąży mogę prowadzić istniejący hotel, ale budować od początku nowy to coś zupełnie innego.

– Powiedziałbym, że to idealne zajęcie dla ciebie. Gorzej było twojej matce wśród robotników, którzy wszystko wokół niej rozwalali. Ty będziesz mogła z daleka mówić ludziom dokładnie, czego chcesz, a potem usiąść i patrzeć. Nasze dziecko będzie już chodzić, kiedy ten hotel się otworzy.

– Nasze dziecko – powtórzyła Ella olśniona. – Zamek w stanie Nowy Jork.

– Sporo do przyswojenia, no nie?

Znów dźgnęło ją poczucie rzeczywistości.

– Co z Olivierem?

– A cóż ma z nim być?

– On by nigdy nam nie pozwolił skopiować de Trouvere.

– To zależy, jak mu się sprawę przedstawi. Jeżeli zobaczy drogę do swojej większej autonomii, wątpię, czy będzie zanadto się sprzeciwiał.

– Harry, orientujesz się, że większość mojego kapitału jest ulokowana tutaj?

– Tak.

– I nie bierzesz tego pod uwagę?

– Tylko o tyle, że pod kontrolą człowieka tak nierównego jak twój brat, ten hotel przepadnie. – Zastanowił się. – Czy on by twoją część wykupił?

Ella potrząsnęła głową.

– Nie mam zamiaru zaproponować mu moich udziałów. Nawet gdybym myślała o wycofaniu się, to ze względu na moją matkę i babcię nie wypuszczę ich z rąk całkowicie.

– Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Tak, jeszcze nie teraz. – Ziewnęła. Ogromne zmęczenie w końcu przemoгло.

– Powinnaś już się położyć. – Harry wziął ją za rękę i pomógł jej wstać.

– Za chwilę. – Potarła oczy, rozmazując makijaż. – Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to absurdalne, jakie zwariowane? Siedzimy tutaj w głuchą noc i omawiamy najbardziej szalony pomysł... a ja traktuję go poważnie.

– Oczywiście że poważnie, Ella, najdroższa, bo zastanów – się: w tym nie ma ani odrobiny wariactwa, jest tylko dużo wyobraźni.

Ella rozpuściła koczek, który fryzjer upiął jej na głowie jedenaście godzin przedtem. Włosy kaskadą opadły na ramiona.

– Boże, jak pięknie – mruknął Harry.

Wyprostowała się.

– Dziś już nie mogę myśleć. Za bardzo jestem zmęczona.

Wsuwała się pod kołdrę, gdy Harry wetknął jej w rękę małe jubilerskie pudełeczko.

– Co to jest?

– Coś, z czym nie można czekać.

Niepewnie otworzyła pudełeczko i zachłysnęła się. To był pierścionek ze znakomitym szmaragdem w oprawie z platyny i misternych brylantowych promyków.

Harry zabrał jej pudełeczko.

– Pozwól, że ci włożę na palec.

Pierścionek był w sam raz.

– Jak ci się to udało?

– Kriszti pożyczyła mi jeden ze swoich... powiedziała, że macie ręce właściwie jednakowe.

– Kocham cię – wyszeptała Ella.

– Wiem.

– Tylko że... – Osunęła się na poduszkę. – Jestem taka śpiąca. – Powieki jej opadły.

Harry patrzył na nią długo, zanim zgasił światło.

– Radosnych świąt – powiedział.

Harry wyjechał piątego dnia 1974 roku, żeby możliwość wybudowania francuskiego zamczyska w górach Catskill omówić z adwokatami, bankierami i miejscowymi władzami.

– Nie będę o tym myślała ani przez sekundę, jeżeli wszyscy nie wypowiedzą się pozytywnie – uparcie powtarzała Ella przed jego wyjazdem.

– Bądź spokojna.

– Nie jestem.

Harry popatrzył na nią badawczo.

– Przecież chcesz tego, prawda, najmilsza? Wiesz, że chcesz już bez żadnych wątpliwości?

– Z niezliczonymi. – Uśmiechnęła się. – Ależ tak, chcę tego. W tej sytuacji byłabym idiotką, gdybym nie chciała.

Harry ujął ją za obie ręce.

– Zrealizuję to. Patrzyła mu w oczy.

– Prawie ci wierzę.

Wrócił po miesiącu.

– Wszystko załatwione – powiedział niedbale w saloniku Elli, gdy już się uściskali. – Klamka zapadła. Możemy budować.

– Nie wierzę!

– Uwierz.

W oczach jej błyszczały łzy zadziwienia. – Jak?

– Mówiłem ci, że to zrealizuję. – Po chwili zapytał: – Wymyśliłaś nazwę?

– A ty?

– To twój hotel, Ella.

Od razu jej przyszło na myśl.

– Zamek Bogarde. Uśmiechnął się.

– Zamek Bogarde... – powtórzył powoli, przeciągle, z lubością, jakby kosztował wino.

– Odpowiada ci?

– No pewnie, ale to twój hotel, nie mój.

– Na wypadek, jeżeli zapomniałeś, to wkrótce będzie również i moje nazwisko.

Rozpromienił się.

– Kiedy?

– Kiedy tylko zechcesz.

– Tutaj?

Bardzo lubiła rozmawiać z nim tak jakoś stenograficznie. Rzadko były im potrzebne długie, rozwlekłe dialogi, bo od samego początku czuli, że łączy ich głębokie naturalne porozumienie poza słowami.

– Jeżeli *maman* i papa będą mogli przyjechać.

– Czekają na twój telefon.

– Czy to moi rodzice, czy twoi? – zapytała.

– Nie można człowiekowi zabronić rozmów z przyjaciółmi. Ella sposepniała.

– O co chodzi?

– Ollie.

– Czy dobrze wnoszę, że jeszcze nie poruszyłaś z nim tego tematu?

Potrząsnęła głową.

– To by nie miało sensu.

Harry zmarszczył brwi.

– Nie powinnaś bać się swojego brata.

– Nie boję się. Tylko mi się nie śpieszy do sprawienia przykrości tym, których kocham.

– Szkoda, że nie można tego powiedzieć o *monsieur le baron*.

Ton Elli stał się uszczypliwy.

– Może nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się zdaje, Harry... a już na pewno nic nie wiesz o przywiązaniu Oliviera do mnie.

– Masz rację – zgodził się Harry. – I nie chcę snuć domysłów. Ella, nie potępiam, kochanie, twojej troski o brata. – Westchnął. – Po prostu nie chcę, żebyś przydawała sobie cierpień, i wybac, że bardziej się interesuję tobą niż Olivierem.

Wiadomość o rychłym ślubie Olivier przyjął ze spokojemomalże kamiennym. Ale gdy Ella powiedziała mu o projekcie zbudowania hotelu, skrzył się, jakby go kopnęła w pachwinę.

– Po moim trupie!

– Też byłam zaskoczona, kiedy Harry wystąpił z tym pomysłem. Dopóki tego nie ogarnęłam.

– Ten człowiek to barbarzyńca, mąci ci w głowie!

– Raczej nie.

– Nigdy byś nie kupiła imitacji antycznych mebli, prawda?

– Przecież wiesz.

– A jednak zgadzasz się, żeby zbudował imitację zamku. To obsceniczne! I pewnie macie, ty i ten twój filister, nadzieję, że wywieziecie stąd niejedną antyczną kredens i wazon... Ba, czemu mielibyście poprzestać na tym? Nie lepiej stąd wydrzeć wszystko?

– Ollie, nikt nie weźmie ani jednej rzeczy z tego hotelu. Nigdy bym nie naruszyła de Trouvere. Kocham ten zamek tak samo jak ty.

– I chcesz wyjechać?

– Wychodzę za mąż – odpowiedziała po prostu – za Amerykanina.

– Więc wyjdź za niego – warknął Olivier z zawziętością. – Miej jego bachora, jeżeli musisz, i żyj potem już zawsze nędznie, ale ja nie dam ci ukraść własności mojego rodu.

– Kradzież nie wchodzi w rachubę – powiedziała zimno. – I może, gdybyś nie był tak opętany tym, co nazywasz twoim rodem, bo wygodnie zapominasz, że mamy jedną matkę... nie chciałabym wyjechać z mojego rodzinnego domu, nie uznałabym, że to jest jedyne rozsądne i bezpieczne wyjście!

– Bezpieczne?! – Jego czarne oczy pałały.

– Już nie mogę się z tobą uporać, Ollie – powiedziała znużona. – Marnujesz hotel, marnujesz nasze życie.

– Kocham de Trouvere – wybuchnął namiętnie. – I kocham ciebie, Lalla! Czy to zbrodnia?

– Czy dlatego uprawiasz hazard? Dlatego pijesz? Dlatego bez porozumienia się ze mną albo z *maman* podejmujesz straszne, szkodliwe dla hotelu decyzje?

– Nie!

– Więc dlaczego? Powiedz.

Na jego wąskiej twarzy malowała się udręka.

– Dlatego, że jestem tak cholernie nieszczęśliwy.

– Ale dlaczego, Ollie? Dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy? – Zdumiona potrząsnęła głową. – Masz to, co jest dla ciebie ważne... tytuł, posiadłość, dobrą aparycję, pieniądze i wciąż jeszcze masz ludzi, którzy pomimo wszystko cię kochają.

Wykrzywił usta.

– Nie jestem kochany.

– Może nie dajesz się kochać, ale wiesz aż za dobrze, że jesteś.

– Więc dlaczego odjedziesz ode mnie?

Zgarbiła ramiona.

– Muszę. Może dlatego, że naprawdę cię kocham. Gdybym została, boję się, że mogłabym tobą gardzić.

Wytrzeszczył oczy.

– Ty mną gardzisz?

– Nie, Ollie. Jeszcze nie, dzięki Bogu. Czasami budzisz we mnie wstręt. Sprawiasz, że się za ciebie wstydzę, ale nadal jesteś moim bratem. Nic na świecie tego nie zmieni.

Nagle ujął ją za obie ręce i trzymał mocno.

– Nie odjeżdżaj, Lalla! Proszę cię, dla mojego dobra, zostań!

Oczy ją piekły, ale wiedziała, że nie uroni ani jednej łzy.

– Odjadę, Ollie, dla mojego dobra.

Puścił jej ręce i powiedział znowu z tą kamienną urazą:

– Więc jedź. Wyjdź za swojego barbarzyńcę, rodź mu dzieci, zajmij się imitacją de Trouvere. – Zmrużył oczy. – Tylko niech ci się nie śni użyć mojego nazwiska, bo powlokę cię przed każdy sąd we Francji i w Ameryce.

– Nazwiemy nasz hotel Zamek Bogarde – poinformowała go spokojnie.

– Wzruszające.

– Nie szydź.

Roześmiał się zgrzytliwie.

– Będę szydził jeszcze weselej, kiedy ten twój nowy twór i twoje małżeństwo okażą się katastrofą i na kolanach przy – czołgasz się tu z powrotem.

Ella opanowała gniew, wiedząc, że on atakuje zraniony.

– Zrozum, postaraj się. Budujemy hotel, bo jestem *hôteliere*... to mój zawód, tym jestem.

– Jesteś moją młodszą siostrą! – Głos mu się załamywał. – Myślałem, że mogę na tobie polegać.

– Możesz. Zawsze. Szkoda, że nie rozumiesz.

– Rozumiem tylko, że odjeżdżasz.

– Odjeżdżam.

– Sromotnie przegrasz.

– Mylisz się. – Podeszła do drzwi. – Na pewno mi się powiedzie.

Ella i Harry wzięli ślub cywilny dwa tygodnie później w Nowym Jorku. Pomysł, żeby wziąć ślub w kaplicy de Trouvere, odrzucili, bo spokojnych i miłych wzruszeń, jakich Ella się spodziewała, już by tam nie było. Olivier poniekąd zemścił się na siostrze; w de Trouvere nie mogła już znaleźć swojej radości.

Poszła do ślubu w krótkiej białej sukience Givenchy i w welonie. William przekazał ją panu młodemu, Krisztina płakała uszczęśliwiona, drużbą był brat Harry'ego, Saul, po pięciodniowej jeździe motocyklem ze swego domu na plaży w Santa Monica, jedyny obecny z ich rodziny. Rodzice Harry'ego dawno już nie żyli, zmieceni z kalifornijskiej autostrady przez pijanego kierowcę autobusu.

Alice przyjechała z Rhinebeck, Alberto Giordano przyjechał z Rzymu, a Annabel Herrick, teraz białowłosa, z Devon. Gdy sędzia pokoju przemawiał, Ella obejrzała się na ten tłumek i nagle pomyślała o tych, których tam nie było, i zatęskniła, jak zawsze, do mądrości Genevieve i do perlistego śmiechu Mischy.

A potem, już bez mgiełki w oczach, zobaczyła, jak świetnie, do pozazdrosczenia, ci obecni prezentują jej przeszłość i jej przyszłość. I poczuła – czy też wydawało jej się, że czuje – ruch nienarodzonego dziecka. Spojrzała na męża, który stał przy niej poważny, godny, wysoki, bardzo przystojny. I chociaż było jej niewysłowienie przykro, że Olivier nie przyjechał, wtuliła się w cichą, spokojną błogość jak w opiekuńcze objęcia.

– Żałowałaś? – zapytał Harry później, gdy wreszcie zostali sami.

– Czy żałowałam?

- Że to było takie krótkie i niereligijne?
- To było pozaczasowe – powiedziała zdumiona. – I pełne wiary.
- Ty też to odczuwałaś?
- Och, tak.

Zaczątek zespołu zbierał się w domu Harry’ego na Long Island, dużej rezydencji w Southampton, eufemistycznie zwanej przez miejscowych „chatką”.

Krisztina, po uporaniu się ze swoimi i Williama zastrzeżeniami, rzuciła się, co było do przewidzenia, w realizację tego projektu ochoczo jak dziecko w przybrzeżne morskie fale.

Jeżeli Ella chce, powiedziała, ona z największą przyjemnością służy pomocą. Ella chciała.

Louis Dettlingen, nocny portier z de Trouvere, zaskoczył ich przybyciem bez uprzedzenia do Nowego Jorku akurat tego dnia, gdy młodzi państwo Bogarde wrócili z podróży poślubnej na Hawaje.

– Zwolniłem się – oznajmił Elli.

– Ależ, Louis, dlaczego?

– Bo mam nadzieję, że będę pracował u pani, *madame*.

– Nie możesz – powiedziała zakłopotana. – Nie mogę zabierać z de Trouvere personelu.

– Właśnie dlatego poprosiłem o zwolnienie – wyjaśnił Louis z prostotą. – Żeby nikt, *madame*, nie posądził pani o kłusownictwo. Ostatecznie jestem wolnym człowiekiem. – Zawahał się. – Jeżeli, oczywiście, pani nie uważa, że się nie nadaję.

– Oboje wiemy, Louis, że nadajesz się jak najbardziej. Nie w tym problem.

Uśmiechnął się – Jeżeli pani mnie nie przyjmie i tak już nie wrócę do de Trouvere. Czy to pani pomaga?

– Ale co będziesz robił? Hotel jeszcze niezbudowany... i będzie najwcześniej za dwa lata. Przecież musisz pracować?

Dettlingen przytaknął.

– To dlatego chcę zapytać pani ojca, czy nie zatrudniłby mnie na ten czas. Choćby jako tragarza. – Wzruszył ramionami. – Przywykłem do cennych przedmiotów i ręce mam mocne, jak pani wie. – Zgiął ręce na dowód.

Ella parsknęła śmiechem.

– I potrafisz zadać haka, o ile sobie przypominam.

– Weźmie mnie pani pod uwagę, *madame*? – Jego ciemne oczy błyszczały żarliwością.

– Będą ci potrzebne dokumenty, byłbyś imigrantem.

– Pan Hunter może to załatwić na pewno.

– Jesteś bardzo ufny, Louis.

– Matka mnie uczyła, żebym był cierpliwy, ale żebym korzystał z każdej sposobności, jaką zobaczę.

– Uznaj, że już skorzystałeś.

W tych pierwszych tygodniach planowania Ella miała jeszcze jedną niespodziankę; telefon od Alexa Monseleta, kuchmistrza, który zrezygnował trzy lata wcześniej, rozgniewany na Oliviera. On także chciał pracować znów u Elli, gdy dowiedział się o jej planach, i także był gotów czekać, jeżeli ona go zechce.

– Jest wspaniałym kucharzem – powiedziała Ella Harry’emu.

– Więc łap go.

Wszyscy przyjechali do Southampton na początku kwietnia, żeby Alberto mógł omówić z każdym zainteresowanym poszczególne części swoich szkiców. Miał siedemdziesiąt jeden lat i włosy śnieżnobiałe, ale oczy, głowę i zmysł estetyczny zupełnie takie jak dawniej.

Nastąpił okres bujnych marzeń i nadziei, niedopuszczających myśli o niepowodzeniu.

– Gdyby tylko *baronessa* była tutaj – wzdychał Alberto, zjadając, aż uszy mu się trzęsły, spaghetti z zapasów, które Krisztina kazała Elli nagromadzić na czas jego pobytu.

– *Grandmaman* by to pochwałała, prawda? – zapytała Ella matkę z niepokojem. – Tak bardzo polegałam na jej radach i zdrowym rozsądku.

– Pochwalałaby? – Krisztina zachichotała. – Pewnie by się uparła, że sama położy kamień węgielny.

Ella i Harry regularnie jeździli do Rhinebeck, żeby być bliżej terenu budowy. Co dzień, bez względu na pogodę i trud półgodzinnej wędrówki znad Jeziora Północnego, bo jeszcze się nie zaczęła budowa nowej szosy, którą zaplanowali, Ella uparcie spędzała co najmniej godzinę w Pine Orchard, chociaż na razie niewiele tam było do oglądania. Miewała okropne chwile nagłego zwątpienia, więc potrzebowała być tam na miejscu, widzieć cuda tego krajobrazu, żeby się upewnić.

– Forsujesz się, kochanie – powiedział jej Harry zaniepokojony. – Zapominasz, że jesteś w ciąży.

– Doktor Kleinman zaleca mi spacerować na świeżym powietrzu.

– Ale nie wspinaczkę dzień w dzień na cholerną górę!

– Nie powiem, żebym go o to pytała. – Ella przygryzła wargę. – Zresztą, on jest położnikiem, a nie psychiatrą. Nie rozumiałby, że muszę być tutaj, żeby się przekonać.

– Co do czego, na litość boską?

– Że postąpiłam słusznie... że nie zrobiłam strasznego głupstwa.

– Mówisz tylko o hotelu czy również o małżeństwie ze mną? – zapytał Harry ironicznie.

– W żadnym razie nie o tym.

– Więc o „czym?”

– Opuściłam mój dom, Harry – powiedziała gorączkowo – mój piękny kraj i teraz usiłujemy zastąpić Alzację, śliczne fale winnic, jakąś górą.

– Kochanie, Alzacja się nie da zastąpić – powiedział Harry.

– Zaczynasz od początku. Odtwarzasz wszystkie przydatne dla hotelu cechy zamku i odrzucasz wszystkie nieprzydatne.

– Pod jakim względem de Trouvere jest nieprzydatny?

– Przede wszystkim za mały. Nigdy nie zrozumie, jak można prowadzić dochodowy hotel z tak niewieloma pokojami.

– Pieniądze! – prychnęła Ella. – Są w życiu o wiele ważniejsze rzeczy.

– Zgadza się – przytaknął miło – ale, jeżeli mamy wydać dwadzieścia milionów dolarów, nie zaszkodzi trochę z tego odzyskać.

Poczuła skruchę.

– Przepraszam, *cheri*.

Opiekuńczo objął ją ramieniem.

– Będzie dobrze, najmilsza. Będzie cudownie. Możesz mi wierzyć.

Oparła się o niego.

– Myślę, że tak.

Skurcze zaczęły się w nocy dwudziestego czerwca prawie dziesięć tygodni za wcześnie, gdy William i Krisztina byli na Manhattanie.

Dziesięć godzin potem, w szpitalu hrabstwa Nothern Duchess, dokonano cesarskiego cięcia i urodziła się córka.

Ella, budząc się na chwilę, zobaczyła niewyraźnie stojącą przy niej kobietę w białym kitlu.

– Leży pani w sali poporodowej, pani Bogarde, i ma pani dziewczyneczkę.

Spróbowała się poruszyć, ale ból ją obezwładnił.

– Czy wszystko, jak trzeba? – wyszeptała.

– Wszystko doskonale – odpowiedziała ta kobieta kojąco i Ella zobaczyła w jej ręce strzykawkę. – To usmierzy ból, złotko, i jeszcze trochę prześpi się pani.

– Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć.

– Niebawem, pani Bogarde – powiedziała pielęgniarka.

– Ale ja...

– Wkrótce, wkrótce.

Ella zasnęła.

Gdy się znów obudziła, był wieczór, na krześle siedział Harry.

– Cześć, kochanie. – Wstał, podszedł i pocałował ją. – Pamiętasz? Mamy piękną córkę.

– Gdzie ona jest?

– Bardzo maleńka, więc pod specjalną opieką, ale nie martw się, ma wszystko w porządku, wszystkie paluszki i twoje włosy.

Ella z wysiłkiem starała się usiąść, zaraz jednak zakwiliła z bólu i opadła z powrotem na poduszki. Zauważyła, że na stoliku przy oknie stoi wazon pełen czerwonych róż.

– Chcę ją zobaczyć, Harry. Każ ją tu przynieść.

Harry czule pogłaskał żonę po policzku.

– Jest w inkubatorze, kochanie.

– Dlaczego? Powiedziałeś, że niczego jej nie brakuje!

– I to prawda, daję ci słowo. Ale waży tylko cztery i pół funta, musi to nadrobić.

– Czy *maman* i papa wiedzą?

– Już tu jadą.

Z jeszcze jednym wysiłkiem Ella zaczęła podnosić prześcieradło, pod którym leżała.

– Pójdę zobaczyć nasze dziecko.

– Nie ruszaj się, kochanie – powstrzymał ją Harry delikatnie. – Jeszcze nie próbuj chodzić.

– Więc sprowadź mi fotel na kółkach.

– Będę musiał dostać pozwolenie.

– Więc dostań – powiedziała rozdrażniona. – Ja nie będę już czekać.

Przyszła pielęgniarka, wezwana dzwonkiem, i odniosła się do prośby Harry'ego z powątpiewaniem.

– Pani córka ma się świetnie, pani Bogarde – powiedziała Elli. – Tyle że jest malusieńka, jak pani wie, więc pomagamy jej oddychać...

– Co to znaczy? – Ella się przeraziła.

– Jest pod tlenem – odpowiedziała pielęgniarka spokojnie – ale tylko . dlatego, żeby nie musiała się wysilać. Ona może oddychać i ssać, i połykać bez pomocy.

– Chcę ją zobaczyć.

– Musimy zapytać doktora, pani Bogarde.

– Natychmiast!

– Moja żona chyba nie wypocznie należycie, dopóki nie zobaczy naszego dziecka – powiedział Harry.

Pielęgniarka spojrzała na Ellę siedzącą w łóżku, rozdygotaną i stanowczą.

– Znajdę jakiś fotel.

Poza jedną czujną pielęgniarką byli przy inkubatorze sami. Ella patrzyła przez szybę.

– Boże, jest jeszcze mniejsza, niż myślałam.

Harry stał z zapartym tchem, chociaż już przedtem widział ten okruszek będący jego córką.

Mocno ściskając jego rękę, Ella przeniosła wzrok na niego.

– Dobrze się czujesz?

Przytaknął niemo, nagle bliski łez.

– Jest niewiarygodna – szepnął.

– Chcę ją wziąć na ręce.

– Wkrótce, najdroższa.

– Może powinniśmy ją zabrać? – szepnęła konspiracyjnie. – Polecieć z nią do miasta.

Potrząsnął głową.

– Pytałem Dona... powiedział, że to świetny szpital i w każdym razie, ponieważ ona dobrze się tu trzyma, raczej byśmy jej zaszkodzili, niż pomogli.

– Czy to normalne, że oddycha tak szybko? – Ella pochyliła się, lekceważąc ból, i zaczęła oglądać córeczkę centymetr po centymetrze.

– Kochanie, popatrz na wszystkie tamte.

Ella jednak mogła patrzeć tylko na swoje dziecko, nie odwracała wzroku od tego stworzonka, tej istotki, którą tak niedawno nosiła w sobie.

– Jej imię – wyszeptała. – Nadal się zgadzamy?

– Danielle? – Harry w zadumie patrzył na to maleństwo.

– Skróci się na Dani. – Zmarszczyła czoło. – Podoba mi się Dani... miękko, kobieco, niepretensjonalnie.

– Ja będę ją nazywał Danielle – powiedział Harry.

Ella się uśmiechnęła.

– Przywilej papy.

– Kocham cię, Ello Bogarde.

– *Je t'aime*, Harry Bogarde – szepnęła.

Wyraźnie słabła, więc mocno ją objął i posadził z powrotem w fotelu.

– Zawiozę cię do łóżka.

Chwyliła go za rękę.

– Harry, ona urośnie, prawda?

– Będzie doskonała.

Pomimo mdłości, osłabienia i roztrzęsienia Ella była szczęśliwa jak nigdy w życiu.

– Dobre czasy przed nami – powiedziała cicho.

Harry już popychał fotel ku drzwiom.

– Najlepsze.

CZEŚĆ PIĄTA

Ella: Stan Nowy Jork
Lata 1984-1984

Już po siedmiu latach byli poniekąd legendą, co samo przez się w części kraju tak osnutej baśniami jak Dolina Rzeki Hudson stanowiło nie lada osiągnięcie.

Zamek Bogarde został otwarty w pierwszym tygodniu czerwca 1976 roku. Prawie trzy razy większy niż jego alzacki prototyp, mógł pomieścić w siedemdziesięciu dwóch podwójnych sypialniach i dwudziestu apartamentach dwieście osób. Giordano, pracując zgodnie i radośnie z firmą nowojorskich architektów i doborową siłą roboczą, wyczarował w ciągu zaledwie dwóch lat istny cud nowoczesnego luksusu, osadzony w najszlachetniejszej hotelarskiej tradycji, a przecież owiany tymże samym niezwykłym chuchnięciem, które sprawiło, że w Chateau de Trouvere goście czuli się jak w swoim drugim domu.

Na krótki czy długi pobyt wakacyjny ten nowy hotel w Pine Orchard ofiarowywał wszystko. Sypialnie, zaprojektowane rozmaicie, zaspokajały wszelkie upodobania, czy to sybaryckie, czy prawie (ale niezupełnie) ascetyczne. Były dwa baseny pływakie, wewnątrz i na zewnątrz, kryte korty tenisowe i klub jeździecki. Na ogromnym tarasie stało dziesięć rożnów, żeby goście urządzali sobie prywatne przyjęcia, przy czym, nawet jeżeli woleli przypiekać mięso sami, oczywiście nie musieli ani rozpalać ognia, ani później sprzątać. Była sala kinowa i dźwiękoszczelna sala zabaw dla dzieci, i sala balowa z żyrandolami, i biblioteka. Były dwa bary, salon kosmetyczny i jedna swobodnie wytworna restauracja, bo Ella, ku wielkiemu zadowoleniu Alexa Monseleta, nie zgodziła się na „tematyczne” sale restauracyjne. Gwałtownie odrzuciła projekt kawiarni – jeżeli ktoś chce przekąsić między posiłkami, może to zrobić w którymś z barów, zamówić sobie coś nad basenem albo do pokoju. Tymczasem restauracja, dzieło Alberta – „na wszystkie pory roku” sala z wielką szklaną ścianą, dającą się otwierać za przyciśnięciem elektrycznego kontaktu, tak że w lecie można było siedzieć pod gwiazdami w ogrodzie – miała, jak przystoi, reprezentować serce tego hotelu.

– Jest wszystko – przed otwarciem niespokojnie powiedziała Ella – ale czy możemy być pewni, że to pójdzie dobrze?

Harry uśmiechnął się.

– Pomyśl o Danielle... ma piękną, inteligentną matkę i względnie przystojnego, bardzo zadowolonego ojca. Popatrz na nią i co widzisz?

Ella popatrzyła na ich prawie już dwuletnią płomiennowłosą córkę.

– Ślicznotka. Tylko gdzie tu związek z naszym hotelem?

– Skoro matką jest Chateau de Trouvere... a ojcem stare Górskie Domostwo... miejsce, które nazywano „najwspanialszy cud Doliny”... czy może nasz hotel zawieść?

Ella nadal powątpiewała.

– Pamiętam, jak kiedyś mówiłaś, że dobre prowadzenie wielkiego hotelu jest jak wystawienie sztuki w teatrze: potrzebne są właściwe dekoracje i właściwa obsada.

– I jeszcze jedno, Harry. Domieszka czaru.

– Domieszka czaru to ty.

– Ja?

– Sama nie widzisz siebie, Ella. Obserwowałem cię w akcji w de Trouvere i zrozumiałem wtedy, że ty jesteś kluczem do sukcesu, źródłem sukcesu.

– Moja matka i babcia były tym źródłem.

– Ale tyś to po nich odziedziczyła – obstawał. – Mówiłaś mi, że raczej nie ma pracy w hotelu, której w swoim czasie nie wykonywałaś... że umiesz palić w piecu, idealnie słać łóżka, szorować łazienki na najwyższy połysk i czyścić srebro. I zarazem znałaś imiona i dzieje życia swoich gości i wiedziałaś o każdej butelce wina w piwnicy. – Po chwili dodał: – Jesteś wytrawną *hôteliere*, Ello Bogarde... Ta domieszka czaru to ty – i możesz mi wierzyć, właśnie dzięki tobie nasz hotel będzie prosperował.

Prosperował, nawet Harry nie przewidział aż takiego sukcesu, chociaż słusznie liczył na to, że hotelowi przyda niezwykłego uroku amerykańsko-europejski rodowód. Ella i Krisztina zgodziły się zachowywać pamięć o starym hotelu w górach Catskill nie tylko na obrazach i reklamowych broszurach, ale i odtwarzaniem jednego z obrzędów, które rozśławiły Górskie Domostwo. Raz na tydzień, wieczorem w sobotę, z Zamku Bogarde przemiatły rzekę w dole potężne reflektory i wtedy statki duże i małe, odważajmniej się, kierowały mocne promienie swoich światła na ten kremowy zamek, a hotelowi goście oglądali to widowisko, siedząc na tarasie i popijając, zależnie od pory roku, szampana albo gorący, aromatyczny poncz.

– Wiesz, kiedyś wstawali przed świtem – powiedziała Ella Harry'emu – żeby oglądać wschód słońca.

– Mam nadzieję, że nie myślisz o przywróceniu tego dawnego zwyczaju – powiedział kwaśno Harry. – Wątpię, czy dla dzisiejszych turystów *de luxe* widok wschodzącego słońca jest wart zrywania się tak wcześnie.

– Był dostatecznie dużo wart dla prezydentów, generałów, malarzy i pisarzy tamtych czasów – wyniośle odparowała Ella.

– Może oni uważali, że to modna przyjemność? My chyba lepiej wyjdziemy na zapewnieniu gościom dobrych, wygodnych łóżek. Bóg świadkiem, że porządny materac to ewenement w hotelach obecnej doby.

– Masz umysł strasznie jednotorowy... myślisz prawie wyłącznie o łóżku.

– Myślę tylko, że nie powinnaś przeceniać tej gorączkowej energii jankeskiej. Ręczę, że Europejczycy w de Trouvere nawet nie wiedzą o czymś takim jak wschód słońca.

– No...

– I jeszcze coś – dodał Harry. – Jeżeli rzeczywiście zamierzasz wyrywać ich ze snu, to sama będziesz musiała z miłym uśmiechem być już na nogach, a ja jestem samolubny, chcę przytulać moją żonę śpiącą, jak Pan Bóg przykazał, o takiej nieludzkiej godzinie.

– Znowu łóżko.

– Zawsze.

Ella się uśmiechnęła.

– Myślę, że prawie nie mniej efektowne mogą być zachody słońca.

– Z pewnością.

Harry przeniósł swoje kawalerskie gospodarstwo z Southampton do nowego domu, zbudowanego według projektu Alberta Giordana na terenie zamku. Ten dom nieduży, z pięcioma tylko sypialniami i apartamentem gościnnym, w którym nieraz po męczącym dniu, zamiast wrócić do Rhinebeck, odpoczywała Krisztina, chociaż w pełni oczywiście komfortowy, był nacechowany prostotą – tak oni oboje, Ella i Harry, zdecydowali, uznając, że luksusów mają aż nadto od rana do nocy, dzień w dzień. Muszą mieć zwyczajny rodzinny dom.

Liczbę swoich domowników Harry zmniejszył po ślubie. W rezydencji na Long Island zatrudniał szofera, trzech ogrodników, kucharkę, trzy pokojówki i sekretarza. Teraz, gdy przebywał najczęściej w tym znacznie mniejszym domu – mając w sąsiedztwie własny hotel, a przed progiem nowego aston martina, do którego kierownicy nikogo nie zapraszał – zadowalał się tym, że poza jedną służącą jest tylko sekretarz.

Z sekretarzem Lin Tsungiem nawet przez myśl Harry'emu by nie przeszło się rozstać. Lin Tsung zjawiał się w rodzinie Bogarde jako osobisty lokaj ojca Harry'ego, a potem, po śmierci Joshui Bogarde'a, zgodził się zostać, bo czuł, że Harry go potrzebuje bardziej niż swego brata Saula.

Ellę Lin Tsung urzekł od pierwszej chwili, a już szczególnie, gdy zobaczyła ponad dwanaście skrzyń z książkami wniesionych do jego pokoju w ich nowym domu.

– Czy panu będzie tu dobrze – zapytała go – siedzieć na tej amerykańskiej górze z ludźmi inteligentnymi, ale nie dorastającymi do pana?

– Nic mnie nie przerasta ani do mnie nie dorasta – odpowiedział Lin Tsung. – Chiński uczoney zawsze chce rozmawiać z ludźmi i powinien umieć mówić o wszystkim. Miałem więcej przez te lata ciekawych rozmów z pani mężem, niż jakikolwiek uczoney czy nieuk ma prawo się spodziewać. A teraz, kiedy on – wprowadził w mój świat panią i małą Dani, i oczywiście pani szanownych rodziców, moje życie jest nasyczone.

Zaprzyjaźnili się. Lin Tsung nauczył Ellę wielu rzeczy i chociaż dni i wieczory miała zawsze pełne zajęć, weszło jej w zwyczaj wygospodarowanie co najmniej kwadransa codziennie, żeby z nim pogawędzić. Czasami siedzieli w prywatnym jednoakrowym ogrodzie i Lin Tsung mówił nazwy owadów, kwiatów, ptaków i drzew, rozpoznawał układy chmur i przewidywał niesamowicie dokładnie, jaka będzie pogoda. Czasami siedzieli przy dużym dębowym stole w kuchni, patrzyli, jak Dani się bawi, a on opowiadał tej małej historyjki z życia nowoczesnej Ameryki albo starożytnych Chin. Kiedy indziej Ella, jeśli czas jej na to pozwalał, przychodziła z Harrym do pokoju Lin Tsunga i pili jego specjalną herbatę, a potem rozmawiali o polityce, o życiu, o ludziach, o malarstwie, muzyce i literaturze, o Danielle i o swoich poglądach na świat.

O wszystkim, tylko nie o hotelu czy jakichkolwiek innych interesach.

Od Lin Tsunga powoli, z zadowoleniem, Ella dowiadywała się też o orientalnych obyczajach i sztukach pięknych, o stosowaniu ziół i leków organicznych i o akupunkturze. W miarę, jak ich przyjaźń się rozwijała przez miesiące i lata, Lin Tsung uczył ją cierpliwości, wyrozumiałości i spokoju ducha, a gdy się zorientował, jak ona i Harry się martwią, że nie mają drugiego dziecka, czytał jej fragmenty ze swoich książek filozoficznych i poezje, ukazywał drogę do odprężenia i akceptacji wszystkiego, cokolwiek w zapasie ma dla niej przeznaczenie.

– Nie ma przyczyn zdrowotnych? – zapytał Ellę, będąc przede wszystkim praktyczny.

– Żadnych.

– W takim razie – uśmiechnął się – cieszcie się sobą. Macie Dani, macie owocne, pełne, godne pozazdroszczenia życie I kiedyś... albo zajdziesz, albo nie zajdziesz w następną ciążę. – Przyjrzał się jej bacznie. – To nie powód do rozpaczki ani dla ciebie, ani dla niego, prawda?

Ella przytaknęła.

– Nie. W sumie jesteśmy wprost paskudnie szczęśliwi i chyba raczej w zgodzie ze światem.

– Wobec tego niech dobry Bóg was prowadzi.

Danielle chodziła, biegała, nabierała sił i pod okiem Lin Tsunga stała się adeptką *t'ai chi*.

– On mówi, że Dani ma doskonały zmysł równowagi i bardzo mocne mięśnie – powiedziała Ella matce.

– Tylko nie powinien zapominać, że kości jeszcze miękkie. – Krisztina się zaniepokoiła.

– *Maman*, nikt nie zna się na tym lepiej niż Lin Tsung. Nie obawiaj się o nią. – Ella się uśmiechnęła. – Mówi też, że ona odziedziczyła po tobie zdolności do tańca... i powinna pójść do jakiejś szkoły baletowej możliwie jak najwcześniej.

– Ma dopiero cztery lata.

– Kiedy tyś zaczęła?

– Miałam pięć.

– Nie mogłabyś jej uczyć?

– Ja?

– Czemu nie?

– Jestem za stara, po pierwsze...

– Bzdura.

– I bez kwalifikacji... skończyłam z baletem, kiedy miałam dwanaście lat.

– Ale już po przeszkoleniu podstawowym.

– Nie tylko.

– Więc mogłabyś dać jej początki.

– Chyba tak.

– To wystarczy.

Siedziały obok siebie na niskim kamiennym murku warzywnika, wystawiając gołe ręce i nogi w blask zachodzącego czerwcowego słońca. Krisztina zmieniła temat.

– Co Harry robi ostatnio?

– Prawie nic. Za bardzo się cieszy Zamkiem Bogarde, żeby się zajmować zbyt wieloma innymi sprawami.

Krisztina zmarszczyła brwi.

– Powinien dalej załatwiać swoje sprawy. Zawsze podróżował, trzymał dziesiątki srok za ogon.

On stetryczeje.

– Hotelem i naszą córką chyba jest dostatecznie zaabsorbowany, *maman*. I jest szczęśliwy.

– Czy przynajmniej nadal kolekcjonuje dzieła sztuki?

– Nie bardzo. Nappełnił nimi hotel i u nas w domu więcej już się nie zmieści.

– William mówi, że on od miesięcy nie bywa na aukcjach.

Ella przyjrzała się matce.

– Skąd takie zainteresowanie Harrym?

Krisztina odpowiedziała po namyśle:

– Po prostu nie podoba mi się, że ktoś... ktokolwiek może być całkowicie „zaabsorbowany”, jak ty to ujmujesz, nie swoim przedsięwzięciem.

– Ależ to jest jego, *maman*. Jego pieniądze to umożliwiły.

Krisztina potrząsnęła głową.

– On dał ci Zamek Bogarde niejako w prezencie ślubnym. To jest twój hotel... stworzony przez ciebie, prowadzony przez ciebie... niektórzy nawet zaczęli go nazywać Zamek Ella.

Ella parsknęła śmiechem.

– Tylko niektórzy miejscowi.

– Słyszę, że goście także.

– Ale nie sądzę, żeby takie rzeczy trapiły Harry’ego. Wprost przeciwnie... on jest ze mnie dumny.

– To nie znaczy, że ja ubolewam. – Krisztina usiłowała się wytłumaczyć. – Tylko coś mnie trochę niepokoi. Jesteście małżeństwem już od pięciu lat, a twój mąż zamyka się z tobą w jakimś kokonie.

– Ale czyż nie jest cudownie mieć takiego zadowolonego męża prawie wciąż przy sobie? Mówisz tak, jakbym powinna wysyłać go z domu. Wcale tego nie chcę.

– Ani też nie powinnaś, *cherie*.

– Więc o co ci chodzi? – zapytała Ella zniecierpliwiona.

– O to, że Harry postawił ciebie i Dani na piedestale i już niczym innym się nie zajmuje... Hotel jest dla niego cudowną zabawką, ważną, bo ciebie cieszy.

– I to wystarcza – powiedziała Ella.

– Ten Harry, którego poznałaś pięć lat temu, był innym człowiekiem. W ciągłym ruchu... jeździł z jednego swojego domu do drugiego, z miasta do miasta, ubijał to tu, to tam pomniejsze interesy, zawierał wielkie umowy, kolekcjonował. Myślę... i ojciec myśli tak samo... że on, gdy poznał ciebie, Ella, uznał, że znalazł skarb i dlatego przestał się rozglądać. A przecież jest za młody, żeby stanąć w miejscu, nie sądzisz?

– Jeżeli tak to ujmujesz – powiedziała Ella powoli – owszem, tak sądzę.

– Więc?

– Więc przyda się mały szturchaniec.

Krisztina przytaknęła.

– Chyba.

Ella szturchnęła Harry’ego z takim skutkiem, że bez entuzjazmu ujął znów cugle kilku swoich przedsiębiorstw, trochę jeździł, sprawdzając, co się dzieje w jego agencjach sprzedaży nieruchomości, i od czasu do czasu bywał na aukcjach w Nowym Jorku czy w San Francisco, ale rzeczywiście słabo zainteresowany.

Tylko w Zamku Bogarde i w domu chciał być wieczorem – nic by tego nie mogło zmienić ani też Ella tego zmieniać nie zamierzała.

Lata płynęły przyjemnie, dobre lata. Hotel przyciągał mnóstwo najrozmaitszych gości – biznesmenów, nowożeńców na miodowy miesiąc, całe grupy na zjazdy i konferencje, mieszczuchów wyrrywających się z miasta, małżeństwa rentierów i ludzi wolnego stanu, młodych i starszych. Niektórzy przyjeżdżali, żeby znaleźć spokój, inni, żeby odnaleźć staroświecki, wytwornie towarzyski nastrój ciągłej *soiree*. Niektórzy wierzyli, że Zamek Bogarde stał się Olimpem modnej socjety, innych nęciły sportowe wyzwania na terenach hotelu, a jeszcze inni – być może większość – chcieli tylko pławić się w luksusach przez całe dni i noce.

Czas biegł, aż migają kamienie milowe. Krisztina ukończyła sześćdziesiąt lat, a William – niewiarygodne dla wszystkich, którzy go znali – zbliżał się do siedemdziesiątki. Ella, uśmiechnięta, obchodziła swoje trzydzieste urodziny, Harry się użalał, że przekroczył czterdziestkę, Lin Tsung pojechał w odwiedziny do krewnych w Chinach i po trzech miesiącach wrócił odświeżony, jak gdyby po duchowym jakimś nastrojeniu. Alberto Giordano umarł, jedząc spaghetti w swojej

ulubionej restauracji w Mediolanie. Krisztina i Ella były na jego pogrzebie, który odbył się w Rzymie.

Chateau de Trouvere, jak wszyscy przepowiadali, popadł w trudności finansowe. Ella, z nadzieją, że Olivier nawiąże z nią kontakt, czekała, ale daremnie. Dostawali wiadomości od niego, oczywiście wiedzieli, że się ożenił i błyskawicznie rozwiódł z niejaką Marianne Dubois, swoją młodą sekretarką Jak mówił Alex Monselet, który nadal był w kontakcie z personelem de Trouvere, Marianne zaszła w ciążę z Olivierem i w przeciwieństwie do innych jego kobiet, nie dała się zbyć. Małżeńskie szczęście szybko zgasło, jeśli w ogóle zajaśniało, owoc tego związku, córkę imieniem Claudette, matka zabrała do swoich rodziców i ani Krisztina, ani Ella nigdy tej małej nie widziały. Gdy sześć miesięcy po jej narodzinach Ella złożyła w de Trouvere wizytę, było tam zupełnie tak, jakby Marianne i Claudette nigdy w ogóle nie istniały.

Danielle tymczasem jeździła do szkoły w Rhinebeck i dwa razy na tydzień do Woodstock na lekcje tańca klasycznego. Prawie codziennie pod okiem babki ćwiczyła taniec z nieustającym zapałem i radością, co sprawiało, że rodzice i dziadkowie już widzieli w niej przyszłą studentkę Akademii Sztuk Scenicznych i była wdzięczną, szczęśliwą solenizantką w każde swoje urodziny, a zwłaszcza dziewiąte dwudziestego pierwszego czerwca 1983 roku.

– Mam nadzieję, że Sandersonowie zwolnią apartament dość wcześnie – powiedziała Ella do Chrisa Logana, kierownika biura, za piętnaście dziesiąta rano szóstego sierpnia.

– O pierwszej, jak normalnie. Czy to ważne, pani Bogarde?

– Około piątej przyjedzie pewien znakomity gość i chcę, żeby *salle bleu* była w idealnym porządku.

– Kto taki? – Chris Logan się zdziwił, że ta rezerwacja nie przeszła zwykłymi kanałami. Sporo stałych gości wolało rozmawiać bezpośrednio z Ellą, w przekonaniu, że to nada rezerwacji większą wagę – mylnym, ponieważ z zasady każdego traktowano jak członka rodziny królewskiej.

– Sandor Janos – odpowiedziała Ella.

– Ten dyrygent? Przecież on się zatrzymuje w Pierre.

– Tak, kiedy odbywa próby albo występuje, ale teraz ma cztery dni odpoczynku przed występem w Lincoln Center, a że już kończy tournée po Stanach Zjednoczonych, myślę, że jest wyczerpany i szuka oazy.

Janos wpadł do hotelu z siłą niezupełnie wyczerpanego huraganu.

– Gość na medal! – mruknęła Lome Triveto, główna gospodyni, po krótkiej zwykłej wizycie powitalnej w jego apartamencie.

– Cudo – zaopiniował Justin Brown, hotelowy masażysta, – gdy Janos wypróbował sprzęt w sali gimnastycznej, szczupły i świetnie umięśniony, jak wielu dyrygentów.

– Nadzwyczaj pociągający mężczyzna – orzekła Krisztina, obserwując Janosa przy kolacji.

– Czyżby? – zapytała Ella. – Nie zauważyłam.

Harry popijał Vichyssoise.

– Typowy Węgier – powiedział.

– Naprawdę? – zapytała Krisztina. – Jakoś nie bardzo podobny do mnie.

– Raczej nie – potwierdził William. – Ciemne włosy, jeszcze ciemniejsze oczy, orli nos, wąskie usta...

– Wysoko osadzone kości policzkowe – dorzuciła Krisztina.

– Ty też masz takie, *maman* – włączyła się Ella.

– Wygląda jak żigolo – powiedział Harry.

– A to jeden z najlepszych obecnie dyrygentów świata. – Krisztina się uśmiechnęła. – Ładne mi skojarzenie.

Janos, wiedząc, że mu się przyglądają, podniósł kieliszek i lekko się uklonił.

– Zarozumialec w dodatku – wycedził Harry.

– Dlaczego jesteś taki niemiły, *cheri*? – zapytała Ella zdziwiona.

– Jest zazdrosny – powiedział William.

– Zazdrosny?

– O co Harry ma być zazdrosny? – zapytała Krisztina.

– O to, że Janos tak patrzy na Ellę.

– Nie bądź niemądry, papo.

– Nie ma w tym nic zdrożnego, kochanie – wyjaśnił William łagodnie. – On nie inaczej patrzy na twoją matkę. Ten człowiek ma najwyraźniej dobry gust.

– Czelność, powiedziałbym – palnął Harry.

– Och, nie bądź takim mieszcuchem. – Ella się uśmiechała.

Janos okazał się trudnym gościem, na byle co się uskarżając i uparcie składając najbardziej nawet błahe reklamacje na ręce Elli.

– Może on jest szalenie utalentowany – powiedziała Ella Krisztynie – i może nawet, zdaniem niektórych, przystojny...

– Twoim zdaniem nie? – Oczy matki się zaiskrzyły.

– Niespecjalnie. Ale z pewnością to rzep pod ogonem.

– Stałaś się bardzo amerykańska. – Krisztina westchnęła.

– Ulży mi, kiedy wyjedzie.

– Jednak będziesz na koncercie, prawda?

– Oczywiście. Kocham Mahlera.

– Ja go lubię.

– Mahlera?

– Nie, Janosa.

– Dużo z nim rozmawiałaś?

Krisztina przytaknęła.

– Mieliśmy kilka przemyłych rozmów. On jest też z Budy, wiesz. Jego ojca i dziadka zamordowali Nyilas...

– Kto?

– Banda zbirów, wypuszczona na ulice Budapesztu przez hitlerowców.

– Gdzie on wtedy był?

– Matka go ukryła u przyjaciół. Wydostał się z Węgier pod koniec roku pięćdziesiątego szóstego.

– To by tłumaczyło jego żal do świata – powiedziała Ella z powątpiewaniem.

– Może ma kilka żalów. Zaczął jako skrzypek, wiesz, potem pokochał fortepian, ale w czasie rozruchów, kiedy Rosjanie już weszli do Budapesztu, zmiażdżono mu palce lewej ręki i miał je nienastawione, dopóki nie dotarł do obozu brytyjskiego w Austrii. Wiedział, że już nie będzie mógł

być pianistą, ale zaczął dyrygować zespołem kolegów muzyków od razu tam, w obozie.

– Rozmawiałaś z nim. – Ella nie posiadała się ze zdumienia.

– Zawsze rozmawiam z ludźmi, którzy mnie interesują, *dragam*, wiesz o tym.

Dopiero gdy zobaczyła Sandora Janosa na podium w Lincoln Center, uznała fakt, że on jest przystojny.

Publiczność szczelnie wypełniała salę. Suknie wieczorowe, klejnoty błyskały, perfumy wprost dusiły, nastrój musował. Przed koncertem, gdy Ella i Harry usiedli przy Krisztynie i Williamie, rozbrzmiewał gwar, brzdąkały, pohukiwały, grzechotały strojone instrumenty, szeleściły stronice nut i libretta, wszyscy czekali. Ukazał się dyrygent chóru, blondyn w okularach, powitany grzecznymi oklaskami i po chwili orkiestra wstała. Wkroczył Sandor Janos. Przywitał się z solistami, majestatycznie wśród wrzawy zajął swoje miejsce na podium.

W hotelu Ella rzeczywiście uważała, że Janos wcale nie jest frapujący, ale teraz nagle, gdy zaległa pełna oczekiwania cisza i z podniesioną batutą stał w aureoli światła, wydawał się jej wspaniałym, kruczowłosym gigantem. Znieruchomiała. Wstrzymała oddech, patrząc, jak ten dyrygent trzyma skrzypków, wiolonczelistów, soprany i wszystko na uwieży. I raptem efektownym ruchem opuścił prawą rękę jak zabójczy miecz. Ponadpięćdziesięcioosobowy zespół dał się, na łeb, na szyję, porwać w dramatyczną pierwszą część symfonii *Resurrection* Mahlera.

– Nigdy nie widziałem ciebie takiej, jaka byłaś dziś na koncercie – powiedział Harry później, gdy Ella przed lustrem usuwała ostatnie ślady tuszu do rzęs.

– Jak mam to rozumieć?

– Zwykle, kiedy muzyka cię porusza, masz wyraz twarzy nieprzytomny, daleki.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj wlepiałaś oczy w dyrygenta.

Ella wrzuciła bibułkę do koszyka na śmierci.

– On przykuwa uwagę, kiedy dyryguje.

– Niewątpliwie – zgodził się Harry. – Ale tacy byli też Mehta i Muti, i Bernstein.

– I na pewno tak samo patrzyłam na nich.

– Inaczej. Patrzyłaś poprzez nich... przejęta samą muzyką.

– Dzisiaj też.

– Wiem. Byłaś urzeczona... ale nie mniej Janosem niż Mahlerem.

Ella odwróciła się na krześle.

– Powiedziałaś ci: zobaczyłam, że on bardzo ciekawie dyryguje. To ci się nie podoba?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Dlaczego?

Włożył spodnie od pizamy.

– Może William miał rację, może jestem zazdrosny?

– Ale o co, na litość boską? Janosa nawet nie lubię.

– Mnie też nie lubiłaś, kiedyśmy się poznali.

Zirytowała się.

– Trochę jesteś osłem, wiesz, Harry?

– Wiem.

– Więc skończ z tym.

– Dobrze. – Położył się w łóżku, naciągnął, po czym odrzucił kołdrę, znowu naburmuszony. Ella zdjęła szlafrok i położyła się obok niego.

Pociągnął nosem.

– Uperfumowałaś się? – Nie.

– Pachniesz cudownie.

– Dziękuję. – Po chwili zapytała: – Dlaczego ci się zdaje, że jesteś zazdrosny o Janosa?

Zmieszał się.

– Jestem osioł, masz rację.

– Nadal nie rozumiem dlaczego.

– On jest Węgrem.

– Jest.

– I Żydem.

– Tak. – Czekąca. Wzruszył ramionami.

– No, właśnie.

– I to wszystko?

– Wszystko.

– Więc wybacz, jeżeli zapytam. I co z tego?

– No, ty także.

– Co, ja także?

– Jesteś Węgierką i Żydówką.

– Wyjašnjmy sobie – powiedziała Ella powoli. – Uważasz, że ja z tego powodu muszę paść namiętnością do Janosa? – Uśmiechnęła się. – Na świecie jest mnóstwo węgierskich Żydów, Harry... będę więc dosyć zajęta.

– Niewielu z nich to sławni dyrygenci – burknął. – Niewielu z nich mieszka w twoim hotelu i korzysta z każdej możliwej sposobności, żeby być z tobą sam na sam.

– On nie korzysta.

– Przecież sama mówiłaś.

– No, nawet gdyby tak było – powiedziała – już się wymeldował. Możesz się nie martwić.

– Wróci.

– Mam nadzieję... to cenny gość.

– Mówiłaś Kriszti, że on jest jak rzep pod ogonem. Uraził ją.

– Wciąż jeszcze rozmawiacie o mnie za moimi plecami?

– Przez cały czas – odpowiedział spokojnie.

– No więc przestańcie.

– Twoja matka jest moją przyjaciółką. Wolałabyś, żebym rozmawiał z kim innym?

– Oczywiście że nie.

– No to daj temu spokój.

– Najpierw ty mi daj spokój z Sandorem Janosem.

– Dobrze, ale pod warunkiem, że mnie pocałujesz. – I nic więcej?

Pogłaskał ją po szyi przy prawym uchu.

– Na początek.

W drugim tygodniu września Olivier, który od ponad roku nie kontaktował się ani z matką, ani z siostrą, zatelefonował do Elli.

- Czy mogę cię odwiedzić?
- Oczywiście że możesz – odpowiedziała z dosłyszalnym zdumieniem.
- Dziękuję. Więc w piątek.
- W ten piątek?
- Czy to ci nie na rękę?
- Nie, tylko wcześniej, niżbym się spodziewała. Przyjedziesz sam?
- Tak.
- Zarezerwuję dla ciebie apartament i powiem *maman* i papie.
- Jeżeli musisz.
- Ollie, oni będą chcieli się z tobą zobaczyć.
- Czy twój mąż tam będzie?
- Oczywiście.
- Wątpię, czy się ucieszy.

Miał zaledwie trzydzieści osiem lat, ale wydawał się co najmniej o dziesięć lat starszy, z wyraźnym już brzuchem piwosza i twarzą zniszczoną, świadcząca o rozwiązłości.

– Czego on chce? – zapytał Harry w piątkowy poranek po raczej niepożądanym przybyciu szwagra.

- Nie wiem nic o tym, że w ogóle chce czegośkolwiek.
- Nie oszukuj się. O rany, on wygląda strasznie.
- Jest zmęczony – przyznała.
- Kiedyś był przystojny. Teraz wygląda na degenerata, jakim jest.
- Nie bądź taki niezyczliwy.
- Przepraszam, dziecino, ale wiesz, że ja tego faceta nie lubię i z pewnością mu nie ufam.
- On ma kłopoty, Harry. Wszyscy wiemy, że de Trouvere podupada.
- To jasne. Z nim u steru.
- Nie możesz mi zabronić troszczenia się o niego, jakiegokolwiek on popełnia błędy.
- Wiem – powiedział Harry trochę łagodniej – i rozumiem, że nie możesz go stąd wyprosić.

Długo on zostanie?

- Nie wiem.
 - Oby jak najkrócej.
- Ella popatrzyła na męża z wyrzutem.
- Harry, proszę, wytrzymaj ze względu na mnie.

Westchnął.

- Postaram się, kochanie, ale naprawdę nie znam granic swojej wytrzymałości.
- Opowiedz mi o tym małżeństwie – poprosiła Ella Oliviera, gdy siedzieli w jej prywatnym saloniku na parterze hotelu. To był trzeci wieczór jego pobytu.

- Nie ma nic do opowiadania.
- Chyba musi być. Jestem wciąż jeszcze twoją siostrą, Ollie... kiedyś mówiliśmy sobie nasze sekrety.
- Dawno temu.

– Rozwód na pewno cię zabolął.

– Zabolął.

Zrezygnowała.

– Jeszcze armagnacu?

– Proszę.

Napełniła ponownie kieliszek i znów usiadła.

– Jednak chcesz o czymś porozmawiać, prawda?

Olivier wypił łyk.

– Jestem w tarapatach.

– Jakich?

– Pieniądze.

– Przykro mi.

– Nie bądź protekcyjna.

– Nie myśl tak o mnie. – Ella się zawahała. – Przyjechałeś po dobre rady, Ollie, czy po coś bardziej praktycznego?

– Przyjechałem, bo nie przychodził mi do głowy nikt inny, kto by mógł złożyć za mnie kaucję – odpowiedział szczerze.

– Jak dalece się wpakowałaś?

– Przywiozłem liczby i dane. Są na dole w skarbcu, ale podsumowanie mam tutaj. – Wyjął z kieszeni na piersi złożony arkusz papieru i wręczył jej.

Zapatrzyła się na ten papier. Poczowała mdłości.

– Czekam – powiedział.

– Na co?

– Żebyś coś powiedziała potępiającego. Już co najmniej: „a nie mówiłam!”.

Ella jeszcze patrzyła na papier w swojej ręce.

– No?

Spojrzała na niego.

– Powinieneś wiedzieć, że nie mogę ci pomóc, Olivierze. Tym razem nie. – Wydęła usta.

– Ja wiem.

– Więc co? Myślałeś o Harrym? – zapytała z niedowierzaniem.

– Oczywiście że nie. On mnie nie cierpi, od niego nie wziąłbym ani franka.

– Myślę, że w każdym razie to odpada. Nawet gdyby chciał ci pomóc, jego finansowi doradcy by go powstrzymali. Raczej nie jesteś szczęśliwą kartą.

– Nie myślałem o Harrym – powiedział Olivier spokojnie.

– Więc o kim?

– O Williamie.

– O ojcu?

– Czemużby nie?

– Z tych samych powodów.

Olivier wypił resztę koniaku.

– Zapytasz go?

– Sam możesz go zapytać.

– Nie rozmawiałem z nim ponad rok.

– Powiedziałabym, że to twoja sprawa.

Twarz mu drgnęła.

– Zmieniłaś się, Lalla. Kiedyś byłaś najłagodniejszym stworzonkiem pod słońcem.

– Wyrosłam.

Zmienił taktykę.

– De Trouvere umiera, Ella. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

– Sporo znaczy.

– Więc pomóż mi – poprosił.

– Nie widzę jak – powiedziała bezradnie.

– Utrata de Trouvere by mnie zabiła.

– Nic nie zabiłoby ciebie.

– Dlaczego ode mnie odjechałaś?

– Wiesz dlaczego.

Ujął ją za rękę.

– Pomóż mi, Lalla, błagam. Przynajmniej powiedz, że się nad tym zastanowisz.

– Nawet jeżeli się zastanowię, nie znajdę sposobu.

– Zawsze jest sposób – powiedział z rozpaczą. – Tak mówiła *grandmaman*, prawda? Że zawsze jest rozwiązanie każdego problemu.

Namyślała się przez dłuższą chwilę.

– Będę musiała zobaczyć te wszystkie liczby.

– Przyniosę ci za pięć minut. – Wstał skwapliwie.

– Nie dzisiaj. Odlóżmy to do jutra rana. Harry i ja zapoznamy się z tym, kiedy będziemy mieli czas.

– Nie chcę w to włączać Bogarde'a.

– Bogarde, jak go nazywasz, jest moim mężem i moim współnikiem – powiedziała Ella chłodno. – Jeżeli nie chcesz, żeby znał twoje problemy, możesz równie dobrze wyjechać natychmiast.

– W porządku, przepraszam. Ja tylko wolałbym, żebyś omówiła to raczej z Williamem niż z Harrym.

– Zapewne porozmawiam z nimi oboma. – Ella też wstała. – Jestem zmęczona, Ollie, a jeszcze mam coś niecoś do roboty, zanim będę mogła pójść spać. – Przed nim ruszyła do drzwi. – I, Ollie...

– Tak?

– Jeżeli musisz tego popijać, proszę bardzo, w swoim apartamencie. Przyniosą ci tam wszystko, czego potrzebujesz.

– *Uhôteliere parfaite.*

Potrząsnęła głową.

– Nie bardzo doskonała – powiedziała. – Po prostu, skoro jest mi dana druga sposobność, nie pozwolę sobie jej zmarnować.

Olivier popatrzył na nią smętnie.

– Niczym nie skompromituję tego hotelu, przyrzekam ci.

Spojrzała mu w oczy.

– Mam nadzieję.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że twój brat jest neonazistą? – zapytał Harry.

Ella się przeraziła.

– Jak to?

– Confreres de La Fontaine.

Odetchnęła z ulgą.

– Fontaine nie jest stowarzyszeniem neonazystowskim. To prawica, ale zasadniczo tylko bractwo przerośniętych studentów mających obrzydliwe nawyki.

– Nie mówię o dawnym Fontaine – powiedział Harry ponuro. – Sądząc z tego, co słyszę, oni już tak po prostu nie figlują.

– Skąd wiesz?

– Zasięgam informacji.

– I czego się dowiedziałeś?

– Niczego, co by dało się obronić w sądzie...

– Tego bym się spodziewała.

– Front neonazystowski w ciągu ostatnich kilku lat rozrósł się, Ella. W samej Francji wykiełkowało wiele ugrupowań.

– Ale co to ma wspólnego z bractwem Oliviera?

– Nic, poza tym że Fontaine drukuje od czasu do czasu biuletyny, w których usprawiedliwia fakt, że takie ugrupowania istnieją.

– Ale oni sami nie są aktywni. – Spojrzała na Harry'ego z dreszczem lęku. – Nie są, prawda?

– Nie wiem. – Wahał się.

– Harry, powiedz.

– Jest inne ugrupowanie, bractwo w Niemczech.

– Znam ich.

– Czy wiesz, że czasami profanują żydowskie groby? Bazgrzą na nagrobkach groźby, że pomszczą Norymbergę i inne tego rodzaju finezje. – Zobaczył, że Ella zadrzała. – Przykro mi, kochanie, ale myślę, że powinnaś wiedzieć.

Tylko przytaknęła niemo.

– Dobrze się czujesz? – Objął ją opiekuńczo ramieniem.

– Nie.

– Przykro mi – powtórzył.

– Tobie... – przełknęła. – Słusznie, że mi powiedziałaś. – W głowie jej się kręciło. – Czy on... czy wiesz, czy onłożył na Fontaine?

Harry potrząsnął głową.

– O tym nie wiem. Chociaż to możliwe, bo teraz nie ma ani grosza.

Oczy jej napęły się łzami.

– Czasem – wyszeptała – nienawidzę go. – Zamknęła oczy. – A przecież nie mogę przestać go kochać, przestać martwić się o niego. – Otworzyła oczy. – To obłędne, ale czuję się odpowiedzialna za Oliviera.

– Owszem, to jest obłędne. Wszystko potrafię zrozumieć, tylko nie to, że poczuwasz się do odpowiedzialności za cokolwiek, co wyprawia twój brat... twój przyrodni brat...

– Wiem. Ale nie wiem, co zrobić.

– Gdybym się nie domyślał, że mnie nie posłuchasz, radziłbym, żebyś go wyrzuciła kopniakiem. W każdym razie, Ella, masz duży udział w de Trouvere i musisz brać to pod uwagę. Ale... – urwał.

– Co?

Nagle skrępowany, Harry potrząsnął głową.

– Nielatwo owijać w bawełnę. – Wahał się. – Ella, nie mogę tu być, dopóki Olivier nie wyjedzie.

Oczy jej się rozszerzyły.

– Co to znaczy?

– To, co mówię. Staralem się... naprawdę starałem się zachowywać grzecznie, ale nie wiem, jak długo jeszcze zdołam się powstrzymać od walnięcia go w nos.

– Rozumiem.

– Nie rozumiesz. – Harry był rzeczywiście zmartwiony. – Nic na to nie poradzę, kochanie. Po prostu nie lubię tego faceta, gardzę nim! Będę dalej się starał ze względu na ciebie i Kriszti, ale do czasu. Naprawdę, nie ma tu miejsca dla nas dwóch.

Ella patrzyła na niego chłodno.

– Dokąd pojedziesz?

– Nie wiem. To nieważne. Byle daleko od tej góry, zanim wybuchnę.

– I nie wrócisz, dopóki on będzie?

Harry przecesał palcami włosy.

– Nie mogę, Ella... ten facet mnie wkurza, kiedy na niego patrzę. – Spróbował ją objąć, ale stała sztywno. – Najmilsza, jeżeli będę ci potrzebny, jeżeli będziesz miała jakieś kłopoty z Danielle czy z czymkolwiek, przyjadę natychmiast, ale...

– Już mam kłopot.

– Mówisz o Olivierze.

– Tak.

– Temu nie mogę zaradzić.

– Albo nie chcesz. – Uniosła podbródek. – Kiedy wyjedziesz?

– Jutro. Zgoda?

– Nic mnie to nie obchodzi.

Wzdrygnął się.

– Ella, nie mam prawa udawać srogiego męża, kazać ci wyrzucić stąd twojego brata. To byłoby niewłaściwe i nie w moim stylu.

– Istotnie.

Wpatrywał się w nią nieszczęśliwy.

– I jeszcze jedno. – Odczekał chwilę. – Jeżeli ja się dowiedziałem tyle o Olivierze i jego przyjaciółach, jak prędko ktoś inny się dowie?

Nowy robak rozgościł się w żołądku Elli.

– Prasa? – powiedziała posępnie.

– Otóż to.

Zmusiła się, żeby zachować pozorny spokój.

– Jeżeli tak się stanie, po prostu będę musiała jakoś się z tym uporać. Ostatecznie – dodała zimno – to jest mój problem, nie twój, prawda?

– Co zrobisz? – zapytała Krisztina.

– Wciąż jeszcze nad tym się zastanawiam, *maman*. – Ella nie powiedziała matce, czego Harry dowiedział się o Fontaine.

– On jest tutaj już prawie trzy tygodnie. Poza tym że wypłoszył twojego męża, drętwieję na myśl, co się dzieje w de Trouvere.

– Wiedziałyśmy, kiedy tu przyjechałam, że zostawiamy de Trouvere Olivierowi. – Ella usiłowała mówić niefrasobliwie. – Zresztą personel tam na pewno lepiej sobie radzi bez niego.

Krisztina ze smutkiem potrząsnęła głową.

– On mnie traktuje nieomal jak obcą, wiesz.

– Głupiec.

– Ciężko żyć uprzedzenia do własnej matki... może nawet do samego siebie. Odkąd się dowiedział, że jestem Żydówką, nigdy nie rozmawia ze mną normalnie. – Krisztina urwała. – To straszne, że mój syn jest fanatykiem.

Ella milczała.

– Nadal chcesz mu pomóc, *dragam*?

– Przykro mi, *maman*, ale chcę.

– Niech ci nie będzie przykro. Ja czuję to samo. Odtrąciłam jego ojca, kiedy gonił resztkami sił... nie postąpię tak z synem.

Ella odczekała chwilę, zanim powiedziała powoli:

– Właściwie już wymyśliłam rozwiązanie, jeżeli się zgodzisz.

– Mów.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

– Widzę tylko jedno wyjście dla Oliviera i de Trouvere. Trzeba de Trouvere sprzedać.

Krisztina się nie odezwała.

– Przykro mi, *maman*.

– Przyznaję ci rację, Ella – powiedziała matka cicho.

– Olivier ma tylko połowę udziałów. – Ella się wahała. – Chcę mu dać moje. W prezencie. – Patrzyła niespokojnie na matkę. – Ja mam pieniędzy więcej jak dosyć, *maman*. Ollie w ten sposób ocali swoją skórę, a de Trouvere może przynajmniej przejdzie w jakieś odpowiedzialne, troskliwe ręce, zamiast popaść w zupełną ruinę.

Krisztina była blada.

– I myślisz, że on się zgodzi sprzedać?

– Nie będzie miał wyboru.

– William by mu pomógł, wiesz, gdybym go poprosiła.

– To byłoby czyste szaleństwo.

– Trudno będzie znaleźć nabywcę.

– Trudne, ale możliwe.

Krisztina przyjrzała się córce.

– Nie zapytałaś.

– O co?

– o moje udziały.

– Nie mam prawa, *maman*.

Wyprostowała się w fotelu.

– Ja ich nie dam Olivierowi. – I dodała po chwili: – Nie będę mu stała na drodze, jeżeli on znajdzie odpowiedniego reflektanta, ale nie dam mu tego, co prawowicie kiedyś ma przejść na ciebie.

– Mnie raczej nie jest potrzebne.

Pogłaskała córkę po rękę.

– Opiekowałaś się de Trouvere przez tyle lat, Ella. Utrzymywałaś zamek pięknie, był wtedy zdrowy, silny. Twój brat to marnotrawca i głupiec. Nie życzę mu, żeby zbankrutował, ale nic więcej dla niego nie mogę zrobić.

– Myślisz, że ja źle postąpię? – zapytała Ella.

Krisztina uśmiechnęła się.

– Poniekąd, oczywiście. Ale tyś zawsze osłaniała Oliviera... rozstanie z nim było dla ciebie jednym z najcięższych przeżyć.

Znów umilkła.

– O czym myślisz, *maman*?

– O kaplicy – odpowiedziała Krisztina cicho. – I o cmentarzu, Michaelu, *bellemere*, o mamie i o innych.

Ella uścisnęła matce rękę.

– Mogłybyśmy jeszcze walczyć, żeby to wszystko uratować, *maman*... pojechać tam, rzucić Olivierowi wyzwanie, zrobić porządek.

Krisztina stanowczo potrząsnęła głową.

– Nie możesz z powodzeniem prowadzić dwóch hoteli naraz, *cherie*... przynajmniej nie takich jak nasze. Zresztą przeniosłaś tutaj wszystkie wspaniałości de Trouvere. Nigdy nie przepadną dzięki tobie i Harry'emu.

– Harry – powiedziała Ella tęsknie.

Krisztina pogłaskała ją po rękę.

– Niedługo wróci, nie denerwuj się.

– Nie powinien był wyjechać.

– Wróci, kiedy Olivier wyjedzie – powiedziała Krisztina po prostu.

Ella zmieniła temat.

– Jak myślisz, co Olivier będzie robił bez de Trouvere?

– Prawdopodobnie kupi jakiś pełen przepychu apartament w Lasku Bulońskim, będzie chodził po kasynach, pusząc się jak paw, i do upojenia wykorzystywał swój tytuł.

– Czy rzeczywiście jest tak płytki? – zapytała ze smutkiem Ella.

Krisztina znów pokręciła głową.

– Nie wiem.

Pierwsza wzmianka ukazała się w dwa dni później, jak krótka, chytra uwaga w jednej z mniej szacownych nowojorskich kronik towarzyskich i od razu podjął ją ochoczo jakiś bezetatowy dziennikarz, polujący na brudne sensacje. NOWE „ORLE GNIAZDO” W CATSKILLS?

– Powiedz mi, że to nieprawda – prosiła Krisztina Ellę po przeczytaniu tego półstronicowego

artykułu.

– To gruba przesada.

– Ale jest w tym ziarenko prawdy?

– Niestety, tak. – Niechętnie Ella opowiedziała matce, co wykrył Harry.

Krisztina miała twarz popielatą.

– Syn swojego ojca. – Przygryzła wargę. – William to przeczytał, oczywiście.

– Już dwie pary gości się wymeldowały, *maman*.

– Nie uspokoiłaś ich?

– Usiłowałam, ale wyraźnie uznali, że nie ma dymu bez ognia. – Ella mówiła spokojnie, wcale jednak spokojna nie była. – Czekam, kiedy zaczniesz się odwoływanie rezerwacji.

– Olivier musi wyjechać – powiedziała Krisztina stanowczo.

– Wiem.

– Musisz teraz porozmawiać z nim o sprzedaniu de Trouvere. Chyba że się rozmyśliłaś.

– Nie rozmyślałam się.

– Więc postaw sprawę jasno, że nie ma dyskusji... nie ma alternatywy. I wypraw go stąd, zanim zrujnuje także Zamek Bogarde.

Olivier się zdenerwował, Ella jednak pozostała nieugięta.

– To jedyny sposób, Olivier. Jesteś niezdolny do prowadzenia hotelu, do zarządzania posiadłością i nikt przy zdrowych zmysłach nie da ci już ani jednego franka.

– Przede wszystkim dziękuję za wiarę we mnie.

– Ja w ciebie już nie...

– Ani twój ojciec, o ile się orientuję?

– Czy bez powodu?

Nic na to nie powiedział.

– W każdym razie będę ci wdzięczna, jeżeli wyjedziesz możliwie jak najszybciej.

Zaczerwienił się.

– Przecież nie wierzysz w te brednie, które wydrukowali.

– W to, że z Zamku Bogarde chciałbyś zrobić Berchtesgaden? Nie, naturalnie że nie. Ostatecznie sam jesteś pół-Żydem. – Patrzyła, jak twarz mu ciemnieje. – Ale wiem, z jakimi ludźmi się bratasz, i mogę ci powiedzieć tutaj i teraz, że to musi się skończyć.

– Bo co?

– Bo nie tylko nie zrzeknę się moich udziałów, ale *maman* i ja nie pozwolimy ci sprzedać de Trouvere. Zbankrutujesz skompromitowany.

– I wy ze mną.

– Nie, my nie. Zresztą my nie dźwigamy ciężaru twojego nazwiska. Pomyśl o tym. Pomyśl o swoim ojcu, o swoim dziadku... o wszystkich baronach de Trouvere.

Te słowa odniosły zamierzony skutek.

– Zrezygnuję z Fontaine – powiedział.

– Dotychczas nie próbowałeś zrezygnować. Jesteś pewny, że oni cię puszcza?

– Zatrzymać mnie nie mogą. – Zaczął się jąkać. – Zrezygnuję, przysięgam... na wszystko, co święte.

– A niby co jest święte dla ciebie? – zapytała Ella i uniosła rękę. – Nie, już mi nie kłam, bo

pogarszasz sprawę. – Serce miała jak z ołowiu. – Przysiągłeś, że odłączysz się od tych ludzi, więc chyba musisz dołożyć starań, żeby ci uwierzyć.

– I pomożesz mi?

– Jeżeli wyjedziesz dzisiaj.

Olivier wstał powoli.

– Pytałaś, co jest dla mnie święte?

– Czy jeszcze coś świętego dla ciebie zostało?

– Ty. – Jego ciemne oczy zabłyśły. – Nadal ty... zawsze ty. – Umilkł. – I Danielle także, teraz, kiedy ją poznałem.

– Dani. – Ella przytaknęła. – Przynajmniej to mogę zrozumieć.

– Taka właśnie byłaś ty w tym wieku... Lalla, cała złocista, dzielna, pełna słodyczy.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Jakaś miękkość wsnęła się w powietrze.

Ella znów się ożywiła.

– Czekają mnie konsultacje. To zajmie sporo czasu – powiedziała. – I *maman*, i ja zastrzegamy sobie uczestniczenie we wszystkich negocjacjach dotyczących sprzedaży.

– Naturalnie. Ella też wstała.

– Więc wyjedziesz dzisiaj?

– Wyjadę.

Przy drzwiach powiedział z bólem:

– Wiem, że to zniszczyłem. Rozbiłem wszystko.

– Owszem, rozbiłeś. – Umilkła i dodała łagodniej: – Może nie mogłeś się powstrzymać.

– Co ja będę robił, Lalla, kiedy de Trouvere już nie będzie?

– *Maman* mówi, że kupisz sobie wspaniały dom w Paryżu i będziesz utrzymywał się z hazardu.

Skrzywił usta.

– Może ma rację.

– Czy chcesz się z nią zobaczyć? Pojechała do Rhinebeck, ale na pewno będzie jej przyjemnie, jeżeli wstąpisz tam w drodze do miasta.

– Myślę, że wstąpię.

– Ale nie wstąpisz, prawda? Potrząsnął głową.

– Chyba nie.

Harry zatelefonował nazajutrz rano.

– Jestem na Manhattanie u Williama.

– Więc wiesz, że on wyjechał?

– Wiem.

– Czy to znaczy, że wrócisz?

– Jeżeli mnie chcesz.

– Dlaczego miałabym nie chcieć?

– Dlatego, że to był brzydki numer, ta moja ucieczka od ciebie.

– Tak uważam.

– Ella, czy mi kiedykolwiek przebaczysz?

– Nie bądź głupi, Harry – powiedziała ze znużeniem. – Oczywiście, że ci przebaczę.

– Ale jeszcze nie przebaczyłaś?

- Niezupełnie.
- Czego trzeba, żebyś mi przebaczyła?
- Nie potrafię powiedzieć.

Święto Dziękczynienia – ubolewała Danielle – to prawdziwa mordęga w Zamku Bogarde. Kiedy na świecicie rodziny siadają sobie do indyka w domu, my musimy jeść kolację z dwustoma obcymi ludźmi.

– Kocham nasz hotel, mamusiu – oświadczyła na trzy tygodnie przed tym świętem – ale czy nie moglibyśmy mieć kilku godzin domowych?

– No, wy możecie – wyjaśniła Ella rozsądnie – tylko że wtedy ja bym nie widziała nikogo z was, dopóki świętowanie w restauracji by się nie skończyło. A tak, chociaż nie u siebie w domu, przynajmniej jesteśmy wszyscy razem.

– Chyba – powiedziała Danielle z powątpiewaniem.

– Zawsze mówiłaś, że to uciecha mieć tyle ludzi wokoło.

– Byłam wtedy dzieckiem.

Ella się uśmiechnęła.

– Rozumiem.

Danielle zastanawiała się przez chwilę.

– Mamusiu, czy w tym roku mogę pojechać do Janey?

– W Dziękczynienie? Nie, kotku, to jest rodzinne święto.

– Ale już po kolacji – poprosiła. – Mama Janey bardzo mnie zapraszała... i mogłabym tam zostać na noc.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, co tatuś powie, po pierwsze... a po drugie, od pogody.

– Od pogody? – powtórzyła Danielle z niesmakiem.

– Nieraz w Dziękczynienie mieliśmy śnieg, a ty wiesz, jakie nieprzejezdne mogą być szosy.

– Ale jeżeli nie będzie śniegu, mogę pojechać?

– Niewykluczone.

– Och, super! Dziękuję, mamusiu.

Pierwsza zimowa nawałnica zaczęła się na trzy dni przed Świętem Dziękczynienia, odcinając hotel od świata. Trzydzieści sześć godzin później chmury opadły w dolinę i Zamek Bogarde unosił się jak miraż, skąpany w blasku słońca, gdy pługi śnieżne ruszyły i ludzie z łopatami zabrali się do pracy, a szczęśliwcy pod bezpieczną osłoną hotelu albo siedzieli wygodnie przy ogniu buzującym w kominkach, albo wesoło zjeżdżali sankami po torach na zboczach.

– Czy dostawy teraz się przedostaną? – niespokojnie zapytała Krisztina.

– Na razie jest dobrze.

W Święto Dziękczynienia Harry obudził się rano z okropnym katarem i bólem głowy, daleki od świątecznej *bonhomie*. Wieczorem tradycyjna uczta – indyk, słodkie kartofle, kukurydza, sos żurawinowy i placek z dynią – wielka przyjemność zarówno dla gości, jak dla rodziny, była zakrapiana czerwonym winem i szampanem, a potem portwajnem i koniakiem. Harry, daremnie usiłując zwalczyć przeziębienie, pił dużo.

Gdy na ich stolik podano kawę, Ellę wezwano do telefonu.

– Kto dzwonił? – Harry czekał na jej powrót przy drzwiach sali restauracyjnej.

– Olivier.

Naburmuszył się.

– Czego on chciał, do diabła?

– Nic specjalnego.

– Nie było ciebie przez pół godziny... na pewno czegoś chciał.

– Porozmawiać – powiedziała Ella.

Niedorzeczne rozdrażnienie Harry'ego zakipiało.

– Czy nie wie, że masz lepsze zajęcie niż rozmawiać z nim w środku kolacji Dziękczynienia?

– Właśnie prosił, żebym przekazała wszystkim życzenia od niego, a zwłaszcza Dani szczególnie serdeczne.

– Tylko tego jej potrzeba do szczęścia... szczególnej serdeczności nazisty.

– Harry, na miłość boską, co cię dziś ugryzło?

Kiwnął na przechodzącego kelnera i ponownie zamówił koniak.

– Nie sądzisz, że wypiełeś dosyć? – zapytała.

– Troszcz się o swojego cholernego brata, a nie o mnie! Chyba powinniśmy dziękować Bogu za to, że nie pokazał się tu osobiście i nie zrobił nam jeszcze większej reklamy gratis.

– To rozdmuchali, Harry, dobrze wiesz.

Przybiegła Danielle.

– Mamusiu, kiedy mogę pojechać do Janey?

– Obawiam się, że nie pojedziesz – powiedziała Ella.

– Mówiłaś, że mogę.

– Nie. Mówiłam, że to zależy od pogody.

– Ale śnieg już nie pada – zauważyła Danielle. – I już sama spakowałam torbę.

– Więc również łatwo możesz rozpakować – powiedziała Ella.

– Och, mamusiu!

– Dlaczego ona nie może pojechać? – zapytał Harry.

– Dlatego, że szosy są dziś niepewne.

– Ale Janey mieszka w Palenville, prawda? To niedaleko! – Harry podniósł głos.

– Mamusiu, ja muszę pojechać – dołączyła się Daniele. – Brzydko w ostatniej chwili odwoływać, zawsze mnie tego uczysz.

– Ja ją zawiozę – powiedział Harry.

– Nie, ty nie.

– Dlaczego, do diabła?

Ella usiłowała być łagodna.

– Za dużo wypiełeś.

– To, że rażą cię słowa prawdy o twoim parszywym bracie, nie znaczy, – że jestem pijany.

– Harry, proszę, mów ciszej.

– Zawiozę cię, serduszek – powiedział Harry córce.

– Nie, nie zawieziesz. – Ella szybko poszła na kompromis. – Dani, idź po swoje rzeczy. Lin Tsung zawiezie cię do Janey.

– Och, fajnie! – Danielle zniknęła.

Harry patrzył na Ellę wojowniczo.

– Lin Tsung wypił tylko jeden kieliszek wina – wyjaśniła. – Może powinienes się położyć.

Katar cię ogłupia.

– Diabła tam, ogłupia. – Odwrócił się na pięcie.

– Dokąd idziesz?

– Jadę. – Obejrzał się na nią, pełen zawziętości. – Skoro wolisz rozmawiać z bratem niż z mężem, wątpię, czy będzie ci mnie brakowało.

– Nie pojedziesz z Dani!

– Nie, nie z Dani... sam. Żeby rzeczywiście upić się na umór.

Nagle zaniepokojona, położyła mu rękę na ramieniu.

– Harry, proszę, nie prowadź samochodu w takim stanie.

Strząsnął jej rękę.

– Troszcz się dalej o swoich gości i daj mi, do cholery jasnej, spokój.

Gdy dwie godziny później przyszedł do niej Louis Dettlingen bardzo blady, wiedziała natychmiast.

– *Bon Dieu* – wyszeptała. – To Harry, prawda?

– Nie – odpowiedział Louis.

Odetchnęła z bezmierną ulgą.

– Więc co?

– Dani... i Lin Tsung.

Zapatrzyła się w Louisa.

– Mieli wypadek, *madame*.

Gdy Ella, William i Krisztina przyjechali do szpitala w Catskill, na śniegu przed wejściem stał Lin Tsung, zdrow i cały. Ella wyskoczyła z jeszcze niezatrzymanego samochodu.

– Gdzie ona jest?

– W izbie przyjęć. – Lin Tsung płakał. – Nie pozwolili mi być przy niej.

Ella wbiegła do szpitala, William i Krisztina szybko podeszli do Lin Tsunga.

– Co się stało? – zapytał William.

– Ciężarówka – odpowiedział Lin Tsung tępo. – Kierowca stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w nas.

– Co z Dani? – Łzy dławily Krisztinę.

Lin Tsung patrzył na nią jak z dna nieszczęścia.

– Nie wiem.

– Obrażenia głowy.

Te słowa rozbrzmiały jak dzwon żałobny na wyszorowanym białym, wyłożonym linoleum korytarzu.

– Ciężkie? – Ella prawie nie rozpoznała własnego głosu.

– Nie wiadomo, dopóki nie przeprowadzimy kilku badań.

– Kiedy?

– Zaraz.

– Stan zupełnie dobry, jeśli już coś możemy powiedzieć.

– Ale jeszcze jest nieprzytomna.

– Nie ma złamań ani wewnętrznego krwawienia.

– A czy... uszkodzenie... – Nawet William nie mógł się zdobyć na wypowiedzenie tego, co

przejmowało ich grozą.

– Uszkodzenie mózgu? – Zostało to powiedziane delikatnie. – Mało prawdopodobne. Będziemy wiedzieli na pewno, kiedy ona się obudzi.

– Szybko?

– Trudno powiedzieć.

Ella, William, Krisztina i Lin Tsung byli przy niej, gdy otworzyła oczy.

– Mamusiu?

Serca im wezbrały niewysłowioną radością.

– Tak, kochanie. Jestem tutaj.

Maleńki, wąty uśmiech rozciągnął zbiegłe usta dziewczynki.

– Gdzie jest tatuś?

– Będzie tu, serduszek.

Teraz na twarzy Danielle malowało się dziwne zdumienie.

– Gdzie jest tatuś? – powtórzyła pytanie. Ella pochyliła się nad nią.

– Niedługo tu przyjedzie... nie martw się, Dani. Zdumienie zmieniło się w lęk.

– Gdzie jest mój tatuś?!

Ella pogłaskała ją po głowie, uważając na bandaż.

– Przyjedzie tu tak prędko, jak może.

– Dlaczego ty szepczesz, mamusiu?

– Co, kochanie?

– Nie słyszę cię, mamusiu. Ella zamarła.

– Mamusiu, ja ciebie nie słyszę!

– Ona ogłuchła, pani doktor!

Florence Cain, specjalistka, szybko wezwana przez dyżurnego chirurga, patrzyła spokojnie na rozgorączkowaną Ellę.

– Niekoniecznie, pani Bogarde.

– Ona nie słyszy! Nic a nic!

– Chyba niezupełnie tak jest. Danielle się uskarżała, że wszyscy szepczą, prawda?

– Tak – przyznała Ella. – Ale nie mogła wyłowić ani słowa z tego, co się mówiło.

– Pani wie, że mózg nie jest uszkodzony, pani Bogarde? – zapytała doktor Cain.

– Tak, Bogu dzięki, ale ta głuchota? Tylko chwilowa, czy to pani mówi?

– Wskutek tego wypadku ona ogłuchła do pewnego stopnia. Do jakiego i czy tylko chwilowo, dopiero zbadamy. – I gdy Ella przytaknęła niemo, doktor Cain powiedziała: – Danielle pyta o ojca.

– Tak.

– Czy został zawiadomiony?

– Nie wiem, gdzie on jest... wyjechał przedtem i...

Pani doktor patrzyła ze współczuciem.

– Może pani teraz powie dobranoc córce i pojedzie do domu, żeby porządnie się przespać.

– Zostanę przy Dani.

– Ona też będzie spała, wie pani.

– Ja się stąd nie ruszę – oświadczyła Ella.

Doktor Cain przytaknęła.

– Więc załatwię, żeby wstawiono do jej separatki polowe łóżko.

– Dziękuję.

Harry, z twarzą białą jak kreda, przyjechał o szóstej rano. Przez godzinę tulił Danielle w objęciach, pisał jej na kartkach żartobliwe serdeczności i zapewnienia, że nikt się na nią nie gniewa.

– Myślała, że może ją obwiniamy, bo tak się upierała, żeby pojechać do Janey – powiedział Elli w poczekalni.

– Biedactwo małe – powiedziała Ella.

Ciężko usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

– Boże, co za gmatwanina.

Po długiej chwili Ella zapytała:

– Harry, gdzie byłeś?

– W Tannersville – odpowiedział. – W knajpie.

– Przez całą noc?

Potrząsnął głową.

– Spałem w samochodzie.

Zaległa cisza.

– Musiałam być bardzo silna tej nocy – powiedziała Ella głosem prawie bezdźwięcznym. – Potrzebowałam nade wszystko mieć cię przy sobie.

– A nie miałaś.

– Nie miałam. – Westchnęła. – Wracajmy już do niej. Nie powinna być sama zbyt długo.

Harry wstał powoli, drżąc.

– Ależ wybrałem sobie czas na kłótnię – powiedział. Miał łzy w oczach. – Tak mi przykro.

Ella podała mu rękę.

– Wiem.

– Mamy trzy oddzielne zmartwienia – powiedziała Florence Cain po dwóch dniach Elli i Harry'emu.

– Trzy? – powtórzył Harry.

Ella siedziała, zaciskając ręce na kolanach, aż kłykcie jej zbieleły.

– Zacznę od najkrótszego. – Z otwartej teczki doktor Cain wyjęła kolorową ilustrację, z wyraźnymi zaznaczeniami. – Uderzenie w głowę poważnie uszkodziło ten oto przewód słuchowy lewego ucha Dani.

– Da się zoperować? – zapytał Harry.

Ella wstrzymała oddech.

– Niestety, nie.

– Czy ona cokolwiek tym uchem słyszy?

– Prawie nic.

– A co z prawym uchem?

– Drugie zmartwienie. – Doktor Cain wzięła ołówek i wskazywała im na ilustracji. – Te trzy maleńkie kości nazywają się kosteczki słuchowe. Tworzą łańcuch, który przenosi drgania dźwięku z błony bębenkowej do ucha wewnętrznego. – Umilkła na chwilę. – W przypadku Dani te kosteczki się rozdzieliły wskutek uderzenia w głowę i stąd poważna utrata słuchu.

– Co można zrobić? – zapytał Harry.

– Możemy złożyć kosteczki słuchowe operacyjnie. – Pani doktor się uśmiechnęła. – Ta operacja przeważnie się udaje.

Ella uspokoiła się trochę.

– Więc ona będzie znów słyszała?

– Jeżeli operacja się uda.

Harry zapytał o trzecie zmartwienie.

– Niestety, błędnik i organ równowagi są też uszkodzone.

Harry i Ella zbledli.

– To nie znaczy, że Dani będzie niesprawna, że nie będzie mogła chodzić, nic takiego, ale kiedy już zacznie wstawać, będzie miała silne zawroty głowy. Wszyscy musicie być na to przygotowani, a zwłaszcza, oczywiście, sama Dani.

Ella znów mocno splatała ręce.

– Co można z tym zrobić?

– Niestety, to nie do zoperowania, ale Dani sama sobie zaordynuje najlepszą terapię, naturalnie pod profesjonalną opieką. – Pani doktor rozparła się w fotelu. – Z takim uszkodzeniem w przypadku dorosłej osoby może być mnóstwo trudności, ale dzieci, jak stwierdzamy, wyrównują ten brak bardzo szybko. Wiele czynników przecież pomaga nam zachowywać równowagę... na przykład, stopy, kiedy stąpamy, i oczywiście wzrok.

– Więc Dani będzie mogła sobie powetować brak tych nerwów? – zapytał Harry.

– Przez jakiś czas nie, a potem nie w każdej sytuacji. Prawdopodobnie zawsze będzie jej trudno chodzić po terenie nierównym albo miękkim... po grubym dywanie, na przykład, po trawie. I będzie też jej trudno w ciemnościach, ale nawet wtedy sobie poradzi. Odruchowo będzie chodzić ostrożniej i posługiwać się rękami.

Smutek w tym momencie, opowiadała później doktor Cain swoim kolegom, był prawie namacalny, prawie można by go krajać nożem. Przedstawiła państwu Bogarde prognozę pod wieloma względami optymistyczną, ale wiedziała, że stosunkowo niewiele słów zatruło optymizm.

– Dani jest tancerką – powiedziała Ella cicho – bardzo obiecującą uczennicą szkoły baletowej.

Florence Cain poczuła kulę w gardle.

– Przykro mi.

Harry wziął żonę za rękę.

– Dani jest twarda – przypomniał jej, nagle zachrypnięty. – Lin Tsung zawsze mówi, że ona ma wrodzone wyczucie równowagi, najdoskonalsze ze wszystkich dzieci, które znał.

Ellę oczy piekły.

– Miała – szepnęła.

Gdy pierwszy raz Dani próbowała bez pomocy chodzić, chwiejąc się, jakby była trochę pijana, i dzielnie panując nad sobą, żeby nie krzyknąć i się nie rozzłościć, Ella płakała niepokieszenie, a Harry uciekł do łazienki i wymiotował, po czym przez godzinę siedział nieruchomo i milczał.

Właśnie Harry'emu najtrudniej było się z tym uporać. Nawet po udanej operacji prawego ucha i przywiezieniu jej do domu.

– To, że ją uczyć czytać z ruchu warg, wydaje mu się dowodem klęski – powiedziała Ella Krisztynie. – Rozpacza, że skoro ona słyszy, dlaczego ją traktują jak dziecko głuche jak pień. I kiedy się zapomina i mówi do niej z lewej strony, a nie ma żadnej reakcji, strasznie to przeżywa.

Nie wiem, *maman*, co robić.

Krisztina pokręciła głową.

– Widzę tu po części związek z tym, co mówiłam dawno, kiedy się pobraliście i już mieliście Dani, a Harry uznał, że stworzył sobie raz na zawsze trwałą idyllę. Teraz jest przeświadczony, że idylla się rozpada. – Umilkła. – I chyba... chociaż mogę się mylić... jest też przeświadczony, że obarczasz go winą za ten wypadek.

– Dlaczego?

Krisztina wzruszyła ramionami.

– Nie chciałaś, żeby Dani pojechała do Palenville w Dziękczynienie. On wymógł na tobie zgodę, a potem zniknął i upił się, zamiast być przy tobie.

– Ale ja nigdy nie powiedziałam, że to jego wina.

– Nie myślałaś tak?

– Tylko tamtej pierwszej nocy... bo się bałam i gniewałam.

– Jednak on chyba czuje się winny. Widzi, jak Dani cierpi i jak ty cierpisz razem z nią...

– Dani z tego wyjdzie! Na pewno będą jeszcze ciężkie chwile, ale ona nie cierpi.

– Ty i ja o tym wiemy, Ella.

– Ale Harry nie wie.

Napięcie pomiędzy Harrym i Ellą wciąż jeszcze się utrzymywało, gdy po Bożym Narodzeniu w Zamku Bogarde bez uprzedzenia zjawił się Olivier.

– Co, do diabła, on tutaj robi? – zapytał Harry Ellę.

– Przyjechał do Dani, przywiózł jej spóźnione prezenty gwiazdkowe. Wiesz, jak bardzo się tym wypadkiem przejął.

– Dobry, stary wujaszek Ollie – Harry uśmiechnął się ironicznie.

Ella westchnęła.

– Daj mu szansę, Harry, proszę cię, tylko raz.

Tydzień później Olivier jeszcze był w zamku.

– Chcę, żeby się wyniósł – powiedział Harry Elli. – Wyproś go.

Ella potrząsnęła głową.

– Tym razem nie.

– A czym się różni ten raz? Pomijając moją osobistą animozję, która, zdaje się, nie ma dla ciebie znaczenia, pomyśl, jakie używanie będzie miała prasa, jeśli się dowie, że on jest tutaj.

– To już nieaktualne – spokojnie powiedziała Ella. – I Olivier nie przyjechał tutaj, żeby narobić kłopotu. Przyjechał do Dani bez żadnych ukrytych zamiarów i ona cieszy się, że ma go tutaj. – Po chwili dodała: – Nawet starał się być miły dla rodziców.

Harry zacisnął szczęki.

– Nie chcę, żeby Danielle z nim przebywała.

– Jest jej wujem... nie robi jej nic złego.

Harry potrząsnął głową.

– Jak możesz być tak ślepa?

– W tej szczególnej chwili nie sędzę, żebym była ślepa.

– Ella, kochanie, na miłość boską! – Ujął żonę za ramiona, patrząc błagalnie. – Czy jeszcze nie rozumiesz... ja nie mogę być z tym człowiekiem pod jednym dachem.

– On nie jest pod tym dachem, Harry. Jest w hotelu.

Puścił ją, zniecierpliwiony.

– Wychodzi na to samo i ty cholernie dobrze wiesz o tym.

– Więc co będzie? – zapytała Ella z goryczą. – Znowu nas opuścisz?

– Ja nie chcę, uwierz mi! – W jego głosie brzmiała rozpacz.

– Dlaczego? Przecież to już na porządku dziennym... wyjeżdżasz, ilekroć coś się układa niezupełnie jak, jak ty chcesz.

– Ella, czy nie rozumiesz, że Olivier jest niebezpieczny?

– Tylko dla siebie samego. – Umilkła na chwilę. – Wiesz, co myślę? Myślę, że mój brat służy ci za pretekst... Och, ty go nienawidzisz i może nawet słusznie, ostatecznie twoim bratem on nie jest. – Przymrużyła oczy. – Ale teraz to nie tylko to. Harry, od wypadku Dani jesteś rozstrojony i, Bóg mi świadkiem, usiłowałam z tobą porozmawiać, ale ty te problemy zamykasz w sobie i teraz ci się wydaje, że jedyny sposób, żeby uporządkować wszystko, to ucieczka. – Głos jej drżał. – Ale mylisz się, grubo się mylisz.

– Nie uciekam, Ella – powiedział Harry załamującym się głosem. – Tylko muszę się stąd wyrwać na jakiś czas. – Zawahał się. – Może masz rację... może chodzi nie tylko o Oliviera. Ale jego obecność tutaj to po prostu za dużo. On mnie doprowadza do szału.

Trzy dni później Harry spakował dwie walizki, postawił je w holu i z Ellą i Danielle czekał na samochód, który Lin Tsung wyprowadzał z garażu.

Powoli, ale pewnie stąpając boso po posadzce – większość dywanów w domu zastąpiono kaflami i klepką – Danielle podeszła do ojca i wsunęła piąstkę w jego dłoń.

– Tatusiu, dlaczego wyjeżdżasz?

– Mówiłem ci, kochanie – odpowiedział Harry, mizerny i spięty. – Jadę otworzyć galerię sztuki w Zurychu.

– Nie możesz otworzyć tutaj? – Danielle uniosła twarz ku jego twarzy i skupiła się, żeby nie uronić ani jednej sylaby z jego wyjaśnienia, chociaż słyszała je już kilka razy przedtem.

– Zurych jest lepszym miejscem na taką galerię, jaką mam w projekcie, Dani.

– No to dlaczego nie możemy pojechać z tobą?

Ella stanęła z prawej strony Danielle.

– Dlatego, że ja muszę zostać pilnować hotelu, koteczku. I wiesz, że mam tu poza tym mnóstwo roboty.

Drzwi frontowe się otworzyły, wszedł Lin Tsung z posępną twarzą.

– Już czas.

Harry skinął głową.

– Idę, Lin Tsung.

– Tatusiu. – Danielle jeszcze mocno trzymała się jego ręki. – Długo ciebie nie będzie?

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Masz dwie walizki – zauważyła z wyrzutem – zwykle kiedy wyjeżdżasz, bierzesz jedną.

Ella wyręczyła Harry'ego.

– Tym razem tatuś ma mnóstwo potrzebnych dokumentów.

Lin Tsung pochylił się po walizki, ale Harry go powstrzymał.

– Ja przeniosę.

– Więc zaczekam w samochodzie – powiedział Lin Tsung i wyszedł.

Harry ze smutkiem spojrzał na Ellę.

– Zadzwoń do ciebie... zawiadomię, że dojechałem.

Ella przytaknęła.

– Jeżeli chcesz.

Pocałował ją w czoło, wargi miał zimne.

– Tatusiu! – Łzy nagle zdusiły głos Danielle.

– Tak, najmilsza? – Objął dziewczynkę i podniósł.

– Wróć prędko.

– Oczywiście, Dani.

Przycisnął twarz do jej ciepłej szyi, a potem szybko, przypominając sobie, że ona nie słyszy ani nie widzi teraz jego ust, odsunął głowę i żarliwie popatrzył jej w oczy.

– Chyba nie myślisz, że mógłbym długo być daleko stąd, prawda?

Usta Danielle drżały.

– Nie wiem – powiedziała.

Dwa tygodnie później Olivier wyjechał.

Harry pozostawał w Zurychu.

Do Zamku Bogarde przyjechał Sandor Janos.

– Cieszę się, że pana znów widzę, panie Janos.

Uśmiechnął się kpiąco.

– Doprawdy, pani Bogarde?

– Naturalnie – odpowiedziała Ella z powagą. – Dla nas to zaszczyt gościć pana.

– Dziękuję. Gdzie jest pani piękna matka?

– Wyjechała na parę dni do Nowego Jorku, do mojego ojca.

– A małżonek?

Próbowała ukryć, że irytuje ją to wypytywanie.

– Też wyjechał.

– Ach tak, do Szwajcarii.

– Skoro pan wie, dlaczego pan pyta?

Jego ciemne oczy błyszczały.

– Zapomniałem.

Ella zerknęła na biurko Louisa Dettlingena.

– Apartament dla pana gotowy, panie Janos.

Zatrzymał się, żeby wziąć z kontuaru teczkę.

– Czy przypadkiem jest pani wolna dziś wieczorem, żeby zjeść ze mną kolację, pani Bogarde?

Bardzo mi zależy na rozmowie z panią.

– Dziś wieczorem? – powtórzyła Ella, usiłując wymyślić jakąś wymówkę.

– Polecam tutejszą kuchnię. – Janos uśmiechał się. – To 3d znaczy, jeżeli *monsieur* Monselet jest nadal pani kuchmistrem.

– Jest.

– Doskonale. – Ukłonił się lekko. – Godzina ósma?

– Dobrze – odpowiedziała.

– Przedtem napijemy się w barze.

Ella przytaknęła.

– W barze Kaaterskill.

Przyszedł do baru, ku jej zdumieniu, z własną butelką.

– Jeden z niewielu trunków, których nie spodziewam się dostać nawet tutaj.

Ella się uśmiechnęła.

– Barack.

– Na deser. Oczywiście, jeżeli pani jeszcze będzie chciała ze mną rozmawiać.

– Dlaczego miałabym nie chcieć?

– Nigdy nie snuję domysłów, jakie mogą być nastroje pięknych pań.

Przy kolacji – ostrygach, *loup de mer en croute* i *peche Bogarde*, czyli po prostu lodach z szampanem i ze świeżymi brzoskwiniami – Janos stał się jowialny i gadatliwy. Ella nagle sobie uprzytomniła, że to pierwszy dla niej miły wieczór, odkąd Harry wyjechał.

Potem, przyjemnie milcząc, wyszli na taras. Księżyc był prawie w pełni. Doskonale widoczny,

opadający stromo krajobraz, jeszcze pod śniegiem pierwszych dni marca, połyskiwał jedwabście, przy czym każda łąka, każdy las, każdy szczyt dachu osobno jaśniały w księżycowej poświacie.

Samolot buczał wysoko nad nimi. Janos spojrział w górę.

– Nie bardzo lubię samoloty – powiedział – ale w taką noc jak ta one wydają się dodatkowymi ruchomymi gwiazdami i są nieomal piękne.

Ella drżała z zimna.

– Nie cierpię tej pory roku.

– Naprawdę?

– Tak. Najgorszy jest luty, ale marzec niewiele lepszy. Powinna już być wiosna, powinno zaczynać się życie... a tu wszystko zduszone tym lodowatym kocem.

Janos uśmiechnął się.

– Tutaj jest cudownie. Wybrzydzasz, bo wszyscy cię opuścili.

– Nikt mnie nie opuści! – powiedziała obronnie.

– Tylko chwilowo, być może, ale czujesz się samotna, prawda?

– Trochę – przyznała.

Ujął ją delikatnie za łokieć.

– Wejźmy do sali i napijmy się.

– Myślę, że wypiałam już dosyć jak na jeden wieczór.

– Nonsens. W każdym razie musimy porozmawiać.

– Rozmawiamy od trzech godzin.

– Ale nie o tym.

– O czym?

– Wejźmy już, to wyjaśnię.

Przy stoliku powiedział jej, że przyjechał do Zamku Bogarde tym razem z ukrytym zamiarem: chciałby prosić ją o współpracę w zorganizowaniu koncertów dla niesprawnych dzieci.

– Dlaczego ja? – zapytała.

– Bo przyszło mi na myśl, że zechcesz pomóc. Bo możesz.

– Jak? Darowizną?

– Masz dużą salę balową z dobrą akustyką i jesteś świetną organizatorką.

– Żaden inny powód? – zapytała chłodno.

– Myślisz o wypadku Danielle?

– Nie pozwolę, panie Janos, wykorzystywać mojej córki.

– Proszę – zaprotestował. – Przy kolacji zaczęliśmy sobie mówić per ty... czy musimy powracać do formalności? Nie zamierzam wykorzystywać nikogo, a już najmniej twojej córki. Chcę zrobić przyjemność dzieciom w o wiele gorszym stanie niż Danielle i po prostu przyszło mi na myśl, że może zechciałabyś w tym uczestniczyć.

– Rozumiem. – Ella wypła trochę brzoskwiniowej brandy, rozgrzewającej i pysznej.

– No? – Janos domagał się odpowiedzi.

Uniosła brwi.

– Wnoszę, że cierpliwość nie jest jedną z twoich zalet.

– Nigdy nie była. – Nalał jeszcze baracku do jej kieliszka.

– Próbujesz mnie upić? – zapytała gniewnie.

- Tak.
- To ci się nie uda.
- Wiem.
- Oczy jej złagodniały.
- Właściwie, w jakim celu chciałbyś mnie upić?
- Myślisz, że w jakim?
- To irytujący zwyczaj.
- Co?
- Odpowiadanie pytaniem na pytanie.
- Żydowska cecha.
- Czyżby?
- Pomożesz mi z tymi koncertami, Ella?
- Możliwe.
- Cieszę się.

Ponieważ musieli omówić przygotowania, wydawało się naturalne, że prawie przez cały następny tydzień jedli razem kolację, czasami u niej w domu z Danielle i Lin Tsungiem.

Janos i Danielle ogromnie się polubili. Ten Węgier odnosił się do dziewczynki z cudowną swobodą, nie zapominał, że ona słyszy tylko z jednej strony, ani na chwilę nie wpadał w ostrożne przemilczanie jej niesprawności, czym denerwowało ją wiele osób dorosłych.

– Oczywiście, nie tańczyłaś od czasu tego wypadku – powiedział jej, gdy zajadała lody orzechowe.

– W szpitalu mi mówili, że pewnie nigdy już nie będę mogła tańczyć.

– Ale ty im nie wierzysz?

– Nie wierzę. – Danielle łakomie wsunęła łyżkę pełną lodów do ust. – Ale wszyscy wierzą, tylko nie Lin Tsung.

– I ja – powiedziała Ella. – Jeśli chodzi o ciebie, moja panno, uczę się, że nie ma rzeczy niemożliwych.

– Mamusia była wściekła na mnie przedwczoraj o to, że chodziłam po śniegu – zwierzyła się Danielle Janosowi.

– Przekręcasz, Dani – powiedziała Ella. – Rozgniewałam się, jak dobrze wiesz, bo wyszłaś sama i mogłaś się przewrócić i potłuc.

– Dzieci wciąż się przewracają, mamusiu.

– Muszę przyznać, że ona nieźle się spisała – stwierdziła Ella z dumą. – Chociaż fiknęła kozła...

– Dopiero kiedy na mnie wrzasnęłaś.

– Już przedtem się poślizgiwałaś.

– No pewnie, mamó – powiedziała Danielle lekceważąco. – Mam receptory zmysłu równowagi uszkodzone i pierwszy raz wyszłam sama.

– I ostatni, dopóki ci nie pozwolę.

– Wątpię.

– Dani – ostrzegła Ella.

– Będzie rozsądna – powiedział Lin Tsung – bo wie, że jeśli nie będzie, przestanę ją uczyć *t'ai chi*.

– Mały chiński szantaż. – Janos się uśmiechał.

– Właśnie.

– Nie zawadzi, prawda?

– Możemy ustalić datę pierwszego koncertu – powiedziała Ella później, gdy została z Janosem sama. – Mam trzy do zaproponowania.

– Nie chcę ustalać daty.

– Och? A o czym chcesz rozmawiać?

– O tobie.

– O mnie?

Janos pochylił się ku niej, nagle poważny.

– Od chwili przyjazdu na szczyt tej góry mam problem.

– Jaki?

– Trudny, ale miły.

– Och, tak? – zapytała podejrzliwie.

– Marzę... pragnę... pocałować cię, Ella. Lekko się zaróżowiła.

– Tak?

– Obraziłaś się?

– A powinnam?

– Jesteś zgorzozona?

– Tylko trochę.

– Niedobrze mi to wychodzi – powiedział Janos zakłopotany. – Nieromantycznie. Powiniennem był wyprowadzić cię stąd pod gwiazdy i porwać w objęcia.

– Trzepnęłabym cię po twarzy.

– Trzepnęłabyś?

– Prawdopodobnie. – Ella już się usprawiedliwiała. – Sandor, jestem szczęśliwą mężatką.

– Bez męża. Zaczerwieniła się.

– Mój mąż wyjechał w interesach.

– Wiem. Otwiera galerię.

– Tak jest.

– Nie gniewasz się na niego?

Ella spojrzała Janosowi w oczy.

– Kocham mojego męża.

– Nie proszę, żebyś przestała go kochać... Proszę, żebyś miała ze mną romans. Jedno nie wyklucza drugiego.

Przez chwilę Ella miała twarz ciemnoczerwoną, ale zaraz się uspokoiła. Trudno się złościć na tego człowieka długo i ostatecznie to przecież niewiele więcej niż nieszkodliwe kpiny – czyż nie?

Nalała do ich kieliszków calvadosu i teraz powąchała swój kieliszek, rozkoszując się zapachem jeszcze bardziej niż smakiem.

– Nigdy nie miałam romansu – powiedziała beztrąsko.

– Szkoda, że nie mogę tego stanu rzeczy zmienić.

Poczuła przyjemne mrowienie. Miło być emablowaną w takim ciężkim czasie, gdy od ponad pięciu tygodni płacze się przed zaśnięciem.

– Gdybym z kimś chciała mieć romans, Sandor – powiedziała serdecznie – to prawie na pewno z tobą. – Popiła trochę calvadosu. – Ale nie mogę.

– W żadnym razie?

– Niestety, tak.

Westchnął, po czym uśmiechnął się.

– Chyba zostanę tu dłużej, na wypadek gdybyś się rozmyśliła.

– Nie musisz pracować?

– Czy nie wolno mi zrobić sobie wakacji? – Zastanowił się. – No właśnie... Kiedy ty ostatnio byłaś na wakacjach?

– Dosyć dawno.

Skrzywił się z niesmakiem.

– Po co bogactwo, jeżeli się tylko bez przerwy pracuje?

– Mam też swoje przyjemności – odparowała niepewnie.

– Nie takie znów szampańskie.

Westchnęła.

– Owszem... przydałoby mi się przewietrzenie.

– Stąd jadę prosto do St. – Moritz.

– Szczęściarz.

– Pojedź ze mną.

Parsknęła śmiechem.

– Uroczy pomysł.

– Więc pojedź.

– Nie bądź niemądry. Nie mogę nigdzie się ruszyć.

– Dlaczego?

– Prowadzę hotel, po pierwsze.

– Twoja matka jest na Manhattanie i na pewno wróciłaby tu błyskawicznie, żeby ciebie zastąpić.

– A co z Dani?

– Ona też może pojechać.

– Do St. – Moritz?

– Czemu nie?

– Uczy się w szkole. I, co ważniejsze, prawie wciąż się przewraca.

– Powiedziałaś, że spisywała się dobrze na śniegu.

– Przez kilka minut, i to bardzo się koncentrując. Jakie by tam były wakacje dla niej i dla mnie... Krążyłabym nad nią jak jastrząb.

– Wykreślasz śnieg, wykreśl i piasek. Będiesz zmuszać Danielle, żeby na wszystkich wakacjach chodziła wyłącznie po betonowych chodnikach?

– To jeszcze początki, chcę, żeby najpierw nabrała pewności siebie na dobrze znanym terenie.

– Więc przynajmniej połóż z powrotem kilka dywanów.

– Łatwiej jej chodzić po twardych powierzchniach.

– Ona potrzebuje wyzwania.

– Nie brak jej wyzwań codziennie! Umilkli.

Po chwili Janos powiedział z uśmiechem:

– Jedź do St. – Moritz.

– Nie mogę. Wzruszył ramionami.

– No to chyba moglibyśmy zacząć nasz romans tutaj.

– Nie, Sandor, nie moglibyśmy. Wzruszył ramionami znowu.

– Jeśli nie dziś, może jutro?

– Czy widziałeś już wodospad Kaaterskill? – zapytała Ella nazajutrz.

– Jeszcze nie.

– Dopóki nie otworzyliśmy zamku, ten wodospad był właściwie odcięty, chociaż dawniej, zwłaszcza w czasach tamtego starego hotelu, stanowił wielką turystyczną atrakcję.

– Czy zamarza?

– Oczywiście. Chciałbyś zobaczyć?

– Zabierzesz mnie tam?

Spojrzała na zegarek.

– Dobrze.

– W co się ubierzemy na tę przygodę? – zapytał.

– We wszystko.

Zbliżali się do wodospadu, gdy wzrok Elli przyciągnęła z odległości mniej więcej stu metrów mała plama czerwieni z prawej strony, zupełnie blisko skraju zamrażonego wodospadu.

– Co to... – Ella osłoniła oczy przed ostrym blaskiem słońca i nagle twarz jej zbiałała.

– Boże święty!

Danielle, w szkarłatnej kurtce z kapturem na plecach, włosami jak proporzec powiewającymi na wietrze, trzymająca ręce rozciągnięte, bardzo skupiona, chodziła tam i z powrotem.

Ella chwyciła Janosa za ramię.

– Ta półka tam dalej to tylko lód – syknęła gorączkowo. – Jeżeli ona spadnie...

– Nie spadnie – szepnął Janos. – Uspokój się i mów cicho. Nic się nie stanie.

– Pójdę po nią.

– Nie! – Przytrzymał ją za ramiona.

– Co robisz? Puść mnie! Jeżeli ona się pośliznie... – Wargi Elli także zbiały.

– Zostań tu – szepnął. – Ja pójdę.

– Nie bądź śmieszny... Jestem jej matką!

– A jeżeli cię zobaczy i złęknie się, bo pomyśli, że może się gniewasz? – Nadal trzymał ją mocno. – Nie dopuszczę, żeby jej się coś stało, przysięgam.

Skinęła głową, zęby jej dzwoniły.

Rozejrzał się.

– Idź tam, za te krzaki, żeby ciebie nie widziała.

– Co chcesz zrobić?

– Pójdę tamtędy, poza zasięgiem jej wzroku... – wskazał. – I zaczekam, aż odwróci się w moją stronę. Zobaczysz mnie z daleka, więc nie będzie zaskoczona.

– Dobrze, tylko pośpiesz się.

– Idź już za te krzaki.

Ella usłuchała i patrzyła zdrętwiała ze strachu. Danielle nadal uparcie chodziła po

zamarzniętych śladach swoich botków, tam i z powrotem, strasznie blisko lodowej półki. Ella zaczęła się modlić.

Wydawało się, że to trwa wiecznie, ale wreszcie Janos wyszedł na polanę za plecami Danielle. Stał nieruchomo i gdy dziewczynka doszła do końca prostej linii i odwróciła się, ruszył ku niej wolno, niedbale, jakby był na spacerze.

Zobaczyła go, zatrzymała się i pomachała ręką.

– Hej! – zawołała.

– Cześć! – Janos szedł ku niej spokojnie.

– Widziałeś mnie? – zawołała podniecona.

– Widziałem, Dani.

Jeszcze dzieliła ich odległość około pięćdziesięciu metrów.

– Patrz, Sandor! Patrz, jak chodzę! – wołała Danielle.

– Nie, Dani, zaczekaj, aż podejdem.

Ale Danielle ochoczo już się odwróciła, więc nie słyszała.

– Danielle! – Biegł do niej.

Równo przeszła trzy kroki, przy czwartym, może z przejęcia, że ma publiczność, zachwiała się, zrównoważyła to rozłożonymi rękami, zrobiła piąty krok, ale przy szóstym obcas jej wbił się w śnieg. Upadła na wznak.

– Dobrze, nie ruszaj się, Dani! – wrzasnął Sandor.

Nie słyszała. Pogromoliła się, żeby wstać, gorączkowo pomagając sobie rękami z takim skutkiem, że zaczęła się zsuwać na lodową półkę.

– Nie! – krzyknęła Ella i wyskoczyła zza krzaków.

Janos, jak napastnik na boisku, rzucił się w powietrze, chwycił Danielle za nogi i zatrzymał ją i Ellę o kilka cali od półki.

– Och, Dani, Dani! – szlochała Ella raz po raz, gdy wszyscy troje leżeli w swoich objęciach. – Dzięki Bogu, nic ci się nie stało.

Danielle, z twarzą rozplomioną, wstrząśnięta i urażona tak brutalnym potraktowaniem, zgłosiła pretensję.

– Nie rozumiem, dlaczego on musiał to zrobić! Byłam o całe mile od tej półki!

– Byłaś cholernie blisko! – krzyknęła Ella z oburzeniem zapierającym jej dech. Rozdygotanym w rękawiczce palcem wskazała półkę lodową.

– Gruba i dosyć mocna – upierała się Danielle.

Janos ostrożnie zgiął najpierw jedną rękę, potem drugą. Stwierdził, że na szczęście są w porządku, i podniósł się ze śniegu.

– Wstawaj – powiedział do Danielle surowo i pomógł wstać Elli, która wciąż jeszcze trzęsła się jak liść na wietrze.

Gdy stanęli w bezpiecznej odległości od półki, rozejrzał się, znalazł nieduży kamień i rzucił go mocno, szybko na półkę. Lód od razu trzasnął straszliwie, po czym sypnął się w kawałkach w szczelinę.

Danielle szeroko otworzyła oczy.

– Widzisz? – zapytał Janos.

– Och!

– Och? – powtórzyła Ella. – Och?! Czy tylko tyle potrafisz powiedzieć?

– Przepraszam.

– Myślę, że masz za co! Cholernie mnie przestraszyłaś... I Sandora też.

Usta Danielle zdrząły.

– Naprawdę przepraszam, mamusiu – powiedziała i wy – buchnęła płaczem.

Janos się ulitował.

– Nie zdawałaś sobie sprawy – pocieszył ją. – Ella, ona nie chciała, naumyślnie nie zrobiłaby czegoś tak głupiego.

– On ma rację, mamusiu. – Chlipiąc, Danielle przechylała głowę, żeby słyszeć. Łzy kapały jej z policzków. – Przychodzę tutaj, bo tutaj jest ładnie, i wcale nie chciałam...

– Mówisz, że przedtem już tu przychodziłaś?! – Ella znowu zbladła. – Kiedy? Zawsze ktoś z tobą jest.

– Nie zawsze.

– No chyba – powiedział Janos. – Każdy ma prawo czasami być sam, prawda, Dani?

– Nie wtrącaj się – warknęła Ella i zaraz się przeraziła. – Przepraszam, Sandor. Boże drogi, bardzo cię przepraszam... Czy mi wybaczysz?

– Natychmiast. – Uśmiechnął się. – Pod warunkiem...

– Zrobię wszystko.

– ... że wrócimy do twojego miłego, ciepłego, bezpiecznego hotelu i dostaniemy dobry trunek.

Ella patrzyła na niego.

– To wszystko, czego chcesz? – zapytała cicho, szczerze.

– Nie – odpowiedział tak samo. – Ale reszta zależy od ciebie.

– Byłaś wspaniały – szepnęła Ella, przytulona do Sandora w jego hotelowym łóżku.

Była godzina trzecia po południu.

– Naprawdę? – zapytał wyraźnie zadowolony.

– Nie mówię, że teraz. – Uśmiechnęła się. – Albo raczej tak, oczywiście, jesteś... ale myślałam o tym, co zrobiłeś dziś rano.

– Aha. – Głos miał poważny, chociaż w jego oczach pląsały iskierki.

– Mogłeś przecież się zabić.

– Albo jeszcze gorzej, mogłem sobie uszkodzić ręce.

– Ale nic ci się nie stało? – Ella usiadła. – Nie zniósłabym tego, że dla nas zrobiłeś sobie krzywdę.

– Zniósłabyś, oczywiście, zważywszy alternatywę.

Ella zdrząła na tę myśl.

– Zapomnij już o tym – powiedział Janos.

– Łatwo powiedzieć.

– Z dziećmi wciąż są jakieś kłopoty.

Opadła na poduszki.

– Może to moja wina, trzymam ją pod kloszem.

– Może troszeczkę. – Umilkł. – Po dzisiejszym dniu ona zmądrzeje.

– Tak myślisz?

– Bardzo się zlekła. Kiedy rzuciłem kamień i lód się rozbił, zrozumiała. To lepsze niż bura.

Leżeli milcząc. W ciszy słychać było tylko miarowe tykanie antycznego zegara na parapecie kominka.

– Dobrze się czujesz? – delikatnie zapytał Sandor po długiej chwili.

– Nie jestem pewna.

– Dręczysz się? Tą sprawą?

Ella zamknęła oczy. Pod powiekami zobaczyła męża. Otworzyła oczy.

Sandor głaskał ją po ramieniu.

– Nie psuj czegoś pięknego poczuwaniem się do winy – powiedział. Potrząsnęła głową i przelknęła łzy.

– Nic na to nie poradzę.

– Do wyrzutów sumienia nie ma powodu.

– Nie ma?

Przemknął mu po twarzy cień żalu, ale w jego głosie zabrzmiała rezygnacja.

– Oboje wiemy, dlaczego dziś się kochaliśmy.

Ella milczała.

– Z mojej strony – ciągnął Sandor – to było pożądanie. Z twojej – zawahał się – na pół szok, na pół wdzięczność.

– To było coś o wiele więcej – zaprotestowała.

– Trochę więcej, być może, ale przede wszystkim to. – Urwał i uśmiechnął się. – Numerek w nagrodę.

– Sandor, nie!

– Nie obruszaj się tak. – Znow się uśmiechnął. – Było wspaniale, przynajmniej dla mnie.

– Dla mnie też.

– To dobrze. – Objął ją ramieniem. – Ja tylko jestem realistą wobec pani, pani Bogarde, bo czy miło mi, czy niemiło, teraz widzę, że jesteś panią Bogarde. Jesteś żoną Harry’ego i bardzo go kochasz. Czujemy do siebie pociąg i uratowałem życie waszej córce. To wszystko.

– Nie dlatego poszłam z tobą do łóżka.

– Owszem, dlatego, i nie masz się czego wstydzić. Nikomu to nie zaszkodziło, wprost przeciwnie... to przypieczętowało przyjaźń między nami.

– Naprawdę?

Patrzył na nią z nieukrywaną czułością.

– Zdecydowanie.

Odwróciła głowę i pocałowała go miękko, serdecznie w policzek. – Dziękuję – szepnęła. – Za wszystko.

Bardzo wolno, z westchnieniem, odwrócił się od niej i wstał z łóżka. Spojrzał na nią.

– Prawdopodobnie, Ella, kochanie, nigdy już tego nie zrobimy... ale będziemy przyjaciółmi, prawda? Dobrymi przyjaciółmi.

Ella usiadła.

– Cieszę się.

Zaczął się ubierać.

– Wiesz, co myślę?... Powinnaś okazywać Danielle, że jej ufasz.

– Co?

– Zabierz ją do St. – Moritz.

– Och, Sandor. Będzie wciąż się przewracała.

– Ella, tam wszyscy się przewracają na śniegu. I pomyśl, jaką by miała uciechę. I o wiele bezpieczniej tam, na zboczach dla początkujących narciarzy, niż tutaj, na krawędzi góry.

– Nie wiem.

– I jeszcze jest jeden powód, żebyście tam pojechały.

– Jaki?

– Twój mąż jest w Szwajcarii.

Zesztywniała.

– Przecież chcesz się z nim zobaczyć?

– Nie wiem – powiedziała. – Tak, oczywiście, chcę, ale...

– Moim zdaniem już chyba czas, żeby on wrócił. – Sandor umilkł, wciągając przez głowę pulower. – Zarezerwuję dwa oddzielne apartamenty w hotelu Surretta...

Ella zaczęła słabnąć.

– Więc przyjeźdź do St. – Moritz – namawiał Sandor. – Ty i Dani. Niech to będzie kamień milowy... flaga zaznaczająca koniec złych czasów, początek lepszych.

Ella wstała z łóżka, okrywając się kołdrą, i podeszła do niego.

– Jeżeli ci powiem, że chyba cię kocham, czy uwierzysz mi?

Żal w jego oczach połączył się z zadowoleniem.

– Jako przyjaciel tak. – Uśmiechnął się. – Podstawą najświetniejszych przyjaźni jest miłość, mam rację, *edesem*?

Po raz pierwszy się roześmiała.

– Numerek w nagrodę, doprawdy!

Janos się uśmiechał.

– I o ileż lepszy niż medal.

Trzymając się za ręce, Ella i Danielle skręciły z szerokiego obwieszzonego flagami Paradeplatz na Bahnhofstrasse pod bezlistnymi lipami, minęły Cafe Springli i dom towarowy Griedera, i wielkie kamienne banki, których dyskretnie małe okna mrugały błyskami z ekranów komputerów.

– Mamusiu, czy możemy przejechać się tramwajem?

– Później, kotku.

Szły dalej, mijając Bucherera i Cartiera, bogactwa innych sklepów jubilerskich, i hotel Baur en Ville, i wielki sklep z zabawkami, skręciły w prawo na Augustinergasse i zaczęły rozglądać się po uroczych, biegnących pod górę, brukowanych kocimi łbami uliczkach, gdzie może być ta galeria.

Ella miała zanotowane wskazówki.

– W lewo na Widdergasse... a potem w prawo Glockengasse.

– Jest! – wykrzyknęła Danielle podniecona.

Galeria była okazała – dwa duże okna wystawowe ze szkła taflowego, w jednym obraz Miró i obraz Maxa Ernsta, w drugim Monet, Pissarro i Sisley, nad wejściem między oknami złoty napis kursywą: *Galerie Bogarde*.

Ella znieruchomiała.

– No, chodź, mamusiu!

W rękach i nogach poczuła nagle ciepłe mrowienie, serce jej biło szybko. Odetchnęła głęboko i postarała się opanować, gdy Danielle pociągnęła ją do drzwi.

– Nie chcą się otworzyć. – Dziewczynka daremnie szarpała klamką.

Usłyszały ciche buczenie.

– Spróbuj jeszcze – powiedziała Ella.

Drzwi się otworzyły.

Jakaś kobieta po pięćdziesiątce, o błyszczących brązowych włosach, podpiętych z boków grzebieniami przy owalnej twarzy, powiedziała z uśmiechem:

– *Gruezi miteinand.*

– *Herr Bogarde bitte.* – Ella uśmiechnęła się do niej.

– *Ihren Namen, bitte?*

– *Frau Bogarde.*

Bez drgnienia ta pani przeprosiła i odeszła, na końcu drugiej galerii zniknęła w politurowanych drzwiach. Ella i Danielle rozglądały się z zainteresowaniem. Pośrodku sali stała na postumencie śliczna kobieta z brązu, rzeźba Aleksandra Archipenki, jedną ze ścian zapełniał szereg niezwykle abstrakcyjnych obrazów pędzla jakiegoś malarza o nieznanym szwajcarskim nazwisku.

Politurowane drzwi otworzyły się bezszelestnie i wszedł Harry.

– Tatusiu! – pisnęła Danielle, ruszając do niego wcale nie jak niezdara, nawet na tym puszystym dywanie. W połowie drogi omal się nie potknęła, ale dała sobie radę i rzuciła się w jego wyciągnięte ramiona.

– Och, Dani, Dani, dziecino, tak do ciebie tęskniłem. – Harry podniósł córeczkę, okręcił, ukrył twarz w jej włosach.

Ella patrzyła ze łzami klującymi w oczy, z uśmiechem raczej bezwiednym.

Harry wypuścił Danielle z objęć, spojrzął na Ellę.

– Cześć.

– Cześć, Harry.

– Czy wy się nawet nie pocałujecie? – zapytała Danielle.

Harry się zaczerwienił. To Ella musiała podejść i lekko musnąć ustami jego policzek.

Potem przyjrzała mu się bacznie, szukając w nim zmian, chociaż nie widziała go tylko przez niecałe dwa miesiące. Miał włosy trochę dłuższe, jak zapewne przystoi właścicielowi galerii, i nowe, drobne zmarszczki wokół oczu, i bruzdy od nosa do kąćków ust.

On będzie pobrużdżony, pomyślała radośnie, bo dobrze jest widzieć, jak ukochana twarz staje się z wiekiem jeszcze bardziej interesująca.

– Wiem – powiedział Harry ochryple. – Wyglądam strasznie.

Potrząsnęła głową.

– Przeciwnie, właśnie pomyślałam, że jesteś bardzo przystojny. – Wpatrywał się w nią, więc zapytała: – A ja? Jak mnie znajdujesz?

Jeszcze jej się przypatrzył, po czym odpowiedział:

– Wzbudzasz bojaźń.

Parsknęła śmiechem.

– Jak inaczej określić piękny widok, o którym myślałem, że może nie zobaczę go już nigdy.

– Harry, wiedziałeś, że mnie zobaczysz.

Potrząsnął głową.

– Tatusiu, twoja galeria jest palce lizać! – powiedziała Danielle. Chociaż ojciec przez całe jej życie był znakomitym kolekcjonerem i zarówno w Zamku Bogarde, jak w ich domu otaczało ją mnóstwo bezcennych dzieł sztuki, ta galeria, właściwie atrakcyjny zwykły sklep – jakoś jej zaimponowała. – Czy te wszystkie obrazy są twoje?

– Niektóre z nich. Inne są tylko wypożyczone.

– Pokaż nam, co ci się podoba, Dani – zaproponowała Ella.

– Dobrze. – Danielle zaczęła chodzić wokół, decydując błyskawicznie i z prostotą. – Podoba mi się tamto... okropnie mi się nie podoba to... te obrazy są zabawne, a tamten jest ordynarny. – Zatrzymała się raptownie przed małą litografią z podpisem Chagalla.

– Ten jest dla mnie najśliczniejszy. Czy to twój, tatusiu?

Harry skinął głową, że tak.

– Och, super! Czy możesz go przywieźć do domu?

Harry nie odpowiedział, więc Ella mu pomogła.

– Kiedyś, jeżeli już nie będzie potrzebny w galerii, może tatuś go przywiezie.

– Och, super.

Harry odciągnął Ellę na bok.

– Co wy robicie tutaj? Twój telegram nie był jasny... i nie zawiadomiłaś mnie, którym samolotem przylecicie, przecież bym po was wyjechał do Kloten.

– Poradziłyśmy sobie – odpowiedziała.

– To widać. – Spojrzał na Danielle. – Ona jest w niewiarygodnie dobrej formie. Wprost oczom nie wierzę.

– Dlaczego? Przecież wcale nie było z nią źle, kiedy wyjeżdżałaś, a od tamtego czasu przez sześć tygodni następowała dalsza poprawa.

– Przez sześć tygodni i dwa dni.

– Ty też liczyłeś?

– A jak myślisz?

– Dani liczyła – powiedziała Ella okrutnie. – Odkreślała każdy dzień, tak czekała na twój powrót.

Harry zamknął oczy.

– Więc? – zapytała Ella. – Czy zamierzasz wrócić? Mój brat wyjechał ponad miesiąc temu, o czym ci wiadomo.

Harry otworzył oczy.

– Musiałem się wyrwać na jakiś czas, Ella.

– Wiem. – Umilkła i dodała po chwili: – Również wiem, że kiedy się skądś wyjeżdża, zostawia się po sobie dziurę, ale dziury zwykle się zapełniają z czasem.

Harry popatrzył na Danielle. Rozmawiała z tą szatynką wracającą z zaplecza do sali.

– Wiem, że nie jesteś tu specjalnie dla mnie. Dokąd jedziecie?

– Do St. – Moritz.

– Po co?

– Na wakacje. Potrzebne nam obu.

Zmarszczył brwi.

– Chyba to najmniej odpowiednie wakacje, na jakie mogłabyś zabrać Dani na tym etapie.

– Dobrze się nad tym zastanowiłam – powiedziała Ella spokojnie. – Ona przeszła długą drogę w ciągu ostatnich kilku tygodni. Może chodzić po śniegu... ślizga się często, ale potrafi się z tym uporać. Znasz naszą córkę.

– Czy Lin Tsung jest z wami?

– Nie.

– Domyślam się, że hotel został na głowie Kriszti.

– Oczywiście.

Danielle, już się niecierpliwiąc, podeszła do nich.

– Proszę was. Może gdzieś pójdziemy?

– Zatrzymacie się tu? – zapytał Harry Ellę.

– Na jedną noc w Dolder Grand.

– To dobrze. – Napięcie trochę zelzało.

– Obiecałam Dani najlepsze na świecie lody i tort w Cafe Springli, a także przejażdżkę tramwajem.

– Więc na co czekacie? – zapytał Harry.

– Na ciebie, tatusiu!

O ósmej wieczorem Danielle była zupełnie wyczerpana. Położyli ją pod dużą miękką kołdrę, zostawili przy niej zamówioną szwajcarską opiekunkę o sympatycznej twarzy i poszli na kolację do Kronenhalle na Bellevueplatz.

– Wiesz, to nadzwyczajne, że w tym niedużym mieście jest tak dużo restauracji rzeczywiście wspaniałych – powiedział Harry później, gdy siedzieli w holu hotelu Dolder, popijając kawę i koniak Napoleon.

– Nie dziwię się, że lubisz Kronenhalle. – Ella się uśmiechnęła. – Tyle tam świetnych obrazów, już nie mówiąc o jedzeniu.

Po chwili Harry zapytał:

– Co tam w hotelu? U nas.

– Wszystko dobrze.

Znow umilkli. Przez cały wieczór często rozmowa niezręcznie się urywała.

– Jeszcze kawy? – zapytał Harry.

– Nie, dziękuję. – Raptownie Ella postawiła kieliszek z koniakiem na stoliku. – Harry, słuchaj... w co ty się bawisz? Czy już nie dosyć przelewania z pustego w próżne?

Przytaknął.

– Masz rację. Przepraszam.

– Nie przyjechałam tu, żeby grać rolę pokrzywdzonej żony, wiesz. – Nabrała tchu. – Przyjechałam, bo brakowało mi Ciebie... nie wierzę, że bodaj przez chwilę ty i ja wątpiliśmy, czy jeszcze się kochamy. – Głos jej trochę drżał. – Może się mylę?

– Nie. – Harry sięgnął po jej rękę i trzymał jak linę ratunkową. – O Boże, nie.

– Myślę, że od czasu tego wypadku jesteś w szoku – ciągnęła Ella łagodnie. – Tym razem wyjechałeś chyba nie z powodu Oliviera. I z pewnością ten wyjazd dobrze ci zrobił... już dawno powinieneś być otworzyć coś takiego jak Galerie Bogarde.

– Tylko przykro mi, że musiały mnie do tego zmusić okoliczności.

– A teraz? Jakie masz plany?

– Plany?

– Zamierzasz wrócić do domu czy chcesz zostać w Szwajcarii?

Uśmiechnął się ponuro.

– Nie, nie chcę tu zostać, chociaż, Bóg świadkiem, to cudowne miasto.

– Masz kogoś, kto by prowadził galerię?

– Tę kobietę, którą widziałś dziś po południu, Marię Hammerli. Myślę, że ona doskonale potrafi sama zarządzać. – Umilkł. Po chwili zapytał: – Byłyście już w tutejszym Domu Huntera?

– Nie. Rano, jeżeli będzie czas... bo chciałabym pokazać Dani jezioro... może wpadniemy tam po drodze.

Zamieszał cukier w swojej kawie.

– Czym pojedziecie do St. – Moritz?

– Pociągiem.

– Dani będzie się cieszyła.

Ellę już ogarniało rozjątrzenie.

– Harry, jeszcze mi nie odpowiedziałeś. Czy wrócisz do domu?

– Chcesz, żebym wrócił?

– Co za idiotyczne pytanie? Oczywiście że chcę... Chyba postawiłam to piekielnie jasno.

Harry miał oczy posępne.

– Myślałam, że naprawdę mną pogardzasz... że nie przebacysz mi nigdy.

– Chyba za bardzo cię Kocham, żeby nie przebaczyć.

– W takim razie pozostał tylko jeden problem – powiedział cicho.

– Jaki? – Ledwie odważyła się o to zapytać.

– Ja sobie nie przebaczyłem.

– Czy wreszcie nie powinieneś?

Oczy mu się rozjaśniły.

– Myślę, że powinienem.

Został z nią na noc – i dopóki się kochali, złąknieni, rozpaczliwie spleceni, łomot serc zagłuszył wszelkie obawy i złe przeczucia. – Ale później, gdy nieruchomo, bezsennie leżeli w milczeniu, powróciły wątpliwości i oboje wiedzieli, że nigdy nie będzie tak, jak było, jeżeli nie wrócą do domu szczęśliwi razem.

– Też bym wolał, ale skoro mam stąd wkrótce wyjechać, muszę zostawić *Frau Hammerli* dokładne dyspozycje... i mam – spotkanie z całą gromadą klientów i marszandów w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

– Będiesz telefonował? Wiem, że to bardzo ważne dla Dani.

– Oczywiście, będę telefonował, ale nie tylko ze względu na nią.

Uściskali się krótko, emocjonalnie, po czym Harry podniósł Dani do wagonu i pomógł wsiąść Elli.

– Dbajcie o siebie.

– Będę tęsknić, tatusiu! – zawołała Danielle spoza matki, piskliwie i niespokojnie.

– I ja będę tęsknił, serduszko! Szalenie! – Harry spojrzał na Ellę. – Czy dacie sobie radę same?

Oczy Elli błyszczały, niezwykle czyste.

– Kto powiedział, że będziemy same?

Czwartego dnia w St. – Moritz zjawił się Harry.

Było wczesne popołudnie. Sandor, Ella i Danielle zjeżdżali na nartach we troje po łagodnym zboczu tuż przed hotelem Surretta.

– Tatuś! – wykrzyknęła Danielle i od razu upadła, pociągając dwoje dorosłych ze sobą.

– A więc tak – powiedział Janos, wstał i strzepał śnieg ze swojej czarnej wiatrówki.

– Zostań tu z Sandorem, Dani – poleciła Ella. – Nie próbuj jechać za mną.

– Przeprowadź tatusia do nas!

Ella na nartach zjechała tam, gdzie stał Harry, przystojny w długim płaszczu i butach z cholewami.

– Przemiała niespodzianka! – powiedziała, zatrzymując się przed nim i usiłując na nartach przysunąć się dość blisko, żeby go pocałować.

– Czyżby?

– Tak, oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Dlaczego nas nie uprzedziłeś, że przyjedziesz?

– A po co?

– Mogłybyśmy wyjść po ciebie... Tylko po to.

Twarz miał ponurą.

– Wtedy może byś zdążyła pozbyć się jego?

– Jego? – Ella podniosła wzrok na zbocze. – Dlaczego miałabym się pozbywać Sandora?

– A więc teraz Sandor? – wycedził Harry wzgardliwie. – Wygodnie było przemilczeć, że on tu będzie?

– Nie sądziłam, że to takie istotne.

– Nie sądziłaś?

– Nie.

Danielle zbyt zniecierpliwiona, żeby czekać jeszcze bodaj sekundę, już zjeżdżała przed

ubezpieczającym ją Janosem.

– Tatusiu, przyjechałeś! – Chciała rzucić się ojcu na szyję, ale obciążona swymi krótkimi nartami klapnęła na śnieg jak długa.

Harry ją podniósł. Janos odpiął jej narty.

– Dziękuję, Sandor! – Rozpromieniona kołysała się w objęciach ojca. – Tatusiu, czy to nie fajnie? I widziałeś, umiem jeździć na nartach!

– Panie Bogarde. – Janos wyciągnął rękę.

– Panie Janos. – Harry krótko uścisnął mu rękę. – Przyjemnie pan spędza czas z moją rodziną?

– Wspaniale, dziękuję.

– Och, tatusiu, on to cudowny narciarz, powinieneś zobaczyć. Uczy mnie, jeszcze nie jeżdżę zbyt fajnie z powodu tych moich głupich uszu, ale robię postępy, prawda, Sandor?

– Uczyłaś się jeździć na nartach, kiedy miałaś pięć lat, serduszko – przypomniał jej ojciec.

– Tak, ale to było przedtem. Teraz muszę zaczynać od początku, tak jak chodzenie i taniec. Lin Tsung mówi, że na pewno będę znowu tańczyć – trąkotała wesoło, upojona diamentowo ostrym powietrzem, ciepłym blaskiem słońca, uradowana, że ma przy sobie oboje rodziców.

– Od dawna pan tu jest? – zapytał Harry Janosa.

– Od pięciu dni.

– O jeden dzień dłużej niż moja żona i córka.

Danielle pociągnęła Harry'ego za rękaw.

– Tatusiu, mamy pójść na podwieczorek do Hanselmanna, tam jest rzeczywiście super, wszyscy tam się spotykają po nartach.

Sandor spojrział na zegarek.

– Już prawie pora.

– Chyba nie macie nic przeciwko, że się do was przyłączę? – zapytał Harry ironicznie.

– Niemądre pytanie. – Ella odpięła narty, postawiła je na sztorc i strzepnęła śnieg.

– Pytam, bo wydajecie się szczęśliwym małym klanem.

– Może ja zostanę w hotelu – powiedział Sandor. – Powinni państwo trochę nacieszyć się sobą we troje.

– Ależ nie, panie Janos. Nawet by mi się nie śniło popsuć wam dzień. Jeżeli ktoś zostanie, to ja... przybysz spóźniony.

Danielle położyła kres tym bzdurom.

– Och, tatusiu, pójdziesz z nami. Ale chodźmy szybko, bo nie dostaniemy stolika przy oknie.

Jakoś dobrnęli do końca tego dnia, chociaż Harry, gdy odkrył, że apartament Elli sąsiaduje z apartamentem Janosa, musiał całą siłą woli panować nad sobą, żeby nie wybuchnąć.

– Gdyby on po prostu zapytał mnie, czy sypiam z Sandorem – opowiadała Ella matce kilka dni później – może byśmy oczyścili atmosferę, ale on tego nie zrobił. Siedział jak parujący rozgrzany kamień i spode łba patrzył na nas oboje.

Tej nocy spali w oddzielnych pokojach.

Nazajutrz rano był pochmurny, z zapowiedzią śniegu w porze obiadowej. Sandor znalazł wsuniętą pod drzwi kartkę.

Może Pan przejedzie się na Piz Nair, jeżeli Pan jest w stanie? Będę w Corviglia przy kolejce linowej o dziewiątej.

Bogarde Sandor uśmiechnął się kwaśno, zgniótł tę kartkę w kulę, wrzucił do kosza na śmieci i zaczął się ubierać.

Przed samym południem Ella, pijąc z Danielle wodę mineralną w holu, zobaczyła ich dwóch w automatycznie otwierających się drzwiach.

– *Merde* – powiedziała cicho.

– Co, mamusiu?

– Nic, kochanie. – Dziewczynka siedziała tyłem do wejścia.

– Posiedź tu chwilę sama... ja zaraz wrócę.

Było oczywiste nawet na pierwszy rzut oka, że oni stoczyli bójkę. Sandor kulał, opierał się na ramieniu Harry'ego, a Harry miał pod prawym okiem duży, coraz ciemniejszy siniak.

– Co się stało? Czy może nie muszę pytać?

– Nic nam nie jest – powiedział Harry zakłopotany.

– Och, pewnie, wyglądasz wprost cudownie. Sandor, co z twoją nogą? Potrzebny ci doktor?

– Już jeden mnie widział. Tylko zwichnięta kostka. Upadłem.

– Prosto na oko mojego męża, przypuszczam – powiedziała z ponurym sarkazmem. – Gdzie mu je podbiłeś? Na torze narciarskim? Mielicie dobrą publiczność?

– Niewiele osób było w okolicy.

– O ile sobie przypominam, Harry, potępiasz pojedynki. Czy może tylko cudze?

Sandor usiłował ją uspokoić.

– To było małe nieporozumienie, Ella. Już je wyjaśniliśmy, prawda, Harry?

– Więc już przyjaciele? – Patrzyła na nich obu gniewnie.

Harry rozejrzał się.

– Zaczynają na nas zwracać uwagę.

– Boże, zapomniałam o Dani! – wykrzyknęła.

– Gdzie ona jest?

– Tam siedzi. – Obejrzała się. – Czy chociaż pomyśleliście, co jej powiedzieć?

– Wyobrażam sobie, jak spodobałaby jej się prawda – powiedział Sandor.

– Czyli?

– Czyli fakt, że jej ojciec bronił cnoty jej matki.

– Danielle jest za młoda, żeby cokolwiek wiedzieć o cnocie – stwierdził Harry.

Ella uśmiechnęła się lekko.

– Nie wierz w to.

– I co się działo później? – zapytała Krisztina wieczorem po powrocie Elli i Danielle ze Szwajcarii.

– Bawiliśmy się dobrze, ale jeszcze było napięcie.

– Kiedy Harry wróci?

– Za jakiś tydzień.

Krisztina się uśmiechnęła.

– Wszystko się ułoży, *cherie*, kiedy znów zaczniecie żyć normalnie.

Ella była bliska płaczu.

Miała powód do smutku.

Tego dnia rano, gdy wycierała się po kąpieli, namacała miękki, mały, ale wyraźny guzek w

lewej piersi.

– Powinnaś powiedzieć Harry’emu – od razu powiedziała Krisztina.

– Nie powiem, jeżeli nie będę musiała. – Ella pogłaskała matkę po ręce. – Nie martw się na razie... może to nic nie jest. – Skrzywiła się. – Ale wiem, co on zrobi... zanim się obejrzę, zaciągnie mnie na badania i może trzeba będzie podjąć jakieś decyzje.

– Musisz powiedzieć Harry’emu – nalegała Krisztina. – Nie masz wyboru.

– Mam wybór, *maman*, bo jego tu nie ma. – Ella potrząsnęła głową. – Nie chcę go tym obarczać akurat teraz, kiedy wszystko nam się układa. Zresztą, może wcale nie będzie potrzeby mówić mu o tym.

– Jesteś jego żoną, *cherie*. On ma prawo wiedzieć.

– Ale piersi są moje – upierała się Ella.

Krisztina westchnęła.

– Przynajmniej zadzwoń zaraz do Dona. Może to nieszkodliwa cysta i nawet nie skieruje cię do szpitala na badanie.

– Może – powiedziała Ella bez przekonania. – Tak czy owak, zadzwonię do niego jutro. Przymierzam!

– Dlaczego nie dzisiaj?

– Dlatego, że dzisiaj mam coś innego do roboty.

– Nic nie jest ważniejsze niż twoje zdrowie.

– Jeden dzień nie sprawi różnicy, *maman*.

Ella i Sandor zjedli kolację w Cafe Pierre. Ella zwierzyła się Sandorowi krótko i zwięźle, wyjaśniając swoje wątpliwości i obawy.

– Czy rozumiesz, dlaczego wolę powiedzieć tobie niż Harry’emu? – zapytała.

– Dlatego, że jestem kimś, kto nie ma największego znaczenia w twoim życiu, ale kto, tak jak twój mąż, wie, jaka jesteś piękna.

Ella się zaczerwieniła.

Sandor spoważniał.

– Chcesz wiedzieć, znać moją reakcję na to, że może trzeba będzie usunąć ci pierś?

Przytaknęła.

Położył dłoń na jej ręce mocno i pocieszająco.

– Ella, odpowiedź jest prosta. Dla każdego mężczyzny, który cię kocha... a możesz mi wierzyć, pokochać cię bardzo łatwo... pozostaniesz tak samo piękna bez lewej piersi, jak z...

– Proszę, Sandor – przerwała. – Nie chcę frazesów, bądź szczery.

Uśmiechnął się.

– Mam reputację, o czym wiesz, poniekąd kobieciarza. Podziwiam piękno, rzeczywiście cieszę się pięknem. To, że... – zniżył głos – że jakiś chirurg może odciąć bodaj kawałek twojego ciała, boli mnie... gniewa. I smuci, bo ty tę swoją część uważasz za decydującą o twojej kobiecości... Ale ani przez chwilę moja reakcja nie jest taka, jakiej pewnie się obawiasz. Wstręt? Ani przez chwilę.

Ella zaniemówiła.

– Wyjdźmy stąd – powiedział Sandor. – Chcę wziąć cię w objęcia, a względu na ciebie nie mogę tego zrobić, kiedy tyle ludzi jest wokoło.

Powstrzymała łzy.

– Dziękuję.

– *De rien.* – Uśmiechnął się. – Teraz powiesz Harry’emu?

– Nie zdecydowałam.

– Nadal się boisz?

– Chyba tak. I nadal mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Sandor podpisał czek i dał kelnerowi.

– Wracasz do domu dzisiaj?

– Nie byłoby sensu. Mam zadzwonić do doktora jutro rano.

– Czy pomogłem ci choć trochę, *edesem*?

Wyciągnęła rękę nad stolikiem i uściśnęła mu dłoń.

– Bardzo.

Spojrzał jej w oczy.

– Nie powinnaś jutro być sama.

– Nie będę... *maman* przyjedzie.

– Powinnaś mu powiedzieć.

– Chyba masz rację – przyznała smętnie.

– Ale nie powiesz.

– Nie powiem.

– Może Ella nigdy mi tego nie wybaczy – powiedział Sandor Krisztinie przez telefon pół godziny później.

– Myślę, że ci podziękuje.

– To zależy od Bogarde’a. Ona może być w szpitalu już jutro w połowie dnia – stwierdził Sandor. – On musiałby odlecieć z Zurychu teraz, bo inaczej nie zdąży na czas.

– Porozmawiam z Kleinmanem – powiedziała Krisztina. – Postaram się, żeby umożliwił to Harry’emu.

Sandor mówił dobitnie.

– Jeżeli on nie przyjedzie, jeżeli znów jej się sprzeniewierzy, dam ci słowo, Krisztina, ja tam będę, kiedy ona się obudzi po operacji, i zrobię wszystko, żeby już nie miał u niej szans.

Krisztina usłyszała w jego głosie żarliwość.

– Ty naprawdę troszczysz się o nią, prawda, Sandor?

– Któż mógłby się nie troszczyć?

– Myślę, że Harry zdąży.

– Mam nadzieję ze względu na Elle.

Harry przybył akurat wtedy, gdy Elle wywożono z separatki do sali operacyjnej.

– Dzięki Bogu! – Był blady, zasapany.

Ella po zastrzyku uspokajającym patrzyła na niego prawie nie pojmując, że on jest przy niej.

– Skąd się tu wzięłeś? – Spróbowała usiąść, ale w głowie jej się zakręciło i opadła z powrotem.

– Kto ci powiedział?

– Nieważne. – Szedł przy wózku, trzymając ją za rękę. – Jak się czujesz, dziecko?

Uczepiła się jego ręki.

– Harry, wiesz, może będą musieli... – Urwała, nie zdołała wypowiedzieć tych słów.

– Usunąć ci pierś – powiedział spokojnie. – Wiem.

Ella się rozplakała.

– Nie płacz, najdroższa. – Zatrzymali się przed windą. Głaskał ją po włosach i mówił cicho. – Rozmawiałem z Donem i on mówi, że da Bóg, może tak nie być. A nawet jeżeli tak będzie, jak mogłabyś w ogóle myśleć, że to cokolwiek zmieni w moim uczuciu do ciebie.

– Guz dobrotliwy – powiedziała Ella Krisztynie dwa dni później w biurze swojego hotelu. – Boże Wszechmocny, jak to możliwe, że życie jest takie łaskawe?

– Bardzo niedawno uważałaś, że jest nie do zniesienia.

– Wiem. – Ella popatrzyła na swoje ukochane ściany, obrazy i fotografie, i na mały dywan kupiony na aukcji Domu Huntera ponad dziesięć lat temu, te bajeczne obłoki i ptaki, deptane tyłoma pantoflami personelu i niezliczonych gości. Potrząsnęła głową. – Czy ja nigdy się nie nauczę? Kiedy miałam opuścić de Trouvere, myślałam, że tego nie przeżyję... po prostu nie mogłam sobie wyobrazić, że będę szczęśliwa gdzieś indziej. A teraz jestem tutaj wprost śmiesznie uszczęśliwiona, bo wróciłam do domu, tu w Zamku Bogarde.

Krisztina się uśmiechnęła.

– Ten zamek jest twoim dziełem, *dragam*. Ja też tak tu się czuję.

– Nigdy by mi się nie udało bez ciebie, *maman*.

Po chwili Krisztina zapytała:

– Co Harry będzie teraz robił? Na długo będzie wyjeżdżał do Szwajcarii? On naprawdę kocha tę galerię, wiesz.

– Oczywiście, to akurat coś dla niego. Dziś rano pojęłam, że wreszcie mogę zrewanżować mu się za ten hotel.

– Na pewno on nie chciał i nie chce rewanzu.

– Wiem, ale już czas, żebym ja jemu coś dała.

– I co to będzie? – zapytała Krisztina zaciekawiona.

– Druga Galerie Bogarde, tylko bliżej domu, gdzieś w okolicy Rhinebeck, na przykład. On jej nada więcej niż dosyć prestiżu i *eclat*, żeby przyciągała ludzi z miasta, którzy prawdopodobnie na kontemplowanie swoich zakupów będą zatrzymywali się tutaj.

Krisztina z uśmiechem pochwaliła córkę.

– Świetny pomysł. I papa na pewno to zaaprobuje.

Ella patrzyła na nią przez chwilę.

– *Maman*, coś jest niedobrze?

– Niedobrze?

– Wydajesz się czymś przejęta.

Krisztina odczekała chwilę.

– Olivier dzwonił, kiedy byłaś w Nowym Jorku.

Ella wiedziała natychmiast.

– Znaleźli reflektanta.

– Tak. – Krisztina miała wyraz twarzy obojętny. – I muszę przyznać, że to wydaje się dobrą transakcją.

– Finansowo czy dla de Trouvere? – zapytała Ella podejrzliwie.

– Tak i tak, o dziwo.

– Więc to nie jakiś koncern? – Ella od dawna lękała się, że de Trouvere przejdzie na własność jakiejś sieci hotelarskiej i straci osobowość.

– Żaden koncern. Wprawdzie ci ludzie już mają dwa hotele... jeden w Aixen-Proven«ce, a drugi w Annecy, ale są dużą rodziną z czworgiem dorosłych dzieci i podobno pokochali de Trouvere.

– Jakie są tamte hotele?

– Ten w Aix figuruje w spisie Michelina jako *tres comfortable* z jedną gwiazdką za restaurację. A ten w Annecy ma od zeszłego roku dwie gwiazdki.

– Myślisz, że oni dadzą sobie radę z *grand luxe*?

– Prawdopodobnie o wiele lepiej niż *bellemere* i ja, kiedyśmy zaczynały.

– Czasy się zmieniły.

Krisztina się uśmiechnęła.

– Ella, *cherie*, zasięgnęliśmy informacji o nich i o ich hotelach, oczywiście. Jeżeli okażą się bodaj w połowie tak dobrzy, jak z tych informacji wynika^ to będzie niezwykle szczęście, że nam się trafili.

– Przynajmniej – powiedziała Ella powoli – de Trouvere zostanie hotelem. Zawsze to lepsze, niż gdybyśmy musiały zgodzić się na coś tak strasznego jak poszatkowanie na mieszkania czy bo ja wiem co.

– No, szczegóły trzeba jeszcze załatwić i naturalnie podlegają naszej akceptacji, ale jak dotąd, oni zamierzają tylko unowocześnić instalacje wodnokanalizacyjne.

– Na to już pora.

– I z pewnością Olivier zaniedbywał coroczne odświeżanie wnętrza. Ale oni, zdaje się, chcą dostać klucze i po prostu prowadzić ten hotel dalej bez zitiian.

– *Ład stary się zmienia, ustępuje nowemu* – zacytowała Ella cicho. Krisztina znów się uśmiechnęła.

– Dziwne – powiedziała. – Jesteś czasami tak niesamowicie podobna do *bellemere*, a przecież nie masz w sobie ani kropli jej krwi.

– Żyłam przy niej ponad dwadzieścia lat, jestem wdzięczna Bogu, jeżeli odziedziczyłam t0ś z jej charakteru. – Ella umilkła na długą chwilę. – Jak tam Ollie?

– W porządku, zdumiewająco odpowiedziała Krisztina. – Zupełnie rozsądny. Smutny, niewątpliwie, ale pogodzony z losem. – Oczy jej spochmurniały i spojrzała na Ellę niespokojnie. – Co z tamtą sprawą? Rzadko odważam się myśleć o tym.

– Z Fontaine? – Ella westchnęła. – Zniechęciłam Harry'ego do sondowania tego głębiej, bo naprawdę nie chcę wiedzieć.

– Myślę, *cherie* – ciągnęła Krisztina w zadumie – że utrata de Trouvere może się okazać zbawienna dla Oliviera. Może, kiedy on się oderwie od przeszłości, od tych wszystkich zmarłych baronów, i przeniesie się do Paryża...

– Czy powiedział, że wyjeżdża do Paryża?

– Już poluje tam na mieszkanie.

– Bogu dzięki.

– Dlaczego mówisz to z taką ulgą?

– Bałam się – wyznała Ella – że może on przeniesie się za granicę.

– Do Niemiec? – Krisztina potrząsnęła głową. – Nigdy. Zanadto jest Francuzem, *cherie*. Nie

zdeprecjonowałyby tak nazwiska de Trouvere.

Sprzedaż Chateau de Trouvere stała się faktem dokonany trzy miesiące później, trzydziestego czerwca 1984 roku.

Olivier wieczorem w przeddzień wyjazdu siedział sam w swojej sypialni, w zachodnim pawilonie, patrząc na małą stertę tego, czego jeszcze nie zapakował.

Były to albumy w skórzanej oprawie, złote i srebrne trofea, medale i fotografie. Ten zbiór, który Ella uważała za kapliczkę ku pamięci jego ojca, Laurenta de Trouvere.

Wziął w rękę jedną z fotografii – Laurenta śmiejącego się z dwoma hitlerowcami.

– Przykro mi, ojciec – powiedział.

Przykro. Co za słowo, żeby określić jego stan ducha? Najstraszliwszą chandrę, poniżenie, poczucie całkowitej klęski?

Tak wiele zrobił, żeby de Trouvere mieć na wyłączną własność. O tych posunięciach wiedział tylko on. O niegodziwych posunięciach.

A jednak utracił wszystko.

Już myślał o samobójstwie – myśl o pójściu w ślady ojca miała w sobie jakąś miłą ironię. Ale tym samym przyznałby się do klęski – jeszcze jedno publiczne upokorzenie – i absolutny, nieodwołalny koniec rodu de Trouvere.

Cóż więc pozostaje? Rodzina. William, nieznośnie tolerancyjny, chociaż wyraźnie stracił wszelką co do niego nadzieję. Matka, będąca ciągłym przypomnieniem o tej połowie jego pochodzenia, o której nie mógł myśleć bez wstrętu i nienawiści do siebie. Ella, bystrzejsza i twardsza niż dawniej, chociaż nadal nieskończenie przebacząca i kochająca... I Danielle, słodka, tkliwa mała Dani, wiodąca go z powrotem w dzieciństwo i niepotrzebne rozmyślenia, że mogłoby być inaczej...

Co rzeczywiście zostało?

Popatrzył jeszcze raz na tę fotografię, zanim odłożył ją z powrotem na miejsce wśród innych pamiątek.

Przyjaciele.

Ci, którzy go akceptują i rozumieją.

Wstał, powoli przeszedł przez pokój i otworzył szafę w ścianie.

W pustej szafie wisiał tylko ceremonialny, z aksamitu koloru burgunda, mundur Confreres de la Fontaine.

CZEŚĆ SZÓSTA

Ella: Stan Nowy Jork
Rok 1986

Po miesiącach chłodnego, spokojnego planowania Ella nagle straciła pewność siebie. Usiadła na podłodze swojej jadalni przeobrażonej w centrum strategiczne, podniosła wzrok na męża i rodziców i powiedziała z absolutną zgrozą:

– To będzie katastrofa!

Krisztina przestała studiować najnowszy plan rozmieszczenia stolików.

– Co, *cheñe*?

– Początek, środek i koniec.

– Tylko tyle? – Harry swobodnie usiadł na dywanie przy Elli i Afrodycie, jej ukochanej wilczarce. – A już nas zmartwiłaś.

– Żartuj sobie – jęknęła Ella – ale zrzędnie ci mina, kiedy staniemy się pośmiewiskiem kraju.

– Całego? – zapytał William spokojnie. – Chyba nie.

– To nie jest zabawne, papo.

– Nie jest, kochanie. Oczywiście. Myślę tylko, że łatwo wytłumaczyć ten atak szarpiącego zwątpienia.

– Czym? – zapytała Ella.

– Paniką.

– To naturalne. – Harry objął ją ramieniem, zeszywniałą. – Porywamy się na zorganizowanie jednej z największych, najwspanialszych, najbardziej skomplikowanych superimprez, jakie kiedykolwiek próbowano zorganizować w takich hotelach jak nasz.

– Ależ o to właśnie chodzi! – Ella, z oczami pałającymi, chwyciła Harry’ego za koszulę. – Czy to nie powód do paniki? Moja pierwsza od miesiący reakcja normalna i rozsądna!

To miało być wielkie wydarzenie towarzyskie, jakiego nigdy dotąd nie planowali, no, ale też nie było dotąd pretekstu do tak uroczystych obchodów. W czerwcu tego roku przypadały: dziesiąta rocznica otwarcia Zamku Bogarde i dwunaste urodziny Danielle, a ponadto – zgoła niespodziewanie – miał się odbyć ślub Oliviera z niejaką Helo’ise Lefevre, trzydziestoletnią paryską rozwódką, z którą żył już od roku.

– Zwariowałaś – powiedział Harry, gdy Ella wpadła na pomysł, że w prezencie ślubnym wyprawi bratu wesele. – I twój ojciec przyznaje mi rację.

Za nic by nie dopuściła do tego, by Olivier znów stał się przyczyną rozdzwiewu w ich małżeństwie – są przecież oboje szczęśliwi ze sobą jak nigdy – spokojnie więc wyjaśniła Harry’emu, że po tylu latach obopólnych żalów jej brat wyraził szczerze życzenie dzielenia się swoim szczęściem z nimi. Po prostu by nie mogła zatrzasnąć bratu drzwi przed nosem.

– Poza tym – poparła ją matka – on się ustatkował, odkąd utracił de Trouvere, i ta Helo’ise, kimkolwiek jest, najwidoczniej rozjaśnia mu życie.

Serce nie pozwoliło Harry’emu odrzeć Elli i Krisztiny ze złudzeń.

W ostatnich dniach maja, gdy w okolicy pełno było turystów wędrujących szlakiem Ripa van Winkle i lokujących się w dogodnych do obserwacji miejscach, takich jak Skała Malony, Legowisko Niedźwiedzia czy Szczyt Natchnienia, zaczęli do Zamku Bogarde przybywać pierwsi goście na to świętowanie, z którego dochód w ogromnej części miał zasilić kilka dobroczynnych instytucji opieki nad dziećmi.

W programie były bankiety, dwie rewie mody, sponsorowane przez bardzo hojnych gigantów

couture, wśród nich Maryli Lanvin i Ralpa Laurena, koncert dla dzieci niepełnosprawnych, balet Aarona Copelandą *Appalachian Spring* w wykonaniu uczniów miejscowej szkoły baletowej i orkiestry pod dykcją Sandora Janosa oraz – jak zły sen ochroniarzy – wystawa biżuterii firm jubilerskich Van Cleef i Arpels. Wszystko miał uwieńczyć huczny bal wieczorem siódmego czerwca. Koncepcja wplecenia uroczystości rodzinnych w imprezy hotelowe przyprawiła Ellę i Krisztinę o kilka migren, ale w końcu powstał plan bez zarzutu. Olivier i Helo'ise wezmą ślub w południe siódmego czerwca, ich weselni goście będą bawić się na balu wieczorem.

– Przyjechali – oznajmił Elli Harry pod wieczór pierwszego czerwca.

– Kto? Ollie? – Wstała, odwracając się do małego antycznego lustra wiszącego za biurkiem, poprawiła włosy i makijaż.

– Jaka ona jest?

– Prosto z czołowej pozycji na afiszu.

– To znaczy?

– Wysoka, germańska, urocza, ale zimna.

– Germańska?

– Jeżeli Helo'ise Lefevre jest Francuzką, to ja pochodzę z Fidzi.

– Niemka!

– Nie mówię, że zwyczajna Niemka, serduszek – powiedział Harry. – Właściwie chodzi mi nie tyle o tę panią, ile o jej ojca.

– Boże!

– On nazywa się Franz Winzler i jest piękny, istny obraz. Oczy jak u łasicy, wredne, mięsiste usta, wiek akurat taki, że mógł być bardzo czynny w czasach Holocaustu.

Ella była coraz bledsza. – I kto jeszcze?

– Z nimi? – Harry pomyślał. – Brat Helo'ise, Gerhard, również sympatyczny facet, jej dwoje dzieci z poprzedniego małżeństwa... wyglądają owszem, owszem... i... – urwał.

– I?

– Jej matka, oczywiście.

– I? – powtórzyła dobitnie, wiedząc, że to nie wszystko. Patrzył ze współczuciem. – Paczka przyjaciół twojego brata.

– Fontaine? Wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć z całą pewnością, ale dwaj z nich mają takie pojedynkowe blizny jak on.

– Umilkł i po chwili dodał:

– *Plus ça change.*

Ella poczuła mdłości. – Och, Harry!

– William cholernie się wścieknie, kiedy ich zobaczy, a twoja matka... – potrząsnął głową. – Biedna Kriszti, dla niej to będzie najcięższe.

Ella klapnęła w fotel.

– Co ja mam zrobić, Harry?

– Każ im się wynieść.

– Ale jak mogę? Uwierz mi, bardzo bym chciała, ale przecież wyprawiam bratu wesele, i to już jest wszystko zorganizowane. Jeżeli zacznę odgrywać straszną siostrę, może to się skończyć prawdziwym skandalem.

– Czy martwisz się o hotel, czy o Oliviera?

– Martwię się o *maman* i o Dani – odpowiedziała Ella strapiona. – I tak, naturalnie martwię się o hotel. Mój brat zniszczył już jeden, który kochałam. Nie dam mu zniszczyć tego.

– Chcesz, żebym ja z nim porozmawiał?

Ella potrząsnęła głową.

– Tylko by doszło do awantury. – Westchnęła. – Nie, sama będę musiała zaapelować do resztek przyzwoitości, jakie może w nim jeszcze zostały.

Zatelefonowała do apartamentu Oliviera i zaprosiła go do domu.

– Jak mogłeś?

Patrzył na nią zaskoczony.

– Co jak mogłem?

– Nie udawaj niewiniątka. Jak mogłeś do mojego hotelu sprowadzić nazistów? Jak mogłeś to zrobić *maman*? No i sobie, przecież jej synowi...

Spodziewała się oburzenia, defensywy i gniewu zranionej dumy.

Nie przewidziała szczerej chyba skruchy.

– Nie chciałem. Możesz mi wierzyć, wcale nie chciałem, żeby tak było.

– Więc przyznajesz, że to są naziści?

Olivier bardzo zeszcupiał od czasu, gdy ostatnio go widziała, był ogólnie w lepszej formie, ale twarz miał mizerną, twarz człowieka zaszczutego.

– Olivier, czy ci ludzie to naziści?

– Ojciec Helo'ise był kapitanem SS.

– A inni?

Był blady jak płótno.

– Nie pytaj, Ella. Nie potrzebujesz o nich wiedzieć.

– Neonaziści. – Pokręciła głową. – Nie, masz rację, nie odpowiadaj. Nie chcę wiedzieć. – Umilkła na chwilę. – Nie wydajesz się zadowolony z ich towarzystwa.

– Zadowolony? – Sardonicznie skrzywił usta.

– Jednak żenisz się z jedną z nich...

– Helo'ise nie jest jedną z nich. Nie jej wina, że jej ojciec był tym, czym był, przed laty.

– To prawda – zgodziła się Ella. – Ale zaprosiłeś jej ojca i tamtych na swój ślub. Czy wolno mi wiedzieć dlaczego?

– To są moi przyjaciele – odpowiedział prawie szeptem.

– Więc dlaczego tak żałośnie krzywisz się, kiedy o nich mowa? Jeżeli to twoi przyjaciele, dlaczego nie jesteś z nich dumny? Dlaczego przynajmniej nie masz odwagi przyznać, że zadajesz się ze szczurami... z szumowiną.

– Daj mi coś łyknąć, proszę.

Nalała whisky do szklanki i podała mu.

– Lepiej usiądź. – Wskazała kanapę.

Usiadł i szybko wypił.

– No?

– Nie powinnaś była tego zrobić, Ella.

– Czego?

– Takiego gestu. Ze ślubem tutaj i weselem.

– Chciałam ci zaufać – odpowiedziała po prostu.

– Ja chciałem twojego zaufania. Ponad wszystko.

– Więc dlaczego je zawiodłeś?

– Nie miałem wyboru.

– Zawsze jest wybór, Ollie. To się nazywa wolna wola.

– Nie zawsze.

– Co ty mówisz? Że oni by nie dali ci wystąpić z Fontaine?

– To już nie tylko Fontaine, Lalla.

– Czy oni mają nad tobą jakąś władzę? – zapytała łagodniej, z minuty na minutę coraz bardziej bojąc się o niego. – Co to za sprawa? Pieniądze? Chyba po sprzedaży de Trouvere mogłeś uregulować wszystkie swoje długi. Czy może znowu hazard?

Zawahał się, zanim skinął głową.

– Tak.

– Och, Ollie. Więc jesteś u nich zadłużony?

Znowu krótkie wahanie.

– Jestem zadłużony, tak.

Ella usiadła naprzeciw niego.

– Co z Helo'ise? Kochasz ją?

Podniósł głowę, żeby spojrzeć siostrze w oczy.

– Tak.

– I ona kocha ciebie?

Prawie uśmiechnął się po raz pierwszy.

– Wierzę, że kocha.

– Przynajmniej to już coś. – Wstała. – Olivier, nie chcę naszej rodziny postawić w głupiej sytuacji wyrzuceniem stąd twoich gości. Ale jeżeli będzie jakiś kłopot... choćby cień kłopotu, kiedy oni tu są...

– Nie przyjechali, żeby sprawiać kłopoty, Ella, przysięgam, są tutaj ze względu na Helo'ise.

Ella zmrużyła oczy.

– I niech ja nie przyłapię żadnego z nich gdziekolwiek w pobliżu Dani, bo wszyscy natychmiast stąd wylecą, nawet nie zdążą się spakować. Jasne?

– Oczywiście.

– Więc to już wszystko. – Spojrzała na zegar stojący na parapecie kominka. – Musisz mi darować... mam sporo jeszcze roboty.

Olivier wypił reszkę whisky i sięgnął do kieszeni marynarki.

– Przywiozłem coś dla was.

– Och?

Wstał.

– Przyszło mi na myśl, że tobie i *maman* może się przyda.

Zobaczyła w jego ręce duży, mocno zardzewiały klucz.

– Do drzwi kaplicy de Trouvere – wyjaśnił. – Od lat jest zamknięta. Nowi właściciele się zgodzili, żeby pozostała prywatna i żebyście miały do niej prawo wstępu, kiedy tylko zechcecie.

Ella patrzyła na niego zdumiona.

– Rozmawiałeś z nimi o tym? Ani *maman*, ani ja nic nie mówiłyśmy. Przyjęłyśmy, że oddajemy kaplicę z całą posiadłością.

Stał się sztywny.

– Nie jestem tak zupełnie gruboskórny, Lalla. Cmentarzyk dużo znaczy dla nas trojga, ale wiem, że kaplica budzi szczególne wspomnienia w naszej matce.

– Więc może sam daj jej ten klucz?

Potrząsnął głową.

– Wolałbym, żebyś ty dała, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

– Nie mam. Dziękuję ci, Ollie. – Wzięła klucz od niego, czując zimny ciężar tego żelaza. – *Maman* będzie ci wdzięczna.

– Miło mi – burknął – że daję wam coś innego niż tylko powody do zmartwienia.

– W tym była jakaś fałszywa nuta – powiedziała później Ella Harry'emu.

– Mówiłaś, że wydawał się szczery.

– Tak. Wyjątkowo. Przysięgłabym, że naprawdę się wstydził. Ale czego? – Spróbowała dokładnie przypomnieć sobie ich rozmowę. – Odkąd napomknęłam o hazardzie, odpowiedzi przychodziły mu łatwiej. Chciał mnie przekonać, że z hazardu biorą się wszystkie jego kłopoty... że jest winien tym ludziom pieniądze.

– Myślisz, że kłamał?

Przytaknęła zgnębiona.

– I boisz się o niego, czy tak?

– Wiem, że nie powinnam... wiem, że już czas, żebym się nauczyła zostawiać go i niech pije piwo, którego sobie nawarzył, ale...

– Ale nie możesz.

– Przynajmniej spróbuj zrozumieć, Harry – zaapelowała.

– Rozumiem tylko, jakie mają szczęście ci, których ty kochasz, Ella. – Harry umilkł na chwilę.

– Chcesz, żebym postarał się zbadać tę sprawę?

– Chyba chcę – odpowiedziała powoli – ale poczekajmy z tym, aż oni się pobiorą. Zdaje się, że lgną do siebie i Helo'ise, cokolwiek robił jej ojciec, jest dla niego dobra.

– Ciekawe... – zaczął Harry i urwał.

– Co?

– Nic. .

– Co? – nalegała.

– Ciekawe, czy Olivier wspomniał swojej przyszłej żonie o tej drobnostce, że jego matka to Żydówka.

Wkrótce potem Harry wyszedł z pokoju. Ella, siedząc przy toalecie, patrzyła w lustro.

Nie powiedziała Harry'emu tego, co zamierzała powiedzieć. Pół godziny przed wiadomością, że Olivier przyjechał, miała telefon od Dona Kleinmana i zaczęła już planować dokładnie, jak powie Harry'emu tę nowinę i wyobrażała sobie wyraz jego twarzy.

Dziecko, którego przez dziesięć lat oboje pragnęli daremnie.

Ale na ten wielki moment padł cień. Ella wiedziała, że nie powie, nie może powiedzieć Harry'emu, dopóki ci straszni ludzie nie wyniosą się spokojnie z hotelu i z ich życia.

Galowy tydzień upływał świetnie. Zamek Bogarde nigdy dotąd nie wyglądał aż tak wspaniale, rozświetlony żywotnością, pyszniący się swymi splendorami, gdy w gorączkowym nastroju przeganiano zadowolonych gości z jednej błyskotliwej imprezy na drugą. Krisztina i Ella, opanowane, dystygowane, jeżeli gryzły się w kłykcie, to tylko za kulisami, prawie nie śmiać przyznać, że odnoszą fantastyczny sukces. Personel pracował sprawnie i energicznie, Alex Monselet szalał z radości, gdy wychwalano każdą z kolejnych uczt.

– Ani szach perski, ani królowa Elżbieta nie jadają wystaw – niej – ryczał w upojeniu zgoła nieskromnie do swej wyczerpanej czeladzi.

Sandor, który spóźnił się o jeden dzień, utyskiwał na akustykę, na amatorów, na niedającą się wytłumaczyć nieobecność stroiciela fortepianu, ale potem, występując dwukrotnie, dyrygował orkiestrą, jak było do przewidzenia, cudownie. Rewia mody wywołała okrzyki olśnienia i zachwytu po obu stronach wybiegu dla modelek wzniesionego w mniejszej sali balowej. Ochroniarze, czujni wokół kolekcji drogocennych klejnotów firmy Van Cleef, zaczęli się odprężać, gdy słońce w przedostatni dzień wystawy chyliło się ku zachodowi.

Ostatni dzień, siódmego czerwca, wstał ciepły, słoneczny, ale nastrój był mroźny i wysoce naelektryzowany, gdy przed samym południem rodziny i goście państwa młodych zebrali się w prywatnym ogrodzie różanym przy domu Bogarde'ow.

Ceremonia ślubna odbyła się gładko. Panna młoda wyglądała posagowo w jedwabnym modelu od Emanuela. Jej synek, będący paziem, jej córka i Danielle – dwie druhny – patrzyli z czcią, jak Olivier i Helo'ise klękają, składają słowa przysięgi, wymieniają obrączki i w końcu się całują.

– *Merci, Lalla, pour tout* – podziękował Olivier Elli później, po weselnym obiedzie.

– *Merci, ma cheñe* – zawtórowała Helo'ise grzecznie.

– To ja dziękuję wam obojgu – odpowiedziała Ella, gardząc swoją ceremonialnością i niewysłowienie żałując, że nie zdoła szczerze i serdecznie ich uściskać.

– Nie wytrzymuję obecności tego Winzlera tutaj – powiedziała Krisztynie, gdy obie odeszły od weselnego stołu, żeby nadzorować przygotowania na wieczór.

– Wiem, co czujesz. – Krisztina się zachnęła. – Ale nic nie można zrobić.

– W dodatku boję się, że lada chwila prasa się dowie, jakich zbirów przyjęliśmy teraz do naszej rodziny.

– Nikt nas nie pytał. Zostałyśmy postawione przed *fait accompli*.

– Wiem, *maman* – przyznała Ella ponuro – tylko że to żadna pociecha.

– Chodź, *cherie*. – Matka objęła ją w pól. – Popatrzmy na naszą salę balową.

Ella zapaliła wszystkie światła. Blask wielkich żyrandoli w tej ogromnej sali potęgowały antyczne ścienne lustra wokoło.

– Zawsze mi to przypomina naszą starą salę lustrzaną, chociaż oczywiście ta jest nieco wspanialsza. – Krisztina się zamyśliła. – Tamta była pierwszą częścią Chateau de Trouvere, którą wzięłam sobie na własność. Wiele znaczyła dla mnie.

Ella podeszła do jednego ze stolików, wzięła kryształowy kieliszek i obejrzała go krytycznie, był niepokalanie czysty. Postawiła go z powrotem.

– To dziwne – powiedziała. – Mój brat właśnie się ożenił, na dobre czy na złe, a ja teraz mogę myśleć tylko o dzisiejszym wieczorze! – Nagle ogarnęło ją podniecenie. Odwróciła się do matki. – Będzie udany, jak myślisz?

Krisztina się uśmiechnęła.

– Myślę, że będzie *formidable*.

Ella znów rozejrzała się po sali – Niechby me był!

Cheri, jeszcze kawioru?

– Ojej, tak.

Helo'ise zanurzyła swe długie palce ze szkarłatnymi paznokciami w srebrnej miseczce, ulepiła maleńki kopczyk z tej czarnej ikry na jednej i na drugiej zjędrniałej brodawce sutkowej, po czym oparła się z powrotem o atlasowe poduszki. Leniwie nakreśliła na sobie cienką, pionową kreskę z kawioru od pępka po włosy łonowe. Olivier, już nie posiadając się z podniecenia, pochylił głowę na jej piersi i zaczął zlizywać kawior, ale delikatnie go odsunęła.

– Łakomczuchu, ja też chcę trochę, wiesz.

Znów zanurzyła palce w miseczce. Starannie, powoli zaczęła smarować jego penisa.

– *Merde*, Helo'ise. – Olivier drżał. – Musimy ubrać się na kolację. Już kwadrans po siódmej.

Nowa baronowa de Trouvere uśmiechnęła się swoim najbardziej zmysłowym uśmiechem i przyciągnęła ciemną głowę męża do lewej piersi.

– *Bon appetit, mon amour* – powiedziała.

– Kochanie, zrób mi grzeczność... zawiąż tę muszkę.

– Dobrze, ale prędko... muszę tam już wrócić.

Ella zawiązała muszkę doskonale. Harry pocałował ją ostrożnie ze względu na fryzurę i makijaż.

– Jak wyglądam? – zapytał.

Przyjrzała mu się.

– Lepiej niż wszyscy mężczyźni, których kiedykolwiek widziałam. Pierwszorzędnie. – Akurat tak jak nowiusieńki tatuś, gdybyś tylko wiedział, pomyślała. – A ja? – Szybko zakręciła się przed nim. Cekiny na jej czarnej sukni, model od Valentina, zamigotały w świetle lampy.

Harry patrzył na nią bezradnie.

– Mnie nie pytaj.

– Dlaczego?... Masz bardzo dobry gust.

– Ale ja chcę tylko zdjąć z ciebie to wszystko.

– Maniak seksualny! – Ella się uśmiechnęła i po raz któryś spojrzała na zegarek. – Dwadzieścia pięć po siódmej... muszę już bieć. Życz mi szczęścia i na miłość boską, pośpiesz się.

Poklepał aksamitną kokardę nad jej pośladkami.

– Złam nogę, mała.

– Lin Tsung, jeszcze nie jesteś gotów?

– Cierpliwości, Dani.

– Zapytałam, czy nie jesteś gotów.

Lin Tsung ukazał się w drzwiach.

– Odpowiedziałem, że musisz być cierpliwa.

– Przepraszam, nie słyszałam.

– Wyglądasz pięknie, Dani. – Lin Tsung patrzył z podziwem na bogactwo czerwonozłotych loków, podpiętych dwoma grzebykami zdobnymi w szafiry, pod kolor szerokiej spódniczki z satyny. Dwunastoletnia Danielle była na co dzień jeszcze łobuziakiem, ale bezspornie uczyła się doceniać uroczyści.

– A Stokrotka? – zapytała. – Czy ona nie wygląda wspaniale?

Biała irlandzka wilczarka, faworyta Danielle, została wykąpana w szamponie, wyszczotkowana, uczesana i wystrojona w girlandę, czule oplecioną na obroży.

– Chciałam jej zrobić girlandę ze stokrotek, tylko że to może byłoby zanadto ślicznie. Jak myślisz, Lin Tsung?

– A co, jeżeli będzie musiała się podrapać?

– No to się podrapaj. Chodźmy, dobrze? Już pół do ósmej, chcę widnieć, jak wszyscy przychodzą.

– Williamie, proszę, czy musimy jechać tak wolno?

– Prędzej nie mogę na tej szosie.

– Ale okropnie się spóźnimy. Powinam tam już być... oboje powinniśmy być z Ellą.

– Byłaś z nią prawie przez cały dzień, Kriszti. – William spojrział na żonę z ukosa. – Jesteś strzępkiem nerwów, kochanie. Postaraj się uspokoić.

– Nie trzeba było wracać do domu, żeby się przebrać... wiedziałam, że się spóźnimy...

– Ella nie weźmie nam za złe tych kilku minut.

– Kilku minut? Będzie cud, jeżeli w takim tempie zdążymy na kolację.

Kolacja miała być o pół do dziewiątej, przyjęcie z szampanem o ósmej. Za piętnaście ósma ze stu dziewięćdziesięciu ośmiu gości hotelowych czterdzieści trzy osoby popijały na dole w dwóch barach, cztery w przedpokoju skarbca czekały na swoją biżuterię, piętnaście osób na tarasie obserwacyjnym podziwiała wieczorny widok początków lata w dolinie, a pięć oglądało ostatni raz brylanty, szafiry, rubiny i szmaragdy na wystawie firmy Van Cleef. Pozostałe sto trzydzieści jeden osób jeszcze w swoich pokojach i apartamentach dopinało na sobie suknie, piło „na rozgrzewkę” albo, nie mając poczucia czasu, było jeszcze pod prysznicem, jeśli nie w uścisku miłosnym.

Za dziesięć ósma cztery windy sunęły w górę i w dół, i z każdego piętra zabierały gości, żeby wyładować ich na parterze. W zatłoczonym głównym holu szumiało jak w ulu. Ci, którzy górską szosą przyjechali tylko na ten wieczór, wchodzili frontowymi drzwiami i tworzyli ogonki do szatni.

– Widziałeś rodziców? – zapytała Ella, spotykając Harry’ego w salonie przyległym do sali balowej.

– Jeszcze nie.

– Spóźniają się. Nie rozumiem. – Zmarszczyła czoło.

– Nie martw się o nich... masz i tak dosyć na głowie.

Dotknęła jego ramienia.

– Harry, proszę, zajmij się Sandorem. On siedzi w barze Kaaterskill taki osowiały.

– Dlaczego?

– Mówi, że jest samotny i nie będzie miał z kim tańczyć, bo wszystkie najpiękniejsze kobiety są zamężne. Powiedziałam mu, że ja z nim zatańczę.

– Jeżeli ze mną zatańczysz najpierw... – Harry popatrzył na nią. – Jak się czujesz?

– Strasznie się denerwuję. – Bezwiednie dotknęła brzucha.

– Motylki w żołądku? – zapytał.

Za dziesięć ósma ponad sto pięćdziesiąt osób już piło szampana, a ponad osiemdziesiąt, wśród nich Olivier, ojciec i brat Heloise, i ich kompani, jeszcze zapełniały bary. W jednym z barów Sandor Janos teraz brzdąkał na fortepianie jazzowe bluesy. Heloise i jej matka jeszcze kończyły się malować przy swoich toaletkach. Danielle z Lin Tsungiem krążyła wokół tłumów, starając się

uchronić Stokrotkę od przypadkowych kopnięć, przy czym bacznie obserwowała wszystkich i wszystko. Harry w męskiej toalecie usuwał plamę soku pomidorowego ze smokinga, Ella w swoim biurze przyjmowała telefon zza oceanu.

Wciąż jeszcze na szosie pomiędzy Jeziorem Północnym i hotelem, Krisztina się denerwowała.

– Musiał być wypadek akurat dziś wieczorem?! Nigdy dotąd nic nas nie zatrzymywało na tej szosie.

– Przynajmniej nie my się rozbiliśmy – stwierdził William spokojnie. Wyprowadził bentleya za ostatni już trudny zakręt.

– Spójrz, kochanie, czyż nie wspaniały widok?

Krisztina zapatrzyła się w zamek jaśniejący wszystkimi światłami na tle bladego wieczornego nieba.

– Kriszti? Źle się czujesz?

Chociaż dziwnie ścisnęło ją w piersi, skinęła głową.

– Bardzo dobrze. Ale musimy tam być już! – Ponagliła go spojrzeniem. – Proszę cię!

William dodał gazu.

Dwadzieścia po ósmej większość opieszłych przeszła grupkami z barów do salonu recepcyjnego. W głównym holu wreszcie zrobiło się raczej pusto.

Howie Dillman, jeden z młodych boyów hotelowych, przyniósł śmietniczkę i zaczął zmiatać wszelkie ślady brudu naniesionego pantoflami przybywających. Za ladą recepcji Louis Dettlingen i jego pomocnik Clayton Tailor, były pracownik Amtrak z Poughkeepsie, zdecydowali, że mogą spokojnie posiedzieć przez kilka minut.

Dwadzieścia trzy po ósmej frontowymi drzwiami wkroczyli czterej mężczyźni w smokingach i trzy kobiety w sukniach wieczorowych.

Obaj *concierges* wstali.

– Dobry wieczór – powiedział Louis.

Jak na komendę mężczyźni jednocześnie wsunęli ręce pod marynarki, wyciągnęli cztery pistolety i wycelowali w Dettlingena i Taylora.

– Rany boskie – wyszeptał Howie Dillman. Śmietniczka i szczotka wyleciały mu z rąk.

W biurze, jeszcze rozmawiając przez telefon z częstym gościem, Hiszpanem, który chciał sobie zapewnić swój ulubiony apartament, Ella usiłowała po raz trzeci przekonać go, że naprawdę musi skończyć tę rozmowę, gdy nagle w słuchawce zaległa cisza.

– *Senor Alvarez?*

Położyła słuchawkę, odwróciła się do lustra i sprawdziła, jak wygląda.

Drzwi się otworzyły.

– Tak? – Odwróciła się do drzwi. – Słucham.

Uśmiech jej znikł, gdy spojrzała prosto w ciemną, złowrogą lufę pistoletu automatycznego.

– To niemożliwe. Hotel jest cały oplątany urządzeniami alarmowymi... policja będzie tu w ciągu dziesięciu minut.

– Nie wejda, pani Bogarde. Mam tutaj swoich ludzi. Jest dwudziestu dwóch mężczyzn, oprócz mnie, i siedem kobiet. – Ten człowiek, ciemnowłosey, może trzydziestopięcioletni, w okularach w rogowej oprawie, mówił po angielsku płynnie, ale z obcym akcentem. – Zamek Bogarde jest zabezpieczony.

– Zabezpieczony? – Ella miała twarz popielatą, głos pełen niedowierzania.

Podał jej szczegóły.

– Troje przy głównym wejściu, jedna kobieta w centrali telefonicznej, po dwóch mężczyzn przy każdym z ośmiu wyjść na parterze. Mężczyzna i kobieta przy windach na każdym piętrze i troje w kuchniach. Mamy karabiny maszynowe, uzi, kałasznikowy, automatyczne pistolety i granaty – powiedział do– bitnie. – Za pół godziny wszystkie wejścia i wyjścia na każdym piętrze będą zaminowane.

Ella wpatrywała się w niego.

– Czego chcecie? Chodzi wam o wystawę biżuterii? O skarbiec?

Jego piwne oczy za okularami nawet nie mrugnęły.

– To nie jest rabunek, proszę pani.

Jeszcze bardziej się przestraszyła.

– Więc co to jest?

Odpowiedział z powagą, raczej jak lekarz przynoszący złą wiadomość, niż jak herszt gangu.

– Na razie niech wystarczy, pani Bogarde, że pani hotel został przemocą wypożyczony.

– Przemocą wypożyczony?

– Niestety, tak.

W głowie jej kołowało.

– Gdzie jest moja córka? Ona to jeszcze dziecko i niezupełnie sprawne. Musicie ją wypuścić!

– Danielle nic nie grozi, proszę pani.

– Skąd pan zna jej imię? – zapytała ostro.

– Jej nic nie grozi – powtórzył.

– Więc dajcie mi pójść do niej!

– Wkrótce.

– Przynajmniej niech wiem, co zamierzacie zrobić.

– Dowie się pani wtedy, gdy dowiedzą się wszyscy. W hotelu i na zewnątrz.

– To jest mój hotel – powiedziała, bardziej teraz rozgniewana niż przerażona. – Za ludzi tutaj... gości i personel... ja ponoszę odpowiedzialność. Ich bezpieczeństwo jest w moich rękach!

– Im nic nie grozi, pani Bogarde – zapewnił grzecznie, co zdezorientowało ją i zaniepokoiło jeszcze bardziej.

– Jak pan może to mówić, kiedy wnieśliście do hotelu cały arsenał?!

– Jeżeli bez przeszkód będziemy mogli wypełnić nasze zadanie – powiedział – daję pani słowo, że nikomu niewinnemu, mężczyźnie, kobiecie czy dziecku, włos z głowy nie spadnie.

– Jesteście terrorystami? – zapytała Ella.

Serce jej waliło jak młot.

– Niektórzy powiedzą, że jesteśmy. Ja mówię z pełnym – przekonaniem, że nie.

Ella spojrzała mu prosto w oczy.

– Co chcecie osiągnąć? Po co wtargnęliście?

Ręka z pistoletem nawet mu nie drgnęła.

– Przeprowadzimy proces sądowy.

– Jak to? Nie możesz tam się dostać?

William szedł z parkingu do hotelu, nie znajdując ani odźwiernego, ani nikogo innego, kto by

zaparkował jego bentleya, gdy Krisztina chwiejnym biegiem na wysokich obcasach zawróciła od drzwi.

– Mówię ci, że nie mogę! Drzwi są zamknięte na klucz i nikogo nie widać w holu! – Dygotała ze zdenerwowania.

– To niemożliwe, Kriszti.

– Więc sam spróbuj!

Szybko podeszli razem do głównego wejścia. Te wielkie frontowe drzwi, zwykle rozsuwające się automatycznie, gdy się przestąpiło elektroniczne oko, teraz, szczelnie zamknięte, nie ustępowały.

– Zacięły się – powiedział William.

– Mam złe przeczucie. – Krisztina była spięta. – Coś się stało.

Potrząsnął głową.

– Na pewno jest jakieś proste wytłumaczenie. Bezpieczeństwo... Może portier musiał odejść na kilka minut, nie miał kogo zostawić, więc zamknął.

– To śmieszne. Zawsze ktoś dyżuruje.

William zajrzał za szybę, usiłując zobaczyć wewnętrzne drzwi. W recepcji nie było nikogo.

– Pusto. Czekaj... ktoś idzie.

– Chwała Bogu.

W kierunku drzwi wejściowych szli przez hol dwaj mężczyźni w smokingach i kobieta w zielonej wieczorowej sukni. William zastukał w szybę, żeby przyciągnąć ich uwagę. Wszyscy troje zatrzymali się i stali nieruchomo.

– Boże – powiedział cicho William zdławionym głosem.

– Co? – Krisztina chwyciła go za rękaw.

– Mają broń.

Kobieta, która przejęła hotelową centralę telefoniczną, zatelefonowała do miejscowej policji w Hunter. Przedstawiła się jako Katia, zażądała rozmowy z najstarszym na dyżurze i kazała mu słuchać uważnie.

– Proces? Jaki, do cholery, proces?

Policjant Martin Levy zbaraniał. Zmarszczył brwi, aż skóra wokół oczu się pofałdowała.

– Sierżant mówi, że powiedziała, że są grupą antyfaszystów, którym chodzi o sprawiedliwość.

– No to dlaczego napadli na pięciogwiazdkowy Zamek Bogarde?

– Powiedziała, że tam przyjechali naziści i nikt inny nigdy ich nie ukarze za zbrodnie.

– Fanatycy! – Policjant Joe Petrelli stuknął się ręką w głowę.

– Tutaj, w środku hrabstwa Greene, gdzie prawie nic się nie dzieje, mamy fanatyków. Jacyś zakichani terroryści napadają na najlepszy hotel! – Spojrzał na Levy'ego. – I ta Katia powiedziała, że co oni chcą zrobić?

– Już mówiłem. Chcą im zrobić proces, sierżant mówi, że tak ona to nazwała. I że ich jest razem trzydzieści osób.

– Trzydzieści?! To cała cholerna armia. Jak się tam dostali, na Boga Ojca?! Myślałem, że taki hotel ma ochroniarzy.

– Ma, ale chyba nieprzygotowanych na napad takiego wojska, do tego z kałasznikowami i granatami.

Petrelli zagwizdał.

– Matko święta!

– Założyli tam stację nadawczą i już mają radiową łączność z WTEN i WKNY. Będą nas informować, kiedy zaczną mieć o czym.

– Elegancko z ich strony – zauważył Petrelli kwaśno. – Więc jak my się z nimi załatwimy? Dostaniemy jakąś pomoc, ufam w Bogu?

– Sierżant już rozmawia z Leeds.

Telefon na biurku zadzwonił. Levy odebrał, posłuchał, powiedział: „tak jest” i położył słuchawkę.

– Co teraz? – zapytał Petrelli.

– Przyjechali zgłosić ten napad. Państwo Hunter, rodzice Elli Bogarde. Sierżant chce, żebym zaparzył im kawę.

O godzinie dziesiątej wszyscy goście i pracownicy hotelu, wprowadzeni pod lufami do sali balowej, siedzieli, jak im kazano, albo przy swoich wyznaczonych uprzednio stolikach, albo na podłodze.

Niedaleko środka sali, przy stoliku rodzinnym z dwoma miejscami niezajętymi, siedzieli Ella, Harry i Danielle, Lin Tsung i Sandor Janos, przy innym w pobliżu, większym, Olivier, Heloise, jej rodzina i ich pięciu przyjaciół.

Podium, gdzie kilka minut przedtem jeszcze siedziała cicho i lękliwie orkiestra taneczna, zostało przeobrażone w pomieszczenie sądu. Były tam prowizoryczne łoże dla świadków, obrońców i przysięgłych.

Harry trącił Ellę łokciem.

– On teraz przemówi.

Wszyscy skierowali wzrok na podium. Ten sam mężczyzna, który przedtem rozmawiał z Ellą, stanął przy mikrofonie.

– Nazywam się – zaczął, starannie modulując głos – Tadeusz. – Zrobił krótką przerwę. – Już słyszeliście, że celem naszego przybycia tu dzisiaj jest wytoczenie sprawy sądowej. Wkrótce będziecie wiedzieli, kto ma stanąć przed sądem i o co jest oskarżony. Ale najpierw, ponieważ to na pewno będzie noc długa i nieprzyjemna, chcemy, żebyście zjedli kolację, za którą zapłaciliście tak szczerze.

W sali zaszumiało. Podniesieniem ręki Tadeusz nakazał milczenie.

– Kelnerzy i kelnerki, proszę przyjmować zamówienia na potrawy i wina... Kuchmistrz Monselet i jego personel, proszę wrócić do kuchni i wydać te smakowite potrawy przygotowane takim staraniem.

– To przecież wariat – powiedział Olivier do swojej nowej żony. Przytaknęła z zaciśniętymi ustami.

– Chyba.

Winzler spojrzał na syna.

– *Maistens Juden* – syknął.

– *Ich habe es schon bemerkt* – zgodził się z nim Gerhard.

– Nie oni wszyscy – powiedziała Helga Winzler. – Ten tam to nie-Żyd i tamta kobieta też nie-Żydówka... widzicie?

– I tak ich tu dosyć – powiedział Winzler.

Umilkli.

Kelnerzy podchodzili do stolików, goście zdenerwowani zamawiali drżąc, a potem usiłowali jeść.

– Długo tego nie wytrzymam – szepnęła Ella do Harry’ego, trzęsąc się z wściekłości i niepokoju. – Ci ludzie... nasi goście. Boże święty, narażeni na tę...

– Kochanie, przestań – powiedział Harry. – Weź się w karby dla Dani, jeżeli nie dla niczego innego.

Danielle, siedząca z lewej jego strony, usłyszała, co powiedział.

– Ja się nie przejmuję, tatusiu – powiedziała dzielnie. – Bądź spokojny.

– Gdybym wiedziała, gdzie są *mamon* i papa. – Ella się trzęsła.

– Tutaj ich nie ma – stwierdził Harry. – To już pociecha.

– Lin Tsung – zapytała Danielle – czy oni naprawdę podłożyli bomby pod drzwi i okna?

– Myślę, że nie, Dani.

– Nawet gdyby podłożyli – powiedział Sandor – tutaj wszyscy jesteśmy bezpieczni.

– Wolalabym, żeby nie mieli tych wielkich karabinów, Sandor.

– Ja też bym wolał, Dani, zapewniam cię.

„Prokurator”, łysawy, okrągłolicy człowiek, mniej więcej czterdziestoletni, z akcentem być może holenderskim, zaczął czytać akt oskarżenia.

Kapitan SS Franz Winzler był oskarżony o to, że w obozie koncentracyjnym Birkenau kopniakami zabił niejaką Sarę Graber we wrześniu 1943 roku i że skazał na zachłostanie na śmierć dwadzieścia jeden osób – mężczyzn, kobiet i dzieci.

Drugi oskarżony, Peter Kalasz, w Budapeszcie w 1944 roku kazał trzydziestu trzech mężczyzn związać po trzech, zastrzelić każdego środkowego w trójce, po czym wrzucić ich wszystkich do Dunaju, gdzie ciężar trupów ściągnął tych jeszcze żywych na dno.

Gerhard Winzler, Günther von Edrichstein i Olivier de Trouvere byli oskarżeni o współudział w zamordowaniu Heleny Freiberg, Jakuba Monkowicza i Luciena Sagana od lipca 1984 do marca 1985 roku.

Dani wybuchnęła płaczem.

– To nic, Dani, nie płacz – Harry, usiłując na próżno ją pocieszyć, spojrzał na Ellę siedzącą nieruchomo z zamkniętymi oczami. – Ella? Kochanie?

– To niemożliwe – szepnęła. Otworzyła oczy i błagalnie spojrzała na niego. – Harry, on nie mógł... on nie mógłby...

– Współudział w morderstwie – szepnął Harry. Dał córeczce swoją chustkę do nosa, żeby wytarta łzy. – Co to znaczy, do diabła?

Lin Tsung zauważył, że Sandor też siedzi sztywno i jest blady.

– Źle się pan czuje, panie Sandor? – zapytał łagodnie.

Sandor nie odpowiedział.

W pokoiku w komisariacie Martin Levy dał Williamowi i Krisztynie spis oskarżonych i oskarżeń.

– Sierżant prosi, żeby państwo to przejrżeli, bo może któreś nazwisko coś państwu powie.

Po chwili Krisztina cicho jęknęła.

– Pani Hunter?

William uciszył policjanta spojrzeniem. Mocno ujął Krisztinę za lodowatą rękę.

– Może to pomyłka – szepnęła.

Jeszcze wpatrywała się w spis.

– Rzeczywiście tak myślisz – powiedziała tępo. To nie było pytanie.

– Co tam się dzieje teraz? – zapytał William Levy’ego.

– Wybierają przysięgłych... cała sądowa procedura. Biorą gości na chybił trafił... albo tak się wydaje... wypytuja ich jak w prawdziwym sądzie. Ten Tadeusz to chyba prawnik.

– Też mi prawnik.

Tadeusz i jeszcze jeden z nich, uzbrojeni w uzi, podeszli do stolika Bogarde’ow i spojrzeli na Elle.

– Pani Bogarde, zechce pani pójść z nami.

– Po co?

– Chciałbym z panią porozmawiać.

– Dlaczego nie tutaj? – oburzył się Harry.

– Nic złego pani się nie stanie, zapewniam.

Ella dotknęła ramienia Harry’ego.

– W porządku. – Wstała.

Gdy wyszła z nimi z sali balowej, Tadeusz powiedział:

– Jest pani wybrana do ławy przysięgłych.

Nie uwierzyła własnym uszom.

– Nie!

– Tak, proszę pani.

– Upadliście na głowy?

– Nie przypuszczam.

– Ja nie zasiądem w waszym rzekomym sądzie – odpowiedziała z mocą, chociaż głos jej drżał.

– Niestety, nie ma pani wyboru.

– Pan mi grozi?

– Nie bezpośrednio – odpowiedział chłodno Tadeusz – ale przypominam: mówiła pani, że ponosi odpowiedzialność za bezpieczeństwo personelu i gości.

Ella patrzyła na niego.

– Czy pan wie, że bardzo pan szkodzi sprawie swojego narodu?

– Mojego, to znaczy Żydów?

– Chyba tak. Tak.

– To również pani naród, pani Bogarde.

– Wiem o tym doskonale.

Oczy mu błysnęły za okularami.

– Do pani wiadomości: z dwudziestu dziewięciu mężczyzn i kobiet w dzisiejszej akcji ze mną, pięcioro to protestanci... w tym dwoje Niemców notabene... trzech katolików i jedenaścioro Żydów. Pozostałym dziewięciu zapłaciliśmy, żeby się do nas przyłączyli. Nie wiem, jakiego są wyznania, czy w ogóle w coś wierzą, ale chcą nam pomagać.

– Za jakąś cenę.

– Wszystko ma swoją cenę. – Umilkł na chwilę. – Więc i postawienie przed sądem pięciu ludzi, których w innych okolicznościach według wszelkiego prawdopodobieństwa sprawiedliwość nigdy by nie osiągnęła. Ceną za to może być moje życie i życie niektórych z moich najdroższych przyjaciół.

– Już nie mówiąc o waszych zakładnikach! – syknęła Ella.

– Jeżeli dadzą nam spokojnie przeprowadzić proces, nikomu nie stanie się krzywda.

– Jak możecie nazywać tę farsę procesem, kiedy oskarżeni nie będą mieli bodaj cienia szansy, żeby się bronić?

– Jest wśród nas czterech adwokatów – odpowiedział Tadeusz. – Oni dopilnują, żeby prawo było należycie respektowane.

– Adwokaci? – Ella roześmiała się zgrzytliwie – po dzisiejszej nocy zostaną napiętnowani jak pospoliccy kryminaliści, jak wy wszyscy.

– Zasiądzie pani w naszym sądzie przysięgłych, pani Bogarde?

– Nie rozumiem, jak może pan bodaj wysunąć taką sugestię, kiedy przed tym waszym sądem stawiacie mojego brata.

– To może pani da wpływ na zadośćuczynienie sprawiedliwości. – Tadeusz umilkł i dorzucił po chwili: – I sprawi, że media nie przestaną interesować się należycie tym procesem.

– Dodatkowa ciekawostka – powiedziała Ella z goryczą.

– Właśnie.

Chwyciła się brzytwy.

– Jeżeli się zgodzę, czy wypuścicie moją córkę?

– To wykluczone, niestety.

– Dlaczego?

– Mogłaby podać policji informacje szkodliwe dla nas. – Zastanowił się. – Pozwoliłbym jednak, żeby wyszła z sali.

– Z moim mężem?

– Mogłaby posiedzieć w barze z Lin Tsungiem.

Ella się zdumiała.

– Od jak dawna obserwowaliście moją rodzinę? Skąd tyle o nas wiecie? Co myśmy wam zrobili? Przecież nie chodzi tylko o Oliviera. On z nami nie mieszka...

– Okoliczności, proszę pani.

– Okoliczności?

Tadeusz przytaknął.

– Pani brat, pani piękny zamek... pani sukces i sława, pani pochodzenie... te atrakcje, sam ten dzisiejszy bal...

– Akurat coś dla waszego celu.

– Właśnie – powiedział znów.

Do komisariatu przyjechał pułkownik z policji stanowej. Powiedział Williamowi i Krisztynie:

– Musimy mieć bazę blisko hotelu. Mogą państwo coś zaproponować?

– Na tym terenie jest dom naszej córki.

– W jakiej odległości?

– Sporej – odpowiedział William. – Dobre dziesięć minut drogi szybkim krokiem.

– Nie ma nic bliżej? Nie na tyle, żeby Tadeusz i jego towarzysze nas widzieli, oczywiście.

– Może pływalnia? – podsunęła Krisztina zadowolona, że może myśleć pozytywnie. – Nadaje się idealnie. Dość dobrze widać z niej jedną stronę zamku i jest osłonięta drzewami.

– Chyba to doskonale – powiedział pułkownik. – Dziękuję pani.

William wstał.

– Pojedziemy z panem, pułkowniku.

Pułkownik się zawahał.

– Na ogół w takich sytuacjach nie zapraszamy cywili w okolice operacji... ale tym razem... Pan może być pomocny. Ostatecznie nikt z nas nie zna tego hotelu tak dobrze.

Krisztina zerwała się z krzesła.

– Pani nie, pani Hunter, niemniej dziękuję.

– Jadę – oznajmiła.

Pułkownik spojrzał na Williama, żeby go poparł.

– Nie chcemy narażać pańskiej żony na niekonieczną przykrość, panie Hunter.

– Pułkowniku, mój mąż rzadko bywa w Zamku Bogarde – powiedziała Krisztina, nagle szorstko. – Ja znam tam każdy cal, prawie nie gorzej niż moja córka. Jestem wam potrzebna.

Pułkownik uśmiechnął się.

– Chyba tak.

O drugiej nad ranem zaczął się proces.

Pierwszym oskarżonym był Franz Winzler.

Tadeusz powiedział z mocą:

– Panie prokuratorze, zechce pan wezwać swojego pierwszego świadka.

Prokurator wstał i wziął w rękę mikrofon.

– Wzywam panią Dorę Graber Friedlander.

Od stolika w dalekim kącie sali balowej wstała białowłosa kobieta w wytwornej czarnej, szyfonowej sukni i spokojnie, z godnością podeszła do podium.

– Boże! – Ella, teraz wśród przysięgłych na podium, patrzyła zdumiona.

– O co chodzi? – zapytał jej sąsiad.

– Ten świadek?

– Co z nią?

– Jest tu od tygodnia... jadła tutaj, oglądała rewię mody i balet, spała w naszym łóżku. – Blednąc jeszcze bardziej, Ella zacisnęła pięści na kolanach. – Nawet nasi goście byli z nimi w zмовie.

Noc się wlokła. Świadkowie zeznawali – mężczyzna znany Elli jako dentysta z Colorado, kobieta z Wiednia, filantrop z Chicago, który przyjechał zaledwie dzień przedtem. Od bliższych czy dalszych stolików, oświetlonych świecami, ci goście, ku zażenowaniu swoich współbiedników, wstawali na wezwanie i występowali w tym sądzie najwyraźniej bez zdumienia czy protestu. Jak w pułapce z innymi przysięgłymi Ella siedziała, coraz bardziej oszołomiona precyzją akcji Tadeusza. Jego ludzie już od tamtej chwili, gdy zdecydowała się włączyć ślub Oliviera w uroczystości dziesiątej rocznicy Zamku Bogarde, musieli czynić przygotowania i prawdopodobnie przeniknęli do hotelu nawet tak, że załatwili rezerwację dla świadków.

Wielki Boże, jakąż byłam idiotką! Wymyślała sobie w duchu, koncentrując się tylko

połowicznie na przerażającej litanii oskarżeń i przywoływanych wspomnień o niepojętych, okrutnych zbrodniach przeciwko ludzkości.

Czasami kierowała wzrok na oskarżonych: na twarz Winzlera, apatyczną, prawie ogłupiałą, na twarz Kalasza, czerwoną z oburzenia i lęku, na twarze syna Winzlera, Gerharda, i młodego arystokraty, von Edrichsteina, aroganckie, z uśmiezkami na ustach.

A Olivier...

Po raz Bóg wie który, Ella usiłowała wczuć się w niego, rozpaczliwie pragnąc wierzyć, że nie popełnił żadnych zbrodni, o które go oskarżają. Ale przypomniawszy sobie jego coraz większe na przestrzeni lat niezrównowazenie... dawne czasy i Mischę – jak okrutnie on braciszce dokuczał... jego furję, gdy rozgniewał się na Gabora... cudaczny pakt krwi... wzrastające pretensje do Genevieve... i jeszcze dużo, bardzo dużo tego, o czym zawsze usilnie starała się nie myśleć...

Krisztina i William siedzieli wyczekująco w budynku pływalni, gdzie bar nad basenem stał się ośrodkiem łączności policji w Hunter z policją w Leeds i postawioną w stan gotowości drużyną antyterrorystyczną.

– Co się dzieje? – zapytał William dwóch miejscowych policjantów, którzy przywieźli ich górską szosą.

Petrelli popatrzył na sierżanta przy radiu i telefonie.

– Jeszcze sprawdzają teren wokoło... chyba że cała ta banda jest wewnątrz. Przypuszczamy, że niewiele wejść podminowali, ale nie wiemy które, więc to psu na budę.

– Co się dzieje w zamku? – zapytała Krisztina lękliwie.

– Właśnie sądzą Kalasza – odpowiedział policjant Levy. Spojrzał na zegarek. – Już dochodzi piąta. Im dłużej to się ciągnie, tym lepiej dla nas.

– Wzywam świadka Sandora Miklosa Janosa.

– Co?! – Harry szarpnął głową.

Sandor wstał.

– Sandor? – szepnął Harry ochryple. – Wiedziałeś?

Sandor spojrzał na niego.

– Dopiero od chwili, kiedy przeczytali akt oskarżenia.

– Panie Janos – powtórzył prokurator.

– Znasz Kalasza? – zapytał Harry.

Nerw w skroni Sandora zadrgał.

– Nie, nie znam go. Ale myślę, że to może on zamordował mojego ojca i dziadka.

– Ten Tadeusz to istny dobroczyńca – zameldował cierpko radiooperator Williamowi, Krisztynie i innym o godzinie szóstej.

– Dyrygent właśnie skończył zeznawać, a on zamawia jajka, grzanki i kawę dla trzystu pięćdziesięciu osób.

– Co my mamy robić? – zapytał Levy.

– W Leeds myślą, że te podminowania to blef.

– Więc wchodzimy? – Petrelli, który bardzo się nudził, ożywił się na nowo zainteresowany.

– Jeszcze nie. Zbyt ryzykowne.

– Ale skoro oni blefu ją?

– Tak się wydaje. Ale amunicji to bez cienia wątpliwości mają dosyć, żeby zastrzelić co

najmniej połowę zakładników, więc nie uważasz, że powinniśmy działać tylko na pewniaka?

William i Krisztina popatrzyli na siebie, znając swoje myśli.

Po części chcieli, żeby drużyna antyterrorystyczna już tam wkroczyła i położyła kres tej męce, ale też przede wszystkim strasznie się bali, co wtedy będzie z Ellą, Harrym, Danielle i wszystkimi innymi.

Zaraz po siódmej, gdy większość gości ze zdumieniem, że w takiej sytuacji mogą być głodni, kończyła jeść śniadanie, mężczyzna przy czwartym stoliku od miejsca, przy którym teraz siedzieli tylko Harry i Sandor, nagle upuścił filiżankę z kawą i chwycił się za lewe ramię. Na jego twarzy malował się ból i strach.

Jego towarzyszka zachłysnęła się, spróbowała go podtrzymać, ale osunął się na krzesło z twarzą ziemioszarą. Patrzyła na niego jeszcze przez sekundę, po czym zerwała się na równe nogi i zaczęła krzyczeć:

– Wy bydlaki! Widzicie, coście zrobili! Boże, dopomóż nam, mój mąż ma zawał!

Radiooperator słuchał uważnie.

– Wyprowadzili kogoś.

– Co? Kogo? – William i Krisztina zamarli.

– Nie wiem. – Słuchał dalej. – Jakiegoś starszego... nazwisko Chapman... wiedzą państwo, kto to? – Spojrzał na nich. Potrząsnęli głowami. – On ma atak serca czy coś. Tadeusz go wypuścił, żeby udzielono mu pomocy.

– Ciężki atak? – William pochylił się ku radiooperatorowi.

– Mówią, że szedł o własnych siłach, więc może z nim nie tak źle. Rozmawiają z nim teraz.

– Biedaczysko! – Levy wzdychał. – Powinien być w drodze do szpitala, a nie rozmawiać z policją.

– Życie wielu innych wisi na włosku, więc mu tak bardzo nie współczuj – upomniał go rozsądnie Petrelli.

– W każdym razie – powiedział sierżant przy radiu – to dowodzi jednego.

– Czego? – zapytała Krisztina.

– Jeżeli wyszli tak łatwo, my możemy wejść.

Za dziesięć dziesiątą, gdy już od czternastu prawie godzin trwało oblężenie, prokurator wstał znowu. Jeżeli był znużony, to tego nie okazywał.

– Wzywam oskarżonego Oliviera de Trouvere.

Z sali Harry wpatrywał się w Ellę. Całym sercem chciał być przy niej, dodawać jej siły. Spięta, zeszywniała, oczami szeroko otwartymi bez drgnienia patrzyła na Oliviera.

– Olivier, dwudziesty siódmy baron de Trouvere?

– Tak.

– *Monsieur le baron*, jest pan oskarżony o współudział w zamordowaniu Luciena Sagana w kwietniu 1985 roku. Czy pan się przyznaje?

Olivier patrzył na prokuratora.

– Ja nie zamordowałem Luciena Sagana – powiedział głosem zdławionym, ale wyraźnie.

– Czy pan się przyznaje do winy?

– Nie rozumiem oskarżenia.

Prokurator przybrał ostrzejszy ton.

– Więc wyjaśnię to panu. Lucien Sagan został przejechany na Boulevard Saint-Marcel w Paryżu, czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego przez niebieskiego peugeota pięćset cztery. Jest pan oskarżony o załatwienie wynajęcia tego samochodu i udzielenie kierowcy schronienia po tym morderstwie. – Powtórzył pytanie: – Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Olivier uniósł podbródek.

– Gdzie jest ten kierowca? Dlaczego nie on stoi tutaj?

– Pytam po raz ostatni, czy oskarżony przyznaje się do winy?

Dopiero teraz przerażenie odbiło się na jego twarzy, chociaż nie w głosie.

– Ja nie uznaję tego sądu. – Podkreślił słowo „sądu” pogardliwie.

Prokurator uśmiechnął się.

– Czy pan uznaje, czy nie, *monsieur le baron*, jest pan sądzony za zbrodnię popełnioną na Lucienie Saganie.

Gdy William i Krisztina, zastanawiając się nad planem architektonicznym hotelu, odpowiadali na pytania pułkownika, dwaj miejscowi policjanci i ich sierżant rozmawiali zniżonymi głosami:

– Czy my wiemy, dlaczego oni zamordowali tych ludzi? – zapytał Petrelli.

– Przypuszczalnie – odpowiedział sierżant – są powiązani z jakąś neonazistowską bandą mścicieli, a tacy sprzątają każdego, kto świadczył przeciwko ich bohaterom czy krewnym, czy przyjaciółom.

– To znaczy sprzątają świadków na procesach zbrodniarzy wojennych? – zapytał Petrelli z niedowierzaniem. – Przecież to było czterdzieści lat temu.

– Jak mówili Tadeusz i jego tak zwany prokurator – ciągnął sierżant – władze nie chcą przyjąć do wiadomości faktu, że taka banda istnieje, bo te śmierci są pozorowanymi wypadkami. – Zajrzał do notatek, które robił, słuchając procesu przez radio. – Helena Freiberg w Malhause wpadła pod samochód, kierowca uciekł, z Lucienem Saganem w Paryżu było tak samo, a tamten człowiek, Mankowicz, podobno sam rzucił się pod pociąg w Wiedniu. – Spojrzał szybko na Hunterów, żeby się upewnić, że zajęci rozmową z pułkownikiem nie słyszą. – Te dwa zabójstwa we Francji

zorganizowali młodszy Winzler i de Trouvere, a o śmierć pod pociągiem w Austrii zadbał von Edrichstein.

– Wierzycie w to? – zapytał Petrelli.

Sierżant wzruszył ramionami.

– Ja to tylko odbieram.

– Marty?

– A to ważne, co ja myślę, Joe?

– Pewnie, że ważne.

– Ha! – westchnął Levy. – Czy nie może to być prawda? Ludzie lubią się oszukiwać, że już nie ma nazistów. – Umilkł. – Jeżeli ci trzej to neonaziści – oświadczył po chwili ponuro – głowę dając, że są winni tego, o co ten Tadeusz ich oskarża.

Niespodziewanie usłyszeli głos Williama.

– Powiedziałbym, że zapomnieliście, panowie, o zasadniczym aspekcie tej sprawy.

– O czym, panie Hunter? – Levy usiłował nie patrzeć na Krisztinę, bladą, coraz bardziej mizerną.

– Ten człowiek, Tadeusz, może wydaje się prawnikiem... ale rzeczywiście jest terrorystą.

O wpół do dwunastej przed południem, gdy niektórzy zakładnicy drzemali niewygodnie przy swoich stolikach, a inni jeszcze słuchali i patrzyli, zamroczeni i wyczerpani, wystąpiło na zakończenie procesu dwóch „obrońców”. Ich przemowy były oczywiście krótkie, argumenty miały, niepoparte żadnymi konkretnymi dowodami. Czterdzieści minut później przemówił prokurator, też krótko, ale z mocą, której obrońcom brakowało, z pasją wyraźną, chociaż powściągliwą.

Podsumowanie należało do Tadeusza.

– Dwaj z oskarżonych, starzy hitlerowcy, przez lat ponad czterdzieści cieszyli się wolnością w luksusowych warunkach. Jeżeli nie spotka ich sprawiedliwość dziś i tutaj, można śmiało zakładać, że nie będą pociągnięci do odpowiedzialności nigdy, bo już wkrótce wielu z takich świadków, którzy pojawili się tu przed wami dzisiaj, nie będzie na świecie. A tamci trzej... Gerhard Winzler, Giinther von Edrichstein i Olivier de Trouvere... na pewno nigdy nie zostaną postawieni przed oficjalnym sądem w żadnym kraju, bo ich ofiary nawet nie zostały uznane za czyjekolwiek ofiary.

Tadeusz popatrzył na sąd przysięgłych.

– To jest wasza szansa – ciągnął – jeżeli stwierdzicie winę któregoś czy wszystkich tych oskarżonych... wasza szczególna historyczna sposobność do osądzenia w imię milionów ofiar... nie tylko Żydów, ale wszystkich ofiar nazizmu, ponieważ nawet wśród tych omawianych w toku naszego procesu ani Lucien Sagan, ani pięć ofiar przypisanych Peterowi Kalaszowi nie było Żydami.

37. Zamek Ella Zdjął okulary, wytarł je dużą, białą chustką do nosa i znowu włożył.

– To jest wasza szansa – powtórzył. – Jeżeli zdecydujecie, że wina została udowodniona – wasza szansa’ wymierzenia, być może, ostatniego ciosu potworom, którzy bezpośrednio czy pośrednio są odpowiedzialni za rzeź, za śmierć w sumie pięćdziesięciu ośmiu osób, mężczyzn, kobiet i dzieci.

I znowu umilkł na chwilę.

– Panie i panowie przysięgli, zechciejcie wyjść i rozważyć wasze orzeczenie.

Ella z podium patrzyła poprzez salę na Harry'ego i Sandora.

Harry patrzył prosto na nią.

Zastanawia się, co ja zrobię, pomyślała.

Uśmiechnęła się do niego, po czym przeniosła wzrok na Oliviera, siedzącego sztywno ze zbielałą twarzą.

Mój brat.

Zadrżała.

– Ile godzin już obradują? – zapytała Krisztina.

– Trzy godziny – William zwrócił się do radiooperatora: – Jest wiadomość? Kiedy zaczną akcję?

– Jeszcze się przygotowują, proszę pana.

– Na co oni, do cholery jasnej, czekają? – syknął Petrelli, którego najbardziej ten nastrój napięcia irytował.

– Na wyroki – odpowiedział sierżant.

– Dlaczego? – zapytała Krisztina z lękiem.

– Kiedy będą wyroki, proszę pani, jest raczej możliwe, że wszyscy tam się zbiorą w jednej sali.

– Ale czy oni wejdą? – zapytał William.

– Och, wejdą, a jakże.

Tadeusz wszedł do biblioteki, w której siedzieli przysięgli.

– Za dużo czasu wam to zabiera.

Ella spojrzała na niego gniewnie.

– Nie wiedzieliśmy, że czas jest ograniczony.

– Rozsądek mówi, że musi być, proszę pani.

– Jak to?

Zasepił się.

– Proszę, niech pani wyjdzie.

– Po co?

– Chcę z panią porozmawiać.

– Niech pan rozmawia tutaj.

– Nie tutaj. – To był rozkaz.

Ella powiodła wzrokiem po znużonych przysięgłych, wszystkich w napięciu, prawie nad wytrzymałość, i wstała.

Na korytarzu Tadeusz przybrał ton jeszcze bardziej surowy.

– Polegam na pani, pani Bogarde. Trzeba doprowadzić do końca możliwie jak najszybciej.

– Polega pan na niewłaściwej osobie.

– Znów pani zapomina o swojej odpowiedzialności.

– Ani na chwilę! – palnęła.

– Więc na pewno zdaje pani sobie sprawę, że im dłużej to trwa, tym większe jest prawdopodobieństwo, że policja czy wojsko straci cierpliwość i tu wtargnie.

– Liczę na to.

– A wtedy – mówił dalej ostro – nie wiadomo, ile osób z pani rodziny, przyjaciół i gości może ucierpieć.

– Pan rzeczywiście troszczy się o nich?

– Tak.

– Więc niech pan już da temu wszystkiemu spokój i wypuści ich.

– Tego nie mogę zrobić.

Ella zmięknęła.

– Przecież udowodniliście swoją rację. Czy to nie wystarczy?

– Wolałbym, żeby wystarczyło.

– Ale zamierza pan ciągnąć sprawę do końca.

– Nie mam wyboru, pani Bogarde.

– Więc co będzie? – zapytała niepewnie.

– Zależy od werdyktów.

– Czy pan naprawdę uważa, że można wymusić rzetelne werdykty na ludziach, których powołaliście siłą? – Spróbowała przemówić mu do rozumu. – Nawet gdyby chcieli współpracować, są zanadto zmęczeni i zdezorientowani. Nie mogą myśleć logicznie.

– Więc pani może im pomóc.

– Jak?

– Sama wydać uczciwe orzeczenie. Przewodniczy pani w tym pokoju... oni pani zawtórują, niech mi pani wierzy.

Ella, już słabnąc ze zdenerwowania i braku snu, po raz pierwszy zastanowiła się niespokojnie, czy nie zaszkodzi to dziecku w jej łonie. Oparła się ręką o ścianę.

– Pani Bogarde, słabo pani?

Przełknęła mdłości i spojrzała na niego wyzywająco.

– Nigdy pan nie uzyska werdyktu ode mnie, Tadeuszu. Nie osądzę mojego brata, to już postawiłam jasno.

– Ja też wyraziłem się jasno. – Teraz miał twarz jak z kamienia. – Wolałbym, pani Bogarde, nie uciekać się do gróźb.

– Jakich gróźb?

– Tych, bez których od początku starałem się obejść. – Poczekał chwilę. – Werdykt albo życie.

Wstrząs odbił się w jej oczach.

– Za każde niewydane orzeczenie sądu przysięgłych – mówił dalej Tadeusz – ktoś z zakładników zostanie zastrzelony.

– Nie wierzę panu – wyszeptała.

Uśmiechnął się cierpko.

– Proszę pani, gdyby pani spotkała mnie przed tą nocą, myślę, że po pierwsze, nie uwierzyłaby pani w to, że wezmę zakładników.

Jeszcze przez długą chwilę Ella wpatrywała się w niego. Potem powiedziała cicho:

– Pójdę i powiem im.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – warknęła.

Otworzył drzwi biblioteki przed nią.

– Wystarczy większość werdyktów, pani Bogarde.

Ella weszła do biblioteki.

Harry i Sandor szli pod strażą do męskiej toalety.

– Nie wiem, jak ona to wytrzymuje – powiedział Harry cicho.

– Jest silna – mruknął Sandor.

– To już ponad cztery godziny. – Harry był rozstrojony. – Tadeusz chyba ich ponagli. Musi zakończyć ten proces prędko.

– W jaki sposób? – zapytał Sandor. – Nie znam innych przysięgłych, ale ręczę, że Ella nie zrobi tego, czego on chce.

– Chyba że ją zmusi.

Ochlapali twarze zimną wodą. W drzwiach uzbrojony strażnik przestępował z nogi na nogę.

Sandor spojrzał na Harry'ego.

– Jeżeli te werdykty, wyszachrowane czy nie wyszachrowane, potwierdzą winy, jak myślisz, co oni zrobią?

– Chyba tych skurwysynów zastrzelą.

Sandor przytaknął.

– A jej brat?

Z miną obojętną Harry odpowiedział:

– No, to pewnie jak diabli, że nie wyślą go do więzienia.

O piątej po południu weszła do biblioteki kobieta uzbrojona w uzi. Rzuciła na stół przed Ellą dziesięć kawałków papieru.

– Kartki do głosowania – powiedziała. – Proszę je wypełnić. Ma być nazwisko każdego z oskarżonych i przy nazwisku: winny czy niewinny.

– Za wcześnie – powiedziała Ella.

– Tadeusz mówi, że było już dosyć czasu. Proszę je wypełnić.

W ciągu dziesięciu minut kartki zostały wypełnione. Potem przyszedł sam Tadeusz i znów wywołał Ellę na korytarz.

– To pani głos, przypuszczam. – Rzucił w nią jedną kartką. – „Proces nielegalny”.

Zaczęła się pocić.

– Mój głos.

– Tylko pani tak napisała, pani Bogarde.

– Powtórzyłam im pana groźbę. – Brawurowała. – Mówił pan, że ja przewodniczę... przywódcy wolno mieć swoje zdanie.

– Wszyscy mają głosować znowu.

– Nie uzyskał pan swojej większości?

– Oddajcie głosy jeszcze raz!

Ella wyczuła, że gotów jest ją uderzyć. Wbiła sobie paznokcie w dłoni.

– Nie szanuję nielegalnego sądu.

– Więc zastrzelimy pierwszego zakładnika. – Zrobił krok, żeby odejść.

– Nie!

Odwrócił się i wetknął jej w rękę dziesięć czystych kartek.

– Jeszcze raz.

– Lin Tsung, co się dzieje? – Danielle obudziła się z niespokojnej drzemki i usiadła rozdrażniona. – Jeszcze się nie skończyło? Kiedy będę mogła pójść do mamusi i tatusia?

Lin Tsung, z oczami czerwonymi ze zmęczenia i napięcia, w jakim ze względu na Danielle zachowywał spokój, potrząsnął głową.

– Nie wiem, Dani. Chyba musimy cierpliwie jeszcze trochę poczekać.

Stokrotka, wilczarka, zaskomlała. Danielle potarmosiła jej uszy.

– Stokrotka musi wyjść. Ona nie susia w domu.

– Nikt z nas nie może wychodzić. Stokrotka także. Postaraj się jeszcze trochę przespać.

– Nie jestem zmęczona. – Była wyraźnie bardzo wyczerpana. – Co oni zrobią wujaszкови Olivierowi?

– Prawdopodobnie nic.

– Myślą, że on zabił tych ludzi.

– To są przestępcy, Dani – powiedział Lin Tsung cicho, pamiętając o strażniku za drzwiami baru. – I jestem pewny, że policja wkrótce tu będzie, żeby uwolnić nas wszystkich, łącznie z twoim wujem.

W oczach Danielle widział strach.

– Ja myślę, że oni go zastrzelą – powiedziała dziewczynka.

Tadeusz, znużony, przyklepał dłonią kartki z głosowaniem.

– Niewinny, bo proces nielegalny. – Uśmiechnął się ironicznie. – Przynajmniej zmieniła sformułowanie.

– Co zrobimy? – zapytał prokurator. – Zastrzelimy kogoś z nich?

Tadeusz podrapał się po swych krótkich ciemnych włosach.

– Nie.

– Więc co?

– Mamy większość. Chciałem mieć werdykt Elli Bogarde, ale nie dojdziemy z nią do niczego, jeżeli nie zastrzelimy niewinnych ludzi. – Wstał i powiedział do siedzącej przy nim kobiety: – Wprowadź sąd przysięgłych z powrotem do sali.

– Wrócili!

W pływalni trzech policjanci wyprostowali się na krzesłach, a Krisztina i William przestali spacerować tam i z powrotem.

– Wkraczamy? – zapytał Levy.

– Nie wiem – odpowiedział sierżant. – Chyba czekamy na werdykty.

Krisztina znów usiadła, bo nagle już nie mogła stać. William w milczeniu usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

Tadeusz mówił głośno do mikrofonu, budząc tych, którzy zdołali zasnąć.

– Teraz odczytam państwu werdykty sądu przysięgłych w sprawie każdego z pięciu oskarżonych. Sąd przysięgłych orzekł...

Harry patrzył na Elle, żeby bodaj wzrokiem podtrzymać ją na duchu.

– W sprawie Franza Ludwiga Winzlera... Winny zarzucanych mu zbrodni.

Helo'ise się zachłysnęła, jej matka się rozplakała, a na ławie oskarżonych syn Winzlera głośno jęknął.

Tadeusz bezlitośnie mówił dalej:

– W sprawie Petera Bodoga Kalasza... Winny zarzucanych mu zbrodni.

Z ławy oskarżonych Kalasz małymi niebieskimi oczami, pałającymi nienawiścią, patrzył

groźnie na Sandora Janosa.

– W sprawie Gerharda Winzlera...

... Winny...

Sierżant ze słuchawkami na uszach zapamiętało powtarzał, co słyszy. Krisztina siedziała drętwą, zaciskając pięść w dłoni Williama.

– Giinther von Edrichstein... winny. – Sierżant umilkł. Wyraz twarzy miał nieodgadniony.

– Sierżancie – głos Williama zgrzytnął w ciszy. – Proszę nam powiedzieć.

– Olivier de Trouvere... Winny.

Krisztina nie drgnęła. William objął ją ramieniem.

– Mają to, o co im chodziło – powiedział Levy.

– Myślisz, że tylko o to? – zapytał Petrelli.

– Cicho! – Sierżant machnął ręką. – Tadeusz wydaje wyrok.

– O to właśnie chodziło – odpowiedział Levy cynicznie.

Sierżant zgarbił się nad radiem. Jeszcze kilka sekund minęło.

– No? – Petrelli nie mógł już tego znieść.

Sierżant podniósł wzrok z niedowierzaniem.

– Śmierć – powiedział – przez powieszenie.

– Chcę porozmawiać z bratem. – Ella, nie bacząc na strażników, wyszła z łoży przysięgłych i stanęła przed Tadeuszem.

– Nie ma czasu.

– Niech pan jednak da czas. Tego wymaga ludzka przyzwoitość.

Spojrzała mu w oczy.

– Proszę – powiedziała cicho.

– Parę minut.

Bezwiednie spojrzała w stronę okien.

Przytaknął.

– Lada chwila już nie będą czekać.

– Ale rzeczywiście nikogo nie powiesicie?

Patrzył na nią nieubłaganie.

– Powiesimy tego esesmana, choćby to było nasze ostatnie zadanie – powiedział. – I Kalasza też, jeżeli zdążymy.

Ella prawie nie odważała się oddychać.

– A mój brat?

– Jeżeli wystarczy czasu.

Patrzyła na niego, świadoma, że patrzy na człowieka, który wie, że według wszelkiego prawdopodobieństwa za krótszą czy dłuższą chwilę i tak umrze.

– Dziękuję – powiedziała.

– Powiesimy go, jeżeli będziemy mogli. Pani brat jest winny, proszę pani.

Policzki ją paliły, piękna suknia, model od Valentina, jak martwy ciężar ciągnęła ją w dół.

– Niech pani idzie – powiedział Tadeusz łagodnie. – Niech pani z nim porozmawia, prędko.

– Będziemy mogli być sami?

– Przykro mi, ale nie.

Siedział pomiędzy skazańcami, drętwy, pełen niedowierzania.

– Ella.

Wyciągnęła rękę do tej ławy oskarżonych, zaimprovizowanej z opuszczonej sekcji instrumentów dętych orkiestry tanecznej, i ujęła go za dłoń zimną i lepką. Wyczuła jego niemy strach.

– Ollie, staraj się nie bać, pomoc nadchodzi.

Skrzywił usta.

– Pomoc?

– Im naprawdę chodzi o ojca Helo'ise i o tego Węgra. Da Bóg, wszystko się skończy, zanim...

– Przyjdzie kolej na mnie?

Patrząc mu w oczy, już go nie potępiała, czuła tylko litość.

– Oni mnie powieszają – powiedział głosem nieswoim, bezbarwnym. – Zabili mojego ojca, a teraz powieszają mnie.

– Ollie, twój ojciec popełnił samobójstwo.

Potrząsnął głową.

– Zmuszony był do tego. To tak jak zamordowany. – Uśmiechnął się lekko. – Przeznaczenie ostatnich dwóch baronów de Trouvere... stać się pastwą zbirów.

Nic nie powiedziała.

– Ella?

– Tak?

– Nie chcesz wiedzieć, czy to jest prawda? To, o co mnie oskarżyli?

– Może chcę, ale tylko jeśli ty powiesz.

– To jest prawda – przyznał posepnie. – Wzbraniałem się, niestety, byłem im to dłużny.

– Och, Ollie! – Oczy jej napęłniły się łzami. – Tak bardzo chcę ci pomóc, ale...

– Ale życia nie możesz mi ocalić. – Umilkł, po czym powiedział jak gdyby z daleka: – Rycerze i damy.

– Co?

– Nasza zabawa... nie pamiętasz?

Mischa w rzece mignął jej przed oczami.

– Pamiętam.

Dłoń Oliviera, bezwładna w jej dłoni, na krótko się ożywiła, uściśnęła jej dłoń mocno.

– Zawsze chciałem być tym, który ciebie ratuje, Lalla – powiedział zduszonym szeptem.

Z wysiłkiem wyciągając drugą rękę, Ella pogłaskała przyrodniego brata po policzku.

– Wiem, co chciałeś powiedzieć.

W sali balowej wrzało.

Wszystkimi drzwiami przerażająco jednocześnie weszli ludzie Tadeusza, trzymając w rękach grube sznury, już związane w pętle. Pięć sznurów. Postawili dwa duże stoliki, jeden na drugim, i przyniesioną z magazynu hotelowego drabinę.

– Szafot – mruknął Sandor.

Pierwszy sznur przywiązali do masywnego środkowego żyrandola, stoliki podsunęli pod żyrandol.

– Szubienica – powiedział Harry cicho. Wszystkie mięśnie go bolały. Odwrócił głowę, żeby

popatrzeć tam, gdzie przysięgli jeszcze musieli stać razem naprzeciwko skazanych. – Gdzie, do diabła, jest ta policja?

Sierżant uderzył pięścią w ścianę pływalni.

– Dobra jest!

– Co? – wrzasnął Petrelli.

– Wkraczamy!

– Już? – zapytał William.

– Już!

Krisztina zaczęła się modlić.

W sali balowej trzysta pięćdziesiąt osób, nie wierząc własnym oczom, patrzyło ze zgrozą, jak czterej ludzie Tadeusza siłą wyciągają kapitana SS Franza Winzlera z ławy oskarżonych i wpychają go na szafot.

– Właż! – rozkazał Tadeusz.

Winzler miał twarz purpurową z wściekłości i strachu.

– *Niemals! Ihr Gottver fluchten Verbrecher!*

– Podsadźcie go!

– *Nein!* – wrzasnęła Helga Winzler.

Helo'ise, zakrywając twarz rękami, szlochala.

– Oni to zrobią – szepnął Harry. – Zrobią to rzeczywiście!

Winzler, z rękami związanymi na plecach, trząsł się.

– *Herrgott, rette mich, rette mich* – gorączkowo się modlił, gdy pętlę, ciężką i niewygodną, włożyli mu przez głowę.

Poniżej trzej mężczyźni trzymali nogi stolika, który na sygnał Tadeusza mieli usunąć spod jego stóp.

Tadeusz patrzył na tego podstarzałego nazistę i wcale nie litował się nad nim.

Uniósł prawą rękę.

– Za Sarę Graber i wszystkich innych. – Jego głos, dźwięczny i urzekający, rozbrzmiał echem w sali balowej.

Jego ręka opadła.

Buchnęli jak ciemny, zalewający wszystko strumień z każdych drzwi, z każdego okna. Zamaskowani, uzbrojeni w śrutówki, karabiny snajperskie i magnum 357, puścili chmurę gazu łzawiącego, a potem, uznając broń w rękach każdego z bandy za dowód, zaczęli strzelać.

– Lin Tsung! Co się dzieje?

Danielle, Lin Tsung i Stokrotka w barze Kaaterskill zerwali się na równe nogi, wstrząśnięci tym ogromnym hałasem.

– Co to?

– Na pewno policja – powiedział Lin Tsung.

– Boże, oni zabijają wszystkich – Danielle przyłożyła rękę do uszu i rozsłochała się przerażona.

– Nie, Dani, na pewno...

Podbiegła do drzwi, zobaczyła, że strażnika tam nie ma.

– Odszedł! – krzyknęła. – Możemy wyjść! – Otworzyła drzwi.

– Nie, Dani!

Lin Tsung pobiegł, żeby ją zatrzymać, ale dziewczynka i suka biegnęły za szybko, wyskakując z baru i pędząc przez hol do sali balowej.

– Ella! Na litość boską, gdzie ona jest?

Harry gorączkowo wśród zgiełku szukał żony. Wszędzie wokoło ludzie rzucali się rozpaczliwie na podłogę, żeby uchronić się przed kulami i odłamkami szkła i drewna, latającymi w powietrzu.

Pośrodku sali siedziała nieruchomo Helga Winzler, wpatrzona w zwłoki męża zwisające z żyrandola, podczas gdy Heloise de Trouvere krzyczała histerycznie, żeby ktoś jej ojca odciął.

Z zaschniętymi oczami, z paleniem w gardle od gazu łzawiącego, Harry przepychał się w stronę podium, rozglądał się po sali, ale zamiast Elli zobaczył Danielle. Stała przed drzwiami przerażona, prawie nieprzytomna, z prawą ręką na obroży Stokrotki, z lewą przy swoim zdrowym uchu. Lin Tsung właśnie dobiegł do drzwi.

– Dani! – wrzasnął Harry. – Wyjdź stąd! – I przewrócił się pchnięty brutalnie na parkiet przez przeciskającego się w tym rozgardiaszu anty terrorystę. Gdy podniósł się, chwilowo zdezorientowany, zobaczył, jak Sandor biegnie do Dani.

Peter Kalasz, wyzwolony z ławy oskarżonych, też zobaczył Janosa, zakręcił się i chwycił lugera, który upuścił ranny z bandy Tadeusza. Ziejąc nienawiścią, Kalasz wycelował...

– Nie!

Ella, wychodząc z za tego mordercy i widząc Danielle na linii strzału, rzuciła się, zaczęła Kalaszowi wrywać pistolet z ręki. Kalasz ryknął, chwycił ją lewą ręką za szyję.

– Mamusiu!

Pistolet wypalił, Stokrotka, trafiona w prawy bok, upadła.

Danielle zanosła się płaczem, przypadła do niej i ukryła twarz w zakrwawionym, białym psim futrze. Lin Tsung zasłonił je sobą.

– Ty bydle!

Rozwścieczony Harry rzucił się na Kalasza. Kalasz walnął go kolbą lugera w skroń i trzymając Ellę za gardło, przyłożył jej pistolet do głowy.

Policjanci przestali strzelać.

Wszyscy wlepili oczy w ten dramatyczny obraz przy głównych drzwiach.

– Puść ją – spokojnie powiedział Sandor.

– *Nem.*

– Przecież chodzi ci o mnie, Kalasz. To ja zeznawałem przeciwko tobie, a nie pani Bogarde.

– Ona uznała mnie za winnego.

Harry, jeszcze oszołomiony uderzeniem, wstał chwiejnie.

– Nie było żadnego procesu – wybelkotał. – Nie jesteś pan skazany. Puść ją i będziesz wolny jak przedtem, kiedy wszedłeś do tej sali.

Kalasz splunął.

– Nie bierz mnie za głupca, Bogarde.

Sandor spróbował znowu.

– Kalasz, puść ją. Co najmniej pięćdziesiąt luf jest wycelowanych w ciebie.

– Jeżeli mnie zastrzelą, ona też umrze.

Nikt się nie poruszył.

Na podłodze Danielle kwiliła.

Kalasz rozejrzał się. Przyciągnął Elle do siebie tak, że była teraz jego tarczą.

– Wychodzę stąd – powiedział. – Jeżeli ktoś spróbuje mnie zatrzymać – podniósł głos groźnie – Bóg mi świadkiem, zabiję ją w sali balowej zaszumiało. Cichym szlochaniem, jękami i niespokojnym szeptem.

Olivier kulił się za stolikiem pośrodku sali.

Czas zawrócił o trzydzieści lat.

Stoliki, krzesła i to pobojuwisko, ci ludzie, wszystko to zniknęło i on był znowu w zaroślach nad rzeką w de Trouvere.

Wróg ma jego Panią.

Pistolet automatyczny uzi leżał na podłodze.

Olivier zmrużonymi, piekącymi oczami zobaczył tę broń. Ze zwiotczalego mężczyzny w średnim wieku zmienił się w sprężystego chłopca. Myślał chłodno, jasno, serce mu waliło. Wróg ją trzyma, stoi odwrócony plecami.

Zmobilizował się.

Jestem atletą... jestem tygrysem... jestem wielkim, białym rycerzem.

– Puść ją!

Ten ryk rozdarł powietrze jak ciachnięcie szablą. Olivier poderwał się, podniósł pistolet...

– Nie! – Harry natarł na Kalasza, pociągnął Elle, szarpnął z całej siły, uwolnił ją i pchnął na podłogę...

Ogłuszająca krótka seria z pistoletu rozpruła czaszkę, kark i barki Kalasza, zabłąkane kule trafiły w lustra, kryształę i w lewą rękę Harry'ego.

I w pierś Lin Tsunga.

Olivier przestał strzelać.

Zobaczył krwawe, porozdzierane zwłoki Kalasza i zobaczył Elle, zdumioną, wstrząśniętą – Elle cudowną.

I raczej wyczuł, niż widział, że ci z policji zaczynają go otaczać, że jest w potrzasku.

Więc podniósł pistolet znowu i odwrócił lufą do siebie tak, że to potworne, okrągłe czarne oko popatrzyło mu w oczy.

Nacisnął spust.

Oko eksplodowało.

To niemożliwe, pomyślał, jeszcze żyję.

Nie czuł w ogóle nic, męka zmieniła się w dziwną, czerwoną chmurę, która spowiła jego głowę rozwirowaną zawrotnie.

Otworzył oczy i to była Ella. Łzy spływały jej po policzkach, usta niemo rozciągały się w bólu.

– Nie płacz, Lalla – usiłował powiedzieć. – Nie nade mną. – Chciał ją pocieszyć, utulić. – Tak dla mnie lepiej, Lalla. Nie wiedziałaś, ale ja popełniłem straszne podłości...

Pojął, że Ella go nie słyszy. Znow zamknął oczy i zobaczył przez mgłę te dawne twarze, koszmary... Mischę i Genevieve, i pilota...

Czerwona chmura coraz ciemniejsza, gęstniała napierając, dusząc go i wiedział na pewno, że umiera, czy może już nie istnieje...

O pierwszej po południu, pięć godzin potem, jak oblężenie się skończyło, gdy zabitych i rannych wyniesiono i zabrano do kostnic i do szpitali, policjanci Levy i Petrelli szli wolno przez

zdevastowaną salę balową, mijając krzątających się ponuro detektywów.

– Nigdy dotąd tu nie byłem – powiedział Petrelli – ale mówią, że ta sala była wspaniała... lepsza nawet niż jakakolwiek w Nowym Jorku.

– Już nie jest – powiedział Levy.

Petrelli zagwizdał.

– Popatrz na to!

Zagapili się na rozbite szczątki ogromnego środkowego żyrandola, którego lwia część gruchnęła na podłogę przy odcinaniu powieszono esesmana.

– Chyba mu się należało – powiedział Levy.

Petrelli potrząsnął głową.

– Ja tam dalej nie wiem, co ten Tadeusz osiągnął. Leży w kostnicy z większością swoich kumpli.

– Wiedział, co się stanie.

– Tak myślisz, Marty?

Levy przytaknął, milcząc.

– Nie wiem – zastanowił się Petrelli. – Trzech zabitych nazistów i całe mnóstwo zabitych albo rannych, przestraszonych ludzi, którzy pewnie będą mieli złe sny już do końca życia.

Levy wzruszył ramionami.

– Sprawiedliwość.

– Tak myślisz? – zapytał Petrelli znowu.

Levy odpowiedział z namaszczaniem:

– Tak myślę.

Tine Orchard

w stanie Nowy Jork

11 czerwca 1986 roku

Przyszli, szukając jej. Matka, ojciec, Danielle i Harry z ręką na temblaku.

Jej rodzina. Wszyscy oprócz jednego. Ella wstała z ziemi.

– *Maman*, nie powinnaś wychodzić... masz wypoczywać. Psy wokół nich skakały.

Krisztina się uśmiechnęła.

– Nic mi nie jest, *cherie*.

William mocno trzymał żonę pod rękę.

– Matka by nie mogła wypocząć, kochanie, kiedy nie wiedzielibyśmy, gdzie jesteś.

Harry patrzył w górę na wielką bramę z kutego żelaza.

– Zamknęłaś? Ella skinęła głową.

– Dlaczego?

– Bo nieczynny – odpowiedziała po prostu.

– Długo?

– Nie wiem.

– Przecież może być otwarty – powiedział William. – Remontu wymaga tylko sala balowa.

– Nie – powiedziała Ella.

– Nie? – Krisztina przyjrzała jej się badawczo.

Oczy Elli, jeszcze czerwone od gazu łzawiącego i płaczu, paliły.

– To jest pole bitwy, *maman*, a nie hotel.

Danielle, blada i nerwowa po pogrzebie Lin Tsunga poprzedniego dnia, ciężkim dla niej przeżyciu w następstwie koszmaru, którego miała nigdy nie zapomnieć, podeszła do Elli i wzięła ją za rękę.

– Stokrotka się wyliże, mamusiu – powiedziała cicho. – Telefonowali z kliniki dla zwierząt i mówili, że na pewno. Może zawsze będzie kulawa, ale wyzdrowieje.

Ella pochyliła się i uściskała córeczkę.

– To bardzo dobra wiadomość, Dani.

Dziewczynka ciągnęła zniżonym, nienaturalnym głosem:

– Tatusz mówi, że wuj Olivier nie mógł poradzić na to, że kule trafiły w niego i w Lin Tsunga. – Usta jej trochę drżały. – Mówił, że wuj Olivier był bohaterem, bo ocalił ci życie.

– Tak? – Ella przygryzła wargę i spojrzała na Harry’ego.

Danielle skubnęła jej rękaw.

– Mamusiu, długo hotel będzie zamknięty?

– Nie wiem – powiedziała znów Ella.

– Sala balowa już nie wygląda tak źle. Louis i Howie, i inni, posprząтали i prawie wszystko już...

– Danielle urwała raptownie, zarumieniona.

– W porządku, Dani – powiedział Harry łagodnie.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Tatusiu, czy ja muszę pojechać jutro do szkoły?

– Nie, kochanie. Dopiero po pogrzebie wuja.

– To znaczy, kiedy?

– Wkrótce.

Znów nastąpiło milczenie.

Powoli Ella przyłożyła prawą rękę do brzucha. Życie i śmierć, pomyślała. Nowe życie.

Głęboko odetchnęła górskim powietrzem i spojrzała na męża.

– Harry, mam ci coś do powiedzenia.

Tydzień potem Ella i Krisztina stały wśród grobów, gdy wszyscy inni żałobnicy już odeszli.

Leżało w tych grobach ośmiu baronów de Trouvere.

– Dziewiątego nigdy nie będzie.

Zza kamiennego muru doleciały radosne okrzyki i śmiechy bawiących się dzieci.

– Przynajmniej to miejsce jeszcze żyje – powiedziała Krisztina z zadowoleniem. – Ładnie z ich strony, że pozwolili nam zachować cmentarzyk.

– I kaplicę.

Krisztina przytaknęła.

– Masz klucz, *maman*?

– Oczywiście. – Czują ten klucz ciężki w kieszeni.

– Wejdziemy tam?

– Może później. – Usiadła powoli na starej drewnianej ławce przy nagrobku Genevieve. – W dzisiejsze popołudnie trzeba być na świeżym powietrzu.

– Z żywymi – powiedziała Ella, siadając obok niej.

Milczały. Wokoło brzęczały pszczoły, mocno pachniały pnące róże i rozkopana ziemia.

– Co zrobisz? – zapytała Krisztina w końcu.

– Co zrobię?

– Z Zamkiem Bogarde.

Ella milczała.

Krisztina ujęła jej rękę.

– Ma przecież własne życie tak jak de Trouvere.

– De Trouvere przetrwało bez nas, *maman*.

– Ale to już przeszłość, *dragam*. Zamek Bogarde to przyszłość.

– Wiem – szepnęła Ella z jaśniejącymi oczami.

– Więc czy dasz mu żyć znowu? Dla Dani i tego dziecka, jeżeli nie dla ciebie?

Wiatr poruszył gałęziami srebrzystej, starej brzozy w rogu cmentarza.

Ella zamknęła oczy i wciągnęła w płuca słodycz powietrza.

– Może – powiedziała. – Z czasem.